



*Philippa Gregory*



*Dziedzictwo*

Fasada dworu Wideacre wychodzi na południe. Przez cały dzień słońce świeci na żółte kamienie, aż sta- ją się ciepłe i sypkie w dotyku. Słońce odbywa podróż od szczytu jednego wzgórza do drugiego. Kiedy byłam małym dzieckiem i zbierałam płatki w ogrodzie różanym albo wałęsałam się na tyłach domu po podwórzu staj- ni, wydawało mi się, że Wideacre to środek świata i słońce o świcie wyznacza jej wschodnią granicę, chowa się zaś za wzgórzami na zachodzie w czerwieniach i różach wieczoru. Wielki łuk, jaki zatacza słońce nad Wide- acre, wydawał się granicą dobrze określającą zasięg naszych wpływów. Tam, poza słońcem, był Bóg i anioło- wie; poniżej (i miało to o wiele większe znaczenie) rządził dziedzic, mój ojciec.

Nie pamiętam nic z czasów, kiedy jeszcze go nie kochałam świadomie — hałaśliwego Anglika o czer- wonej twarzy. Musiałam chyba kiedyś leżeć bezbrinnie w łóżeczku z białymi falbankami w pokoju dziecin- nym, musiałam chyba kiedyś stawiać pierwsze kroki, mocno uczepiona ręki matki. Nie mam jednak z dzieciń- stwa żadnych wspomnień dotyczących matki. To Wideacre zawładnęła moją świadomością, a dziedzic Wide- acre — całą moją osobą, tak jak rządził światem.

W moim pierwszym, najwcześniejszym wspomnieniu z dzieciństwa ktoś podnosi mnie i podaje ojcu, który góruje nade mną w siodle swojego kasztanka. Małe nóżki wierzgają bezradnie w powietrzu, kiedy poko- nuję straszliwą przestrzeń dzielącą mnie od potężnego grzbietu kasztanka. Przed zdumionymi oczami mam gorącą surową twarz. Siadam na twardym śliskim siodle. Potem ojciec obejmuje mnie mocno ramieniem i przyciska bezpiecznie do siebie. Wkłada mi do jednej dłoni cugle, a drugą zaciska na łąku. Wzroku nie mogę oderwać od szorstkiej rdzawej grzywy i błyszczącej skóry. Potem potwór pode mną rusza, a ja trzymam się go kurczowo ze strachu. Dziwaczny kołyszący chód i wielkie odległości między kolejnymi stągnięciami całkiem mnie zaskakują. Ale ramię ojca trzyma mocno i stopniowo przenoszę wzrok z muskularnego spoconego grzbie- tu wielkiego jak góra konia na jego długi kark, aż do czujnie nastawionych uszu... a potem roztaczają się przede mną rozległe tereny Wideacre.

Koń kroczył szeroką aleją wysadzaną bukami i dębami, prowadzącą do naszego domu. Cętkowane cie- nie drzew ścieliły się na bujnej trawie i ubłoconych koleinach. Na poboczu jaśniały bladożółte pierwiosnki i świetlistsze niż promień słońca glistniki. Woń, ciężka wilgotna woń ziemi mokrej po deszczu wypełniała prze- strzeń pod sklepieniem drzew jak ptasi śpiew.

Wzdłuż podjazdu ciągnęły się rowy odpływowe. Ich żółte kamienie i biały piasek splukiwała do czysta sącząca się woda. Z mojego podskakującego punktu widokowego mogłam wreszcie podziwiać całą ich dłu- gość, nawet miejsca na brzegach, gdzie na czarnej ziemi znaczył się drobny widełkowaty trop nocnego jelenia.

— Wszystko w porządku, Beatrice? — zagrzemiał za mną głos ojca.

Czułam go całym swoim napiętym szczupłym ciałkiem. Kiwnęłam głową. Widzieć drzewa Wideacre, wachać ziemię, cieszyć się wiatrem, bez czepka, bez powozu, bez matki — na to wszystko brakowało mi słów.

— Chciałabyś pojechać kłusem? — zapytał.

Znów kiwnęłam głową, zaciskając rączki na łąku i cuglach. Natychmiast chód konia zmienił się. Drze- wa wokoło odchyliły się na boki i zaczęły podrygiwać, a widok podskakującej linii horyzontu budził mdłości.

Huśtałam się jak korek na wezbranej wiosną rzece. Z bólem zjeżdżałam z siodła i podciągałam się z przestrachem. Potem usłyszałam, że ojciec cmoknął i koń wydłużył krok. Zdumiewające — linia horyzontu przestała podrygiwać, lecz drzewa uciekały jeszcze szybciej. Odzyskałam równowagę i chociaż ziemia umykała błyskawicznie spod stukających podków, odetchnęłam wreszcie i znów się rozejrzałam. Pierwszy w życiu galop zawsze będzie się wydawał najszybszy. Przywarłam do siodła jak pijawka. Czułam na twarzy wiosenny wiatr i cień. Kasztanek pędził; czułam, jak w gardle zbiera mi się jednocześnie i nie wydobyty śmiech zachwytu, i krzyk strachu.

Las z lewej strony stawał się rzadszy, a strome pobocze obniżało się, mogłam więc dostrzec za drzewami pola, już wiosennie zieleniejące. Stał tam słupka zając, duży jak szczenię gończego psa, i patrzył, jak jedziemy. Postawił czarno zakończone uszy, nasłuchując stukotu podków i dźwięczenia uprzęży. Dalej, brunatny na tle głębokiej czerni zaoranego pola, rząd kobiet zgiętych w pół nad bruzdami, zbierał i zbierał, i zbierał, jak wróble na szerokim krowim grzbiecie, kamienie, oczyszczając tym samym ziemię pod zasiewy.

Potem widoki przesuwwały się coraz wolniej, gdy koń przechodził znów do kłusa, aż przystanął przy zamkniętych wrotach. Jakaś kobieta wybiegła z otwartych tylnych drzwi stróżówki i brnęła przez chmurę kur, żeby uchylić wysoką żelazną bramę.

— Towarzyszy dziś panu piękna młoda dama — powiedziała z uśmiechem. — Podoba się panience przejażdżka, panno Beatrice?

Plecy aż mi zadrżały od chichotu ojca, ale zachowałam godność i z wysokości konia ledwie skinęłam głową. Idealna kopia chłodnej wyniosłości mojej matki, z czego sobie jeszcze nie zdawałam sprawy.

— Powiedz pani Hodgett dzień dobry — ostro kazał ojciec.

— Nie! — zachichotała pani Hodgett. — Dziś nie jest dla mnie zbyt łaskawa. Ale wiem, że doczekam się jeszcze uśmiechu, kiedy coś dobrego upiekę.

Znów zatrząśł mną potężny chichot. Dałam się przebłagać i obdarowałam panią Hodgett promiennym uśmiechem. Potem ojciec cmoknął na konia i uniósł nas jego płynny chód.

Nie skręciliśmy w lewo drogą prowadzącą do wsi Acre, tak jak oczekiwałam, lecz pojechaliśmy prosto przed siebie górną drogą, tam gdzie jeszcze nigdy nie byłam. Dotychczas na wszystkie wycieczki wybierałam się powozem z mamą, albo bryczką ciągniętą przez kucyka, z nianią, ale nigdy wierzchem, wąskimi drózkami, którymi nie przejechałyby żadne koła. A ta ścieżka prowadziła nas przez otwarte pola. Każdy wieśniak mógł tu uprawiać własny kawałek ziemi. Wyglądało to jak śliczna, postrzępiona szachownica. Ojciec świsnął przez zęby na widok źle wykopanego rowu i bujnych ostów na jednym z poletek, a koń czyhający na sygnał do galopu wyrwał się znów do przodu. Jego swobodny bieg niósł nas coraz wyżej krętą ścieżką; strome jej obrzeża pocętkowane były kępkami polnych kwiatów i intrygująco wyglądającymi dziurkami, a na samej górze ciągnęły się żywopłoty z wypuszczającego pąki głogu i dzikich róż.

A potem pobocze całkiem zrównało się z polami i żywopłotami, a my jechaliśmy w milczeniu po grubej warstwie liści użyźniających ziemię, przez bukowy zagajnik, taki, jakie porastają nasze niżej położone tereny. Wysokie, proste szare pnie strzeliste jak nawy katedry. Oszałamiający zapach bukowego drzewa drażnił mój nos, a promienie słońca na końcu lasu wyglądały jak świetlisty wylot jaskini gdzieś o całe mile stąd. Koń, teraz

ciężko sapiący, pospieszył w tę stronę i w kilka sekund znaleźliśmy się w słońcu na czubku świata, na szczycie South Downs.

Obejrzelśmy się na drogę, którą przebyliśmy. Kształt i położenie Wideacre objawiły mi się niczym jakaś magiczna stronica w książce z obrazkami, oglądanej po raz pierwszy.

Najbliżej nas zaczynały się i ciągnęły w dal zielone cudowne zbocza nizin, strome z początku, lecz ku dołowi łagodne jak zaokrąglone ramiona. Lekki wiatr, który cały czas wieje dość silnie na szczycie zboczy, niośł woń świeżej trawy i zaoranej ziemi. Rozpłaszczał trawę na poletkach jak wodorosty przyginane przez prądy morskie — wpierw w jedną stronę, potem w drugą.

Tam gdzie zaczynała się spękana stromizna, usadowiły się bukowe zagajniki. Teraz patrzyłam na nie z góry jak skowronek i widziałam bujne korony drzew. Liście miały barwę szmaragdu, jak zawsze gdy zaczynają rosnąć. Kasztany pokazywały tłuste, stulone jak usteczka pączki. Srebrne brzozy drżały niczym strumyki zielonego światła.

Z prawej strony stały tuziny chat wsi Acre, bielonych, przytulnych. Plebania, kościół, zielony rozłożysty kasztan górujący w sercu wsi. Z tyłu, jak miniaturowe pomarszczone pudełeczka, były chatki wieśniaków, którzy mieli prawo do korzystania ze wspólnej ziemi. Ich małe rudery czasem kryte darnią, czasem po prostu zadane wozy, nawet z tej odległości wyglądały szkaradnie. A na zachód od Acre jak żółta perła na zielonym aksamicie, pośród wysokich dumnych drzew, w cichym wilgotnym parku stał dwór Wideacre.

Ojciec wyjął mi cugle z palców, a koń natychmiast zanurzył wielki łeb w krótkiej trawie.

— Piękne miejsce — powiedział do siebie. — Sądzę, że w całym Sussex nie ma piękniejszego.

— Na całym świecie nie ma piękniejszego — stwierdziłam z pewnością czterolatki.

— Uhm — odparł cicho, uśmiechając się do mnie. — Chyba masz rację.

Drogę do domu pozwolił mi odbyć samodzielnie — w glorii samodzielności na szczycie kolebiącej się góry. Kroczył z boku, ubezpieczając mnie uchwytem ręki za falbanki sukienki. Przy wrotach stróżówki i dalej, w cienistym spokoju podjazdu poluzował uchwyt i szedł przede mną, oglądając się i wykrzykując polecenia.

— Siedź prosto! Broda do góry! Ręce w dół! Łokcie do siebie! Łagodnie z wędzidłem! Chcesz kłusem? Dobrze, siadaj wygodnie, ściągnij cugle, zepnij go obcasami! Tak! Dobrze! — Jego spocona twarz stawała się rozmazaną plamą, kiedy z całych sił trzymałam się siodła i tłumiłam w sobie okrzyki trwogi.

Przejechałam sama ostatni odcinek podjazdu i triumfalnie przyprowadziłam wielkie łagodne zwierzę do stojaków przed tarasem. Nie powitał mnie jednak aplauz. Na mamie nie wywarłam żadnego wrażenia. Patrzyła z okien swego saloniku, a potem powoli wyszła na taras.

— Natychmiast zejść, Beatrice — odezwała się i skinęła na nianię. — Byłaś na dworze o wiele za długo. Nianiu, proszę natychmiast zabrać pannę Beatrice na górę, wykapać ją i przebrać. Całe ubranie trzeba wyprać. Cuchnie jak chłopak stajenny.

Ściągnięto mnie z mojego szczytu. Napotkałam smutny, pełen żalu wzrok ojca. Niania, biegnąca do domu, zatrzymała się.

— Tak, madame! — odrzekła zaszokowanym głosem.

Razem z matką ściągnęły ze mnie wszystkie halki i spostrzegły, że koronkowe falbanki są poplamione krwią przy kostkach. Zręcznie niania zdjęła je i obejrzała moje nogi. Obszycie i rzemienie strzemion obtarły mi kolana i łydki do żywego; krwawiłam.

— Haroldzie! — odezwała się matka. To jedyny sposób wyrażania wymówek, na jaki sobie wobec niego pozwalała. Ojciec podszedł i wziął mnie w ramiona.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, że się zraniłaś? — spytał, mrużąc zatroskane niebieskie oczy. — Zaniósłbym cię do domu na rękach, moja mała Beatrice. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Kolana paliły jak poparzone przez pokrzywy, ale zdobyłam się na uśmiech.

— Chciałam jechać, papo — stwierdziłam. — I chcę jeszcze jeździć.

Oczy mu się roziskrzyły i zabrzmiał jego głęboki szczęśliwy śmiech.

— To cała moja dziewczynka! — powiedział z zachwytem. — Chcesz jeszcze jeździć, co? No cóż, to pojeździsz. Jutro pojedę do Chichester i kupię ci kucyka, a ty od razu nauczysz się jeździć. W wieku czterech lat jeździć z krwawiącymi kolanami, co? To cała moja dziewczynka!

Wciąż się śmiejąc, wyprowadził konia na podwórko stajni z tyłu domu. Usłyszałyśmy, jak woła na chłopca stajennego. Zostałam z mamą.

— Niech panna Beatrice idzie lepiej prosto do łóżka — przykazała niani, ignorując moją czujną minę. — Jest zmęczona. Na jeden dzień starczy już tego wszystkiego. I już nie będzie jeździć konno.

Oczywiście jeździłam. Matka głosiła przekonanie, że żona winna jest posłuszeństwo i szacunek wobec głowy rodziny i nigdy, poza paroma sekundami zapomnienia się, nie wystąpiła przeciwko mojemu ojcu. Niestety w parę dni po przejeździe na wierzchowcu, jeszcze zanim zagoiły się stupy na moich kolanach, usłyszeliśmy stukot podków na żwirze i okrzyk „holloa!” zza drzwi frontowych.

Na wysypanym żwirze półkołu przed domem stał koń myśliwski ojca. Ojciec, siedzący na nim okrakiem, pochylał się nad najmniejszym kucykiem, jakiego w życiu widziałam. Był to jeden z okazów nowej rasy dartmoor, o sierści ciemnej i gładkiej jak brunatny aksamit i czarnej grzywie opadającej na mały pysk. W kilka sekund oplotałam ramionami szyję klaczy i szeptałam jej coś do ucha.

Już następnego dnia niania przerobiła na moją małą figurę kostium do konnej jazdy, abym mogła go zakładać na codzienne lekcje z ojcem na wybiegu. Ojciec nigdy nie uczył nikogo jeździć konno, nauczał mnie więc w ten sam sposób, w jaki kiedyś ojciec uczył jego. Jeździliśmy po podmokłych łąkach, tak że miękka ziemia zachowywała się przy moich upadkach jak poduszka. Raz za razem padałam na mokrą trawę — i nie zawsze podnosiłam się z uśmiechem. Ale papa, mój cudowny, boski papa, był cierpliwy, a Minnie, droga mała Minnie — z natury słodka i łagodna. Ja zaś urodziłam się do walki.

Już dwa tygodnie później mogłam co dzień towarzyszyć papie. Ojciec prowadził Minnie, a za jego koniem myśliwskim klacz wyglądała jak rybka na końcu bardzo długiej linki.

W parę tygodni po naszych pierwszych wyprawach ojciec uwolnił mnie od tej uciążliwości i pozwolił jeździć samodzielnie.

— Mam do niej całkowite zaufanie — odpowiedział mamie krótko na jej wypowiedane półgłosem wymówki. — Haftować może się nauczyć w każdej chwili. A siedzieć na koniu niech się lepiej uczy, póki młoda.



Tak więc wielki koń myśliwski ojca kroczył z przodu, a Minnie podrygiwała za nim szybkim truchtem, aby nadążyć. Na drogach i polach Wideacre dziedzic i panienska stali się znajomym widokiem, a nasze przejażdżki wydłużyły się od początkowej półgodziny do całego popołudnia. Potem stało się częścią zwykłego porządku dnia, że rano i po południu wychodzę z ojcem. Latem 1760 roku — a szczególnie suche i gorące to było lato — wychodziłam z dziedzicem codziennie, a miałam wszystkiego pięć lat.

To były złote lata mojego dzieciństwa i nawet w tym wieku zdawałam sobie z tego sprawę. Dziecięce choroby mojego brata Harry'ego ciągnęły się i obawiano się, że odziedziczył po matce słabe serce. Ale ja byłam zdrowa jak rydz i każdy dzień musiałam spędzić z papą. Harry siedział w domu prawie całą zimę, dręczony przeziębieniami, reumatyzmem, gorączką, a mama i niania krzątały się wokół niego. Potem, gdy nadchodziła wiosna, a ciepły wiatr niósł mocny zapach rozgrzewającej się ziemi, Harry przechodził rekonwalescencję. Podczas sianokosów, kiedy chodziłam z papą oglądać, jak koszą wysoką falującą trawę na wielkich zielonych przestrzeniach, Harry zostawał w domu z katarrem siennym, który zaczynał się u niego co roku o tej porze. Niez szczęśnik — jego kaszel ciągnął się przez całe upalne lato, tak że omijały go także żniwa. Przy końcu roku, kiedy papa obiecał, że pójdziemy zobaczyć małe listki, Harry znów leżał w pokoju dzieciennym albo w najlepszym razie siedział w saloniku przy kominku, bo nastąpił nawrót jego zimowych dolegliwości.

O rok starszy ode mnie, był wyższy i pulchniejszy, ale nie stanowił odpowiedniego dla mnie towarzystwa. Jeśli udawało mi się tak mu nadokuczać, że zaczynaliśmy walczyć, z łatwością powalałam go na ziemię i biłam, aż wzywał mamę lub nianię.

W swojej słodkiej bezbronności tyle miał jednak dobra, że nigdy nie wypominał mi swoich siniaków i zadrapań. Nie zasługiwał na bicie.

Nie dokazywał jednak ze mną, nie mocował się, a nawet nie bawił niewinnie w chowanego w sypialniach i krużgankach dworu. Najlepiej bawił się siedząc z mamą w saloniku przy wspólnej lekturze. Lubił tu wygrywać proste melodyjki na fortepianie albo czytać jej na głos smutne wiersze. Kilka godzin życia trybem Harry'ego czyniło mnie niewymownie chorą i zmęczoną. Po jednym dniu spędzonym w spokojnym towarzystwie Harry'ego i mamy czułam się tak znużona jak po całym długim dniu w siodle z papą na nizinach.

Gdy pogoda nie pozwalała na wyjście na dwór, błagałam Harry'ego, żeby się ze mną pobawił, lecz nie mieliśmy wspólnych zabaw. I kiedy ja siedziałam w bibliotece osowiata, rozweselając się tylko na wspomnienie papy i jego koni, Harry znosił z całego domu poduszki i wił sobie z nich gniazdko jak spasiony dziki gołąb. Z książką w jednej ręce i pudełkiem cukierków w drugiej, trwał bez ruchu. Jeśli wiatr wyrwał nagle w chmurach burzowych dziurę dla promieni słońca, wyglądał przez okno na rozmokły ogród i stwierdzał:

— Za mokro, żeby wyjść, Beatrice. Przemoczysz pończochy i buciki i mama cię skrzyczy.

Tak więc Harry zostawał w domu i ssał cukierki, a ja biegałam sama po ogrodzie różanym, gdzie każdy liść, ciemny i błyszczący jak ostrokrzew, kończył się kropelką deszczu na czubku i aż zapraszał, by ją zlizać. Każda gęsta kiść kwiatów kryła w sobie kropelkę jak złożę diamentów wśród płatków, a kiedy wdychało się ich słodycz, woda deszczowa łaskotała w nosie. Jeśli padało, kiedy się przechadzałam, nurkowałam w poszukiwaniu schronienia do białego zakratowanego domku letniego pośrodku ogrodu różanego i patrzyłam, jak krople deszczu rozpryskują się na zwirowych ścieżkach. Najczęściej jednak nie przejmowałam się deszczem i szłam

dalej przez zlany strugami wody wybieg dla koni, obok mokrych kucyków i ścieżką przez bukowy lasek aż do rzeki Fenny, która wiła się jak wąż w zagajniku przy końcu wybiegu.

Tak więc chociaż dzieliła nas niewielka różnica wieku, byliśmy sobie obcy przez całe dzieciństwo. I chociaż w domu z dwojgiem dzieci (w tym jednym rozrabiaką) nigdy nie panuje kompletna cisza, myślę, że nasz dom był spokojny, wytłumiony.

Małżeństwo papy z mamą zawarto raczej ze względu na majątek niż harmonię charakterów i wiedzieliśmy, my, służba i nawet wieś, że użerają się ze sobą. Ona uważała papę za człowieka hałaśliwego i prostackiego. Papa zbyt często obrażał jej poczucie dobrych manier, mówiąc z typowym dla hrabstwa Sussex akcentem w jej salonie, śmiejąc się swoim hałaśliwym swobodnym śmiechem i bratając poklepywaniem po plecach z każdym człowiekiem — od najbiedniejszego wieśniaka do najzamożniejszego dzierżawcy.

Mama sądziła, że jej wyniesione z miasta maniery i wdzięk stanowią przykład dla całego hrabstwa, lecz we wsi gardzono nimi. Jej wyniosły, afektowany chód przez nawę kościoła parafialnego w każdą niedzielę był przedmiotem parodii i prześmiewek w szynku Busha i naśladował go każdy parobek z jako takim poczuciem humoru.

Nasze przejście przez nawę, powolny wyniosły krok mamy i kaczkowaty chód Harry'ego sprawiały, że oblewałam się rumieńcem wstydu za moją rodzinę. Dopiero siedząc już w naszej ławce z wysokim oparciem mogłam się odprężyć. Kiedy mama i Harry kryli głowę w dłoniach i modlili się żarliwie, ja siedziałam wyprostowana przy papie i wsuwałam zimną rękę do jego kieszeni.

Mama bezgłośnie recytowała swoje modły, a moje paluszki szukały i znajdowały magiczne przedmioty w kieszeni papy. Scyzoryk, chusteczkę, kłos pszenicy albo specjalny kamyk, który mu dałam — potężniejszy niż chleb i wino, realniejszy niż katechizm.

A po mszy, kiedy papa i ja zostawaliśmy w tyle na dziedzińcu kościoła, aby poznać najnowsze wieści ze wsi, mama i Harry spieszyli się do powozu, zniecierpliwieni opowiadany mi rozwlekłym akcentem Sussex dowcipami i w obawie przed zarażeniem się jakąś chorobą.

Mama starała się nawiązać kontakt z wsią, ale nie miała daru swobodnego rozmawiania z naszymi ludźmi. Kiedy pytała, jak im się wiedzie albo kiedy ma przyjść na świat dziecko, brzmiało to, jak gdyby wcale nie zależało jej na odpowiedzi (co było zgodne z prawdą) albo jakby uważała życie wieśniaków za wstrętne i nudne (co także było prawdą). Tak więc mamrotali jak idioci, kobiety mięły w rękach rąbek fartucha, a mężczyźni starali się jak najniżej opuścić trzymane w dłoniach czapki, kiedy rozmawiali z mamą.

— Naprawdę nie wiem, co ty w nich widzisz — skarżyła się omdlewającym głosem po jednej z owych płonnych prób konwersacji. — Są po prostu naturalni.

Byli naturalni. O, nie w tym sensie, który ona miała na myśli: że to półgłówki. Byli naturalni, bo postępowali tak, jak czuli, i mówili, co myślą. Oczywiście nabierali wody w usta i krępowali się w jej mrozącej obecności. Cóż można powiedzieć damie, która siedzi w powozie wysoko ponad człowiekiem i pyta z wyraźnym znudzeniem, co mąż dostanie dziś na obiad? Pyta, ale nie zależy jej na odpowiedzi. A co jeszcze bardziej ich zdumiewało (uważali bowiem, że wydarzenia w Wideacre znane są w całej Anglii), to fakt, że żona dziedzica nie zdaje sobie sprawy, z kim rozmawia; żona jednego z najsprytniejszych w Acre kłusowników powinna zgodnie z prawdą odpowiedzieć na jej pytanie: „Jednego z pani bażantów”.

Papa i ja wiedzieliśmy o tym oczywiście. Istnieją jednak takie rzeczy, o których nie da się mówić, których nie da się nauczyć. Mama i Harry żyli w świecie, który składał się ze słów. Czytali opasłe tomiszczą dostarczane przez księgarzy i bibliotekarzy z Londynu. Mama pisała długie listy, które przemierzały całą Anglię: do sióstr i braci w Cambridge i w Londynie oraz do ciotki w Bristolu. Ciągłe słowa, słowa, słowa. Pogaduszki, ploteczki, książki, sztuki, wiersze i nawet piosenki — wszędzie słowa do zapamiętania.

Papa i ja żyliśmy w świecie liczącym niewiele słów. Jeżył nam się włos na głowie, kiedy burza zagrażała sianokosom i wystarczyło nam zaledwie skinienie głowy, żebym ja pojechała na jeden kraniec pola, a tata na drugi, aby kazać ludziom ustawić w stogi ile się da i przygotować się na deszcz. Czuliśmy deszcz w powietrzu na początku żniw i bez słowa objechaliśmy pola, żeby powstrzymać żeńców od ścinania zboża przed burzą. Tego, co najważniejsze, nikt mnie nigdy nie uczył. Urodziłam się wiedząc już to, co najważniejsze, ponieważ byłam z krwi i kości córką Wideacre.

A co się tyczy reszty świata — ten prawie nie istniał. Mama podnosiła list i mówiła do papy: „Zadziwiające...” A papa kiwał tylko głową i powtarzał: „Zadziwiające”. Dopóki to nie wpływało na cenę zboża lub wełny, sprawa go nie interesowała.

Składaliśmy oczywiście wizyty innym rodzinom z naszego hrabstwa. Papa i mama uczestniczyli zimą w wieczornych przyjęciach, a od czasu do czasu mama zabierała Harry'ego i mnie w odwiedziny do dzieci z sąsiedztwa: do Haveringów w Havering Hall, dziesięć mil na zachód, oraz do de Courceyów w Chichester. Korzenie naszego życia tkwiły jednakże głęboko w ziemi Wideacre, a mur parku Wideacre wyznaczał granice naszej izolacji.

Po dniu spędzonym w siodle albo po długim popołudniu doglądania oraczy papa o niczym innym nie marzył, jak o cygarze zapalonym w ogrodzie różanym, kiedy gwiazdy wzejdą na perłowe niebo, a nietoperze trzepoczą i piszczą nad głową; mama odwracała się wtedy od okna saloniku z krótkim westchnieniem i pisała długie listy do Londynu. Nawet moje dziecięce oczy widziały jej smutek. Władza dziedzica i władza ziemi kazały jej jednak milczeć.

Jej samotność uzewnętrzniała się jedynie we wciąż pisanych listach i w tym, że w utarczkach z ojcem nigdy nie było strony wygrywającej i przegrywającej — pozostawał wlokący się ból nierozstrzygnięcia.

Kłótnie na tle jazdy konnej grzmiały przez całe moje dzieciństwo. Matka głosiła zasadę tradycyjnego posłuszeństwa mężowi, pozostawała jednak wolna od jakichkolwiek kryteriów moralnych. Poza szacunkiem dla konwencji i ich uwielbieniem przedstawiała moralność rynsztoka. Nie mając władzy, spędzała całe swe życie szukając drobnych zwycięstw w nieustannej pogoni za dopięciem swego — w czymś, czymkolwiek, nawet najmniejszej sprawie.

Biedna kobieta! Nie sprawowała kontroli nad prowadzeniem domu, bo te obowiązki należały do głównego lokaja i szefa kuchni, ci zaś odpowiadali bezpośrednio przed papą, a rachunki opłacano z pieniędzy całej posiadłości. Nie miała kontroli nad garderobą, bo rachunki regulowano bezpośrednio u krawca i modystki w Chichester. Raz na kwartał otrzymywała kilka funtów i szylingów na swoje wydatki: na tacę, na cele dobroczynne i na szokujący nałóg kupowania wiązanek kwiatów i słodyczy. I nawet to niewielkie kieszonkowe było dyskretnie regulowane jej zachowaniem. Po chwili zapomnienia, kiedy to wkrótce po moim urodzeniu rozma-



wiała z ojcem bez ogródek, w magiczny sposób cofnięto jej zezwolenie na kwartalną sumkę — to sekret siedmiu lat, wciąż ją dręczący, tak że z ciągłą odrazą zwierzała mi się z niego szeptem.

Nie słuchałam tego wcale i nic mnie to nie obchodziło. Trzymałam stronę dziedzica. Byłam córeczką tatusia i wystarczająco dobrze rozumiałam, że nielojalne, urażone szeptki są częścią ataku na mnie i papę, podobnie jak jej sprzeciw wobec mojego jeżdżenia konno. Mama zawsze tęskniła do życia rodzinnego opisywanego w jej kwartalnikach. Oto ukryta przyczyna jej nienawiści do swobodnej hałaśliwości ojca, jego sprośności, jego niepomowianej radości. Oto dlaczego szczyliła się spokojnym usposobieniem swego jasnowłosego chłopczyka. Oto dlaczego zrobiłaby wszystko, żeby ściągnąć mnie z końskiego grzbietu i zamknąć w salonie, gdzie jest miejsce młodej dziewczyny, każdej młodej dziewczyny niezależnie od jej talentów i zamiłowań.

— Może zostałabyś dzisiaj w domu, Beatrice? — spytała swoim słodko płaczącym głosem pewnego poranka przy śniadaniu. Papa już zjadł i wyszedł, a mama oderwała wzrok od jego talerza, gdzie leżała ogryziona do czysta z szynki kość kłykciowa i pełno okruchów chrupiącego chleba z Wideacre.

— Jadę z papą — odparłam, a moje słowa stłumił solidny kęs chleba i szynki.

— Wiem, że tak sobie zaplanowałaś — poprawiła mnie ostro. — Ale ja proszę, żebyś została dziś w domu. W domu, ze mną. Dziś rano chciałabym zebrać trochę kwiatów, a ty mogłabyś mi pomóc ułożyć je w niebieskich wazonach. Po południu możemy pojechać na przejażdżkę. Możemy nawet odwiedzić Haveringów. Spodoba ci się to. Mogłabyś pogawędzić sobie z Celią.

— Przykro mi, mamó — odezwałam się z całą stanowczością i opanowaniem siedmiolatki — ale obiecałam papie, że zrobię przegląd owiec na nizinach, a na to potrzebuję całego dnia. Teraz rano pojedę na tereny zachodnie i wrócę do domu na obiad. Po południu pojedę na tereny wschodnie i nie wrócę przed herbatą.

Mama zacisnęła usta i opuściła wzrok na stół. Zauważyłam tylko w jej głosie narastającą irytację, a gniew i ból jej wybuchu zaskoczyły mnie.

— Beatrice, nie wiem, co się z tobą dzieje! Za każdym razem kiedy proszę cię, żebyś spędziła ze mną dzień lub pół dnia, masz co innego do roboty. Rani mnie i martwi, kiedy mi tak odmawiasz. Nie powinnaś sama jeździć konno. To oburzające, że muszę cię specjalnie prosić o dotrzymanie towarzystwa w domu.

Spojrzałam na nią pustym wzrokiem, zatrzymując w powietrzu widelec z szynką.

— Wyglądasz na zaskoczoną, Beatrice — brnęła dalej — ale w normalnym domu nawet nie nauczyłaś się jeździć konno. A twój ojciec jest szalony na punkcie koni i ty jesteś szalona na punkcie Wideacre. Ale ja nie będę tolerować szaleństwa u własnej córki. Nie pozwolę na to!

Zaczęłam się bać. Nieskrywany sprzeciw mamy wobec moich codziennych przejażdżek mógł oznaczać dla mnie powrót do tradycyjnych zajęć młodej damy. Każdego by to unieszczęśliwiło, ale czy ja miałam pozostać w domu, kiedy zacznie się orka albo kiedy żenicy wyjdą w pole podczas żniw? To wieczna męka! Usłyszałam stukot butów ojca w hallu i drzwi otwarły się z rozmachem. Mama skrzywiła się na ten hałas, a ja podniosłam raptownie głowę jak pies gończy słyszący odgłosy polowania. Napotkałam jasne oczy i wesoły uśmiech.

— Jeszcze jesz, prosiaczku? — ryknął ojciec. — Spóźniona na śniadaniu, spóźniona przy wyjściu i spóźniona na polu. Pamiętaj, masz być na zachodnim zboczu i wrócić na czas na obiad. Musisz się pospieszyć.

Zawahałam się i spojrzałam na mamę. Nic nie powiedziała, oczy miała spuszczone. W sekundę przejrzałam jej grę. Postawiła mnie w takim położeniu, że jeśli teraz poszłabym z ojcem, oznaczałoby to rzucenie jej

ostatecznego wyzwania. Z drugiej strony jeśli bym upierała się przy pozostaniu w domu, wygrałaby w całości moje posłuszeństwo i przywiązanie. Nie zamierzałam stać się obiektem takich nędznych salonowych rozgrywek. Przeknęłam i wyjawiałam ojcu tajne plany mamy.

— Mama mówi, że dzisiaj muszę zostać w domu — odezwałam się niewinnie. — Co mam zrobić?

Przenosiłam wzrok z mamy na ojca, z wyrazem dziecinnego posłuszeństwa na twarzy. Wyglądało to, jak gdybym szukała rady, lecz w sercu postawiłam całą stawkę na mojego papę.

— Beatrice jest dziś potrzebna na nizinach — stwierdził bez ogródek. — W domu może zostać jutro. Chcę, żeby doglądała wyczesków dzisiaj, zanim oddzielimy je na sprzedaż, a nie ma nikogo innego, kto by mógł tam pojechać i na czyim sądzie mógłbym polegać.

— Młode damy na ogół nie spędzają całego dnia w siodle. Boję się o zdrowie Beatrice — powiedziała mama.

Papa wyszczerzył zęby.

— Bzdury, madame — odrzekł zirytowany. — Jest szczupła i zgrabna jak koń wyścigowy. Jeszcze nigdy w życiu nie przechorowała ani dnia. Czemu nie powiesz po prostu, o co ci chodzi?

Mama powściągnęła się. Mówienie prosto z mostu nie należy do dobrego tonu u damy.

— To nie jest odpowiednie wychowanie dla dziewczynki. Spędzanie czasu na rozmowach z tak prostakimi ludźmi. Bratanie się ze wszystkimi dzierżawcami i wieśniakami i galopowanie po okolicy bez opieki.

Niebieskie oczy ojca zaiskrzyły się od gniewu.

— Ci prostacy pracują na nasz chleb z masłem — stwierdził. — Ci dzierżawcy i wieśniacy płacą na konia Beatrice, tak, tak, i nawet za sukienki, które nosi na grzbiecie, i za jej buty. Wyhodowałabyś panienczkę z miasta, gdyby nie wiedziała, skąd się bierze bogactwo i jak wygląda praca.

Mama, w dzieciństwie panienczka z miasta, podniosła wzrok znad stołu. Znalazła się niebezpiecznie blisko granicy, za którą nie obowiązują konwencje stanowiące, że: Damy nigdy nie podnoszą głosu; Zawsze zgadzają się z mężem; Trzymaj swój gniew na wodzy.

— Beatrice powinna być wychowywana, jak przystoi młodej damie — odezwała się drżącym głosem. — Nie będzie w swoim późniejszym życiu zarządcą farmy; będzie damą. Powinna się uczyć zachowania stosownego dla damy.

Papa poczerwieniał po uszy — widomy znak gniewu.

— Ona nosi nazwisko Laceyów z Wideacre — powiedział głosem zbyt szorstkim i głośnym jak na pogawędki przy śniadaniu. Filiżanki podskoczyły i zabrzęczały, kiedy uderzył pięścią w stół. — Ona nosi nazwisko Laceyów z Wideacre i to co robi i jak się zachowuje, zawsze będzie stosowne. Czy dogląda owiec, czy też nawet kopie rowy, zawsze jest panią Lacey z Wideacre. Na tej ziemi jej zachowanie służy za wzorzec. I nie zmienia tego żadne miejskie wyszukane maniery. I nie będą niczego tu poprawiać.

Mama była biała ze strachu i gniewu.

— Bardzo dobrze — odezwała się przez zaciśnięte wargi. — Będzie, jak zarządysz.

Wstała od stołu, podniosła woalkę, szal i listy leżące obok talerza. Widziałam, jak drżą jej palce, a usta usiłują powściągnąć łzy urazy i goryczy. Ojciec zatrzymał ją przy drzwiach, kładąc jej rękę na ramieniu. Podniosła na niego wzrok z wyrazem lodowatej niechęci na twarzy.

— Ona nosi nazwisko Laceyów z Wideacre — powiedział raz jeszcze, jak gdyby próbując wyjaśnić komuś z zewnątrz, co to znaczy tu na naszej ziemi. — Nosząc takie nazwisko, na tej ziemi, nie może postępować źle. Nie musisz się o nią bać, madame.

Mama pochyliła głowę z zimnym przyzwoleniem i stała jak posąg, aż ją przepuścił. Potem wyslizgnęła się z pokoju zgrabnymi kroczkami prawdziwej damy. Ojciec teraz na mnie zwrócił swą uwagę. Milczałam nad talerzem.

— Nie chcesz zostać w domu, prawda, Beatrice? — spytał zatroskany.

Rozpromieniłam się.

— Noszę nazwisko Laceyów z Wideacre i moje miejsce jest w polu!

Zgarnął mnie swoim niedźwiedzim uściskiem od stołu i poszliśmy ramię w ramię do stajni — zwycięzcy bitwy w dobrej sprawie. Mama patrzyła z okna saloniku, a kiedy siedziałam już na kucyku, bezpieczna z dala od jej zatrzymującej mnie ręki, ściągnęłam cugle przy tarasie, żeby sprawdzić, czy wyjdzie z pokoju. Otworzyła oszklone drzwi i wyszła z ociąganiem. Wyperfumowane spódnice szurały na kamieniach tarasu. Oczy mamy błyszczały w jasnym słońcu. Wyciągnęłam rękę w geście przeprosin.

— Przykro mi, mamó, że cię zasmuciłam — odezwałam się. — Zostanę w domu jutro.

Nie podeszła, żeby wziąć mnie za rękę. Zawsze bała się koni i może z niechęcią myślała o zbliżeniu się do kuczka, który szarpał wędzidło i grzebał kopytami w żwirze, rwąc się do biegu. Wyblakłe oczy mamy spojrzały na mnie zimno; siedziałam wysoko, radosna i wyprostowana na lśniącem kucyku.

— Tak bardzo staram się żyć z tobą w zgodzie, Beatrice. — W jej smutnym głosie pobrzmiwała skarga i przekonanie o własnej racji. — Czasem myślę, że ty nie potrafisz kochać. Troszczysz się tylko o ziemię. Myślę czasami, że kochasz swojego ojca tak bardzo, bo on jest panem tej ziemi. Serce masz pełne Wideacre i chyba nie ma tam miejsca na nic innego.

Kucyk denerwował się. Pogłaskałam go po szyi. Cóż tu było mówić. Mama miała pewnie rację i poczułam z jakimś przelotnym smutkiem, że nie mogę być córką, jakiej pragnęła.

— Przykro mi, mamó — odezwałam się niezręcznie.

— Przykro! — powiedziała pogardliwie.

Odwróciła się i weszła do domu, zostawiając mnie z niespokojnym kucykiem, ściągniętymi cuglami i z głupim uczuciem. Popuściłam cugli, a Minnie wyrwała się do przodu. Kopyta zastukały na żwirze. Zmierzałam do trawiastego podjazdu. Tam w cieniu gałęzi ścielącym się pęgami na drodze, z twarzą ogrzewaną letnim słońcem, zapomniałam o tej rozczarowanej kobiecie, którą zostawiłam w saloniku. Pamiętałam tylko o swojej wolności na tej ziemi i o pracy, która tego dnia na mnie czekała.

Ale Harry, jej faworyt, też w pewien sposób ją rozczarował. Nigdy nie wystarczały mu wysokie wzgórza, kredowe zbocza dolin i piękna rzeka Fenny, chłodna i zielona, płynąca przez pola i lasy. Wypatrywał wizyt u naszej ciotki w Bristolu i twierdził, że woli dachy domów w mieście niż pusty rozległy horyzont Wideacre.

A kiedy papa poruszył temat szkoły, mama zrobiła się biała i wyciągnęła rękę w stronę swego jedyne- go syna. Niebieskie oczy Harry'ego zaiskrzyły się jednak i oznajmił, że chce jechać. Wobec pewności papę, że Harry potrzebuje lepszego wykształcenia niż jego własne, aby stawić czoło atakującemu zewsząd niebezpiecz- nemu światu, wobec spokojnego, lecz stanowczego zdania Harry'ego, aby jednak jechać — mama była bez- bronna. Przez cały sierpień, kiedy Harry znów chorował, mama, niania, ochmistrzyni i każda z czterech poko- jówek krzątały się całymi dniami w szale przygotowań bohaterskiego jedenastolatka do odjazdu do szkoły.

Papa i ja uniknęliśmy tego zamieszania. W każdym razie musieliśmy przebywać długie dni na otwar- tych pastwiskach nizin, spędzając owce, oddzielając dla rzeźni baranki od jałówek. A Harry w odosobnieniu biblioteki albo saloniku wybierał książki, które zabierze ze sobą do szkoły, i oglądał nowo kupione gramatyki łacińskie i greckie.

— Ty nie możesz chcieć jechać! — mówiłam z niedowierzaniem.

— A czemu nie? — marszczył brwi, gdy wraz ze mną wpadał do biblioteki wiatr przeciągu.

— Opuścić Wideacre! — mówiłam, ale potem przestałam.

Jeszcze raz pokonał mnie świat Harry'ego, świat słów. Skoro nie wiedział, że nic na świecie nie może się równać z zapachem letniego wiatru w Wideacre i że garść ziemi z Wideacre warta jest tyle co akr innej zie- mi — nie mieliśmy o czym rozmawiać. Mówiliśmy różnymi językami.

Nie mieliśmy wspólnego języka. Nie byliśmy nawet podobni do siebie. Harry odziedziczył po ojcu cerę, jasne pukle włosów i duże, szczere niebieskie oczy. Po mamie zaś delikatną budowę kości i słodki uśmiech. Uśmiechała się rzadko, a Harry był złotowłosym cherubinkiem o wesołej twarzy. Cała pieszczochowatość i kapryśność, które miał po matce, nie zdołały zepsuć jego słonecznej natury — a radosny wygląd odbijał jego słodkie, życzliwe usposobienie.

Na jego tle wyglądałam jak echo naszych normańskich przodków, założycieli naszego rodu. Miałam ja- skrawe rumieńce, jak ci chciwi i groźni ludzie, którzy przybyli z normańskimi najeźdźcami, rzucili ledwie okiem na cudowną ziemię Wideacre, walczyli, oszukiwali, kłamali — aż ją dostali. Po tych przodkach miałam kasztanowe włosy, lecz orzechowozielone oczy nie przypominały niczyich. Żaden portret w naszej galerii nie przedstawiał twarzy o takim układzie oczu — umieszczonych nieco skośnie nad wysokimi kośćmi policzko- wymi, tak jak moje.

— Ona jest jakimś odmieńcem — twierdziła zrozpaczona mama.

— Po prostu podobna jest do samej siebie — twierdził mój ojciec blondyn pocieszająco. — Może z wiekiem jej wygląd się zmieni.

Złote loki Harry'ego nie mogły jednak trwać wiecznie. W ramach przygotowań do szkoły i do noszenia pierwszej peruki ostrzyżono mu głowę. Mama płakała, kiedy promienne pukle spadały wokół niego na podłogę, ale oczy Harry'ego ostrzyżonego jak baranek jaśniały z podniecenia i dumy, bo osobisty perukarz papę układał mu na głowie peruczkę z warkoczykiem. Mama opłakiwała jego loki. Płakała, kiedy pakowała jego pościel. Płakała, kiedy pakowała wielkie pudło słodyczy, aby podtrzymywały na duchu jej syneczka w okrutnym szero- kim świecie. Na tydzień przed odjazdem Harry'ego zamieniła się w potok łez i nawet on czuł się tym już znu- żony, a papa i ja mieliśmy jakieś nie cierpiące zwłoki zajęcia na samym krańcu posiadłości, od rana do wieczó- ra.

Kiedy wreszcie odjeżdżał — jak młody lord, w naszym rodzinnym powozie, z bagażami przytroczonymi rzemieniami z tyłu — towarzyszyło mu dwóch jeźdźców na przedzie, a sam papa jechał obok aż do pierwszego postoju. Mama zamknęła się na całe popołudnie w saloniku. Nie do wiary — i ja uroniłam kilka łez, ale musiałam dobrze uważać, żeby nie zdradzić się nikomu, że to nie z powodu odjazdu Harry'ego. Ojciec kupił mi pierwszego prawdziwego wierzchowca, aby pocieszyć mnie po utracie brata. To była wyborna klacz, Bella, o sierści koloru moich kasztanowych włosów, czarnej grzywie i ogonie oraz z gwiazdką na pysku. Nie pozwolono mi jednak jej wypróbować przed powrotem ojca, a ten miał wrócić dopiero w nocy. Moje łzy płynęły obficie, ale wiedziałam o nich tylko ja i Bella z gwiazdką na pysku. Kiedy Harry zniknął za zakrętem podjazdu, prawie przestałam o nim myśleć.

Inaczej mama. Spędzała długie samotne godziny w swoim saloniku od frontu, zabijając czas szyciem jakichś drobiazgów, sortowaniem jedwabiu do haftowania czy wełny na gobeliny (według różnych odcieni), układaniem kwiatów zebranych przeze mnie lub przez jednego z ogrodników lub brzdąkaniem prostych melodyjek na fortepianie, zaabsorbowana nudnymi zajęciami stosownymi dla damy. Nieświadomie przerywała nagle melodię, ręce osuwały się na kolana i wyglądała przez okno na łagodne zbocza zielonych nizin, na ich falującą powierzchnię, ale cały czas widziała jasną twarz Harry'ego, swojego jedyne go syna. Potem wzdychała bardzo cicho i pochylała się nad robótką albo podejmowała melodię.

Światło słoneczne, tak radosne w ogrodzie i w lasach, wydawało się okrutnie uderzać w słodkie pastelowe kolory saloniku dla dam. Wywabiało róż z dywanów i złocistość z włosów mamy i zamazywało rysy jej twarzy. Kiedy tak roztapiała się w bladej ciszy domostwa, papa i ja jeździliśmy wszecz i wzdłuż terenów Wideacre, gawędząc z dzierżawcami, sprawdzając jak rośnie ich zboże w porównaniu z naszym, patrząc jak nurt rzeki Fenny obraca koło młyńskie. Wydawało się, że cały świat należy do nas i powinniśmy okazać zainteresowanie wszystkiemu, co żyje, bo do nas należy.

W naszej wsi nie rodziło się ani jedno dziecko, o którym bym nie wiedziała, a dzieciom nadawano zwykle nasze imiona: Harold lub Harry, po moim ojcu i bracie, Beatrice, po mojej mamie i mnie. Kiedy umierał któryś z naszych dzierżawców, troszczyliśmy się o spakowanie i transport dla jego rodziny, jeśli odchodziła, albo o przekazanie dzierżawy najstarszemu synowi i współpracę między braćmi, jeśli rodzina zostawała. Ojciec i ja znaliśmy każde źdźbło trawy na naszych ziemiach, począwszy od chwastów na farmie leniwego Della (mieli sobie poszukać innej dzierżawy, kiedy kontrakt wygaśnie), a skończywszy na biało pomalowanych sztachetach Farmy Domowej wyglądającej jak spod igły, prowadzonej przez nas.

Nic więc dziwnego, że jeździłam po naszej ziemi jak mała cesarzowa, na naszych koniach, z ojcem, największym właścicielem ziemskim w promieniu stu mil, przede mną. Kiwał głową naszym ludziom, którzy kłaniali się w pas albo odkładali robotę, kiedy przejeżdżaliśmy.

Za tym wszystkim tęsknił biedny Harry. Nie dla niego rozkosze oglądania naszej ziemi w różnym oświetleniu i w różnych porach roku. Zaorane pola pokryte białym szronem chrupiącym jak pyszne krówki lub falującym zbożem w upalne lato. Gdy ja jeździłam jak lord u boku władcy, Harry cierpiał w szkole na chandrę i przysyłał smutne listy do matki, a ta odpowiadała bladoniebieskim atramentem upstrzonym łzami współczucia.

Przez pierwszy rok czuł się nieszczęśliwy; tęsknił do mamy i jej cichego słonecznego saloniku. Wszyscy chłopcy należeli do jakichś paczek i wiązała ich dzika, plemienna lojalność, a nad Harrym znęcał się każdy



dzieciak, chociażby o cal wyższy czy miesiąc starszy. Dopiero w następnym roku na arenę wkroczył nowy zastęp ofiar i los Harry'ego się polepszył. Trzeci rok przyniósł zachłyśnięcie faktem, że jest już przecież dużym chłopcem, a przez cherubinkowość i słodkość spotykały go zarówno pieszczoty, jak i czasem okrucieństwo. Coraz częściej, kiedy przyjeżdżał do domu na wakacje, wielki kufer był po brzegi pełen cukierków i ciastek dawanych mu przez starszych chłopców.

— Harry jest taki popularny — mówiła mama z dumą.

Podczas każdej wakacji opowiadał mi także o odwadze i waleczności przywódcy swojej paczki. W każdym semestrze prowadzili wojnę z miejscowymi czeladnikami. Maszerowali od bram szkoły, aby stoczyć z miejscowymi chłopakami wielką, przynoszącą im chwałę bitwę. A jej bohaterem zawsze był Staveley, najmłodszy syn lorda Staveleya, który skupił wokół siebie najsilniejszych, najnikczemniejszych i najprzystojniejszych chłopców z całej szkoły.

Ten nowy zapal Harry'ego do szkoły powiększył tylko przepaść między nami. Przyjął arogancki ton innych uczniów jak galopującą infekcję. Zanudzał mnie na śmierć opowieściami o półbogu Staveleyu, a poza tym nie raczył wcale ze mną rozmawiać. Dla papy był zawsze greczny, ale jego nie skrywany entuzjazm dla nauki najpierw wprawił ojca w dumę, a potem w irytację: jakże Harry mógł przesiadywać w bibliotece, kiedy przez otwarte okna kukułki wzywały każdego, by chwycił za wędkę i zarzucił ją na łososia.

I tylko z mamą był taki jak przedtem. Oboje spędzali długie dni ciesząc się bliskością i swoim towarzystwem. Czytali i pisali razem w bibliotece i saloniku, podczas gdy papa i ja, oddając się dalekim wyprawom, obserwowaliśmy naszą ziemię w różnym oświetleniu, w różnych porach roku i przy różnej pogodzie. Harry mógł przyjeżdżać i odjeżdżać, kiedy mu się podobało; i tak był gościem we własnym domu. Nigdy nie należał do Wideacre tak jak ja należałam. Tylko papa, ziemia i ja — oto trwałe składniki mojego życia. Papa, ziemia i ja, nierozdzielni, odkąd po raz pierwszy zobaczyłam Wideacre w całej cudowności, spomiędzy uszu konia. Papa, ziemia i ja mieliśmy tu być na zawsze.

— Nie wiem, co bez ciebie zrobię, kiedy odejdziesz — powiedział nagle ojciec pewnego dnia, kiedy jechaliśmy drogą do wsi Acre, do kowala.

— Nigdy nie odejdę — powiedziałam z niewzruszoną wiarą.

Nie bardzo zwracałam uwagę na jego słowa, bo każde z nas prowadziło do podkucia ciężkiego konia pociągowego. Papa radził sobie z łatwością, siedząc wysoko na swoim wierzchowcu, ale moja zgrabna klacz sięgała ledwie do brzucha konia pociągowego, tak że musiałam cały czas uważać, by nadążyć za jego wielkimi krokami.

— Kiedyś będziesz musiała odejść — powiedział papa, spoglądając ponad żywoplotami, jak idzie orka drugiej parze koni przewracających zestaloną zimową ziemię. — Wyjdziesz za męża i wyjedziesz ze swoim mężem. Może zostaniesz damą na dworze. Co prawda niewiele już z tego dworu zostało, a to co zostało to jakieś brzydkie Niemki, ale byłabyś daleko i nie musiała troszczyć się o Wideacre.

Zaśmiałam się. Ta myśl wydała mi się tak nonsensowna, a dorosłość tak odległa, że nic nie mogło podważyć mojej wiary w trójcę: papa, ja i ziemia.

— Nie wyjdę za męża — odparłam. — Zostanę tutaj, będę pracować z tobą i doglądać Wideacre, tak jak ty i ja teraz.

— Tak, tak — odezwał się tkliwie papa. — Ale to Harry zostanie tu panem, kiedy ja odejdę, a ja wolałbym cię widzieć w twoim własnym domu, niż użerającą się z nim. A poza tym, Beatrice, na razie wystarcza ci ziemia, lecz za parę lat będziesz chciała mieć piękne sukienki i bywać na balach. A kto wtedy przypilnuje jesiennych zasiewów?

Zaśmiałam się znów z dziecięcą ufnością, że to co dobre, nigdy się nie zmienia.

— Harry nic nie wie o ziemi — stwierdziłam kategorycznie. — Jeśli spytałbyś go, co to rogaczna, myślałby, że jakiś instrument muzyczny. Nie przyjeżdżał tu od miesięcy, nie widział nawet nowych upraw. Miałam pomysł, żeby zasadzić drzewa, a ty zasadziłeś je dokładnie tak, jak proponowałam. Powiedzieli, że dobry ze mnie mały leśniczy, a ty powiedziałeś, że jako starsza pani będę miała krzesło zrobione z tego drewna! Harry nie może zostać tu panem — on zawsze jest poza domem.

Wciąż nie rozumiałam. Jakże głupia byłam... Widziałam już wielu najstarszych synów, którzy odziedziczyli farmy i wielu młodszych synów — najemnych robotników lub idących na służbę, zanim ożenią się ze swymi ukochanymi, a jednak nie myślałam, że to dotyczy wszystkich właścicieli ziemskich, również nas.

Nigdy nie wyobrażałam sobie, że prawo faworyzujące starszych synów i wyłączające wszystkie inne osoby może dotyczyć także nas — i mnie. Widziałam, że dziewczęta wiejskie w moim wieku pracują równie ciężko jak dorosłe kobiety, aby zarobić na posag. Widziałam, że ich starsze o parę lat siostry wypatrują za starszymi synami — zawsze za najstarszymi — aby wyjść za nich za męża. Nigdy jednakże nie myślałam, że ta sztywna absurdałna zasada mówiąca, że pierwszy chłopiec zabiera wszystko, ma zastosowanie i do nas. To dotyczyło życia biedoty, podobnie jak śmierć w młodym wieku, słabe zdrowie i przymieranie głodem w zimie. Dla nas te sprawy wyglądały zupełnie inaczej.

Dziwne, nigdy nie myślałam o Harrym jako o synu i dziedzicu, tak jak nie myślałam o mamie jako pani Wideacre. To były po prostu prywatne osoby z rzadka widywane poza murami parku. Tylko tło dla chwały dziedzica i mojej. Tak więc słowa ojca nie zaniepokoiły mnie, przeszły bez echa.

Mała dziewczynka, którą wtedy byłam, musiała się jeszcze wiele nauczyć. Nigdy nie słyszałam o „majoracie”, o ograniczeniu nałożonym na wielkie majątki, aby zawsze przechodziły w ręce najbliższego w linii pokrewieństwa dziedzica płci męskiej, choćby i bardzo odległego krewnego, choćby i było bliżej sto córek kochających ziemię. Tak jak to u dzieci normalne — słyszałam tylko to, co mnie interesowało, wszelkie zaś spekulacje na temat przyszłego pana Wideacre były dla mnie równie odległe jak muzyka sfer.

Kiedy odpychałam od siebie wszystkie te myśli, ojciec zatrzymał konia, aby pogawędzić z jednym z naszych dzierżawców przycinającym swój graniczny żywopłot, złożony z krzewów tarniny i dzikiej róży.

— Dzień dobry, Giles — powiedziała z wysokości siodła z uniesioną głową; idealna kopia przyjaznej protekcjonalności ojca.

— Dzień dobry, panienko — Giles podniósł artretyczną dłoń do głowy. Był o wiele młodszy od mojego ojca, lecz ciężar biedy zgiał go wpół. Całe życie miał do czynienia z rowami nawadniającymi, polami błota i zmarzniętymi ścieżkami, przez co jego kości na wskroś zaatakował artretyzm, nie do wyleczenia nawet nie wiem jak grubą warstwą flaneli owiniętej wokół chudych nóg. Brązowa dłoń nasiąkła brudem nie do zmycia (naszym brudem), była żyłasta i powykręcana jak gałąź ostrokrzewu.

— Rośnie nam tu wielka dama — powiedział do mojego ojca. — Smutno się robi na myśl, że kiedyś będzie musiała nas opuścić.

Gapiałam się na starego człowieka. Ojciec czubkiem bata podniósł gałązkę czarnego bzu, uciętą z żywopłotu.

— Tak, tak — odezwał się powoli. — Lecz mężczyzna powinien uprawiać ziemię, a dziewczęta muszą wyjść za mąż. — Przerwał. — Panicz wróci do domu wkrótce, kiedy tylko skończy nauki. Wystarczy mu więc czasu, aby poznać pracę na wsi. Pola i niziny wystarczają dziewczynie jako uzupełnienie nauk, których udziela jej matka. Nastają jednak złe czasy. Następny pan Wideacre będzie musiał walczyć o swoje miejsce w świecie.

Słuchałam w milczeniu. Nawet moja klacz jak gdyby zamarła na słowa ojca, a wielkie stępaki opuściły głowy, jakby słuchały mojego ojca, spokojnymi bezlitosnymi słowami niszczącego bezpieczny świat mego dzieciństwa.

— Tak, to dobra dziewczyna i dba o ziemię jak zarządca, a taka przecież młoda. Ale pewnego dnia odejdzie, aby poślubić jakiegoś lorda albo kogoś takiego, zaś młody Harry zajmie moje miejsce. Nauka przyda mu się bardzo.

Giles kiwnął głową. Zapadło milczenie. Długa jak to na wsi cisza, przerywana wiosennym śpiewem ptaków. Nie było się dokąd śpieszyć w to nieskończone długie popołudnie stanowiące koniec mojego dzieciństwa. Ojciec powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, i na tym skończył. Giles nie powiedział nic, nie pomyślał nic i tylko gapił się przed siebie. A ja nie powiedziałam ani słowa, bo żadne słowa nie wyraziłyby mojego bólu. Wszystkie moje wyobrażenia o dorosłym świecie, jak ruchome części jakiegoś dziwnego, okrutnego zegara, z brzękiem jedno po drugim zajęły miejsca w tym mechanizmie. Cenny najstarszy syn zawsze zabiera ziemię, zaś zbędne dziewczęta mogą sobie iść, dokąd chcą, byle znaleźć mężczyznę, który je zabie-

rze. Mój pobyt w Wideacre nie był przywilejem, a wyjazd Harry'ego — wygnaniem; trzymano mnie w domu, ponieważ nie warto było mnie kształcić.

Szkoła Harry'ego okazała się nie przerwą w jego życiu w Wideacre, lecz w swej istocie — przygotowaniem do niego. Kiedy ja hasałam po naszej ziemi i cieszyłam się swobodą jedyne dziecko w domu, Harry rósł w siłę i umiejętności i miał powrócić, by wygnać mnie z domu. To nie mnie papa kochał najbardziej. To nie mnie papa kochał najbardziej.

Wzięłam głęboki oddech, powoli, powoli, tak żeby nikt nie słyszał w nim westchnienia. Popatrzyłam na ojca nowym, dziwnie jasnym spojrzeniem. Może i kochał mnie czule, lecz nie na tyle, by dać mi Wideacre. Może i życzył mi jak najlepiej, ale nie sięgał myślą poza znalezienie dla mnie dobrej partii i wygnanie z tego jedyne miejsca w świecie, które było moim domem. Planował przyszłość Harry'ego, a zapomniał o mnie. Zapomniał.

Tak zatem wyglądał koniec mojego dzieciństwa; ciepły wiosenny dzień na drodze do Acre, dwa wielkie konie pociągowe u boku papy i mojego i Giles, blade jak kreda, gapiący się pusto. Absolutne bezpieczeństwo związane z posiadaniem ziemi, którą kocham, opuściło mnie właśnie wtedy, w tej chwili i nigdy go już nie odzyskałam. Opuściłam dzieciństwo z bolącym sercem i umysłem pełnym gniewu i urazy. Dorosłość zaczęła się od gorzkiego smaku w ustach i mglistego postanowienia, że nie odejdę. Nie opuszczę Wideacre. Nie ustąpię miejsca Harry'emu. Jeśli świat każe dziewczętom opuszczać domy, to świat powinien się zmienić. Ja się nigdy nie zmienię.

— Musisz się szybko przebrać — stwierdziła mama swoim jak zwykle nieświadomie niechętnym mi tonem.

Dbiała, żeby nie ubrudzić kołnierzyka zielonej jedwabnej sukni na pełnym kałuż podwórzu stajni, kiedy nadjechaliśmy. Zawsze ten jej niewinny sprzeciw wobec mnie, podobnie jak wobec ojca. To od niej nauczyłam się, że nie potrzeba wcale się kłócić albo ujawniać swoje przekonania, aby się komuś przeciwstawić. Można po prostu odwrócić głowę — od czyichś pomysłów, miłości, entuzjazmu. Może gdyby nie ojciec, byłaby bardziej bezpośrednią, miłą w obejściu kobietą. Przy nim jednak jej poczucie własnej wartości przerodziło się we frustrację. To co powinno być bezpośredniością i szczerością, stało się niewypowiedzianym sprzeciwem.

— Musisz się szybko przebrać w różową suknię z jedwabiu — powtórzyła z naciskiem, kiedy ześliznęłam się z siodła i rzuciłam cugle czekającemu stajennemu. — Mamy dziś na obiedzie szczególnego gościa — wychowawcę Harry'ego.

Ojciec skierował na nią długie milczące spojrzenie.

— Tak — powiedziała obronnym tonem. — Poprosiłam, żeby nas odwiedził. Martwię się o naszego chłopca. Przepraszam cię, Haroldzie, powinnam ci wcześniej o tym powiedzieć, ale napisałam do niego już dawno i sądziłam, że w ogóle nie przyjedzie. Wspomniałabym ci przecież zawczasu... — przerwała i zatrzymała się. Zrozumiałam, dlaczego rośnie irytacja ojca. Ale pohamował się, bo właśnie przy furtce ogrodu różanego pojawił się człowiek ubrany całkowicie na czarno, z wyjątkiem białej koloratki.

— Doktor Yately! — zadowolenie w głosie ojca zabrzmiało przekonująco. — Jak miło pana widzieć! Co za niespodzianka! Zostałbym w domu i powitał pana, gdybym wiedział, że pan przyjeżdża.

Wysoki mężczyzna kiwnął głową i uśmiechnął się, a ja w swoim pierwszym wrażeniu odebrałam go jako zimnego, przebiegłego światowca. Złożyłam głęboki ukłon, a kiedy się podnosiłam, rzuciłam mu jeszcze jedno spojrzenie. To nie była wizyta towarzyska. Przybył do nas w określonym celu i niepokoił się, czy tę misję wypełni. Zobaczyłam, jak taksuje papę czujnym spojrzeniem, i zastanawiałam się, czego od nas chce.

Przyjechał, to jasne, żeby wykonać za mamę to, co do niej należało. Cały czas tęskniła za Harrym, chciała, żeby wrócił i zapełnił tę pustkę, którą wywołała jego nieobecność w jej życiu. Doktor Yately z nie znanych mi na razie powodów gotów był odegrać rolę bladej żony dziedzica w starciu z mężem. Nie wiadomo, dlaczego chciał jak najszybciej pozbyć się Harry'ego — tak jak mama chciała jak najszybciej mieć go w domu.

Na obiedzie wystąpiłam w dziewczęcej sukience w dziewczęco różowym kolorze i jak przystoi, nie powiedziałam ani słowa nie pytana — a nie pytano mnie wiele. Siedziałam naprzeciwko matki. To jedna ze słabości ojca — usadzał gościa mężczyznę zawsze w nogach stołu, a sam siadał po przeciwnej stronie. Tak więc mama i ja — jednakowo nieważne — siedziałyśmy w milczeniu, podczas gdy mężczyźni rozmawiali nad naszymi głowami.

Doktor Yately przybył najwyraźniej po to, aby namówić ojca do zabrania Harry'ego z jego kosztownej, ekskluzywnej szkoły. Jeśli jednak udałoby się mu to, przystawał na utratę ucznia, który wnosił dodatkowe opłaty, który zapewne będzie potrzebował ze szkoły preceptora, aby przygotował go do studiów na uniwersytecie, i który może zabrać tego preceptora w wielką podróż po Europie. Wraz z odejściem Harry'ego doktor Yately mógł się pożegnać z tysiącami funtów czesnego. Dlaczegoż więc chciał się go pozbyć? Cóż takiego uczynił Harry, co matka musiała trzymać przed ojcem w sekrecie, a doktor Yately nie mógł, aby się nie zhańbić, puścić w niepamięć i dalej chować jego czesne do kieszeni?

Ten spryciarz znał się na rzeczy. Omijał starannie temat Harry'ego, chwalił za to rostbef i smakował wino (podano pośledniejsze bordo z naszych piwnic, jak zauważyłam). Wyraźnie nie znał się wcale na rolnictwie, lecz wyciągał ojca na rozmowę o nowych sposobach uprawy, które moglibyśmy zastosować. Ojciec stał się wylewny, jowialny. Zaproponował nawet doktorowi Yately'emu wspólne parodniowe polowanie w przyszłym sezonie, jeśli zdołałby dostać urlop. Doktor Yately zachowywał się grzecznie, lecz dyplomatycznie.

Kiedy papa zaczął się wręcz rozrzewniać i napoczął kolejną butelkę, mama w pośpiechu dała sygnał do zostawienia dżentelmenów samych. Z żalem wyglodniałej czternastolatki, która cały dzień spędziła na koniu, patrzyłam, jak cała szarlotka wraca nietknięta do kuchni. Mama jednak wstała od stołu, a doktor Yately i papa pożegnali nas grzecznym skinieniem głowy i wrócili do swego trunku i rozmowy.

Mama kraśniała z zadowolenia, kiedy otwierała swoje pudełko z robótkami i wręczała mi haft, nad którym pracowałam.

— Twój brat, Harry, przybędzie do domu wraz z końcem semestru i nigdy już nie wróci do tego okropnego miejsca, jeśli tylko papa się zgodzi — powiedziała w uniesieniu.

— Tak wcześniej? — spytałam, ostrożnie broniąc swojej pozycji. — Dlaczego? Co zrobił?

— Zrobił? — Napotkałam jej wzrok. W jej bladoszarych oczach nie było śladu wykrętu. — Nic! Cóż mógł zrobić? To ci rozbestwieni chłopcy mu zrobili. — Zawahała się i wybrała zwitek jedwabnych nici. — Kiedy ostatnio przyjechał do domu na ferie, musiał nosić opatrunek na piersiach, pamiętasz? — Oczywiście nie pamiętałam.



Ale kiwnęłam głową.

— I niania, i ja zauważyłyśmy ślady na jego biednym ciele. Bito go, Beatrice. Błagał mnie, żebym nic nie mówiła i nic nie robiła, ale im więcej o tym myślałam, tym większej nabierałam pewności, że trzeba zabrać go z tej szkoły. Napisałam do doktora Yately'ego, a on odpowiedział, że sprawdzi, co się dzieje. A dziś przybył do nas!

Głos matki przepełniała duma, że podjęła działania, które dały jakiś skutek, i to tak dramatyczny skutek.

— Mówił mi, że Harry'ego zmuszono, aby wstąpił do jednej z chłopięcych paczek i że ich zabawy odznaczały się szokującymi zasadami i wymierzaniem kar. Najgorszy z chłopców, herszt bandy, jest synem... — przerwała. — Cóż, nieważne czyim. Jest to jednak ktoś, kogo nie wolno doktorowi urazić. Ten chłopiec ustanowił swoisty nadzór nad Harrym. Kazał mu siedzieć w klasie obok siebie, spać na sąsiednim łóżku w sypialni, dokuczał mu i znęcał się nad nim przez cały semestr. Doktor Yately mówi, że nie mógł ich rozdzielić i sugeruje, a ja mam nadzieję, że twój papa się zgodzi, iż Harry jest w wieku, kiedy może dokończyć nauk w domu, a jednocześnie zdobywać wiedzę o gospodarstwie.

W ukryciu przed mamą, z głową pochyloną nad haftem, uniosłam ironicznie brwi. Harry i wiedza o gospodarstwie, rzeczywiście! Mieszka tu przez całe życie i nie wie nawet dokładnie, gdzie przebiegają granice naszej posiadłości. Co niedzielę przejeżdżał przez las Wideacre i nie wiedział, gdzie się w tym lesie znajduje gniazdo słowika albo w którym miejscu w strumieniu można zawsze złapać pstrąga. Jeśli Harry miał zdobywać wiedzę o gospodarstwie, należało żywić nadzieję, że znajdzie ją w książkach, bo nigdy nawet nie wyjrzał przez okno biblioteki, kiedy ostatnio przyjechał do domu.

Moją pewnością wstrząsnął jednak dreszcz niepokoju. To co na razie Harry wiedział o Wideacre, trzeba by zapisać kredą w kominie. Jeśli jednak wróci wreszcie do domu na żądanie mamy, a nie dlatego, że papa go potrzebuje, może się stać tym synem, którego ojciec pragnął, którego tymczasem widział we mnie. Może się stać naprawdę dziedzicem.

Panowie nie przychodzili do salonu na herbatę i mama wcześniej odesłała mnie do łóżka. Kiedy tylko pokojówka splotła moje kasztanowe włosy w jeden gruby warkocz na plecach, odprawiłam ją, wstałam z łóżka i usiadłam przy oknie. Moja sypialnia znajdowała się na drugim piętrze i wychodziła na wschód, na ogród różany, który ma kształt zakrzywiony jak sierp od frontu domu zakręcający do jego wschodniej ściany. Widać stąd też drzewka brzoskwiniowe i skrzynki z owocami w ogrodzie kuchennym. Nie dla mnie większe sypialnie od frontu, tak jak Harry'ego, wychodząca na południe. A przecież stąd gdzie siedziałam, widziałam ogród w świetle księżyca i las dochodzący aż do bramy ogrodu. Chłodne nocne powietrze niesło do mnie zapachy wsi. Pełna obietnic woń rosnących łąk wilgotnych od rosy i od czasu do czasu świergot wytrwałego kosa. Od strony lasu słyszałam nagle szczekanie lisa, a z parteru dobiegał ryk ojca mówiącego o koniach. Wiedziałam więc już, że spokojny człowiek w czerni dogadał się z papą i że Harry wraca do domu.

Ciemny cień na trawniku przerwał moje myśli. Rozpoznałam pomocnika gajowego, chłopca w moim wieku zbudowanego jak młody wół, z psem myśliwskim przy nodze — psem kłusownika do łapania kłusowników. Zobaczył świecę w moim oknie i przyszedł z ogrodu (gdzie nie miał w zasadzie nic do roboty), żeby stać pod moim oknem z jedną ręką niedbale opartą o ciepłą ścianę z piaskowca. Jedwabny szal, który zarzuciłam na koszulę nocną, wydawał się zbyt cienki, kiedy poczułam na sobie jego gorący wzrok i uśmiech.

Byliśmy przyjaciółmi, a jednocześnie nie byliśmy — Ralph i ja. Pewnego lata, kiedy Harry czuł się szczególnie źle i mogłam swobodnie hasać po okolicy, znalazłam tego rozczochanego chłopaka w ogrodzie różanym i z całą wyniosłością sześciolatki kazałam mu się wynosić za furtkę. W odpowiedzi jednym silnym ruchem pchnął mnie na krzew róży, ale gdy ujrzał moją zaszokowaną podrapaną twarz, uprzejmie zaproponował, że mnie podniesie. Chwyciłam jego wyciągniętą rękę, a gdy tylko stanęłam na nogi, z całych sił ugryzłam ją, a sama puściłam się biegiem — nie do dworu po pomoc, lecz przez tylną bramę do lasu. Był to azyl nie do przebycia dla mamy i niani. Nie znały ścieżynek wydeptanych przez zwierzęta i musiały stać przy bramie, wołając, aż wreszcie zdecydowałam się pojawić. Ten krępy dzieciak przekradał się jednak równie szybko moim tropem i tak depcząc mi po nogach, dotarł do niewielkiego zagłębienia wśród krzaków jeżyn i dzikich róż.

Jego brudną twarzyczkę rozjaśnił szeroki uśmiech, a ja odpowiedziałam, też się szczerząc w uśmiechu. Był to początek przyjaźni, która jak to u dzieci trwała przez lato, a zakończyła się równie nagle i bezmyślnie, jak się zaczęła. Każdego dnia owego gorącego suchego lata uciekałam spod opieki zajętej pokojówki, której nagle dodano pilnowanie mnie do zwykłych obowiązków, i wymykałam się do lasu. Ralph spotykał się ze mną nad rzeką Fenny i przez cały ranek łowiliśmy ryby i pluskaliśmy się w strumieniu, wyruszyliśmy na wielkie wyprawy drogą do Acre, wspinaliśmy się na drzewa i rabowaliśmy ptasie gniazda albo łapaliśmy motyle.

Byłam wolna, bo mama i niania dzień i noc doglądały Harry'ego. Ralph cieszył się wolnością od dnia, w którym zaczął chodzić, bo jego matka, Meg, żyjąca w brudnej walącej się chacie pośrodku lasu, nigdy nie troszczyła się, dokąd chodzi, czy też co robi. Dlatego okazał się dla mnie idealnym towarzyszem zabaw. Nauczył mnie każdej ścieżki, każdego drzewa w lasach Wideacre na całej wielkiej przestrzeni wokół dworu, dokąd tylko mogłam zajść przez ranek na swoich małych nogach.

Bawiliśmy się jak dzieci wiejskie — mało mówiąc, wiele robiąc. Lato jednak wkrótce się skończyło. Harry wrócił do zdrowia, a mama — do właściwego jej badawczego sprawdzania, czy mam biały kołnierzyk i mankiety. Ranki znów poświęcałam na naukę, a jeśli nawet Ralph czekał w lesie, kiedy liście żółkły i czerwieniały, nie czekał długo. Bardzo szybko zrezygnował ze wspólnych zabaw. Kręcił się po okolicy z gajowym i uczył od niego zasadzania się na zwierzynę oraz tępienia szkodników. Papa usłyszał, że Ralph jest najrzęczniejszym chłopcem we wsi, jeśli chodzi o hodowlę bażantów, i zanim skończył osiem lat, w sezonie łowczym płacono mu już pensa dziennie.

Zanim skończył dwanaście lat, zarabiał już połowę pensji dorosłego mężczyzny, ale on pracował i w sezonie, i przez resztę roku. Jego matka przybyła znikąd, ojciec — zniknął, lecz znaczyło to, że nie obowiązuje lojalność rodziny wobec niego, a ta właśnie lojalność dawała poczucie bezkarności kłusownikom ze wsi Acre. A walący się dom w głębi lasu też miał swoje zalety. Mogli rozstawić kurniki bażancie wokół swojej brudnej chatki i Ralph nawet w najgłębszym śnie słyszał trzask gałązki oznaczający zagrożenie dla ptactwa.

Osiem lat to cała epoka w dzieciństwie i prawie już zapomniałam lato, kiedy brudny urwis i ja byliśmy nierozłączni. A jednak z wysokości mojej pięknej klaczy, w szytym na miarę kostiumie jeździeckim i trójgraniastym kapeluszu czułam się dziwnie, przejeżdżając obok Ralpa. Kiedy składał ukłon papie, a mnie pozdrowił skinieniem głowy, czułam niepokój i niezręczność, odpowiadając: „Dzień dobry”. Nie bawiło mnie zatrzymywanie się i rozmowa z Ralphem, zwłaszcza jeśli jechałam sama. I nie podobał mi się sposób, w jaki opierał się o ścianę naszego domu i patrzył na mnie — opanowany, oświetlany płomieniem świecy.

— Przeziębisz się — odezwał się.

Jego głos brzmiał już dorośle. W ciągu minionych dwóch lat nabrał ciała i siły, jak młody mężczyzna.

— Tak — odparłam krótko.

Nie odeszłam od okna, bo tym samym skorzystałabym z jego dobrej rady... i zdradziłabym się, że czuję na sobie jego wzrok.

— Czaisz się na kłusowników? — spytałam obojętnym tonem.

— Cóż, nie wybrałem się na zaloty z psem i strzelbą — odpowiedział przeciągającym samogłoski akcentem z nizin. — Piękne dziewczę złapałbym ze strzelbą albo w zastawioną pułapkę, prawda, panienko Beatrice?

— Za młody jesteś, żeby myśleć o zalotach — stwierdziłam kategorycznie. — Nie jesteś starszy niż ja.

— Ale naprawdę myślę o zalotach — odrzekł. — Lubię myśleć o ciepłej miłej dziewczynie, kiedy tak czekam w lesie w chłodną noc. Wcale nie jestem za młody na zaloty, panienko Beatrice. Ale masz rację, jesteśmy w tym samym wieku. Czy prawie piętnastoletnie dziewczęta są za młode, żeby myśleć o miłości i pocałunkach w ciepłą letnią noc?

Nie spuszczał ze mnie ciemnych oczu, a te wydawały się błyszczeć w mroku. Cieszyłam się, a jednocześnie trochę żałowałam, że siedzę bezpieczna w domu, wysoko ponad nim.

— Damy są — orzekłam twardo. — A dziewczęta ze wsi zrobiłyby najlepiej nie myśląc o tobie.

— Ach — westchnął.

Odgłosy wsi wypełniły chwilę ciszy. Jego pies ziewnął i wyciągnął się na żwirze przy butach Ralpha. Wbrew samej sobie chciałam z całej duszy, żeby znów spojrzał na mnie tak gorąco błyszczącymi oczami, a ja żebym nie tytułowała siebie damą i nie przypominała mu, że jest nikim. Opuścił głowę i nie wpatrywał się więcej we mnie, lecz w ziemię. Nie wiedziałam, co powiedzieć, czułam się okropnie głupio i żałowałam, żałowałam, że zachowałam się tak arogancko wobec jednego z naszych ludzi. Wtedy on wyprostował się, zarzucił strzelbę na ramię. Pomimo ciemności dostrzegłam, że się uśmiecha i że nie potrzeba mu wcale mojej skruchy.

— Jak sądzę, damy są wszędzie takie same jak wiejskie dziewczęta czy to w chłodzie, czy na cichym stryszku, czy w jakiejś jamie na nizinach — odezwał się. — A piętnaście lat mi wystarczy, tak jak i tobie, jak sądzę. — Przerwał. — Moja pani — dodał, a brzmiało to jak pieszczota.

Szok zapał mi dech, a kiedy jak idiotka nie mogłam wydobyć słowa, Ralph zagwizdał na psa, czarnego psa chodzącego za nim jak cień i odszedł bez słowa pożegnania. Szedł jak pan na swoich włościach — wyrazisty kształt w mrocznym ogrodzie, po naszym trawniku, przez furtkę, do naszego lasu. Oszło miła mnie jego impertynencja. Potem w nagłym przypływie wściekłości zerwałam się z siedzenia przy oknie, aby zejść do dziedzica, który kazałby go wychłostać. Byłam już w pół drogi do drzwi, zakładając szal, kiedy zatrzymałam się. Z jakiegoś powodu, sama nie wiedziałam dlaczego, nie chciałam, żeby Ralpha wychłostano — albo i wyrzucono z Wideacre. Powinien oczywiście zostać ukarany, lecz nie przez mojego ojca, nawet nie przez gajowego. Ja sama powinnam znaleźć sposób, by wymazać mu z twarzy ten obraźliwy gorący uśmiech. Położyłam się do łóżka planując zemstę. Ale nie mogłam spać. Serce waliło mi głośno. Byłam zdumiona, że tak szybko oparowałam własną wściekłość.

Rano całkiem o nim zapomniałam. Nie miało żadnego znaczenia, że skierowałam konia w stronę jego domu. Wiedziałam, że całą noc zaczął się w lesie na kłusowników, więc co najmniej do południa będzie w tej okropnej wilgotnej chacie niedaleko nieczynnego młyna na rzece Fenny. Na sile prądu rzecznego w tym miejscu nigdy nie można było polegać, toteż ojciec mojego ojca zbudował nowy młyn w górze rzeki, żeby meł nasze ziarno. Stary młyn popadł w ruinę, a chata dla pracowników stojąca nieopodal wydawała się wsiąkać w podmokły grunt. Las podszedł do tylnych drzwi niskiej chałupy i wyobrażałam sobie, że Ralph podrósłszy, musiał cały czas się schylać, kiedy wchodził do środka. Raczej szopa to niż chata; miała dwa pomieszczenia.

Jego matka była ciemną grubokościstą kobietą o dzikim, niebezpiecznym wyglądzie, jak on sam. „Cyganka” — nazywał ją ojciec z upodobaniem.

— Naprawdę? — pytała chłodno moja jasnowłosa matka.

Często jeździliśmy tędy, ojciec i ja. Zatrzymywał się przed biedną chatą, a Meg wychodziła, schylając głowę pod niskim podstrzeszem i unosząc spódnice nad błotem, bosonoga, ze stopami brudnymi po kostki. Wytrzymała jednak spojrzenie ojca z dumnym promiennym uśmiechem, niczym mu równa. Wynosiła warzone w domu piwo w topornym kuflu. Kiedy rzucał jej monetę, chwyciła, jak gdyby zwracał jej dług. Czasami widziałam, jak wymieniają leciutki uśmiech porozumienia.

Nie mogło być żadnych sekretów między tą dziką samotną kobietą a dziedzicem, moim ojcem. Ale raz czy dwa, kiedy odjeżdżał jak najdalej od domu zniecierpliwiony matką i jej uszczypliwościami, jak gdyby całkiem naturalnie skierowaliśmy się do rzeki Fenny i chatki w lesie, gdzie Meg, Cyganka, podeszła do nas swoim roztańczonym krokiem bosa i popatrzyła wyrozumiałym jasnym wzrokiem.

Uważano ją za wdowę. Ojciec Ralpa, czarna owca jednej z najstarszych rodzin w Acre, został wcielony do marynarki i zaginął, zmarł albo uciekł. Wielu mężczyzn ze wsi wodziło za nią wzrokiem jak głodne psy, ale ona nie oglądała się ani w lewo, ani w prawo. Tylko mój ojciec wywoływał uśmiech w jej oczach, a na ten widok sam się uśmiechał. Żaden inny mężczyzna nie był nawet wart spojrzenia. Tak więc chociaż miała propozycje, wiele propozycji, ona i Ralph nigdy nie wyprowadzili się z małego ciemnego domku nad rzeką.

— Sto lat temu spalono by ją na stosie jako czarownicę — twierdził mój ojciec.

— O, naprawdę? — pytała matka obojętnie.

Meg nie wydawała się zaskoczona, widząc mnie samą przy furtce swego ogrodu, ale jej w ogóle nic nie dziwiło. Kiwnęła głową i zgodnie z zasadami wiejskiej gościnności przyniosła mi kubek mleka. Piłam, wciąż siedząc w siodle na mojej klaczy, a kiedy opróżniłam kubek, Ralph jak nocny cień wyszedł z lasu. Z jednej ręki zwisała mu para królików, a pies jak zwykle szedł przy nodze.

— Panienska Beatrice — pozdrowił mnie powoli.

— Witaj, Ralph — rzekłam łaskawie. W jasnym świetle dnia zniknęła władza, jaką posiadał w nocy. Meg wzięła ode mnie kubek i zostaliśmy sami w promieniach słońca.

— Wiedziałem, że przyjdiesz — powiedział z przekonaniem.

I wtedy jak gdyby zniknęło słońce. Niczym zahipnotyzowany królik wpatrywałam się prosto w jego czarne oczy i nie widziałam nic, nic oprócz tych oczu wpatrzonych we mnie i uśmiechu wolno wpełzającego na jego usta i żyłki szybko pulsującej na napiętej skórze jego gardła. Wysoki młodzieniec odzyskał całą moc ubie-

głej nocy. Zabrał ją ze sobą. Stał przy głowie klaczy, a ja byłam zadowolona, że siedzę ponad nim, w siodle na wysokości ramion Ralpha.

— O, naprawdę? — odezwałam się, nieświadomie naśladowując zimny ton matki. Nagle odwrócił się i odszedł przez wierzbówki w stronę rzeki. Nie myśląc, ześliznęłam się z siodła, przywiązałam konia do walącego się płotu i podążyłam za nim. Nie obejrzał się nawet, nie zaczekał na mnie. Szedł, jak gdyby był całkiem sam, do brzegu rzeki, a potem pod prąd, do ruin starego młyna i czarnej głębi rzeki za młynem.

Szerokie sklepienie drzwi, gdzie ładowano wozy, stały otworem. Ralph nie obejrzał się, a ja podążyłam za nim bez słowa. Przez całe pomieszczenie ciągnęła się antresola, gdzie kiedyś magazynowano worki. Prowadziła na nią rozklekotana drabina. W ciepłym mroku starego budynku czułam stęchły, bezpieczny odór starej słomy i miękkość szezki pod stopami.

— Chcesz zobaczyć jaskółcze gniazdo? — zaproponował niedbale.

Kiwnęłam głową. Jaskółki przynoszą szczęście, a ich gniazda z błota i trawy, w kształcie filiżanek, ulepione na belkach i wystęпах pod strzechami zawsze dawały mi radość. Ruszył w górę po drabinie, a ja za nim bez wahania. Kiedy dotarł na szczyt, wyciągnął rękę i wciągnął mnie, a kiedy stanęłam przy nim, nie pozwolił, bym zabrała rękę. Nasze oczy spotkały się w długim taksującym spojrzeniu.

— Tam są — odezwał się.

Wskazał na gniazdo zbudowane na niskiej belce pod stropem. Kiedy patrzyliśmy, ptasi ojciec sfrunął z wysoka, niosąc w dziobie grudkę błota, którą dodał do powstającego gniazda, i odfrunął. Obserwowaliśmy w milczeniu. Ralph uwolnił moją rękę i objął mnie w pasie, przyciągając do siebie. Staliśmy przyciśnięci, a jego ręka sunęła po aksamicie mojej sukni aż do krzywizny małych piersi. Nie mówiąc ani słowa, obróciliśmy się twarzami do siebie. Pochylił głowę, żeby mnie pocałować. Pocałunek był delikatny jak lot jaskółki.

Ocierał się ustami o moje usta delikatnie, łagodnie. Kiedy powtórzył tę pieśczętę, wyczułam w nim napięcie i jeszcze silniejszy uścisk w pasie. Mdlejąc z rozkoszy poczułam, że kolana uginają się pode mną i z ramionami oplecionymi wokół niego osunęłam się na usłaną słomą podłogę.

Byliśmy w połowie dziećmi, w połowie dorosłymi. Wiedziałam wszystko o parzeniu się zwierząt, ale nic o pocałunkach i uprawianiu miłości. Ralph był to jednak wiejski chłopak, który od dwóch lat zarabiał jak mężczyzna i pił razem z mężczyznami. Spadł mi kapelusz, kiedy odchyliłam głowę, by poddać się jego pocałunkom, a moje dłonie rozpięły górę sukni dla jego niecierpliwych niezgrabnych palców. Rozpięłam też jego koszulę, tak że mogłam przycisnąć czoło do jego piersi i ocierać się o niego twarzą.

Gdzieś głęboko w umyśle słyszałam głos: „Gorączka. Muszę mieć gorączkę”. Ale nogi miałam za słabe, żeby się podnieść. Drżałam, cała drżałam. Gdzieś w głębi ciała, pod żebrami, coś trzepotało boleśnie. Przez plecy przechodził długi dreszcz. Przy najłżejszym poruszeniu Ralpha dygotałam. Kiedy przesunął palcem wskazującym od mojego ucha do szyi, drżałam cała. Ztracając świadomość, mówiłam do siebie: „Muszę być bardzo, bardzo chora”.

Ralph odsunął się nieco i oparł na łokciu, patrząc na moją twarz.

— Powinnaś iść — stwierdził. — Robi się późno.

— Jeszcze nie — odparłam. — Jeszcze nie ma drugiej.



Szperałam w kieszeni w poszukiwaniu srebrnego zegarka, miniaturowej kopii zegarka ojca. Otworzyłam go.

— Trzecia! — wykrzyknęłam. — Spóźnię się! — skoczyłam na nogi. Złapałam kapelusz i strząsnęłam słomę ze spódnicy. Ralph w niczym mi nie pomógł, oparł się tylko o jakiś stóg słomy. Zapięłam przód sukni, rzucając mu ukradkowe spojrzenia spod powiek. Wyciągnął ze stogu jakąś słomkę i żuł ją, obserwując mnie, niewzruszony. Ciemne oczy nie wyrażały niczego. Wydawał się równie zadowolony z tego, że idę, jak z tego, że go odwiedziłam. Spokojny jak tajemnicze bóstwo pogańskie zapomniane gdzieś w puszczy.

Byłam gotowa do odejścia i powinnam się pospieszyć, a zarazem trzepot pod żebrami wciąż sprawiał ból. Nie chciałam odejść tak od razu. Usiadłam znów przy nim i położyłam mu głowę na ramieniu.

— Powiedz, że mnie kochasz, zanim pójdę — wyszeptałam.

— Och, nie — odparł bez zaangażowania. — Nie ma o tym mowy.

Zaskoczona podniosłam gwałtownie głowę i spojrzałam na niego.

— Nie kochasz mnie? — spytałam oszołomiona.

— Nie — odrzekł Ralph. — Ty też mnie nie kochasz, prawda?

Powstrzymałam krzyk zniewagi. Ale nie mogłam powiedzieć, że nie spodobały mi się pocałunki; och, spodobały mi się bardzo i znów chciałam się z nim spotkać, tutaj w ciemności starego młyna. Może następnym razem ściągnę suknię i poczuję jego ręce i wargi na całym ciele. Ale to był przede wszystkim syn Meg. I mieszkał w takiej brudnej chatce. I był tylko pomocnikiem gajowego, jednym z naszych ludzi. A my pozwalaliśmy jemu i Meg mieszkać w chacie właściwie za darmo; niemal z miłosierdzia.

— Nie — powiedziałam powoli. — Chyba nie.

— Są tacy, którzy kochają, i tacy, którzy są kochani — stwierdził z namysłem. — Widziałem dorosłych mężczyzn, którzy płakali jak dzieci z powodu mojej matki, a ona nawet na nich nie spojrzała. I to dżentelmeni. Nigdy nie będę taki dla kobiet. Nigdy nie będę kochał i usychał z tęsknoty i wpadał w chorobę z czyjegoś powodu. Będę tym, który jest kochany, dostaje prezenty, miłość i rozkosz... a potem idzie dalej.

Pomyślałam szybko o moim ojcu, rubasznym i serdecznym, i o mojej matce, wdychającej i usychającej z tęsknoty za ukochanym synem. Potem pomyślałam o dziewczętach, które widywałam we wsi, jak wodziły wzrokiem za chłopcami, jak czerwieniły się i bladły. O dziewczynie ze wsi, która utopiła się w nurtach Fenny, kiedy jej kochanek poszedł na służbę do Kentu. O stałym bólu towarzyszącym kochającej kobiecie, bólu zaślubin i rodzenia dzieci, starzeniu się i utracie ukochanego.

— A ja nie będę tą, która kocha — oznajmiłam twardo.

Zaśmiał się głośno.

— Ty! O, ty jesteś jak wszyscy z waszej sfery. Troszczycie się tylko o własną przyjemność i majątek.

*Nasza przyjemność i majątek.*

To prawda. Jego pocałunki były przyjemne, cudowne, doprowadzające do omdlenia. Dobre jedzenie, wyśmienite wino, polowanie w mroźny poranek — oto przyjemności. Ale posiadanie Wideacre to nie przyjemność, to sposób na życie. Uśmiechnęłam się na tę myśl. Odwzajemnił uśmiech.

— Och — odezwał się tęsknie. — Niedługo będziesz łamać serca. Z twoimi skośnymi oczami i brukwiowymi włosami osiągniesz każdą przyjemność, jakiej zapragniesz, a także ziemię.

Coś w jego głosie przekonało mnie, że mówi prawdę. Będę miała rozkosz i ziemię. To, że urodziłam się dziewczynką, przestanie być moim fatum. Mogę czerpać rozkosz i mogę też dostać ziemię, jak mężczyzna. A z zalotów mogę czerpać rozkosz o wiele większą niż mężczyźni. Ralphowi nasze pocałunki dostarczyły przyjemności, wiedziałam o tym, ale to było niczym w porównaniu z moją rozkoszą. Słabłam od doznań mojej jedwabistej skóry. Moje ciało reagowało jak piękne zwierzę — giętkie, szczupłe i słodkie. Osiągnę rozkosz z każdym mężczyzną, którego zapragnę. I dostanę ziemię. Chciałam Wideacre każdą świadomą myślą, oddechem, snem. I zasługiwałam na Wideacre. Nikt się tak nie troszczył o ziemię jak ja. Nikt tak jej nie kochał jak ja. Nikt jej tak nie znał jak ja.

Spojrzałam na Ralpa z rozmysłem. W jego głosie słyszałam coś jeszcze. W oczach nie miał już tej pustki — były znów ciepłe i zmysłowe.

— Mógłbyś mnie pokochać! — odezwałam się. — Już to prawie zrobiłeś.

Zrobił ręką gest, jaki czynią chłopcy, którzy się siłują i chcą się poddać.

— O tak — powiedział, jak gdyby to nie miało znaczenia. — I może sprawiłbym, że i ty byś mnie pokochała. Ale nie znajdziemy dla siebie miejsca. Ty należysz do dworu, a moje miejsce jest w chacie Meg, w lesie. Możemy spotykać się potajemnie i dawać sobie rozkosz w ciemnych brudnych miejscach, ale ty wyjdiesz za męża za lorda, a ja poślubię jakąś wiejską dziewczkę. Jeśli pragniesz miłości, musisz sobie znaleźć kogoś innego. Wezmę cię tylko dla przyjemności.

— A zatem dla przyjemności — zgodziłam się poważnie, jak gdybym zawierała ważny traktat.

Obróciłam do niego twarz i pocałowałam go uroczyście, pieczętując umowę. Zerwałam się na nogi, ale potem zatrzymałam się i spojrzałam na niego. Oparty o stóg słomy wyglądał niczym niebezpieczne bóstwo żniwne. Uśmiechnęłam się niemal nieśmiało i znów stanęłam przy nim. Leniwie wyciągnął do mnie rękę i przyciągnął do siebie. Jeszcze raz znalazłam się w jego ramionach. Uśmiechnęliśmy się jak równi sobie, jak gdyby nie było żadnego dworu ani żadnej chaty. Potem przycisnął swoje twarde usta do moich i znów spadł mi kapelusz.

Tego dnia nie dostałam obiadu.

Ale nie byłam głodna.

Przez trzy nie do wytrzymania dni mama, podniecona zapowiedzianym powrotem Harry'ego zabierała mnie naszym landem do Chichester, żeby kupić nowe tapety do jego pokoju. W piśmie, które przeczytała, pannaował szął na styl chiński. Mama i ja oglądałyśmy całe zwoje materiałów drukowanych wzorami z motywem smoków. W głowie aż mi się kręciło z nudy i zmęczenia. Trzy długie dni — a słońce wczesnego lata grzało coraz mocniej i Ralph czekał gdzieś nad rzeką. A ja każdy z tych dni spędzałam w składach z tekstyliami w Chichester, wybierając nowe narzuty dla Harry'ego i brokaty na nowe zasłony w jego pokoju.

Wszystko dla Harry'ego, wszystko na jego powrót. Kiedy ja zaś spytałam, czy mogłabym także zmienić zasłony i firanki w moim pokoju, spotkała mnie przykra odmowa ze strony mamy.

— Chyba nie warto — odparła wymijająco. Nie powiedziała nic więcej. Nie musiała. Nie warto wydawać na drugie w kolejności dziecko, to na drugim miejscu. Nie warto spełniać zachcianek dziewczynki. Nie warto urządzać pokoju dla kogoś, kto mieszka tu tylko przejściowo, czekając na zamążpójście i wyjazd do innego domu.

Nic nie odrzekłam, lecz zazdrościłam Harry'emu każdego pensa. Nic nie odrzekłam, lecz zazdrościłam mu pozycji, którą niezasłużenie zajmował. Nic nie odrzekłam, ale źle mu życzyłam co rano przez te trzy dni.

O ile znałam mojego brata, będzie się cieszył z nowych rzeczy przez tydzień, a potem o nich zapomni. Wiedziałam jednak także, jaki potrafi być słodki; mama zostanie nagrodzona za wszystkie starania jego jednym czułym, delikatnym uśmiechem. A mnie nic nie wynagrodzi straconego czasu. Czułam wstręt do dni spędzonych w Chichester, do beczynnego siedzenia w sklepach, podczas gdy mama odgrywała księżniczkę i wahała się, stojąc przed wyborem tego czy innego odcienia. A co jeszcze gorsze, z jakiegoś powodu byłam chora.

Nie powiedziałam o tym mamie, bo obawiałam się jej zainteresowania i nie chciałam jakoś, żeby mnie ktokolwiek dotykał. Gdy wyciągałam przed siebie ręce w rękawiczkach z kozłej skóry, gdy rozcapierałam palce — widziałam, że drżą. Co gorsza, miałam silne, bardzo częste skurcze żołądka, jakby ze strachu czy zdenierwowania. Nie byłam też głodna. To tylko obsesja mamy na punkcie nowego urządzenia pokoju nie pozwalała jej zauważyć, że jadam jedynie śniadania.

Głaszcząc belę drukowanego aksamitu w jednym ze sklepów, pomyślałam nagle o gładkiej skórze na ramionach Ralpa. Natychmiast nogi ugięły się pode mną. Padłam na krzesło. Słyszałam, jak serce mi wali, i nie mogłam złapać tchu. Pomyślałam, że muszę być chora.

Wieczorem trzeciego dnia jechałyśmy do domu razem ze słońcem. Zachodziło nad nizinami złotoróżowym blaskiem. Mama była w pełni zadowolona. W pudłach na bagaż w naszym landzie wiozłyśmy jedwabie i atłasy na nowe poszycia poduszek, nowe pikowania na kołdry i nowe wzory. Nazajutrz miały przyjechać jeszcze brokaty, tapety i kilka wyjątkowo brzydkich mebli, które powinny przemienić piękną starą sypialnię Harry'ego utrzymaną w angielskim stylu w coś w rodzaju pagody, jak to sobie wyobrażała mama i kupcy z Chichester.

Mama uspokoiła się wreszcie, dokonawszy tylu zakupów, a ja uśmiechałam się jak madonna, jadąc do domu w ciepłym powietrzu wiosennego wieczoru w Wideacre. Zapachy przydrożnych kwiatów dobiegały do

nas, gdy konie biegły kłusem z postawionymi uszami, czując już stajnię. Na poboczach widziałam zielonożółte ostatnie pierwiosniki i kępki dzwonek, lśniące mgiełką rosy. Kosy śpiewające o miłości wydobywały z siebie dźwięki smutne i cudowne, a kiedy mijaliśmy wysokie wrota koło stróżówki, usłyszałam nawoływanie kukułki.

W cieniu potężnego cisu przy wrotach stał Ralph. Konie kroczyły, a ja wolno przejeżdżałam obok niego. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy, nie widząc niczego poza sobą. Las dokoła pociemniał, jak gdybym nagle straciła wzrok. Poczułam skurcz żołądka niczym ze śmiertelnego przerażenia, a to przerażenie przeszło w radość. Uśmiechnęłam się do Ralpha, jak gdyby to on sam przyniósł wiosnę, dzwonki i kukułkę. Kiwnął głową w stronę landa, lecz nie złożył ukłonu, jak zwykli nasi ludzie. Nie oderwał też wzroku od moich oczu. Twarz mu się rozluźniła, a wokół oczu pojawiły się zmarszczki, kiedy uśmiechnął się tylko dla mnie. Powóz przetoczył się powoli, ale dla nas o wiele za szybko! Nie obejrzałam się, lecz czułam na karku jego oczy, gorące, pożądliwe, przez całą drogę po podjeździe, aż skręciliśmy za wielkim bukiem, który ukrył mnie przed wzrokiem Ralpha.

Następnego dnia woźnice (niech Bóg ich błogosławi!) zgubili koło u wozu i nie mogli przywieźć towarów. Mama już się denerwowała, jak tu mnie zapędzić do obrębiania zasłon, ale musiała poczekać. Jutrzejszy dzień miałam przesiedzieć w domu zajęta przekłętymi smokami dla Harry'ego, ale dziś jeszcze byłam wolna. Miałam przed sobą jeszcze jeden dzień, jak odroczenie wyroku śmierci. Przebrałam się z rannej sukni w nowy zielony strój do konnej jazdy (właśnie w tym tygodniu przyniesiony od krawca papy) i szczególnie starannie upięłam włosy pod dopasowanym do niego zielonym kapeluszem. A potem pojechałam na pięknej Belli podjazdem, przez kamienny most na rzece Fenny. Skierowałam konia na prawo i pozwoliłam puścić się cwałem drogą wzdłuż rzeki.

Fenny wezbrała po wiosennych deszczach; była brązowa i spieniona jak zupa z szumowinami. Wiry i rozbryzgi przy nowo powstałych wodospadach współgrały z moim nastrojem; mijałam je swobodnym kłusem uśmiechając się. Młoda zieleń buków tworzyła jakby mgiełkę nad moją głową. Poprzez szumiące liście przebijały się nowe pędy, cudownie smukłe i mocne. Każdy ptak w lesie nawoływał, nawoływał towarzysza. Wszechświat naszej Wideacre tętnił wiosną, potrzebą miłości. A ja byłam ubrana na zielono — tak jak życie.

Ralph siedział nad rzeką z wędką w dłoniach, oparty plecami o zwałoną sosnę. Wyprostował się na dźwięk podków mojego konia i uśmiechnął się bez śladu zaskoczenia. Zdawał się częścią mojej ukochanej Wideacre — jak drzewa. Nie planowaliśmy tego spotkania, lecz wypadło ono naturalnie jak śpiew ptaka — spotkaliśmy się, bo chcieliśmy tego. Nad rzeką Ralph przyciągnął mnie do siebie tak zdecydowanym ruchem, jak woda wciąga rozwidloną witekę wierzby, wskazując środek wiru.

Przywiązałam Bellę do krzewu czarnego bzu. Klacz opuściła głowę poznając, że zabawimy tu całe popołudnie. Moje kroki szeleściły w listowiu, kiedy kroczyłam do niego i stanęłam przed Ralphem, wyczekując.

Uśmiechnięty podniósł wzrok, zezując na jasne wiosenne niebo nad naszymi głowami.

— Tęskniłem za tobą — odezwał się nagle, a moje serce załomotało, jakbym spadła z któregoś z wierzchowców papy.

— Nie mogłam się wymówić — stwierdziłam.

Schowałam dłonie za plecami, żeby nie mógł zobaczyć, jak drżą, lecz zupełnie absurdalnie stanęłam w łzach i nie zdołałam powstrzymać dygotania warg. Mogłam ukryć ręce i nikt nie zauważyłby, że pod fałdami zielonej sukni kolana uginają się pode mną, lecz twarz miałam nagą — jak gdyby zerwana ze snu albo przerażona nie wiadomo czym. Zaryzykowałam spojrzenie na Ralpa i napotkałam jego wzrok. W sekundę spostrzegłam, że cała naturalność zniknęła. On także był spięty niczym zwierzyzna złapana w sidła. Dyszał jak po krótkim lecz forsownym biegu. Zdumiona postąpiłam krok do przodu i wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jego bujnych czarnych włosów. Znienacka schwycił mnie za nią błyskawicznym gestem i przyciągnął do siebie. Z dłońmi na moich ramionach wpatrywał się we mnie, jak gdyby rozdarty między pragnieniem zamordowania a pożądaniem. Nie myślałam o niczym. Odwracałam wzrok, jednocześnie konając z żądy, by dalej na mnie patrzył.

A potem niebezpieczne gorejące spojrzenie zniknęło z jego oczu i uśmiechnął się ciepło niczym letni dzień.

— Och, Beatrice — powiedział tęsknie.

Ręce ześliznęły się z moich ramion po świetnie skrojonym zakiecie aż do talii. Przyciągnął mnie jeszcze bliżej i całował wargi, powieki, szyję. Siedzieliśmy objęci. Trzymałam głowę na jego ramieniu i długo patrzyliśmy na rzekę, na unoszący się na wodzie spławik zrobiony z sosnowej szyszki.

Rozmawialiśmy mało. Byliśmy przecież wiejskimi dziećmi. Gdy spławik zanurzył się, Ralph podskoczył i zaczął ciągnąć linę, a ja podstawiałam jego czapkę, żeby przerzucił do niej rybę — z pewnością jak kiedyś, w nasze wspólne lato. Z zeschniętych liści, paproci i starych gałęzi zrobiliśmy nad rzeką małe ognisko, a Ralph oczyścił pstrąga i nadział na patyk, ja zaś podsycalam płomienie. Przez ostatnie trzy dni jadłam bardzo mało, ale spieczona skóra pstrąga była słona i smaczna; na wpół surowa, lecz kto by się tym przejmował, jeśli złowił swojego pstrąga w swojej rzece i upiekł na ogniu z gałęzi ze swojego lasu? Umyłam palce i usta w płynącej wodzie. Wypiłam też parę łyków ze słodkiego nurtu. Potem oparłam się o kłodę i otoczyły mnie ramiona Ralpa.

Mówi się, że młode damy, panny z wyższych sfer, mają bolesne porody, dolegliwe comiesięczne przypadłości i przeraża je utrata dziewictwa. Nic nie mówiąc, szczerze, wprost, mama postarała się, żebym wiedziała, co wchodzi w zakres obowiązków żony, poczęcie i wychowanie dziedzica. Zapewniła mnie też, że zadanie to nieprzyjemne i bolesne. Może i tak jest. Może współżycie z człowiekiem wybranym przez rodziców, w olbrzymim łożu małżeńskim, zgodnie z planami obu rodów i świadomością obowiązków, które na tobie spoczywają, jest bolesną zniewagą dla ciała. Ale ja wiem na pewno, że leżeć z chłopakiem samodzielnie, swobodnie wybranym, tak jak to czynią nie skrepowane cudzą wolą dziewczęta, leżeć pod drzewami i niebem Wideacre, to jakby poddać się starodawnej magii: słyszeć potężne serce Wideacre walące w uszach, czuć tętno ziemi.

Baraszkowaliśmy jak niezgrabne jeszcze, lecz urocze potomstwo wydry, a niewytłumaczalne, nieoczekiwane, nie planowane odczucia wciąż narastały aż do nagłego przesilenia rozkoszy, które zastało mnie sapiącą i szlochającą w ramionach Ralpa, podczas gdy on mówił: „Och”, jak gdyby coś go nad wyraz zdumiało.



Potem leżeliśmy w milczeniu, w uścisku, jak splecione dłonie. I jak dzieci, bo dziećmi byliśmy, zasnęliśmy.

Obudziliśmy się zziębnięci, odrętwiali z niewygody. Na plecach odcisnęły mi się ślady gałązek i liści, a przez czoło Ralpha przebiegała czerwona pręga — ślad odcisniętej kory. Wskoczyliśmy w ubrania i przytuliliśmy się, szukając ciepła, kiedy szybko zapadający wiosenny zmrok wydłużał cienie krzewów i drzew. A potem Ralph złożył ręce, dając oparcie mojej stopie, i pomógł mi wsiąść na konia. Bez słowa spojrzeliśmy na siebie ciepło. Zawróciłam konia i kłusem ruszyłam do domu. Czułam się paskudnie; marzyłam o gorącej kąpieli i obfitym posiłku. Czułam się jak bogini.

Owe pierwsze spotkania bez słów dały nam wzorzec rozkoszy, rozkoszy narastającej w nas przez całą wiosnę i początek lata, kiedy dni stawały się coraz cieplejsze, a zboża zieleniały na odległych polach. Baranki, cielne krowy i siewy usprawiedliwiały moją prawie codzienną nieobecność w domu i pozwalały nie widywać się zbyt często z mamą. Kiedy doglądałam zwierząt albo pomagałam przeprowadzać stada na soczystą wiosenną trawę nizin, mogłam robić, co mi się podobało. Ralph znał parę kryjówek w lasach, dalej w głąb niż te, gdzie bawiliśmy się we wczesnym dzieciństwie, w deszczowe zaś dni spotykaliśmy się znów w młynie. Nad naszymi poruszającymi się ciałami leżały się i były karmione jaskółki. Wiedziałam, że kiedy my kochaliśmy się, z gniazdka ulepionego z błota dobiegały ich piski, a kiedy po paru tygodniach dorosły, pewnego dnia odleciały. To był jedyny znak upływu czasu, jaki zauważyłam.

Przejsie między wiosną a pełnią lata w tym roku wydawało się wcale nie nadchodzić — chyba po to, żebyśmy mieli z Ralphem dla siebie niekończące się, ciepłe sekretne popołudnia. Ziemia sama z siebie postanowiła nas ukryć: paprocie na wspólnych gruntach rosły coraz wyższe, a poszycie leśne stawało się bujne, soczyste. W tamtą cudowną wiosnę pogoda uśmiechała się do nas; nawet papa stwierdził, że nie pamięta takiej pory roku, że musi być coś czarodziejskiego w tak wczesnych sianokosach.

Oczywiście — to czary. Każdego ciepłego dnia i w każdym śnie w nocy Ralph kroczył jak mroczny bóg ziemi i sprawiał, że cała Wideacre kwitła, a dzięki naszej pasji i miłości dni stawały się słoneczne, długie, natomiast noce — gwiazdziste.

Nabieraliśmy wprawę we wzajemnych pieszczotach, lecz nigdy nie wyzbyliśmy się pewnego rodzaju lęku przed swoją obecnością. Już samo przebywanie pod szumiącymi wysokimi bukami albo w przycupnięciu pod paprociami jawiło mi się stale jako cud. Co tylko mogliśmy sobie wyobrazić, każda wyrafinowana pieszczota, o której śniliśmy — to wszystko robiliśmy z czułością, ze śmiechem, z zapierającym dech podnieceniem. Mogliśmy leżeć całymi godzinami nadzy, na przemian się dotykając.

— Czy przyjemnie ci, kiedy tak dotykam? A tak? A tak? — pytałam, a moje palce, twarz i język badały swobodnie ciało Ralpha.

— O, tak. O, tak.

Uwielbialiśmy też podniecenie bliskością zespolenia. Spotkaliśmy się niespodziewanie pewnego popołudnia, kiedy Ralph przyszedł do dworu z zającem, a ja zbierałam w ogrodzie róże dla mamy. Wyszedł z kuchni z tyłu domu, a kiedy wkraczał do ogrodu, brzęknęła furtka. Odwróciłam się, ujrzałam go i kosz pełen róż, momentalnie zapomniany, wypadł mi z ręki. Nie bacząc na okna domu wychodzące na ogród, Ralph po prostu podszedł do mnie, wziął za rękę i poprowadził do altany. Stał, wygiął plecy do tyłu, aby utrzymać mój

ciężar i podniósłszy mnie, podsadził na siebie. Jedwabna suknia pofałdowała się i zmięła między naszymi ciałami. Przycisnął głowę do moich piersi i całował je. Sapaliśmy z niewiarygodnej pospiesznej rozkoszy. Ralph postawił mnie znów na nogi. Potem śmialiśmy się, nie mogliśmy się wprost powstrzymać od śmiechu z tej zuchwałości, by uprawiać miłość w ogrodzie za dnia, tuż przed salonikiem mamy, przed wszystkimi frontowymi oknami domu.

W majowy poranek w dniu moich urodzin, kiedy obudziłam się wcześniej podekscytowana i słuchałam śpiewu ptaków w różowości świtu, pomyślałam najpierw nie o kosztownych prezentach, których spodziewałam się od mamy i papy, lecz o tym, co mi przyniesie Ralph.

Nie musiałam się długo zastanawiać. Gdy spryskiwałam twarz wodą, usłyszałam przeciągły gwizd pod oknem i w samej koszulce otworzyłam okno, wychyliłam się i ujrzałam Ralpha uśmiechającego się z radości, że mnie zobaczył.

— Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin — odezwał się ochryplym szeptem. — Przyniosłem ci prezent.

Zeskoczyłam ze stołka przy oknie i podeszłam do toaletki po kłębek włóczki. Jak księżniczka z bajki rzuciłam go z okna, a Ralph ostrożnie przywiązał mały koszyczek z łązy. Podciągnęłam go delikatnie, tak jak gdybym wyciągała łososa na wędce, i położyłam na stołku przy oknie obok siebie.

— Czy to coś żywego? — spytałam zaskoczona, słysząc szelest liści wewnątrz.

— Żywego i drapiącego — odparł Ralph i podniósł rękę, aby mi pokazać długą czerwoną rysę na grzbiecie dłoni.

— Kotka? — zgadywałam.

— To nie dla ciebie — odrzekł Ralph lekceważąco. — To coś bardziej ekscytującego.

— Lwiątko? — stwierdziłam natychmiast i uśmiechnęłam się, słysząc niespieszny wiejski chichot Ralpha.

— Otwórz i zobacz — poradził. — Ale otwieraj ostrożnie.

Otworzyłam wieczko z haczyka i zerknęłam do wnętrza. Napotkałam spojrzenie ciemnoniebieskich oczek i puszyste, nastroszone groźnie piórka — pisklę sowy leżące na grzbiecie, wystawiające w moją stronę w obronnym geście szponiaste stópki; z otwartego dzióbka z czerwonym języczkiem dobiegł ochryply pisk.

— Och, Ralph! — zawołałam zachwycona.

Spojrzałam na dół. Twarz Ralpha rozpromieniła się z miłości i triumfu.

— Wszedłem po nią na sam szczyt sosny — oznajmił z dumą. — Chciałem dać ci coś takiego, czego nikt inny ci nie da. Coś z Wideacre.

— Nazwę ją Mądrała. Bo sowy są mądre.

— Nie za bardzo — przekomarzał się. — Omal nie spadliśmy z drzewa, kiedy mnie podrapała.

— I pokocham ją, bo to ty mi ją dałeś — stwierdziłam, patrząc w oszalałe ciemnoniebieskie oczka.

— A więc mądrość i miłość — powiedział Ralph — zaskarżone jednocześnie przez tę jedną sówkę.

— Dziękuję ci — włożyłam w to podziękowanie całe serce.

— Wyjdiesz potem? — spytał ot tak, zdawkowo.

— Mogę — rozpromieniłam się. — Będę przy młynie zaraz po śniadaniu — obiecałam. Odwróciłam głowę, nasłuchując, czy służąca rozpala już ogień w kuchni. — Muszę iść. Zobaczymy się przy młynie i jeszcze raz ci dziękuję za prezent.

W jednej z przybudówek znajdował się nie używany magazyn i tam zdecydowaliśmy się trzymać Mądralę. Ralph nauczył mnie, jak karmić pisklę surowym mięsem zawiniętym w futerko lub piórka i jak delikatnie głaskać pióra na piersi, tak by zakryły się jej niebieskie oczka i sówka się zdrzemnęła.

Tamtego lata Ralph wspiałby się dla mnie na każde drzewo, podjąłby dla mnie każde ryzyko. A ja zrobiłabym dla niego wszystko. Albo prawie wszystko. Jednej rzeczy nigdy bym dla niego nie zrobiła i gdyby okazał się mądrzejszy czy też mniej zakochany, pilnowałby się. Nigdy nie zabrałabym go do łóżka mojego papy. Ralph tęsknił, by się tam ze mną znaleźć, w łóżu pana pod ciemnym, sklepionym drewnianym stropem podtrzymywanym przez cztery filary grube jak pnie sosny. Ja tego nie chciałam. Jakkolwiek bym kochała pomocnika gajowego, nigdy nie będzie on ze mną leżał w łóżu dziedzica Wideacre. Unikałam takiej propozycji z jego strony, lecz pewnego dnia, kiedy papa i mama byli z wizytą w Chichester, a służba miała wychodne, Ralph poprosił mnie wprost, żebyśmy się tam położyli. Spotkała go ostra odmowa. Oczy mu pociemniały z gniewu, ale nic nie powiedział. Poszedł sam zastawiać sidła w lesie. Wkrótce zapomniał o tej jednorazowej odmowie. Ktoś roztropniejszy zapamiętałby to i zachował wobec mnie rezerwę — każdego dnia tego złotego, trwającego bez końca lata.

Dla mamy nie było to lato bez końca. Liczyła dni do powrotu swojego złotowłosego chłopca ze szkoły. Sporządziła nawet kalendarzyk, który powiesiła na ścianie w saloniku, i zaznaczyła na nim dni pozostające do końca semestru. Z obojętnością patrzyłam, jak skreśla codziennie wieczorem jeden dzień. Bez większego entuzjazmu i z jeszcze mniejszymi umiejętnościami obrębiałam zasłony i pomagałam haftować smoki na kapie do nowego wystroju pokoju Harry'ego. Po heroicznych zmaganiach z zakreconym ogonem głupiej bestii udało mi się skończyć na czas i położyć kapę na łóżku Harry'ego, aby oczekiwała powrotu samego cesarza.

Pierwszego dnia lipca, zbyt pięknego dnia, by marnować go na przesiadywanie w oknie saloniku i nasłuchiwanie powozu Harry'ego, czekaliśmy na mojego brata. Kiedy tylko usłyszałam stukot podków na podjeździe, zgodnie z instrukcjami zawołałam mamę. Ta wezwała ojca ze zbrojowni i stanęliśmy na stopniach. Powóz zatoczył łuk po podjeździe i dotoczył się do drzwi frontowych. Papa przywitał Harry'ego, który po chłopięcemu wyskoczył z powozu nie czekając, aż mu podadzą schodki. Mama ruszyła naprzód. Ja trzymałam się z tyłu, czując w głębi serca urazę, zazdrość i pewną obawę.

Harry zmienił się podczas ostatniego semestru. Zniknęła jego zaokrąglona, tłuscioszkowata twarz. Wyglądał teraz raczej jak sympatyczny szczupły młodzian niż złotowłosa dziecina. Wyrósł. Przywitał papę otwartym uśmiechem wzruszenia, a na jego potężny uśmiech cały się rozpromienił. Mamę pocałował w rękę i policzki, z czułością, lecz bez przesady. Potem, i to była największa niespodzianka, rozejrzał się i jego jasnoniebieskie oczy zapaliły się, gdy ujrzął mnie.

— Beatrice! — powiedział i w dwóch wielkich susach doskoczył do schodów. — Jak pięknie wyrosłaś! Jaka już jesteś dorosła! Mogę cię jeszcze pocałować?

Nadstawiłam twarz uśmiechając się w odpowiedzi, stwierdziłam jednak, że cała się czerwienię, czując dotyk jego warg i delikatnego zarostu górnej wargi na moim policzku.

Potem mama zagarnęła go ramieniem i zabrała do domu, a głos papy górował nad jej licznymi pytaniami na temat dróg, gospód i tego, gdzie ostatnio jadł. Zostawili mnie samą na osłonecznionych schodach przed drzwiami frontowymi, jak gdybym nie należała już do domu.

I to Harry zatrzymał się przy drzwiach salonu, obejrzał się i zawołał mnie przez otwarte drzwi.

— Wejdz, Beatrice! Mam dla ciebie prezent w bagażach.

I od razu spadł mi kamień z serca, gdy zobaczyłam jego uśmiech i wyciągniętą rękę. Szybko weszłam do domu, czując, że może Harry nie usunie mnie w cień, że może uczyni ten dom szczęśliwszym dla mnie miejscem. Dni mijały, a urok Harry'ego nie zanikał. Każda służąca, każda córka naszych dzierżawców obdarowywała uśmiechem świetnie wyglądającego panicza. Nowa dla niego śmiałość i pewność siebie zyskiwały mu przyjaciół wszędzie, dokąd pojechał. Był czarujący — i wiedział o tym. Był przystojny — i wiedział o tym. Śmialiśmy się, że musimy teraz zadzierać głowę, aby spojrzeć na niego, bo sięgałam mu zaledwie do ramienia.

— Już mnie nie będziesz tyranizować, Beatrice — stwierdził.

Pozostał moim księżkowym. Przywiózł ze szkoły dwa kufrы wypełnione dziełami filozoficznymi, wierszami, sztukami i powieściami. Wyrósł jednak wreszcie ze swoich dziecięcych chorób i nie musiał już spędzać całych dni w domu na czytaniu. Nawet zawstydził mnie, że tak mało książek przeczytałam. Mogłam sobie wiedzieć dużo o ziemi, znać się na rzeczach, o których Harry nie miał pojęcia, bo całe lata spędziłam tu w Wideacre i tu było moje serce, a jego — nie. Ale to wszystko mało się liczyło, kiedy Harry powoływał się na jakąś książkę i powiadał:

— Och, Beatrice! Powinnaś to przeczytać! Przecież mamy to w bibliotece. Czytałem tę książkę, kiedy miałem sześć lat.

Harry czytał również książki o uprawie roli, i to wcale niegłupie.

Oto był nowy Harry — skutek dorastania chłopca do wieku męskiego. W niepamięć poszło słabe w dzieciństwie zdrowie. Tylko mama troszczyła się wciąż o jego serce. Wszyscy inni dostrzegali wysmukłe ciało, siłę ramion, otwartość niebieskich oczu i szelmowski urok, którym z całą świadomością czarował służące. Znajdował się jednak nadal pod przemożnym wpływem Staveleya. Nazwisko Staveleya pojawiała się co rusz w saloniku mamy i przy stole w jadalni. Mama miała własne zdanie na temat Staveleya i jego paczki. Spuszczała mimo to głowę, milkła i pozwalała swojemu uwielbianemu synowi gadać bez końca. Chępliwi się swoją funkcją prawej ręki Staveleya. W zaufaniu zdradzał mi po fragmencie tajemnice humorów Staveleya, jego sposobów wymierzania kary, jego wspaniałomyślności.

Oczywiście Harry strasznie tęsknił za swoim herosem. Przez pierwsze tygodnie pobytu w domu pisał do niego codziennie, pytając o wieści na temat szkoły i paczki Staveleya. Sam Staveley odpowiedział raz czy dwa bazgraniną z okropnymi błędami ortograficznymi, lecz Harry był zachwycony. I jeszcze inny chłopiec odpisał raz czy dwa. W ostatnim swoim liście donosił Harry'emu, że teraz on został „pierwszym po Bogu”. Tego dnia Harry wyglądał niewyraźnie, rano wyjechał gdzieś konno i spóźnił się na obiad.

W towarzystwie Harry'ego, choćby i najprzyjemniejszym, nie miałam już tej swobody wymykania się do Ralpa nad rzekę, na wspólne grunta czy na niziny. Dni mijały, a stałe towarzystwo Harry'ego zaczynało

mnie niecierpliwie. Nie mogłam się go pozbyć. Mama chciała, żeby jej pośpiewał; papa chciał, żeby pojechał z nim do Chichester, a Harry wolał iść gdzieś ze mną, Ralph zaś czekał i czekał, a ja płonęłam z pożądania.

— Za każdym razem kiedy biorę ze stajni mojego konia, on też musi się wybrać na przejażdżkę — skarżyłam się Ralphowi w jakiejś skradzionej chwili przypadkowego spotkania na podjeździe. — Za każdym razem gdy wchodzę do któregoś pokoju w domu, on depcze mi po piętach.

Szczerze ciemne oczy Ralpa rozbłysły z zaciekawione.

— Czemu tak się ciebie trzyma? Sądziłem, że jest uwiązany do fartucha matki?

— Nie wiem — odparłam. — Nigdy przedtem nie zważał zbytnio na mnie. A teraz nie mogę się od niego odczepić.

— Może ma na ciebie chętkę? — Ralph szukał skandalu.

— Nie bądź głupi. To mój brat.

— Może się nauczył czegoś w tej swojej szkole? — nie dawał za wygraną Ralph. — Może miał jakąś dziewczkę w szkole i nauczył się oglądać za dziewczętami. Może zauważył tak jak ja, że jesteś młoda, napalona, chętna do rozkoszy. Może tak długo nie było go w domu, że zapomniał, jak powinien traktować siostrę i widzi tylko, że mieszka pod jednym dachem z dziewczyną z każdym dniem piękniejszą i ponętniejszą. Czeka tylko, jak tu zaproponować to, co każdy mężczyzna by zaproponował.

— Nonsens — stwierdziłam. — Chciałabym po prostu, żeby dał mi spokój.

— Czy to on? — spytał Ralph, wskazując skinieniem głowy nadciągającego jeźdźca.

Mój brat w brązowym surducie do konnej jazdy, zbyt już wąskim w ramionach, jechał klusem w naszą stronę. Zadziwiające — wyglądał jak młoda kopia mojego ojca dosiadającego jednego z należących do Wideacre wysokich koni myśliwskich. Miał wyniosłość ojca, przyjemne obejście i uśmiech w pogotowiu. Ale urok Harry'ego był niepowtarzalny, zaś jego gibkość, smukłość nie przypominała masywnej sylwetki ojca.

— To on — potwierdziłam. — Bądź ostrożny.

Ralph stanął trochę z tyłu za głową mojego konia i złożył z szacunkiem ukłon mojemu bratu.

— Panie — odezwał się.

Harry kiwnął mu głową z miłym uśmiechem.

— Myślałem, że pojedę z tobą, Beatrice — powiedział. — Moglibyśmy pogalopować po nizinach.

— Oczywiście — odrzekłam. — To Ralph, syn Meg, pomocnik gajowego. — Jakiś diabeł podkusił mnie, żeby ich skonfrontować, lecz mój brat ledwie na niego spojrział. Ralph nic nie mówił, ale obserwował mojego brata z przejęciem. Harry zaś po prostu nie zdawał sobie sprawy, że jest z nami Ralph.

— Pojedziemy? — spytał uśmiechnięty.

Zaszokowana przypomniałam sobie nagle o przepaści dzielącej Ralpa i mnie, o której zupełnie nie myślałam w dniach zmysłowości, pod niebem jednakim dla wszystkich. Harry, który pochodził z tej samej sfery i w którego żyłach płynęła ta sama krew, ignorował Ralpa, bo Ralph należał do poddanych. Ludzi takich jak my, jak mój brat i ja, otaczały setki, tysiące „naszych” ludzi nie mających żadnego znaczenia. Ich opinie, miłości, lęki i nadzieje nigdy nic dla nas nie znaczyły. Mogliśmy interesować się ich życiem, ale równie dobrze całkiem ich ignorować. Zależało to tylko od nas.



A oni nie mieli tu wyboru. Pierwszy raz widząc Ralpa przy moim wyniosłym jak księżę, dosiadającym konia bracie, zapłoniałam się ze wstydu, a wszelkie marzenia tych wiosennych dni wydały mi się koszmarem.

Zawróciliśmy konie i ruszyliśmy. Czułam na sobie wzrok Ralpa, kiedy patrzył, jak odjeżdżamy. Tym razem jego wzrok nie nappełnił mnie radością, lecz przerażeniem. Jechałam sztywno, wyprostowana; klacz czuła mój niepokój, nastawiła czujnie uszu.

Miałam w sobie poczucie dumy, ale byłam młoda, zmysłowa i upłynęło już wiele dni, odkąd ostatni raz znalazłam się z Ralphem sama. Na niziny wiódł szlak, którym jechałam z ojcem wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyłam Wideacre z wysokości końskiego grzbietu; niziny stanowiły nasze ulubione miejsce spotkań z Ralphem. Gdy przejeżdżaliśmy przez bukowy zagajnik, przypominałam sobie długie leniwe popołudnie wzajemnego podsycańca pożądania w jakiejś głębokiej zacienionej jamie. Gdy konie wspięły się na najwyższy na nizinach punkt, minęliśmy nasze gniazdko wśród paproci.

W tym miejscu, zaledwie kilka jardów od podków konia mojego brata, namówiłam Ralpa, żeby leżał spokojnie jak posąg, a ja rozebrałam go i przebiegałam językiem i bujnymi lokami po całym jego ciele. Jęczał z żądy, gdy tak zmuszał się, by spokojnie leżeć. I słodki odwet: położył mnie na trawie i całował niespiesznie wszędzie, w każdą nie zbadaną wrażliwą szparę mego nagiego ciała. Dopiero gdy dosłownie szlochałam z pożądania, wśliznął się we mnie.

Od rozpamiętywania tamtej rozkoszy płonęłam jakimś wilgotnym żarem i spod oka spoglądałam na mojego brata z nagłą niechęcią, bo przerwał nam lato, teraz gdy wysokie paprocie tak dobrze mogły nas zasłonić i tylko wzlatający w niebo sokół wędrowny dostrzegłby naszą nagość.

Wtem odezwała się.

— Muszę jechać, Harry. Nie czuję się dobrze. To jedna z moich migren.

Spojrzał na mnie natychmiast z troską. Czułam, jak ogarnia mnie litość nad jego łatwowienością.

— Beatrice! Pozwól się odwieźć do domu.

— Nie, nie! — zachowywałam pozory. — Nie psuj sobie przejażdżki. Pojadę do domku Meg i napiję się jej słynnego naparu z maruny. To mi zawsze pomaga.

Ucięłam jego protesty i niepokój, zwracając konia i odjeżdżając tą samą drogą. Czułam na sobie jego wzrok, więc pochyliłam się w siodle, jak gdyby każdy krok był wstrząsem dla mojej głowy. Gdy jednak dotarłam do schronienia wśród buków, poza zasięgiem jego wzroku wyprostowałam się i pomknęłam rączo na skróty do chatki Meg — nie drogą, lecz przesadziwszy ogrodzenie parku, a potem kłusem wzdłuż rzeki Fenny, tam gdzie drzemał w słońcu przysadzisty domek. Ralph siedział na dworze. Pies wyciągnął się przy nim. Ralph przywiązywał powróż do sideł. Na jego widok serce mi się ścisnęło. Usłyszał stukot podków i odłożył robotę. Podszedł uśmiechnięty i spokojny do furki na spotkanie.

— Pozbyłaś się swojego wszechmocnie nam panującego brata? Czułem się jak pył na drodze w porównaniu z nim.

Nie odpowiedziałam uśmiechem. Zbyt bolesny był kontrast między nimi dwoma.

— Jechaliśmy nizinami — odparłam. — Obok naszych miejsc. I zatęskniłam do ciebie. Chodźmy do młyna.

Kiwnął głową jak gdyby potwierdzając przyjęcie rozkazu i uśmiech znikł z jego oczu. Przywiązałam klacz do furtki i poszłam za nim ścieżką. Tuż za drzwiami odwrócił się, wziął mnie w ramiona i zaczął coś mówić, ale pociągnęłam go na słomę i powiedziałam niecierpliwie:

— Po prostu zrób to, Ralph.

Gniew i smutek opuściły mnie, gdy poczułam, jak znajoma, lecz zawsze nowa rozkosz rozgrzewa mnie. Całował mnie gwałtownie, wyładowując własną złość i smutek. Potem rozpiął przód mojej sukni przy szyi. Drżącymi palcami rozwiązywałam skórzane troczki jego spodni, a on zmagął się z halkami i spódnicami stroju do konnej jazdy. Odezwałam się z niecierpliwością: „Ja to zrobię” i ściągnęłam strój razem z halkami przez głowę.

Naga rozłożyłam się pod nim i dygotałam z rozkoszy, gdy napał na mnie całym ciężarem ciała. Sapaliśmy w uścisku jak walczące psy. Ściskałam jego pośladki, przyciągałam do siebie i gdzieś w środku głowy odbijały się echem moje jęki rozkoszy — rytmicznie, jak westchnienia towarzyszące rozkołysaniu kochających się ciał. Wtedy drzwi otwały się szeroko i padł na nas biały mur bijącego w oczy światła słonecznego, zupełnie jak cios niewidzialnej ręki. W ułamku sekundy zamarliśmy zaszokowani i przerażeni. Ralph odwrócił się, a ja ze zbielełą twarzą zerkałam mu przez ramię.

W zalanym słońcem wejściu stał mój brat, mrużąc oczy w mroku, przyglądając się swojej siostrze zżeranej przez żądę na brudnej od sieczki podłodze. Przez krótką chwilę zamarliśmy w bezruchu niczym jakieś obsceniczne malowidło, potem Ralph zeskoczył ze mnie. Umknęłam na bok, sięgnęłam po ubranie, a Ralph skórzanymi bryczesami zakrył swoją sterczącą nagość. Dalej nikt nic nie mówił. Milczenie trwało całą wieczność. Stałam, przyciskając do piersi nowy strój do konnej jazdy, gapiąc się na brata ze zgrozą.

Wtedy Harry wydał zduszony krzyk i rzucił się na Ralpa z uniesioną szpicrutą. Ralph był cięższy i wyższy i bił się z wiejskimi chłopakami, odkąd zaczął chodzić. Bronił się przed Harrym i jego rozwścieczone uderzenia szpicrutą spadały tylko na ręce i ramiona Ralpa. Nagle uderzenie w policzek wyzwoliło jego gniew. Wyrwał Harry'emu szpicrutę, walnął go mocno w brzuch i podciął nogi, aż Harry z hukiem wylądował na podłodze na plecach. Ostry kopniak w krocze sprawił, że zwinął się w kłębek. Wrzasnął. Sądziłam, że to z bólu, i krzyknęłam:

— Ralph, nie!

Wtedy twarz mojego brata wynurzyła się z zakurzonej słomy i ujrzałam rozanielony uśmiech i zamglony wzrok. Zamarłam, poznając wyraz szczęścia, rozkoszy, gdy leżał w brudzie u stóp Ralpa, jak niewolnik podnosząc wzrok na swego wysokiego pana i szpicrutę w jego ręku. Podniósł ciało w tym kurzu i czołgał się do nagich stóp Ralpa.

— Uderz mnie — odezwał się błagalnym dziecinnym głosem. — Och, proszę, uderz mnie.

Niedowierzający wzrok Ralpa spotkał się z moim wzrokiem i zdaliśmy sobie sprawę, że wszystko ujdzie nam na sucho. Wreszcie dowiedziałam się, dlaczego mojego brata usunięto ze szkoły. Zrozumiałam, jakie piętno odcisnęła na nim na całe życie szkoła doktora Yately'ego.

Lekkie uderzenia szpicruty Ralpa spadły na świetnie skrojony żakiet i bryczesy Harry'ego. Ten mocniej ścisnął obnażoną stopę Ralpa i wydał krótki okrzyk, a potem drżące westchnienie rozkoszy. Przyszły

pan Wideacre szlochał jak dziecko, z twarzą zagrzebaną w brudnej słomie i dłońmi obejmującymi stopę wyrobnika. Ralph i ja patrzyliśmy na siebie w całkowitej ciszy.

Cisza ta trwała, jak się wydawało, całe lato. Mój brat nie pilnował już każdego mego kroku, nie chodził za mną jak cień, nie wałęsał się koło stajni, kiedy przygotowywano dla mnie konia, nie deptał mi po piętach, gdy spacerowałam w ogrodzie, nie siadywał koło mnie w salonie co wieczór. Teraz trzymał się Ralph. Ojciec cieszył się, że Harry wędruje po całej naszej posiadłości, a nie tylko wokół domu, i że nie przesiaduje w czterech ścianach. Powoli Harry poznawał pola, lasy i rzekę Fenny, kiedy podążał krok w krok za Ralphem — równie wiernie jak nowy spaniel Ralph, czarny szczeniaczek. Ralph sprawdzał sidła, rozsypywał ziarno dla kulawych ptaków, sprządał pętle z drutu kolczastego, oznaczał nory lisie i borsucze, a Harry snuł się za nim jak cień, poznając w wyniku tych eskapad sekrety Wideacre, które ja znałam od dziecka.

Wreszcie się od niego uwolniłam, ale Ralph i ja czuliśmy się niesłychanie skrępowani w obecności mojego milczącego spostrzegawczego brata. Nawet przez te parę dni, kiedy wyjeżdżałam z domu wcześniej, zanim Harry wstał, żeby spotkać się z Ralphem, nie obejmowaliśmy się z dawną namiętnością. Czułam się oziębła, spięta, a Ralph zachowywał stoicki spokój i milczenie. Czułam się tak, jak gdyby w każdej chwili mógł wejść Harry i znów czołgać się u stóp Ralph z błaganiem, by go uderzył. Nie mogłam nawet spytać Ralph, czy on i mój brat... Jeśli podczas swoich długich wędrówek po posiadłości oni także zatrzymali się w jakiejś zacisznej jamie i...? Czy kiedy nie wytresowany jeszcze szczeniak Ralph, dostawszy lanie, tarzał się na grzbiecie, Ralph zwracał się z uniesioną szpicrutą do Harry'ego i...? Nie mogłam spytać. Nie mogłam sobie wyobrazić ich dwóch razem, nie mogłam znaleźć odpowiednich słów, by zadać pytanie, które bardzo chciałam zadać, ale nie ośmieliłam się.

Może powinnam czuć się zazdrosna, ale tak nie było. Magiczne lato z Ralphem, mrocznym bogiem, wydawało się zakończone w magiczny sposób — tak nagle, jak się zaczęło. Dla mnie skończyło się ono na podjeździe owego gorącego dnia, gdy Ralph złożył ukłon mojemu bratu, a on nawet tego nie zauważył. Ralph uczył mnie rozkoszy, uczył mnie, jak strzec swego serca, ale nie mieliśmy przed sobą żadnej przyszłości. Był jednym z naszych pracowników, służącym, a ja byłam panią Wideacre. Gdy sama jechałam konno na polowanie albo powozem jechałam do kościoła, albo wędrowałam po naszych polach, nie chciałam patrzeć na Ralph swobodnie opartego o żywopłot i uśmiechającego się do mnie po swojemu — tajemniczo i przebiegle. Nie czułam zazdrości, lecz bolesna świadomość kastowej przepaści między nami sprawiała, że nienawidziłam tego uśmiechu, gdy widziałam, że jest skierowany do mojego brata; kiedy widziałam pomocnika gajowego, jak na każde zawołanie służy przysłuszanemu panu.

W ciągu następnych tygodni widywałam się zatem z Ralphem rzadko, on zaś nie szukał mnie. Uśmiechnął się do mnie swoim tajemniczym uśmiechem, kiedy jechałam drogą do Acre obok mamy w powozie. Sądziłam, że w czarnych aksamitnych oczach kryje się jakieś przesłanie. Jak gdyby czegoś oczekiwał. Na okazję, by porozmawiać ze mną swobodnie; na sposobność, by wyrazić w słowach jakiś długo obmyślany plan. Ale był chłopakiem ze wsi i wierzył w czekanie na odpowiednią porę.

W każdym razie miał teraz czas zajęty. Niebawem rozplenilo się kłusownictwo. Cena baraniny osiągnęła niebotyczny poziom po epidemii zgnilizny kopyt na wiosnę i nawet naszych dzierżawców nic nie

odstraszało. Znikał bażant za bażantem, a przy każdym posiłku Harry mówił o tym, jak Ralph planuje wyłapywać wyłapywać kłusowników, i wychwalał zdecydowanie i odwagę Ralpa.

To było niebezpieczne zajęcie. Kłusownictwo karze się śmiercią przez powieszenie, a ci, którzy się go dopuszczają, to ludzie zdecydowani na wszystko. Wielu kłusowników miało już na sumieniu morderstwo — zatłuczenie gajowego, który ich rozpoznał. Ralph trzymał w pogotowiu strzelby i nosił ze sobą ciężką pałkę. Dwa psy — czarny owczarek i czarny spanielek — penetrowały las przed i za panem, chroniąc tym samym i jego, i bażanty.

Przy śniadaniu, obiedzie czy herbacie słyszeliśmy entuzjastyczne relacje Harry'ego o wojnie wydanej kłusownikom i rezultatach jakie daje pomoc, której Ralph udziela gajowemu. A kiedy Ballings, gajowy, zachorował na dyzenterię, Harry nalegał, żeby Ralphowi płacić dodatkowe dwa szylingi tygodniowo i powierzyć mu obowiązki gajowego, dopóki ten nie powróci do sił.

— On jest bardzo młody — stwierdził ostrożnie papa. — Sądzę, że rozsądniej będzie sprowadzić kogoś starszego, dopóki Ballings nie wyzdrowieje.

— Nikt tak nie zna terenu jak Ralph, papo — odrzekł Harry stanowczo. — A chociaż jest młody, jest dojrzały i silny jak wół. Powinieneś zobaczyć, z jaką łatwością podrzuca mnie, kiedy się siłujemy! Nie sądzą, że ktoś inny lepiej by wykonywał tę pracę.

— Cóż — odezwał się papa z wyrozumiałością, wpatrzony w rozpromienioną twarz Harry'ego — będziesz tu panem, kiedy ja odejdę. Mianujesz młodego gajowego, takiego jak Ralph, i będziecie pracować razem aż po kres żywota. Cieszę się, że spieszysz z dobrą radą.

Spojrzałam na ojca i szybko przeniósłam wzrok z powrotem na talerz. Jeszcze parę tygodni temu to mnie papa pytałby o zdanie. Wtedy wychwalałabym Ralpa pod niebiosa, bo uwielbiałam go. Teraz nie byłam taka pewna. Zniewolił mojego brata. Wyostrzyłam słuch, kiedy padła wzmianka o ich zawodach zapaśniczych. Zabrzmiało to jak jedno ze wspomnień o Staveleyu. I z jakichś nie uświadomionych powodów obawiałam się tak przemożnej władzy Ralpa nad impulsywnym sercem Harry'ego.

— Potrzebuję kogoś, kto dopilnowałby dziś owiec — powiedział papa wodząc wzrokiem od Harry'ego do mnie, nikogo nie wyróżniając.

— Ja pojedę — oznajmił Harry — ale muszę się z tym uporać do obiadu. Ralph znalazł gniazdo pustułki i pójdę tam po południu, zanim złoży drugie jajo.

— Ja pojedę — odezwałam się. — Trzeba sprawdzić, czy owce nie mają zgnilizny kopyt, a ty, Harry, nie rozpoznasz objawów.

Papa rozpromienił się nieświadom zazdrości kryjącej się w moim głosie.

— Wygląda na to, że mamy oto dwoje zarządców! — stwierdził zadowolony. — Co na to powiesz, madame?

Mama też się uśmiechnęła. Nareszcie wszystko trafiło na właściwe jej zdaniem miejsce. Tylko ja wciąż okazywałam krnąbrność.

— Powinien jechać Harry — odezwała się słodko. — Chciałabym, żeby Beatrice ścięła dziś rano trochę kwiatów, a po południu mogłaby pojechać ze mną złożyć parę wizyt.

Przeniosłam wzrok na twarz ojca z milczącym instynktownym apelem. Ale on na mnie nie patrzył. Teraz, gdy jego syn był w domu, nasza czuła niewymuszona przyjaźń zesłała na drugi plan. Obserwował, jak Harry zapoznaje się z ziemią z takim zainteresowaniem i miłością, jakie ongiś on sam okazywał ucząc mnie. W oczach miał dumę i miłość, gdy patrzył na swego wysokiego złotowłosego syna. Widział, jak Harry rośnie, mężnieje i rozwija się — z oseska, maminsynka w młodego mężczyznę. Widział w nim przyszłego pana Wideacre.

— A więc Harry może jechać — orzekł okrutnie obojętnym tonem. — Pojadę z tobą, Harry, i pokażę ci, jak wyglądają kopyta chore na zgniliznę. Jeśli Beatrice ma rację i rzeczywiście tego nie wiesz, to najwyższy czas, żebyś się nauczył. Wideacre to nie tylko zabawa, rozumiesz!

— Ja chciałam pojechać dzisiaj — powiedziałam cicho, lecz twarzą wyrażając bunt.

Papa spojrzał na mnie i roześmiał się, jak gdyby moje rozczarowanie i ból wydały mu się śmieszne.

— Ach, Beatrice — odezwał się z jakąś odruchową, nic niewartą czułością. — Musisz się teraz nauczyć zachowywać jak młoda dama. Przekazałem ci całą swoją wiedzę o ziemi. Mama musi cię nauczyć wszystkiego, co konieczne do prowadzenia domu. A potem będziesz mogła rządzić swoim mężem w domu i na polu! — Zaśmiał się jeszcze raz, a dźwięczny jak dzwoneczek śmiech mamy powiedział mi, że zostałam pokonana.

Harry nauczył się od papy, jak rozpoznawać zgniliznę kopyt. Nie marnował czasu; przekonywał papę, że Ralph i Meg powinni się przenieść do innej chaty. Kiedy usłyszałam, jak o tym wspomina przy herbacie, nie mogłam utrzymać języka na wodzy.

— Nonsens! — wykrzyknęłam. — Ralphowi i Meg jest bardzo dobrze w ich chatce. Nic praktycznie nie płacą za jej wynajem, a Meg należy do niechlujnych gospodyń. Słomiany dach odpada, bo leniwemu Ralphowi nie chce się nazbierać słomy i pokryć domu nową strzechą, a Meg na tym nie zależy. Wcale nie prosili o przeprowadzenie ich do innego domu. Meg nie wiedziałaby, co robić z porządniejszą chatą.

Ojciec zgodził się ze mną kiwnięciem głowy, ale spojrzał na Harry'ego. Fakt, że odwrócił ode mnie wzrok, dopiekł mi do żywego. Patrzył na swojego następcę, dziedzica i rozważał jego opinię. Moje zdanie, jako córki, dobre czy złe, nie miało znaczenia. Ale zdanie Harry'ego liczyło się bardzo, ponieważ to od niego zależała przyszłość. Był mężczyzną, a więc dziedzicem.

Papa nie przestał mnie kochać. Wiedziałam. Nie poświęcał mi już jednak tyle uwagi. Zerwała się nić naszego koleżeństwa — którego początek miał miejsce, gdy ojciec po raz pierwszy prowadził za uzdę mojego kucyka i którego wyrazem były nasze wspólne przejażdżki ramię w ramię. Teraz inny koń jechał u boku papy: koń przyszłego dziedzica.

Mogłam sobie jeździć konno, brzdąkać na fortepianie lub malować obrazki; to nie miało znaczenia. Byłam córką w tym domu. Byłam tu tylko przejściowo. Przyszłość czekała na mnie gdzie indziej.

A kiedy Harry znajdował słuchacza w papie, Ralph znajdował słuchacza w Harrym. I o ile znałam Ralpha, umiał użyć swoich wpływów do własnych celów. Tylko ja wiedziałam o jego chęci posiadania ziemi. Tylko ja wiedziałam, co to znaczy zostać outsiderem we własnym domu, na własnej ziemi, co to znaczy pragnąć gdzieś przynależeć i czuć się bezpiecznie, co to znaczy być odrzuconym.

— Ralph to znakomity pracownik — stwierdził Harry stanowczo. Brak pewności siebie minął bez śladu, lecz zachował łagodny głos i spokojne usposobienie. Otwarcie się ze mną nie zgadzał, nawet nie



pomyślawszy, że mogę się zirytować czy wściec. — Wstyd byłoby go utracić, a wielu właścicieli ziemskich zapłaciłoby mu więcej i dało lepsze mieszkanie. Sądzę, że powinien dostać chatę starego Tyacke'a, kiedy ten umrze. To wygodna chata i blisko z niej do terenów łowieckich.

Wybuchłam gniewem na tę bezmyślność mojego brata.

— Nonsens! Chata starego Tyacke'a warta jest sto pięćdziesiąt funtów komornego rocznie, a wpisowe dla nowego dzierżawcy wynosi sto funtów. Nie możemy tak łatwo wyrzucać pieniędzy, ot żeby tylko Ralphowi było wygodnie. Możemy wyremontować mu jego starą chatę albo przeprowadzić go do jakiejś chatki we wsi, ale chata starego Tyacke'a nie wchodzi w rachubę. To właściwie porządny dom! Po co Ralphowi i Meg dodatkowy pokój od frontu, przecież tylko trzymaliby tam bażanty.

Matka, głucha jak głaz na nasze dyskusje, słyszała zaledwie ton mego głosu i postanowiła wyjść poza swą zwykłą obojętność.

— Beatrice, a gdzież dobre maniery? — odezwała się mechanicznie. — Nie mieszaj się do interesów, kochanie.

Puściłam mimo uszu tę uwagę, lecz ojciec skinieniem głowy nakazał mi milczeć.

— Rozważę to, Harry — stwierdził. — Ralph to dobry pracownik, masz rację. Pomyśl o tym. Jest niezawodny, jeśli chodzi o ochronę bażantów i lisów i powinniśmy zatrzymać go w naszym majątku. Beatrice słusznie mówi, że dom Tyacke'a to chata wiele warta, ale Ralph naprawdę potrzebuje czegoś lepszego niż ta chałupa nad strumieniem. Ralph to chłopak z głową. Zastawił nawet w lesie jedną z pułapek na kłusowników. Zna swój fach i pracuje ciężko. Rozważę całą sprawę.

Mój brat kiwnął głową i uśmiechnął się do mnie bez śladu złośliwości czy triumfu. Przyjaźń z Ralphem dodała mu śmiałości, lecz nie arogancji. Zachował uśmiech cherubinka, uczniaka, błękitnookiego szczęśliwego dziecka.

— Będzie zadowolony — odparł pogodnie.

Wtedy uświadomiłam sobie, że to był pomysł Ralpha, argumenty Ralpha, słowa Ralpha. Dawał mi rozkosz, posiadał mnie, lecz mojego brata owinął sobie wokół palca. Przez Harry'ego mógł mieć wpływ na ojca, a ja ponieważ go znałam, wiedziałam, że nie wystarczy mu wynajęcie niewielkiej w sumie chaty starego Tyacke'a. Ralphowi chodziło o ziemię, a potem o jeszcze więcej ziemi. O naszą ziemię. Niewielu ludzi w swoim życiu rusza się dalej niż pięć mil od miejsca swego urodzenia. Ralph urodził się na ziemi Wideacre i tutaj miał umrzeć. Jeśli chciał ziemi, tym samym chciał naszej ziemi. Chata to dla niego tylko pierwszy stopień i nie byłam w stanie sobie wyobrazić, jak daleko sięga jego apetyt. Rozumiałam to dobrze, bo rozumiałam przecież siebie. Zrobiłabym wszystko, popełniła każdą zbrodnię, każdy grzech, aby zostać właścicielką naszych pól i lasów. Z rosnącym strachem zastanawiałam się, czy Ralph czuje taką samą żądzę i czy mój zauroczony brat mógłby mu się oprzeć.

Przeprosiwszy obecnych, wstałam od stołu i wymknęłam się do stajni, ignorując wypowiedane półgłosem jakieś uwagi matki. Musiałam zobaczyć się z Ralphem nie dlatego, że go kochałam, lecz po to by sprawdzić istnienie w nim tej pasji do ziemi, tej namiętności, którą on dostrzegł we mnie. Jeśli pragnął Wideacre tak mocno jak ja — przytulnego pięknego domu, pięknych ogrodów, fałd wzgórz i żyznej torfowej ziemi ze srebrzystymi smugami piasku — jeśli pragnął Wideacre, to moja rodzina była zgubiona. Entuzjazm

Harry'ego dotyczył zatem kukułki, która bezlitośnie nas usunie i zagarnie dla siebie całe złote królestwo. Moja klacz szybkim kłusem przemierzała drogę do chaty, nagle nie wystarczającej dla Ralpa. Koń spłoszył się niespodziewanie i niemal wysadził mnie z siodła, kiedy krzak przy ścieżce poruszył się i zaszeleścił.

— Ralph! Ale mnie wystraszyłeś!

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

— Powinnaś mocniej trzymać cugle, Beatrice.

Obróciłam głowę klaczy do przodu, żeby zobaczyć, co robi Ralph. Rozwierał szczęki olbrzymiej pułapki na kłusowników, okrutnej broni. Wyglądała jak wielka kłamra. Produkowano takie masowo w londyńskich warsztatach, a służyły do ochrony terenów łowieckich szlachty. Szeroka blisko na cztery stopy, zrobiona z żelaznych zaostzonych kołców, ze sprężyną działającą szybko jak trzaśnięcie bicia.

— Cóż za okropieństwo — powiedziałam. — Czemu zastawiasz ją na ścieżce?

— Tę ścieżkę widać z chaty. Oni to wiedzą. Właśnie tutaj, tuż przed zakrętem ścieżki, czołgają się przez krzaki, aby się dostać do grzęd bażantów. Widziałem odciski butów. Myślę, że spotka ich miłe powitanie tam, gdzie się go nie spodziewają.

— Czy to może zabić człowieka? — spytałam, wyobrażając sobie zwierające się szczęki.

— Może — niefrasobliwie odrzekł Ralph. — To zależy, czy ma się szczęście. W wielkich posiadłościach na północy kraju rozstawia się takie pułapki wokół murów i sprawdza je raz na tydzień. Jeśli złapie się człowiek, może się wykrwawić na śmierć, zanim gajowy zrobi obchód. Twój ojciec nie powinien pozwalać na takie rzeczy u siebie. Jeśli ma się szczęście, można złamać tylko obie nogi; jeśli zaś żelazo przetnie żyły, można się wykrwawić na śmierć.

— Czy zjawisz się na tyle szybko, żeby uratować życie kłusownikowi? — spytałam, ze wstrętem patrząc na rozwartą u moich nóg pułapkę wystającą z liści niczym zaproszenie na śmierć.

— Nieee — Ralph przeciągał głoski niewzruszony. — Widziałaś, kiedy rozciąłem gardło jelenia. Wiesz, jak szybko umiera zwierzę, gdy tryska krew. Z człowiekiem jest tak samo. Ale ma szansę, że do końca życia będzie chodził trochę wolniej.

— Lepiej ostrzeż swoją matkę — wykazałam zapobiegliwość.

Ralph zaśmiał się.

— Uciekła zaraz, kiedy to zobaczyła. Wiesz, ona wszędzie wietrzy śmierć. Powiedziała, że jej cuchnie śmiercią. Rozpaczała, że mam z czymś takim do czynienia. — Spojrzał na mnie kątem oka. — Śpię tutaj sam po południu, a w nocy pilnuję.

Puściłam mimo uszu kryjące się za tym zaproszenie, ale aż gęsia skórka wystąpiła mi na wspomnienie tego, co niegdyś oznaczało długie popołudnie sam na sam w chacie Ralpa.

— Jesteś w świetnej komitywie z paniczem Harrym — odezwałam się.

Kiwnął głową.

— On poznaje las. Nie ma takiego zmysłu do ziemi jak ty, ale będzie wystarczająco dobrym dziedzicem, jeśli doberze sobie odpowiedniego zarządcę.

— Nigdy nie mieliśmy zarządcy — odparłam szybko. — Nie potrzebujemy w Wideacre zarządców.

Ralph wciąż klęcząc, posłał mi długie zimne spojrzenie. Oczy miał jasne i ostre jak zębiska pułapki.

— Może następny dziedzic będzie miał zarządcę — powiedział powoli. — Może ten zarządca będzie dobrze znał ziemię, lepiej nawet niż sam pan. Może zarządca będzie kochał ziemię i będzie dla niej dobrym panem, lepszym niż sam dziedzic. Czyż nie tego potrzebuje pan i jego ziemia? Czy takich ludzi nie chciałabyś mieć tutaj, przy sobie?

Zsunęłam się z klaczy i przywiązałam cugle do długiej gałęzi w bezpiecznej odległości od pułapki.

— Chodźmy nad rzekę — zaproponowałam. — Zostaw to.

Ralph kopniakiem nałożył na pułapkę więcej maskujących liści i podążył za mną. Pochyliłam się i musnęłam policzkiem jego ramię. Szliśmy w milczeniu. Rzeka Fenny, nasza rzeka bogata w pstrągi, jest tak czysta, że można pić z niej wprost wodę w każdym miejscu. W lecie bierze łoś, a pstrąga czy wiadro węgorzy złapać można zawsze już po półgodzinie zastawiania sieci. Kamyki mają złoty odcień, a rzeka tworzy w świetle słonecznym srebrną smugę z tajemniczymi bursztynowymi plamami, wijącą się w cieniu drzew. Obserwowaliśmy wodę płynącą po kamieniach jednostajnym wiecznym prądem i krzyknęliśmy jednocześnie: „Patrz! Pstrąg!” i uśmiechnęliśmy się z tej zbieżności. Nasze oczy spotkały się, dzieląc miłość do pstrąga, rzeki i cudownych terenów hrabstwa Sussex. Dni oddalenia nagle poszły w niepamięć i uśmiechnęliśmy się.

— Tu się urodziłem i wychowałem — odezwał się niespodzianie Ralph. — Mój ojciec i jego rodzice, i ich rodzice pracowali na tej ziemi od zawsze. To daje mi jakieś prawa.

Rzeka szemrała cicho.

Zwalony pień drzewa łączył oba brzegi. Weszłam nań i usiadłam. Zaczęłam machać nogami nad wodą. Ralph zachowując równowagę, przeszedł po pniu i przechyliwszy się przez gałąź, patrzył na mnie.

— Teraz wyraźnie widzę swoją drogę — powiedział cicho. — Widzę wyraźnie swoją drogę do ziemi i do rozkoszy. Pamiętasz, Beatrice, kiedy rozmawialiśmy o tym po raz pierwszy? Ziemia i rozkosz dla nas dwojga.

Pstrąg plusnął za jego plecami, lecz nie odwrócił głowy. Patrzył na mnie z bliska, tak jak moja sówka patrzyła na mnie w nocy, jak gdyby chciał czytać w moich myślach. Podniosłam wzrok i spojrzałam na niego kątem moich skośnych oczu.

— Ta sama ziemia i ta sama rozkosz. Weźmiemy je wspólnie?

Kiwnął głową.

— Zrobiłabyś wszystko, żeby zostać panią Wideacre, prawda, Beatrice? Oddałabyś wszystko, poświęciłabyś wszystko, żeby zostać panią na dworze Wideacre i jeżdżąc codziennie przez swoje ziemie mówić: „To moje”.

— Tak — stwierdziłam.

— Ale nie dane ci to będzie. Już nie jesteś dzieckiem. Wiesz, jaką masz przed sobą przyszłość. Odeślą cię do Londynu i wydadzą za jakiegoś nieznajomego, który zabierze cię gdzieś daleko, może do innego hrabstwa. Tam ziemia, pogoda i uprawa ziemi będą całkiem inne. Siano będzie pachniało inaczej, ziemia będzie miała inny kolor. Mleko i ser będą inaczej smakować. Harry poślubi jakąś dziewczynę z wyższych sfer, którą tu sprowadzi i uczyni królową i która zajmie miejsce twojej matki. Będiesz szczęśliwa, jeśli ci pozwolą raz w roku, na Boże Narodzenie, odwiedzić Wideacre.

Nic nie odrzekłam. Zbyt wyraźny, zbyt prawdziwy był to obraz. Ralph układał plany, a ja śniłam. Miał rację we wszystkim, co powiedział. Odeślą mnie stąd. Harry się ożeni. Wideacre nie będzie wiecznie moim domem. Znajdę się gdzieś daleko w nieznanym części kraju. Może co gorsza, będę musiała mieszkać z wyczulonym na punkcie mody mężem w Londynie i już nigdy nie odetchnę wonią świeżo skoszonego siana. Nie odrzekłam nic, ale bałam się i czułam ranę we wnętrzu.

Sypialnia, której mama nie chciała na nowo dla mnie urządzić; ostrzeżenie papy pod moim adresem; miłość okazywana Harry'emu przez oboje rodziców — wszystko to niczym bicie dzwonu mówiło mi, dokąd zmierzam. Zmierzałam ku wygnaniu, zaś ani moja wola, ani pasja nie mogły mnie ocalić.

Ralph odwrócił wzrok od mojej zaszokowanej twarzy i patrzył w nurt rzeki. Smukły srebrzysty pstrąg delikatnie poruszał płetwami, wynurzając pyszczek ze strumienia.

— Istnieje sposób, byś została tutaj jako pani Wideacre — odezwał się powoli. — To długa i kręta droga, ale da nam ziemię i rozkosz.

— Jaki to sposób? — Ból żołądka spowodowany poczuciem osamotnienia sprawiał, że mówiłam cicho i wolno jak on. Wrócił do mnie i usiadł obok. Jak konspiratorzy zbliżyliśmy głowy.

— Kiedy Harry odziedziczy majątek, ty zostaniesz przy nim. On ufa i tobie, i mnie. Oszukamy go, ty i ja. Jako zarządca mogę go oszukiwać na rachunkach, plonach, ziemi. Będę mówił, że musimy płacić większe podatki, a różnicę będę zabierał sobie. Powiem, że potrzebujemy specjalnego ziarna na zasiewy, specjalnych zwierząt, a różnicę zabiorę sobie. Ty też będziesz oszukiwała na rachunkach. Płace dla służących, wydatki domowe, gospodarstwo przydomowe, stajnie, mleczarnia, browar. Wiesz, jak to robić, lepiej niż ja. — Poczekał, a ja kiwnęłam głową. Wiedziałam. Od najwcześniejszych lat uczestniczyłam w prowadzeniu posiadłości, podczas gdy Harry przebywał w szkole lub u krewnych. Wiedziałam, że mogę na oszustwie zbić fortunę na samych rachunkach domowych. Oceeniłam, że działając z Ralphem zrobilibyśmy z Harry'ego bankruta w ciągu trzech lat. — Zrzuńmy go — głos Ralpha przeszedł w szept mieszający się ze szmerem strumienia. — Dostaniesz dożywocie albo w pieniądzu, albo w postaci dożywotniego mieszkania. Zabezpieczysz sobie dochód, a jego doprowadzimy do bankructwa. Za pieniądze, które zgromadzimy, odkupimy od niego posiadłość. A potem ja zostanę tu panem, a ty tym, na co zasługujesz, czyli panią najpiękniejszej posiadłości i domu w Anglii, żoną dziedzica, panią Wideacre.

— A Harry? — spytałam chłodno.

Ralph splunął pogardliwie na brzeg rzeki.

— On jest jak glina, którą każdy może lepić — stwierdził. — Zakocha się w jakiejś ładnej dziewczynie albo może w jakimś ładnym chłopcu. Może się powiesi, może zostanie poetą. Może zamieszka w Londynie albo pojedzie do Paryża. Dostanie trochę pieniędzy ze sprzedaży majątku; nie umrze z głodu. — Uśmiechnął się. — Może nas odwiedzać, jeśli sobie zażyczysz. Nie obchodzi mnie Harry.

Uśmiechnęłam się na to, lecz serce zabiło mi szybciej — od nadziei zmieszanej z gniewem.

— To może się udać — orzekłam obojętnym tonem.

— To się uda. Wiele nocy spędziłem na snuciu planów.

Wyobraziłam sobie, jak Ralph kryje się w lesie wśród paproci, jak ciemne oczy świecą w mroku, wypatrując kłusowników, a jednocześnie patrzą dalej, w przyszłość, kiedy nie będzie już chłodu i nocy

spędzanych w niewygodzie. Kiedy inni ludzie, opłaceni ludzie, będą za niego pilnowali lasu, a on będzie mógł jeść, pić i stać przy trzaskającym kominku i rozprawiać o opieszałości służących, o problemach z rejestrem dzierżaw, o stanie zbiorów i niekompetencji rządu, a inni dżentelmeni będą go słuchali i mu potakiwali.

— To się uda, ale jest jeden problem — stwierdziłam.

Ralph czekał.

— Mój ojciec jest zdrowy, silny jak wół. W każdej chwili może spłodzić jeszcze jednego syna i otoczyć go opiekunami i zaufanymi ludźmi. Harry natomiast dziś fascynuje się tobą, lecz wątpię, czy zdołasz go utrzymać przy sobie przez dwadzieścia lat. Ojciec ma czterdzieści dziewięć lat. Może żyć jeszcze drugie czterdzieści. Kiedy umrze, ja już od trzydziestu pięciu lat mogę być żoną jakiegoś starego, tłustego, szlachetnie urodzonego Szkota i mieć kupę dzieciaków, a pewnie i wnuków po drodze. Żona Harry'ego, kimkolwiek by była, osiadzie tu na dobre i obrośnie tłuszczykiem, niańcząc ze dwóch nowych dziedziców. Najlepiej miej nadzieję tylko na chatę starego Tyacke'a. A ja będę miała nadzieję — głos mi zadrżał — na wygnanie.

Ralph kiwnął głową.

— Tak, tak — odparł. — To cała trudność. Uda się, ale tylko teraz, tego lata. Trzeba to zrobić, dopóki Harry depta mi po piętach i robi, co mu każę, albo snuje się za tobą. Kiedy jest zakochany w nas obojgu i boi się o nas oboje. Trzeba to zrobić teraz, dopóki jesteśmy głodni tej ziemi i głodni miłości. Nie chcę czekać, Beatrice.

Wpatrzona we mnie oczy jaśniały. Kochał mnie i moją ziemię; to mikstura mogąca uderzyć do głowy zwykłego wyrobnika, syna wyrobnika. Ponura wizja życia z dala od Wideacre, czekającego mnie niebawem, stanowiła jaskrawy kontrast wobec wyśniewanej wizji Ralpha, wizji, którą mogliśmy urzeczywistnić: pani na Wideacre.

— Mój ojciec wygląda zdrowo — odezwałam się oschle.

Nastąpiła długa cisza. Nasze oczy spotkały się w niemej świadomości, jak daleko zaszliśmy w naszym postanowieniu, by ziścić marzenia Ralpha i moje marzenia.

— Zdarzają się wypadki — słowa Ralpha rozległy się w ciszy tak złowieszczej i przepastnej jak rzeczna głębia przy nieczynnym młynie. Jak kamień ciśnięty do wody, myśl ta zaczęła zakreślać kręgi w moim umyśle. Przerazająca strata ukochanego wspaniałego ojca postawiona przeciwko niechybnej utracie Wideacre.

Przyjazna, nie do zastąpienia obecność mojego żywotnego hałaśliwego papy postawiona przeciwko nieuchronnej samotności, obcości wygnania, które nadciągało z równą pewnością jak moje szesnaste urodziny, a może wkrótce po nich. Spojrzałam na Ralpha bez uśmiechu.

— Wypadki — powiedziałam głucho.

— To się może zdarzyć jutro — stwierdził tak samo głucho.

Kiwnęłam głową. Mój umysł pracował jak zręczna prządka nad splątanym motkiem wełny; szukałam pomysłów i nici mogących wyprowadzić mnie z tej gmatwaniny grzechu i zbrodni, poprowadzić do mojego własnego słonecznego domu. Szacowałam w milczeniu, jak bardzo potrzebuję papy i jak bardzo potrzebuję poczucia bezpieczeństwa. Rozważałam zauroczenie Harry'ego Ralphem i dokąd to może zaprowadzić. Myślałam o mamie i o tym, w jaki sposób utrata ojca uczyniłaby mnie bardziej uległą wobec niej. Wciąż miałam jednak przed oczami wizję nieprzyjemnego północnego zamku daleko od ziemi, do której należałam, i



wizję siebie umierającej z tęsknoty za odgłosami poranka w Wideacre. Cały czas miałam też w pamięci profil papy, kiedy odwraca twarz ode mnie i patrzy na swego syna. Zdradził mnie, zanim zaczęłam wyobrazać sobie zdradę jego osoby. Westchnęłam. Mogła tu być tylko jedna odpowiedź.

— Uda się — zdecydowałam.

— Uda się teraz — poprawił mnie Ralph. — Harry może się zmienić za rok, za parę miesięcy. Jeśli wyślą go, żeby się przygotował do studiów na uniwersytecie, oboje utracimy nad nim kontrolę. Uda się tylko tego lata. Uda się jutro.

— Jutro? — w moim głosie zabrzmiała irytacja. — Mówisz: jutro. Naprawdę masz na myśli jutro? — Ciemne oczy Ralpa aż poczerniały od świadomości sensu jego słów.

— Tak. Jutro.

Westchnęłam.

— Dlaczego tak szybko? — przemówił przeze mnie instynktowny strach. Ale serce podskoczyło mi do gardła na myśl, że tak od razu zabezpieczę sobie przyszłość, że wszystko się natychmiast rozstrzygnie.

— A na co czekać? — słowami Ralpa kierowała okrutna logika. — Nic się nie zmieni w moich planach. Ufam też w twój zapal, Beatrice. Jeśli ci zależy na Wideacre, jeśli chcesz tu mieszkać, jeśli trwasz przy swoim postanowieniu tak mocno, jak sądzę, to na co czekać? — Zmrużone oczy mierzyły mnie i już wiedziałam, że razem stanowimy niebezpieczną substancję wybuchową.

Gdyby nie ja, taki plan nigdy nie powstałby w jego głowie. Gdyby nie ja, ten plan nie miałby szans na urzeczywistnienie. A gdyby nie jego nalegania, nie odważyłabym się na żaden krok. Byliśmy połączeni niczym para aniołów spadających w czeluść piekieł. Odetchnęłam głęboko, aby wyrównać rytm serca. Rzeka obojętnie szumiała gdzieś w dole.

## 4

Zerwałam się ze snu w perłowszarym świetle letniego świtu. Wiedziałam, że dziś właśnie mam coś zrobić i dlatego obudziłam się tak wcześnie. Przez długą chwilę, na poły pogrążona jeszcze w sennym oszołomieniu, nie mogłam sobie przypomnieć, co mnie tego dnia czeka. Westchnęłam ciężko, kiedy wczorajsze przeżycia stanęły mi przed oczami jak emaliowany obrazek: Ralph i ja siedzimy nad rzeką Fenny i rozmawiamy o szaleństwie, śmierci i zdradzie.

Ralph wykorzystał moment, kiedy byłam wytrącona z równowagi; wejrzał w moje zazdrosne, zaborcze serce, które mówiło (zawsze mówiło): „Kochaj mnie. Kochaj tylko mnie”. Widok ojca kochającego kogoś oprócz mnie; ojca, który wybiera kogoś innego, by z nim jeździł konno, z nim gawędził, z nim gospodarzył — ten widok wprowadził mnie w tak niepokonywaną wściekłość, że chciałam kogoś wychłostać, zadać ból, bo też i mnie ból zadano. Gdybym samym pragnieniem mogła spowodować śmiertelny upadek Harry'ego, zdecydowałabym się na to. Ukaralabym go za zajęcie mojego miejsca przy ojcu. Ale istota mego smutku i urazy kierowała się przeciwko ojcu, bo to on odwrócił się ode mnie; niestały, nic nie wart człowiek tak mi odpłacił za to, że bezgranicznie go kochałam przez całe życie. To przez jego niewierność zaczęłam szukać

innego sprzymierzeńca. Zawiódł zaufanie, okazał się niegodny miłości, pozbawił mnie oparcia moralnego, korzeni. Stałam się podatna na każdy projekt zemsty, jaki by się pojawił. Ja, lennik, przysięgałam wierność swojemu suzerenowi, lecz ten, wielki pan, złamał swą przysięgę. To już nie tylko rozczarowanie i żal, to zdrada.

A Ralph ośmielił mnie do kontrataku. Nadał temu słowu sens, treść. Obmyślił w swojej wyrachowanej głowie doskonały plan gotowy do realizacji. Logiczny plan, który nie mógł się nie powieść. Uda się. Dostanę to, czego pragnę — Wideacre — i zemszczę się za ból, który sprawił mi papa.

Potrząsnęłam głową na poduszce w półmroku mojej bielonej sypialni. Przez kilka sekund rozumowałam jak szaleniec. Przeniosłam się znów na zwalony pień i słyszałam cichy perswazyjny głos Ralpha. Musiałam oszaleć, żeby tego słuchać, a po dwakroć być szalona, żeby wyrazić zgodę. Pięknie było pomyśleć o ojcu, który zraniony woła mojej pomocy. Równie pięknie jawiło mi się magiczne zniknięcie ojca i Harry'ego zostawiających mi wolną rękę. Nie byłam przecież jednak na tyle głupia, aby uwierzyć, że wystarczy pomyśleć, aby marzenie stało się rzeczywistością. Jak skrzywdzone dziecko, zaczynałam się niebezpiecznie zbliżać do granicy uwierzenia w iluzje.

Porywać się na coś takiego — toż to istne szaleństwo. Wczoraj ogarnęło mnie szaleństwo z zazdrości i strachu o przyszłość. Ale krople rosy, blade jeszcze słońce i nie śpiewające na razie ptaki zwiastowały nowy dzień. Kiedy tylko wstanie służba i otworzy drzwi kuchenne, wymknę się do chaty Meg, zastukam w okno na Ralpha i powiem mu, że źle mnie zrozumiał. Nie będę długo czekała, bo kuchnia wcześniej zaczyna pracę, a najmłodsza służąca rozпали ogień i nanieśie drewna już za niecałą godzinę. Zanim nie otworzy drzwi, nie mam co wychodzić; jeśli sama bym je odryglowała, naraziłabym się na mnóstwo niewygodnych pytań. Musiałam zatem poczekać parę minut, narzucić ubranie, zejść na paluszkach po schodach i wysliznąć się za plecami służącej. Jeśli Ralph czaił się ostatniej nocy na kłusowników, mogłam go nawet spotkać po drodze.

Skuliłam się pod kołdrą i rozkoszowałam ciepłem, świadoma, że za kilka chwil będę musiała opuścić przytulne łóżko, ubierać się w zimnym pokoju i myć w zimnej wodzie. Omówimy z Ralphem sprawy i pomyślimy o innym wyjściu z sytuacji. Może wszystko samo się ułoży. Jeśli Harry wcześniej wyjedzie na uniwersytet, czy nawet do krewnych, mamy parę tygodni, zyskam czas, żeby znów zwrócić na siebie uwagę papy. Może teraz odwrócił się ode mnie, ale wiedziałam, że w głębi serca mnie kocha. Harry go znuży; znuży go uczenie Harry'ego. Papa będzie szukał przyjaźni, porozumienia bez słów, jakie wytworzyło się między nami przez lata wspólnych przejażdżek. Będzie szukał mnie i znów znajdę się u jego boku, a Harry zajmie pozycję kogoś nie chcianego, zbędnego.

Ta myśl mnie pocieszyła. Zdrzemnęłam się, a kiedy się obudziłam, za oknami było jasno. Nadstawiłam uszu, lecz z kuchni nie dobiegał żaden dźwięk. Za wcześnie. Mogę jeszcze pospać i tak obudzę się, gdy usłyszę odgłos otwieranych drzwi kuchennych albo służącą, która niesie drwa. A więc zdrzemnęłam się, nawet dość mocno.

Zerwałam się z łóżka, kiedy okno jaśniało od porannego słońca, a przez otwarte drzwi sypialni służąca wносиła gorącą wodę do mycia i filiżankę czekolady, którą piłam zawsze przed śniadaniem.

— Panienska Beatrice zasnęła — powiedziała wesoło i z brzękiem postawiła filiżankę na stoliku przy łóżku. Odrzuciłam kołdrę i podbiegłam do okna. Dzień dawno się zaczął.

— Która godzina, Lucy? — spytałam pospiesznie, spryskując sobie twarz i ściągając koszulkę.

— Ósma — odparła spokojnie, jakby to nie miało znaczenia. W ogóle.

Jęknęłam. Nie było sensu robić sobie wymówek za zaspanie w ten tak ważny dzień.

— Pomóż mi! — rozkazałam. — Strasznie się spieszę.

Ruszała się jak mucha w smole, ale zdołałam się ubrać w parę minut i pędem zbiec po schodach do hallu. Nie musiałam już wychodzić kuchennymi drzwiami; drzwi frontowe stały otworem. Kiedy pędziłam, kątem oka dostrzegłam papę przy śniadaniu. Pozdrowił mnie na dzień dobry, a ja odkrzyknęłam, ale nie przystanęłam. Może zdołam jeszcze powstrzymać Ralpha.

Może zdołam — myślałam biegnąc przez ogród różany, furtkę, wybieg dla koni. Osty czepiały się mojej długiej sukni, którą unosiłam dla wygody jedną ręką. Znalazłam się w lesie i równym krokiem podążałam brzegiem rzeki. Sto różnych spraw mogło zatrzymać Ralpha w domu i opóźnić jego wyjście. Jeśli długo w nocy czekał na kłusowników, mógł teraz zaspać, jak ja. Jeśli przesiedział w lesie całą noc, mógł teraz dopiero jeść śniadanie przed ponownym wyjściem. Mógł dopiero wracać do domu. A nawet w pewnym stopniu wierzyłam, że wyczuł, jak to się często zdarza kochankom i młodym ludziom, że przeżywam niepokój i rozterkę. Może czekał na mnie podejrzewając, że chcę się z nim natychmiast zobaczyć i powiedzieć, że zmieniłam zdanie, że przez moment oszalałam (tylko przez popołudnie i noc!) i że właściwie zawsze byłam pewna nietykalności, świętości swego ojca. Na swojej własnej ziemi on pozostawał dziedzicem, nieusuwalnym władcą, a dla mnie — największą miłością, kimś droższym nad życie. Słowa wypowiedziane przeciwko niemu były owocem żalu i rozgoryczenia. Tak myślałam tylko przez jedno popołudnie i noc.

Zaczynałam ciężko sapać, a obcisła suknia przesiąkła potem pod pachami i na plecach, lecz nie ważyłam się zatrzymać. Byłam szybka i wytrzymała niczym koń do polowań, lecz fałdy sukni krępowały mi ruchy, a twarda ziemia nie ułatwiała marszu. Długiego marszu. Ale nie ważyłam się zatrzymać. Przecież właśnie w tej chwili Ralph mógł zakładać kurtkę, sięgać po czapkę i wychodzić do lasu, gdzie nie zdołałabym go odnaleźć.

Wysłałam na słońce przy chatce, nie mogąc złapać tchu i powiedzieć ani słowa, pokonałam furtkę ogródka i zatoczyłam się jak pijana w stronę drzwi. Załomotałam obiema pięściami i zgięta w pół przysiadłam na progu, kaszląc i niemal wymiotując z wyczerpania spowodowanego morderczym biegiem. Usłyszałam wewnątrz kroki i aż mnie zamroczyło od nagłej ulgi; zdażyłam. Wszystko będzie dobrze. Zastałam go i za parę chwil oboje będziemy śmiać się ze wczorajszej rozmowy szaleńców. On powie: „Nie sądzisz chyba, że mógłbym to zrobić?”, a ja roześmiana odpowiem: „Nie, oczywiście, że nie”. Drzwi otworzyły się i wyszła Meg.

— Meg! — z osłupiałą twarzą wpatrywałam się w półmrok za jej plecami. — Gdzie Ralph?

— Wyszedł — w jej ciemnych oczach za pustką kryła się ciekawość, lecz twarz pozostała niewzruszona widokiem córki dziedzica mokrej od potu, z rozpuszczonymi włosami, sapiącej na progu.

Gapiałam się na nią, jak gdyby podpisała właśnie mój wyrok śmierci. Naprawdę śmierci.

— Dokąd? — wciąż sapałam i mogłam wypowiedzieć nie więcej niż jedno, dwa słowa na raz.

Wzruszyła ramionami, dalej pozornie obojętna.

— Do lasu. Chyba na wspólne grunty.

Zakryłam twarz dłońmi. Nie byłam w stanie myśleć. Tak wierzyłam, że jeśli nie będę przystawać i jeśli narzucę sobie zabójcze tempo, na pewno go zastanę. Albo przynajmniej Ralph coś wyczuje; że tak czy tak marzenie dziecka szukającego zemsty się nie ziści. Liczyłam na rozsądek świata, który nie spełnia wszystkich naszych życzeń.

Meg zostawiła mnie nagle i po chwili wróciła z glinianą czarką wody. Wzięłam ją od niej i wypięłam, nie widząc co piję i nie czując smaku. Zasnęłam. Biegłam najszybciej jak umiałam. Ale Ralph poszedł.

Słońce prażyło mi pół twarzy. Czułam pot na włosach i policzkach. Siedziałam odrętwiała, nieruchoma, zimna w środku od zgrozy.

— Czy wziął strzelbę? — spytałam głucho.

— Nie, ani psów — odparła Meg, kiwając głową w stronę dwóch psiaków uwiązanych przy czymś, co można było nazwać budą.

Nie wziął strzelby. Uczepiłam się tej myśli jak dobrego omenu. Może znaczyło to, że zrozumiał po obudzeniu, podobnie jak ja, całą obłąkańczość swego pomysłu, całą dziecinadę naszej rozmowy i liczenia na szczęśliwy traf. Nie zabrał strzelby. Może wyszedł po prostu sprawdzić pułapki. Może mój ojciec był bezpieczny?

Mój ojciec.

Nagle zdałam sobie sprawę, że to możliwe. Ralph poszedł sobie gdzieś, ale papa w domu był całkiem bezpieczny. Przy mnie był absolutnie bezpieczny. Jeśli ojciec z kimś przebywał, Ralph nie waży się go tknąć. Kiedy wróci do domu po południu lub wieczorem, zobaczę się z nim i oznajmię, że zmieniłam zdanie. Muszę tylko pilnować, żeby papa nie pojechał nigdzie sam. Po prostu zapytam, czy mogłabym z nim pojechać. Będzie bezpieczny. Uratuję go.

— Powiedz Ralphowi, że muszę się z nim pilnie zobaczyć — nakazałam Meg.

Podniosłam się i zauważyłam, że z oszołomienia słaniam się nieco na nogach. Zlekceważyłam to, przeszłam przez ogród z powrotem do ścieżki nad rzeką, którą pędziłam w takim strachu ledwie parę minut wcześniej. Oddech wracał do normy. Szłam zwawo. Słońce świeciło mi w twarz. Przyspieszyłam kroku. Zdenerwowanie niczym widmo snuło się w ślad za mną. Zostawiłam papę przy śniadaniu, przy lekturze porannych gazet. Poczta jeszcze nie nadeszła. Prawdopodobnie zastanę go jeszcze w jadalni. A jeśli nie? Przyspieszyłam nieco, serce znów zabiło, nie z wysiłku, lecz ze strachu.

Z pewnością czeka na listy. Może nawet czeka na mój powrót. Przy odrobinie szczęścia przejdę przez ogród różany i zobaczę go na tarasie, jak wdycha powietrze i pali cygaro, a pod pachą trzyma poranną gazetę. Wyobraziłam sobie ten widok tak dokładnie, że czułam prawie w powietrzu zapach niebieskiego dymu cygara. Ruszyłam truchtem. Byłam pewna, że go zastanę. Patrzy na róże, zastanawia się, dlaczego z takim pośpiechem wybiegłam z domu, i czeka na posłańca, który przyniesie pocztę przywiezioną rannym dylizanssem z Londynu. Znów przyspieszyłam. Wiedziałam, że go zastanę, ale tak się już dziś wystraszyłam, że chciałam go zobaczyć na własne oczy, podbiec, zgrzana i rozczochrana, i poczuć uścisk mocnego ramienia; upewnić się, że jest bezpieczny, że nie mogłabym go skrzywdzić, nawet gdybym bardzo chciała. Czułam ostry ból pod żebrami i przy każdym oddechu wbijała się we mnie rozżarzona igła. Złowieszczy skurcz łapał mnie za łydki. Chociaż wiedziałam, wiedziałam, że papa jest bezpieczny, jakaś magiczna siła wciąż przyspieszała mój bieg. Nie

czułam strachu, zaledwie niepokój, który chciałam ukoić w jego ramionach, mówiąc: „Dziś będę ci towarzyszyć konno przez cały dzień”. Albo powiedzieć głupiemu Harry'emu: „Obiecuj mi, że jeśli dzisiaj pojedziesz z papą, nie odstępisz go ani na krok”. Harry obieca i dotrzyma słowa. Muszę tylko się z nim zobaczyć.

Znów biegłam, najszybciej jak mogłam. Krzaki darły mi suknię, a szum rzeki Fenny płynącej tuż obok był głośny jak bicie serca i stukot moich obcasów. Przeszłam po zwalonym drzewie, służącym za mostek, do bramy wybiegu, rozwarłam ją i zatrzasnęłam za sobą. Pot ściekał mi na oczy, nie widziałam tarasu; przed oczami skakały mi czarne plamy, jak gdybym patrzyła przez woalkę. Papa był na tarasie, z pewnością! Nie widziałam go, lecz czułam, że tam jest. Bezpieczny. A Ralph może sobie czekać cały dzień w lesie, to już nieważne.

Przy furtce do ogrodu różanego zamrugałam oczami, żeby przywrócić ostrość wzroku i uważnie przyjrzałam się domowi. Nie widziałam ojca, ale drzwi frontowe stały otworem; może wszedł na chwilę po cygaro czy następną filiżankę czekolady. Popędziłam po kamiennej ścieżce, patrząc wciąż na wejście i oczekując pojawienia się papy krocącego z gazetą w stronę jednej z ławeczek. Wpadłam po schodkach do korytarza tak szybko, że otumaniał mnie półmrok panujący w domu.

— Gdzie papa? — spytałam służącą wynoszącą tacę z jadalni.

— Wszedł, panienko Beatrice — odparła dygając. — Pojechał konno.

Gapiałam się na nią z niedowierzaniem. To się nie mogło wydarzyć. To tylko mały kamyk, który tocząc się, pociąga za sobą lawinę.

— Konno? — nadal nie wierzyłam.

Popatrzyła zdziwiona. Ojciec przez całe życie jeździł rano konno, więc mój ton pełen zgrozy musiał zabrzmieć dziwnie.

— Tak, panienko Beatrice. Wszedł jakiś kwadrans temu.

Zawróciłam na pięcie i podeszłam do drzwi. Mogłam zażądać konia ze stajni i pojechać desperacko wzdłuż rzeki albo cały dzień szukać po okolicy Ralpa i papy. Czułam się jednak jak żeglarz, który wyrzuca balast i pompuje wodę, a statek i tak tonie. Miałam dziś pecha. Papa chyba też. Wyjechał w słoneczny poranek na przejażdżkę po własnej posiadłości, naprzeciw czyhającemu na niego mordercy. A ja nie mogłam nic zrobić. Nic. Nic. Tylko chronić samą siebie. Powłokłam się jak cień po schodach do mojego pokoju. Chciałam się umyć i przebrać, zanim spotkam się z mamą czy Harrym. To co działo się w lesie, wymknęło mi się spod kontroli. Pomogłam wykiełkować śmiertelnemu nasieniu. Ale nie wolno mu urosnąć. Nie wolno urosnąć.

Po południu przynieśli ojca do domu. Czterech mężczyzn powoli, niezgrabnie, niosło za rogi szeroką łożynową sztachetę z ogrodzenia pastwiska dla owiec. Uginała się pośrodku pod jego ciężarem, włókna łożyny pękały. Leżał na plecach. Twarz miał pomarszczoną jak pergaminowy lampion. Niedawno jeszcze żyjący, mój ukochany, pełen energii papa odszedł. Do Wideacre przyniesiono jakiś ciężki toból, nie osobę.

Wnieśli go przez drzwi frontowe i korytarz. Brudne buty zostawiały ślady na wypolerowanych posadzkach i cennych dywanach. Drzwi kuchni otworzyły się z hałasem i wyjrzało pół tuzina pobladłych twarzy. Stałam bez ruchu, przytrzymując drzwi, kiedy mnie mijali. W czaszce ojca z boku widniała wielka wyrwa. Ojciec, którego tak podziwiałam, odszedł.



Stałam jak ścięte siarczystym mrozem drzewo, a pochód przechodził powoli. Ciągnął się jak w sennym koszmarze, jak gdyby brodząc w głębokiej wodzie. Mężczyźni powłóczyli nogami, ociągali się, jakby chcieli dokładnie pokazać straszliwą ranę w głowie papy. Potężne cięcie niemal przez pół czaszki, a wewnątrz dziury ziarnista masa z krwi i odłamków kości.

I twarz! To wcale nie była twarz mego ukochanego papy! To była maska grozy. Zniknęła otwarta, jasna uśmiechnięta twarz. Śmierć obnażyła jego żółtawe zęby wyszczerzone w krzyku; niebieskie oczy wyszły z orbit na widok mordercy. Uciekły rumieńce. Cera pożółkła jak piaskowiec na ścianach dworu; posąg zgrozy zastygł zaklęty w kamień Wideacre. Łozinowa sztacheta pod nim ugięła się niczym symbol drewna, które nie może znieść śmierci papy.

Powolny niezgrabny kondukt wreszcie mnie minął. Moje przerażone oczy nie musiały już oglądać wytrzeszczonych niebieskich oczu papy. Stopnie wysokich schodów trzeszczały, gdy zgięci wpół tragarze nieśli swój ciężar do sypialni rodziców. Gdzieś w głębi domu rozlegał się niepohamowany płacz. Chciałam płakać, lecz wciąż stałam bez ruchu w smudze światła wpadającej przez otwarte drzwi i patrzyłam niewidzącym wzrokiem na schnące błoto na wypolerowanej posadzce. Przed domem czekało pół tuzina naszych dzierżawców. Mężczyźni zdjęli czapki, a kobiety wycierały oczy rąbkiem fartucha.

Mówili, że musiał go zrzucić koń. Znalaziono go martwego przy murku oddzielającym park od terenów rolnych na północnej granicy posiadłości. Koń, bez najmniejszego zadraśnięcia, pasł się w pobliżu. Siodło przesunęło mu się na grzbiecie, jak gdyby popręg był za luźny. Papa spał widać konia przed murkiem, a sam upadł na stronę Wideacre. Nawiedził mnie niechciany, lecz nie do odpędzenia obraz Ralpa chowającego się przy murze i chwytającego lejce konia, a potem walącego ojca po głowie kamieniem wyrwanym z muru. Pocieszała mnie jedna myśl — że ojciec zmarł w parku pod drzewami, które kochał, i na ziemi, którą kochał. Innego pocieszenia być nie mogło.

Ralph to zrobił. Ralph popełnił ten czyn. Nikczemny występki. Grzech ciężki. Kiedy mama płakała łzami, które przyszły jej z łatwością, a Harry snuł się po domu w szoku, ja czułam, że powoli wraca mi jasność rozumowania, serce zaś wzbiera nienawiścią. Ralph popełnił ten czyn. Tylko on ponosił odpowiedzialność.

Tak, tak, byłam tam, na pniu drzewa łączącym brzegi rzeki. Nasze usta się stykały. Powiedziałam: „Wypadek” i „Uda się”. Nie wiedziałam jednak, że tak to przebiegnie. Zgodziłam się. Nie wiedziałam jednak, na co daję przyzwolenie. To Ralph wiedział. To Ralph podcinał gardła jeleniom, obdzierał ze skóry zające, ogłuszał króliki. To Ralph wiedział wszystko o śmierci i cieszył się z mojego przyzwolenia na swoje nieczne zamiary. A przecież byłam jeszcze dzieckiem! Nieświadomym, nie rozumiejącym. Zrozumiałam zbyt późno.

*To nie była moja wina.*

Nie chciałam śmierci ojca! Chciałam tylko, żeby znów zwrócił na mnie swoje niebieskie oczy pełne miłości. Chciałam, żeby jeszcze raz poprosił mnie o dotrzymanie mu towarzystwa przy zaganianiu owiec. Chciałam, żeby zawołał na mnie tak naturalnie i swobodnie, jak gwizdał na swoje psy. Chciałam, żeby zapomniał o Harrym i prawach Harry'ego do ziemi. Chciałam, żeby Harry przestał dla niego istnieć, tak jak dawniej. Chciałam znów zająć pierwsze miejsce w sercu ojca, pierwsze miejsce w Wideacre; i tu, i tutaj chciałam czuć się bezpieczna.

A Ralph go zabił i papa już nigdy nie będzie mnie kochał.

Ale Ralph uczynił coś o wiele gorszego. Zapomniał o barierze między nami, o przepaści między światami, z których pochodziliśmy. Nigdy nie zabiorę go do łoża papy. Nigdy nie wpuszczę go do dworu. Nie należał do naszej sfery, nie dla niego wykwinna bielizna. Jemu przypisany był samodziół, tak jak jego matka nosiła łańchmany. I taki chłopak, taki parobek śmiał zacząć się na dzielnego dziedzica, podejść go jak złodziej i powalić na ziemię. Papa zmarł w bólu i zgrozie, z rąk własnego fałszywego sługi.

Ralph za to zapłaci.

W Harrym narastał smutek i żal. Codziennie przychodził do mnie po porady i instrukcje. Mama szybko osuszyła łzy i zajęła się przygotowaniem do pogrzebu, zamówieniami żałobnej garderoby, rękawiczek i przebiegiem samej ceremonii. Ja pozostawałam opanowana, lecz w środku płonęłam nienawiścią.

Ralph za to zapłaci.

Nikom nie wolno tknąć Lacey z Wideacre i uciec. Żaden Lacey z Wideacre nie padł nigdy bez walki. Gdybym mogła sprawić, żeby Ralpa aresztowano i powieszono, zrobiłabym to. Ale on mógł mnie oskarżyć, a ja nie zniosłabym wypowiedzianych na głos tych wszystkich okropieństw. Nie planowałam śmierci ojca. Nie dokonałam morderstwa. *Nie poleciłam* dokonania go. Ralph wciągnął mnie w to przez moją nieświadomość. Codziennie twarz ojca, wykrzywiona w niemym krzyku, stawała mi przed oczami i aby odsunąć tę straszną wizję, mogłam tylko mówić do siebie w myślach z całym zdecydowaniem: „Ralph, zapłacisz za to”.

Podczas mszy żałobnej moje oczy pod czarną woalką płonęły nienawiścią do mordercy i nie modliłam się ani przez chwilę. Bóg chrześcijan nie mógł grać żadnej roli w tym krwawym spektaklu domagającym się dalszej części: zemsty. Furie ścigały Ralpa, ja zaś szłam za nimi jak mściwa nienasycona bogini gorejąca nienawiścią, unoszona falą mrocznej energii.

Nienawiść uczyniła mnie osobą przebiegłą i bezwzględną. Twarz nie zdradzała moich myśli. Kiedy ziemia zadudniła o wieko trumny, osunęłam się na Harry'ego, udając, że gniew i nienawiść wcale nie dodają mi siły. W drodze do domu, w powozie, trzymaliśmy się za ręce — czule i delikatnie. Przecież ocale także Harry'ego, jeśli przepędzę z naszej ziemi tego zabójcę i przeklętego pasożyta.

Mama znów się rozplakała. Wzięłam ją za rękę. Była zimna i nie odwzajemniła mi uścisku. Zamknęła się w sobie w chwili, gdy czterej mężczyźni, powłócząc nogami, przynieśli papę do domu. Nie spuszczała ze mnie wzroku, a jednak patrząc, nie widziała. Patrzyła na przestrzał, oddając się własnym rozmyśleniom. Teraz jednak oczy za czarną woalką rzuciły mi nadspodziewanie bystre spojrzenie.

— Znasz konia myśliwskiego ojca, Beatrice? — odezwała się nagle pełnym głosem, całkiem niepodobnym do jej zwykłego mamrotania. — Jak on go mógł zrzucić? Ojciec tyle lat na nim jeździł i ani razu nie miał upadku. Jakże mógł upaść, i to tak tragicznie, pokonując tak niewinną przeszkodę?

Nienawiść do Ralpa panowała nad moją świadomością. Wytrzymałam wzrok mamy.

— Nie wiem, mammo. Przypuszczam, że oblużowało się siodło. Nie zastanawiałam się nad tym, właściwie myślałam tylko o bólu, jaki musiał cierpieć nasz papa. Jeśli to by była wina konia, kazałabym go zastrzelić. Nie mogłabym znieść widoku zwierzęcia, które tak skrzywdziło papę. Ale to był po prostu tragiczny wypadek.

Kiwnęła głową, nie spuszczać ze mnie wzroku.

— Musimy być teraz przygotowani na wiele zmian — stwierdziła. Powóz zakołysał się, kiedy skręcaliśmy w prawo na podjazd. — Posiadłość przechodzi oczywiście na Harry'ego. Będzie musiał na razie zatrudnić zarządcę. A może ty zaofiarujesz się z pomocą?

— Oczywiście, pomogę mu, jak tylko będę umiała — sformułowałam swoje myśli bardzo oględnie. — Nigdy nie zatrudnialiśmy zarządcy i papa nie uważał tego za dobry pomysł. Wolałabym, żebyśmy się obyli bez zarządcy. Ale decyzja należy do ciebie, mammo... i Harry'ego.

Kiwnęła głową. Zapanowało milczenie. Dywan jesiennych liści tłumił stukot podków.

— Beatrice tylko jedną rzecz kochała bardziej niż ojca, ziemię — odezwała się mama w zamyśleniu, wyglądając przez okno. Wymieniliśmy z Harrym przerażone spojrzenia. Ten zagadkowy wizjonerski ton nie pasował do mamy. — Nie było jeszcze dziewczynki, która tak by kochała ojca jak Beatrice, lecz ona kochała ziemię, Wideacre jeszcze bardziej. Gdyby musiała dokonać wyboru między tymi miłościami, wybrałaby, jak sądzę, ziemię. Chociaż straciła papę, ma wciąż Wideacre i ta myśl powinna być dla niej wielką pociechą.

Oszołomiony Harry wpatrywał się we mnie niebieskimi oczami.

— Już dobrze, już dobrze — powiedział niemądrze, głaszcząc rękę mamy w czarnej rękawiczce. — Jesteś przygnębiona, mammo. Wszyscy kochaliśmy papę i wszyscy kochamy Wideacre.

Mama odwróciła wzrok od wysokich drzew i pól i wpatrywała się we mnie, jak gdyby czytała mi w duszy. Odwzajemniałam się śmiałym spojrzeniem. To nie ja popełniłam zbrodnię. To nie mnie trzeba winić.

— Pomogę Harry'emu, jak tylko będę umiała — powtórzyłam spokojnie. — Godnie zastąpię papę. Będę postępować tak, jak on by sobie życzył. Będę córką, jakiej by się nie powstydział.

— Już dobrze, już dobrze — Harry chwycił tylko ton mego głosu, nie rozumiejąc znaczenia słów. Jedną ręką trzymał moją dłoń, drugą — mamy. I tak przybyliśmy do dworu. Chwilę przesiedzieliśmy w milczeniu. Poprzysięgam sobie raz jeszcze, zanim puściliśmy swoje ręce, że Ralph zapłaci za krzywdę, którą nam wyrządził. Zapłaci natychmiast. Dziś w nocy.

Po południu odczytano testament papy. Klarowny zapis człowieka szlchetnego. Mamie zapewnił dożywotnio dom i niezły dochód z posiadłości. Ja dostawałam dożywocie w postaci kapitału złożonego w City, mieszkanie w Wideacre, dopóki mój brat się nie ożeni, a potem przy matce (dokądkolwiek by się przeniosła). Słyszając rozporządzenie mnie dotyczące, a tak odnoszące się do mojej całej miłości do ziemi, spuściłam wzrok na stół, lecz na twarzy czułam rumieniec.

Harry odziedziczył zgodnie z niekwestionowanym prawem żyzne pola, gęste lasy i rozległe niziny. A gdyby zmarł, nie pozostawiwszy po sobie dziedzica, cała wspaniała posiadłość miała przejść na najbliższego krewnego płci męskiej — tak jak gdybym ja wcale nie istniała. Moja rodzina (papa, mama i Harry) mogła po kolei wymierać w bólach i zgrozie, a ja przez to nie znalazłabym się ani o cal bliżej prawa własności do ziemi. I tej bariery nie zdołałabym pokonać talentem czy sprytem. Pokolenia mężczyzn budowały mur przepisów mających wyeliminować kobiety takie jak ja, wszystkie kobiety. Mężczyźni zyskali pewność, że nigdy nie poznamy smaku władzy i przyjemności posiadania ziemi, po której się stąpa; nie poznamy tajników pochodzenia żywności, która zdobi stoły. Zbudowali mur kontroli, samczej siły i zwierzęcej przemocy, mur oddzielający mnie od ukochanej ziemi. Prawo zdominowane przez mężczyzn i przez mężczyzn tworzona tradycja, stanowiły przeszkodę nie do przewyciężenia.

Ojciec Harry'ego był wierny zasadom. Harry dostał ziemię i radość płynącą z jej posiadania i uprawiania. Wedle własnych zachcianek mógł się ziemią cieszyć, czerpać z niej korzyści, wyzyskiwać. Nikogo nie zaskoczyła taka wola ojca i nikt nie czuł (poza mną), że to, co na zewnątrz wydaje się sprawiedliwe, stanowi część spisku mającego pozbawić mnie domu i wygnać z jedyne miejsce na ziemi, do którego jestem przywiązana. Mój dom został oto oddany nieznanemu przybyszowi płci męskiej, który ani nie znał ziemi, ani jej nie kochał, a jednak ją odziedziczył.

Słuchałam testamentu z rosnącą nienawiścią. Nie do Harry'ego, obdarowanego szczerze pomimo całej swej głupkowatości, lecz wobec Ralpa, który sprawił, że życiem papy zapłaciłam za psie pieniądze swojego dożywocia i za skarby Harry'ego. Harry dostał wszystko. Ja zaś straciłam miłość papy, który nigdy nie dopuściłby do mego nieszczęścia na wygnaniu. Podły plan Ralpa przyniósł korzyść jedynie Harry'emu.

Po dalszych legatach i pomniejszych darowiznach następowało osobiste przesłanie papy dla Harry'ego przypominające o opiece nad biednymi z naszej parafii; ot, retoryka nie traktowana przez nikogo poważnie. Potem jednak papa pisał: „I nakazuję ci, Harry, troszczyć się o matkę i o moją ukochaną córkę, Beatrice, wielce drogą memu sercu”.

*Wielce droga jego sercu. Wielce droga.*

Łzy, po raz pierwszy po śmierci ojca, stanęły mi w oczach. Piersi rozdarł mi potężny szloch. Gardło ścisnęło się.

— Przepraszam — szepnęłam do mamy, wstałam od stołu i pospieszyłam do drzwi. Na schodach przed domem na świeżym powietrzu szluchy ucichły. Nazwał mnie „ukochaną” i wszystkim powiedział, że byłam mu „wielce droga”. Wdychałam woń późnoletniego zmierzchu i czułam ból, jak oznakę choroby; czułam tęsknotę. A potem poszłam z odkrytą głową przez ogród różany, przez furkę i wybieg w stronę lasu i wzdłuż rzeki Fenny. Papa mnie kochał. Zmarł w bólach. A człowiek, który go zabił, wciąż żył na naszej ziemi.

Ralph czekał w starym młynie. Brakowało mu szóstego zmysłu jego cygańskiej matki. Nie dostrzegł kroczącej do niego uśmiechniętej śmierci. Wyciągnął ramiona, a ja pozwoliłam się objąć, uścisnąć, całować w mrokach spichrza.

— Tęskniłem do ciebie — szeptał mi do ucha, gdy ręka przesuwała się szybko po moim ciele, rozpinając przód sukni. Wzdychałam, kiedy głaskał moje piersi. Pochylił głowę i zaczął mnie całować. Zarost drapał mnie w policzek, potem szyję. Głowa sunęła w dół rozpięcia. Drżałam, czując jego ciepły oddech.

Nad nami ostatnie jaskółki usiadły rzędem na belce. Ale ja nie widziałam i nie słyszałam nic. Tylko jego głowa, tylko miarowy krótki oddech.

— Och, jak dobrze cię dotykać — odezwał się z powagą, jak gdyby mogły istnieć jakiekolwiek wątpliwości. Przycisnął mnie plecami do sterty słomy, podniósł moje spódnice i halki. — Kiedy będziemy mieli siebie i Wideacre, to dopiero będzie przyjemność, co, Beatrice? Kiedy będziemy się kochać jak mąż i żona w głównej sypialni w Wideacre. Kiedy przyjdę do ciebie spoczywającej w wielkim rzeźbionym łożu pod haftowanymi pikowanymi kołdrami, w świeżej pościeli.

Te słowa pozostały bez odpowiedzi. Przyciskałam się do niego, błagałam, żeby poruszał się szybciej, mocniej. Jęczałam, jak gdyby konając, a niepohamowana namiętność zdobywała władzę nad naszym przeznaczeniem. Ciemność i cisza ogarniały świat niczym wielka fala, która porywała mnie i zatapiała. Byłam

sama, a przecież cały czas Ralph obejmował mnie i atakował, jęczał i milczał. Uczucia nagle mnie opuściły. Zostałam słaba, lecz przytomna i zimna jak lód. Żałowałam, że rozkosz minęła tak szybko i tak mnie spustoszyła. I że ta chwila, ta jedyna chwila nigdy nie powróci.

— Oto dobra posłuszna żona — zażartował Ralph. — Tak właśnie będzie w sypialni państwa. Do końca życia będę spał w świeżej pościeli, a ty możesz mi co rano przynosić kawę do łóżka.

Uśmiechnęłam się, dalej kryjąc oczy pod powiekami.

— Czy cały czas będziemy przebywać tutaj, czy też na zimę wyjedziemy do Londynu? — spytałam.

Ralph westchnął na myśl o takich luksusach i wyciągnął się przy mnie z rękami pod głowę. Bryczesy wciąż miał opuszczone do kostek.

— Nie jestem zdecydowany — odparł z namysłem. — Muszę się jeszcze zastanowić. Zima w mieście może być przyjemna, ale tutaj czekają nas polowania. Nie chciałbym, żeby mnie ominęły.

Usta rozciągnęłam w uśmiechu, lecz jednocześnie nie pozwoliłam, by w moim głosie zabrzmiał odcień sarkazmu.

— Sądysz, że zdołasz zająć miejsce mego ojca? — spytałam. — Sądysz, że okoliczna szlachta zaakceptuje cię, znając cię dotychczas jako Ralpa, pomocnika gajowego, syna Cyganki Meg i ojca, który uciekł od matki?

Ralpa to nie poruszyło. Nic nie mogło popsuć jego samozadowolenia.

— A czemu nie? Nie jestem gorszy niż wszyscy ci szlachcice tuzin pokoleń wcześniej. Ja zarabiałem na swoje miejsce w Wideacre, a oni nie robili nic, żeby być tam, gdzie są.

— Rzeczywiście zarobiłeś! — ledwie zdołałam stłumić ton pogardy w moim słodkim głosie. — Straszliwych rzeczy dokonałeś w tych dniach, Ralph! Morderstwo! Bezcelność!

— Ach, ostre słowa — stwierdził niedbale Ralph. — Grzech jest grzechem. Rozliczę się z mojego sumienia na Sądzie Ostatecznym. Każdy by tak zrobił. Jestem przygotowany na to, by wziąć winę na siebie. Nie będę się nią dzielił z tobą, Beatrice. Wszystko zaplanowałem. Poniosę konsekwencje. Ja tego dokonałem. Częściowo dla ciebie i częściowo dla naszej wspólnej przyszłości, ale wezmę winę całkowicie na siebie. Na tym świecie i na tamtym.

Napięcie opadło ze mnie jak skóra z węża. To jego zbrodnia. Ja byłam niewinna.

— Zrobiłeś to całkiem sam? — dopytywałam się. — Nie miałeś nikogo do pomocy? Rozmawiałeś o tym tylko ze mną?

Uściskał mnie mocniej i delikatnie pogładził po twarzy. Nie miał pojęcia, że jego życie wisi na włosku. Nie miał pojęcia, że sam zerwał ten włos.

— Działalem sam — powiedział z dumą. — We wsi nie będzie żadnych plotek, żadnego strzępienia języków, żadnego wytykania palcami. Wołałem nie ryzykować ze względu na samego siebie, a zwłaszcza na ciebie, Beatrice. Zrobiłem to sam. Nie wie o tym nikt oprócz nas.

Dotknął mojej twarzy koniuszkami palców, w sobie tylko właściwy, cudowny sposób. W jego oczach, w łagodnym uśmiechu widziałam czułość i dojrzewającą wciąż miłość mającą trwać, dopóki nasze serca będą były wspólnie dla Wideacre. Pomimo całego gniewu czułam wzbierające łzy, a usta mi zadrżały, gdy próbowałam odpowiedzieć uśmiechem. Jakże mogłam przestać go kochać, kimkolwiek był? Moja pierwsza



miłość. Zaryzykował wszystko, aby dać mi największy dar: Wideacre. Żaden mężczyzna nie mógłby mi dać więcej.

Moje dzieciństwo skończyło się bezpowrotnie owego wilgotnego wiosennego dnia na drodze, kiedy papa wspomniał o wygnaniu mnie z Wideacre. Moje radosne spokojne dzieciństwo skończyło się w chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że papa zabiera mi Wideacre dla Harry'ego, nie myśląc o mnie i bólu, który przeżywam. Nie czułam jednak tego bólu, kiedy leżałam w ramionach Ralpa, i wiedziałam, że postawił wszystko na jedną kartę, aby mieć mnie i Wideacre. Zbierało mi się na płacz na myśl o tej lekkomyślnej wielkiej grze, którą przegrał z kretesem.

Ralph śnił o czymś nie do spełnienia, o czym śnią tylko bardzo młodzi kochankowie. Śnił o nas dwojgu poślubionych sobie wbrew konwencji, jak gdyby świat był rajem z jakiegoś romansu, w którym ludzie pobierają się z miłości i mieszkają tam, gdzie chcą. Jak gdyby liczyła się tylko miłość, namiętność i lojalność wobec ziemi.

To był sen o przyszłości, która nigdy nie nastąpi. Zrobiłam głupi błąd zapominając, kiedy tarzaliśmy się w słomie, na trawie czy na ściółce leśnej, kiedy czerpałam rozkosz z jego sił i możliwości, że Ralph jest tylko synem brudnej Meg, jednym z naszych służących. A ja byłam z Laceyów z Wideacre. Gdyby chodziło o inną posiadłość, przysięgam, że poświęciłabym ją dla Ralpa. Gdyby istniał inny dwór, wprowadziłabym do niego Ralpa. I spałby w łóżu pana domu. I siedziałby na najważniejszym miejscu przy stole. Dla każdej innej posiadłości byłby właścicielem najlepszym z możliwych.

Ale tu chodziło o tę szczególną ziemię i dom. O moją ukochaną Wideacre. Tu nigdy nie będzie rządził żaden przeklęty cygański bękart.

Przepaść między Ralphem i mną była tak szeroka jak występująca z brzegów rzeka Fenny, a głęboka jak zielony staw za młynem. Mogłam brać Ralpa dla przyjemności, ale i tak nigdy nie zostałabym jego kobietą, jego żoną. Ralph położył kres naszemu związkowi w momencie, kiedy zaczął za mnie decydować.

A poza tym — jakże mógł zapomnieć o swoim cygańskim pochodzeniu i o tym, że był zabójcą mojego ojca? Nigdy bym mu tego nie przebaczyła.

Wciąż oczami wyobraźni widziałam ojca, śmiałego szlachetnego dziedzica ściągniętego z konia i zatłuczonego jak jakiś pieniacz w ciemnej ulicy. Człowiek splamiony krwią Laceyów nie będzie mieszkał w Wideacre. Nie znajdzie tu schronienia biedak, który zaatakował szlachcica. Parweniusz, który po drabinie chciał wejść do sypialni pana domu, kierowany żądzą i splamiony krwią, musi zostać zniszczony natychmiast jak parszywy robak.

Gdy ktoś piętnastoletni mówi *natychmiast*, znaczy to: *natychmiast*. Mój ojciec zmarł dzień po tym, jak potworny plan Ralpa przybrał swoją ostateczną postać. Ralph musi więc umrzeć, zanim krew mojego ojca wyschnie na jego dłoniach.

— Będzie mi wygodniej, kiedy dostanę chatę starego Tyacke'a — wyznał z niecierpliwością. — Dopatrz, żeby zaraz z samego rana twój brat przepędził rodzinę Tyacke'a. Nie mogę czekać, aż stary umrze. Może przecież umrzeć w przytułku. Chciałem się tam wprowadzić za cztery dni, ale nie ma na co czekać. Dopatrz tej sprawy rano, Beatrice.

— Oczywiście — odparłam ulegle. — Czy jeszcze o czymś mam porozmawiać z Harrym?

— Hm, będę niebawem potrzebował konia — zastanawiał się Ralph. — Może jednego z koni do polowań, należących do twojego ojca? Braciszek Harry chyba na razie nie będzie ich używał, a matka pewnie nie zechce zatrzymać w stajni ulubieńca twojego ojca po tym wypadku. Niezła sztuka. Postarałem się, żeby nie został ranny. Mogłabyś przekonać Harry'ego, żeby mi go dał.

Na myśl o Ralphie dosiadającym jednego z rasowych wierzchowców ojca oblałam się rumieńcem, w środku ogarnęła mnie zimna wściekłość, ale uśmiech nie schodził mi z ust. To tylko słowa, plany.

— Oczywiście, Ralph — zgodziłam się potulnie. — Muszą tu zajść różne zmiany, a ty będziesz decydował.

— Tak, tak — odrzekł zamyślony. — Będę tu panem, a nawet kimś więcej.

Na dźwięk słowa „pan” w jego ustach ścierpła mi skóra, lecz nawet nie mrugnęłam orzechowymi oczami, wytrzymując wzrok Ralpa.

— Muszę iść — powiedziałam znów, a on wyciągnął ręce na pożegnanie.

Całowaliśmy się słodko, aż ze szlochem ukryłam twarz na jego ramieniu. Szorstka barchanowa kurtka pachniała przyjemnie dymem palonych liści, potem i niepowtarzalną wonią jego skóry, zapierającą dech. Poczułam w sercu nieubłagany ból pierwszej miłości. Mocno objęłam go w pasie, na pożegnanie tego silnego cudownego ciała, które poznałam i pokochałam.

Z głową na jego piersi słyszałam przyspieszony oddech i bicie serca Ralpa; znów wzbierało w nim pożądanie. Pocałował mnie w czubek głowy i podniósł moją twarz, trzymając za podbródek.

— Co to? — spytał czule. — Łzy? — Pochylił się i delikatnie jak kocia matka polizał moje mokre powieki. — Nie trzeba teraz płakać, moja urodziwa Beatrice. Nie trzeba już płakać. Teraz wszystko się zmieni.

— Wiem — odrzekłam, a serce mnie bolało, aż myślałam, że pęknie. — Wiem, że wszystko się zmieni. I dlatego jestem smutna. Mój kochany, drogi Ralphie. Już nic nie będzie takie samo, nigdy.

— Ależ będzie lepiej, Beatrice! — spojrzał na mnie pytająco. — Chyba niczego nie żałujesz?

Uśmiechnęłam się na to.

— Niczego nie żałuję — potwierdziłam. — Ani teraz, ani potem. To co się stało, zrobiłeś dla mnie i dla Wideacre. To co się zdarzy, zdarzy się także dla Wideacre. Nie będę żałować. — Głos mi jednak drżał, a Ralph objął mnie mocniej.

— Zaczekaj, Beatrice. Nie idź taka smutna. Powiedz, co jest nie tak.

Znów się uśmiechnęłam uspokajająco, lecz ból pod żebrami narastał. Bałam się, że z żalu zacznę szlochać.

— Nic, nic. Jest tak, jak powinno być, jak musi być — odparłam. — A teraz do widzenia. Do widzenia. Do widzenia, najdroższy.

Naprawdę myślałam, że nigdy nie odważę się odejść, jeśli będzie na mnie patrzył tak czule, z taką troską i ufnością w moją miłość. Pocałowałam go jeszcze raz, delikatnie, ostatecznie i wyrwałam się z objęć. Czuałam się, jak gdybym zostawiała mu połowę swojej duszy. Po paru krokach odwróciłam się. Podniósł rękę.

— Do widzenia, moja miłości, moja jedyna miłości — wyszeptalam tak cicho, że nie mógł tego słyszeć.

Widziałam potem, jak wchodzi do chaty, pochylając w niskich drzwiach ciemnowłosą głowę. Ukryłam się w gęstych krzakach przy dróżce i powoli, starannie odliczyłam do trzystu. Trzysta odliczonych sekund.

Potem czekałam. Miłość i gniew stworzyły w mej głowie mieszaninę bólu i wściekłości. Niemal nic nie widziałam przed sobą. Jak gdyby furie goniły nie Ralpa, lecz mnie. Rozrywała mnie podwójna lojalność, podwójna miłość, podwójna nienawiść. Jęknęłam cicho z prawdziwego bólu, a potem w myślach znów zobaczyłam oczy mego zamordowanego ojca, przenieszonego obok mnie w ciemnościach dworu. Dwakroć odechnęłam głęboko, otworzyłam usta i krzyknęłam najgłośniej jak umiałam, głosem przenikliwym, przerażonym:

— Ralph! Ralph! Na pomoc, Ralph!

Drzwi chaty otworzyły się gwałtownie i usłyszałam tupot stóp na ścieżce. Znów krzyknęłam. Usłyszałam, że zboczył z dróżki i podąży za moim głosem. Brodził w liściach. Nagle rozległ się straszliwy brzęk żelaznej sprężyny pułapki na kłusowników. Jednocześnie usłyszałam odgłos łamania nóg (wyraźne, nie pozostawiające wątpliwości *chrup!*, jak trzask drewna łamanego na podpałkę) i ochrypli niesamowity krzyk bólu. Nogi ugięły się pode mną. Padłam na ziemię i czekałam na następny krzyk. Z głową opartą o pień drzewa czekałam i czekałam. Nikt się nie pojawił. Ledwie mogłam ustać na nogach, lecz musiałam go zobaczyć. Musiałam się upewnić, że tego dokonałam. Kurczowo trzymając się kory bukowej na zwałonym pniu, przywierając do niej twarzą i ciałem, walczyłam, żeby nie zasłabnąć, kiedy już zobaczę ten widok.

Wciąż panowała cisza.

Długie minuty trwałam tak przy korze, czując nieświadomie pod palcami jej ciepło, a w nozdrzach znajomy zapach suchych liści. Cisza wokoło zwiastowała, że świat, który rozpadł się na dźwięk przerażonego głosu Ralpa, teraz musi zebrać siły na odrodzenie.

Gdzieś w lesie zaczął śpiewać kos.

Nagle fakt, że Ralph się nie odzywa, napełnił mnie strachem nie do opisania. Co się działo tam w krzakach, o kilka jardów dalej? Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, były jak sparaliżowane. Puściłam pień i zataczając się, niemal padając, ruszyłam. Musiałam go zobaczyć.

Rozsunęłam krzaki i zaskowyczałam ze zgrozy, widząc mego ukochanego złapanego jak szczur w pułapkę, którą sama zastawiłam. Osunął się na stojące na sztorc szczęki. Zasłabł z bólu. Zębiska pułapki zgruchotały mu kości kolanowe i trzymały nogi w sztywnej pozycji, jak u marionetki, lecz góra ciała obwisła jak przekłuty balon. Jedno z ostrzy przecięło chyba żyłę, bo płynący wolno strumień krwi wsiąkał w bryczesy i ściekał po nodze na czarną ziemię.

W obliczu tego strzępu, który został z mojego kochanka, nogi znów ugięły się pode mną i upadłam. Ręce zacisnęłam na ciemnej torfowej glebie niczym na linie ratunkowej mającej wyciągnąć mnie z przepaści. Zaciskając zęby podniosłam się, a potem równie cicho i ostrożnie jak przyszłam, jak gdyby obawiając się obudzić kochanego, zmęczonego męża, wycofałam się. Stawiałam sztywne kroki niczym dama dworu, nie odwracając wzroku od sponiewieranego ciała. Przez cały czas krew wsiąkała w ziemię. Miał tu umrzeć jak nędzny robak.

Podeszłam do domu cicho niczym rabuś i wśliznęłam się przez otwarte drzwi kuchenne. A potem weszłam do składziku i przywołałam sówkę Mądrałą. Poszłyśmy razem tylnymi schodami na balkonik obok mojego pokoju. Nikogo po drodze nie spotkałam. Spojrzałam przez okno na wschodzący księżyc, smutny chudy sierp bladego księżycy i gwiazdę błyszczącą obok niego jak łezka. Całe wieki upłynęły od chwili, gdy siedziałam przy oknie i czułam na sobie gorejący wzrok uśmiechniętego Ralpa. Teraz unikałam światła

gwiazd. Wciąż zastanawiałam się gdzieś w głębi umysłu, czy Ralph już skonał, czy też jego agonía przedłuża się, czy dogorywa w strasznych męczarniach niczym szczur w pułapce. Czy odzyskał świadomość i woła moje imię w nadziei, że przyjdę i mu pomogę, czy też zrozumiał, że to ja zastałam pułapkę, i czeka teraz w ciemności z wykrzywioną twarzą na śmierć.

Mądrała usadowiła się na szczycie komody. Czujnie patrzyła swoimi wielkimi oczami. Całkiem opierzona, niebawem miała zacząć latać. Ralph obiecał, że wypuści ją na wolność w lesie. Z początku musiałby ją podkarmiać, dopóki nie nauczyłaby się polować. Teraz Mądrała będzie sobie radzić sama. Nadchodzi nowe życie, trudne. Rodzi się w blasku chorego żółtkłego księżycy. Wszyscy musimy się nauczyć walczyć o przetrwanie. Znikąd pomocy. Kiedyś czułam ufność do ojca, ale to było dawno, w złotych czasach dzieciństwa. Ralph żywił ufność do mnie, do moich uśmiechów, nawet do kłamstw wypowiedzianych prosto w oczy. Zaufanie, wiara — to już minęło. Sięgnęłam więc delikatnie po sówkę, gołą ręką dotykając jej szponów i piór. Rozsupłałam więzy na kościstych nóżkach. Przymilnie ciepłe stópki wynurzyły się spod piór. Otworzyłam okno i wysunęłam rękę. Nocny wietrzyk nastroszył piórka.

— No, leć, Mądrała. Bo nie mam już w sobie miłości i mądrości.

Sówka mocniej ścisnęła mnie szponami za rękę. Wiatr zakołysał jej ciałkiem, a głowa przechyliła się. Rozglądała się spokojnie.

— Leć! — i okrutnie cisnęłam sówkę w powietrze, mierząc w księżyc, jak gdyby ptak mógł polecieć i zabrać cały mój smutek i ból. Sówka spadła. Wyglądała jak puchata miotełka, gdy tak leciała z drugiego piętra. Westchnęłam ciężko, patrząc na jej upadek. Ale nawet uczepiona parapetu, pozostałam niewzruszona. Bolesna walka Mądrali o wejście w dorosłe życie nauczyła mnie jednego: wszystko co robisz, wszystko co mówisz, *wszystko* ma swoje konsekwencje. Jeśli rzucam w noc świeżo opierzonego ptaka, może on spaść i skrećić kark. Jeśli dałam znak mordercy, nikczemnik podążył za mną. Jeśli zwabiłam kochanka do pułapki, przytrzasnął sobie nogi i zaczął krwawić.

Sówka spadała dalej, lecz zanim dosięgła ziemi, rozpostarła skrzydełka. Płynnie skierowała się do ogródka przy kuchni i zaszleściła w krzaku porzeczki. W świetle księżycy jej piórka wydawały się blade. Patrzyłam, jak siedzi spokojnie, zdziwiona swoją wolnością. Powoli rozluźniałam rękę zaciśniętą na parapecie. Zauważyłam, że trzymam coś w drugiej dłoni. Nie miałam pojęcia, co to może być. Rozprostowałam zeszywniałe palce i spostrzegłam garść ziemi i liści. Czekałam na drugi krzyk Ralphi, zacisnęłam bezwiednie rękę na ściółce leśnej i przyniosłam ze sobą zgarniętą wtedy ziemię. A Mądrała rozpostarła skrzydła i poleciała nisko nad ogródkiem kuchennym do lasu, niczym znak, że utraciłam mądrość, utraciłam miłość.

Spałam z tą garścią ziemi i liści pod poduszką, ściskając ją zimną ręką. Powalałam czystą pościel z irlandzkim haftem, pościel, w której tak chciał spać Ralph. Spałam mocno jak dziecko, bez snów. Rano zawinęłam ziemię w skrawek karbowanego papieru i schowałam w szkatułce z biżuterią. Osobliwy gest. Tego ranka czułam się jednak osobliwie: lekko, nierealnie, jak gdyby poprzednia noc i wszystkie dni lata były tylko dziwnym snem wciąż przeze mnie śnionym. Miałam teraz talizman odganiający strach, który szedł za mną do domu jak czarny pies. Tyle mi zostało z Ralphi; jedyna rzecz, która mi pozostała po odfrunięciu sówki. Garść ziemi z miejsca śmierci. Garść naszej ziemi, Wideacre.

Nazajutrz oczekiwałam wiadomości o śmierci Ralpa. Było pewne, że do dworu dotrze jakaś pogłoska ze wsi. Czekałam, że matka lub Harry powtórzą tę wieść przy śniadaniu. Czekałam przy obiedzie. Czekałam przy herbacie. Czekałam wieczorem, w saloniku mamy... Nic.

— Nie tknęłaś nawet jedzenia przez cały dzień, Beatrice — odezwała się mama delikatnie. — Musisz spróbować, kochanie. Wydajesz się taka rozdrażniona.

Harry podniósł wzrok, nagle zdając sobie sprawę z mojej bladości i wyczerpania.

— Ona rozpacza, mamó — stwierdził. Podniósł się ze swego fotela z drugiej strony kominka i usiadł przy mnie na sofie. Wziął mnie łagodnie za rękę. — Biedna Beatrice. Musisz spróbować zwalczyć swój smutek. Papa by sobie tego nie życzył.

Uśmiechnęłam się, lecz chłód w sercu pozostał. Przebiegła mi przez głowę myśl, że Harry wiedział o śmierci Ralpa i nie dopuszczał do mnie tej wieści, chcąc mnie oszczędzić.

— Mam dziwne uczucie, że zdarzy się coś strasznego — powiedziałam i wzruszyłam ramionami. — Zupełnie nie wiem dlaczego. Sądzę, że gdybym dowiedziała się o jakimś wypadku, poczułabym się lepiej. Po prostu byłoby to już za mną.

— Nieszczęścia chodzą parami, rzeczywiście — odezwała się matka niezbyt mądrze, lecz wzrok miała nadal czujny. — Nic się nie stało, prawda, Harry?

Harry pogłaskał mnie po ręce, jego współczucie i delikatność nie zdołały jednak roztopić lodu w moim wnętrzu.

— Nie, mamó. Nie, Beatrice. Cóż mogłoby się zdarzyć? Beatrice jest przemęczona i tyle, a ty, mamó, wierzysz w jakieś przesady. Jutro rano wszyscy na pewno poczujemy się lepiej.

Ja nie poczułam się lepiej rano. Ani następnego ranka, ani jeszcze następnego. Na pewno ktoś już go znalazł? Jego matka, Meg, musiała wrócić do domu i zastać chatę pustą, a drzwi otwarte. Wołała go pewnie, poszła dróżką w jedną i drugą stronę, wezwała kogoś, żeby jej pomógł szukać syna i na pewno go znaleźli zgiętego wpół w żelaznym potrzasku. Umarłego? Siedziałam przy oknie w moim pokoju wyglądając na ogród i bezwiednie gniotąc dłonie, aż wystąpiły na nich czerwone plamy. Cóż tam robili, tak powoli i rozlaźle, że jeszcze go nie znaleźli? Jak Meg mogła udawać matkę umierającą ze strachu o kochającego syna, skoro nie wyczuła, że dzieje się coś złego, i nie znalazła go?

Wyobrażałam sobie co rusz ciąg scen: powiadomienie wsi; wiejski cieśla robi trumnę. Wieść dociera do dworu, przyniesiona przez przyjaciela lub krewnego kogoś ze służby. Dowiaduje się mój brat czy nawet matka, a może Lucy, pokojówka, szepce mi coś na ucho. Na pewno już cała kuchnia wie, a wkrótce i nam powie ktoś ze służby. Muszę być cierpliwa. Muszę uważać, aby nie zdradzić zainteresowania tą sprawą. No ale chyba już go znaleźli!

Wstałam, aby towarzyszyć Harry'emu i mamie przy śniadaniu. Następnego dnia (piąty dzień) bez wieści. To musi nastąpić dzisiaj. Muszę być przygotowana. Z ręką na kłamce spojrzałam na swoje odbicie w szybie. Matowozielone oczy nie zdradzały mojego zaniepokojenia. Skóra była blada, bladokremowa na tle czarnej sukni. Byłam urodziwą córką oplakującą ukochanego ojca, a nie pałającą żądzą zemsty boginią. Ani śladu wewnętrznego napięcia na twarzy, chociaż czułam naprężenie skóry na czole i wokół oczu.



Brakowało mi papy; brakowało mi go tak bardzo, że łzy same płynęły po policzkach, gdy przebywałam w samotności. Brakowało mi też Ralpa, chorobliwie mi go brakowało. Cały czas pod żebrami nosiłam przepastną tęsknotę i pożądanie; cały czas serce bolało na wspomnienie tych dwóch mężczyzn, dzięki którym przeżyłam wspaniałe lato. W tym spokojnym letnim świecie papa mnie kochał i Ralph mnie kochał, pieścił i leżał obok przez długie leniwe popołudnia.

A jeśli nawet za kilka lat spotka mnie wygnanie i rozpacz? Cóż z tego? Gdybym tylko mogła teraz się obudzić i zjeść śniadanie razem z ukochanym papą, a po południu wyjechać konno w las na tajemne spotkanie z mrocznym sprytnym kochankiem... Jakże byłabym szczęśliwa... Nie czułabym bólu, pustki, tęsknoty, żalu i utraconej miłości.

Wygładziłam skórę na czole, machinalnym gestem starej zmęczonej kobiety. Odwróciłam się i zeszałam po schodach. Stapałam jak najciszej po drewnianych stopniach, lecz kroki brzmiały głucho, a z jadalni nie dobiegał wesoły śmiech.

I znów żadnych wiadomości. Siedzieliśmy w milczeniu; Harry spożywał obfite śniadanie siedząc u szczytu stołu, a mama chrupała grzanek, zajmąwszy miejsce naprzeciwko. Ja piłam herbatę, nie odzywając się. Stanowiliśmy obraz domowego spokoju. Kiedy Harry skończył jeść, a mama już wyszła z pokoju, Harry spojrzał na mnie z czułością i powiedział:

— Mam dla ciebie niedobłą wiadomość, Beatrice. Mam nadzieję, że nie przysporzy ci ona dodatkowych zmartwień.

Uniosłam się i odchyliłam na krześle. Twarz zachowała spokój, lecz serce oszałało ze strachu.

— Ralph, pomocnik gajowego, gdzie zginął — niepewnym tonem stwierdził mój brat.

— Zginął! — wykrzyknęłam. Podniosłam raptownie głowę i z niedowierzaniem spojrzałam na Harry'ego. — Nie mógł nigdzie zginąć! — Widok Ralpa bezwzględnie unieruchomionego w pułapce, ze złamanymi nogami, stanął mi przed oczami tak wyraźnie, że obawiałam się zdradzenia przed Harrym jakimś odruchowym gestem. — Jak mógł uciec? — spytałam, odkrywając swoje uczucia.

— Co masz na myśli, Beatrice? — odezwał się Harry cicho, zaszokowany moim wybuchem. — Proszę — wręczył mi filiżankę herbaty. Ręce tak mi drżały, że nie mogłam utrzymać jej w palcach, a kiedy z trzaskiem odstawiłam herbatę na spodeczek, filiżanka rozbiła się. Musiałam się opanować. Nie wolno mi było załamać się. Świadoma, że Harry patrzy na mnie, odetchnęłam głęboko i zmusiłam twarz do przybrania spokojnych rysów. Przecież Harry starał się tylko jak najdelikatniej przekazać mi wiadomość o Ralphie. Słyszając jednak, że zaginął, a nie zmarł, zaczęłam na nowo przeżywać koszmar ostatnich czterech nocy, kiedy śniło mi się, że Ralph czołga się za mną, wytrzymując tempo mojego biegu, i wlecze za sobą brzęczącą pułapkę na kłusowników. Jęknęłam ze strachu. Harry krzyknął i pobiegł po brandy do jadalni.

— Wypij. No, dalej, Beatrice. — Przełknęłam i fala gorąca zalała mi wnętrze.

Odchrząknęłam.

— Przepraszam, Harry. To tylko nerwy. Czy mówiłeś coś o Ralphie?

— Może innym razem, Beatrice, to nieważne. — Znów pogłaskał mnie po dłoni. — Nie miałem pojęcia, że wciąż jesteś w depresji, moja biedna siostró.

Odsunęłam jego rękę i spróbowałam przemówić spokojnym głosem.

— Naprawdę nie jestem w depresji, drogi Harry — odezwałam się cicho. — To tylko nerwy, wiesz dobrze. Miałam przeczucie, że Ralph nie żyje. Nie wiem dlaczego. Powiedz, proszę, jak jest naprawdę.

— Nie aż tak źle, moja droga — uspokajał Harry. — Nie aż tak. Wydaje się, że po prostu zniknął. To strata dla naszej posiadłości, a zwłaszcza dla mnie, bo był dla mnie jak zarządca. Ale i bez niego przeżyjemy.

— Harry, ja muszę wiedzieć. Jak to odszedł? Dlaczego odszedł?

— Cóż, to tajemnicza sprawa. — Harry usiadł obok i wziął mnie za rękę. — Mówią, że ktoś ze wsi przyszedł do chaty Meg i znalazł porzucane sprzęty. Ubrania poznikały. Dwa psy Ralpa również. Bez słowa, bez wieści. Po prostu zniknęli.

Koszmar powoli stawał się rzeczywistością. Gdzieś za murami dworu Ralph był żywy i wolny. Wiedział doskonale, że to ja ukartowałam jego śmierć, że to ja zostawiłam go w agonii. Wiedział, że pozwoliłam mu zabić swojego ojca, a potem chciałam go zniszczyć. I teraz gdzieś za murami tego domu Ralph czeka na mnie. Już nigdy w życiu nie uwolnię się od strachu przed nim.

— W jakim stanie zostawili chatę? — spytałam. Sama dziwiłam się swemu chłodnemu opanowanemu głosowi. Zabrzmiało to, jak gdybym zamierzała wynająć komuś nowemu tę rozpadającą się chałupę.

— Cóż, chyba żaden dzierżawca nie zechce tam mieszkać. Wiesz, te plotki o krwawych ofiarach i czarach Meg. Nawet nie warto powtarzać, moja droga.

Drętwiałam ze strachu, ale musiałam wiedzieć.

— Och, Harry, już mi lepiej — zapewniłam go. — Powiedz mi, proszę, co ludzie gadają? Wolę to usłyszeć od ciebie niż od pokojówki czy kogokolwiek ze wsi.

Harry'ego nie trzeba było zachęcać. Jak uczeń rwał się do opowiadania.

— Cóż, dziwne to wszystko — zaczął ze źle skrywanym zapałem. — Pani Tyacke przysłała spytać, które sprzęty z jej chaty chciałby zatrzymać Ralph, przejmując dom. Zobaczyła otwarte drzwi i wszędzie plamy krwi. — (Zastygłam jak bryła lodu.) — Na podłodze były ślady, jak gdyby ktoś ciągnął zwłoki do kuchni. A najdziwniejsze, że wszędzie stały miski i wiadra z zakrwawioną wodą, jedyne zaś prześcieradło Meg leżało podarte i zakrwawione.

Świetnie mogłam to sobie wyobrazić. Meg wiedziona szóstym zmysłem wróciła wcześniej do domu i zaczęła szukać syna (może krzyki Ralpa wskazywały jej drogę). Znalazła jakiś drag i z całej siły rozwarła szczęki śmiertelnej pułapki. Ralph osunął się na ziemię. Meg, silna pasją matki, zaciągnęła go do chaty. Krew ściekała na podłogę. Potem desperackim wysiłkiem zatamowała krwotok, drąc jedyne prześcieradło i przyciskając zimne okłady do ran. A potem... a potem...? Czy Ralph nie żyje? Czy Meg ukryła ciało? Nie wiedziała, że to nie był wypadek. Może nawet oplakuje go teraz w jakimś cichym kącie w lesie, a ja jestem bezpieczna. Miałam tę nadzieję. Zwróciłam w kierunku Harry'ego niczym nie zmącone oblicze.

— To wszystko? — spytałam.

— A co, nie wystarczy? — odparł z typową dla plotkarzy satysfakcją. — Ale słyszałem jeszcze coś. Chociaż zostawili meble, zabrali stary wózek ręczny. Stara Betty przysięga, że widziała kogoś wyglądającego na Meg, kto pchał wózek ręczny z jakimś ciałem. Z tyłu biegły dwa czarne psy. A działo się to na drodze do Londynu rankiem trzy dni temu. Betty nie wspomniała o tym wcześniej, bo sądziła, że się pomyliła. A we wsi połączono oba fakty, i to zniknięcie, i wózek.

Kiwnęłam głową i spuściłam wzrok, żeby brat nie zobaczył mojej rozpacz i strachu. Niedobrze się stało. Wysoce prawdopodobne, że Meg zdołała ocalić życie Ralphowi, ale ten nie mógł chodzić o własnych siłach. Ralph musiał jej powiedzieć, kto zastawił pułapki; jeśli nie powiedziała, przyniosłaby go przecież natychmiast do dworu. A nie przyniosła! Zabrała go stąd, jak najdalej od dworu i ode mnie. Zabrała go do swoich, do wolnych Cyganów. Tam go wyleczy, a Ralph nabierze siły, żeby powrócić i zmierzyć się ze mną. Z dała od naszych ziem i wpływów będzie mógł snuć różne plany, spiskować przeciwko mnie. Zawsze będzie mi zagrażał, teraz i w przyszłości. W każdej chwili mogę oczekiwać, że się tu pojawi, tak jak pojawiał się w moich snach. Powłóczący nogami, straszliwie okaleczony, przychodzący dopełnić zemsty. Tak ostry, wyraźny obraz miałam przed oczami, że w pewnej chwili odniosłam wrażenie, iż Ralph podciąga beznogie ciało po schodach do drzwi frontowych dworu. Straciłam panowanie nad sobą.

— Jestem chora, Harry. Zawołaj pokojówkę — poprosiłam i głowa osunęła mi się na stół. Zemdlałam ze zgrozy.

Teraz nie było już żartów. Nie uśmiechałam się już do swojego odbicia w lustrze. Nic nie jadłam ze strachu, że Ralph pojawił się w kuchni z jakimś wywarem Meg i zatrzał jedzenie. Nie ośmielałam się wychodzić dalej niż do ogrodu różanego (na wypadek gdyby był w letnim domku) czy do furtki prowadzącej do lasu. A nawet przebywając w domu, cały czas balansowałam na granicy załamania nerwowego. Nadeszły długie, mroczne zimowe wieczory. Zaciągano zasłony, a schody i hall pogrążyły się w cieniu. Wszędzie Ralph mógł z łatwością się schować i czekać, aż nadejdę. W nocy źle spałam. Budziłam się z krzykiem zgrozy. Mama wezwała miejscowego aptekarza, a potem chirurga z Londynu. Dali mi środki nasenne. Im głębszy jednak był sen, tym straszniejsze śniłam koszmary. Przez prawie trzy miesiące zimowego marazmu cierpiałam jak schwyte dzikie zwierzę.

Powoli jednak w mojej zastraszonej wyobraźni zaczęła kiełkować zbawienna myśl, że nic się nie dzieje. W całej panice i oczekiwaniu najgorszego nie zauważyłam, że przecież nic się nie dzieje. Nikt nie wiedział, że mojego ojca ściągnięto z konia i zatłuczono jak królika. Nikt nie wiedział, że krew z cudownych, silnych ud Ralph'a wsiąknęła w naszą ziemię tam, gdzie zdradziecko zastawiono na niego pułapkę. Przed nadejściem zimy zaszły te dwa okropne wydarzenia, a potem wszystko jakby zamarzło. Wszystko zastygło na długie zimowe miesiące — oprócz mego umęczonego umysłu i łomocącego serca.

Zima zelzała. Pewnego ranka obudziłam się nie wraz ze śpiewem samotnego drozda, lecz słysząc cały ptasi chór. W oddali na rzece Fenny pękaty lody. Narzuciłam gruby szal na ciemną wełnianą suknię i spacerowałam po ogrodzie. Szklista tafla oddzielająca mnie od ziemi wydawała się rozpuszczać jak lód na zamrzniętych kredowych nizinach. Gdziekolwiek spojrzalam, wyrastały zielone łodyżki. Śmiałe wiotkie kolce przebijały przez glebę. I ani śladu Ralph'a. Bogu dzięki.

Gdy spojrzalam na las, tam gdzie kiedyś był jego dom, dostrzegłam tylko mgławicę pierwszych pąków liści stanowiących jak gdyby aureolę dla ciemnych gałęzi drzew. Las nie zapadł się pod ziemię, zhańbiony jego krwią i moim zdradzieckim pocałunkiem śmierci. Miłość i krew wsiąkły w ziemię, dobrą bezstronną ziemię, równie łatwo jak krew upolowanego królika czy jad węża. Ziemia nie zastygła w oczekiwaniu zemsty; stała się wilgotna, ciepła, obiecująca wiosnę — jak co roku. Bez względu na właściciela, na grzechy, których brzemień nosiła, śnieg zawsze rozścielał tu swój mroźny dywan, a pod nim rodziło się w ukryciu nowe życie.

To co się stało, odeszło w przeszłość. To wszystko działo się na jesieni, kiedy zgodnie z odwiecznymi prawami przyroda obumiera i leje się krew. Jesień jest czasem wyzwania, czasem zabijania; zima zaś to pora na odpoczynek i gojenie się ran, a wiosna — oznacza nowe plany, działania i nowe życie.

Jak dawniej szłam swoim rozkołysanym krokiem aż do krańców ogrodu różanego. Przeszłam przez furtkę obrastającą nowym mchem, mokrym i lepkiem w dotyku, do lasu, gdzie woda kapłała z drzew. Nie myślałam o tym, co robię. Położyłam rękę na wilgotnej korze i poczułam, jak bije serce mojej ukochanej Wideacre, jak z nową porą roku przyspiesza tempo. Szybki wilgotny wiatr przyniósł wiosnę. Młode żółte słońce ogrzewało mokrą ziemię. Jak tropiący pies wdychałam w nozdrza zapach wiatru zapowiadający deszcz i zapach budzącej się ziemi; czułam nawet smak soli morskiej, przynoszony tu z południa, zza nizin. Nagle czerpałam rozkosz z faktu, że chociaż papa i Ralph odeszli, ja żyję, a moje ciało jest silniejsze, ponętniejsze i piękniejsze niż kiedykolwiek. Przyszłam do domu nucąc pod nosem jakąś melodię i po raz pierwszy od wielu miesięcy zdałam sobie sprawę, że mam apetyt na obiad.

Harry kłusował po podjeździe. Pomachał mi. Podczas przechadzki zauważyłam, że przez żwir przebijają się pędy chwastów. Powinnam powiedzieć o tym z Rileyem. Harry zsiadł z konia i czekał na mnie przy furtce, a ja poczułam, patrząc na jego silne smukłe ciało (zmężniałe od jazdy konnej i dojrzałe z racji wieku), że tli się jeszcze we mnie ogień pożądania. Żyłam, byłam młoda i mogłam sobie wyobrazić siebie jako uroczą boginię Wideacre budzącą się na wiosnę z dawnego bólu i smutku.

Uśmiechnęłam się więc słodko do mojego brata i chwyciłam go lekko za ramię. Dałam się poprowadzić do hallu naszego domu.

Miarą mego powrotu do zdrowia był fakt, że Harry znów podniósł kwestię zniknięcia Ralpa, a ja nawet nie drgnęłam na dźwięk jego imienia. Siedzieliśmy wieczorem do późna, żeby skończyć wspólną lekturę powieści, którą mama uznała za zbyt głupią, aby rezygnować ze snu. Ja jednak błagałam Harry'ego, żebyśmy czytali do końca. Zostaliśmy sami w saloniku mamy. W kominku żar tlił się coraz słabiej.

— Potrzebujemy chyba nowego pomocnika gajowego — odezwał się delikatnie Harry, uważnie obserwując moją reakcję.

— O nieba, jeszcze nikogo nie znalazłeś?! — krzyknęłam ze zgrozą. — Bellings nie może wszystkiego robić sam, a jeśli nie znajdziesz kogoś młodego i zręcznego, wieśniacy zaczną buszować po wszystkich terenach łowieckich. Nie będzie zwierzyny na jesieni, jeśli nie powstrzymamy ich od strzelania do lisów już teraz. Do dziczyzny musi być jeden gajowy, a do młodych jeleni drugi, bo skończą się i polowania, i mięso, Harry.

— I tak koniec z polowaniami — przypomniał mi. — Na początku sezonu będziemy jeszcze nosić żałobę. Ale zatrudnię młodego gajowego. Szkoda mi Ralpa. — Ożywił się, nawet jak gdyby zdenerwował. — Był bardzo zręczny, zgodny. Pomagał mi poznawać tajniki gospodarowania. — Przerwał. W mgnieniu oka zrozumiałam, co Harry chciał wiedzieć. — Naprawdę go lubiłem. — Tym łatwym kłamstwem odrzucił podejrzenia o swoje zadurzenie w Ralpie. — Ty chyba też?

Mignął mi w pamięci nieprzyzwoity obraz, kiedy ja i Ralph staliśmy nadzy, a Harry czołgał się z twarzą w słomie do nagiej stopy Ralpa i przytulał do niej policzek. Nie powiedziałam nic, nie mając pewności, dokąd zmierza Harry.

— Miał bardzo silną, żeby nie powiedzieć żelazną osobowość — ciągnął Harry, starannie dobierając słowa. Obmyśliłam replikę. Podniosłam oczy pełne łez na szczerą zaniepokojoną twarz mego brata.

— Och, Harry — mój głos przeszedł w szloch. — Kazał mi robić takie straszne rzeczy. Bałam się go. Powiedział, że nie zawaha się przed kłamstwem, aby mnie zdobyć, o ile nie będę mu posłuszna. Zastraszył mnie i gdybyś wtedy właśnie nie przyszedł, nie wiem, co by się stało.

— Ja... cię uratowałem? — spytał z nadzieją Harry.

— Pozbawiłby mnie czci i splamił nasze nazwisko — stwierdziłam stanowczo. — Bogu dzięki, nadszedłeś na czas, a od tego dnia tak się ciebie bał, że przestał mnie prześladować.

Dający łatwo się urobić umysł Harry'ego przyjął to za prawdę. Heroiczny oswobodziciel cnotliwej siostry!

— Najdroższa siostrzyczko — odezwał się czule. — Tak się martwiłem, lecz nie chciałem pytać... Nie zrealizował swego brudnego czynu do końca? Przyszedłem na czas?

Moje policzki zapłonęły panieńskim rumieńcem, lecz szczerłość i uczciwość dodały mi śmiałości.

— Jestem dziewczyną, Harry — powiedziałam z przesadną skromnością. — Uratowałeś mnie. A człowiek, który tak mnie potraktował, odszedł na zawsze. Wygnany niewątpliwie ręką Boga. Ocaliłeś mój honor.

Kochany Harry: dorastający mężczyzna, a jednocześnie jeszcze dziecko. Tak samo mama wolała łatwe kłamstwo niż straszliwą prawdę. Kłamiąc bezwstydnie, nie przestawałam się ciepło uśmiechać.

— Ocaliłeś najcenniejszą rzecz, jaką posiadam, mój honor, Harry, i nigdy nie zapomnę, że mam w tobie opiekuna. Ty jesteś teraz głową domu i głową rodziny. Powierzam się tobie z dumą i ufnością.

Wyciągnął ramiona, a ja odpowiedziałam na ten czysty czuły uścisk. Poczułam znów dreszcz pożądania, gdy objął mnie mężczyzna. Na wpół świadomie napięłam mięśnie w nogach i pośladkach, gdy Harry ścisnął mnie w talii. Dziecinny duch psoty kazał mi tak pokierować ciałem w jego objęciach, aby dłoń Harry'ego przejechała po zaokrągleniu moich piersi.

— Bezgranicznie — dodałam.

Ręka Harry'ego została tam, gdzie ją skierowałam.

## 5

Tej nocy wyobraźnia grała ze mną w kotka i myszkę. Śnił mi się Ralph. Nie Ralph z koszmarów, lecz dawny Ralph z naszego cudownego lata. Sunęłam lekko przez ogród różany. Stopy ślizgały się na żwirze ścieżek. Furтка otworzyła się przede mną i jak duch przeniosłam się nad rzekę. Na brzegu stała jakaś postać. Wiedziałam, że to mój ukochany. Połączyliśmy się. Wszedł we mnie z cudowną siłą. Wydałam jęk rozkoszy. Doznanie rozkoszy i bólu było tak wyraźne, że obudziłam się pełna żalu. Sen zniknął szybko, gdy tylko otworzyłam oczy. Zapamiętałam tylko, że twarz kochanka, kiedy podniósł głowę po długim pocałunku, należała do Harry'ego.

Myślałam, że przeżyję szok, lecz zamiast tego uśmiechnęłam się tylko i usiadłam na łóżku. Śnić o Harrym, gdy wiosna w pełni — to całkiem naturalne i właściwe. Przebywaliśmy stale razem, a jego



towarzystwo dawało mi coraz więcej radości. Przyjemnie było spacerować z nim po ogrodzie. Obmyślaliśmy rozkład nowych grządek. Doglądaliśmy palikowania i wytyczaliśmy ścieżki na świeżo skopanej ziemi. Kiedy furmanka przywiozła mnóstwo nowych drzewek i krzewów, spędziliśmy kilka wspaniałych dni nadzorując pracę trzech ogrodników przy sadzeniu drzew. Udeptywaliśmy nawet ziemię i sami przywiązywaliśmy pędy do palików.

Czasem jeździliśmy razem konno na niziny. Chociaż wciąż nie wolno mi było oddalać się zbyt od domu, wydebiłam stary powóz guwernantki i zaprzęgam do niego swoją klacz. Mogłam więc jeździć po całej posiadłości, a nawet tam gdzie zaczynają się niziny, a Harry towarzyszył mi na swoim wierzchowcu. Myślałam czasem, że papa byłby bardzo zadowolony, widząc nas w takiej idealnej zgodzie na ziemi, którą kochał.

— Nie jesteś zmęczona, Beatrice? — pytał zatroskany Harry.

Uśmiechałam się w odpowiedzi i przechadzaliśmy się po wzgórzach, spoglądając w dół na rozległe zielone pola i lasy lub odwracaliśmy wzrok na południe, ku morzu błyszczącemu w oddali jak niebieski placek.

Przestałam czuć się onieśmielona wykształceniem Harry'ego, zwłaszcza gdy zobaczyłam, jak niewiele wciąż wie o ziemi. Słuchanie o książkach, które przeczytał, i ideach, które go interesowały, zaczęło mi sprawiać przyjemność. Nigdy nie stanowiło dla mnie różnicy to, czy ktoś zgadza się na umowę społeczną czy też nie, lecz gdy Harry mówił o walce o ziemię, o spornym prawie elit do własności ziemskiej, od razu przejawiałam zainteresowanie tematem.

Wtedy śmiał się ze mnie i powiadał:

— Och, Beatrice, nie obchodzi cię nic, co nie ma związku z Wideacre. Jakież z ciebie ciemniaczek, jakież prostaczek!

Ja też się śmiałam i zarzucałam mu, że tak dalece zajął się swoimi ideami, że nie zauważa dzikiego owsa rozplenionego w łąkach pszenicy. O zgrozo, tak było naprawdę.

Jeśli w sąsiedztwie mieszkałoby więcej młodych ludzi, spędzalibyśmy razem o wiele mniej czasu. Gdyby Harry lepiej znał się na uprawie roli, także nie potrzebowałby wiecznie mojego towarzystwa. Gdyby nie żałoba, Harry prawdopodobnie spędziłby minioną zimę w Londynie, a i mnie zabrałby na parę dni do miasta. Tak się jednak złożyło, że byliśmy zdani na siebie. Odzyskiwałam zdrowie i pogodę ducha. Tylko mama psuła mi humor, usiłując zatrzymać przy sobie w saloniku i zając haftowaniem. Nie miałam już papy, który wpadał ze stajni i ratował od tej tyranii tradycyjnego wychowania. Mogłam jednak zawsze liczyć, że Harry będzie potrzebował mojej rady przy pracach polowych.

Ziemia tęskniła za papą. Harry nie miał doświadczenia. Powoli dopiero się uczył, jak kontrolować dzierżawców, którzy oddawali się kłusownictwu i zuchwałym kradzieżom. Nieskładnie szło mu zatrudnianie wieśniaków przy siewach i pielieniu. Na tle jego ignorancji rosła moja pozycja. Przyjemnie było wydawać polecenia i nie powoływać się na panicza. Myślałam wciąż, jak dobrze byłoby całkiem samej zarządzać ziemią. Myśli te nie trwały jednakże długo. Lubiłam również jeździć u boku Harry'ego wieczorem na pola, podnosić wzrok i napotykać jego uśmiechnięte oczy.

Nie był już uczniakiem odesłanym przedwcześnie do domu. Był młodzieńcem przeistaczającym się w mężczyznę. Ja też zmieniałam się z każdym dniem. Moja skóra stawała się złocista, orzechowe oczy jaśniały, a włosy nabierały odcienia o ton czerwiejszego niż słońce. Z każdym dniem rozkwitałam w ciepłe tej

nadzwyczaj pięknej wiosny. I coraz bardziej brakowało mi kochanka. Zaciskałam usta, wspominając gwałtowne, gwałtowne kęsające pocałunki Ralphi, a ciało płonęło i świerbiało pod czarnym jedwabiem żałobnej sukni na wspomnienie bezwstydnego dotykania. Harry złapał mnie raz na takim śnieniu na jawie. Siedzieliśmy wtedy przy kominku w bibliotece pod pozorem porządkowania rachunków. Natychmiast oblałam się rumieńcem aż po korzonki włosów.

Harry, co dziwne, nie powiedział nic, a tylko spojrzał jakby oszołomiony i też się zarumienił.

Jakże rozkoszne było to, że właściwie się nie znaliśmy. Mój związek z Ralphem opierał się na ciągłym potwierdzaniu własnej wiedzy i wartości. Nie potrzebowaliśmy wiele mówić. Oboje świetnie wiedzieliśmy, czy pogoda jest ładna, czy też będzie padał deszcz. Oboje wiedzieliśmy, że chłopci zaczną pracę na polach od najwyżej położonych terenów, więc musimy chować się w lesie. Oboje wiedzieliśmy, że namiętność i ziemia to najważniejsze rzeczy w życiu każdego człowieka, a wszystko inne stoi na drugim planie, niewarte zachodu.

Harry nie miał o tych sprawach pojęcia. A ja, chociaż gardziłam jego ignorancją, żywiłam też wielką ciekawość do rzeczy, które on uważał za znaczące. Harry jawił mi się jako wielce intrygująca tajemnica. Po ciepłych wiosennych dniach nadeszło upalne lato i gdy zboże na polach nabierało srebrzystozielonej barwy, moje zainteresowanie Harrym wzrastało. Tylko mama psuła mi całą radość z rodzącego się uczucia wzajemnej bliskości. Co jakiś czas nalegała, żebym zachowywała się jak młoda dama, a nie zarządca farmy. Ale nawet ona nie mogła zaprzeczyć, że jestem Harry'emu niezbędna. Pewnego razu, gdy uparła się, bym została w domu w związku z wizytą pań Havering, straciliśmy około pięćdziesięciu funtów z jednodniowych zbiorów! Harry nie upilnował bandy podbieraczy kłosów i ich rodzin, którzy zrabowali nam co trzeci stóg zboża.

Panie Havering (lady Havering i jej myszkowata córka Celia) gawędziły sobie uprzejmie z mamą, a ja patrzyłam na słońce lejące się przez okna do pokoju i czułam bezsilną wściekłość, że Harry nie poradzi sobie z podbieraczami. Kiedy po południu przyszedł na herbatę, moje obawy potwierdziły się. Z wielką dumą obwieścił, że skończyli już kosić pola wokół dworu. Gdyby nie przyłożyli się do pracy, nie mogliby skończyć wcześniej niż następnego dnia! Harry usiadł obok Celi Havering i podjadał placek jak beztroski kupidynek. Ja zaś ledwie mogłam spokojnie wysiedzieć ze zdenerwowania.

Paplał z Celią jak kanarek. Celia mówiła cichutko, niemal szeptem. Pół godziny strawili na pogawędce o przepięknej pogodzie i najnowszej powieści. Dopiero moje surowe spojrzenie przypomniało mu, że zostawił na polu robotników, którzy (świetnie to wiedziałam) zażywają sobie równie długiej przerwy. Zaczął się więc wycofywać w zamasztych ukłonach i z pocałowaniem rączek. Żałował niemal, że musi iść. Tajemnicze upodobania mojego wspaniałego brata nie zawsze dostarczały mi radości.

— Wydajesz się bardzo niepokoić przebiegiem żniw, Beatrice — odezwała się cicho Celia. Rzuciłam jej ostre spojrzenie, jak gdyby prawila mi impertynencje. Łagodne brązowe oczy pozostały jednak szczere, a na bladej twarzy nie było cienia złości.

— To pierwsze żniwa nadzorowane przez Harry'ego — odparłam zdawkowo. — Spędził wiele czasu poza domem i nie zna naszych miejscowych zwyczajów. Obawiam się, że będę potrzebna w polu.

— Jeśli chcesz — tu zawahała się lekko. — Jeśli chcesz, możemy wybrać się na przejażdżkę — znów przerwała. — Przyjechałyśmy powozem mamy, a ty i ja mogłybyśmy... z pewnością... — słowa stawiły jej

opór, lecz ich znaczenie wreszcie do mnie dotarło. Na horyzoncie widziałam parę chmur deszczowych mogących narobić wiele szkody, ale wydawały się oddalać.

— Przejazdźka? — odrzekłam. — Cudownie!

„Powóz mamy” okazał się wielkim, staromodnym otwartym landem. Po zamieszeniu z ustawianiem parasoli dla ochrony naszej delikatnej cery pojechałyśmy w stronę pól. Celia starannie zasłoniła twarz przed słońcem. Na tle mojej miodowej skóry wydawała się mieć cerę isticie mleczną, idealnie bladą niczym po długotrwałym pobycie w piwnicy. Cóż, ja oprócz miodowych policzków, szyi i dłoni odznaczałam się jeszcze nieszczęsnymi piegami na nosie. Nawet w czarnej żałobnej sukni, z płonącymi od gorąca policzkami, wyglądałam na osobę cieszącą się życiem. Celia blada, chłodna siedziała niewzruszona, ledwie unosząc nieśmiały wzrok ponad żywopłoty. Twarz i różowe usta lekko jej drżały. Wydawała się przy mnie bardzo młoda. O pięć lat starsza, a takie jeszcze słodkie dziecko.

Nie wykazywała najmniejszych oznak niepokoju swoją sytuacją: dwadzieścia jeden lat i niezamężna. Jej blade piękno nie znalazło amatora w Londynie, gdzie dla oszczędności wysłano ją tylko na jeden krótki sezon. Lord Havering urządził dla niej pierwszy bal i nawet pokrył koszta drogiej sukni. Cóż z tego. Cały posag drugiego męża lady Havering roztrwonił na zakłady i hazard. Dla córki niewiele zostało. Własny kapitał Celii, bezpieczny przed zakusami ojczyzna dzięki zastrzeżeniom prawnym, sprawił, że otrzymała jedną czy dwie propozycje małżeństwa. Celia jednak miała obiekcje, a lady Havering nie nalegała. Celia wróciła do domu, do pełnego obowiązków i ograniczeń życia we dworze, niewielkie mając pojęcie o przyjemnościach czekających na młodą dziewczynę, o radościach i rozrywkach.

W swoim życiu nie zaznała wiele radości. Kiedy jej matka przyjęła oświadczyzny lorda Haveringa i wprowadziła się do jego dworu, zabrała ze sobą małą Celię raczej jako pudło na kapelusze niż jako osobę, z której zdaniem trzeba się liczyć. W wieku jedenastu lat została obarczona opieką nad rozbrykanymi hałaśliwymi dziećmi Haveringów, z dnia na dzień, ponieważ tonący w długach karcianych lord zdecydował się na oszczędności i zwolnił zarządcę domu, guwernantkę i nianię, powierzając nowej żonie i pasierbicy ich obowiązki.

Szlachetnie urodzone, lecz pozbawione opieki dzieci lorda ani trochę nie przejmowały się swoją nową cichą, nieśmiałą siostrą, a Celia nosząca jeszcze żałobę po ojcu i przywykła do pielęgnowania chorego rodzica żyła w samotności w jednym z największych domostw w kraju.

Każda dziewczyna na jej miejscu stałaby się nerwowa. Celia miała to szczęście, że jej dożywotni kapitał, spory kawałek ziemi graniczący z nami oraz pół tuzina farm, a wszystko to zabezpieczone przez prawników matki, nie mógł paść łupem rozrzutnego ojczyzna, co zapisano w intercyzie. Znałam ją od dziecka, bo nasze matki składały sobie wizyty. Zabierano mnie do pokoju dzieciennego, gdzie dokazywałam z małymi Haveringami i uczestniczyłam w uroczystych przyjęciach dla lalek Celii. Kiedy jednak dorosłam na tyle, by jeździć konno z ojcem, widywaliśmy się rzadziej. Czasem odbywaliśmy przejażdżkę do dworu Haveringów i machałam do Celii, jadąc u boku ojca w zgrabnym zielonym lub granatowym kostiumie do jazdy konnej. Celia niczym kruchy kwiat w białych atlasach obserwowała mnie z okna na górze. Ona oczywiście nigdy nie jeździła konno i nawet nie wychodziła przed dom, żeby nas powitać. Jej największe wyprawy miały miejsce co tydzień w niedzielę (dwie msze). Od czasu do czasu odbywała jakąś wizytę towarzyską. Cóż ją teraz skłoniło do

zapropowania mi przejażdżki? Bóg jeden wie. Pojechałabym nawet z samym diabłem, byle tylko zobaczyć pola. Co chciała osiągnąć Celia — to mnie nie obchodziło.

Kiedy tylko ujrzałam pola, stwierdziłam, że się nie pomyliłam. Tuzin mężczyzn, idąc ławą, kosił zboże. Ich żony i dzieci szły za nimi i wiązały zboże w snopy. Zgodnie z prawem, kiedy zboże zostało już ścięte, wieśniacy mogli zbierać resztę słomy na sienniki i paszę dla zwierząt, a pozostałe kłosa — dla siebie. Harry nie przyglądał się zbyt, w jaki sposób chłopci tną, tak że zostawiali całe lany zboża dla tych, co szli z tyłu. Uciekali się też do starego oszustwa obcinania łodyg tak wysoko, że nie dały się wiązać w snopy i dostawały się w ręce gorliwych zbieraczy.

Zamiast ukrócić te szwindle, Harry zakasał rękawy i bawił się sierpem na końcu szeregu żniwiarzy. Nawet w stanie wzburzenia nie mogłam nie dostrzec, jak wspaniale wyglądał. Bez peruki, z włosami błyszczącymi jak szczerze złoto w pełnym słońcu i koszulą malowniczo wyłożoną na wierzch wydawał się wyższy i smuklejszy niż inni mężczyźni wokół. Ciemne bryczesy świetnie leżały na silnych nogach i biodrach. Daję słowo, nawet święta poczułaby pożądanie na jego widok. Celia, jak i ja, nie mogła oderwać od niego wzroku, a on zauważył ją, pomachał i podszedł do furtki.

— Mam nadzieję, że nie obetniesz własnych stóp — odezwałam się cierpko.

Zgrzana i zirytowana musiałam siedzieć w powozie, zakutą w ciężką czarną suknię żałobną. Na moim tle Celia jawiła się jak chłodna doskonałość w białych jedwabkach pod wiśniową parasolką.

Harry roześmiał się zadowolony.

— Ośmielę się żywić podobną nadzieją! — odparł wesoło. — Cóż to za radość! Pomyśleć, ile żniw mnie ominęło! Wiesz, że to moje pierwsze w życiu żniwa w Wideacre?

Celia współczująco uniosła brwi nad brązowymi oczami. Nie mogła oderwać wzroku od Harry'ego. W wycięciu koszuli pokazała się kępka włosów na piersi, a skórę miał Harry bladą jak śmietanka, zabarwioną różowo tam, gdzie chwyciło ją słońce.

— Powinni iść bliżej — stwierdziłam. — Przechodząc do przodu, co rusz omijają przynajmniej jard ziemi.

Harry uśmiechnął się do Celi.

— Jestem typowym początkującym — powiedział bezradnie.

— Ja się zupełnie na tym nie znam — przyznała się Celia cicho. — Ale uwielbiam patrzeć na pracujących ludzi.

— Pracujących! — wyrwało mi się. — Ci chyba mają urlop! Pomóż mi zejść, Harry.

Zostawiłam ich oboje, żeby podziwiali piękno sceny i ruszyłam po ściernisku (czy raczej *wśród* ścierniska, bo było na stopę wysokie), aby upomnieć chłopów.

— Uważajcie — powiedział jeden na tyle głośno, że usłyszałam. — Idzie pan — zachichotali z wiejska, a i ja wyszczerzyłam zęby w uśmiechu.

— Dostyc tego — odezwałam się głośno, żeby usłyszała mnie cała banda podbieraczy. — Ścieśnijcie się wszyscy. Johnie Simonie, nie będę trzymać twojej rodziny w zbożu za darmo przez całą zimę! Stań bliżej przy Williamie. Ty, Thomas, tnij bliżej żywopłotu. Nie myślcie, że nie przejrzałam waszej gry! Jeszcze trochę takich wyskoków, a wyrzucę was wszystkich na świętego Michała!

Gderając i chichocząc, ścieśnili szeregi i wznowili pracę, tym razem nie zostawiając pasa nie skoszonego pola. Uśmiechnęłam się z przyjemnością na widok koszonego zboża padającego w złotych stertach. Ruszyłam z powrotem do landa.

Śmiech Celi brzęczał wesoło jak świergot jemiołuszki, a mój brat posyłał jej ciepłe uśmiechy.

— Widzisz, Harry, teraz pracują bliżej siebie i mniej się marnuje — powiedziałam.

— Tak, widzę. Ja im zwracałem uwagę, ale znów się rozchodzili.

— Kpią sobie z ciebie — stwierdziłam surowo. — Musisz im pokazać, że ty tu jesteś panem.

Harry znów uśmiechnął się do Celi, a ona odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem.

— Nie ma ze mnie wielkiej pociechy — zwracając się do niej, miał nadzieję na zaoponowanie.

— Rzeczywiście — byłam szybsza niż ona. — A teraz wracaj do ludzi i nie pozwól im przerywać pracy na dłużej niż dziesięć minut. Niech wypiją herbatę i nie wracają do domu przed zachodem słońca.

Harry odszedł do swoich zajęć, a robotnicy powlekli się do chat długo po zachodzie słońca. Harry przyjechał pogwizdując, kiedy na niebie świecił już złoty sierp księżyca. Usłyszałam go ubierając się do kolacji i całkiem niedorzecznie poczułam, jak serce podchodzi mi do gardła na dźwięk kopyt konia Harry'ego, stukających po podjeździe i dziedzińcu stajni. Przerwałam upinanie włosów w węzeł na czubku głowy i spojrzałam uważnie na swoje odbicie w lustrze. Zastanawiałam się, jak też wypadłam na tle Celi. Byłam piękna, nie miałam co do tego żadnych, Bogu dzięki, wątpliwości, ciekawiło mnie jednak, jak moje ostre, zdecydowane żywe rysy wyglądały w zestawieniu ze słodką pastelowością Celi. Kiedy przypominałam sobie scenę na polu, po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że Harry mógł czuć się nieprzyjemnie, napominany przez siostrę w obecności pracowników. Dlatego chyba nie zabiło mu serce na mój widok i z pewnością nie obserwował mojego ciała i moich gestów tak, jak ja patrzyłam na niego, schylonego na polu.

Wśliznęłam się do pokoju mamy, gdzie stało wielkie tremo odbijające całą postać. Moja ocena potwierdziła się. W czerni było mi do twarzy — o wiele bardziej niż w różach i błękitach, do których noszenia zmuszano mnie wcześniej. Suknia była dopasowana w talii, przy szyi wycięta w karo. Wydawałam się szczupłą niczym szpicruta. Włosy wokół twarzy, nieco krótsze niż z tyłu, wiły się w naturalnych lokach (trochę tylko karbowane szczypcami), a oczy w blasku świecy podobne były niesfornym oczom kota.

Pokój odbity w lustrze za moją postacią tonął w cieniach. Ciemnozielone zasłony wokół wielkiego łóża przybrały odcień igieł sosnowych. W świetle jedynej świecy mój cień na ścianie wydawał się wielki jak cień olbrzyma. Gra światła, a może przeczulona wyobraźnia przekonała mnie nagle, że nie jestem sama w pokoju. Nie obejrzałam się szybko za siebie, tak jak bym to normalnie zrobiła. Stałam dalej twarzą do lustra, wystawiając bezbronne plecy na pokój, próbując przeniknąć wzrokiem pogrążone w mroku kąty ciemnego pomieszczenia, odbite w jeszcze ciemniejszym szkłe. Kto tam był? Ralph.

Leżał tam, gdzie zawsze pragnął się znaleźć: w łóżu pana domu. Na jego twarzy zagościł znajomy, ciepły kochany uśmiech, z jakim zawsze się do mnie zwracał. Spojrzenie ufne, po części samczo wyniosłe, po części czule — zapowiedź burzliwej rozkoszy.

Zdrętwiałam. Nie widziałam jego nóg. Znieruchomiałam. Wstrzymałam oddech. Nie widziałam jego nóg.



Jeśli nogi miał całe, to ostatnie miesiące były koszmarem, a terażniejszość okazała się rzeczywistością. Jeśli nie miał nóg, to dalej będę żyła w koszmarze, i to milion razy gorszym niż wydawało mi się wcześniej. Zasłony wokół łoża rzucały przegowane cienie na kapę. Nie widziałam jego nóg.

Wiedziałam, że muszę się odwrócić i stanąć z nim twarzą w twarz.

Moje odbicie w lustrze było jedynym jasnym punktem pokoju; świeciło jak duch. Przygryzłam policzki od środka, żeby wyrwać się z otępienia, i jak skazaniec powoli się odwróciłam.

Puste łóżce.

Nie było tam nikogo.

— Ralph? — wycharczałam przez ściśnięte gardło.

Płomień świecy zamigotał lekko. Zrobiłam trzy kroki na sztywnych nogach i podniosłam świecę wysoko, żeby dokładnie obejrzeć łóżce. Nikogo. Poduszki i wyszywana jedwabna kapa leżały nietknięte. Drżącą ręką dotknęłam poduszek. Były chłodne.

Nikogo tam nie było.

Słaniając się podeszłam do toaletki mamy, ostrożnie postawiłam świecę i osunęłam się na stołek z głową w dłoniach.

— O Boże — odezwałam się przerażona. — Nie wpędzaj mnie w szaleństwo. Nie pozwól mi oszaleć teraz, gdy wreszcie znalazłam spokój.

Siedziałam tak długie minuty w milczeniu. Tylko zegar dziadka tykał miarowo w korytarzu. Odetchnęłam głęboko i odjęłam dłonie od twarzy. W lustrze odbijało się pogodne urocze oblicze. Wydawało mi się, że należy do jakiejś innej, pięknej kobiety.

Niełatwo było uwierzyć, jakie straszne doznania kryją się za kocim wejrzeniem.

Nagle zaskrzypiała podłoga i otworzyły się drzwi. Podskoczyłam z krzykiem. Mama. Stała przez chwilę nieruchomo z wyrazem troski w oczach. Nękały ją jakieś mroczne myśli.

— To niepodobne do ciebie, Beatrice, żeby tak wdzięczyć się przed lustrem — powiedziała cicho. — Przestraszyłam cię? Ciekawe, o czym myślałaś, że jesteś taka blada?

Zdobyłam się na wymuszony uśmiech i odwróciłam się od lustra. Mama bez słowa podeszła do komody i wyjęła z górnej szuflady chusteczkę. Cisza przedłużała się. Czułam znajome huczenie w głowie. Zaczynałam się niepokoić, co teraz będzie.

— Zateśniłaś chyba do swoich pięknych sukienek, kiedy zobaczyłaś toaletę panny Havering? — matka jak zwykle wysnuwała fałszywe wnioski. — Uroczo wyglądała, prawda? Zauważyłam, że Harry był urzeczony.

— Harry? — odparłam mechanicznie.

— Trudno o lepszą partię dla niego — stwierdziła mama, spryskując chusteczkę wodą kolońską. — Ziemię stanowiącą jej posag sąsiadują z naszymi, a twój papa zawsze miał na nie chętkę. To miła, wręcz czarująca dziewczyna. Przywykła do ciężkich warunków w domu. Umie się przystosować do trudności. Lady Havering zapewniła mnie, o ile to w ogóle ulega kwestii, że ty i ja mogłybyśmy tu zostać tak długo, jak nam się podoba. Celia nie pragnęłaby z pewnością żadnych zmian. Wszystko zatem składa się wprost idealnie.

Poczułam narastający chłód. Jak mama mogła mówić o narzeczonej dla Harry'ego? Harry był moim przyjacielem, moim towarzyszem, współnikiem. Razem prowadziliśmy farmę. Należeliśmy razem do Wideacre i tylko do niej.

— Partia dla Harry'ego? — spytałam z niedowierzaniem.

— Oczywiście — mama unikała mojego wzroku. — Naturalnie. Sądysz, że Harry przez całe życie będzie kawalerem? Sądysz, że zapomni o swoich obowiązkach wobec nazwiska, które nosi, i umrze bezpotomnie?

Gapiałam się na nią. Nigdy nie rozważałam tej kwestii. Nigdy nie wybiegałam myślą dalej niż tylko trochę za chwilę bieżącą, niż za cudowne lato, które mnie zbliżyło do Harry'ego, kiedy czułam się szczęśliwa w jego obecności i kiedy on przemawiał do mnie czule.

— Nie zastanawiałam się nad przyszłością — odrzekłam szczerze, puszczając w niepamięć swoje nieudolne plany.

— A ja tak. — Zdałam sobie sprawę, że mama uważnie mnie obserwuje i że nie ucieknę przed jej wzrokiem. Zawsze miałam matkę za bezwolny pionek na wielkiej szachownicy naszych pól. Zaszokowana zrozumiałam nagle, że patrzyła na mnie bacznie przez całe życie. Znała mnie jak nikt inny. Urodziła mnie i patrzyła, jak się od niej oddalam, jak rośnie moja namiętność do ziemi i przyjemność z prowadzenia farmy. Gdybym to wcześniej wiedziała!... Nie mogłam tego dłużej znosić. Przecież ona była w stanie przekroczyć granice, które sama postawiłam swojej wyobraźni.

Niepokoili się o mnie od lat. Do płaczliwego, gderliwego sprzeciwu wobec mojego zachowania doszły teraz podejrzenia co do moich myśli i uczuć. Ojciec kiedy żył, utrzymywał, że Laceyom z Wideacre wszystko wolno. Matka musiała się z tym zgodzić i przyjąć, że wszelkie narzekanie ma źródło w jej przywiązaniu do miejskich zwyczajów. Gdy jednak zabrakło swawolnego awanturniczego papy, matka spojrzała na mnie jak gdyby na nowo. Już nie tylko zarzucała mi nietypowe zachowanie. O, to można by łatwo naprawić. Teraz zaczęła podejrzewać, że moje najgłębsze uczucia nie przystoją młodej dziewczynie.

— Mamo... — zwróciłam się do niej z na wpół świadomym apelem, żeby mnie chroniła, żeby jak matka odegnała mój strach. Chociaż wiedziałam, że najbardziej obawiam się jej skrytych myśli.

Przestała porządkować zawartość komody i spojrzała na mnie opierając się o mebel. Mierzyła mnie zaniepokojonymi błękitnymi oczami.

— Co się stało, Beatrice? Nie wiem właściwie, co ty sobie myślisz. Jesteś moim dzieckiem, a jednocześnie często nie mam pojęcia, co ty sobie myślisz.

Zająknęłam się. Brakowało mi słów. Serce jeszcze mi waliło na wspomnienie wizji Ralphi. Rozmowa z mamą to już naprawdę za dużo dla mnie jak na paręnaście minut.

— Tu coś jest nie tak — stwierdziła z przekonaniem. — Traktowano mnie w tym domu jak głupią, ale ja nie jestem głupia. Wiem, kiedy coś jest nie tak, a właśnie teraz coś jest nie tak.

Wyciągnęłam ramiona. Był to po trosze gest pojednania, po trosze zaś obrona przed tym, co myślała w głębi duszy moja matka. Nie wzięła mnie za ręce. Nie ruszyła się w moją stronę. Nie okazała wdzięczności za dobre intencje. Pozostała chłodna, pełna rezerwy. Jej wzrok onieśmielał.

— Kochałaś papę nie zwyczajną dziecięcą miłością — odezwała się apodyktycznie. — Obserwowałam cię od dzieciństwa. Kochałaś go, bo był dziedzicem i właścicielem Wideacre. Wiem to. Nikogo nie obchodziło, co ja wiem i myślę. A wiem na pewno, że taki rodzaj miłości jest... niebezpieczny.

Z piersi wyrwał mi się szybki świszczący oddech, kiedy szukała strasznego rozstrzygającego słowa.

Złożyłam dłonie na podołku, chcąc ukryć ich drżenie. Czułam, że twarz mi zbladła jak prześcieradło. Gdybym siedziała teraz na ławie oskarżonych, odpowiadając za morderstwo, nie mogłabym chyba wyglądać na osobę bardziej przerażoną, z winą wypisaną na twarzy.

— Mamo... — na wpół szepnęłam.

Musiałam coś powiedzieć, żeby przerwać bezlitosny bieg jej myśli prowadzący w gąszcz prawdy.

Podeszła do mnie. Odruchowo chciałam się cofnąć, lecz jakaś siła, jakieś poczucie dumy kazało mi stać w miejscu. Spojrzałam jej prosto w twarz śmiałymi łączącymi oczami. Wytrzymałam jej wzrok.

— Beatrice, czynię przygotowania do ślubu Harry'ego i Celi — powiedziała, a w jej oczach błysnęły łzy. — Żadna kobieta nie lubi, kiedy w jej domu pojawia się inna kobieta. Żadna kobieta nie wita z radością chwili, kiedy syn odwraca się od niej do panny młodej. Ale ja to robię dla Harry'ego. — Przerwała na chwilę. — I robię to dla ciebie — stwierdziła z rozmysłem. — Musisz się uwolnić od swojej fascynacji tą ziemią i jej panem — dodała szybko. — Łatwiej ci to przyjdzie, gdy w domu będzie inna dziewczyna, trochę starsza od ciebie. Częściej będziesz mogła składać wizyty, jeździć do Haveringów, a nawet z nowożeńcami do Londynu. Harry natomiast zajmie się Celią i będzie miał mniej czasu dla ciebie.

— Chcesz stanąć między Harrym i mną? — spytałam urażona.

— Tak — odparła bez ogródek. — Coś wisi w powietrzu w tym domu. Nie potrafię powiedzieć co, ale czuję to. Jakieś niebezpieczeństwo. Czuję je w każdym z pokoiów, w których ty i Harry przebywacie razem. Oboje jesteście moimi dziećmi. Kocham was oboje. Powinnam pilnować was obojga. I uratuję was oboje, jeśli cokolwiek będzie wam zagrażało.

Z wielkim wysiłkiem zdobyłam się na uśmiech.

— Mamo, jesteś smutna i wciąż oplakujesz papę. Wszyscy go wciąż oplakujemy. Nie istnieje żadne niebezpieczeństwo. Nic nam nie zagraża. Po prostu brat i siostra starają się jak najlepiej wywiązać z zadań, które jak gdyby przekazał im ojciec. My tylko pracujemy, mamo. A Celia nam pomoże. Niebawem Wideacre wróci do równowagi.

Westchnęła i ramiona zadrżały jej ze zdenerwowania. Wyprostowała się.

— Chciałabym być tego pewna. Czasem myślę, że chyba oszalałam, wietrząc wszędzie niebezpieczeństwo. Miejmy nadzieję, że masz rację, Beatrice. Żal podszeptuje mi złe myśli. Wybacz mi, moja droga, że przestraszyłam cię swoją głupotą. Ale pamiętaj, co ci mówiłam. Kiedy papy zabrakło, jestem za ciebie odpowiedzialna. Musisz prowadzić normalne życie. Teraz Harry potrzebuje twojej pomocy i powinnaś mu pomagać, lecz kiedy będzie miał żonę, staniesz się tu mniej ważna, Beatrice. Oczekuję, że zaakceptujesz tę zmianę z pełnym zrozumieniem.

Kiwnęłam głową, a pod spuszczonej powiekami oczy mi się śmiały.

— Tak, oczywiście, mam — powiedziałam ulegle. A w tej samej chwili pomyślałam: „Nie zamkniesz mnie w salonie, nie przykujesz mnie do haftowania, kiedy słońce przygrzewa, a żniwiarze wymagają nadzoru na polach”. I wiedziałam, że matce się to nie uda.

Zapowiedź zaręczyn Harry'ego uświadomiła mi moją słabość. Nie miałam żadnego planu postępowania. Ralph umiał planować i Ralph zapłacił za swoją nikczemność parweniusza. Słoneczne dni miały niepostrzeżenie, a ja żyłam z dnia na dzień, jak dziecko. Tego lata nie byłam nawet najważniejszą osobą na farmie. Wciąż wiedziałam więcej niż Harry. Znałam ziemię i jej potrzeby, znałam potrzeby ludzi i charakterystyczne cechy Wideacre. Tego lata jednak zaczęła wschodzić gwiazda Harry'ego. Chociaż wydawałam polecenia, moje słońce zachodziło, gdy Harry pojawiał się na polu.

Nie umiał pilnować bandy podbieraczy tak jak ja. Był za miękki. Upierał się, że sam będzie kosić, a nie wychodziło mu to wcale dobrze. Okazywał równocześnie chłopom swoją wyższość, wracając na obiad do dworu. Woleli, żebym to ja ich nadzorowała, bo wiedzieli, że zrobię to fachowo: ustawię równo szereg, utrzymam tempo i rozplanuję pracę, a potem zostawię kosiarzy. A kiedy przez rżysko nadejdą dziewczęta z butlami jabłeczniaka, piwa domowej roboty i chrupiącymi bochnami chleba, usiądę na kłującym ściernisku razem z nimi i zgłodniała razem z nimi spożyję posiłek.

Tego lata nie byli to już jednak moi ludzie. To byli ludzie Harry'ego.

Nie nienawidziłam go za to. Każdym fragmentem swego mściwego urażonego ciała nienawidziłam za to starych prawników, posłów do parlamentu, sądy opanowane przez mężczyzn oraz mężczyzn właścicieli ziemskich. Oni wszyscy skonstruowali takie prawa, aby raz na zawsze wyłączyć swoje matki, żony i córki z tego, co nadaje życiu wartość: z praw do własności ziemi. Harry'ego nie mogłabym znienawidzić. Nikt by nie mógł. Zawsze uśmiechnięty, miły w obyciu, dowcipny, świetnie się prezentujący, zyskiwał wszędzie przyjaciół. Kosiarze woleli, kiedy ja ich pilnowałam, a ich kobiety czerwieniły się jak buraki, gdy Harry ledwie pokazał się na drodze. Stał się bogiem żniw. Mnie pozostała rola kapłanki w jego świątyni.

Tego lata nikt nie oparł się urokowi nowego młodego pana Wideacre. I chyba tylko ja w całej Wideacre wspominałam z żalem poprzedniego pana. Wszyscy widzieli w Harrym wschodzące słońce, letniego księcia Wideacre promieniejącego zdrowiem, zarumienionego od pracy w polu. Ja cała w czerni żałoby, zgorzkniała, w owo złote lato pracowałam z zapamiętaniem, ale bez radości.

Ukoronowaniem całorocznego cyklu pracy na roli w Wideacre jest wieczera dożynkowa. Nikt w posiadłości nie uniknie harówki ostatnich dni żniw. Każdy mężczyzna, kobieta, dziecko staje do wyścigu z pogodą i nadsięgającymi jesiennymi deszczami. Trzeba wyprzedzić ciemne chmury, zanim zdążą zniszczyć całoroczny dorobek w ciągu jednej przeklętej nocy.

Praca w szaleńczym tempie trwa od pierwszych wiosennych siewów aż do orki pod oziminy. Cały rok bacznych obserwacji ziemi i nieba. Oby tylko na wiosnę nie było za chłodno dla wysianego właśnie ziarna. Nie za sucho dla kielków. Dużo słońca, by zboże dojrzało, lecz również wystarczająco dużo deszczu, by było zielone i soczyste. A potem — tylko nie deszcz! Modlitwy. Tylko nie deszcz, gdy zboże pręży się dumnie, a zarazem takie jest podatne na szkodniki, tak bezbronne wobec burzy. I wreszcie triumf: idą żniwiarze, kosy świszczą na pierwszym polu, falującym, olbrzymim jak złota wyspa. I zaczyna się wyścig między ludźmi a kapryśną, nieprzewidywalną pogodą. A tego roku kiedy Harry został bogiem żniw, pogoda dopisywała. Ludzie

mówili, że jeszcze nie widzieli takiego lata. Zapomnieli już upalne lato sprzed roku, tego roku, kiedy Ralph i ja należeliśmy do siebie. Minęła cała epoka!

Ostatniego dnia żniw ja doglądałam pracy rano, a Harry wyjechał na ostatnie pole po południu. Gdy widziałam, że już niewiele zostało do zrobienia, pojechałam do wielkiego spichlerza i stodoły za nowym młynem, aby pilnować przybywających wozów. W domu był tylko młynarz Bill Green z żoną. Trzej ich synowie i dwaj pracownicy pomagali zwozić zboże. Pani Green zajmowała się gorączkowo przygotowaniami do wieczery dożynkowej. W kuchni tłoczyła się służba z dworu. Rozpakowywano wielkie kosze i dzbany dostarczone przez naszą kuchnię.

Siedziałam sama na podwórku, słuchając plusku wody i rytmicznych odgłosów koła młyńskiego. Obserwowałam stado gołębi wlatujących i wylatujących z gołębnika na szczycie dachu.

Kot samotnik wyciągnął się w słońcu. W upale nie chciało mu się nawet czyścić łapką zakurzonego zjeżonego futerka. Gdy się poruszyłam, zielone oczka, równie tajemnicze jak moje, odpowiedziały mi baczny spojrzeniem. Nad rzeką najwyższe gałęzie buków szumiały na wietrze, lecz niższe konary pozostały niewzruszone. Ptaki leśne zamilkły od gorąca. Tylko gołębie gruchały zalotnie. Podwórze, kot, gołębie i ja smażyliśmy się w sierpniowym słońcu, zastygliśmy w żarze.

Na wpół drzemiąc zaczęłam myśleć o moim bracie. Nie o Harrym uczniaku czy Harrym nieudolnym farmerze, lecz o Harrym — bożku tych żniw, na którego zaproszenie wyrosło dorodne zboże. O Harrym, którego zobaczyła Celia, kiedy odważyła się zabrać mnie na przejażdżkę landem, niby to przez grzeczność, a właściwie żeby zobaczyć jego, w bryczesach, z podwiniętymi rękawami. O Harrym zdobywającym stopniowo autorytet i władzę. O Harrym stającym się z każdym dniem prawdziwym panem Wideacre, którego nikt nie mógł stąd usunąć.

A potem pomyślałam w nagłym przebłysku zrozumienia, że wcale *nie chcę* usuwać stąd Harry'ego, że lubię patrzeć, jak poznaje tajniki rolnictwa, jak ziemia wydaje plony pod jego okiem. Lubię, gdy siedzi naprzeciwko na najważniejszym miejscu przy stole i uśmiecha się do mnie. Każda sekunda spędzona tego upalnego lata z Harrym dawała mi zadowolenie i przyjemność. A długie godziny bez niego spędzałam na rozmyślaniu o nim, o jego uśmiechu i śmiechu czy też na przypominaniu sobie urywków naszych rozmów.

W oddali usłyszałam stukot wozów i śpiew. Z trudem wracałam do rzeczywistości, tak oszołomiły mnie przemyślenia na temat Harry'ego i Wideacre. Przeszłam przez podwórze do stodoły. Państwo Greenowie rzucili się do otwierania bramy. Kiedy wozy skręciły na drogę do młyna, mogłam rozróżnić słowa piosenek, a nawet rozpoznać głosy. Tenor Harry'ego górował nad pozostałymi.

Belka zapierająca drzwi stodoły była ciężka. Musiałam chwycić na samym końcu, żeby ją unieść. Podskoczyła, o mało nie wyskakując z zamocowania. Gdy wozy wjeżdżały z turkotem na podwórze, tworząc triumfalną procesję płodności, rozchyliłam podwójne wrota i stanęłam twarzą w twarz ze żniwnym bogactwem.

Pierwszy wóz nadjeżdżał niczym kolebiąca się ściana złotych snopów, na której szczycie siedział Harry. Ciężkie konie pociągowe zatrzymały się przed drzwiami, a cały ładunek zachwiał się trochę. Harry stanął wyprostowany na tle gorącego błękitnego nieba i spojrzał na mnie. Musiałam mocno odchylić głowę do tyłu, aby dostrzec go na tej pszenicznej górze. Był w swoim zwykłym ubraniu typowym dla szlachty. Strój to niepraktyczny i niestosowny do prac polowych. Koszula z cienkiego lnu rozdarła na ramieniu, szeroko rozpięta,



odslaniała opaloną muskularną szyję i obojczyki. Bryczesy przywarły do ciała i podkreślały mięśnie ud. Wysokie do kolan skórzane buty zniszczyły się doszczętnie od chodzenia po ściernisku. Harry wyglądał dokładnie tak, jak się ostatnio zachowywał — jak pan udający wieśniaka. Najgorszy typ właściciela ziemskiego. Ale ja patrzyłam na niego z niekłamaną rozkoszą.

Zeskoczył na kozioł, a potem na ziemię. I spojrzął na mnie. Zniknął beztroski hedonistyczny uśmiech. Spoważniał zaszokowany, jak gdyby ktoś wymierzył mu policzek. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Chciał spytać o coś bardzo ważnego, lecz nie wiedział, czy znam odpowiedź. Ja gapiłam się z na wpół otwartymi ustami, oddychając płytko. Harry powoli opuścił wzrok z moich kasztanowych włosów na czarny gorsecik sukni, a potem znów podniósł go na mą twarz. Bardzo powoli wyrzekł: „Beatrice” — jak gdyby mówił to imię po raz pierwszy.

Furman czekał, aż zejść na bok. Cmoknął na konie. Minęły mnie klusem i wbiegły do stodoły. Inne wozy ustawiły się w kolejkę, a mężczyźni zeskakiwali obok Harry'ego, aby pomóc zdejmować snopy. Inni ustawiali z nich wielkie stogi bogactwa Wideacre. Harry chyba tego nawet nie widział. Stał pośrodku gorączkowych działań ze wzrokiem utkwionym we mnie, z bezradną twarzą człowieka tonącego.

Do końca tego pracowitego dnia nie zamieniliśmy ani słowa, chociaż pracowaliśmy obok siebie, układając zboże w stodole. Kiedy o zmroku na podwórzu ustawiono wielkie stoły składające się z desek opartych na krzyżakach, Harry i ja usiedliśmy na przeciwległych końcach. Uśmiechnęliśmy się, kiedy wszyscy wypili nasze zdrowie. Zatańczyliśmy nawet jiga, najpierw sami, jak we śnie, otoczeni wianuszkami zebranych, potem zaś z grupą najbogatszych dzierżawców, którzy też tego dnia skończyli żniwa.

Ściemniało się. Wschodził księżyc. Chłopi z szacunkiem zegnali się i odjeżdżali wozami do domów. Młodzieńcy i dziewczęta zostali na tańce i zaloty. Wśród awanturnicznych kawalerów i złych mężów krążyły zaczęły buteleczki mocnego ginu, kupowane od woźniców z Londynu. Harry wyprowadził moją klacz i swojego wierzchowca ze stajni przy młynie i ruszyliśmy do domu pod księżycem w pełni, okrągłym i złotym jak gwinea. Konałam z pożądania i ledwie mogłam utrzymać cugle i wysiedzieć w siodle. Przy każdym spojrzeniu Harry'ego drżałam, a gdy nasze konie ocierały się o siebie lub nasze ramiona stykały, podskakiwałam jak oparzona.

Na dziedzińcu stajennym uśmiechnęło się do mnie szczęście. Żaden z chłopów nie wyszedł, by mi pomóc zsiąść. Czekałam, aż Harry podejdzie, i położyłam mu ręce na ramionach. Zsadził mnie i przysięgam, przycisnął do siebie. Dygotałam, czując każdy cal jego gorącego znużonego ciała. Wąchałam zapach rozgrzanej męskości. Delikatnie postawił mnie na ziemi. Zachwiałam się i podniosłam wzrok. W magicznym świetle księżycy szczupła wyrazista twarz Harry'ego zapraszała do pocałunków w powieki, czoło, kłujące policzki. Oczy mu się zamglily.

Jesień i zimę przeżyłam jak w raju, w którym współlistniały rozkosz i ból. Wchodzenie Harry'ego w dorosłe życie i jego zaloty do Celi sprawiły, że często bywał poza domem, jadał lub popijał z nowymi przyjaciółmi, albo odwiedzał Celię w Havering Hall. Pod jego nieobecność moja władza nad posiadłością rosła, lecz władza nad samą sobą — malała. Tęskniłam za Harrym w każdej nudnej sekundzie bez niego.

Obserwowałam go ukradkiem przy śniadaniu, przy lekturze gazety. Słuchałam komentarzy politycznych wygłaszanych z pewnością siebie i nowin z życia londyńskich wyższych sfer. Patrzyłam, jak szybkim krokiem

wychodzi z pokoju i nasłuchiwałam trzaśnięcia drzwi, gdy wychodził z domu. Przed obiadem stałam w oknie i patrzyłam, jak jedzie do domu z głową pełną pomysłów zaczerpniętych z rozmaitych dzieł na temat rolnictwa. Siadałam po jego prawej ręce i rozśmieszałam opowieściami o gościach mamy. Wieczorem nalewałam mu herbatę do filiżanki i podawałam ją drżącą ręką. Byłam beznadziejnie, rozpaczliwie zakochana i czerpałam radość z każdej bolesnej rozkosznej chwili tego stanu.

Nie przejmowałam się wcale, kiedy mówił o Celi. Jej nienaganne maniery, świeże kwiaty w saloniku, wspaniałe hafty i wysmakowane szkice — to wszystko nie miało dla mnie znaczenia. O, ja nie zazdrościłam dystyngowanych zalotów do anielskiej Celi. Mogła sobie wziąć piosenki, prezenciki, bukietki i cotygodniowe wizyty. Ja chciałam, żeby mój brat czuł do mnie taką samą namiętność, jaką ja czułam do niego, jaka łączyła Ralpha i mnie. Nie myślałam ze wstydem o rozkoszy odczuwanej przez czołgającego się Harry'ego, gdy Ralph bił go szpicrutą. Myślałam o tej scenie z nadzieją. Harry zdolny był odczuwać bezwstydne pożądanie, był zdolny do fascynacji cudzą dominacją. Widziałam to, widziałam go oszalałego, bezbronno z miłości. Pragnęłam, żeby znów oszalał — tym razem dla mnie.

Wiedziałam także (kobiety zawsze to wiedzą, choć mogą kryć tę wiedzę przed samymi sobą), że Harry mnie pożąda. Świadomy mej obecności umiał panować nad sobą i swoim głosem, ale gdy spotykał mnie niespodzianie, na przykład w bibliotece, wzrok mu płonął, a ręce drżały. Prowadziliśmy długie dyskusje nad przyszłorocznymi zasiewami. Gdy Harry wygłaszał swoje teorie na temat płodozmiann, rozpromieniał się cały i podniecał, a kiedy moje włosy muskały jego policzki i pochylaliśmy się nad kolumnami cyfr, czułam, że sztywnieje. Ku mojemu jednak rozczarowaniu ani nie robił następnego kroku, ani się nie cofał.

Przez całą długą jesień i zimę prawie nie zauważałam chłodu i posępnego deszczu; moje wnętrza płonęło. Gdy chryzantemy i dorodne stokrotki zakwitwały na świętego Michała, przynosiłam je do domu, aby nacieszyć się ich pieprzną wonią i jaskrawą barwą. Nadszedł sezon polowań. Przez całe ranki wałęsałam się w ciężkiej wełnianej sukni. Słońce wschodziło niczym czerwona kula nad przyprószonymi siwizną polami. Słyszałam histeryczny skowyt psów oszalałych z radości, że zaczynają się gonitwy za zwierzyną. Zrządzeniem dziwacznych konwencji Harry'emu wolno było uczestniczyć w spotkaniach myśliwych i pójść za psami do pierwszych pól. Nie wolno mu jednak było ze względu na żałobę uczestniczyć w samym polowaniu. Te same sztywne reguły nie pozwalały mi jechać z nim dla towarzystwa. Zostałam odsunięta od polowań na cały sezon zimowy. Dopóki nikt z okolicznej szlachty mnie nie widział, mogłam tylko urządzać sobie potajemne przejażdżki po terenie naszej posiadłości.

Nie dane mi więc było znaleźć upust dla rozpierającej mnie energii w dzikich galopach. Nie miałam wiele pracy poza domem. Siedziałam we dworze, a kiedy zaczynał padać deszcz lub szczypać mróz, tęskniłam za Harrym coraz mocniej. Tak wezbrałam pożądaniem, że znajdowałam rozkosz w zadawaniu sobie bólu. Pewnego razu, czekając na powrót Harry'ego na podwórzu stajennym, rozbiłam warstwę lodu na wodopoju i ścisnęłam ostre odłamki w dłoniach, aby się uspokoić. I wtedy nadszedł niczym wojownik na swym rumaku, a kiedy twarz mu się rozjaśniła na mój widok, mój ból przeszedł w radość.

Boże Narodzenie i Nowy Rok minęły cicho i skromnie. Nosiliśmy przecież żałobę. Gdy atak mrozu ściał drogi i uczynił je przejezdnymi, Harry zabrał się dyliżansem do miasta na tydzień, w interesach. Wrócił do domu pełen nowych wrażeń, opowieści o modzie i teatrze.

Pod jego nieobecność zauważyłam, że chociaż odczuwam jego brak, czerpię rozkosz ze swej niespodziewanej władzy nad ziemią. Nasi dzierżawcy, pracownicy, rzemieślnicy z Acre dobrze wiedzieli, kto tu jest prawdziwym władcą i zawsze najpierw radzili się mnie, zanim poszli z jakimś planem czy prośbą do Harry'ego. Ale kupcy i pośrednicy, którzy czasem nie znali dobrze naszego hrabstwa, mylili się i prosili o rozmowę z dziedzicem.

Czułam się zawsze urażona, kiedy pogawędziwszy o drobnostkach, przerywali i czekali, aż wyjdę z pokoju i będą mogli zacząć rozmowę o interesach. A Harry'emu, nie posiadającemu nawet połowy mojej wiedzy i doświadczenia, łatwo było pochlebić. Uśmiechał się wtedy i mawiał: „Nie będziemy cię zatrzymywać, Beatrice, jeśli czekają cię inne zajęcia. Jestem pewien, że dam sobie radę sam, a potem omówimy sprawę wspólnie”. Po takiej wypowiedzi spodziewano się, że wyjdę. I czasem wychodziłam. Czasami popełniałam jednak świadomie gafę towarzyską i odpowiadałam: „Nie mam nic innego do roboty, Harry. Wolałabym tu zostać”.

W takich wypadkach kupiec i Harry wymieniali ze mną ponure uśmiechy i przystępowali do omawiania dostaw wełny, pszenicy czy mięsa. Wideacre zawsze wygrywała na mojej obecności przy takich pertraktacjach, lecz zawsze narażałam się na uwagi, że moje miejsce jest gdzie indziej.

Gdy jednak Harry przebywał poza domem, kupcy, prawnicy i bankierzy mieli możliwość sprawdzenia mojej obrotowości i wiarygodności. Prawo, odwieczna domena mężczyzn, traktowało mój podpis na równi z podpisami bankrutów, przestępców, szaleńców. Ludziom biznesu wystarczało właściwie jedno moje spojrzenie, by zdać sobie sprawę, że nie trzeba czekać na powrót Harry'ego, że interes można ubić i bez niego. Pod nieobecność Harry'ego panowałam tu niepodzielnie. Wiedział o tym każdy, od najbiedniejszego druciarza i komornika do znanych person naszego hrabstwa.

Po Bożym Narodzeniu nastaly zimne mgliste dni, lecz w połowie stycznia wzgórza odrzuciły szarą barwę i pojaśniały ścięte mrozem. Każdego ranka budziłam się po nocy pełnej snów i od razu otwierałam okno, aby zaczerpnąć ostrego, mroźnego powietrza. Po paru głębokich oddechach zaczynałam dygotać i cofałam się w ciepło pokoju, aby myć się i ubierać przy kominku.

Pogoda zbierała swe żniwo w Acre. Bill Green, młynarz, pośliznął się na tafli lodu na podwórku młyna i złamał nogę. Musiałam posłać po chirurga z Chichester, aby nastawił kość. Pani Hodgett, matka stróża, położyła się do łóżka z nastaniem śniegów i skarżyła się na bóle w piersiach. Nie mogli jej zmusić do wstania. Po tygodniu tej nedorzecznej sytuacji, kiedy pewnego ranka Hodgett otwierał mi bramę, przyznał się, że starszka położyła się na złość swojej rodzinie, a jego żona Sarah jest już wykończona dodatkowym gotowaniem, praniem i chodzeniem dwa razy dziennie do wsi Acre z jedzeniem dla starowiny.

Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam się. Następnego dnia wzięłam swojego deresza, pojechałam do Acre i przywiązałam konia przy furtce pani Hodgett. W oknie chatki nie dostrzegłam żadnej twarzy, ale wiedziałam, że stara wiedźma wygląda ukradkiem. Zanim przebrnęłam przez zaśnieżony ogród i weszłam do domu, przytupywaniem strząsając śnieg z butów i ściągając rękawice, już była z powrotem w łóżku, zakryta pod brodę, świdrując kaprawymi chytrymi oczkami.

— Dzień dobry, pani Hodgett — odezwałam się łagodnie. — Jakże mi przykro widzieć panią obłożnie chorą.

— Dzień dobry, panienko Beatrice — zaczęła. — Miło mi, że pani zechciała odwiedzić biedną staruszkę.

— Przyszłam nie tylko z wizytą. Chciałam pani powiedzieć, że posłałam po nowego lekarza, Szkota, doktora MacAndrew, by panią zbadał. Słyszałam, że świetnie się zna na dolegliwościach piersiowych.

Jej oczy błyszczały podnieceniem.

— Och, to wspaniale — odparła. — Słyszałam o nim. Dobrze o nim mówią, naprawdę.

— A czy słyszała pani o jego specjalnej kuracji? — spytałam. — Stosuje on cudowną dietę odchudzającą, która nigdy nie zawodzi.

— O tym nie słyszałam. A cóż to? — niczego nie podejrzewając, wpadła w potrzask.

— Nazywa tę metodę „zagłodzeniem infekcji” — łąłam bez zmruczenia oka. — Pierwszego dnia nie je się nic, a pije tylko wodę. Drugiego dnia je się łyżkę kleiku na szklanekę gorącej wody. Trzeciego dnia znów nic do jedzenia, a czwartego łyżka kleiku. I tak aż do wyleczenia. Mówią, że zawsze pomaga.

Uśmiechnęłam się zachęcająco, a w duchu prosiłam o przebaczenie młodego lekarza, którego reputacją tak się łatwo podpierałam. Właściwie nawet go nie znałam, lecz słyszałam, że ma wspaniałe kwalifikacje. Leczył oczywiście głównie rodziny z wyższych sfer, lecz rosła też jego sława jako opiekuna ubogich; w paru poważnych przypadkach udzielił porady za darmo. Ech, nie zaszkodzi mu ten żartobliwy podstęp. Nikt poza głupawą staruszką nie uwierzy w takie bzdury.

Pani Hodgett była przerażona. Gapiła się na mnie z niedowierzaniem i kurczowo chwyciła pulchnymi palcami za koldrę.

— Nie wiem, panienko Beatrice — odezwała się z wahaniem. — Jestem pewna, że takie złe odżywianie w chorobie nie na wiele się zda.

— O tak — prowadziłam dalej tę grę. Odwróciłam się na dźwięk otwieranych drzwi. Weszła Sarah Hodgett, niosąc garniec gulaszu i świeżutki chrupiący bochen chleba zawinięty w śnieżnobiały ręcznik. Woń pysznego gulaszu z królika wypełniła duszny pokoik. Oczy staruszki rozbłysły.

— Panienko Beatrice! — Sarah zgieła się w dworskim półukłonie i uśmiechnęła się. Lubiała mnie. — Jak to ładnie ze strony panienki, że zaszła panienka do mojej chorej matki.

— Wkrótce się jej polepszy — odparłam z przekonaniem. — Przejdzie na specjalną dietę odchudzającą doktora MacAndrew. Właściwie może pani zacząć od razu, pani Hodgett, prawda? Musisz zabrać gulasz z królika do domu, Sarah. Nie powinien się tu marnować!

— Mogłabym zacząć kurację od jutra! — rozpaczliwie odezwała się pani Hodgett obawiając się, że zniknie jej sprzed nosa gorący obiadek.

— Nie, najlepiej od dzisiaj — utrzymywałam twardo. — Chyba że już czuje się pani lepiej?

Odetchnęła z ulgą, chwytając się tej deski ratunku.

— Czuję się mocniejsza — powiedziała. — Chyba już jestem na dobrej drodze do wyzdrowienia.

— No to trzeba ćwiczyć kondycję — wyciągnęłam rękę, żeby dźwignąć staruszkę z łóżka. — Sarah schowa jedzenie w bezpiecznym miejscu, a pani jutro przespaceruje się do niej na obiad.

— Wychodzić na taki śnieg? — zaskrzeczała, jak gdyby dotyk śniegu był trujący. Koło drzwi dostrzegłam parę porządnych skórzanych botów, ciepły szal i czepek wiszący na kołku.

— Tak — stwierdziłam nieubłaganie. — Albo ćwiczenie, albo specjalna dieta, pani Hodgett. Wszystkim nam jest pani zbyt droga, żebyśmy ryzykowali pani zdrowie.

Uśmiechnęła się słysząc komplement, lecz zajęczała, stając przed takim wyborem. Niechętnie przystała na moją propozycję. Sarah zaczęła zawijać starą diabolicę w grube flanele, a ja całkiem już zadowolona poszłam odwiązać Sorrela. Oddałam Hodgettom przysługę, której mi nie zapomną, a wsi dostarczyłam tematów do żartów aż do wiosny. Odwiedziny w chacie i dieta odchudzająca zostaną sparodiowane i obśmiane we wszystkich szynkach w promieniu stu mil. A gdy już wybrzmi rubaszny rechot wieśniaków, wzniosą toast: „Za panienkę Beatrice, naszego *pana* na Wideacre!”

Zawołałam na jednego z chłopaków od Tyacke'ów grających w śnieżki na drodze, żeby przypilnował Sorrela, a sama przytrzymując się ściany, ostrożnie wdrapałam się na siodło. Rzuciłam chłopakowi pensa za pomoc, a drugiego pensa, bo spodobał mi się jego uśmiech od ucha do ucha i przekonanie, że dokonał bohaterskiego czynu.

— Gaffer Cooper też się ma nie najlepiej — zgłosił mi, obracając w rękach monety i planując już ucztę słodkości.

— Źle z nim? — spytałam, a chłopak kiwnął głową.

Mogłam wpaść do niego po drodze do domu. Cooper mieszkał na skraju wsi i uprawiał kawałek ziemi wraz z paroma sąsiadami. Latem pracował przy żniwach albo sianokosach, w zimie za poleć boczku pomagał przy biciu świń. Miał parę chudych kur. Czasem któraś zniosła jajo. Koścista krowa dawała trochę mleka. Jego chata została zbudowana z drewna podkradzonego z naszych lasów i z gałęzi ściętych legalnie na gruntach wspólnych. Dach pokrywały gałęzie i torfowa darń. Palił w piecu torfem i drewnem, a pokoił był stale zadymiony. Siedział na wiekowym trójnożnym stołku i jadł blaszaną łyżką z drewnianej miski. Gotował w garnku ustawionym na trójnogu w żarniku na środku izby. Od tego też się dymiło. Zapachy wydzielał również boczek zwisający z krokwi.

Ja na pewno nie wybrałabym takiego życia, lecz Gafferowi Cooperowi nigdy nie przyszło na myśl, że można żyć inaczej. Nigdy nie wziął się do stałej pracy i nigdy nikomu się nie podporządkował. W brudnej chałupie, na szmatach służących mu za łóżko, Gaffer Cooper mienił się wolnym człowiekiem. Papa, czuły na punkcie męskiej dumy, nazywał go zawsze Gaffer Cooper, nigdy John. Ja tak samo.

Sorrel zmęczył się staniem w miejscu i przemarzył, pomknęliśmy więc cwałem zaśnieżoną drogą i skręciliśmy w dróżkę prowadzącą do chat. Las milczał zaklęty w magii śniegu. Ciemnozielone sosny i jodły dźwigały na swych gałęziach śnieżny płaszcz. Nawet najmniejsza igiełka założyła srebrną lodową koszulkę. Brzozy wyglądały jak szare na tle mroźnej bieli, zaś pnie buków przybrały odcień ołowiu. Jadąc, słyszałam szmer rzeki Fenny pod lodową powłoką. Przyjrzałam się z bliska zielonej wodzie przemykającej się ukradkiem pod srebrzystym naskórkiem i tworzącej martwe strefy ciszy w głębi. Gdzieś na śniegu w lesie widniały tropy zwierząt. Zobaczyłam dwa okrągłe i dwa długie odciski łap królika, a zaraz za nimi drobne cętki łap łasicy lub gronostaja. Były też ślady lisa, podobne do psich, a nawet rozmazana smuga pozostawiona przez szorujący po śniegu brzuch borsuka.

Podniósłszy wzrok na misterną płatanię ośnieżonych gałęzi, zorientowałam się z wyglądu nieba, że tego dnia nie spadnie już więcej śniegu. Puściłam się cwałem na Sorrelu, żeby zdążyć do domu przed obiadem.



Ktoś już przemierzył dziś tę dróżkę przede mną. Para solidnych botów i para drewniaków. Skoro Gaffer miał gości, musiał być naprawdę chory.

Gdy skręciłam do chaty, domyśliłam się, że przybyłam za późno. Drzwi stały otworem, a tak się robi tylko w najupalniejsze dni lata. Wysła do mnie pani Merry, gospodyni proboszcza i zarządczyni naszej parafii (właścicielka solidnej pary botów, jak nakazywała jej pozycja).

— Dzień dobry, panienko Beatrice. Gaffer odszedł — powitała mnie, od razu przechodząc do rzeczy.

Ściągnęłam cugle przy leszczynowym płocie.

— Ze starości? — spytałam.

— Tak, tak. No i ta zima.

— Miał co jeść, miał w co się odziać? — zainteresowałam się. Gaffer nie należał do naszych ludzi. Nie był ani dzierżawcą, ani pracownikiem, ani dożywającym swych dni emerytem, ale na naszej ziemi dokonał żywota i czułabym się winna, gdyby zmarł w potrzebie.

— Wczoraj wieczór zjadł jedną ze swych kur. A wiele zim już przeżył w tym ubraniu, na tym łóżku. Nie ma co płakać, panienko Beatrice. Przyszedł jego czas. Odszedł w spokoju. Chce panienka rzucić okiem?

Potrząsnęłam głową. Mojej odmowy nikt w Acre nie przyjąłby za obrazę. To mi wystarczyło.

— Zostawił jakieś oszczędności? Będzie tego dosyć na pogrzeb?

— Neeee — odparła. — Pochowają go w grobie dla ubogich. Nie znaleźliśmy u niego pieniędzy.

Kiwnęłam głową.

— Wezmę na siebie koszty trumny i mszy — stwierdziłam krótko. — Proszę tego dopilnować, pani Merry. Nie chcę, żeby miejscowy lud chowano w pohańbieniu.

Pani Merry zmierzyła mnie spojrzeniem i uśmiechnęła się.

— Ech, panienka jest zupełnie jak świętej pamięci dziedzic!

Ja też uśmiechnęłam się słysząc taki komplement; najwyższą dla mnie pochwałą.

— Mam nadzieję — odrzekłam i skinęłam głową na pożegnanie.

Za dzień czy dwa szczątki Gaffera w trumnie z jasnego drewna zostaną zabrane na cmentarz i pochowane w najdalszym kącie, tam gdzie jest studnia i szopa na narzędzia. Zapłacę za prosty drewniany krzyż z wypisanym nazwiskiem. Wikary odprawi mszę dla tej garstki wiernych, która znajdzie się w kościele opuszczając pracę, bo Gaffer nie miał wielu przyjaciół. Może paru sąsiadów ze skraju wsi przyjdzie pożegnać Gaffera, lecz właściwa część wsi Acre nie zostanie chyba poruszona jego śmiercią. Zapłacę jeszcze dodatkowego pensa, żeby uderzono w dzwon, a na dźwięk obwieszczający pogrzeb ludzie orzący na polach czy strzygący żywopłoty albo kopiący rowy przerwą pracę i zdejmą czapki. Z gołą głową wspomną starego człowieka.

Potem dzwon przestanie bić. Czapki szybko powrócą na zziębnięte głowy. Kopacze spluną w zimne dłonie i chwycą za łopaty. Przeklą los, który kazał im stać po kolana w lodowatej wodzie w środku stycznia, bez żadnej przerwy aż do obiadu, w wilgoci i zimnie aż do zmroku.

Robotnicy polowi źle znosili mrozy zimy, lecz dla pasterzy była ona prawdziwym koszmarem. Gruba warstwa śniegu napadała tak wcześnie, że owiec nie zabrano na czas z nizin i nie popędzono na wypas na

niższe partie wzgórz. Dzień po dniu trzeba było nakłuwać twarde śnieg na ścieżkach w poszukiwaniu zamrzniętych owiec, a potem wykopywać nieszczęsne stworzenia.

I tak straty nie okazały się wielkie, ponieważ kazałam ludziom pracować od świtu do zmroku. Przeklinali mnie tak strasznie, że powinnam ze zgrozy natychmiast spaść z siodła, ale ja tylko śmiałam się w głos.

Przeklinali mnie, lecz tej zimy nauczyli się darzyć mnie wielkim szacunkiem. Robotnicy i dzierżawcy widywali mnie niemal codziennie, pasterze pracowali w odosobnieniu. Tylko w razie wielkiego zagrożenia, jak teraz gdy większość stada znalazła się pod głębokimi na sześć stóp zaspami, pracowali pod moją Osobistą kontrolą. Wiedzieli, że o wiele łatwiej mi znosić pracę siedząc na koniu, i klęli na okrągło, gdy jechałam klusem obok, albo gdy ślizgali się i padali w zdradliwe zwały śniegu, a ja wychodziłam oczywiście suchą nogą. Wiedzieli jednocześnie, że nawet najstarszy z nich, nawet najmądrzejszy nie może się ze mną równać, jeśli chodzi o znalezienie pod śniegiem zamrzniętej owcy lub zabłąkanego stadka. A kiedy zaczęli kopać, na ogół pracowałam z nimi ramię w ramię, nakłuwając śnieg.

Kiedy przyszło do zagnania zziębniętych oszołomionych stworzeń na wzgórze, pasterze wiedzieli, że chociaż jestem zmęczona i zmarznięta, pojedę na końcu, za maruderami i będę wrzeszczeć na psy, dopóki całe stado nie znajdzie się na miejscu na pastwisku.

I dopiero wtedy, gdy zamknięto bramę i rozrzucono siano, nasze drogi się rozchodziły. Ludzie szli do domu, do swych chat, wykopać na obiad trochę ziemniaków czy rzepy lub ociągając się, wędrowali do pracy na wspólne grunty. Niektórzy zastawiali sidła na wiewiórki lub króliki albo naprawiali przeciekające dachy. Praca, praca, praca, mimo zapadających ciemności, aż walili się na łóżka i zasypiali, często w mokrym ubraniu.

A ja klusem zdążałam do domu, ciskałam cugle chłopakowi stajennemu, wdrapywałam się po schodach do swego pokoju i zanurzałam się w wannie przy kominku. Lucy dolewała dzban za dzbanem gorącej wody i mówiła:

— Panienko Beatrice! Oparzy się panienka! Skóra cała czerwona!

A gdy już nie mogłam wysiedzieć w ukropie, wychodziłam z kąpieli i zawijałam się w lniany ręcznik, a Lucy szczotkowała mi włosy, upinała je i pudrowała na wieczór.

Zauważyłam, że dobrze mi się gawędzi z mamą przy obiedzie, a ona okazywała nawet zainteresowanie tym, co robiłam za dnia, aczkolwiek zniechęcała mnie swoim tonem. Nie podobały się jej moje zajęcia, lecz nawet ona rozumiała, że w śniegu grzebane bywają wielkie ilości wełny i mięsa i że bez przypilnowania nikt tego wszystkiego nie odkopie.

Kiedy sprzątnięto naczynia, ucichłam, a zanim w saloniku podano herbatę, poczułam się senna.

— Beatrice, ostatnio jesteś do niczego — stwierdziła mama, wskazując zniszczony fragment materiału z zaczętym haftem. Od tygodnia wyjmowałam go i od razu wkładałam z powrotem do koszyka z robótkami. — Och, ciężko jest wychowywać córkę.

— Przepraszam, mamó — nagle ogarnęło mnie współczucie. — Wiem, że to wszystko wydaje ci się dziwne. Ale takiego mieliśmy pecha z owcami. Jeszcze parę dni i je zagnamy, a Harry przyjedzie akurat na kocenie się.

— Ja w dzieciństwie nawet nie wiedziałam, jak się kocać owce — odparła mama swoim płaczliwym tonem.

Uśmiechnęłam się.

Ze zmęczenia nie chciało mi się nawet jej rozweselać.

— Cóż, jak to zwykł mawiać papa, jestem z Laceyów z Wideacre — powiedziałam swobodnie. — A kiedy jestem sama, muszę jednocześnie być dziedzicem i córką.

Wcisnęłam wyszywanę z powrotem do pudełka i wstałam.

— Wybacz, mamó. Wiem, że jeszcze wcześniej i nie masz pociechy z mojego towarzystwa, ale już prawie zasypiam ze zmęczenia.

Pochyliłam się, pocałowałam ją zdawkowo na dobranoc i wyszłam.

Co noc to samo. Kiedy wspinałam się po schodach, zmęczenie ustępowało i wracałam myślą do Harry'ego. Z każdym krokiem wyraźniej przypominałam sobie jego uśmiech, czułość i niebieskie oczy. Ten obraz zabierałam do swojego pokoju. Rozbierałam się, kładłam w łóżku na plecach i natychmiast czułam na sobie jego ciało. Obejmował mnie ramionami. Z jękiem przewracałam się na bok i próbowałam odepchnąć od siebie tę chorobliwą wizję. Byłam pewna, że tęsknię za Ralphem, za jego dotykiem i rozkoszą, jaką mi dawał. Myśl o Ralphie jawiła mi się jednak jako koszmar, więc umysł dokonywał tu przyjemnej zamiany na Harry'ego. Kiedy mój brat wróci do domu i zaczniemy przebywać razem, jego żywa obecność przepędzi dziwne gorączkowe rojenia. Do północy przewracałam się tak na łóżku, zapadając w sen na kilka minut i znów się budząc. A potem zasnęłam na dobre i śniłam o złotych lokach i słodkim szczerym uśmiechu... i wielkich połaciach śniegu pokrywających nasze cenne owce.

Harry wrócił w drugim tygodniu lutego. Później, niż obiecywał. Oznaczało to, że w pierwszym tygodniu kocenia się owiec musiałam sobie radzić sama. Dzień w dzień od rana do wieczora byłam z pasterzami, szukając kotnych owiec, sprawdzając stan zwierząt i zaganiając do owczarni owce, które trzeba było otoczyć opieką. Reszta stada kociła się na dworze.

Lubiłam wchodzić do pełnej owczarni. Wchodziłam jak gdyby w falujące wełniane morze. Na zewnątrz hulał wiatr, a deski budynku trzeszczały niczym statek podczas sztormu, lecz tu w środku było przytulnie i pachniało czymś słodkim. W żółtawym świetle badałam baranki nowo urodzone wczesnym świtem lub późną nocą. Woń runa utrzymywała się na moich rękach, kiedy jechałam do domu.

Zmęczona, zziębnięta, pachnąca lanoliną dostrzegłam ślady podków na śniegu podjazdu i serce aż mi podskoczyło w piersiach. Może Harry jest już w domu — powiedziałam do siebie i spięłam Sorrela do cwału po śliskim podjeździe.

Koń Harry'ego stał u drzwi frontowych. Harry wyglądający jak beczułka w grubym płaszczu podróżnym ścisnął mamę i ze śmiechem odpowiadał na zalewający go potok pytań. Na dźwięk stukotu podków Sorrela na pokrytym lodem żwirze odwrócił się i wyszedł po mnie, chociaż mama zatrzymywała go ręką.

— Beatrice! — zawołał radośnie.

— Och, Harry! — zarumieniłam się jak owoc ostrokrzewu.

Wyciągnął ramiona i ściągnął mnie z siodła. Poły płaszcza falowały i niemal pochłonęły mnie. Poczulałam zapach mokrej wełny, cygar i końskiego potu. Ścisnął mnie mocno, a serce mu także waliło.

— Chodźcie oboje! — krzyknęła mama od drzwi. — Zamarzniecie na śmierć w tym śniegu!

Wtedy Harry objął mnie w pół i jak wichur pognął do domu. Bez tchu, śmiejąc się, wpadliśmy do saloniku.

Harry przywiózł mnóstwo plotek z miasta: starzy przyjaciele papy naopowiadali mu nowinek politycznych, kuzyni dostarczyli wieści rodzinnych. Miał dla nas górę prezencików. Pokazał też afisz teatralny z przedstawienia, które obejrzał, oraz program jakiegoś koncertu.

— Cudowna muzyka — orzekł z entuzjazmem.

Zwiedzał Londyn: amfiteatr Astleya i Tower. Nie był na dworze, lecz uczestniczył w paru prywatnych przyjęciach i poznał więcej ludzi, niż mógł spamiętać.

— Ale najlepiej jest w domu — stwierdził. — Słowo daję, już myślałem, że nigdy tu nie dotrę. Drogi są w strasznym stanie.

Zamierzałem przyjechać dyliżansem, ale zostawiłem bagaż w Petworth i dalej pojechałem konno. Gdybym czekał, aż odśnieżą drogę dla powozów, zjawiłbym się w domu na Wielkanoc! Ale zima! Musiałaś mieć niezłe zajęcie z owcami, Beatrice!

— Och, nie pytaj nawet! — mama wyrzuciła nagle ramiona w górę, znów przeżywając powrót ukochanego chłopca. — Beatrice pracowała jako profesjonalny owczarz. Śmierdzi owcami, mówi jak owce i myśli jak owca, a właściwie tylko beka.

Harry ryknął śmiechem.

— Widzę, że najwyższy czas, abym wrócił do domu — powiedział. — Jeszcze tydzień, a zaczęłybyście rwać włosy z głowy. Biedna Beatrice, w taką pogodę ciężko się napracowałaś! A biedna mama nie miała towarzystwa!

Spojrzałam na zegar i pospieszyłam do pokoju się przebrać. Woda do kąpieli parzyła jak nigdy i jak nigdy starannie szorowałam się perfumowanym mydłem. Wybrałam ciemnoniebieską aksamitną suknię z turniurą. Pokojówka nadzwyczaj dokładnie upudrowała mi włosy, a między lokami upięła ciemnoniebieskie bukietiki kwiatów świetnie współgrające z kolorem sukni. Skontrastowana z białym pudrem moja skóra przybrała odcień bladego miodu, oczy zaś wydawały się bardziej orzechowe niż zielone. Wątpię, czy nawet w Londynie znalazłyby się piękniejsze dziewczęta.

Kiedy Lucy wyszła, usiadłam przed lustrem patrząc na swoje odbicie.

Odgłos gongu wyrwał mnie z zamyślenia. Szeleszcząc aksamitem, pospieszyłam na dół.

— Ładnie wyglądasz, kochanie — mama zaaprobowała niezwykle jak na mnie upudrowane włosy i nową kreację.

Harry po prostu zaniemówił na mój widok. Ja też się gapiłam na niego.

W na w pół żałobnym stroju, jak mama i ja, Harry pozwolił sobie na granatową kamizelkę wyszywaną grubą czarną nicią. Długi frak z szerokimi jak u dandysa mankietami i wyłogami, uszyty z granatowej satyny, błyszczał w załamaniach materiału. Zaczesane do tyłu włosy Harry związał dobraną kolorystycznie niebieską wstążką, satynowe zaś spodnie wieczorowe również miały niebieski odcień.

— Pasujecie do siebie — odezwała się mama zupełnie niepotrzebnie. — Jak pięknie razem wyglądacie.

Harry uśmiechnął się zmieszany. Z przesadną ceremonialnością skinął na mamę i na mnie, podając nam ramiona. Wiedziałam, że pod tą wesołą uprzejmością Harry obserwuje każdy mój ruch. Odpowiedziałam uśmiechem, lecz ręka mi drżała, gdy podawałam ją bratu, a siadając do stołu czułam się, jak gdybym zaraz miała zemdleć.

Harry i mama gawędzili o sprawach rodzinnych, a ja starałam się opanować głos i śmiać się w naturalny sposób, gdy ktoś się do mnie zwracał. Po obiedzie Harry zrezygnował z portwajnu i zaproponował, że od razu przejdzie z nami do saloniku.

— Przywiozłem do domu klejnoty rodzinne z banku, mamó — obwieścił. — Marzę, by je zobaczyć. Sporo ważą! Trzymałem je pod pachą, jadąc konno, bo bałem się zostawić tak cenne rzeczy z resztą bagażu. Byłem pewny, że mnie obrabują!

— Po co to dzwigałeś? — współczuła mama. — Mogłeś je zostawić pod opieką służącego. Ale oczywiście powinieneś je zobaczyć.

Poszła do swojego pokoju po kluczyk i otworzyła skrzyneczkę. Wyjęła trzy wpasowane tacki.

— To dostanie Celia w dniu ślubu — powiedziała, pokazując rodzinne skarby, diamenty Laceyów: złote pierścionki z diamentami, bransolety, kolię diamentową, kolczyki i diadem.

— To wszystko chyba zwali ją z nóg — roześmiał się Harry. — Ważą pewnie z tonę. Założyłaś kiedyś cały ten zestaw, mamó?

— O nieba, nie! Po ślubie tylko jedną zimę spędziliśmy w mieście. I tak wyglądałam dość wiekowo, nie muszę się dodatkowo postarzać nosząc staromodną biżuterię. Zgodnie ze zwyczajem dostałam te klejnoty w dniu ślubu, a potem przechowywałam je w banku. Celia zobaczy je najwcześniej w październiku.

— W październiku? — Haftowany od wieków fragment materiału wypadł mi z rąk i ukłułam się w kciuk.

— Och, biedna Beatrice! — odezwał się Harry. — Muszę zatrzymać tę haftowaną chusteczkę. Więcej na niej krwi niż nici. Jakież tortury jej zadajesz, mamó!

— Torturą jest uczenie Beatrice czegokolwiek — mama zawtórowała śmiechem swemu ukochanemu synowi. — Po całym dniu spędzonym z owcami nie może nawet trafić igłą w materiał. I zawsze tak było.

Zapakowała kosztowności z powrotem do szkatułki i wyniosła do swego pokoju. Harry wziął mnie za rękę i badał krwawiące miejsce na opuszcze lewego kciuka.

— Biedna Beatrice! — powtórzył i pocałował mój kciuk.

Otworzył usta i oblizał krew. Zdenerwowana, napięta, drżałam jak rasowa klacz. Czułam przyciśnięte do palca zęby i język, mokry i ciepły, dotykający czubka kciuka. Gorące, cudownie wilgotne usta. Podniosłam rękę do twarzy Harry'ego. Wstrzymałam oddech.

— Biedna Beatrice — powiedział znów.

Spojrzał na mnie. Bałam się poruszyć. Czerpałam rozkosz z jego dotyku, z najdrobniejszego gestu. Nie mogłam cofnąć dłoni, jak gdyby moje życie od tego zależało. Gdzieś w głębi duszy myślałam, że on też przedłuża chwilę, w której trzyma mnie za rękę. Ten gest przechodził w pieśczętę. Milczeliśmy.

Odjął kciuk od ust i znów badał z zabawną powagą.

— Sądysz, że to nie jest śmiertelna rana? — spytał.



— Mam już tysiąc blizn, śladów po bojach z igłą — próbowałam opanować drżenie głosu. Bezskutecznie. Zauważyłam, że przyspieszył oddech, a jego oczy przybrały niepokojący wyraz.

— Biedna Beatrice — powtórzył, jak gdyby zapomniał innych słów. Wciąż trzymał mnie za rękę, a ja stanęłam obok. Byliśmy niemal równego wzrostu i gdybym postąpiła o krok, musnęłabym go piersiami i brzuchem.

— Mam nadzieję, że zawsze będziesz tak czule przejmował się moimi ranami i smutkami, Harry.

— Moja droga siostró — odparł słodko. — Zawsze będę się tobą opiekował. Musisz obiecać, że mi powiesz, kiedy poczujesz się nieszczęśliwie lub niezdrowo. Przepraszam, że zostawiłem cię samą w obliczu tych wszystkich obowiązków i że zastałem cię taką bladą.

— Serce mi łomocze, Harry — szepnęłam. W bliskości mężczyzny waliło jak werbel. Położył mi dłoń na żebrach, chcąc sprawdzić, a ja przykryłam jego rękę własną dłonią. Kierując się impulsem, pokierowałam ją na zaokrąglone piersi i delikatnie pod aksamit.

Harry jęknął i przyciągnął mnie do siebie. Staliśmy tak jak dwa posągi, nieświadomi, że krew dalej krąży w naszych ciałach i że wciąż zbliżamy się do siebie. Przysunął nogę. Zamknęłam oczy w tym rozkosznym momencie, gdy nasze ciała zetknęły się na całej długości. Nie otwierając oczu, uniosłam twarz i poczułam ciepło oddechu Harry'ego.

Dotknął moich warg leciutko i płochliwie, tak jak nie potrafiłby żaden brat. Otwarłam usta instynktownie, szukając rozkoszy, i spostrzegłam, że całe ciało Harry'ego drży. Cofnąłby się, lecz trzymałam go ręką za szyję. Wsunęłam język między jego dziewicze wargi i zaczęłam lizać spontanicznie, namiętnie.

Odsunął się gwałtownie. Pozwoliłam na to, wracając do przytomności.

— To był braterski pocałunek — oznajmił cicho. — Tak się cieszę, że wróciłem do domu i że znów cię widzę, że chciałem cię po bratersku przytulić i pocałować. — Z okrutną determinacją zawrócił na pięcie i wyszedł. Zostawił mi swój uśmiech i nieprzekonujące kłamstwo.

Skłamał, aby ocalić nam obojgu świadomość wzajemnego pożądania. Skłamał, bowiem nic nie wiedział o namiętnościach między mężczyzną a kobietą. Skłamał, bo w sercu nosił dwie nie dające się pogodzić wizje mojej osoby: kochanej siostry i pięknej dumnej kobiety witającej w glorii wozy z pszenicą niczym bogini żniw.

Zostawił mi kłamstwo na pożegnanie, a ja stałam z ręką opartą na kominku w saloniku mamy, a stopami dotykając posadzki rodzinnego domu. Dygotałam z tęsknoty. Wreszcie nazwałam tę tęsknotę imieniem Harry'ego.

Nic nas nie mogło zatrzymać ani zawrócić z drogi, którą podążaliśmy — Harry i ja. Żadne słowo, żadne postanowienie nie mogło nas rozdzielić. Byliśmy jak drewnianka dryfujące na wezbranych wiosennych wodach rzeki Fenny. Miłość, namiętność rozkwitały niepowstrzymanie niczym pąki na drzewach i pierwsze kwiaty na żywopłotach.

Nie wiedziałam, dokąd uciec przed przeznaczeniem, nawet gdybym chciała uciekać. Musiałam trwać przy Harrym, tak jak ptaki muszą budować gniazda i składać jaja. Serce i ciało nawoływało Harry'ego jak kukułki w zieleńiących lasach. Był panem Wideacre, a ja chciałam go mieć.

Pierwsze ciepłe wiosenne dni przeżyłam śniąc na jawie. Jagnięta podrosły i popędziliśmy stada z powrotem na trawiaste niziny. Nagle miałam czas dla siebie. Jeździłam konno po lasach. Zrobiłam sobie nawet

małą wędkę i spędziłam raz poranek na łowieniu ryb w rwącej rzece. Pojechałam na niziny i położyłam się na wilgotnej trawie, wypatrując na błękitnym niebie nielicznych skowronków. Wiosenne słońce ogrzewało mi lekko policzki i przymknięte powieki, lecz w środku aż płonęłam. I nic nie mogłam na to poradzić.

Do przeszłości należały sytuacje, w których udawało mi się tolerować myśl o Celi. Gdy Harry i mama mówili o październikowym weselu, z zazdrości zbierało mi się na wymioty. Co drugie zdanie wypowiediane przez Harry'ego dotyczyło Celi, jej upodobań i idiosynkrazji. Z trudem nadawałam twarzy pogodny, uśmiechnięty wygląd, kiedy słyszałam jej imię. Celia nie była już jakimś obiektem spoza Wideacre, odległym i nieważnym jak londyński świątek. Stanowiła coraz realniejszą groźbę. Miała w swoich delikatnych rączkach serce mojego brata. Wejdzie do naszego domu, zajmie honorowe miejsce przy wielkim stole w jadalni, u Harry będzie się do niej uśmiechał z naprzeciwka. A co gorsza (to najstraszniejszy koszmar!) ona i Harry będą wchodzić razem po schodach i zamykać drzwi sypialni. Harry będzie brał ją w ramiona i kochał. A ja sama w moim łóżku, drżąca z pożądania...

Teraz przestałam marzyć, zaczęłam za to myśleć. Gdzieś w podświadomości układałam plan, jak zdobyć ziemię i Harry'ego. Jak z tych wszystkich szaleńczych składników ułożyć trwałe fundament mojej przyszłości. Nie miałam pewności, że to się uda zrobić. Wiele zależało od Celi, a ja znałam ją bardzo słabo. Przy następnej wizycie obserwowałam ją bacznie.

Harry czekał na lando Haveringów na stopniach dworu. U jego boku stała mama, a ja grzecznie i dyskretnie parę stopni za nimi. Świetnie widziałam twarz Celi w chwili powitania. Ze zdumieniem spostrzegłam, że jest zdenerwowana. Bładoróżowa parasolka drżała jej w dłoni, gdy Harry odsunął stangreta, aby otworzyć drzwi powozu. Pomógł wysiąść lady Havering, a potem nisko skłonił się przed Celią i wziął ją za rękę odzianą w rękawiczkę. Natychmiast zbladła i wzdrygnęła się, kiedy całował jej dłoń. Wiedziała wiedzona instynktem zakochanej kobiety, że to nie z namiętności do Harry'ego Celia cofnęła się. Skąd ten niedorzeczny wstyd? Dlaczego drżała?

Musiałam wiedzieć, co kryje się za spokojnymi brązowymi oczami. Tym razem ja zaproponowałam przejażdżkę. Zostawiłyśmy nasze matki gawędzące przy herbacie.

Pojechaliśmy zobaczyć nowe pole obsiane rzepą na polecenie Harry'ego. Harry na koniu trzymał się grzecznie za nami, także aby uniknąć tumanów kredowego pyłu wzbijanego przez powóz. Byłam więc z Celią sam na sam. Ciepły wiosenny dzień, gorący właściwie niemal jak latem, wtedy gdy odwiedziłyśmy żniwiarzy, a ja nie interesowałam się jeszcze Celią ani Harrym, Teraz miałam świadomość, że mogę zniszczyć lub zbudować moje przyszłe życie.

— Celio — odezwałam się słodko. — Tak się cieszę, że zostaniemy siostrami. Z mamą i Harrym czułam się samotna i zawsze chciałam zyskać w tobie przyjaciółkę.

Rumieńce zawstydzenia wystąpiły jej na policzki.

— Och, Beatrice. Wielka to radość, że zostaniemy przyjaciółkami. Wszystko tutaj będzie dla mnie nowe i dziwne. Przychodząc do domu twojej mamy, czuję się bardzo skrepowana.

Uśmiechnęłam się i ścisnęłam jej drobną rękę.

— Ty zawsze wydawałaś się taka dorosła i budząca zaufanie — stwierdziła nieśmiało. — Patrzyłam, jak jeździcie z papą na polowania i marzyłam, żeby cię lepiej poznać. Jakże wielkiego wierzchowca dosiadałaś! Gdy teraz myślę o zamieszkaniu w dworze Wideacre, czuję się — tu jęknęła — po prostu przerażona.

Uśmiechnęłam się łagodnie. Chociaż całe dorosłe życie przeżyła w dworze Haveringów jako niechciana pasierbica i siostra przyrodnia, niewiele wiedziała o życiu właścicieli ziemskich i nie odgrywała większej roli w życiu dworu. Była zdenerwowana, to oczywiste i wydawało mi się, że jej zgoda na Harry'ego to właściwie zgoda na mniejsze zło.

— Harry będzie cię wspierał — pocieszyłam ją.

— O, tak — zgodziła się. — Ale dżentelmeni potrafią być tacy... — przerwała. — Małżeństwo oznacza... — znów przerwała.

— Wysoki próg do pokonania dla każdej dziewczyny — odpowiedziałam.

— O tak! — jej łagodny zazwyczaj głos zabrzmiał tak stanowczo, że zaczęłam zachodzić w głowę, co się za tym kryje.

— Jako pani Wideacre zajmiesz nową pozycję społeczną — ugryzłam się w język aż do bólu na myśl, że Celia, takie duże dziecko, otrzyma ten tytuł.

— Tak, to wszystko mnie przeraża, ale jest jeszcze coś...

— Harry rzadko nadużywa alkoholu — powiedziałam, przeciwstawiając tym samym swojego brata jej ojczymowi.

— Och, nie o to chodzi! — odparła szybko.

Znów nie trafiłam.

— Jestem pewna, że on bardzo cię kocha — stwierdziłam.

Zazdrość doprowadzała mnie niemal do omdlenia, ale mówiłam prawdę tej przeklętej dziewczynie.

— Tak. W tym cały kłopot.

Nie zrozumiałam. Kłopot? Jaki kłopot?

— Kłopot? — powtórzyłam.

Pochyliła nisko głowę w ślicznym czepeczku. Na wzorzystą satynę spadła łza. Dłoń w rękawicze zakryła mokre miejsce.

— Jest taki... — nie mogła znaleźć właściwego słowa, a ja na Boga nie wiedziałam, co tutaj nie pasuje.

— Jest taki... — zaczęła raz jeszcze. Zdrętwiałam.

— Jest taki... niepoohamowany... — wydusiła wreszcie. — To chyba dlatego, że interesuje się rolnictwem... ale w zasadzie...

Niemal jęknęłam, słysząc tę rewelację. Ja tęskniłam, pożałowałam Harry'ego, dygotałam czując jego dotyk, a ta mała lodowata dziewczyna wymawiała się od jego pocałunków i wzbraniała się przed uściskiem. Zazdrość przyprawiała mnie o mdłości, lecz nie wolno mi było tego pokazać.

— Mężczyźni już tacy są — próbowałam naśladować jej pełen zgrozy szept. — Czy on zawsze się tak zachowuje?

— Och, nie! — Podniosła na mnie błyszczące ciemnobrązowe oczy. — Zmienił się przez ostatnie dwa tygodnie. Usiłował mnie pocałować... — ściszyła głos — w usta! Och, to było straszne. — Znow przerwała. — I jeszcze coś.

Każdym calem zmysłowego ciała pamiętałam ciepło bliskości Harry'ego, rozchylające się usta i język, którym penetrowałam jego usta. Jego rękę przyciśniętą do piersi. To była zmiana w Harrym.

— Zapomniał się — w głosie Celi zabrzmiał odcień determinacji. — Zapomniał, kim jestem. Młode damy nie... — przerwała. — Z pewnością nie pozwalają, żeby dżentelmeni dotykali je... w ten sposób.

Westchnęłam i wstrzymałam oddech. To wieczór w saloniku mamy spowodował zmianę w zachowaniu Harry'ego. To ja przyciągnęłam jego dłoń do piersi. To ja otworzyłam przed nim usta. Odszedł ode mnie do Celi płonąć z pożądania i pamiętając dotyk swojej pierwszej kobiety. Zimna, nieczuła mała Celia odtrąciła go.

— Powiedziałas mu to? — spytałam.

— Oczywiście — otworzyła jeszcze szerzej brązowe oczy i znow zerknęła na mnie. — Wyglądał na rozgniewanego. — Jej dolna warga zadrżała. — Boję się więc, co będzie... później.

— Nie chcesz, żeby cię całował? — wyrzuciłam z siebie.

— Nie w ten sposób! Nie lubię takich pocałunków! I chyba nigdy ich nie polubię! Nie rozumiem, jak mogłabym nauczyć się je znosić. Mama i ojczym tak się zachowują, oni... oni zawarli pewien układ.

Cały świat wiedział, że układ lorda Haveringa to po prostu baletnica z jakiegoś londyńskiego teatryku, układ zaś lady Havering oznacza dwoje dzieci i cztery poronienia.

— Ty też chciałabyś zawrzeć układ z Harrym? — spytałam.

Nie wierzyłam własnym uszom.

— O, nie — odrzekła nieszczęśnica. — Wiem, że nie wolno, dopóki nie ma małego dziedzica. Wiem, że na to nie ma rady. Będę musiała... Będę musiała... — chlipnęła żałośnie. — Chyba będę musiała to znosić.

Mocno ścisnęłam jej dłoń.

— Celio, posłuchaj. W październiku stanę się twoją siostrą, a już teraz jestem twoją przyjaciółką. Harry i ja jesteśmy bardzo do siebie przywiązani. Wiesz, że razem zarządzamy majątkiem. Harry posłucha mnie, bo wie, że zawsze kieruję się jego dobrem. Pomogę ci dojść do porozumienia z Harrym. Porozmawiam z nim, a to co mi powiedziałaś, pozostanie na wieki między nami. Doprowadzę do ugody między wami.

Celia podniosła na mnie wzrok.

— Och, jeśli możesz! Ale czy Harry zrozumie to właściwie?

— Zostaw to mnie. Stawiam tylko jeden warunek. — Przerwałam. Wisienkowe przybranie na jej czepeczku zadrżało. Zdałam sobie sprawę, że Celia obieca mi wszystko, byle tylko uniknąć uścisków Harry'ego. — Będziesz mi opowiadała wszystko o sobie i Harrym. Wszystko.

Kiwnęła głową gorliwie, aż wisienki podskoczyły.

— Czy to zmieni się coś w twoim uczuciu do niego, czy też może on się zmieni wobec ciebie, powiesz mi o tym natychmiast.

Wisienki znow podskoczyły. Uwolniła swoją dłoń.

— O tak, Beatrice. Uściśnijmy ręce na znak, że dobiłyśmy targu. Obiecuję, że zawsze będziesz mi najlepszą i najbliższą przyjaciółką. Będę ci ufała i odwzajemnę się. Dam ci wszystko, co tylko będę mogła.

Uśmiechnęłam się i pocałowałam ją w policzek, aby przypieczętować naszą ugodę. Miała tylko jedną rzecz, której pragnęłam teraz i potem. I oto Celia była na najlepszej drodze do ofiarowania mi tego, osoby, której pożałowałam.

Mojego brata Harry'ego.

## 6

Wróciłam do domu z tej przejażdżki, bynajmniej nie myśląc o plantacji rzepy. Przebąkiwania Celi o zalotach Harry'ego pobudziły tylko moją zazdrość i pożądanie. Czowała się szczęśliwa, mogąc przekazać mi kontrolę nad swym życiem małżeńskim, lecz Harry dalej próbował skłonić ją do podniesienia wzroku, nawet w mojej obecności. A kiedy staliśmy we trójkę podziwiając pole obsiane rzepą, pochylił głowę i studiował uroki jej bladej cery ukryte pod parasolką.

Zostawiłam Celię w saloniku i poszłam do swojego pokoju, aby zdjąć czepek. Spojrzałam bez zbytniej satysfakcji na swoje odbicie w lustrze. Skoro Harry wolał cukier i śmietankę, moje wyraziste piękno nie przemówi do niego. Spoglądały na mnie zielone oczy, oszołomione, mroczne od pożądania. Nie mogłam uwierzyć, wprost w głowie mi się nie mieściło, że jakiś mężczyzna mógłby się oprzeć urokowi, który na niego rzuciłam. Westchnęłam i przycisnęłam czoło do chłodnego szkła. Tęskniłam, tęskniłam za Harrym.

Zaszeleściłam suknią i poszłam na dół. Celia miała miłość, której chyba nie pragnęła. Wzdrygałam się na widok zalotów Harry'ego, na czule słówka kierowane do Celi sączącej herbatę, ale jak mogłabym zostać sama w pokoju wiedząc, że on siedzi tam przy niej na sofie? Spędzałam z nim wiele czasu, lecz nigdy nie siedziałam tak jak ona ze spuszczonej oczami, czując na sobie badawczy, niespiesznie taksujący mnie wzrok. Nigdy nie mogłam mieć rozkosznej pewności, że od razu napotkam ukochane oczy. Często przebywaliśmy ze sobą, a jednak magiczne chwile bliskości zdarzały się niezwykle rzadko. Wciąż nam ktoś przeszkadzał. Zwykle mama snuła się i pilnowała swojego synka.

Na podeście schodów przystanąłam. Jakaś nieuważna służąca musiała zostawić otwarte tylne drzwi. Wszedł tamtędy jeden z kotów stajennych. Siedział teraz dumny jak paw w korytarzu pierwszego piętra. Mama była chora widząc kota w pokoju. W domu obowiązywała żelazna reguła, aby zamykać drzwi przed kotami stajennymi. Powinnam i tego pogonić teraz z powrotem na podwórko i przewietrzyć korytarz. W przeciwnym razie mama dostałaby ataku duszności. Zbladłaby, a potem zżółkła na twarzy. Miała delikatne serce i po ostatnim ataku londyński specjalista ostrzegł ją, żeby nie sprowokowała następnego. Zaostrzono zatem przepisy dotyczące kotów. Ktoś tu zasłużył na zwolnienie, jeśli nie wypędzę kota, zanim mama przyjdzie się przebrać.

Już szłam w stronę zwierzęcia i nagle stanęłam jak słup soli. Nie miałam żadnego planu. Kierowała mną wyłącznie namiętność do Harry'ego. Siła woli przestała działać. Tak bardzo pragnęłam zostać z nim sam na sam, że każdy cal mego ciała dygotał z bólu. Bałam się przenikliwego spojrzenia mamy i jej matczynej intuicji. Słyszała moje najcichsze westchnienia. Kocie oczy mierzyły się z moim spojrzeniem, zielone przeciwko zielonemu. Tu leżał klucz do pozbycia się mamy z pokoju. Milczące porozumienie. I już kładłam rękę na klamce do sypialni mamy. Drzwi ustąpiły pod na wpół świadomym gestem. Jak posłuszny domownik kot



przeciągnął się i z wyprężonym ogonem wszedł do sypialni. Zamknęłam za nim drzwi. Wciąż nie zdawałam sobie sprawy z tego, co robię. Czy to ja zaprosiłam kota do środka, czy tylko otworzyłam drzwi, a on sam się zaprosił? Kot, mama, Harry i ja — złapani w sieć rozpiętą przez kogoś nieznanego. I jak kot bezmyślnie zeszłam do saloniku. Twarz miałam spokojną niczym powierzchnia rzeki Fenny w letnie dni, a oczy nieprzeniknione jak kot w sypialni mojej delikatnej mamy.

Usiadłam obok Celi, a nawet zaakompaniowałam nam na fortepianie. Zaśpiewaliśmy w duecie. Jej cieniutki szczebiocący głos nawet nie najgorzej współbrzmiał z moim silnym altem. Potem Celia i Harry zaśpiewali jakąś piosenkę ludową, a ja wykorzystałam tę chwilę, by opuścić salonik i wrócić na górę.

Błogosławione stworzenie zostawiło tu i ówdzie kałuże na podłodze. Musiałam je wytrzeć. Zwinęło się w kłębek i grzało na poduszce, tam gdzie w nocy spocznie głowa mamy. Schwyciłam kota za skórę na grzbiecie, pomknęłam po schodach na dół i posadziłam go przy drzwiach stajni. Gapił się na mnie nie mrużąc wcale oczu, jak gdybyśmy mieli wspólną tajemnicę. Ostrożny konspirator.

Wieczorem wcześniej udaliśmy się na spoczynek. Około północy obudził mnie dźwięk otwieranych z trzaskiem drzwi i tupot stóp. To chyba pokojówka mamy niosła jej z kuchni gorący posset i rozgrzany rondel na zimne nogi. I nawet chciałam wstać i spytać, czy mogę pomóc, lecz byłam śpiąca, a łóżko tak przyjemnie ciepłe... Zasnęłam, zanim zdecydowałam się podnieść.

Odvediłam ją rano w sypialni. Zasłony opuszczono, pokój cuchnął kamforą i wodą lawendową. Leżała całkiem nieruchomo w wielkim łożu, z białą twarzą na poduszce, na której spał kot i lizał swoje zmatowiałe brudne futerko.

— Przepraszam, kochanie, ale nie mogę mówić. Czuję się chora, bardzo chora — odezwała się słabym głosem. — Powiedz Harry'emu, żeby się nie martwił. Wkrótce poczuję się lepiej.

Wymamrotałam jakieś wyrazy współczucia, pochyliłam się i pocałowałam ją. Twarz miała wykrzywioną bólem, białą niczym prześcieradło. Mnie też głowa rozbolała ze współczucia, gdy dostrzegłam napiętą skórę na czole mamy. Serce załomotało mi ze strachu, gdy usłyszałam chrypiący oddech i drżące wargi. Oczy mnie jednak nie zdradziły. Kocie oczy. Przecież niczego nie planowałam. Nie ponosiłam winy za żadną zbrodnię z premedytacją. To bogowie ziemi, pól, łąk i lasów przystąpili do swej magicznej pracy w Wideacre. Snuli swe oszukańcze intrygi, a ja musiałam podążać ślepo za ich głosem. Tęsknota za Harrym sprowadziła kota pod sypialnię mamy. Teraz mama dyszała ciężko w zaciemnionym pokoju. Poczułam się chora widząc jej ból, współczując i niepokojąc się. To już na własny rachunek.

— Mamo — odezwałam się niepewnie.

Potrzebowałam jej uśmiechu, aby wiedzieć, że choroba minie, że chociaż wygląda trupio blado, to jednak oddycha, a serce pracuje. Za kilka dni wyzdrowieje. Jeszcze mnie pokocha. Jeszcze przestanie przesadnie adorować Harry'ego i nauczy się cenić także córkę. Jeszcze stanę się jej ukochanym, wspaniałym dzieckiem.

Otworzyła oczy zmęczona i spostrzegła niepokój na mojej twarzy.

— Wszystko w porządku, Beatrice — powiedziała z odcieniem niecierpliwości. — Zjedz śniadanie, a potem wyjdź, jeśli chcesz. Muszę odpocząć.

A zatem odprawiała mnie. Wciąż była w stanie zadawać mi ból. Odwróciła twarz bez uśmiechu, na który czekałam. Nie miałam po co tu dalej zostawać. Zamknęłam za sobą cichutko drzwi sypialni mamy i przez resztę dnia o niej nie pomyślałam.

Pod jej nieobecność Harry poprowadził mnie po południu do jadalni i po raz pierwszy usiedliśmy naprzeciwko siebie na najważniejszych miejscach przy stole. Zjedliśmy obiad sami, przy świetle świec. Rozmawialiśmy ściszym głosem. Pokój mamy znajdował się na tyle daleko, że nie przeszkadzalibyśmy jej na pewno, lecz półgłos podkreślał atmosferę intymności. Jasny pokój był spokojną radosną wysepką w wielkim ciemnym domu, w zapadającym zmierzchu. Towarzyszyłam Harry'emu pijącemu portwajn, a kiedy skończył, przeszliśmy razem do saloniku. Graliśmy w karty, dopóki Stride nie wniósł tacy z serwisem. Kiedy podawałam Harry'emu filiżankę, nasze palce zetknęły się i uśmiechnęłam się, lecz już nie drżałam. Potem siedzieliśmy razem w milczeniu przy kominku. Przeniósł wzrok z płonących polan na mnie i uśmiechnął się bez cienia żądz.

Wieczór spokoju, niczym wysepka niewinności na wezbranych wodach rzeki pożądania. Byliśmy zmęczeni i ospali jak dzieci pod koniec wesołego dnia pełnego zabaw i harców. Nikt nie odciągał uwagi Harry'ego ode mnie, nikt nie zabierał mi miłości. Mogłam siedzieć, uśmiechać się i marzyć. Nareszcie wolna od palącego pożądania. Pocałował mnie na dobranoc niewinnie, po bratersku w czoło. Nie pragnęłam niczego więcej. Tej nocy spałam cudownie, nie dręczona koszmarami i nie spalana żądzą. Wreszcie byłam pewna uczucia Harry'ego i przynajmniej przez tę jedną noc to mi wystarczało.

Następnego dnia postanowiliśmy skorzystać z pięknej pogody i wypocząć. Pojechaliśmy razem na niziny. Nie musiałam już nosić ścisłej żałoby, założyłam więc bladoszary strój do konnej jazdy, w którym było mi bardzo do twarzy; spódnicę z miękkiego samodziału i aksamitny zakieczik. Całości dopełniał aksamitny szary toczek. Taką żałobę mogłam nosić zawsze! Nawet jasne kolory nie podkreślałyby lepiej mojej sylwetki.

Na wzgórzach wiał silny wiatr. Porwał mój toczek i pognął go dalej, tak że razem z Harrym puściliśmy się w pościg. Harry wygrał nasze zawody. Prawdę mówiąc, ściągnęłam nieco cugle i pozwoliłam mu wygrać. Harry pochylił się i nadział go na czub biczyka. Pokłusował z powrotem i wręczył mi elegancko toczek. Uśmiechnęłam się serdecznie.

Konie szły swobodnie łeb w łeb starą drogą poganiaczy bydła po wzgórzu na granicy nizin. Wypatrywaliśmy morza. Skowronki wzbijały się coraz wyżej, śpiewem obwieszczając o swoich fruujących sukcesach, a potem tuliły maleńkie skrzydełka i pędziły ku ziemi. W lesie para kukulek prowadziła miłosny dialog. Zewsząd dobiegało leniwe skrzypienie koników polnych i brzęczenie pszczół.

I oto znalazłam się na mojej ziemi z człowiekiem, którego pragnęłam, a on patrzył tylko na mnie. Dziś Harry nie występował w roli syna i narzeczonego. Był tylko ze mną. Mogłam uspokoić swe zazdrosne głodne serce wiedząc, że mamy dla siebie cały dzień i wieczór. Do mnie Harry będzie się uśmiechał i na mnie spoglądał.

Konie ocierały się o siebie bokami, a my rozmawialiśmy o książce na temat rolnictwa, czytanej ostatnio przez Harry'ego. Mówiłam, co moim zdaniem mogłoby się udać, a co z opisywanych rzeczy wydaje mi się nierealne. Rozmawialiśmy o naszym domu i zmianach, które nas czekają w październiku. A potem nagle Harry wspomniął o Celi.

— Ona jest taka czysta, taka niewinna, Beatrice. Bardzo ją szanuję — zaczął. — Trzeba być prawdziwym brutalnym, żeby ją do czegokolwiek namawiać. Ona jest jak dreźnieńska porcelana. Nie sądzisz?

— O, tak! — zgodziłam się skwapliwie. — Jest piękna i urocza jak anielica. Trochę nieśmiała, prawda? — Temu twierdzeniu nadałam formę pytania.

— I nerwowa — przytaknął Harry. — Ten wstrętny ojczym wypaczył jej poglądy na małżeństwo.

— To wstyd — zaczęłam ostrożnie. — To wstyd, że taka śliczna dziewczyna, twoja przyszła żona, jest taka chłodna.

Harry szybko spojrzał na mnie przenikliwymi błękitnymi oczami.

— Tego właśnie się obawiam — wyznał szczerze.

Konie pobiegły kłusem do cichej dolinki i stanęły, grzebiąc kopytami w sprężystej torfowej ziemi. Za nami ziemia wznosiła się stromo. Przed nami, od północy, wyrastał leszczynowy zagajnik. Stanęliśmy w dolince ukryci przed wszystkimi, jednocześnie widząc z tego miejsca pół Anglii. Harry zeskoczył z siodła i przywiązał konia. Ja dalej siedziałam w siodle i pozwalałam koniowi grzebać w ziemi.

Uszy miałam pełne słodkiego śpiewu podobnego do ptasiego. Wiedziałam, że to magiczny śpiew Wideacre; buczenie kołowrotka przędącego wspólną nić naszych żywotów.

— Jesteś człowiekiem targanym namiętnościami — powiedziałam.

Profil Harry'ego spoglądającego na nasze tereny był wyrazisty i nieskazitelny jak w starogreckich posągach. Czułam ból pożądania, lecz panowałam nad głosem.

— Nic na to nie poradzę — odparł i oblał się rumieńcem.

— Rozumiem. Ja także. Mamy to we krwi, jak sądzę.

Odwrócił się szybko. Zaczęłam się pocić jak klacz przyprowadzona do ogiera. Czułam, jak mój szary strój wilgotnieje pod pachami. Twarz jednak zachowała spokój.

— Kobieta musi być damą w każdym calu — stwierdziłam. — Musi zachowywać się bez zarzutu, a jednocześnie kiedy jest pewna, że wybrała właściwego mężczyznę i że go kocha, nie powinna stawiać tamy swemu pożądaniu.

Harry gapił się na mnie. Brakowało mi słów. Miłość i żądzę miałam wypisaną na twarzy. Czekałam, aż Harry odczyta tę prawdę.

— Masz jakiegoś konkurenta? — spytał zdumiony.

— Nie! — rzuciłam. — I nie chcę nigdy mieć!

Zeskoczyłam z siodła i wyciągnęłam ramiona. Chwyciłam go za poły fraka, a on mnie objął. Prawie płakałam z gniewu i frustracji.

— Och, Harry! — mój głos przeszedł w jęk i już nie mogłam powstrzymać płaczu.

Ból w sercu narastał, ogłuszał mnie śpiew ziemi.

— Och, Harry! Moja miłości!

Pod wpływem moich słów zamarł. Wprost skamieniał. Nie zdołałam opanować szlochu. Byłam skończona. On mnie nigdy nie pokocha! Tak długo patrzyłam i czekałam na jego dotknięcie, że kiedy znalazłam się w jego ramionach, nie mogłam odgrywać pięknej dziewicy jak Celia. Nie mogłam oderwać się od jego ubrania niczym tonąca. Uderzyłam czołem w silną, muskularną klatkę piersiową Harry'ego i głośno

jęknełam. Pozostał niewzruszony. Ścisnął mnie w talii jak imadło. Ucichłam, gryząc się mocno w język. Powoli, choć to bolało, odsunęłam się nieco i podniosłam na niego wzrok.

Oczy Harry'ego pociemniały od żądz. Serce mu waliło, usta dygotały leciutko. Patrzył na mnie, jak gdyby chciał mnie zjeść żywcem.

— To grzech — odezwał się cicho.

Świat zawirował. Ledwie go usłyszałam. Ledwie znalazłam słowa, by mu odpowiedzieć.

— Nie! Nie, Harry. To nie grzech. Czujesz przecież, że to nie grzech, nie, nie, nie!

Opuścił głowę. Przymknęłam oczy w oczekiwaniu pocałunku. Czułam na twarzy jego oddech. Otworzyłam usta i oddychałam powietrzem, które wychodziło z jego ust. Drżałam z pożądania. Ale wciąż mnie nie całował.

— To grzech — powiedział delikatnie.

— Gorszy grzech to poślubić na zawsze kobietę, która jest zimna jak lód — wyrzekłam półgłosem. — Po stokroć gorzej żyć z żoną, która nie potrafi cię kochać, podczas gdy ja trawię całe dni na tęsknocie za tobą. Och, zlituj się nade mną, Harry! Jeśli nie możesz mnie kochać, zlituj się nade mną!

— Mogę cię kochać — zaprzeczył ochryple, żarliwie. — Wiesz o tym, Beatrice! Ale to grzech!

Słowa te były dla niego talizmanem powstrzymującym go przed pochyleniem się jeszcze o cal ku moim ustom. Czułam jego spięte żądzą ciało. Jednakże panował nad sobą. Kochał mnie, pożądał mnie i nie dotykał mnie zarazem. Nie mogłam tego już znieść. Rzuciłam się na niego i wgryzłam się w te torturujące mnie, igrające usta. Miałam cały czas szpicrutę przytroczoną do paska. Zsunęłam jedną dłoń z piersi Harry'ego i niczym sztylet chwyciłam szpicrutę, którą wbiłam mu w udo.

— Harry, zabiję cię — stwierdziłam i nie kłamałam.

Krwawił z ust. Przyłożył palce do warg i obejrzał ślady krwi

A potem jęknął i runął na mnie całym ciężarem. Rozerwał mi ubranie. Kiedy guziki ustąpiły, krzyknął i zagłębił twarz między moimi piersiami. Całował i kąsał bez litości. Ściągnęłam mu do kolan bryczesy, a on podniósł spódnicę i halki.

Na wpół rozebrani, lecz zbyt rozpaleni, by się tym przejmować, padliśmy na trawę. Harry wbił się we mnie niecierpliwym niewprawnym ruchem. Wcisnął swą twardą męskość między moje uda, szukał mokrego schronienia, wdzierał się do wnętrza, aż nastąpiła chwila rozkoszy porażająca jak upadek z drzewa, bolesna jak cios nożem. Wtargnął w sekretne miejsce niczym pięść próbująca rozedrzeć kotarę. Na ułamek sekundy zamarliśmy. Harry zatrząsł moim ciałem niczym terier złapanym szczurem. Krzyczałam. Osaczyłam go nogami i ramionami. Wiliśmy się jak oszalałe żmije. Harry zawył i padł bez ruchu, a ja głodna, chciwa, nienasycona wygięłam grzbiet i przyciskałam się, tarłam o niego, aż wydałam ostatni okrzyk zaspokojenia. Uciszona, ległam na miękkim torfie nizin.

Powoli otworzyłam oczy i zobaczyłam głowę Harry'ego na tle nieba. Gdzieś wysoko śpiewały skowronki. Dziedzic Wideacre leżał na mnie ociężale. Napęłnił mnie swym nasieniem. Pod złączonymi ciałami czuliśmy naszą ziemię. W garści trzymałam źdźbła naszej trawy. Kwiaty polne i zioła nasiąkały moją wilgocią. Nareszcie miałam Wideacre i jej pana. Pode mną nasza ziemia, we mnie dziedzic. Zadrżałam i westchnęłam. Minał ból tęsknoty, minął niepokój zazdrości.

Harry zareagował. Stoczył się ze mnie z wyrazem winy i nieszczęścia na twarzy.

— Mój Boże, Beatrice, cóż mam powiedzieć? — odezwał się bezradnie.

Usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Opuścił ramiona, pochylił głowę. Usiadłam przy nim i zgarnęłam rozchylone poły sukni. Położyłam delikatnie dłoń na jego ramieniu. Wciąż dygotałam na wspomnienie brutalności Harry'ego. Byłam zbyt oszołomiona przeżyta rozkoszą, aby myśleć o jego wątpliwościach.

Podniósł smutną twarz i spojrzał żałośnie.

— Mój Boże, Beatrice! Musiałem zadać ci wielki ból! A tak cię kocham! Co mam powiedzieć? Strasznie mi wstyd!

Przez chwilę gapiłam się osłupiała, a potem zdałam sobie sprawę, że Harry czuł się winny gwałtu!

— To moja wina — stwierdził. — Pragnąłem cię od dnia, gdy uratowałem cię przed tym brutalnym. Niech mi Bóg wybaczy, ale wciąż stałaś mi przed oczami naga, na podłodze. Och, przed nim cię ocaliłem, a sam cię zniszczyłem! — Znów ukrył twarz w dłoniach z rozpaczą. — Beatrice, Bóg mi świadkiem, ja nie chciałem — rzekł stłumionym głosem. — Jestem lajdakiem, ale Bóg mi świadkiem, nie ukartowałem tego. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że między bratem i siostrą może dojść do czegoś takiego. Tylko mnie trzeba tu winić i nie uchylam się od odpowiedzialności. Beatrice, ja po prostu nie sądziłem, że to możliwe.

Czule położyłam dłoń na jego głupiutkiej głowie.

— Nie tylko ciebie trzeba winić — powiedziałam cicho. — I nie ma tu żadnej winy. Śniłeś o mnie, a ja śniłam o tobie. Po cóż szukać winnego?

Harry miał oczy pełne łez, lecz błysnął w nich promień nadziei.

— A jednak to grzech — odezwał się niepewnie.

Wzruszyłam ramionami, a sukienka rozchyliła się. Nagie ramię i krągła pierś przyciągnęły wzrok Harry'ego.

— Nie mogę tego uznać za grzech — zaproponowałam. — Wiem, kiedy źle postępuję, a to nie wydaje mi się złe. Przecież do tego dążyłam całym życiem i nie mogę tego uznać za coś złego.

— A jednak — upierał się Harry. Nie mógł oderwać wzroku od rozdarcia mojej sukni. — A jednak — powtórzył. — Nie można powiedzieć, że coś nie jest grzechem tylko na podstawie własnych odczuć...

Głos przekonanego o swojej racji samca wibrował w powietrzu, a ja położyłam się i zamknęłam oczy. Harry wyciągnął się obok wsparty na łokciu. — Nie myślisz logicznie, Beatrice... — i nie mówił już nic więcej. Pocałował moje powieki delikatnie jak motyl przysiadający na kwiatku.

Trwałam bez ruchu. Westchnęłam tylko leciutko. Leżałam spokojnie niczym liść. Harry znaczył pocałunkami szlak biegnący przez moje policzki, szyję, gładką skórę między piersiami. Rozchylił suknię czołem. Przedtem gwałtowny, teraz delikatny, sunął ustami aż do brodawki.

— To grzech — powiedział stłumionym głosem.

Uśmiechnęłam się, lecz on tego nie widział.

Leżałam spokojnie, czując blask słońca na powiekach, a na sobie ciężar ciała Harry'ego i twardniejącą męskość. Poznał tajniki retoryki, ale ja poznałam coś więcej — śpiewającą magię Wideacre i pociąg dwojga



młodych ludzi ku sobie. Dotyk był jak iskra przed burzą. Nie posuwaliśmy się na razie dalej. Ocieraliśmy się jak wydry — twarz przy twarzy, ciało przy ciele, splecione nogi. Zapomnieliśmy o świetle.

— To grzech i nie będę tego robił — oświadczył Harry.

Ta odmowa podnieciła nas oboje.

— Nie będę — twierdził, a robił to dalej.

Zakołysaliśmy się i wśliznął się we mnie jak wydra do wody.

— Beatrice, moja miłości. Moja jedyna miłości.

Jęknął i wsunął język w moje usta. Byłam podniecona. Tym razem kochaliśmy się powoli, bardziej zmysłowo. Poruszałam całym ciałem, kręciłam się, ocierałam. Niewprawne gesty Harry'ego napelniały mnie rozkoszą. Szybciej, coraz szybciej, aż do kulminacji, kiedy Harry uderzał moją głową i ramionami o miękkie torfowe podłoże w ekstazie, triumfalnie.

A potem długo leżeliśmy uspokojeni.

Ubraliśmy się. Wreszcie uciszyłam umysł i ciało. Z torby przy siodle wyjęłam szynkę, chleb posypany mąką (jeszcze ciepły) i wiklinowy kosz dorodnych (jak zawsze w Wideacre) truskawek. Usiedliśmy razem, patrząc na tereny naszej posiadłości. Pochłanialiśmy jedzenie. Byłam głodna, jak gdybym od tygodnia nie miała nic w ustach. Harry przyniósł mi szklanek wody ze źródła na skraju bukowego zagajnika. Wypiłam w milczeniu. Woda gromadzi się tu na głębokości złóż kredy i jest czysta jak filtrowana deszczówka, chłodna jak lód, zielonkawa i słodka.

Truskawki zjedliśmy nie mówiąc ani słowa. Wyciągnęłam się na plecach i patrzyłam w niebo. Po chwili wahania Harry położył się obok, oparł głowę na dłoni, a drugą ręką dotknął mojej twarzy. Uśmiechnęłam się. Owinął sobie wokół palca kosmyk moich niesfornych kasztanowych włosów.

— Dobrze ci było. — Nie pytał. Widział i czuł to. Z ulgą stwierdził, że nie muszę kłamać.

— Tak. — Obróciłam się na bok i spojrzałam mu prosto w twarz, jak w lustro.

— Nie uważasz, że to grzech? — Ciało Harry'ego odrzuciło wszelkie wątpliwości, lecz potrzebował słów. Nawet teraz, wyczerpany miłością, przeżywszy rozkosz, musiał mówić. Musiał ubrać w słowa milczącą magię obecną w powietrzu i w ziemi wokół nas.

— Jesteśmy Laceyami z Wideacre — ujęłam to jak najprościej.

Duma z przynależności do naszego rodu wydawała mi się jedynym wyjaśnieniem mojego zachowania. Te słowa wypowiedział człowiek, który już nie żył, lecz przecież miałam w ramionach jego syna, a swego brata.

— Jesteśmy Laceyami z Wideacre — powtórzyłam.

Ale Harry potrzebował słów i skomplikowanych wywodów. Nie rozumiał rzeczy najprostszych.

Harry uśmiechnął się.

— Jesteś dumna jak paw, Beatrice. Wiesz, że to niewielka posiadłość. Są większe majątki, starsze rody.

Teraz ja gapiłam się zdumiona. Żartował? Niestety nie. On naprawdę ważył się porównać Wideacre z innymi posiadłościami, jak gdyby Laceyowie mogli żyć gdzie indziej.

— Może i tak — odparłam. — Ale nic dla mnie nie znaczą. Na tej ziemi zawsze był tylko jeden pan i jedna pani. Od wieków. Laceyowie z Wideacre.

Harry kiwnął głową.

— Tak, tak, to brzmi rozsądnie. To co ma miejsce między nami, stanowi naszą prywatną sprawę. Tak jak mówisz, nasza ziemia, nasza sprawa. Ale w domu musimy zachować ostrożność.

Otwarłam szeroko oczy. Próbowałam wyjaśnić Harry'emu, że staliśmy się kochankami w sposób nieunikniony, naturalny, tak jak po wiosnie przychodzi lato. Byłam sercem Wideacre, a Harry był bogiem żniw. Otworzyłam przed nim drzwi stodoły, a właściwie swoje serce. Przyjęłam go, tak jak kreda wchłania wodę. A Harry zrozumiał tylko tyle, że na naszej ziemi możemy się potajemnie spotykać i kochać. Miał rację. Zachować to w sekrecie i zapewnić nam bezpieczeństwo — to oczywiście ważne zadanie. Ale ja stworzyłam sobie w myślach obraz błękitnego motyla siadającego na kwiatku, Harry zaś w wyobraźni uciekał do wścibskich sąsiadów i plotkującej służby. Nie mogłam więc dłużej traktować naszego związku jako fenomenu magii przyrody, przeznaczenia. Harry kochał mnie na swój sposób i chciał tę miłość dobrze ukryć.

— Gdzie moglibyśmy się spotykać w domu? — spytał. — Moja sypialnia przylega do sypialni mamy, a ona wciąż nasłuchuje, co robię. Twoja sypialnia jest na drugim piętrze. Nie mam pretekstu, by tam wchodzić. A ja muszę się z tobą spotykać, Beatrice.

— A zachodnie skrzydło domu? — zasugerowałam, głośno myśląc. — Prawie nigdy nie używamy pokoi gościnnych. Zmywalnia i pokój śniadaniowy na dole są zamknięte. Czemu nie zamienić pokoju śniadaniowego na kantorek. Mogłabym się wtedy przenieść do pokoju gościnnego piętro wyżej.

Harry zmarszczył brwi, próbując wyobrazić sobie zmieniony układ.

— Do pokoju gościnnego? — dopytywał się.

— Przecież on przylega do twojej sypialni — uśmiechnęłam się. — Są tam nawet drzwi łączące oba pomieszczenia, zabudowane teraz szafami. Z łatwością moglibyśmy je jednak otworzyć. I oto mamy miejsce tajemnych spotkań, w dzień i w nocy.

Harry rozpromienił się niczym dziecko na widok łąkoci.

— Och, Beatrice, byłoby wspaniale.

— Więc tak zrobimy — odrzekłam energicznie, zapomniawszy już o moich marzeniach, o całej teorii magii. — Jutro wezmę tę sprawę w swoje ręce. Powiem mamie tylko, że urządzamy kantorek.

Harry kiwnął głową, ale znów się nachmurzył.

— Mama — odezwał się zamyślony. — Odkrycie naszego związku zabiłoby ją. Nigdy bym sobie tego nie wybaczył. Nie miałbym po co żyć. A do tego Celia. I o twojej przyszłości też musimy pomyśleć, Beatrice.

Harry znów wznosił mur ze słów. A ja kochałam instynktownie, bez słów. Opuściłam powieki, aby nie dostrzegł błysku smutku na wspomnienie Ralpha i jego miłości w owo długie gorące lato, kiedy to nigdy podczas naszych spotkań nie padało więcej niż tuzin słów. No ale Harry był taki wykształcony.

Pchnęłam go lekko na trawę. Położył się znów na plecach i uśmiechnął, lecz oczy pociemniały mu od pożądania. Pochyliłam się nad nim. Napiął mięśnie, oczekując pieszczoty... i nie doczekał się. Przycisnęłam twarz i usta do jego szyi, lecz nie pocałowałam. Dmuchałam tylko delikatnie na skórę i obserwowałam grę mięśni. W niepokojącej ciszy przesunęłam ustami po piersiach Harry'ego, dalej dmuchając leciutko, od opalonego gardła aż do pępka i szorstkich włosów sterczących jak strzała, i jeszcze niżej, do rozpięcia spodni. Kiedy zimny, niosący obietnicę oddech postawił włosy między jego rozkraczonymi nogami, podniosłam się i

uśmiechnęłam. Miałam potarganą fryzurę, zarumienioną twarz i oczy błyszczące od rozkoszy, rozkoszy płynącej z panowania nad każdym ciałem własnego giętkiego ciała i władzy nad podnieconym ciałem Harry'ego.

— Nie martw się, Harry — nalegałam, igrając ze zmysłami. — Myśl tylko o tym, co chciałbyś teraz robić.

Nie zastanawiał się długo.

W domu zastaliśmy mamę w nie najlepszym stanie, ale zasinienie wokół ust znikło i oddech wracał do normy. Jedna ze służących wyznała Stride'owi, głównemu lokajowi, że zostawiła otwarte drzwi do stajni i obawiała się, czy to czasem nie z jej winy kot wszedł do domu. Stride zagroził jej zwolnieniem i czekał na mnie w hallu, abym potwierdziła jego decyzję. Byłam śpiąca z rozkoszy i oszołomiona sukcesem.

— Musi odejść — stwierdziłam. Już prawie zapomniałam, że to moja dłoń nacisnęła klamkę w drzwiach sypialni mamy. Odesłałam dziewczynę z powrotem do wsi, bez pensji i bez referencji. Zbyt cieszyłam się własnym szczęściem, by przejmować się losem biednej służącej.

Stride kiwnął głową i poprosił nas do stołu. Harry siadł na jednym końcu długiego wypolerowanego stołu, ja zaś na drugim. Jaśnieliśmy niczym anielska para w świetle świec i atmosfera pokoju przesiąkła naszą radością.

Rozmawialiśmy od niechcienia o ziemi, o zdrowiu mamy i o tym, czy dobrze byłoby ją wysłać na kilka dni na odpoczynek nad morze oraz czy powinien ją zbadać jeden z najlepszych londyńskich specjalistów. Potem Stride postawił przede mną owoce i ratafię, a ser i portwajn przed Harrym, i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Nasłuchiwaliśmy jego kroków, kiedy zmierzał do kuchni. Trzask drzwi. Cisza. Zostaliśmy sami.

Harry napełnił szklankę po brzeg winem koloru śliwki. Wzniósł toast.

— Beatrice — odezwał się.

Jak zwyczaj każe, odpowiedziałam uniesieniem szklanki i uśmiechem.

Patrzyliśmy na siebie z obu krańców stołu w milczącym porozumieniu. Z przyjemnością siedziałam teraz w znajomym pomieszczeniu, zachowując dobre maniery. Miła odmiana po dzikich bojach namiętności na trawie. Harry, ubrany elegancko do obiadu, na krześle papy bardzo przypominał ojca. Ja natomiast królowałam w sukni z ciemnofioletowego jedwabiu.

Harry przerwał zaczarowany krąg.

— A co z moim małżeństwem z Celią? — zapytał. — Co zrobimy?

Ocknęłam się przerażona. Niemal zapomniałam o Celi. Nie miałam nastroju na snucie planów i rozmyślanie. Czuję się ociężała jak stajenna kocica po amorach zadziornego kocura. Harry miał jednak rację. Musieliśmy coś przedsięwziąć w kwestii Celi. Zauważyłam z przyjemnością, że chciał tę decyzję podejmować wspólnie, razem ze mną.

— Mama nie będzie więcej obwieszczać mi rzeczy dotyczących mnie i Wideacre. Ja też zacznę decydować.

— Prosiła mnie, żebym z tobą pomówiła. — Pamiętałam strach Celi przed zapędami erotycznymi mojego brata i nie zdołałam nadać głosowi całkiem poważnego tonu. Harry też wyglądał na rozbawionego, kiedy streściłam naszą rozmowę. — Jak widać, chociaż Celia chce opuścić dom i zostać panią Wideacre, nie chce zostać żoną w pełnym tego słowa znaczeniu.

Harry kiwnął głową.

— Tak jak sądziłem. Oziębłość. — Harry przesadzał, co jest typowe dla neofitów. Dziewictwo Celi nie jawiło mu się już jako rozkoszny skarb, lecz raczej jako przedmiot pogardy. — Czy ona proponuje transakcję typu wszystko za nic? — snuł nikczemne przypuszczenia.

— Ona się po prostu boi — stwierdziłam ucziwie. — I zdaje się, że ma powody do obaw.

— Powody! — krzyknął Harry. — Beatrice, przysięgam, pocałowałem ją tylko w usta i objąłem. Może i przycisnąłem... — przerwał. — No ale to nie powód, żeby... Prawda? — Zawiesił głos, przypominając sobie nasze „powody do obaw”, i uśmiechnął się. Jak na komendę wstaliśmy od stołu i stanęliśmy razem przy kominku, patrząc na rozżarzone polana. W lustrze nad kominkiem widziałam, jak na tle ciemnofioletowej sukni moja twarz pociemniała, a orzechowe oczy jeszcze bardziej upodobniły się do kocich i błyszczały zadowoleniem. Miedziane promyki igrały w upudrowanych włosach. Stałam na wyciągnięcie ramienia od Harry'ego i ta bliskość podniecała mnie.

— Chciałaby zawrzeć z tobą układ — oznajmiłam.

— Ach, tak to sobie wyobraża — odparł Harry z niedowierzaniem.

— Ona nie ucieka przed obowiązkami — przyznałam szczerze. — Wie, że Wideacre potrzebuje dziedzica, i jest przygotowana, aby go urodzić. Sądzę, że jednak w głębi serca jest kobietą oziębłą i wolałaby samotność. To spokojna dziewczyna, nieśmiała i musi cierpieć męki przebywając pod jednym dachem ze swoją rodziną. Chciałaby znaleźć się w spokojnym dworze Wideacre, nie płacąc za to więcej niż raz, wydaniem na świat syna.

— Beatrice, jak to się ma do naszego związku? — spytał Harry, a moje serce zabiło z radości, że oto nareszcie moje zdanie liczy się w Wideacre. Ode mnie zależy, czy odbędzie się ślub.

Celia stała się pionkiem na szachownicy mojego pożądanego. Mama także statystowała jedynie w mojej grze. Trzymałam w garści pana Wideacre, ziemię, władzę, bogactwo. I tak powinno być. Wzruszyłam ramionami.

— Postanowisz sam, Harry. — Udałam, że nie zamierzam podejmować decyzji. — Musisz się ożenić, żeby przejąć Wideacre w swoje władanie i zlikwidować nadzór prawników nad kapitałem. Inaczej będziemy musieli czekać, aż osiągniesz pełnoletność. Celia czy ktoś inny, cóż za różnica. Sprawy zaszły za daleko, żeby się wycofać. A żona, która nie szuka zbyt natarczywie twojego towarzystwa, ułatwi nam przebywanie razem.

Harry szybko przeniósł wzrok z płomieni na mnie, udręczony do granic.

— Uważasz, że byłem brutalny? — spytał ochryple.

Na końcu języka miałam zaprzeczenie i rozwianie jego obaw, lecz mądry instynkt podpowiedział mi co innego. Rozkosz i żal mieszały się w Harrym. Powstawała skaza, której nie rozumiałam. Na myśl o tym, że mnie skrzywdził, zaczął szybciej oddychać i oblał się rumieńcem. Podobało mi się to nawet, przyprawiało o wewnętrzny dreszcz. Ja odczuwałam zupełnie inaczej, a jednak mogłam mu dać zadowolenie.

— Tak, zraniłeś mnie.

— Sprawilem ci ból? — był spięty jak zwierzę gotowe do skoku.

— Jestem pokaleczona. Uderzałeś moją głową o ziemię i pogryzłeś mi wargi do krwi.

Oboje oddychaliśmy szybciej, ale wciąż się mu wymykałam.

— Bałaś się mnie?

Nasze spojrzenia spotkały się. Dostrzegłam w nim podobieństwo do siebie. Cóż, byliśmy bratem i siostrą i pożądanie jednakowo odbijało nam się w oczach. W tej jednej chwili oczekiwania stanowiliśmy bardziej rodzeństwo (wręcz bliźniacze) niż parę kochanków.

— Tak — odrzekłam. — Wezmę jednak na tobie odwet i też zadam ci ból.

Znalazłam klucz do Harry'ego. Posąg poruszył się. Przyciągnął mnie, kąsał, sunął ręką po mych jedwabistych plecach i ścisnął pośladki, wbijając w nie paznokcie. Otworzyłam szeroko usta. Pchnął mnie na podłogę jadalni i wziął brutalnie, jak wróg. Jedną ręką trzymał mnie za głowę, tak że byłam całkiem bezbronna, druga zaś ręka podnosiła spódnicę i halki. Walczyłam, a on zaczął wbijać się we mnie niewprawnie. Uwolniłam dłoń, ale tylko po to, by przycisnąć Harry'ego jeszcze mocniej i prowadzić w głąb swego ciała.

— Moja miłości — odezwałam się. Perwersyjnie. Dosłownie. Pompatycznie. Był przecież dziedzicem Wideacre, a ja chciałam, aby we mnie wszedł. — Moja miłości — powtórzyłam.

Po raz pierwszy od śmierci papy i okaleczenia Ralpa spałam odprężona i swobodna. Kochany Harry zabrał wszystkie koszmary i niepokoje. Mogłam odpocząć. Ani razu nie usłyszałam tej nocy we śnie trzasku pułapki na kłusowników i łamanych kości. Nie zrywałam się nagle, czekając, aż zaraz za drzwiami pokaże się beznogie widmo. Harry uwolnił mnie. Żółty chłopiec wyprowadził mnie z ciemności. Nie czułam ani bólu, ani strachu, ani tęsknoty za tym, którego kochałam i utraciłam na zawsze.

Cały bieg zdarzeń wydał mi się nagle naturalny. Aby ziemia wydawała owoce, trzeba ją spulchnić, przeorać, wykopać rowy. Ja postąpiłam podobnie i zebrałam plon. Teraz w ziemię wstąpiło nowe życie, nowy młody pan, a słoneczna przyszłość miała pokazać, że zrobiłam dobrze i że jestem bezpieczna na ziemi, do której należę.

Stałam przed toaletką i wyobrażałam sobie, jaką widzi mnie Harry. Spostrzegłam ranę w kształcie ust na lewej piersi i dotknęłam jej ciekawymi palcami. Ugryzł mnie tak mocno, a wcale nie czułam bólu. W porannym słońcu moja skóra wyglądała jak skórka brzoskwini dojrzałej do zerwania. Od stóp, białych, cudownie sklepionych, aż do miedzianych loków otaczających twarz i ogrzewających krągłe nagie plecy, stworzona zostałam do miłości. Padłam na łóżko, włosy rozsypały się na poduszce; wyciągnęłam szyję, aby dostrzec w lustrze, jak wyglądałam, gdy Harry brał mnie na trawie, na podłodze, z szeroko otwartymi oczami i rozłożonymi nogami. Patrząc tak na siebie, doszłam do przekonania, że Harry zaraz do mnie przyjdzie. Było wcześniej. Pokojówka powinna zjawić się za godzinę, a matka spała jeszcze po zażyciu środków nasennych. Harry i ja moglibyśmy sobie poleżeć tutaj razem, a po śniadaniu wymknąć się do naszej dolinki na równinach albo do lasu.

Kiedy usłyszałam kroki za drzwiami, nie poruszyłam się, a tylko zwróciłam leniwie twarz i uśmiechnęłam się na powitanie Harry'ego. I zamiast niego ujrzałam mamę. Skoczyłam jak oparzona.

— O nieba, dziecko — odezwała się mama łagodnie. — Przeżybisz się na śmierć. Co ty wyprawiasz?

Mowę mi odjęło. Po prostu gapiłam się na mamę, nic nie mówiąc.

— Dopiero się obudziłaś? — spytała.

Ziewnęłam i sięgnęłam po szlafroczek.

— Tak — odparłam. — Rozebrałam się w nocy. Było mi gorąco.



W szlafroczku poczułam się nieco lepiej, lecz wzbierała we mnie irytacja — wobec własnego głupiego zachowania i mamy tak bezceremonialnie wkraczającej do mojego pokoju.

— Jak cudownie, że znów cię widzę w zdrowiu, mamó — uśmiechnęłam się. — Jesteś pewna, że możesz już wstawać? Może lepiej wrócisz jeszcze do swojego pokoju po śniadaniu?

— Och, nie — sprzeciwiła się mama, jak gdyby w życiu nie chorowała.

Przeszła przez pokój szeleszcząc suknią i usadowiła się w najlepsze przy oknie.

— Czuję się o wiele lepiej! Wiesz, jak to ze mną jest po ataku. Natychmiast zapominam o chorobie. Ty jednak, Beatrice — tu zmrużyła oczy i spojrzała z bliska, bo usiadłam na łóżku — wyglądasz wprost kwitnąco! Spotkało cię coś przyjemnego?

Uśmiechnęłam się i wzruszyłam ramionami.

— O, właściwie nic takiego. Harry wziął mnie wczoraj na przejażdżkę po nizinach i piękna pogoda wielce mnie uradowała.

Mama kiwnęła głową.

— Powinnaś częściej wychodzić na powietrze. Gdybyśmy mieli dodatkowego stajennego, mógłby jeździć z tobą. Wątpię jednak, czy znajdziemy teraz chłopaka do stajni, skoro wszyscy pracują w polu. Kiedy Harry się ożeni, Celia będzie ci towarzyszyć. Możesz ją nauczyć jeździć konno i zabierać ze sobą na przejażdżki.

— Cudownie — odparłam i zmieniłam temat. Mama zaczęła rozmowę o ubraniach. Cieszyła się, że mogła nareszcie rozstać się z ciężkimi żałobnymi sukniami.

— Możesz sobie uszyć coś ładnego na wesele Harry'ego, ale pamiętaj, nic jaskrawego! — powiedziała. — A kiedy wyruszą w podróż poślubną, przystąpimy do przygotowań do ich powitalnego przyjęcia. To będzie jednocześnie twój pierwszy bal wprowadzający cię w dorosłość, Beatrice. Zaczнеш częściej jeździć w odwiedziny z Celią, a kiedy Haveringowie zabiorą ją do Londynu, mogłabyś także pojechać.

Stałam nieruchomo, lejąc wodę z dzbanka do miednicy.

— Oni wyjeżdżają? — spytałam głucho.

— Tak — lekko odrzekła mama. — Celia i Harry zamierzają odbyć wielką podróż poślubną. Cóż, to ostatni krzyk mody. Chcą pojechać do Francji i Włoch. Nie wspominali ci o tym? Celia będzie rysować w plenerze, a Harry odwiedzi wzorowe farmy, o których się naczytał. Mnie by nie odpowiadał taki maraton, a śmiem przypuszczać, że tobie także. Ale może im się spodoba. A my będziemy sobie wzajemnie dotrzymywać towarzystwa, moja droga. Ty chyba zajmiesz się zasiewami ozimin pod nieobecność Harry'ego, prawda?

Pochyliłam głowę nad miednicą i opryskałam twarz zimną wodą. Nie chciałam, żeby mama zobaczyła mnie teraz, w nie opanowanym grymasie bólu i strachu. Sięgnęłam po omacku po ręcznik i przyłożyłam go do oczu, gdzie zebrały się piekące gorące łzy lęku i wściekłości. Nie czułam się nieszczęśliwa; czułam się jak w szale mordowania. Chciałam bić Celię, wydrapać jej oczy, zmasakrować twarz. Chciałam, by Harry cierpiał męki piekielne i czołgał się u moich stóp błagając o łaskę. Nie mogłam po prostu znieść myśli, że oni oboje będą razem podróżować, sami, dyliżansem i nocować w hotelach, razem jadać, całować się i pieścić do woli. A ja zostanę tutaj obolała od żądz i osamotnienia, czekająca na powrót Harry'ego niczym źle widziana w domu stara panna.

Byłam wściekła, bo dopiero co ostatniej nocy uspokoiliam się wiedząc, że nikt nie pokieruje już moim życiem, że nikt nie zrobi sobie ze mnie bezwolnego przedmiotu skazanego na życie z dnia na dzień. Zyskałam pewność, że mając w ręku serce i klucz do ciała Harry'ego, zdobędę Wideacre. I oto po paru zaledwie godzinach od namiętnego aktu na podłodze mama obwieszcza mi, że właściwie spadam na pozycję młodszej córki domu.

— To pomysł Harry'ego? — spytałam, odkładając ręcznik i ubierając się, wciąż plecami do mamy.

— Wymarzyli sobie to wspólnie, śpiewając włoskie pieśni — odparła mama zadowolona z siebie. — Harry pomyślał, że może Celia chciałaby usłyszeć te pieśni śpiewane przez prawdziwych Włochów. W każdym razie zdecydowali się wyjechać nie na długo, może dwa, trzy miesiące. Wrócą do domu na Boże Narodzenie.

Jęknęłam bezgłośnie i szybko odwróciłam twarz zbielełą jak papier do lustra. Zaczęłam szcztokować włosy. Powróciła niepewność, tęsknota, ból, brak osoby, której mogłabym zaufać i powierzyć miłość. Teraz, zaznawszy szczęścia z Harrym, było mi jeszcze trudniej to znosić. Mogłabym zapewne żyć bez jego miłości. Mogłabym też żyć nie będąc pierwszą osobą w Wideacre. Pozbawiona jednak obu tych rzeczy nie wytrzymałabym. I nie wytrzymałabym, gdyby inna kobieta miała i miłość, i władzę. Jeśli Celia zostanie ukochaną żoną, nic nie stanie na przeszkodzie absolutnej dominacji mamy nade mną. Nic mnie już nie uratuje przed nudą i pustką obowiązków córki, przed wydaniem za mąż za pierwszego lepszego kandydata. Jeśli teraz stracę Harry'ego, stracę wszystko, czego pragnęłam — rozkosz i ziemię. Tak jak powiedział Ralph.

Trzeba zapobiec ich podróży. Znałam Harry'ego i wiedziałam, że jeśli będzie przebywał z Celią dwa miesiące, ona na pewno go wreszcie pokocha. Któż mu się oprze? Widziałam go, jak oswajał przerażone źrebie, jak opiekował się zranionym psem. Szczycił się swoim podejściem do słabszych i był dumny, jeśli udało mu się zdobyć zaufanie kogoś nieśmiałego. Uzna oziębłość Celi za rezultat okrutnego traktowania w domu i postawi sobie za cel pozyskanie jej przyjaźni. A kiedy pozna Celię, stwierdzi, że to najlepsza narzeczona, jakiej mógł sobie życzyć.

Pod powłoką nieśmiałości i chłodu Celia kryła czułość i serdeczność. Miała nawet poczucie humoru. Harry nauczył się wywoływać uśmiech na jej twarzy i blask brązowych oczu. Nieuniknione, że poczują się sobie bliscy i pewnej nocy po wizycie w operze czy w teatrze albo po intymnej kolacji we dwoje, po winie i zwierzeniach Celia odpowie na pocałunek Harry'ego. On dotknie jej piersi, a ona nie cofnie się. On ją obejmie, zacznie szeptać czule słówka, a ona uśmiechnie się i oplecie ramionami jego szyję. A ja? Zostanę zapomniana.

Żadna z tych budzących przerażenie myśli nie znalazła odbicia na mojej twarzy, kiedy schodziłam z mamą po schodach. Kiedy jednak później wchodziłyśmy do jadalni, znów przeżyłam szok widząc, jak serdecznie Harry wita się z mamą. Obdarzył ją uśmiechem, który był równie promienny jak ten przeznaczony dla mnie.

Wypiłam herbatę, zjadłam grzanekę, a Harry pochłaniał jak głodny wilk zimną szynkę, zimną wołowinę, świeży chleb i miód, grzanekę z masłem, a na końcu brzoskwinie. Mama też miała apetyt. Śmiała się i żartowała z Harrym. Tryskała zdrowiem. Tylko ja siedziałam w milczeniu na swoim starym miejscu z boku stołu. Znów statystka.

— Beatrice wygląda tak hoźo i szczęśliwie, że powinna moim zdaniem więcej jeździć konno. Dobrze jej to robi — zauważyła mama, gdy Harry nabierał następny kawałek mięsa. Zaczął ze smakiem od kawałka

tłuszczu. — Może dopilnowałbyś, aby odbywała codziennie przejażdżkę. — Mama uważała mnie pewnie za pieska salonowego wymagającego spacerków.

— Oczywiście — Harry zgodził się bez dyskusji.

— A więc dzisiaj rano czy po południu? — spytała mama.

Podniosłam wzrok znad talerza i oczami błagałam Harry'ego: „Teraz, teraz! Powiedz, że teraz i pojedziemy znów na niziny do naszej jamki. Zapomnę o całej zazdrości, bólu i dam ci rozkosz, jakiej jeszcze nie zaznałeś. Odechce ci się innych kobiet”.

Harry posłał mi szczery braterski uśmiech.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Beatrice, pomyślę o tym jutro. Obiecałem lordowi Haveringowi, że wybierzemy się dziś na jego tereny łowieckie, a nie ośmieliłbym się spóźnić.

Wyjął zegarek i odsunął się z krzesłem od stołu.

— Wrócę nie wcześniej niż późnym wieczorem, mamó. Jeśli zostanę zaproszony, zjem tam kolację. Już trzy dni, jak nie odwiedzałem Haveringów i powinienem się usprawiedliwić!

Pochylił się i pocałował mamę w rękę, a do mnie uśmiechnął się na pożegnanie i czmychnął czym prędzej z pokoju. Słyszałam jego kroki w hallu i trzask zamykanych drzwi. W ciszy słyszałam nawet stukot kopyt konia prowadzonego przez stajennego. Harry odjechał, jak gdyby miłość i namiętność nie miały żadnego znaczenia. Odjechał, bo był głupcem. Głupcowi ofiarowałam swe serce.

Mama spojrzała na mnie.

— Nie przejmuj się, Beatrice. Młodzieńcy zawsze zapominają o swoich rodzinach, kiedy znajdą sobie narzeczoną. Nie możesz mieć do niego pretensji, że woli towarzystwo Celi niż twoje. Uspokoimy się wszyscy, gdy skończy się ten okres wyczekiwania. Jestem pewna, że jutro Harry znajdzie czas, aby wybrać się z tobą na przejażdżkę.

Kiwnęłam głową i spróbowałam zmusić mięśnie twarzy do uśmiechu.

W tym grymasie chodziłam przez cały dzień.

Po południu mama pojechała do kogoś w odwiedziny. Była na tyle miłosierna, że nie kazała mi, widząc moje przygnębienie, sobie towarzyszyć. Gdy tylko powóz zniknął za zakrętem, wyprowadziłam konia i skierowałam się wzdłuż rzeki Fenny, nie obok starej chaty Ralpha, lecz w górę nurtu, do głębokiej zatoczki, gdzie Harry próbował czasem łowić ryby. Przywiązałam konia do krzaka i położyłam się twarzą do ziemi.

Nie płakałam ani nie szlochałam. Leżałam w milczeniu i pozwalałam, aby zalały mnie fale zazdrości i smutku. W pojęciu Harry'ego zmysłowość towarzyszyła chwilowej rozkoszy i była niezbędna tylko w chwili aktu miłosnego, a potem kryła się gdzieś w niepamięci. Dla mnie zmysłowość oznaczała sposób życia, istotę osobowości. Harry miał bogate życie zewnętrzne: gazety, magazyny, książki, przyjaciół, narzeczoną i wizyty u Haveringów. Ja, żeby uczynić moje życie pełnym, intensywnym i wartościowym, musiałam śnić o Wideacre. O Wideacre i Harrym.

A teraz miałam tylko Wideacre. Przycisnęłam policzek do wilgotnej, miękkiej leśnej gleby. Otworzyłam oczy i ujrzałam małe roślinki skręcone jak sprężynki z listkami w kształcie serduszek, przebijające się łądkami przez ciemny torf. Dalej, poniżej, błyszczącą jak cynowa misa smugą płynęła Fenny, niemal

bezglóśnie między wysokimi brzegami. Paprocie zwisały nad wodą jak rozpuszczone włosy dziewicy. Kaczeń-Kaczeńce jaśniały niczym latarenki, odbijając się w srebrzystej tafli.

Na powierzchni rzeki stykają się dwa światy: odbity świat wiatru, drzew, chmur oraz podwodny świat czystego białego piasku, kamieni żółtych jak złoto. W zakolach rzeki torfowe dno jest czarne, złowieszcze, lecz główny nurt mieni się blaskiem słońca. W wodorostach znalazły kryjówki młode pstrągi, węgorze, nieliczne łososie. Paprocie przy brzegach maskują nory ryjówek i wydr.

Leżałam w milczeniu, aż uspokoilo się moje wściekle urażone serce, i znów zaczęłam słyszeć miarowy, bezpieczny rytm serca Wideacre. Gdzieś bardzo głęboko w ziemi bije serce, którego większość ludzi nie słyszy; serce pełne dobroci i życzliwości. I teraz przemówiło do mnie. Dodało odwagi i wytrwałości. Kazało uparcie trzymać się ziemi, choć tyle grzechu i krwi już to kosztowało i jeszcze miało kosztować.

Ukazała mi się wizja okrucieństw, których stałam się kiedyś świadkiem i uczestnikiem, Twarz ojca w agonii. Krzyk Ralpa. Nawet lecąca ku ziemi sowa nazywana Mądrałą. Wideacre przemówiła do mnie, kiedy tego potrzebowałam, kiedy czułam się samotna i tęskniłam za miłością. Bicie serca Wideacre mówiło: „Nie ufaj nikomu. Liczy się tylko ziemia”. Pamiętałam też radę Ralpa (o której sam z tak fatalnym skutkiem zapomniał), żeby ustawiać się zawsze w pozycji człowieka, który jest kochany, i nigdy nie popełniać błędu ofiarowywania swojej miłości drugiej osobie.

Słuchałam sekretnego rytmu mądrego serca bardzo długo, aż opadłe liście odcisnęły mi się na policzku, a przód szarego stroju do konnej jazdy pociemniał od wilgotnej ziemi. Przeszywał mnie chłód. Hartował mnie niczym świeżo wykuty żelazny miecz. Dosiadłam konia i ruszyłam kłusem, z godnością damy trzymając się w siodle, do domu.

Dość wcześnie zjadłyśmy kolację. Nie było sensu czekać na Harry'ego. Potem w saloniku nalałam mamie herbaty, a ona opowiadała o swoich wizytach sąsiedzkich i najnowszych ploteczkach. Przytakiwałam i okazywałam pozorne zainteresowanie. Kiedy udawała się na spoczynek, dorzuciłam drew do kominka i oznajmiłam, że posiedzę jeszcze i poczytam. Pocałowała mnie na dobranoc i wyszła. Znieruchomiałam, wpatrując się w płonące kłody niczym czarodziejka z bajki.

Drzwi frontowe otworzyły się cicho. Harry bezgłośnie pokonał hall sądząc, że cały dom już śpi. Przez szparę pod drzwiami saloniku dostrzegł światło ognia i wszedł. W okamgnieniu zrozumiałam, że sprawy potoczyły się zgodnie z moimi przewidywaniami. Pił. Był niezadowolony. Chodził niespokojnie. Oczy błyszczały.

— Beatrice! — powiedział to tak jak spragniony wędrowiec prosi: „Wody!”

Uśmiechnęłam się i jak czarodziejka milczałam tajemniczo. Magia mego ciała i piękno twarzy miały go ściągnąć do moich stóp.

— Czułem, że powinniśmy dzisiaj rozdzielić się na jakiś czas — odezwał się z wahaniem, skruszony. — Musiałem niektóre sprawy przemyśleć.

Nie zdradziłam ani jednym drgnieniem twarzy, że denerwuje mnie to głupie kłamstwo. Harry rzeczywiście *myślał!* Wiedziałałam, że stracił panowanie nad sobą i bojąc się mojej zmysłowości, swojej żądy, grzechu i wszelkich konsekwencji — uciekł do oziębłej Celi, kryjąc się przed żarem sytuacji w domu. Potrafiłam sobie dość dobrze wyobrazić, co się tam działo. Celia i jej uroczę siostrzyczki rozpieszczały go i

zartowały przez całe popołudnie, a kolejne szklanki portwajnu i dobrego wina lorda Haveringa dodały Harry'emu śmiałości. Wyblągał spacer z Celią w świetle księżyca w ogrodzie. Płochliwość Celi i wymawianie się od pocałunku znów rozpały w nim ogień nie zaspokojonego pożądanja i przywiodły do moich stóp. Ale to nie była miłość. I ja też nie powinnam pozwolić sobie na miłość.

— Mam nadzieję, że nie czujesz się urażona — powiedział ostrożnie.

Podniósł wzrok i wziął moją bezwładną dłoń. Wydawało się, że całą sprawę traktuję obojętnie. Szeroko otworzyłam swoje orzechowe oczy i wpatrywałam się w ogień, wykazując grzeczne zainteresowanie słowami Harry'ego.

— Bałam się o nas jako kochanków — wyznał szczerze patrząc na mnie. Wciąż się nie odzywałam. Rosła moja pewność siebie, lecz wewnątrz pozostałam chłodna, tak jak podczas samotnych smutnych leśnych rekolekcji. Już nigdy nie miałam kochać mężczyzny, który nie kochałby mnie bardziej niż ja jego.

Harry zamilkł. Cisza przedłużała się.

— Beatrice — przemówił znów. — Nie zrobię nic...

To tylko wymówka. Wygrałam.

— Muszę się położyć — wstałam. — Obiecałam mamie, że nie zabawię tu długo. Nie spodziewaliśmy się, że tak szybko wrócisz.

— Beatrice — powtórzył patrząc na mnie.

Gdybym choć trochę rozluźniła kontrolę nad sobą i zdecydowała się dotknąć złocistych pukli na głowie Harry'ego, byłabym zgubiona. Padłabym na dywan przed kominkiem i dała się wziąć w nocy, a rano opuściłby mnie i poszedł do Celi. Musiałam wygrać tę walkę z Harrym. Gdybym utraciła jego miłość, utraciłabym także Wideacre. Mój los zależał od tego chwiejnego, czującego fałszywe skrupuły osobnika. Musiałam wygrać z jego spokojnym sumieniem i z jego ukochaną słodką narzeczoną. Musiałam pokierować jego namiętnością i upodobaniem do rozkoszy zaprawionej perwersją, jakiej mu dostarczyłam; szpicruta na udzie Harry'ego, pokąsane wargi — o, tego delikatna Celia nigdy mu nie da.

Uśmiechnęłam się, lecz stroniłam od dotykania go.

— Dobranoc, Harry. Może jutro pojedziemy razem na niziny.

Przy świetle świecy rozebrałam się powoli, jak we śnie, nie bardzo wiedząc, czy ta desperacka gra przyniesie mi poczucie bezpieczeństwa czy też utratę wszystkiego. Czy Harry klęczał teraz przy łóżku w swojej sypialni modląc się, by Bóg zachował go czystym? A może wciąż klęczał przy moim krześle w saloniku, płonąc z pożądanja? Wśliznęłam się w pościel i zdmuchnęłam świecę. W ciemności słyszałam, jak cały dom pogrąża się w ciszy. Ja leżałam nie śpiąc, przeżywając raz jeszcze scenę przed kominkiem i cierpiąc z tęsknoty za kochankiem. Czekałam na sen, a jednocześnie chciałam czuwać. Serce mi waliło, a ciało drżało z niepokoju.

Dobiegł mnie dziwny cichy dźwięk. Wstrzymałam oddech i nasłuchiwałam. Znów. Skrzypienie deski pod drzwiami. A potem — coś co pragnęłam usłyszeć najbardziej w świecie — cichutki jęk żalu. Harry przycisnął czoło do nieczułych drewnianych drzwi i klęknął na podłodze.

Nie ważył się nacisnąć klamki. Nie ważył się nawet zapukać do drzwi i sprawdzić, czy go wpuszczę. Jak zbity pies, nareszcie poznał swego pana. Klęczał milcząc, tęskniąc, z wyrzutami sumienia. Na moim progu. A ja kazałam mu tam czekać.



Odwrociłam się na bok, uśmiechając się w niemym zachwycie... i usnęłam jak dziecko.

Mama żartowała przy śniadaniu z podkrążonych oczu Harry'ego. Powiedziała, że nie wie, kogo bardziej winić — czy piękną twarz Celi, czy też wyśmienity portwajn lorda Haveringa. Harry uśmiechnął się z wysiłkiem i stwierdził z ostrożną nonszalancją:

— Poranny galop po nizinach natychmiast przywróci mnie do życia, mamó! Pojedziesz dzisiaj ze mną, Beatrice?

— Tak — odparłam z uśmiechem.

Twarc mu pojaśniała. Przy śniadaniu nie odezwałam się ani słowem. Nic nie mówiłam również wtedy, gdy mknęliśmy przez nasze pola, a zboże dojrzewało wokoło. Wjechaliśmy na niziny. Harry prowadził, jak doświadczony kochanek, do jamki wśród paproci. Zsiadł z konia i podał mi ramię.

A ja siedziałam i patrzyłam na niego spokojnie, aż zaczął tracić pewność siebie.

— Obiecałeś galop — stwierdziłam lekko.

— Byłem głupcem. Byłem szalony, Beatrice. Musisz mi wybaczyć. Zapomnij o wczorajszym dniu. Pamiętaj tylko to, co było przedwczoraj. Nie zabieraj mi rozkoszy, którą mi ofiarowałeś. Ukarz mnie w inny sposób. Bądź okrutna, lecz nie zabieraj swego cudownego ciała, wpierw nauczywszy mnie jego tajemników. Nie skazuj mnie na życie pod jednym dachem, na widywanie cię każdego dnia i jednocześnie na brak nadziei, że cię znów wezmę w ramiona! Nie skazuj mnie na śmierć za życia, Beatrice!

Powstrzymałam się z trudem od szlochu, a kiedy podniósł twarz, spostrzegłam, że usta mu drżą. Wyciągnęłam ręce i zsunęłam się z siodła w jego objęcia. Natychmiast jednak gdy stopami dotknęłam ziemi, oswobodziłam się z nich. Cofnęłam się, unikając dotyku. Błękitne oczy Harry'ego zamglily się od żądz, a moje oczy (wiedziałam to) pociemniały. Powoli rozpałał się we mnie żar. Zaczęłam tracić panowanie nad sobą i nad sytuacją. Wściekłość na Harry'ego i równoczesne pragnienie, by znaleźć się pod nim, stapały się w jedną namiętność; miłość mieszała się z nienawiścią. Z całej siły uderzyłam go w prawy policzek, a potem na odlew, w lewy.

Instynktownie odskoczył i stracił równowagę. Niemy gniew pchał mnie do przodu, za nim. Najmocniej jak umiałam kopnęłam go w żebra. Jęcząc z rozkoszy, zgiął się wpół i pocałował czubek mego buta. Ściągnął bryczesy, ja zdarłam z siebie suknię i rzuciłam się na niego jak żbik. Dosiadłam go okrakiem, niczym chłopak stajenny ujeżdżający ogiera. Krzyczeliśmy. Pięściami w rękawiczkach waliłam go po piersiach, po szyi, po twarzy, aż szczyt rozkoszy powalił mnie na ziemię. Leżeliśmy pod gołym niebem długie godziny, nieruchomo jak zwłoki. Wygrałam.

## 7

Następnego dnia wybrałam się z wizytą do Celi. Mama postanowiła mi towarzyszyć. Zamknęły się w saloniku z lady Havering, herbatą i ciasteczkami i oglądały wzory sukien ślubnych. Celia i ja mogłyśmy swobodnie spacerować w ogrodzie.

Havering Hall to większa rezydencja niż Wideacre, zbudowana w całkiem innym stylu i skali, na pokaz. Wideacre zawsze była przede wszystkim dworkiem, rozbudowywanym i przebudowywanym, lecz przede

wszystkim po prostu przytulnym domem. Dwór Haveringów przebudowano w ubiegłym stuleciu w stylu baro-barokowym (wówczas bardzo popularnym), dodając mnóstwo kamiennych wieńców, posągów ustawionych w niszach i kamiennych wstążek nad oknami. Może się to podobać, jeśli ktoś lubi ten styl. Ja uważam go za przeładowany i w złym guście. Wolę zwyczajną sylwetkę naszego domu z prosto, bezpretensjonalnie osadzonymi oknami, ścianami barwy piasku, bez fantazyjnych filarów blokujących dostęp światła słonecznego do frontowych pokoi.

W tym samym czasie założono ogrody, teraz jeszcze bardziej zaniedbane niż sam dom. Ścieżki planowano tu z liniałem i kompasem w rękę. Linie proste sąsiadujące z kwadratowymi i prostokątnymi rabatami prowadziły niczym nudne pionki po zwirowo-trawiastej szachownicy do ozdobnego kwadratowego stawu pośrodku ogrodu, gdzie miały pływać karpie wśród kwitnących lilii wodnych i tryskających fontann.

Niestety staw wysechł, a właściwie wyciekł przez jakąś dziurę, a nikt nie poszedł po rozum do głowy, by tę dziurę znaleźć i załatać. Fontanny nigdy nie działały prawidłowo z powodu niskiego ciśnienia wody, a kiedy popsuta się pompa, przestały działać w ogóle. Karpie przyniosły wiele pożytku czaplom, lecz nikomu więcej.

Ozdobne rabaty kwiatowe być może zachowały swe rygorystycznie wyznaczone kształty, a pośrodku każdej może i rósł różany krąg, ale pniące się chwasty nie pozwalały tego sprawdzić; były to znajome kwiaty polne mojego dzieciństwa: wierzbowki, driakwie, naparstnice. W tym sztywno zaprojektowanym ogrodzie znamionowały one koniec świata. Panie Havering (Celia, jej mama i cztery siostry przyrodnie) nie wiedziały, co z tym fantem zrobić; spacerowały tylko po ogrodzie mówiąc: „Och! Ach!” na widok mszyc, pijawek i odpadających krawężników rabat. Tydzień solidnej pracy dwóch rozsądnych ogrodników i proces rozpadu zostałyby powstrzymane. Panie Havering wołały jednakże znosić popadanie ogrodu w ruinę, a także ze smutkiem akceptować upadek całej farmy.

— To wstyd — zgadzała się Celia. — Ale dom jest w jeszcze gorszym stanie. Ponuro, wszędzie zakurzone pokrowce na meblach i porozstawiane miednice na wypadek przeciekania dachu podczas deszczu. A w zimie dotkliwy chłód.

Kiwnęłam głową. Mogłam współczuć położeniu Celi jako pasierbicy z poprzedniego małżeństwa, która przybyła do domu przytłaczająco olbrzymiego i szalenie niewygodnego. Dla Celi jednakże nasze ziemie i stan naszej posiadłości nie był godzien pozazdrosczenia sam przez się; widziała tam po prostu szansę ucieczki od niewygód i poniżeń spotykających ją we własnym domu. Dobry zarządca mógłby wiele zmienić na lepsze w majątku Haveringów. Harry i ja oczekiwaliśmy niezłego dochodu z ziem wchodzących w dożywocie Celi. W zasadzie dysponowaliśmy równie żyzną ziemią, a słońce wszędzie świeci tak samo. Dlaczegoż więc było w Wideacre miałyby osiągać wagę dwukrotnie wyższą niż zwierzęta z hodowli Haveringów, czy też pola Wideacre przynosić dwukrotnie wyższe plony? Oczywiście jaki pan taki kram; Wideacre zawsze miała pana dbającego o ziemię, który nie wydawał więcej, niż zarabiał.

Wideacre miała może niewyszukany, niemodny dwór i skromny ogród różany pasujący raczej do chaty niż do dworu. Gdy ziemia daje dobre plony, pieniądze muszą wrócić do ziemi. Idą na naprawę budynków, ogrodzenia i bram, na dokupienie ziemi, aby część pól mogła odpocząć między kolejnymi zasiewami, na wywożenie mierzwy ze stajni na pola i użyźnianie ich. Lord Havering w ogóle nie dbał o swoje ziemie,

traktując je tylko jako źródło pieniędzy na hazard. Żona i córki mogłyby żyć w rozlatującej się stodole, byle lordowi starczyło pieniędzy na grę u White'a czy Brooksa w Londynie.

— Będziesz zadowolona z przeniesienia się do Wideacre — zapewniałam Celię życzliwie.

— Na pewno — odparła. — Zwłaszcza w twojej obecności, droga Beatrice. I twojej mamy oczywiście.

— Jestem zatem zdumiona, że wybieracie się w podróż poślubną — zagaiłam ostrożnie. — To był twój pomysł?

— Tak — stwierdziła żałośnie. — Mój. Och, Beatrice! — Rzuciła pełne winy spojrzenie w stronę domu, jak gdyby w każdej chwili mogły pojawić się i nadstawić uszu jej cztery przyrodnie siostry albo jak gdyby w oknie stała lady Havering.

Nagle poprowadziła nas do zarośniętej altany. Usiadłam przy niej i przytuliłam siostrzanym ruchem.

— Wpadłam na ten pomysł, kiedy Harry wydawał mi się taki czuły i delikatny — powiedziała. — Myślałam, że moglibyśmy pojechać do Paryża i Rzymu, chodzić na cudowne koncerty, zwiedzać i... — Głos jej się załamał. — Teraz jednak kiedy myślę o małżeństwie i rzeczach, które trzeba robić, wołałabym, żeby moja propozycja nigdy nie została wypowiedziana! Pomyśl tylko, będę sama tyle tygodni! — Ja w jej sytuacji aż drżałabym z rozkoszy: tyle czasu sama z Harrym! Zachowałam jednak kamienną twarz i zatroskałam się jak siostra. — Ach, gdyby twoja mama mogła z nami pojechać — rozmarzyła się Celia. — Albo... albo... ty, Beatrice!

Byłam szczerze zdumiona.

— Ja? — Przecież myślałam tylko o powstrzymaniu ich od podróży, a tu wystąpił całkiem nowy wątek.

— Tak — odrzekła szybko. — Mogłabyś pojechać z nami i towarzyszyć mi, kiedy Harry będzie oglądał nowoczesne farmy i chodził na wykłady; a kiedy ja będę malować, ty dotrzymasz towarzystwa Harry'emu w Rzymie.

Od tego pomysłu aż przyjemnie zakręciło mi się w głowie.

— Och, Beatrice, powiedz, że się zgadzasz! To przecież nic dziwnego. W zeszłym roku lady Alverstoke zabrała w podróż poślubną swoją siostrę, a Sarah Vere postąpiła tak samo. Beatrice, zrobisz mi zaszczyt jadąc z nami. To dla mnie bardzo ważna sprawa, a i Harry z radością przystanie na ten pomysł. Razem będziemy się świetnie bawić.

— Z pewnością — odezwałam się powoli.

Przed oczami wyobraźni przemknął mi obraz Celi idącej ze swoją pokojówką malować lub składać wizyty, podczas gdy ja z Harrym wygrzewamy się na słońcu. Wieczorem Celia podąża na koncert, a Harry i ja jemy razem kolacyjkę, a potem w cichym pokoiku nad restauracją odpoczywamy sobie przy butelce szampana. Celia przymierza paryskie kreacje albo pisze listy do mamy, a my zajmujemy się sobą. Codziennie jeździmy konno w pięknym obcym krajobrazie, znajdujemy sobie kryjówki, obejmujemy się... Ach!

— Obiecuj, że pojedziesz! — błagała Celia rozpaczliwie. — Znów proszę cię o przysługę, wiem, ale błagam, obiecuj!

W siostrzanym geście uściśnęłam jej niemiłosiernie drżące palce.

— Obiecuję, że pojedę — zapewniłam. — Dla ciebie, droga Celio, gotowa jestem to uczynić. Pojadę.

Uchwyciła się mej ręki jak ostatniej deski ratunku. Pozwoliłam jej przyłgnąć do siebie. Ta adoracja mojej osoby mogła być nudna, lecz dawała mi panowanie nad Celią, a przez to nad Harrym. Siedziałyśmy trzymając się za ręce, kiedy nadbiegł jej przyrodni brat George.

— Dzień dobry, panno Lacey — czternastolatek zarumienił się ze wstydu. — Mama kazała was znaleźć i powiedzieć, że lady Lacey szykuje się do odjazdu.

Celia pospieszyła przez zachwaszczoną ścieżkę do domu, a George z wyszukaną uprzejmością podał mi ramię.

— Rozmawiają o buntach głodowych — spróbował nawiązać rozmowę z uroczą panną Beatrice, znaną w całym hrabstwie.

— Ach, tak — zainteresowałam się grzecznie. — Gdzie wybuchły bunty?

— Mama mówiła, że w Portsmouth — nie bardzo wiedział. — Tłum zaatakował dwie piekarnie twierdząc, że chleb upieczono z fałszowanej mąki. Motłochowi przewodził beznogi Cygan na koniu. Zadziwiająca!

— Zadziwiająca — powtórzyłam powoli, zdjęta dreszczem niepokoju. Chyba się przesłyszałam.

— Cudaczny widok musiał być. Motłoch, człowiek na koniu — George mówił z młodzieńczą pogardą w głosie. — Następnym razem pojawi się dwukółka.

— A kiedy to było? — zmroziło mnie przecucie czegoś strasznego.

— Nie wiem. Sądzę, że parę tygodni temu. Pewnie już wszystkich wyłapali. Panno Lacey, daję słowo, naprawdę zatańczy pani na weselu Celi?

Odpowiedziałam uśmiechem na nieklamany zachwyt George'a.

— Nie, George — odpowiedziałam uprzejmie. — Jeszcze nie skończy się moja żałoba. Ale kiedy już się skończy, na pierwszej zabawie zatańczę z tobą.

Zaczerwienił się po uszy i milcząc, wstrzymując oddech, odprowadził mnie po schodach. Mama i lady Havering już nie rozmawiały o buntach w Portsmouth, kiedy weszliśmy do salonu, nie miałam więc sposobności, by zapytać o szczegóły zajść. Ale w pamięci pozostał ponury ślad wiadomości. Ludzie na wsi mówią, że takie rzeczy czuje się tak, jak gdyby ktoś przechodził przez własny grób. Nie chciałam słuchać o rozgniewanych ludziach na koniach, o beznogim człowieku prowadzącym motłoch. Nie umiałam jednak powiedzieć dlaczego.

W każdym razie najważniejszym teraz dla mnie problemem stało się wykorzystanie od Boga danej szansy przyłączenia się do podróży poślubnej Celi i mojego brata. Jakiś instynkt przezorności mówił mi, żeby odłożyć rozmowę o zaproszeniu mnie przez Celię do pory herbaty, kiedy to zostaniemy we własnym gronie: mama, Harry i ja. Chciałam zdobyć pewność, że Harry nie odmówi mi jako kochanek tego, do czego zostanie zmuszony jako brat.

Podkreśliłam, że inicjatywa należała do Celi i że nie chciałam jej udzielić żadnej odpowiedzi bez zapytania o zgodę mamy. Obserwowałam uważnie twarz Harry'ego i zauważyłam, że z pewną dozą przyjemności zareagował na tę nowinę, lecz potem na jego obliczu pojawiły się wątpliwości. Górę wzięło jego „czyste sumienie”. Zdałam sobie sprawę, z zazdrością i z bólem, że z niecierpliwością oczekiwał przebywania sam na sam z Celią, z dala od jej apodyktycznej matki i z dala od jego kochającej, śmiesznej zaborczej mamusi.

— To dla ciebie cudowna okazja — stwierdziła mama, spoglądając na swojego chłopczyka, czy mu się to spodoba. — To takie typowe dla Celi, że myśli o sprawianiu innym przyjemności. Ale może Harry wolałby, żebyś została tu na miejscu, kiedy jego nie będzie? Papa zawsze mówił, że na farmie jesienią jest dużo pracy.

Zwróciła się do Harry'ego, bo przecież po takim przygotowaniu gruntu Harry mógł żądać wszystkiego, a my miałyśmy te żądania spełniać. Hamowałam swą niecierpliwość.

— Celia w zasadzie błagała, żebym pojechała — zdradziłam z uśmiechem. Posłałam ponad orzechowym stołem spojrzenie przeznaczone tylko dla Harry'ego. — Ona strasznie się boi, że zostanie sama w obcym mieście, podczas gdy Harry będzie odbywał poszukiwania nowoczesnych farmerów. — Wytrzymałam jego wzrok i wiedziałam, że zrozumiał tajemny sens moich słów. — Ona ma inne zainteresowania niż ty i ja.

Pojął, co mam na myśli. Mama spojrzała na mnie zdziwiona.

— Celia ma wiele lat przed sobą, aby poznać zainteresowania Harry'ego — odezwała się cicho. — Jestem pewna, że uczyni wszystko, aby dać mu szczęście i zadowolenie.

— O, tak — zgodziłam się gorliwie. — Z pewnością wszystkim nam da szczęście. Jest taka słodka, dobra, dziewczęca. Będzie wspaniałą żoną.

Na myśl o „wspaniałej żonie” na resztę życia czoło Harry'ego nachmurzyło się. Igrałam sobie z przekonań mamy na temat niewinności; podeszłam do Harry'ego, niby to przymilając się jak siostra do braciszka, jak sądziła mama. On i ja znaliśmy prawdę o tej sytuacji. Gdy się tylko zbliżyłam, gdy go dotknęłam, serce zabiło mu szybciej, czując zaś woń mojej ciepłej wyperfumowanej skóry, przyspieszył oddech. Stając plecami do mamy, przyłożyłam policzek do twarzy Harry'ego. Poczułam gorącą skórę. Patrząc na moje piersi w wycięciu sukni. Moja zmysłowość wzięła górę nad niezdecydowaniem Harry'ego. Z Harrym nie należało dyskutować. Należało tylko przypomnieć mu, jak smakuje rozkosz.

— Ależ weź mnie ze sobą, Harry — przymilałam się cichutko. — Obiecuję, że będę się dobrze zachowywać. — Niewidziana przez mamę, dmuchnęłam gorącym oddechem koło jego ucha. Już nie mógł tego znieść i odepchnął mnie lekko. Widziałam, jak drgają jego z trudem opanowywane mięśnie na twarzy.

— Oczywiście, Beatrice — odezwał się uprzejmie. — Jeśli Celia sobie tego życzy, musi to być świetny pomysł. Napiszę do niej liścik, a potem dołączę do ciebie i mamy w saloniku na herbatę.

Wstał szybko i wyszedł z pokoju, żeby ochłonąć. Zostałam z mamą sama. Obierała brzoskwinię. Nie patrzyła na mnie. Wróciłam na moje krzesło i srebrnymi nożycami uciąłam parę winogron z dużej kiści.

— Czy jesteś pewna, że powinnaś pojechać z nimi? — spytała mama obojętnym tonem.

Wpatrywała się w swoje wypielegnowane dłonie.

— A czemu nie? — odparłam od niechcienia, w środku jednak zachowując czujność.

Nie odpowiedziała od razu, szukając jakiegoś argumentu.

— Boisz się zostać sama? Nie wyjeżdżamy na długo.

— Rzeczywiście uważam, że łatwiej zniosłabym ich wyjazd, gdybyś ty została — zgodziła się. — Ale śmiało mogę stwierdzić, że dam sobie radę sama przez sześć czy osiem tygodni. A Wideacre... — zawiesiła głos, lecz nie domyśliłam się dalszego ciągu zdania. — Może powinni mieć trochę czasu dla siebie... — zaczęła ostrożnie.



— A niby na co? — stwierdziłam chłodno, ubawiona jej wiarą w moją dziewiczą niewinność. Bawiły mnie też jej przekonania na temat własnego małżeństwa bez zalotów, bez miesiąca miodowego, ale z intercyzą, co skończyło się brakiem uczuć i tylko wzajemną niechęcią.

— Może tobie i Harry'emu dobrze by zrobiło rozstanie na jakiś czas... — znów zaczęła z jeszcze większym wahaniem.

— Mamo — odezwałam się wyzywająco. — Właściwie o co ci chodzi?

Poderwała głowę, słysząc takie zdecydowanie w moim głosie. Zmatowiałe oczy odbijały strach.

— O nic — niemal szeptała. — O nic, moje dziecko. O nic. Po prostu czasem bardzo się o ciebie boję, o twoją porywczosć w uczuciach. Uwielbiałaś ojca, a teraz całe to nieprawdopodobnie silne uczucie przeniosłaś na Harry'ego. Cały czas snujesz się po Wideacre jak jakiś duch. Jestem przerażona i twoją obsesją na tle Wideacre, i tą na tle Harry'ego. Chcę, żebyś miała normalne dzieciństwo.

Zawahałam się.

— Jestem normalną dziewczynką, mamo — orzekłam delikatnie. — Czasy się zmieniły. Ty wychowywałaś się w mieście, a moje dzieciństwo upłynęło na wsi. Nie różnię się jednak niczym od innych dziewcząt w moim wieku.

Jej niepokój pozostał, lecz nie miała (jak zawsze) odwagi dopuścić do siebie prawdy.

— Chyba jednak nie... — odpowiedziała. — Nie umiem ocenić. Nie mamy zbyt wielu kontaktów z młodymi ludźmi. Papa nie miał czasu na życie towarzyskie... trudno mi ocenić.

— Nie martw się, mamo — uspokajałam ciepłym zatroskanym głosem. — Ja wcale nie mam obsesji Wideacre. Zobacz, wyjeżdżam w środku jesieni, najcudowniejszej pory roku. Nie żywię zaborczych uczuć względem Harry'ego, bo przecież cieszę się z jego małżeństwa i zaprzyjaźniłam się z Celią. Nie ma powodów do obaw.

Mamie brakowało inteligencji i instynktu, żeby oddzielić prawdę od kłamstwa. W każdym razie nawet gdyby zrozumiała istotę mojego związku z Harrym, nie dopuściłaby do siebie konsekwencji tego faktu. Połknęła ostatni plasterek brzoskwini i uśmiechnęła się przepraszająco.

— Jestem niemądra, że tak się zamartwiam — stwierdziła. — Czuję jednak na sobie ciężar odpowiedzialności za ciebie i Harry'ego. Kiedy zabrakło papy, tylko ja mogę wami pokierować. Chciałabym, żeby nasz dom naprawdę należał do szczęśliwych.

— No i tak jest — odparłam zdecydowanie. — A kiedy Celia zamieszka z nami, nasz dom będzie jeszcze szczęśliwszy.

Mama podniosła się i podeszłyśmy razem do drzwi. Otworzyłam je dla niej grzecznie, a ona pocałowała mnie delikatnie w policzek.

— Niech Bóg cię błogosławi, moja droga — odezwała się czule i wiedziałam, że obwinia się o brak serdeczności w traktowaniu mnie i podejrzenia, których nabrała, widząc mnie obejmującą brata za szyję.

— Dziękuję, mamo — nie udawałam wdzięczności. Byłam szczerze poruszona jej staraniami, by wywiązać się należycie z obowiązków macierzyńskich i okazać mi miłość. Zraniła mnie. Wołała Harry'ego, odpychała mnie, lecz próbowała naprawdę w jednakowym stopniu troszczyć się o nas oboje.

— Każę wnieść herbatę — oznajmiła i wyszła z pokoju.

Zostałam sama przy stole, ogarnięta sztormem uczuć. Gdybyż wszystko wyglądało tak, jak widziała to mama! Gdyby Harry'ego i mnie łączył czysto partnerski układ, jak dwoje współpracowników. Gdyby żenił się z prawdziwej miłości i gdyby na mnie czekał w przyszłości kochający mąż w nowym domu... Życie byłoby łatwe i bezgrzeszne...

Nagle otwarły się drzwi i wkroczył Harry z na wpół napisanym listem do Celi w ręce.

— Beatrice — odezwał się półgłosem.

Spojrzeliliśmy na swoje odbicia w wypolerowanym blacie stołu. Miał twarz anioła, a świetlne refleksy dodawały jego wyrazistym rysom jakiejś jasności. Moją twarz, bladą, widmową, okalały upudrowane, białe spięte włosy. Wyglądałam iście królewsko. W wielkich oczach zagościł smutek, kąciki ust smutno opadły. Odbicie pokazywało prawdę: słaby młodzieniec i dumna, namiętna młoda kobieta. W tej chwili mogliśmy jeszcze powstrzymać bieg wydarzeń, tak lekkomyślnie przez nas zapoczątkowany. Czułam spokój, otrzymawszy błogosławieństwo matki, słysząc jej pokorną prośbę o odpowiednie zachowanie w świecie, gdzie grzech czyha w każdym zakamarku domu, postrzegany intuicją i rozumem, groźny i tajemniczy. Widziałam zmagania matki, by znaleźć odwagę i stanąć twarzą w twarz z prawdą; widziałam jej próby, by mnie pokochać. Pojęłam, że tak też można żyć; wyrzec się przyjemności, nie szukać rozkoszy za wszelką cenę, odrzucać pokusy, jeśli koszt moralny jest zbyt wysoki, dobroć stawiać ponad wszelkie cele.

Krótko trwały te rozważania.

— Przyjdę dziś w nocy do twojego pokoju — zaproponował Harry. Przerwał i zerknął z ciekawością na moją twarz. — Czy chcesz?

Zawahałam się. Już miałam na ustach odmowę. Trudno odmówić po raz pierwszy, ale zostawilibyśmy wreszcie za sobą dwa dni panowania zła nad instynktami i zaczęlibyśmy wyzwać się z sieci żądz. Wzrok mój padł jednak na list do Celi. Zdołałam odczytać pierwsze słowa nakreślone chłopięcym charakterem pisma. „Mój dobry aniele”. Nazywał ją swoim dobrym aniołem, płonął z pożądania do własnej siostry. A ona przyjdzie do naszego domu, ja zaś zostanę poślubiona komuś obcemu i wypędzona.

Nie tylko Harry, lecz także Celia, mama i ja staliśmy się niewolnikami ról, które graliśmy. Jeszcze sekunda mojego wahania, a Celia zdobędzie Harry'ego i Wideacre na zawsze, i to nie kiwnąwszy palcem. Zabierze mi Wideacre jako hołd złożony swojej dobroci i urokowi. Pozostawało mi snucie planów, intrygowanie i zabieganie o to, co mi się należy. Ona była dobrym aniołem, ja natomiast w tej bitwie o prawo do własności zmuszona zostałam do włożenia maski Lucyfera.

Wzruszyłam ramionami. Namiętność do Wideacre przywiodła mnie bardzo daleko w tej grze. Trzeba iść jeszcze dalej. W każdym razie nie leżało w mojej naturze odmawianie właśnie teraz, gdy Harry stał obok z listem do mojej rywalki w dłoni i z pożądaniem w oczach.

Idąc do drzwi, otarłam się lekko o niego.

— O północy — powiedziałam. — Przyjdź do mojego pokoju.

Usłyszałam westchnienie, prawie pomruk, kiedy poczuł dotyk moich włosów na policzku. Podążył za mną jak posłuszny uczeń do jasno oświetlonego saloniku, gdzie czekał na nas wesoły ogień na kominku i kochająca, darząca jednakim uśmiechem oboje dzieci mama.

Tej nocy leżałam w ramionach Harry'ego i pozwalałam się kochać, jak gdyby zdarzenia poranka nigdy nie nastąpiły. Moja żądza i namiętność podniecały go i nie dawały mu zasnąć. Kochaliśmy się, potem drzemka, przebudzenie i znów miłość. Poczłapał do swego chłodnego pokoju dopiero przy wtórze pierwszych ptaków ćwierkających w ogrodzie i brzęku baniek z mlekiem oraz wiader z wodą i rozpalania ognia w kuchni.

Zostałam sama w wąskim łóżku, ale nie usnęłam. Spiętrzyłam poduszki, oparłam się o nie plecami i patrzyłam na ogród. Byłam nasycona, wręcz wyczerpana, bo przez całą noc całowaliśmy się, obejmowali i kochali. Nie czułam jednak głębokiego spokoju, jak po paru minutach spędzonych z Ralphem. Harry rozpałał we mnie żądzę, dawał długotrwałą rozkosz, lecz nie dawał uspokojenia. Zawsze na dnie świadomości zachowywałam czujność. Przy Ralphie, synu Cyganki, pozwalałam się ponieść zmysłom. Ale Harry miał ziemię. Przy nim nigdy nie zasnęłabym spokojnie.

Wydawało się, że zgodnie z planem płynę do bezpiecznego portu. Mieliśmy przed sobą wesele. I panna młoda, i pan młody liczyli na mnie jako na swego największego przyjaciela i sprzymierzeńca. Jeśli oboje będą mnie traktować jako osobę zaufaną i posłańca, utrzymam stały dystans między nimi. Jedyne niebezpieczeństwo na przyszłość widziałam w spółdzeniu przez Harry'ego syna, dziedzica. Mogłam znieść podział majątku z Harrym, nie wytrzymałabym jednak widoku dzieciaka Celi dorastającego na mojej ziemi. Na razie Harry przekazywał mi powoli władzę nad ziemią i poczułam się współwłaścicielem, jeśli jednak urodzi mu się syn, zacznie zabezpieczać jego przyszłość, a tego nie zniosę.

To jednak nie wydawało się prawdopodobne. Celia drżała i bladła na samą myśl o koszmarnych obowiązkach małżeńskich i nie wyglądała na kobietę rwącą się do rodzenia dzieci. Nie mogłam sobie wyobrazić, że uprawiałaby miłość częściej, niż wymagałyby tego względy formalne. Nie mogłam też sobie wyobrazić, że łatwo i naturalnie, jak wiejska dziewczucha, poczęłaby potomka.

A teraz byłam zazdrosna o Celię. Właściwie nie powinnam w ogóle zwracać na nią uwagi, kiedy szła przede mną do salonu, do jadalni, a ja zgodnie ze zwyczajem podążałam z tyłu, za nią i za mamą. Nie powinnam na nią zważać, ponieważ wiedziałam — i każdy to wiedział — kto rządzi w Wideacre. W takim małym hrabstwie jak nasze wszyscy wiedzą o wszystkim. Wszyscy nasi pracownicy mnie uważali za osobę najważniejszą w całej posiadłości, a wszyscy dzierżawcy ze mną uzgadniali najpierw wszelkie sprawy. Na wiosnę Harry spędzał dużo czasu w dworze Haveringów, a wtedy ja kazałam naprawiać płoty, przebudować część chat. On nawet tego nie zauważył, ale całe hrabstwo wiedziało, że ja tu rządzę.

Wkrótce wszyscy powinni się przekonać, że nie zamierzam przekazać kontroli nad domem pannie młodej. Ja trzymałam kasę w Wideacre; kucharz, lokaj czy koniuszy ze mną rozliczali się co miesiąc. Nie było żadnego wydatku w domu czy w stajni, którego by nie uzgodniono z panną Beatrice. Gdyby Celia próbowała urządzić proszony obiad bez mojej wiedzy, kucharz przyklasnąłby temu pomysłowi, lecz nie podjąłby na własną rękę przygotowań. Z piwnicy nie przyniesiono by wina, a rzeźnik nie ubiłby barana bez mojego wyraźnego polecenia. Celia powinna się zorientować, że jej rola w prowadzeniu domu będzie bardzo ograniczona.

Z moim błogosławieństwem jednakże mogła Celia przejąć nudne i czasochłonne obowiązki towarzyskie — wizyty i przyjęcia. Dotychczas żadne z pilnych zajęć gospodarskich nie było w stanie mnie wymówić od towarzyszenia mamie (przynajmniej raz w tygodniu) w odwiedzinach. My za to „otwierałyśmy dom” co środę

po południu. Były to sztywne godziny, kiedy ubrana zależnie od pory roku w jedwabie lub aksamity siedziałam przy dzbanku z herbatą i nalewalam ją do filiżanek, uśmiechając się, gawędząc o pogodzie, o nowym przedstawieniu w Chichester czy o kazaniu proboszcza i czekającym nas ślubie; wszystkie te godziny uważałam za stracone.

W każdą środę już od rana miałam nastrój zepsutej wizji nadciągającego popołudnia i czułam się jak chora na malarię.

— Usiądź, Beatrice, jesteś taka niespokojna — mawiała mama, kiedy ostatnia z odwiedzających nas pań zniknęła za zakrętem podjazdu, kiwając głową w czepku.

— Cała zeszywniałam już od siedzenia. Cała jestem obolała od siedzenia — odpowiadałam wtedy ze złością. Mama wzdychała i spoglądała zirytowana, nie mogąc nic zrozumieć. A ja zarzucałam szal i kroczyłam w stronę lasu, a minawszy pierwsze drzewa, unosiłam spódnice i puszczałam się pędem ścieżynkami, aż znów rumieńce występowały mi na policzki, a z nóg znikał balast ołowiu i płuca napełniały się świeżym powietrzem. A potem z czepkiem w dłoni biegłam do domu, patrząc na koronkę splątanych gałęzi nad głową, z uszami pełnymi śpiewu ptaków, nie pamiętając prawie o babskich salonowych pogaduszkach.

Niechże Celia przejmie ode mnie udział w środowych popołudniach. Jeszcze ją za to pobłogosławię. I dodam popołudnia niedzielne. W niedziele po uroczystym śniadaniu i sutym obiedzie Harry zwykł iść do biblioteki, by czytać poważne książki, a właściwie — kłaść nogi na stole i oddawać się drzemce. W tym samym czasie ja siedziałam jak na rozpalonych węglach w saloniku i czytałam mamie fragmenty ze zbioru kazań. Teraz ta lektura przejdzie na Celię. Jej to o wiele lepiej pasuje.

Nie miałam nic przeciwko życiu towarzyskiemu w naszym hrabstwie tylko w jednym przypadku: zaimprovizowanych spotkań, kiedy zebrało się sporo młodzieży i nagle ktoś związał dywany, a ktoś inny błagał ciotkę lub płacziwą matkę o pozwolenie na tańce. Lubiłam takie spotkania w Chichester, kiedy uporaliśmy się w Wideacre z owcami, a drogi stawały się przejezdne. Lubiłam polowania w męskim towarzystwie i zimowe tańce poobiednie. Poza tymi okazjami — dla czystej przyjemności płaśnięcia nieważne z kim, byle zawirować po parkiecie, mogłam się świetnie obyć bez życia towarzyskiego. Byłam w tym podobna do ojca. Dom uważałam za swój świat, a spokojna uroczą Celia mogła przejąć obowiązki reprezentowania Wideacre na wszelkich herbatkach, po wsze czasy.

Powinam się w zasadzie niepokoić rozgłosem, jakiego dodawał Celi zblizający się ślub, widziałam jednak (to nie próżność, to fakt), że jestem o wiele ładniejsza. Celia miała swój urok, brązowe oczy łagodne jak łania i mleczną skórę, lecz w zestawieniu ze mną po prostu zniknęła. Tego lata było ode mnie piękno i zmysłowość. Idąc ulicą w Chichester czułam na sobie zaciekawiony, pełen uznania wzrok — kobiet i mężczyzn. Podobał im się mój swobodny szybki chód, błyszczące, falujące miedziane włosy oraz jasna twarz i naturalny śmiech.

Gdybym żyła tak, jak sobie życzyła mama, powinam się obnosić niczym dumny paw wśród innych ptaków. Powinam myśleć wciąż o swoim wyglądzie i o tym, w jakich kolorach jest mi do twarzy. Ja wybrałam jednak inne życie. Mniej mnie obchodziło to, czy mam błyszczące oczy i jasną skórę, niż to czy uda mi się równo ustawić żniwiarzy. Błogosławiłam swoje oczy nie tyle za ich cudowną zieloną barwę, lecz za zdecydowany wyraz; jednym spojrzeniem potrafiłam pogonić leniwego oracza.

Byłabym chyba świętą, gdybym oczywiście nie dostrzegą w Celi rywalki. Byłabym też aniołem nie czekając tego dnia, gdy stanę przy jej boku jako druhna i przyćmię ją.

Powinam dobrze wyglądać w szarym jedwabiu, który wybrała Celia. Włosy miałam upiąć wysoko, oprócz jednego niesfornego loczka opuszczającego się aż na nagie ramię. Upudrowana białą fryzurą podkreślałaby zieleń moich oczu i żywe rumieńce. Pedantyczna krawcowa sprowadzona z Londynu do Havering Hall do ostatnich przygotowań aż jęknęła z zachwytu, kiedy wyszłam z garderoby Celi i stanęłam w swojej sukni przed lustrem.

— Panno Lacey, będzie tu pani najpiękniejszą damą — stwierdziła.

Tremo w sypialni Celi odbijało całą moją postać. Suknia z lejącego jedwabiu mieniła się w rytm moich ruchów, a zarazem zachowywała matową gładź, niczym cynowa misa. Nie można było wprost oderwać ode mnie wzroku i nie chciało dotknąć tej kreacji. Suknia przylegała wspaniale do figury czyniąc wrażenie, że jestem pod nią naga. Droga tkanina zdawała się wołać przy każdym moim geście: „Patrzcie! Patrzcie! Patrzcie!” Wyglądałam przepięknie. I cieszyłam się z tego.

Szary gorszek wyszywany drobnymi perełkami ściśnięty został tak mocno, że z trudem oddychałam. Pod jego naporem piersi podniosły się niczym dwa cudowne pagórki tuż pod linię szyi. Jedwabna spódnica wierzchnia rozchyłała się, ukazując wewnętrzną warstwę sukni, nie jak zwykle pikowaną i grubą, lecz z cieńszej satyny przyjemnie ocierającej się o nogi, kiedy chodziłam.

Uśmiech samozadowolenia zniknął mi z twarzy, kiedy do garderoby weszła Celia i stanęła obok mnie przed zwierciadłem. W sukni ślubnej z białego jedwabiu, wyszywanej srebrną nicią, wyglądała jak księżniczka z bajki. Żaden mężczyzna nie mógł nie spojrzeć na mnie i nie poczuć pożądania. Ale żaden mężczyzna i żadna kobieta nie mogli nie spojrzeć na Celię i jej nie pokochać. Jej talię, równie wiotką jak moja, podkreślał szpic gorszeczki, szczupłe zaś plecy wydawały się jeszcze szczuplejsze przez swobodnie opadające fałdy jedwabiu kołyszące się nęcąco, kiedy szła. Miękkie brązowe włosy upięła nad czołem. Nie upudrowała ich do przymiarki, lecz mogłam sobie wyobrazić, że z upudrowanymi i zakręconymi włosami przyprawi o szybsze bicie serca niejednego mężczyznę, a oprócz pożądania wzbudzi też czułość.

Uśmiechnęła się z niekłamana przyjemnością na mój widok i odezwała się szlachetnie:

— No cóż, Beatrice! Wyglądasz jeszcze cudniej niż zawsze. To ty powinnaś być panną młodą, nie ja!

Odpowiedziałam uśmiechem, zastanawiając się, czy ma rację i którą z nas (mając wolny wybór) wolałby Harry.

— Czy coś ci leży na sercu, Beatrice? — spytała, zwracając się do mnie. — O czym myślisz, że aż tak się smucisz?

— Myślałam o twoim przyszłym mężu — odparłam z nadzieją, że zetrze to z jej twarzy wyraz szczęścia. Powiodło mi się nadzwyczajnie. Twarz jej pobladła jak kreda, a serce jakby się zatrzymało.

— Może pani już odejść, panno Hokey — poleciła krawcowej i opadła na siedzisko przy oknie, nie dbając o kosztowny jedwab sukni, gniotąc go i mnąc w dłoniach.

— Możesz jechać z nami w podróż poślubną? — spytała ze strachem w oczach. — Harry napisał do mnie liścik w podziękowaniu za zaproszenie ciebie, ale nie stwierdził jasno, czy możesz jechać. Możesz,



Beatrice? Im dłużej o tym myślę, tym większej nabieram pewności, że nie wytrzymam podróży sam na sam z Harrym.

— Mogę! — powiedziałam triumfalnie, a jej twarz się rozpromieniła.

— Och, co za ulga! — wykrzyknęła i oparła czoło o chłodną szybę okienną.

Westchnęła ciężko, aż ramiona jej zadrżały. Twarz Celi pozostała jednak napięta.

— Czy coś cię jeszcze niepokoi? — spytałam.

— Wiem, że nie powinnam... ale... myśl o... nocy poślubnej. Według planu po ślubie i śniadaniu weselnym odjeżdżamy do Golden Fleece w Portsmouth i następnego ranka odpływamy do Francji. Nie mogę znieść myśli... — przerwała i spostrzegłam, jak na jej młodej twarzy rysuje się niepokój. — Jeśli już muszę zostać zraniona — odezwała się cicho — i cierpieć taki lęk, wolałabym, żeby nie stało się to w jakimś małym hoteliku w Anglii i tak blisko domu.

Kiwnęłam głową. Dla mnie nie miało to znaczenia. Mnie wydawało się to nonsensem oczywiście, ale potrafiłam zrozumieć wrażliwość Celi na tym punkcie.

— Sądysz, że ludzie mogliby zacząć plotkować na twój temat?

— Och nie! — odparła zdumiona. — Nie mój, lecz Harry'ego. Nie chciałabym, żeby ludzie go wzięli na języki, i to z powodu mojej niedorzecznej niechęci do... — jęknęła — ...należytego zachowania.

Wzruszające! Tak się bać, a jednocześnie myśleć najpierw nie o sobie. Dobrze wiedzieć, że przyszła pani Wideacre tak dba o nasze dobre imię.

— Jestem pewna, że Harry wybaczy ci pierwszą noc — stwierdziłam, ciesząc się w duchu, że swoją pierwszą małżeńską noc Harry spędzi tam, gdzie zapewne spędzi większość swego małżeńskiego życia, czyli ze mną. — Podczas podróży do Portsmouth, a potem do Francji, powinniśmy chyba jechać jako przyjaciele, aż rozgościmy się wygodnie w Paryżu.

Spuściła wzrok i kiwnęła głową. Tym przytaknięciem otwierała mi jeszcze szerzej furtkę do życia Harry'ego. Uśmiechnęłam się, aby dodać jej śmiałości, i objęłam ją. Kibić miała szczupłą i giętką, a przez suknię czułam ciepło jej ciała. Zwróciła na mnie smutną twarz i przytuliła policzek.

Poczułam na swoim policzku wilgotne ślady łez i nie mogłam się powstrzymać od myśli, że jeśli w takim stanie przytuli się do Harry'ego, cała moja namiętność i władza nie zatrzymają go przy mnie. Cudowne dziewicze ciało Celi to dla mężczyzny pokroju Harry'ego spora atrakcja, a jej młodość, ufność i czułość zrodzą w nim prawdziwą delikatną miłość. Cmoknęłam ją leciutko w usta, miękkie i słodkie. Potem wstałam i zdjęłam z siebie suknię druhny. Założyłam z powrotem swój szary kostium do konnej jazdy.

Lady Havering zastukała do drzwi i weszła, kiedy czesałam się przed lustrem Celi.

— Boże drogi, Celio, natychmiast zdejmuj tę suknię — odezwała się stanowczym głosem. — Pognieciesz ją i pobrudzisz. — Celia pomknęła do garderoby. — Rozmarzyłyście się chyba o podróży, która was czeka, dziewczęta — zwróciła się do mnie lady Havering.

Uśmiechnęłam się i dygnęłam z wdziękiem.

— Jak to miło ze strony Celi, że mnie zaprosiła. Jestem szczęśliwa, że mama pozwoliła mi jechać.

Lady Havering kiwnęła głową. Była postawną kobietą dobrze czującą się w roli jednej z najważniejszych osób w hrabstwie. Grubokoścista, zadbana, całkowicie zdominowała swoją śliczną córkę, a

także innych. Usadowiła się na krześle i poddawała ocenie baczego wzroku; ot, dama z wyższych sfer czuje się jak u siebie w domu. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak czuła się w niewielkim miasteczku, Bath, z pierwszym mężem, inwalidą. Lord Havering dostrzegł w tej bogatej wdowie osobę, która dumę stawia wyżej niż ubóstwo i która bez względu na złe traktowanie będzie zachowywała pozory. I nie pomylił się. Lady Havering spełniła swój obowiązek, dbała o dzieci lorda z pierwszego małżeństwa i nie potrzebowała wynajmować niańki. Prowadziła dom na tyle sprawnie, na ile może kobieta bez pieniędzy i bez szczególnej miłości do ziemi. Nie skarżyła się na częste wypadki lorda do Londynu ani na sprowadzanie przez niego pijanych kompanów, którzy snuli się po posiadłości, strzelali do bażantów i jeździli na przełaj przez zboże.

— Widzę, że mama pozwala ci samej jeździć konno — zagadnęła szorstko lady Havering. Spojrzałam na szary strój do konnej jazdy.

— Tak — odrzekłam. — Powinnam zostać w domu, ale chciałam zobaczyć Celię i nie sądzę, żeby ktoś mnie zauważył.

— Cieszysz się swobodą — w głosie lady nie było nagany. — Ale zawsze na wiele ci pozwalano. Za moich młodych lat młoda dama nie mogła oddalić się ani na krok od domu, nawet w towarzystwie stajennego czy własnego brata.

Tak więc w dworze Haveringów wiedziano o moich przejażdżkach z Harrym. Uśmiechnęłam się grzecznie i nic nie odpowiedziałam.

— Będiesz musiała powściągnąć tę swobodę, kiedy zaczniesz bywać wśród ludzi. Jeśli pojedziesz do Londynu, nie zaczniesz przecież hasać po mieście na którymś z koni myśliwskich Harry'ego.

— Nie — uśmiechnęłam się. — O ile jednak wiem, mama nie zamierza mnie zabrać do Londynu.

— Ale my moglibyśmy cię wziąć — zaproponowała wspaniałomyślnie. — W przyszłym roku zimą otworzymy dom Haveringów dla Celi i Harry'ego, ty zaś mogłabyś do nich dołączyć i być przedstawiona na dworze królewskim. Porozmawiam o tym z twoją mamą.

Znów uśmiechnęłam się i podziękowałam. Obietnica stworzenia okazji, bym złożyła pokłon królowi — o, to za mało, by wyrwać mnie z Wideacre, a poza tym jeszcze do tego daleko.

Miewałam przebłyki próżności, lecz nigdy nie traciłam głowy do tego stopnia, żeby woleć salony Londynu niż rodzinny dom. Szmer podziwu, jaki usłyszałam wchodząc do sali zgromadzeń w Chichester, był dla mnie największym pochlebstwem i nie pragnęłam więcej.

— Nadchodzą szokujące wieści o buntach głodowych w hrabstwie Kent — zagaiła lady Havering.

— Nic nie słyszałam — zachowałam czujność. — Co tam się dzieje?

— Dostałam list od przyjaciółki z Tunbridge Wells. Wybuchł tam bunt, doszło nawet do podpażeń. Rozważano sprowadzenie gwardii, a sędziowie pokoju aresztowali kilku najaktywniejszych awanturników.

— To się powtarza co jakiś czas — stwierdziłam. — Zbiory nie zapowiadają się w tym roku najlepiej. Ceny zboża już idą w górę. Biedacy głodują, a paru złoczyńców podburza tłum, aż jakiś właściciel ziemski ocknie się wreszcie i sprzeda zboże taniej. Dzieje się tak niemal zawsze w latach nieurodzaju.

— O, teraz wygląda to o wiele poważniej. Zawsze można się spodziewać zuchwalstwa robotników rolnych, ale teraz wydaje się, że to zorganizowane powstanie! Najgorsze, co mogło nas spotkać! Poczekaj, znajdę ten list.

Szukała w kieszeni, a ja przygotowywałam się do skrzekom starej damy przerażonej na śmierć doniesieniem o odległych wydarzeniach. Kiedy jednak zaczęła czytać, poczułam narastający strach.

— Droga... hm, hm, o tutaj. Mam nadzieję, że w twoim hrabstwie panuje spokój, my bowiem żyjemy wydarzeniami, które się rozegrały niecałe dwadzieścia mil od Tunbridge Wells. Winię tu sędziów, że w przeszłości wykazywali się opieszałością w wymierzaniu kary niezadowolonym, tak że motłoch nabrał przekonania o swojej sile.

Niejaki pan Wooler, uczciwy, solidny kupiec, zawarł kontrakt na dostarczenie zboża sąsiada do Londynu, zamiast sprzedać je na miejscowym rynku, jak to zwyczajowo przyjęto. Aby zwróciły mu się poniesione nakłady, ustalił, że także wielu innych posiadaczy ziemskich z sąsiedztwa wyśle swoje zboże do Londynu wozami Woolera. Całkiem sensowne i intratne ustalenie.

Kiwnęłam głową. Rozumiałam to świetnie. Pan Wooler stworzył z sąsiadami grupę zabezpieczającą korzystną cenę zboża. Wysyłali plony z całej okolicy do Londynu z pominięciem lokalnego rynku. Pan Wooler uzyskalby niezły dochód. Jego sąsiedzi również. Natomiast dzierżawcy i pracownicy nie mieliby na rynku zboża zebranego na okolicznych polach. Musieliby szukać innego rynku dalej, co windowałoby cenę zboża do niebotycznej wysokości ku uciesze właścicieli ziemskich, pana Woolera i całego nieuczciwego świata. Ci, których nie byłoby stać na nowe ceny, musieliby się obejść bez zboża. Ci zaś, którzy nie mogli przejść na dietę ziemniaczaną lub na garnuszek dobroczynności, głodowaliby.

Lady Havering czytała dalej.

— Pan Wooler przewidział, że mogą wystąpić problemy w związku z nastrojami we wsi i powziął kroki w celu zapewnienia bezpieczeństwa swoim wozom jadącym do Londynu: pięciu osiłków na koniach, z bronią palną i pałkami.

Pan Wooler wydał mi się przewrażliwiony. Tylko on jednak był w stanie przewidzieć, ile rodzin umrze z głodu w wyniku jego paskarskich praktyk i do jakiej wściekłości zostaną doprowadzeni rodzice płaczących z głodu dzieci.

— Nastawił się na kłopoty, lecz nie na to, co nastąpiło — ciągnęła lady Havering.

Celia wśliznęła się do pokoju i usiadła, słuchając.

— Kiedy wozy dojechały do szczególnie niebezpiecznego odcinka drogi do Londynu, wąskiego odcinka wijącego się w lesie, pan Wooler usłyszał cichy przeciągły gwizd. Ku swojej zgrozie ujrzał około trzydziestu ludzi powstających z ziemi, uzbrojonych w widły i pałki. Drogę blokowało zwalone drzewo. Kiedy Wooler się obejrzał, dostrzegł padające drzewo odcinające mu trasę ucieczki. Jakiś mrozący krew w żyłach głos kazał ludziom Woolera rzucić broń, zejść z koni i wrócić do wsi.

Słuchałam w napięciu. Cała ta historia nie dotyczyła ani nas, ani naszej ziemi. Ja nigdy, przenigdy nie zawarłabym takiego kontraktu z kupcami w Londynie. Papa gardził podobnymi praktykami. Pszenicy z Wideacre nigdy nie sprzedawaliśmy, dopóki rosła na polu. Zawsze trafiała na rynek lokalny, gdzie biedota mogła ją tanio kupować, kupcy zaś uczestniczyli w uczciwym przetargu. Poczułam jednak dreszcz niepokoju, bo każdy atak na posiadłość ziemską spędza sen z powiek innym właścicielom, opisany zaś atak nie przypominał w niczym podobnych akcji, o których słyszałam. Nigdy nie zapomniałam (i chyba nikt z naszej sfery nie zapomina), że żyjemy w dostatku, ubieramy się w jedwabie, śpimy w czystej pościeli i mieszkamy w ciepłych

pięknych domach, a dokoła nas większość ludzi żyje w głodzie i brudzie. W promieniu dwustu mil znalazłyby się może jeszcze ze trzy rodziny równie bogate jak nasza. Setki, tysiące biedaków pracowały na nasze zawołanie.

Mój strach nie był więc bezpodstawny. Biedota mogła przypuścić zorganizowany atak na każdą posiadłość. A jednocześnie zbierał we mnie podziw dla ludzi, którzy wzięli się stawić czoło sprytnemu Woolerowi i nie wypuścić zboża, które wyrosło w ich hrabstwie i które powinni kupić za uczciwą cenę. Wystąpili przeciwko prawu, a gdyby ich złapano, powieszono by. W swojej okolicy zostaliby okrzyknięci bohaterami, gdyby ocalili wieś od głodu w zimie, i jeśli istnieje coś takiego jak naturalne poczucie sprawiedliwości, nikt nie powiedziałby o nich złego słowa. Jak przewidywałam, Celia zareagowała w sposób bardzo konwencjonalny.

— Straszne — odezwała się.

Lady Havering czytała dalej.

— Ludzie zawahali się i spojrzeli na pana Woolera, szukając jakiejś wskazówki, a głos krzyknął: „Ty jesteś Wooler? Nie ruszaj się, bo zginiesz!” I strzał zdmuchnął kapelusz z głowy pana Woolera. — Lady Havering przerwała czytanie, aby sprawdzić, czy w wystarczającym stopniu osłupiałam. Mój wyraz twarzy ją zadowolił. O, taka precyzja strzału wymaga lat ćwiczeń! Znałam tylko jednego człowieka, który potrafił tak strzelać.

Lady Havering odwróciła kartkę.

— Pan Wooler odwrócił głowę tam, skąd strzelano, i szukał przywódcy nikczemnego napadu. Ujrzał konia, wielkiego czarnego konia, dwa czarne psy i jeźdźca, który zawołał: „Naładowałem na nowo, Wooler! Ta kula jest dla ciebie!” Pan Wooler musiał usłuchać. Zostawił konia i cały majątek na wozach, a sam pieszo wrócił do wsi. Zanim zaalarmował innych dziedziców i zanim wezwano sędziów pokoju, wozy zniknęły. Znalazły się cztery dni później, puste.

— Boże drogi, okropne — orzekła cicho Celia.

Milczałam. W wyobraźni widziałam wyraźnie ciemny las i krąg uzbrojonych mężczyzn czekających na rozkazy. Przywódca na wielkim koniu; świetnie strzela i błyskawicznie ładuje ponownie. Gdybym nie znała Ralpha, nie uwierzyłabym, że to możliwe. Taka zręczność! Widziałam jednak, jak Ralph to robił. Nawet Harry po latach ćwiczeń z najlepszymi pistoletami nie dokonałby takiej sztuki. Ralph mógł się z tym uporać, zanim ktokolwiek zdążył doliczyć do dwudziestu. Miałam pewność, że to on, a z drugiej strony odsuwałam tę pewność od siebie.

— Pan Wooler przesłuchiwał paru mężczyzn. Mimo ostrego, okrutnego śledztwa nie powiedzieli nic. Zostaną oczywiście powieszoni, lecz nie wydali ani swojego przywódcy, ani nikogo innego spośród bandy. Sam pan Wooler twierdzi, że nie widział tego człowieka dokładnie. Odnosił wrażenie, że miał twarz zasłoniętą chustą. — Lady Havering rzuciła spojrzenie sponad listu i przerwała lekturę.

— Źle się czujesz, moja droga? — spytała.

— Nie, nie — odpowiedziałam.

Zdałam sobie sprawę, że zaciskam kurczowo palce na poduszce. Rozluźniłam uchwyt i starałam się mówić normalnym tonem.

— Cóż za okropna opowieść — stwierdziłam. — Jak koszmar. Czy ten jeździec... — szukałam w myślach sposobu, by się oględnie wyrazić — miał może jakąś cechę charakterystyczną ułatwiającą rozpoznanie?

— Nie. Widocznie nie — odparła lady Havering. — Pan Wooler zaoferował wysoką nagrodę, lecz nikt nie chciał zdradzić tego człowieka. Wydaje się, że wszystko ujdzie mu płazem. Cieszę się, że to dotyczy hrabstwa Kent, a nie naszego. Zgroza mnie ogarnia, gdy pomyślę, że podszedłby do Havering... albo do Wideacre — dodała po zastanowieniu.

Spróbowałam, bezskutecznie, uśmiechnąć się i kiwnąć głową. Nie panowałam nad wyrazem twarzy. Szczękałam zębami jak w malarii. Rękami wczepiłam się w poduszkę, na której siedziałam, niczym tonący, rozpaczliwie chwytający się krawędzi łodzi. Beznogi mężczyzna na czarnym koniu w Portsmouth i człowiek na czarnym koniu, wyborny strzelec z Kentu, nie mogli być tą samą osobą. Niedorzecznie się zachowywałam. Straciłam kontrolę nad sobą w obecności lady Havering i zatroskanej Celi. Usiłowałam wydobyć głos, lecz tylko zachrypiałam. Ściśnięte gardło nie pozwoliło mi krzyczeć. Ralph z nocnych koszmarów przybierał ludzką postać o wielu twarzach. W Portsmouth, w Kent, wszędzie. Prowadził gawieź przeciwko panom, zawsze na czarnym koniu, coraz bliżej mnie. Czułam, że słabnę, ale oczy miałam otwarte. Bałam się, że Ralph przyjdzie po mnie. Na wielkim czarnym koniu, na czele trzydziestu głodnych rozwścieczonych ludzi, z nogami uciętymi na wysokości kolan.

Nie pamiętam, jak dotarłam do domu. Powiedziano mi, że lady Havering przywiozła mnie osobiście w powozie. Nie pamiętałam niczego. Dwukrotnie zemdlałam, a przez resztę czasu byłam tak otępiała ze strachu, że nie mogłam mówić ani się poruszać. Kiedy zamykałam oczy, przerażona wyobraźnia wywoływała obraz Ralpha zgiętego jak szmaciana lalka nad ostrymi szczękami pułapki na kłusowników; znów słyszałam chrzęst gruchotanych kości i ochryply krzyk. Uciekałam od tego straszego widoku, otwierałam oczy i przez okna powozu widziałam jeźdźców, których brałam za Ralpha na wielkim czarnym koniu.

Kiedy tylko znalazłam się w domu, wezwano lekarza z Chichester, zdolnego młodego doktora nazwiskiem MacAndrew, tego samego, którego reputację wykorzystałam do podstępnego „uzdrowienia” pani Hodgett. Ledwie go widziałam i słyszałam. Zadał mi kilka krótkich pytań. Potem poczułam, jak podkłada mi ramię pod kark, a do ust przystawia szklankę. Laudanum miało smak eliksiru wiecznego uspokojenia.

Dzięki Bogu i zbawiennemu laudanum nie miałam żadnych snów. Spałam jak dziecko, nie prześladowana przez czarne widma. Obudziłam się dopiero następnego dnia. Spozregłam przy łóżku doktora MacAndrew. Nie uśmiechnęłam się, nawet nie spojrzałam na niego. Powiedziałam tylko cicho:

— Proszę mi pozwolić jeszcze spać.

— Niech pani posłucha: lepiej zmierzyć się z tym, co panią przeraża. Spała już pani wystarczająco długo.

Wtedy podniosłam wzrok na niego, na służącą i mamę. Zastanawiałam się, czy we śnie nie powiedziałam czegoś, co mogłoby mnie zrujnować, ale właściwie niezbyt mnie to teraz obchodziło. Napotkałam wzrok doktora, pełen współczucia i ciekawości, nie będący wzrokiem człowieka, który dopiero co poznał niesamowitą tajemnicę. Z pewnością nic nie wiedział.



— Ma pan chyba rację — odezwałam się. — Wiem jednak, co dla mnie będzie najlepsze. Błagam, niech pan mi odda to lekarstwo i pozwoli spać dalej.

Jasne niebieskoszare oczy zmierzyły mnie łagodnie.

— No cóż, pani zna siebie najlepiej. Może pani wziąć jeszcze jedną dawkę nasenną i spać aż do rana, a wtedy panią odwiedzę.

Wypiłam laudanum w milczeniu, nie mówiąc ani słowa do mamy i do służącej. Zamknęłam oczy i czekałam na pogrążenie się w niepamięci. I już zaczynał powracać wytwór chorobliwej wyobraźni, Ralph jadący do Wideacre, kiedy poczułam zbawienne działanie leku i ogarnął mnie spokojny, miłosierny sen. Odprężyłam się i z dziecinną wdzięcznością uśmiechnęłam do migocącego jak przez mgłę widoku doktora. Nie był specjalnie przystojny, lecz miał coś w otwartej twarzy, niebieskich oczach i włosach barwy piasku, coś co dawało mi poczucie bezpieczeństwa. Nawet pytanie zadane mamie („Co pani zdaniem mogło wywołać ten atak nerwowy?") nie wywołało we mnie niepokoju.

Zanim się obudziłam, pytanie znalazło odpowiedź. Nie musiałam obmyślać kłamstw na temat nerwów. Mama była święcie przekonana, że podobnie jak ona zareagowałam gwałtownie na sierść kota. U Haveringów siedziałam przecież na poduszce, gdzie zwykle sypiał rozpieszczony pers Celi. Wy tłumaczenie zbyt oczywiste, by je kwestionować. Doktor MacAndrew mógł się odnieść do tego podejrzliwie, ale mama i lady Havering rozważyły dokładnie całą sprawę i kiedy trzeciego dnia zesłam wreszcie do jadalni, nie usłyszałam niewygodnych dla siebie pytań. Harry, mama i goszcząca u nas Celia rzucili się na powitanie, a nikomu nie przyszło do głowy, by szukać innego wyjaśnienia mojej słabości. Złowieszczy list od gadatliwej przyjaciółki z Tunbridge Wells dawno został zapomniany przez wszystkich. Oprócz mnie.

Ja oczywiście nie mogłam zapomnieć. Myśl o nim nie opuszczała mnie przez kilka dni. Rozpamiętywałam każde słowo strasznej historii. Ciemna droga w gęstym lesie, przemyślna zasadzka, zatarasowanie trasy ucieczki, mężczyźni powoli powstający z ziemi, z mchu na czyjś gwizd, a przede wszystkim wielki czarny koń ich herszta i dwa psy.

Miałam w uszach całą opowieść, kiedy zasypiałam i budziłam się. Szczegóły stawały się coraz wyrazistsze. Nabierałam jednak także nadziei, że cała banda zostanie złapana i publicznie powieszona. Tak się skończy wreszcie życie Ralpa i naprawiona zostanie moja fuszerka.

Tak zuchwały napad musiał się spotkać z ostrą reakcją. Sędziowie pokoju nie spoczną, dopóki nie znajdą przywódcy buntu. Wysokie nagrody złamią wreszcie lojalność jego podkomendnych, drobiazgowo zaś przesłuchiwanie i zastosowane po cichu tortury złamią pojmanych zbójców. Rychło nastąpi proces herszta, skazanie, a potem — szubienica. Dla mnie oznaczało to znów wyczekiwanie na rozwój wypadków i śledzenie doniesień w gazetach.

I nic. Znalazłam raz wzmiankę, że pan Wooler podwyższył nagrodę i że trwa dochodzenie. Przeczytałam też potem, że pół tuzina biedaków podejrzanych o przynależność do bandy zesłano, trzech innych zaś powieszono. Trwały przygotowania do ślubu. Zachowywałam pozorny spokój, powróciły jednakże dawne lęki i zmory wyłaniające się z ciemności: stukot podków, brzęk łańcucha, szczęk żelaza. Miałam sposób na nocne strachy. Dzięki troskliwemu skrupulatnemu doktorowi MacAndrew. W zakamarku szafeczki przy łóżku

ukryłam buteleczkę laudanum i co wieczór zażywałam dwie, trzy krople, a potem z samozadowoleniem pograżałam się we śnie.

Mądry, zręczny, jasnowłosy, jasnorzęsy doktor MacAndrew dał mi pierwszą buteleczkę, lecz szybko zużyłam jej zawartość. Kiedy poprosiłam o drugą, zaniepokoił się, a na jego twarzy ukazał się wyraz dezaprobaty.

— Nie mogę się na to zgodzić, panno Lacey — powiedział z lekkim obcym akcentem. — Panuje moda wśród młodych dam, by brać laudanum co wieczór, ale zapominacie, drogie panie, że laudanum to nie szklanka mleka przed snem, lecz lekarstwo, lekarstwo, którego podstawowym składnikiem jest opium. To mocne lekarstwo i może prowadzić u niektórych osób do uzależnienia. Nie przyszłoby pani na myśl picie butelki brandy na tydzień, a z drugiej strony w tym samym czasie jest pani w stanie wypić butelkę laudanum. Dałem pani lekarstwo, kiedy przeżywała pani chwile rozdrażnienia. Niewielka dawka miała panią uspokoić. Jest pani osobą o silnych nerwach i prawym charakterze, panno Lacey. Rozdrażnienie minęło i trzeba szukać rozsądnego rozwiązania problemów, a nie uciekać przed nimi z pomocą laudanum.

To spostrzeżenie młodego doktora nie podziało na mnie pocieszająco, skończyłam więc rozmowę. Nie przejęłam się jego słowami na temat laudanum. Trzeba by tu kogoś o silniejszej osobowości niż John MacAndrew, aby zawrócić mnie z obranej drogi postępowania. W swoim życiu znałam tylko dwóch takich ludzi. Jednego przyniesiono do domu na noszach, a drugiego zostawiłam w ciemności na pewną śmierć. Lepiej, żeby nikt nie próbował mi się przeciwstawiać.

Doktor MacAndrew nie należał jednak do tych, którzy dla reguł konwersacji skłonni są milknąć, gdy mają coś do powiedzenia. Spojrzał na mnie stanowczo, acz zarazem delikatnie.

— Panno Lacey — zaczął. — Opiekowałem się panią i chociaż może mnie pani uważać za zbyt młodego i niedoświadczonego, proszę zastosować się do moich zaleceń.

Zmierzyłam go wzrokiem. Błada cera człowieka z północy zapłonila się, uszy zaróżowiły z zakłopotania, lecz niebieskie szczere oczy zachowały spokój.

— Pani cierpienia wywołane są lękiem — stwierdził. — Lękiem przed czymś wyobrażonym lub czymś realnym. Namawiam panią, aby stawiała pani czoło swoim lękom i przewyciężyła je. Cokolwiek pani zagraża, proszę pamiętać, że ma pani kochającą rodzinę i z pewnością wielu przyjaciół. Nie trzeba wszystkiego przeżywać w samotności. Proszę powiedzieć, czy nie mam racji. Proszę mnie zbesztać, jeśli jestem impertynentem. Ufam jednak, że się nie mylę, jeśli chodzi i o diagnozę i terapię. Sądzę, że boi się pani czegoś i nie ucieknie pani przed tym strachem, dopóki nie stanie z nim pani twarzą w twarz.

Dzień był ciepły i słońce wpadało do saloniku, a mnie ogarnęły dreszcze. Naciągnęłam szal na ramiona. Stanać twarzą w twarz ze strachem, oznaczało stanać twarzą w twarz z Ralphem siedzącym na wielkim czarnym koniu; wyobrazić sobie zmiany w jego fizjonomii, od zmysłowego ufego uśmiechu młodego kochanka do grymasu żebraka, banity, kaleki. Moja wyobraźnia odsuwała od siebie tę wizję, zawsze.

— Myli się pan — odezwałam się cichym głosem, spuściwszy wzrok, aby nie dostrzegł strachu w moich skośnych oczach. — Dziękuję za okazaną mi dobroć, lecz ja niczego się nie boję. Noszę jeszcze żalobę po ojcu i wciąż nie otrząsnęłam się z szoku po jego śmierci.

Młody doktor znów się zapłonil. Przysunął do siebie walizeczkę i otworzył ją.

— Daję to pani na przekór mojej diagnozie — włożył mi do ręki buteleczkę laudanum. — Pomoże w zasypianiu, ale proszę *koniecznie* przestrzegać dawki. Dwie kropie, tylko na noc, nigdy za dnia. Pomoże to pani przejść przez cały okres zmian w domu, ślub brata i przygotowania do podróży. Natychmiast po opuszczeniu Anglii proszę odstawić lek.

— Nie będę go potrzebowała, kiedy stąd wyjedziemy.

— Ach tak? — Zaczęłam się obawiać jego inteligencji.

— Zatem pani lęki, tak jak duchy, nie potrafią pokonywać wody?

Znów spuściłam wzrok. Ten młodzieniec miał wprawę w obserwowaniu ludzi i widział zbyt wiele.

— Czekają mnie nowe krajobrazy, nowi ludzie. Zapomnę o swoich zmartwieniach — odparłam opanowanym tonem.

— Cóż, nie będę dłużej pani nagabywał — oświadczył i wstał. Wyciągnęłam rękę, a on ku mojemu zdumieniu nie uściśnął jej, lecz pochylił się i pocałował. Długo, delikatnie, ciepło, tak że czułam ten pocałunek, kiedy wyprostował się i trzymał dalej moją dłoń.

— Pozostanę pani przyjacielem, panno Lacey — odezwał się cicho. — Zachowam dyskrecję jako lekarz, to oczywiste, lecz pragnąłbym, aby rozmawiała pani ze mną jak z przyjacielem. — Skłonił się lekko, odwrócił i wyszedł z pokoju.

Opadłam na krzesło, do głębi zdumiona. Z ciepłem jego głosu wstąpił we mnie nowy duch. Zerknęłam na swe odbicie w lustrze nad kominkiem. Pocałunek przywrócił mi rumieńce na policzkach. Cienie pod oczami nadawały mi wygląd kruchej istotki. W jasnych oczach rysowało się zadowolenie. Nie pożałowałam doktora, to oczywiste, przecież ani nie był właścicielem Wideacre, ani nie mógł mi pomóc w jej zdobyciu. Któż jednak dziewczyna nie powitałaby przychylnie zainteresowania ze strony mężczyzny? Uśmiechnęłam się do siebie z czystej próżności i radości, że natura obdarzyła mnie atrakcyjnym wyglądem. Kiedy mama weszła do pokoju, uśmiechnęłam się do niej, a ona też odpowiedziała uśmiechem, zachwycona, że widzi mnie znów w zdrowiu.

— Czy to powóz doktora MacAndrew właśnie odjechał? — spytała, otwierając pudełko z przyborami do szycia.

— Tak.

— Powinnaś mnie zawołać, Beatrice — stwierdziła z lekką wymówką. — Nie powinnaś spotykać się z nim sam na sam.

— Przyjechał spytać tylko, jak się czuję — odparłam obojętnym tonem. — Nie przyszło mi nawet do głowy posyłać po ciebie. Wpadł do nas po drodze do Springhams; jeden z chłopców zachorował.

Mama ściągnęła usta nawlekając nitkę. Kiwnęła głową nie przekonana.

— Nie podoba mi się taka towarzyska wizyta lekarza — oznajmiła. — W mojej młodości aptekarz przychodził tylko wtedy, gdy go wezwano, a i to wchodził kuchennym wejściem.

— Och, mamó! Trudno doktora MacAndrew nazwać aptekarzem! To lekarz po studiach na uniwersytecie w Edynburgu. Mamy naprawdę szczęście, że wybrał tę okolicę jako miejsce swojej praktyki. Nie musimy sprowadzać lekarza z Londynu za każdym razem, kiedy ktoś poczuje się źle. Same korzyści. A poza tym jest dżentelmenem i da się z nim porozmawiać.

— No cóż — mama nie podzielała mego entuzjazmu.

— Taki już nowy zwyczaj. Wydaje mi się osobliwy i tyle. Cieszę się jednak, że tu był, aby spytać o twoje zdrowie, kochanie. — Przerwała i zrobiła parę ściegów. — Ale nie ma mowy, żeby zajmował się Celią, gdy przyjdzie jej czas.

— O, dobry Boże! — krzyknęłam zirytowana. — Jeszcze dwa tygodnie do ślubu, a ty już szukasz akuszerki!

— Ależ, Beatrice! — mama wyglądała na zaszokowaną, ale oczy aż jej się śmiały. — Jeśli rozprawiasz o tych sprawach tak swobodnie, muszę zacząć myśleć o twoim małżeństwie.

— Nie spieszy mi się do tego, mamó — zaśmiałam się. — Nie zniosłabym wyjazdu z Wideacre, a mąż by mnie nudził. Marzę o pozostaniu tutaj jako siostra Celi i ciotka wszystkich dzieciaczek Celi i Harry'ego.

— Wszystkie dziewczęta tak twierdzą, zanim nie złączą się przygotowania do ich własnego ślubu — odezwała się mama łagodnie. — Wyjedziesz stąd z ochotą, kiedy roztoczy się przed tobą nowa przeszłość.

Uśmiechnęłam się. Ta rozmowa nie prowadziła do żadnych wniosków. Usiadłam przy mamie i przysunęłam sobie pudełko z robótkami. Miałyśmy przed sobą poważne zadanie: obrębianie halsztuków Harry'ego. Szycie szło mi teraz lepiej niż kiedyś i kiedy zręcznie, precyzyjnie wkłuwałam igłę, wyobrażałam sobie, że ten właśnie halsztuk założy Harry w dniu ślubu, a ja właśnie — nie nieśmiała Celia — zdejmę mu go z szyi w noc poślubną.

— Harry chce ci sprawić niespodziankę po powrocie z waszej podróży — mama przerwała moje sny na jawie. — Wspominam o tym dlatego, że szkoda byłoby zmarnować całą pracę, o ile okaże się niepotrzebna.

Podniosłam wzrok i czekałam w milczeniu.

— Harry nie odnawia pokojów w zachodnim skrzydle, on je po prostu urządza na nowo do twojego wyłącznego użytku. — Głos mamy brzmiał spokojnie, a jednak wyczułam w nim nutę obawy. — Chyba mu powiesz, że ci się to nie podoba?

Czekała, że przytaknę, a ja nic nie mówiłam.

— Wiedziałaś o tym planie, Beatrice?

— Harry zaproponował to jakiś czas temu. Sądziłam, że to dobry pomysł. Nie miałam pojęcia, że zaczął wprowadzać pomysł w życie.

— Oboje to zaplanowaliście i żadne z was się mnie nie poradziło? — mama zaczynała się denerwować. Musiałam wyciszyć całą tę dyskusję.

— Mamó, całkiem mi to wyszło z głowy — odparłam łagodnie. — Harry myślał, że dobrze byłoby, dopóki tu mieszkam, abym miała kilka swoich prywatnych pokoi. Kocham bardzo Celię, niemniej uważam, że wszyscy powinniśmy mieć swoje pokoje prywatne. Ty przecież, mamó, masz salonik, garderobę i sypialnię na górze, a ja mam tylko sypialnię.

Zatroskanie mamy jak zwykle okazało się tylko grą pozorów.

— To będzie wyglądać dziwnie — skarżyła się. — Niezwykłe, że dziewczyna w twoim wieku myśli nawet o własnych pokojach. Nie powinnaś odczuwać potrzeby prywatności.

— Wiem, mamó — odrzekłam łagodnie. — Ale nasza sytuacja jest równie dziwna. Harry naprawdę wciąż potrzebuje pomocy w prowadzeniu farmy, a ja, jak wiesz, zajmuję się rachunkowością posiadłości. Zajmie parę lat, zanim Harry będzie w stanie całkowicie przejąć kontrolę nad majątkiem, a w tym czasie, jak

sądzę, musi być przy nim ktoś, kto sprawdzi liczby, podliczy zbiory. Wiem, że to niezwykle, aby młoda dziewczyna się tym zajmowała, lecz dopóki to robię, powinnam mieć miejsce, gdzie mogłabym pracować, nie przeszkadzając tobie ani Celi. W każdym razie zmiany nie są wielkie. Gabinecik i garderoba zamiast dawnej zmywalni i pokoju śniadaniowego. Powiedziałabym nawet, że nikt tych zmian nie zauważy. Mama pochyliła głowę nad robótką.

— Nie znam się zbytnio na sprawach majątkowych. Powinnam jednak żywić przekonanie, że Harry poradzi sobie sam. On jest tu panem. Powinien rządzić sam, bez pomocy siostry — stwierdziła.

Wiedziałam, że wygrałam i ta świadomość czyniła mnie łaskawą dla pokonanej. Położyłam rękę na dłoni mamy.

— Powinien? — spytałam ciepłym, pieszczotliwym tonem. — On się nie potrafi obejść bez kochanej mamusi. Oczywiście potrzebuje też siostry. Rozpieściłaś go, mamó. Dajemy Celi sułtana, który musi mieć w domu cały harem!

Mama uśmiechnęła się, a oczy straciły wyraz zmartwienia.

— No cóż — powiedziała. — Jeśli tego chcesz ty, Harry i Celia, nie będę miała nic przeciwko. Cała jednak praca pójdzie na marne, kiedy poślubisz jakiegoś lorda i wyjedziesz do Irlandii albo gdzie indziej!

— Ach nie, włoskiego księcia! — z ulgą skierowałam dyskusję na żartobliwe tory. — Nie spocznę, dopóki nie wrócę do domu jako księżna! A jakie życie czeka mnie w Paryżu i we Włoszech!

Śmiałyśmy się razem i zajęłyśmy się halsztukami Harry'ego z takim zapałem, że po dwóch tygodniach mógł zapakować do kufra pięćdziesiąt nowych. Kufer załadowano do dyliżansu z wyprawą panny młodej liczącą cztery kufry oraz moim skromnym bagażem — dwoma kuframi i trzema pudełkami. Ciężki powóz, w którym siedział służący Harry'ego, pokojówka Celi i moja, miał podążać za nami przez Francję i Włochy. Osobliwe trio, a nasz dyliżans jeszcze osobliwszy: nie tknięta żona, zadowolony mąż i zakochana siostra, a wszyscy mknący w jesiennym słońcu.

— Nie mogę się doczekać — oznajmiłam i oparłam się na ramieniu Harry'ego, kiedy na dziedzińcu stajennym ładowano bagaże. Ręka Harry'ego, niewidoczna, poklepała mnie po plecach na znak zgody. Pogłaskał mnie po plecach jak kota. Niezauważalnie przysunęłam się jeszcze bliżej.

— Dwa miesiące nocy — odezwał się cicho. — Dwa miesiące nocy i nikogo, kto by nas obserwował. — Dłoń sunęła po jedwabiu sukni na plecach i z trudem powstrzymałam się, by nie zamknąć oczu i ocierać się jak kocica podwórzowa. Panowałam nad mięśniami twarzy, lecz żadna siła na ziemi nie powstrzymałaby pożądanego wzbierającego w moich zielonych oczach. Służący byli zajęci przy ładowaniu, więc nikt na nas nie patrzył.

— Mogę dziś w nocy przyjść do twojego pokoju? — Harry niemal przyłożył mi usta do ucha, tak że czułam ciepło jego oddechu. W ciągu ostatnich paru tygodni, kiedy chorowałam i brałam środki nasenne, bardzo rzadko byliśmy razem. Czułam, jak rośnie mój apetyt. — Pamiętaj, jestem panem młodym.

Zachichotałam.

— Powinieneś więc hulać z przyjaciółmi i cieszyć się ostatnią nocą wolności, zanim na zawsze zawładnie tobą zazdrosna namiętna żona.

Harry zaśmiał się cicho razem ze mną.



— Jakoś nie wyobrażam sobie Celi w tej roli — odparł. — Jednak, szczerze mówiąc, chciałbym spać z tobą dziś w nocy.

— Nie — stwierdziłam powoli, smakując rozkosz krótkiej abstynencji.

Odsunęłam się od Harry'ego i zwróciłam ku niemu twarz z na wpół przymkniętymi, tajemniczymi skośnymi oczami.

— Nie, przyjdę do ciebie jutro jako panna młoda, aby spędzić z tobą noc poślubną. — Wypowiedziałam te słowa jak przysięgę. — Jutro staniemy razem przed ołtarzem i każde słowo, które padnie z twoich ust, każde słowo przysięgi małżeńskiej, przeznaczone będzie dla mnie. A każde słowo wychodzące z pustych ust Celi to będzie moja obietnica miłości i szacunku dla ciebie. Celia jest panną młodą, ja zaś zostanę żoną. Jutrzejszy dzień należy do Celi, lecz noc — do mnie. Spotkamy się jutro, nie dzisiaj. Dziś możesz o mnie marzyć i pomyśleć. Jutro w nocy wszyscy troje udamy się do naszych pokoi. Celia zaśnie snem pocziwego głupca, a ty i ja w ogóle nie zaśniemy!

Błękitne oczy Harry'ego pojaśniały.

— Zgadza się! — powiedział szybko. — To będzie nasz miesiąc miodowy, twój i mój. Ciebie poślubiam i ciebie ze sobą zabieram. Celia może jechać na takich zasadach jak służący czy bagaż, aby służyć naszej wygodzie.

Westchnęłam z rozkoszy oczekiwania i zwycięstwa.

— Tak. Jutro bierzemy ślub i jutro żyjemy jak mąż i żona.

Tak też się stało. Magiczna fala zagarnęła mnie i postawiła w kościele u boku Harry'ego. Stałam przed ołtarzem jak we śnie i słyszałam cały czas głos Harry'ego obiecujący rozkosze wspólnoty duchowej i fizycznej. Myślałam tylko o tym, co mnie czeka w nocy.

Celia, jak to było do przewidzenia, słabła ze zdenerwowania i kiedy lord Havering przyprowadził ją do pana młodego i oddalił się, ja musiałam podejść i podtrzymać ją. Tylko wiotkie ciało Celi stało między Harrym i mną. Gdy wypowiadał słowa przysięgi miłości, rozkoszy i lojalności, napotkał moje śmiejące się oczy i do mnie kierował wszystkie obietnice.

Celia mówiła szeptem. Po skończonej mszy nastąpiło śniadanie weselne. Mdła atmosfera; oplakiwanie i pocieszanie Celi, która wyglądała cudownie, zapłoniona i nieśmiała. Niewiele uwagi zwracano na mnie i Harry'ego, który stanął w rogu i popijał tego z lordem Haveringiem. Było nudno. Nie miałam z kim rozmawiać. Musiałam znosić towarzystwo głupich sióstr i jeszcze głupszych przyjaciółek Celi. Nie pocieszały mnie nawet lubieżne spojrzenia lorda Haveringa taksującego moje zgrabne ciało obleczone szarą jedwabną suknią. Lord zabrał Harry'ego do swego gabinetu, zostawiając w salonie starszych wiekiem sąsiadów. My, kobiety, zostawione byłyśmy same sobie. Tym miłsze wydało się przybycie doktora MacAndrew. Szmer zainteresowania przebiegł przez pokój, kiedy podszedł prosto do mnie, a ja podniosłam wzrok i uśmiechnęłam się.

— Bardzo się cieszę widząc panią — stwierdził, zajmując miejsce obok. — I to w tak szczęśliwym dniu.

Spostrzegłam, że taktownie nie poruszył tematu mego zdrowia i po raz pierwszy zwróciłam uwagę, że jest wcale atrakcyjnym mężczyzną. Pozostałe dziewczęta — siostry Celi i jeszcze dwie druhnny — obserwowały go jak krogulce. Uśmiechnęłam się do nich, chcąc utrzyć nosa wdzięczącym się głuptaskom.

— Na długo pani wyjeżdża, panno Lacey? — spytał cichym głosem ze szkockim akcentem.

— Tylko do Bożego Narodzenia. Nie wytrzymałabym nieobecności w domu podczas świąt. Oboje z Harrym chcemy też wrócić odpowiednio wcześniej, aby przygotować się do wiosennych siewów.

— Słyszałem, że z pani entuzjastka rolnictwa? — odezwał się z odcieniem żartobliwej pobłażliwości. Znałam ten ton z wypowiedzi sąsiadów, którzy nie osiągali połowy naszych plonów, a jednak uważali moje zajęcia za niestosowne.

— To prawda — odrzekłam. — Papa wychował mnie w duchu zainteresowania naszą ziemią. Kocham Wideacre i cieszę się, że tyle mogłam się nauczyć.

— Wspaniale jest mieszkać w tak cudownym domu — stwierdził. — Mnie nie było dane zaznać przyjemności życia na wsi. Moja rodzina zawsze kupowała i sprzedawała swoje rezydencje tak często, że nigdzie nie zdążyłem zapuścić korzeni.

— Pan pochodzi z Edynburga? — zainteresowałam się.

— Mój ojciec jest właścicielem The MacAndrew Line — wyznał nieśmiało.

I wtedy nagle wszystkie strzępy informacji, które dotychczas usłyszałam, jak elementy układanki trafiły na właściwe miejsce. Natychmiast wyjaśnił się fakt jego zaproszenia do domu Haveringów. The MacAndrew Line była jedną z najlepiej prosperujących firm zajmujących się transportem morskim. Jej statki kursowały między Londynem, Szkocją i Indiami. I ten oto młody człowiek pochodził z bajecznie bogatej rodziny. Lady Havering nie zwracała uwagi na jego profesję; miała na widoku wielką fortunę. Upatrzyła sobie doktora dla jednej z dziewcząt, lord Havering zaś próbował nakłonić go do zainwestowania w jakiś pewny interes, którego powodzenie miało zależeć od paru tysięcy funtów wniesionych przez dziedzica MacAndrew.

— Jestem zdumiona, że ojciec puścił pana tak daleko od domu.

Doktor MacAndrew wybuchnął śmiechem.

— Obawiam się, że jest wręcz nieszczęśliwy z tego powodu. Chciał bardzo, żebym pracował z nim w naszej firmie, ale mam jeszcze dwóch starszych braci i jednego młodszego, więc oni mogą przecież zająć się interesami. Od małego ciągnęło mnie do medycyny i mimo sprzeciwu ojca udało mi się skończyć uniwersytet.

— Ja nie chciałabym mieć wiele wspólnego z chorymi ludźmi — wyznałam bez ogródek temu delikatnemu młodzieńcowi o życzliwych oczach. — Nie mam za grosz cierpliwości.

— Naprawdę? — odparł ze szczerym współczuciem. — Żeby tylko każdy człowiek był taki silny i zręczny jak pani! Gdy widzę panią galopującą na koniu przez niziny, aż oczy śmieją mi się z radości. Nie pasuje pani do szpitalnej sali, panno Lacey. Wolałbym zawsze oglądać panią młodą i śliczną w otwartej przestrzeni. Schlebiał mi.

— Nie powinien pan wcale widzieć mnie galopującej — rzekłam z powagą. — Nie wolno mi było opuszczać granic posiadłości podczas żałoby i nie powinnam była pokazywać się publicznie na koniu. Jeśli jednak mam dobrego konia i wieje miły wietrzyk, nie potrafię się oprzeć.

Uśmiechnął się, słysząc zapal w moim głosie. Zaczęliśmy mówić o koniach. Spostrzegłam już w czasie choroby, że doktor ma dobre oko do koni. Para wspaniałych gniadoszy ciągnęła jego powóz: równy krok, szlachetna linia grzbietu, płomiennobrzowa grzywa.

Zastanawiałam się wtedy nawet, skąd młody doktor wziął pieniądze na tak wyśmienite konie. Teraz wszystko się wyjaśniło. Opowiedziałam mu o swoim pierwszym kucyku, którego dostałam od papy, a on opowiedział o swoim pierwszym psie myśliwskim. Nie miałam pojęcia, że połowa gości obserwuje nas bacznie.

— Beatrice, moja droga... — odezwała się mama z wahaniem.

Podniosłam wzrok. Nadciągała lady Havering. Jak wytrawna gospodyni przyjęcia zabrała doktora, aby przedstawić go innym obecnym. Mama przypomniała mi, że muszę iść z Celią na górę i pomóc jej przebrać się z sukni ślubnej w strój podróżny.

Moja pomoc ograniczyła się do patrzenia rozmarzonym wzrokiem przez okno. Pokojówka Celi krzątała się wokół strojów. Zadbała nawet o mój żakiecik i czepek. Czułam się nieszczęśliwa wyjeżdżając z Wideacre. Opuszczałam znajome krajobrazy, wzgórza i drzewa tracące powoli kolor. Ze łzami żegnałam się z mamą. Wskoczyłam do powozu. A mama jak zwykle nic nie rozumiejąc, myślała, że ronię łzy właśnie dla niej. Ucałowała mnie serdecznie i pobłogosławiła. W tłumie ludzi otaczających dylizans, całujących w rękę Celię, wykrzykujących jakieś rady i życzenia, szukałam doktora MacAndrew. Stał z dala. Napotkał mój wzrok. Miał w oczach ciepły uśmiech przeznaczony tylko dla mnie. Poczułam się dziwnie spokojnie. W całym zgielku nie słyszałam jego słów, lecz z ruchu warg odczytałam: „Wracaj szybko”.

Usiadłam wygodnie w karecie, z uśmiechem na twarzy, otoczona aurą osobliwego ciepła. Zaczął się nasz miodowy miśnięc.

## 8

Noc poślubna przebiegła tak, jak planowaliśmy, a dodatkowo ekscytowała mnie myśl o nieświadomej niczego Celi, śpiącej w pokoju obok. Harry musiał mi zatykać usta dłonią, aby stłumić moje okrzyki rozkoszy. Jego przemoc, a moja bezbronność podniecały nas jeszcze bardziej. Gdy doszedł do szczytu, musiał chować twarz w poduszkach, aby zagłuszyć przeciągły jęk. A potem leżeliśmy w milczeniu uspokojeni, nie kłopotząc się o to, że powinnam wrócić ukradkiem do swojego pokoju.

Zajazd Golden Fleece w Portsmouth leży w pobliżu portu i kiedy zasypialiśmy, słyszałam szum fal uderzających o kamienne wały. Zapach słonego powietrza kazał mi nareszcie poczuć, że jesteśmy w podróży i daleko zostały nadzieje i obawy związane z Wideacre. Harry wzdychał ciężko i przewracał się z boku na bok, ja zaś leżałam cicho w obcym pokoju, rozpamiętując smak oddalenia od domu, a z tej bezpiecznej perspektywy jeszcze lepiej rozumiałam, co znaczy dom. Niepostrzeżenie przeniosłam myśli na Ralpa, dawnego Ralpa z czasów miłosnych uniesień, tęskniącego do czystej wykwintnej pościeli. Miał rację, że nam zazdrościł. Ziemia i bogactwo, które ziemia wydaje — oto istota wszystkiego.

Leżałam na plecach, patrząc w ciemności i słuchając szumu fal, jak gdyby wzdychania wody dotykającej łądu. Teraz miałam Harry'ego, a obok spała Celia, niewzruszona w swojej przyjaźni do mnie. Dawny ból serca, strach przed odrzuceniem, przed brakiem miłości, zniknął. Byłam kochana. Mój brat, dziedzic, uwielbiał mnie i zrobiłby dla mnie wszystko na skinienie ręki. Uspokoiliam się też co do naszej ziemi. Harry przejął prawa własności, lecz stosował się przecież do moich poleceń. A jednak patrząc w zamyśleniu na szary sufit sypialni, wiedziałam, że to nie wystarczy. Potrzebowałam czegoś więcej, czegoś magicznego, tajemnej siły, która uczyniła z Harry'ego boski snop, złotogłowy, złotoskóry, górujący nad pszeniczną krainą. Wtedy, wyszedłszy z cienia stodoły, powitałam nie tylko mężczyznę, którego pożałowałam; powitałam bożka żniw, a on dojrzał we mnie pradawną boginię urodzaju. Teraz leżał przy mnie mężczyzna w koszuli nocnej, pochrapujący, nie mający nic wspólnego z obiektem mojej wizji i namiętności.

Myślałam też oczywiście o Ralphie. Przez wszystkie słoneczne dni ukrytych pieśczoł, pocałunków i spotkań Ralph nigdy nie utracił swej magicznej aury. Zawsze miał w sobie coś dzikiego, leśnego; zawsze zionął magią Wideacre. Harry, tak jak sam twierdził, mógłby mieszkać gdziekolwiek.

Przekręciłam się na bok i przylgnęłam do pulchnych pleców Harry'ego, czekając na sen. Nigdy nie panowałabym nad Ralphem tak jak nad Harrym. Nie ścierpiałabym władzy jakiegoś pana nad sobą, ale w głębi duszy nie mogłam też powstrzymać się od pogardy dla człowieka posłusznego jak tresowana małpka. Każdy wytrawny jeździec lubi konia reagującego posłusznie na polecenia. Któż jednak nie podejmuje z radością wyzwania konia o rogatej, przekornej duszy? Harry pozostanie na zawsze salonowym pieskiem, ja zaś czułam łączność z pradawną magiczną siłą wciąż obecną w lasach Wideacre. Wyobrażałam sobie, że jestem zielonookim, zwinnym dzikim zwierzęciem. Potem zapadłam w drzemkę. A potem zasnęłam kamiennym snem.

Poranna krzątanina w hotelu obudziła mnie na tyle wcześnie, że zdążyłam wśliznąć się przez drzwi wewnętrzne do swojego pokoju, zanim pokojówka przyniosła mi filiżankę czekolady i gorącą wodę do mycia. Z okna sypialni widziałam port. Woda witała mnie swym błękitem. Łodzie rybackie i jachty tańczyły na łagodnych falach. Nie mogłam się już doczekać odpłynięcia. Śmiałyśmy się z Celią wchodząc na prom zacumowany przy wysokim nabrzeżu.

Pierwsze minuty na morzu — zachwycające. Statek kołysał się cudownie, powstrzymywany cumami; mnóstwo nowych wrażeń, widoków, zapachów. Tłum sprzedawców portowych oferował podróżnym towary. Owoce, żywność w małych koszykach jako prowiant na drogę, pamiątkowe widoczki z Anglii (dla tych, co powracali do Francji), setki lichych błyskotek zrobionych z muszli, piękne wyroby szklane.

Nawet widok beznogiego mężczyzny — kalekiego marynarza — nie przyprawił mnie o drżenie ze strachu przed nadciągającym niebezpieczeństwem. Ze zgrozą gapiłam się na kikuty ud; podziwiałam zręczność, z jaką się poruszał, odrażającą wręcz wprawę w przemieszczaniu się. Kaleka miał jasne włosy i to mnie uspokoiło — wiedziałam, że opuszczając Wideacre uciekłam od Ralpa i nieubłaganego spotkania z nim. Jak każe przesąd, rzuciłam kalece pensa. Chwycił monetę i podziękował wyćwiczonym uniżonym tonem. Serce ścisnęło mi się na myśl o Ralphie, wywołaną widokiem żebraka. Zapomniałam jednak o wszystkim, kiedy Celia zawołała:

— Patrzcie! Patrzcie! Rozwijamy żagle!

Zwinnie jak wiewiórki marynarze wdrapali się na podwójne maszty i rozwinęli płótno żagli, które zatrzepotały na wietrze. Przywiązali liny. Pośród ochrypłych wrzasków i przekleństw gapiów stojących na nadbrzeżu odwiązane cumy zostały rzucone na pokład. Celia i ja schodziłyśmy z drogi mężczyznom wyglądającym jak piraci, kiedy śmigali od jednej liny do drugiej, naciągając żagle i mocując liny. Wały portu oddalały się, a machający na pożegnanie ludzie maleli. Statek dopłynął do wejścia do portu, gdzie falochrony z żółtego piaskowca zdawały się zatrzymywać nas na ostatnią sekundę w Anglii, w domu. A potem popruliśmy przez spienione wody, mijając granicę, gdzie rzeka i fala odpływu łączy się z morzem, i dalej popędziliśmy z wiatrem.

Wzdęte wiatrem żagle prężyły się i grzmiały, a marynarze nie krzatali się już tak gorączkowo, co wzięłyśmy z Celią za dobry znak. Poszłam na dziób i upewniwszy się, że nikt nie patrzy, wychyliłam się przez bukszpryt, jak najdalej zdołam, aby obserwować mijane fale i wbijający się w nie dziób statku. Spędziłam tam dobrą godzinę zafascynowana kłębam fal, ale kołysanie było coraz gwałtowniejsze i mimo południowej pory niebo pociemniało od gęstych chmur, co oznaczało sztorm. Zaczęło padać, a ja poczułam znużenie. Musiałam schronić się w kajucie przed deszczem. Kołysanie przestało sprawiać przyjemność: przeciwnie, widok przechylającego się co rusz pomieszczenia wprawiał w ośpienie.

Zmęczenie przeszło w obrzydzenie. Pomyślałam, że poczuć się lepiej na pokładzie. Starłam się wrócić pamięcią do przyjemnych chwil na dziobie prującym wodę. Bez rezultatu. Nienawidziłam tego statku, tego bezmyślnego kołysania fal. Całym sercem pragnęłam znaleźć się znów na lądzie.

Otworzyłam drzwi kajuty i przywołałam pokojówkę zajmującą kajutę naprzeciwko. Nagły napad mdłości kazał mi szukać miednicy. Byłam sama, chora i bezradna. Huśtanie statku sprawiło, że zatoczyłam się na koję. Wszystko w mojej kajucie ślizgało się i bujało, a niezabezpieczone bagaże jeździły po podłodze, obijając się o ściany. Byłam strasznie chora. Nie panowałam nad własnym ciałem. Uchwyciłam się kurczowo krawędzi koi i szlochałam głośno ze strachu i z bólu. Wzywałam pomocy. Potem znów miałam nudności. Opadłam na poduszki, kołyszące się niemiłosiernie, a potem zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, kabina wciąż znajdowała się w ruchu, ktoś jednak ustawił nieruchomo bagaże, tak że ciasne pomieszczenie nie wydawało się już tak przerażające. Poczulałam mdłą woń lilii. Posprzątano. Rozejrzałam się za pokojówką, lecz spostrzegłam Celię. Siedziała na podrygującym krześle i spokojnie uśmiechała się do mnie.

— Tak się cieszę, że już ci lepiej — stwierdziła. — Czy czujesz się na tyle dobrze, żeby coś zjeść? Trochę zupy albo samej herbaty?

Nie bardzo wiedziałam, gdzie jestem ani co się dzieje. Potrząsnęłam niechętnie głową, a żołądek skręcił się na wspomnienie o jedzeniu.

— A zatem pośpij sobie — odrzekła dziwnie stanowczo Celia. — To najlepsze, co możesz teraz zrobić. Wkrótce bezpiecznie dotrzemy do portu.

Zamknęłam oczy zbyt słaba, aby się czymkolwiek przejmować. Zasnęłam. Obudziłam się jeszcze raz, gdy poczułam nudności i ktoś podstawił mi miednicę, zręcznie umył twarz i ręce ciepłą wodą, wytarł i położył głowę na odwróconej poduszce. Śniło mi się, że to moja matka; wiedziałam, że to nie pokojówka. W nocy znów się obudziłam i dopiero wtedy zrozumiałam, że to Celia mnie pielęgnuje.



— Byłaś tu przez cały czas? — spytałam.

— O, tak — odparła najnaturalniej w świecie. — Poza chwilami, kiedy zajmowałam się Harrym.

— On też jest chory? — zdziwiłam się.

— I to chyba bardziej niż ty — spokojnie oznajmiła Celia. — Kiedy jednak dopłyniemy do Francji, oboje całkiem już wyzdrowiejecie.

— Nie przeszkadza ci to, że się nami opiekujesz, Celio?

Uśmiechnęła się, a jej cichy głos dochodził jakby z oddali, gdy znów zasypiałam.

— Och, nie. Ja w rzeczywistości jestem silniejsza, niż ci się wydaje.

Kiedy obudziłam się następnym razem, straszne kołysanie i podrygiwanie ustało. Czulałam się słaba i kręciło mi się w głowie, ale skończyły się nudności. Usiadłam i opuściłam bose stopy na podłogę. Nieco chwiejnie, lecz o nic się nie opierając, poszłam na paluszkach do kajuty Harry'ego. Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Stałam na progu milcząc.

Celia pochylała się nad koją Harry'ego z miską zupy w jednej ręce, drugą zaś podłożyła mu pod plecy. Pod plecy mojego Harry'ego. Patrzyłam, jak Harry siorbie zupę niczym chore niemowlę. Potem Celia ułożyła go na poduszce.

— Lepiej? — spytała niewymownie czule.

Harry pogłaskał jej dłoń.

— Moja droga — odezwał się — jesteś dla mnie taka dobra, taka kochana.

Celia uśmiechnęła się i delikatnie odgarnęła kosmyk włosów z czoła Harry'ego.

— Och, ty głuptasku. Przecież jestem twoją żoną. Oczywiście, że muszę się tobą opiekować, kiedy jesteś chory. Przrzekałam ci miłość w zdrowiu i w chorobie. Jestem szczęśliwa mogąc pielęgnować i ciebie, i drogą Beatrice.

Ze zgrozą obserwowałam, jak Harry ujął dłoń Celi i delikatnie pocałował. A ona, ta chłodna nieśmiała Celia pochylała się i pocałowała go w czoło. Potem zaciągnęła kotary wokół koi. Wycofałam się po cichu na bosych stopach i zamknęłam drzwi. Poufałość Celi, czułość wobec Harry'ego, zdumiewały i obudziły moją czujność. Jeszcze raz poczułam ukłucie zazdrości, a także strach przed wykluczeniem poza nawias ich stadła. Dla dodania sobie odwagi, dla upewnienia się o swojej piękności zwróciłam się do lusterka zawieszzonego na drewnianej ścianie kajuty. Wyglądałam blado, jak osoba schorowana; skóra przybrała odcień wosku.

Upadły wszelkie pomysły podkradania się do kajuty Harry'ego czy nawet do jego koi. Jeśli znajdował się w podobnym stanie, nie miałby ochoty ani na kłótnię, ani na namiętne pojednanie.

Ubrałam się, wciąż z wyrazem oszołomienia na twarzy. Po raz pierwszy ujawniły się różnice między nami — z dala od domu, w chorobie. Uderzyło mnie, jak niewiele mamy z Harrym wspólnego. Z dala od Wideacre, z dala od mojej obsesji i zbyt wyczerpani, by się kochać — byliśmy jak obcy sobie ludzie. Gdybym poszła do jego kajuty nie po to, by urządzać scenę zazdrości, właściwie nie miałabym nic do powiedzenia. Mnie nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby przynosić mu zupę i karmić go niczym odrażające przerośnięte niemowlę albo zaciągać kotary, żeby nic nie zakłócało jego snu. Nigdy nie pielęgnowałam inwalidy. Nigdy w dzieciństwie nie bawiłam się lalkami i nigdy nie pociągała mnie miłość jako związek, w którym dominuje czułość i opiekuńczość.

Celia rozkwitała czując się potrzebna, wdzięczność zaś Harry'ego i zabieganie o jej opiekę tworzyły osobliwe zaiste tło dla zachowań młodej żony, a ja nie wiedziałam, jak mam traktować ich nową więź.

Na pokładzie, patrząc na cudownie spokojny już horyzont, nie planowałam w żadnym razie zepsucia radości Celi. Jeśli podobało jej się opiekowanie Harrym i mną podczas szkaradnej choroby morskiej, nie powinnam jej tego zazdrościć. I jeśli Harry pocałował ją w rękę z wdzięczności, to także nie mogłam się czuć pokrzywdzona. Wiatr smagał mi policzki, dodawał im rumieńców i splątywał włosy, a we mnie rosła nadzieja. Tu, we Francji, podczas długich wakacji, nie podpatrywani przez nikogo, przez nikogo nie podsłuchiwani, mogliśmy do woli oszukiwać naiwną, głupiutką oddaną Celię.

Harry i Celia przyłączyli się do mnie. Wybaczyłam im nawet to, że szli pod ramię; spostrzegłam, że mój ongiś silny, zdrowy kochanek szuka wsparcia w Celi. Był błądy i chwiały się. Uśmiechnął się dopiero wtedy, gdy zapewniłam, że za niecałą godzinę schodzimy na ląd. Nie niepokoiłam się więcej. Kiedy tylko Harry wydobrzeje i wróci mu apetyt, znów będzie mój, na skinienie ręki.

Obiad zjedliśmy tego dnia w Cherbourgu, tu też nocowaliśmy. Rano Harry poczuł się świetnie. Ja też nie narzekałam na zdrowie, lecz mdłości powróciły i nie zjadłam śniadania. Zawroty głowy minęły; kiedy jednak rano tylko podniosłam głowę z poduszki, zrobiło mi się niedobrze. Inni jedli na śniadanie rogaliki, pili kawę, a ja przechadzałam się na świeżym powietrzu w ogrodzie gospody i patrzyłam, jak ładują nasze bagaże do dylizansu. Przerazała mnie długa droga do Paryża w ciasnocie kołyszącej się karety. Kiedy Harry podał mi rękę przy wsiadaniu do powozu, z trudem zdobyłam się na uśmiech.

Hen za nami zostało morze i zapachy statku, a choroba morska trwała we mnie, przeklęta, przez całą drogę do Paryża, przez wszystkie słoneczne poranki paryskie, gdy Harry waleniem w drzwi wołał mnie na przejażdżkę po lasku i przez wszystkie poranki podróży na południe.

Pewnego ranka czując mdłości, podniosłam głowę do otwartego okna i przyznałam się wreszcie przed sobą do tego, co tak długo od siebie odsuwałam. Byłam w ciąży.

Po trzech dniach podróży z Paryża znaleźliśmy się w sercu francuskiej prowincji. Patrzyłam na mozaikę dachów ślicznego miasteczka i wdychałam powietrze o wiele cieplejsze niż w jesiennej Anglii, a także zapachy kuchenne — czosnku i jakiejś dziwnej przyprawy korzennej. Zbierało mi się na wymioty, ale przy pustym żołądku nie miałam czego się obawiać.

Spod moich spuchniętych powiek popłynęły łzy. Chłodne smugi na policzkach wyrażały mój smutek. Niebieskie spadziste dachy, wysoka wieża starego kościoła, niebieskawy horyzont; cały krajobraz tonął w gorącym powietrzu, które nie mogło rozgrzać mego wnętrza. Spodziewałam się dziecka. I bałam się.

Jechaliśmy dalej. Inni czekali na mnie pod gospodą, a ja udałam, że zapomniałam czegoś zabrać z pokoju. Chciałam uciec przed ich wzrokiem. Rumieńce zaczynały wypełzać na moją twarz i zbierało mi się na wymioty. Musiałam zejść, wsiąść do dylizansu i spędzić prawie cały dzień podskakując na wyboistych francuskich drogach i słuchając Celi czytającej na głos fragmenty z bedekera przy pochrapywaniu Harry'ego. Do kogo mogłabym wyciągnąć rękę po pomoc w mojej rozpaczliwej sytuacji?

Od dawna coś podejrzewałam. Gdy we właściwym czasie nie pojawiło się krwawienie, szukałam przyczyny w podekscytowaniu weselem i podróżą. Od tygodnia, dwóch, w głębi serca zaczęłam mieć pewność.

Wypierałam ten fakt ze świadomości. Takie tchórzostwo bardziej pasowałoby do mamy i do Harry'ego niż do mnie.

W słoneczne ranki budziłam się chora i przerażona. Kiedy uśmiechałam się do Harry'ego i gawędziłam z Celią, uspokajałam się, że to tylko reakcja na podróż, że znów jestem zdrowa. W nocy, w łóżku z Harrym, gdy wbijał się we mnie głęboko, miałam gdzieś jeszcze nadzieję, że namiętność wymusi na mnie krwawienie. A rankiem znów mdłości i lęk. Było coraz gorzej. Bałam się, że troskliwa Celia wreszcie coś zauważy, że samotność i wyczerpanie każą mi zdradzić sekret. Że potrzeba pomocy, miłości i pocieszenia zwycięży nad poczuciem zdrowego rozsądku.

Tak się bałam i tak byłam samotna, że nie ośmielałam się nawet pomyśleć o swojej sytuacji.

Wyjęłam chusteczkę z torebki jako pretekst powrotu i zesłam. Celia czekała w hallu, a Harry płacił rachunek. Uśmiechnęła się na mój widok, lecz sztywne mięśnie twarzy powściągnęły mój uśmiech.

— Dobrze się czujesz, Beatrice? — spytała, spostrzegłszy moją bladość.

— Wspaniale — odrzekłam krótko.

Poczytała to za niechęć do dalszej rozmowy i zamilkła. A ja pragnęłam szlochać i rzucić się w jej ramiona, błagając o pomoc i ocalenie przed groźną przyszłością.

W ogóle nie wiedziałam, jak mam postąpić.

Weszłam do powozu jak na szafot i gapiłam się bezmyślnie przez okno, aby zniechęcić Celię do pogawędki. Ukryłam dłonie pod torebką i liczyłam na palcach. Byłam w drugim miesiącu ciąży. W maju nadejdzie rozwiązanie.

Z bezsilną nienawiścią wpatrywałam się w słoneczne pejzaże Francji, przysadziste domki i schludnie skopane ogródki. Ten obcy nieznany kraj wydawał się wyrastać wprost z moich sennych koszmarów. Byłam śmiertelnie przerażona tym, co nadejdzie. Umrę przy porodzie w hańbie i nigdy już nie zobaczę ukochanego domu rodzinnego. Ciało moje zostanie pochowane na jednym z tutejszych wstrętnych zatłoczonych cmentarzy, a nie przy kościele w Acre, gdzie moje miejsce. Wyrwało mi się ciche westchnienie, aż Celia podniosła wzrok znad książki. Poczułam na sobie jej wzrok, lecz nie odwróciłam głowy. Wyciągnęła drobną dłoń i delikatnie dotknęła mego ramienia, tak jak pociesza się zapłakane dziecko. Nie zareagowałam, ten gest uspokoił mnie jednak trochę. Zamrugalam powiekami, aby odpędzić łzy.

Przez dwa czy trzy dni nieszczęsnej podróży siedziałam w powozie milcząc. A Harry niczego nie zauważył. Kiedy mu się nudziło, jechał na koźle, aby lepiej widzieć krajobraz, lub wynajmował konia i jechał obok. Celia obserwowała mnie z zatroskaniem, gotowa w razie potrzeby odezwać się; nie przeszkadzała mi samej uporać się z paskudnym nastrojem. Ja zaś nie mówiłam nic. Twarz mi pogodniała, gdy Harry siedział obok, a kiedy byłam z Celią, gapiłam się przez okno.

Zanim dotarliśmy do Bordeaux, pierwszy szok miałam już za sobą. Wyszłam z tępego oszołomienia. Najpierw chciałam się pozbyć owej małej niedogodności. Powiedziałam Harry'emu, że chciałabym spędzić cały dzień na jeździe konnej, aby otrząsnąć się z resztek złego samopoczucia. Patrzył nieufnie, gdy w stajni wybrałam krnąbrnego ogiera i nalegałam, by go osiodłać po damsku. Wszyscy mi to odradzali. I mieli rację. Nawet tryskając zdrowiem nie utrzymałabym się na tym koniu. Zrzucił mnie od razu na dziedzińcu stajennym, w ciągu dziesięciu sekund. Wszyscy rzucili mi się na pomoc, a ja zdobyłam się na uśmiech i powiedziałam, że

nic mi nie jest, że chcę tylko chwilę posiedzieć w spokoju. Usiadłam i czekałam. Nie wyglądało na to, że coś się stało. Wróciłam do pokoju hotelowego i dalej czekałam. Ciepłe słońce francuskiej jesieni sączyło się przez okno, a ja skowyczałam, nienawidząc wszystkiego, co rośnie w siłę i wydaje owoce. Śliczny jasny pokoiak osaczał mnie swymi ścianami. Nie miałam czym oddychać. Francja cuchnęła. Złapałam czepeczek i zbiegłam ze schodów. Na czas naszego pobytu w mieście Harry wynajął małe lando. Kazałam podjechać do drzwi. Celia powoli podeszła do mnie.

— Wybierasz się sama na przejażdżkę, Beatrice? — spytała zaskoczona.

— Tak — odparłam krótko. — Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

— Mogę pojechać z tobą? — jej niezobowiązujący ton irytował mnie wielce na początku podróży, zrozumiałam jednak rychło, że nie wynikał z braku własnego zdania; Celia po prostu chciała sprawić mi przyjemność.

Wszystkie jej pytania, w rodzaju: „Czy mogłabym pójść do teatru?“, „Czy mogłabym zjeść obiad z tobą i Harrym?“, oznaczały tylko tyle, ile w rzeczywistości oznaczały. Celia chciała się dowiedzieć, co mi najlepiej odpowiada, a Harry i ja przekonaliśmy się, że poprzez odrzucenie lub akceptację propozycji Celi nie urażamy jej wcale.

— Wolalabym nie — stwierdziłam. — Zrób Harry'emu herbaty, kiedy przyjdzie. Wiesz, jak on lubi herbatę, a tutejsza służba nie potrafi jej parzyć. Niedługo wrócę.

Celia zgodziła się z uśmiechem i patrzyła, jak wychodzę. Zachowałam spokój na twarzy, przechodząc obok okien hotelu, kiedy jednak zniknęłam Celi z oczu, opuściłam krótką woalkę i zapłakałam.

Byłam zgubiona, zgubiona, zgubiona! Co robić? Pustka w głowie. Najpierw chciałam o wszystkim powiedzieć Harry'emu, abyśmy wspólnie znaleźli rozwiązanie. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegał mnie jednak, żeby poczekać i nie czynić w panice wyznań, których nie mogłabym przecież odwołać.

Dawniej, w domu, pierwsze kroki skierowałabym do Meg, wiedźmowatej matki Ralpa. Cóż, pozostało mi po niej tylko wspomnienie... Wiedziałam, tak jak każde dziecko wychowane na wsi, że dziewczęta oddane na służbę, dziewczęta zaręczone wbrew ich woli czy uwiedzione przez żonatych mężczyzn mogły pozbyć się swoich kłopotów z pomocą kobiet podobnych do Meg oraz pewnych tajemniczych, na wpół trujących roślin. Nie znałam niestety ich nazwy ani sposobu użycia.

Niewątpliwie to zaspiane francuskie miasteczko targowe, jak każde miasteczko miało swoją kobietę służącą życzliwą radą dziewczętom w mojej sytuacji. Jak tu taką znaleźć, nie wzbudzając plotek w gospodzie? Brak szczęścia, przypadek, potłukłam się tylko i nic nie wskórałam, a jeszcze przestraszyłam Harry'ego i siebie samą. I dalej nosiłam w sobie rosnący chwast.

Woźnica przystanął i czekał na instrukcje.

— Jedź dalej — kazałam wzburzona. — Na wieś, przed siebie. — Kiwnął głową i posłusznie strzelił batem. Cóż, takie życzenie młodej ekscentrycznej Angielki. Powóz wyjechał z miasteczka. Przy drodze pojawiły się chatki w ogródkach, a już za rogatkami — pola i rzędy winnych pędów pnących się do błękitnego nieba.

Gapiałam się z nieszczęśliwą miną na pagórkowaty krajobraz tak niepodobny do okolic ukochanej Wideacre. Nasze wzgórza porastają gdzieśbukowe zagajniki, ich zwieńczeniem zaś jest zwykle czapa

miękkiego torfu, tu zaś zбочa schodziły tarasami, a każdy cal ich powierzchni pokrywały monotonne winoro- winorośle, tu i ówdzie upstrzone chłopskimi poletkami. Przyjemny kraj dla zwiedzających; przyjemnie jechać drogą w tumanach kurzu pod gorącym nieangielskim słońcem; nie chciałabym jednak należeć do francuskiej biedoty. Naszym ludziom też wiele brakuje do zamożności, a ja nie przepłacam za ich pracę, ale nie muszą wydierać z suchej ziemi każdego kęsa pożywienia, jak wieśniacy we Francji. Harry i ja wiele się nauczyliśmy rozmawiając z najlepszymi rolnikami, uderzył nas jednak fakt, że niewielu właścicieli ziemskich wystawiało nos poza własny ogród. Nade wszystko jednak upewniliśmy się, że nowe metody prowadzenia gospodarstwa w połączeniu z solidną pracą — oto przyszłość Wideacre.

Ogarnęła mnie fala nostalgii. Zateśniłam do domu i do ziemi. Chciałam się znaleźć tam, a nie w tym obcym jałowym kraju, w sukienkach coraz ciaśniejszych w gorsie. Ból nostalgii zaowocował niespodziewanie wspaniałym pomysłem. Aż zawyłam i wyprostowałam się na siedzeniu, a woźnica ściągnął cugle, aby sprawdzić, czy już wracamy. Machnęłam ręką każąc jechać dalej i instynktownie zacisnęłam dłonie na leciutko zaokrąglonym brzuchu. To dziecko, drogie dziecko, dopiero co określane jako „chwast”, było dziedzicem Wideacre. Jeśli to chłopiec (a w to nie wątpiłam), zostanie w przyszłości panem Wideacre i nie da mnie stamtąd wypędzić. Matka syna dziedzica, pani najcenniejszych terenów; pani — lecz nie w świetle prawa. Moje dziecko zostanie panem.

Natychmiast poczułam się inaczej. Zginęły urazy i wątpliwości. Przestałam się troszczyć o kłopoty, a nawet o ból, bowiem przyczyną tego wszystkiego był bezcenny syn rosnący w łonie aż do chwili narodzin i zajęcia należnego mu miejsca.

Znów pomyślałam o powiadomieniu Harry'ego, o polechtaniu jego próżności. Spłodził syna, dziedzica! Znów ostrzegł mnie instynkt. Powinnam działać ostrożnie. Harry był mój, bez reszty mój i ta podróż tego dowiodła. Co wieczór gdy nastawał mrok i do naszych pokoi wnoszono świece (a jeśli jedliśmy kolację na świeżym powietrzu, zapalano latarnie), Harry kierował na mnie wzrok i widział już tylko błysk moich włosów i wyraz mojej twarzy. Celia cicho przeproszała i zostawiała nas samych. Wieczory i noce należały do mnie, tylko do mnie. Przez długie godziny dawaliśmy sobie rozkosz, a potem zasypialiśmy w swoich ramionach. Za dnia musiałam się dzielić Harrym z Celią. Spostrzegłam — i nie mogłam temu zapobiec — delikatną więź intymności między młodym mężem i żoną.

Od czasu wydarzeń na przeklętym statku Celia i Harry zaczęli się do siebie przyzwyczajać. Ona uwielbiała być usłużna; pocieszać go, kiedy był zmęczony, wprowadzać zmiany w urzędzeniu pokoi hotelowych, tak by były eleganckie, a zarazem wygodne. Chorobliwie nieśmiała Celia ze swoją kulejącą francuszczyzną wyruszała do kuchni, aby przekazywać nasze życzenia odnośnie do parzenia herbaty. Pilnowała kucharzy nie zrażona ich gburowatością, aż przyrządzili herbatę, która mogła zadowolić podniebienie Harry'ego.

Była zabawnie opiekuńcza wobec mężczyzny należącego przecież do mnie. Pozwalałam jej na to nieszkodliwe hobby, przecież właściwie mnie wyręczała. Pakowała pościel i bieliznę, kiedy przeprowadzaliśmy się do następnego hotelu. Szukała krawca, praczki, szewca, kwiaciarki; reperowała hafty na fraku Harry'ego i usługiwała mu jak pokojówka, a ja zabawiałam go i dawałam rozkosz jak komuś równemu sobie.



Stała się ufniejsza po pewnej pełnej napięcia nocy w Paryżu, kiedy zostali wreszcie mężem i żoną. Razem z Harrym wybraliśmy tę noc, aby wywiązał się w końcu ze swoich obowiązków. Upewniłam się, że ocenia to zadanie jako rzecz wysoce nieprzyjemną.

Założyłam głęboko wyciętą suknię do opery i na kolację po operze. Zrzuciłam żałobne szaty, gdy tylko postawiłam nogę na kontynencie. Natychmiast odziałam się w błyszczącą zieleń niczym młoda brzoźka. Włosy upudrowałam na biało, co nadawało mojej cerze odcień wytrawnego wina. Nikt w hotelu nie mógł ode mnie oderwać oczu, kiedy Harry, Celia i ja szliśmy do naszego stolika. Celia w blad różowej kreacji została przeze mnie całkiem zaćmiona.

Harry popijał tego i wybuchał śmiechem, kiedy dowcipkowałam. Nerwy miał napięte jak postronki. Chciał zachować się delikatnie wobec Celi. Ona zaś wyglądała bardziej jak skazaniec kładący szyję pod gilotynę niż jak panna młoda. W dziewczęcej sukience, blada, milcząca, nie jadła nic przez cały wieczór. Posłałam Harry'ego do jej pokoju pewna, że nic więcej nie można zrobić, aby dodać temu aktowi aury nieprzyjemnej i bolesnej konieczności.

Uwinał się szybciej, niż oczekiwałam. Przyszedł do mojego pokoju w szlafroku i koszuli nocnej poplamionej jej krwią.

— Zrobione — powiedział krótko i wskoczył pod kołdrę.

Usnęliśmy w serdecznej przyjaźni, jak gdyby Harry szukał u mnie pocieszenia. Nad ranem, gdy przez okiennice zaczęło się sączyć szare paryskie światło i obudził nas terkot beczkowsów na kocich łbach, zaczęliśmy się kochać.

Zauważyłam, że Celia wydorosła. Nie zdradziła ani słowem swoich przeżyć związanych z bólem pierwszej nocy. Ta mała ufna Celia nic mi nie powiedziała. Lojalność wobec męża — przyjaciela, obłożnie chorego czy legalnego właściciela — nakazywała jej milczenie. Nie snuła też przypuszczeń ani komentarzy, kiedy Harry i ja siedzieliśmy do późna, a ona dawno już spała. Pewnego ranka zaspaliśmy. Celia zastała łóżko Harry'ego całkiem nietknięte. Nic na to nie powiedziała, przyjmując, że Harry zasnął w fotelu, a może w głębi duszy podejrzewała, że spędził noc z inną kobietą. Była dla nas idealną żoną. I chyba bardzo nieszczęśliwą.

Reakcja Harry'ego dostarczyła mi powodów do zastanowienia. Dostrzegał, podobnie jak ja, niezmienną lojalność Celi wobec siebie, mnie, honoru naszej rodziny. Zaczął doceniać jej usłużność. Był przesadnie grzeczny. Między nim a Celią rosło zaufanie. W żaden sposób nie mogłam tego przerwać, nie narażając samej siebie. I właściwie nie miałam powodów, by to robić. Celia miała pocałunki w rękę; dla Celi Harry wstawał, kiedy wchodziła do pokoju; do Celi Harry uśmiechał się przy śniadaniu. A ja miałam namiętność Harry'ego i Wideacre. Wiedziałam dzięki Ralphowi i własnym obserwacjom, że erotyzm i Wideacre to najważniejsze rzeczy, dla mnie i dla każdego człowieka na moim miejscu. To oś konstrukcji łuku bramy prowadzącej do otoczonego murem ogrodu.

Chociaż byłam pewna Harry'ego, niemiły mi obszar jego uczuć dla Celi kazał mi powstrzymać się przed oznajmieniem, że poczęłam dziedzica. Gwałtownie zasłoniłam okno i szturchnęłam woźnicę w plecy.

— Jedź do domu — burknęłam i patrzyłam, jak niezdarnie zawraca na wyboistej drodze, wzbijając tumany kurzu.

Musiałam obmyślić cały plan: jak urodzić dziecko i wychować je w tajemnicy, przygotowując jednocześnie Harry'ego na wiadomość o spółdzeniu ze mną syna i dziedzica. Musiałam ukryć ciążę, odbyć potajemnie poród i znaleźć jakąś zaufaną kobietę, która zaopiekowałaby się dzieckiem do momentu, gdy mogłabym namówić Harry'ego do przedstawienia Celi chłopca jako swego syna i dziedzica oraz do sprawienia, by Celia się nim zajęła.

Skubałam nerwowo rękawiczkę. Mijałam winnice, gdzie chłopci zbierali owoce z rzędów splecionych winorośli. Wielkie ciemne grona dające wysmienite wino bordeaux. Będziemy pić takie przy kolacji. Młode wino, cierpkie niczym iskierki skaczące po języku, Ale nie sprawi mi przyjemności wino przy kolacji, ani nigdy, jeśli nie uporam się z istotą swego problemu. Przede wszystkim Harry może mi po prostu odmówić. Może też się zgodzić, a potem zreflektować się i odmówić obarczenia Celi bękartem. Wiele było dzieci z nieprawego łoża w całym kraju, nikt jednak, o ile się orientowałam, nie wmuszał własnej żonie wychowywania bękarta na dziedzica. Z drugiej strony Celia też może odrzucić dziecko, co z pewnością poparłaby moja matka (nie mówiąc o jej własnej rodzinie). A poza tym każdy chciałby wiedzieć, skąd się wzięło dziecko. Pod tym względem nie ufałabym dyskrecji Harry'ego.

Problem z wprowadzeniem berbecia do Wideacre jako nowego dziedzica wydawał się nie do przewyciężenia. Zaczynałam znów wpadać we wściekłość. Wyglądało na to, że mój syn podobnie jak ja, będzie miał drogę do własności zatarasowaną. Jak ja jednak, mógł równie dobrze odnieść sukces. Zasiądzie na najważniejszym miejscu przy stole w jadalni i zyska władzę nad ziemią. Koszty się tu nie liczą.

Na razie musiałam znaleźć jakąś głupią mamkę, która zaopiekowałaby się noworodkiem i przygotowałaby go do życia jakie miał prowadzić, i do miejsca, które miał zająć.

Lando zatrzymało się. Zostałam wyrwana z marzeń. Musiałam znaleźć w obcym kraju, nie znając języka, jakąś dobrą, życzliwą głupią kobietę, aby jak kukułka wychowywała podrzuczone jej pisklę. Wbiłam czubek parasolki w ziemię, a moja bratowa dobra, życzliwa głupia Celia, zeszła po schodach hotelu, aby mnie powitać. Niczym słońce po burzy pojawiło się oto rozwiązanie wszystkich moich kłopotów.

— Czujesz się już lepiej? — spytała zatroskana.

Wzięłam ją pod ramię, kiedy szłyśmy po schodach.

— O wiele lepiej — odparłam poufale. — I muszę ci coś powiedzieć, Celio. Potrzebuję twojej pomocy. Chodź do mojego pokoju, porozmawiamy przed kolacją.

— Oczywiście — Celia jak zwykle była chętna i usłużna. — Ale co masz mi do powiedzenia? Wiesz, że pomogę ci najlepiej jak potrafię, Beatrice.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością i uprzejmie cofnęłam się, aby ją przepuścić w wejściu do hotelu. Czymże bowiem był ten jeden mały gest uprzejmości wobec spodziewanej lojalności i szlachetnej pomocy prowadzącej w przyszłości do usunięcia w cień jej i jej prawdziwych dzieci?

Kiedy tylko zamknęłam za sobą drzwi sypialni, nadałam swojej twarzy wyraz powagi. Kazałam Celi usiąść obok na szezlongu i wzięłam ją za rękę. Podniosłam na nią smutny, rozczulający wzrok. Moje zielone kocie oczy napęłniły się łzami.

— Celio — zaczęłam. — Znalazłam się w strasznym kłopotcie i nie wiem, jak z tego wybrnąć.

Celia wytrzeszczyła swe brązowe oczy i pobladła.

— Jestem zgubiona, Celio — jęknęłam i wtuliłam twarz w jej szyję. Zadrżała.

— Naprawdę — ściszyłam głos. — Celio, spodziewam się dziecka.

Westchnęła i zamarła. Czułam, jak każdy mięsień jej ciała napina się ze zgrozy i zaszokowania. A potem zdecydowanym gestem obróciła ku sobie moją twarz i spojrzała mi prosto w oczy.

— Beatrice, jesteś pewna?

— Tak — obie wyglądałyśmy na przerażone. — Tak, jestem pewna. Och, Celio! Co mam zrobić?

Wargi jej dygotały. Objęła dłońmi moją twarz.

— Cokolwiek się stanie, masz we mnie przyjaciółkę — stwierdziła.

Zamilkłyśmy. Celia oswajała się z wiadomością.

— A ojciec dziecka? — zapytała nieśmiało.

— Nie wiem — obmyśliłam najwygodniejsze kłamstwo. — Pamiętasz ten dzień, kiedy przyjechałam do was przymierzyć suknię i nagle zasłabłam?

Kiwnęła głową, wpatrując się we mnie szczerymi oczami.

— Jadąc do waszego dworu, źle się poczułam i zsiadłam z konia. Zemdlałam, a kiedy się ocknęłam, spostrzegłam, że cuci mnie jakiś dżentelmen. Suknię miałam w nieładzie, może zresztą pamiętasz rozdarty kołnierzyk... nie wiedziałam jednak... nie byłam świadoma... — mój głos przeszedł w szept tłumiony łzami i wstydem. — I chyba on zhańbił mnie, kiedy straciłam przytomność.

Celia zacisnęła swe dłonie na moich.

— Znałaś go, Beatrice? Poznałabyś go teraz?

— Nie — wybrałam najkorzystniejsze zakończenie tej fantazji. — Nigdy przedtem go nie widziałam. Podróżował powozem, z bagażem przytroczonym z tyłu. Może jechał przez Acre do Londynu?

— O Boże — odezwała się zrozpaczona Celia. — Moje ty biedactwo.

Szloch nie dał jej mówić dalej. Siedziałyśmy objęte, policzek przy policzku, płacząc. Pomyślałam złośliwie, że tylko panienka karmiona romansami, zgwałcona jeden raz przez męża i zostawiona potem w spokoju, mogła przełknąć takie dyrdymały. Zanim jednak Celia nabędzie doświadczenia i zwątpi w możliwość nieświadomego poczęcia, przejmie się moimi łgarstwami i przyjmie je za prawdę.

— Cóż możemy zrobić, Beatrice? — w jej głosie pobrzmiwała beznadzieja.

— Pomyślę o czymś — stwierdziłam dzielnie. — Nie smuć się zawczasu, Celio. Idź przebierz się do kolacji. Porozmawiamy jeszcze jutro, kiedy będzie na to więcej czasu.

Celia posłusznie wyszła. Przy drzwiach przystanąła jednak.

— Powiesz Harry'emu? — spytała.

Powoli potrząsnęłam głową.

— Nie zniósłby myśli o hańbie swojej siostry, Celio. Wiesz, jaki on jest. Ścigałby tego człowieka, tego czarta, po całej Anglii i nie spocząłby, dopóki by go nie zabił. Muszę znaleźć sposób, by zachować całą sprawę w całkowitej tajemnicy. Niech to zostanie między nami. Droga Celio, składam swoją cześć w twoje ręce.

Nie trzeba jej było powtarzać dwa razy. Cofnęła się, pocałowała mnie, aby zapewnić o swojej dyskrecji. I wreszcie wyszła, zamykając za sobą drzwi tak delikatnie, jak gdybym była obłożnie chora.

Wyprostowałam się i uśmiechnęłam do własnego odbicia w lustrze prześlicznej francuskiej toaletki. Tak pięknie jeszcze nie wyglądałam. Zmiany zachodzące w moim organizmie wpływały fatalnie na samopoczucie, lecz zbawiennie na wygląd. Pełniejsze, zmysłowe piersi ściśnięte panią suknią wzbudzały w Harrym nieustanne pożądanie. Nieco szersza talia zachowała jednak swą gibkość. Policzki zarumieniły się, a oczy błyszczały. Odzyskałam kontrolę nad wydarzeniami i od razu poczułam się lepiej. Nie byłam już głupią dziwką obciążoną bękartem, lecz dumną kobietą noszącą pod sercem przyszłego pana Wideacre.

Nazajutrz kiedy siedziałyśmy zajęte szyciem w słonecznym hotelowym salonie, Celia niemal natychmiast nawiązała do naszej rozmowy. Udawałam, że obrębiam koronkę, którą miałam wysłać mamie najbliższą pocztą, nie mogłam się jednak powstrzymać od myśli, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przyjdzie jej długo czekać na tę robótkę. Celia pilnie pracowała; wycinała haft angielski według oryginalnego wzorca z Bordeaux.

— Denerwowałam się przez całą noc i przychodzi mi do głowy tylko jedno rozwiązanie — odezwała się Celia. Spojrzałam na nią szybko. Oczy miała podkrążone. Chyba wcale nie spała, zamartwiając się moją ciężką. Ja też się nie wyspałam, lecz to przez Harry'ego, który gnany pożądaniem obudził mnie o północy, a potem jeszcze raz o świcie. Nie mogliśmy oderwać się od siebie. Aż dygotałam z perwersyjnej przyjemności na myśl o nasieniu Harry'ego, które w moim wnętrzu zaowocowało dzieckiem. Z radością przypominałam sobie chwile, kiedy mocno ścisnęłam biodra Harry'ego, aby nie wchodził we mnie zbyt głęboko; pilnowałam dziecka — wszak zasłużyło na moją ostrożność.

I kiedy kochałam się z jej mężem, droga Celia zamartwiała się moim stanem.

— Tylko jedno rozwiązanie — powtórzyła. — Skoro nie zamierzasz zaufać mamie, a potrafię to zrozumieć, moja droga, musisz najbliższe kilka miesięcy spędzić z dala od domu. — Kiwnęłam głową.

Konstatacje Celi oszczędzały mi długich tłumaczeń.

— Pomyślałam — ciągnęła Celia łagodnie — że jeśli powiesz, że jesteś chora i potrzebujesz mego towarzystwa, mogłybyśmy znaleźć jakieś ciche miasteczko, może nad morzem, może jedno z uzdrowisk, a w nim jakąś poczciwą kobietę, która zaopiekowałaby się tobą podczas rozwiązania, a potem twoim dzieckiem.

Kiwnęłam głową bez większego entuzjazmu.

— Jakaś ty dobra, Celio — powiedziałam z wdzięcznością. — Naprawdę mi pomożesz?

— O, tak — potwierdziła szlachetnie.

Z rozbawieniem zauważyłam, że w sześć tygodni po ślubie bez wahania była gotowa oszukiwać własnego męża.

— W tym planie jedna rzecz mnie niepokoi — stwierdziłam. — Los biednej niewinnej dziewczyny. Słyszałam, że wiele tych niby poczciwych kobiet wcale nie traktuje dzieci tak poczciwie. Słyszałam, że nawet mordują swoich podopiecznych. A chociaż dziecko zostało poczęte w okolicznościach, które wywołują moją nienawiść, jest niewinne, Celio. Pomyśl o tym biedactwie, może ślicznej dziewczusce, małej Angielce dorastającej z dala od rodziny i przyjaciół, w samotności, bez opieki.

Celia ze łzami w oczach odłożyła robótkę.

— Och, biedne dzieciątko! Tak! — Wiedziałam, że tak na nią wpłynie myśl o samotnym dziecku. Wiedziała coś na ten temat z własnego doświadczenia.

— Nie zniosłabym myśli, że to może dotyczyć mojego dziecka, a twojej siostrzenicy, Celio, dorastającej gdzieś wśród niedobrych brutalnych ludzi, bez żadnej życzliwej osoby.

Łzy popłynęły jej z oczu.

— Och, to niesprawiedliwe, że nie mieszkałaby z nami! — wybuchnęła. — Masz rację, Beatrice, powinna być gdzieś w pobliżu, żebyśmy pilnowały, czy nie dzieje się jej krzywda. Gdybyż udało się umieścić ją w naszej wiosce!

— Ach! — wyrzuciłam do góry ramiona w przekonywającym geście zgrozy. — W naszej wiosce! Równie dobrze można by o tym od razu napisać w gazetach. Jeśli rzeczywiście chcemy zaopiekować się nią i wychować na damę, jedyne miejsce dla niej jest w Wideacre. Może udawać, że jest jakąś twoją krewną, osieroconą przez rodziców?

— Dobry pomysł, ale mama będzie wiedziała, że to nieprawda... — Ucichła.

Dałam jej parę minut na zastanowienie. A potem zasiałam w jej mózdzku ziarenko własnego planu.

— Gdybyś to ty spodziewała się dziecka, Celio! — westchnęłam tęsknie. — Każdy by się cieszył, a zwłaszcza Harry! Harry nie nalegałby więcej na spełnianie małżeńskiej powinności... a dziecko miałoby zapewnione wspaniałe warunki. Ach, gdybyż to była twoja córeczka...

Jęknęła, a ja w głębi duszy westchnęłam z ulgą i radością. Udało się.

— Beatrice, ja też o tym myślałam — wyznała podekscytowana. — Czemuż nie powiedzieć, że to ja spodziewam się dziecka, a potem utrzymywać, że dziecko jest moje? Maleństwo będzie mieszkało z nami bezpiecznie, a ja otoczę je opieką jak własne dziecko. I nikt się nigdy nie dowie, że to nie moje. Będę bardzo szczęśliwa, a ty zostaniesz uratowana! Co ty na to? Uda się?

Westchnęłam z zachwytu dla jej śmiałości.

— Celio! Cóż za świetny pomysł! — odezwałam się oszołomiona. — Przypuszczam, że się uda. Mogłybyśmy zostać tutaj do narodzin dziecka, a potem zabrać je do domu. Powiemy, że zostało poczęte w Paryżu i urodzone o miesiąc za wcześniej! Ale czy ty naprawdę chcesz tej biednej istotki? Może lepiej, żeby wzięła ją jakaś staruszka?

Celia była stanowcza.

— Nie. Kocham dzieci, a twoje będę kochała z całego serca, Beatrice. A kiedy doczekam się własnych dzieci, twoja córeczka będzie się z nimi bawić. Najstarsze moje dziecko, kochane jak własne. Nigdy, przenigdy się nie dowie, że nie jest moją córką. — Zaczęła szlochać.

Wiedziałam, że wspomina swoje dzieciństwo, które spędziła jako ktoś obcy wśród dzieciarni Haveringów.

— Jestem pewna, że nam się powiedzie — powiedziała. — Pokocham i otoczę opieką twoje dziecko jak własne i nikt się nigdy nie dowie prawdy.

Uśmiechnęłam się, jak gdyby spadł mi z serca wielki ciężar. Teraz miałam przed sobą jasną przyszłość.

— Cóż, zatem akceptuję ten plan — oznajmiłam.

Objęłyśmy się i pocałowały. Łagodne brązowe oczy Celi spjrzały z ufnością w moje oczy, zielone, nieprzeniknione. Obnosiła swoją uczciwość, skromność i cnotę jak szatę z najszlachetniejszego jedwabiu. Nieskończenie sprytniejsza, bystrzejsza i energiczniejsza, uśmiechnęłam się do niej równie słodko.



— A zatem — podjęłam podekscytowana — jak to wszystko przeprowadzimy?

Nalegałam, żebyśmy przez tydzień nie wracały do naszych planów. Celia nie rozumiała powodów tej zwłoki, lecz uznała ją za zachciankę kobiety ciężarnej i nie oponowała. Potrzebowałam po prostu czasu na ochłonięcie i rozważenie raz jeszcze wszystkiego. Przede mną wznosiła się niebotyczna przeszkoda. Musiałam wciągnąć Celię do oszukańczej gry prowadzonej przeciwko Harry'emu. Nie mogłam przecież ot tak, z dnia na dzień kazać jej kłamać człowiekowi, któremu dopiero co ślubowała lojalność i miłość. Celia poza tym brzydziła się kłamstwem. Im dłużej byli z Harrym razem, tym ściślejsza więź powstawała między nimi. Nie chodziło tu o więź dwojga kochanków, bowiem nie pozwalała na to oziębłość Celi i zaangażowanie Harry'ego w namiętny związek ze mną. Z każdym jednak dniem rosła ich przyjaźń. Nie miałam pewności, czy Celia zdoła ukryć przed Harrym swe prawdziwe oblicze; nie miałam również pewności, czy zdołam ją nauczyć kłamania mężowi w żywe oczy.

Ja sama nie przeżywałam żadnych wahań. Gdy leżałam w objęciach Harry'ego, byłam jego, ciałem i duszą. To zawładnięcie moją osobą trwało tylko tak długo jak rozkosz. Potem leżeliśmy obok siebie w zielonym cieniu okiennic chroniących nas przed popołudniowym słońcem, a ja stawałam się znowu sobą. Nawet kiedy Harry przeciągał głową po moich pęczniejących, twardniejących piersiach i wzdychał z zachwytem, nie czułam potrzeby zdradzenia mu, że ów nowy powab ma za przyczynę dojrzewające we mnie dziecko. Widział, że jestem szczęśliwa — i każdy dostrzegłby w moich oczach błysk zadowolenia — lecz ja nie czułam potrzeby wyznawania mu, że każdy dzień zbliża mnie do niekwestionowanego miejsca w Wideacre. Poprzez Harry'ego zapewniłam sobie miejsce na ziemi; dziedzic, którego poczęłam, miał dać jednak następnych dziedziców — a wszyscy z mojej krwi i kości, co napełniało mnie sekretną rozkoszą.

Rankiem siadałam przy oknie hotelowym, wyglądałam na szeroką cudowną aleję topolową i widziałam w marzeniach inne drzewa: nasze wspiane buki. Potem uśmiechałam się do własnych wyobrażeń. Oto ja, starsza dama, na najważniejszym miejscu przy stole w jadalni w Wideacre, autokratyczna ciotka dziedzica dzierżąca władzę większą niż jakikolwiek inny członek rodziny, rządząca dziedzicem, jego żoną i jego dziećmi, wykorzystująca całą swą siłę fizyczną i psychiczną.

Siedziałam tak sobie pewnego ranka marząc, aż nagle ujrzałam kokardę na kapeluszu poczmistrza nadchodzącego drogą. Na dźwięk pukania do drzwi salonu odwróciłam się i uśmiechnęłam, widząc listy z domu. Był wśród nich list mamy do mnie (rozpoznałam jej pismo) i jeszcze jeden do mnie, zaadresowany dziwnym starannym pismem. Złamałam pieczęć i zerknęłam najpierw na nagłówek, oficjalnie brzmiące słowa: „Droga panno Lacey”, oraz na podpis: „John MacAndrew”. Uśmiechnęłam się i zapłoniłam. Czyżby doktor MacAndrew prowadził sekretną korespondencję? No cóż... Wyglądziłam jedwab sukni odruchowym gestem próżności i przystąpiłam do lektury listu. Mogłam sobie oszczędzić rumieńców. List miał charakter bardzo urzędowy.

*Droga Panno Lacey,*

*Proszę wybaczyć, iż zwracam się do Pani bez zezwolenia Pani Matki, chodzi mi jednakże o stan jej zdrowia. Nie czuje się dobrze i sądzę, że odpowiedzialność za prowadzenie farmy przysparza jej zdenerwowania.*

*Nie istnieje niebezpieczeństwo, radziłbym jednak nie przedłużać podróży poza planowany termin.*

*Dogłądałem jej podczas ostatniej choroby i według mojej diagnozy ma ona słabe serce. Nie powinno to wpływać ujemnie na ogólny stan zdrowia, pod warunkiem że będzie unikała gwałtownych wzruszeń.*

*Ufam, że Pani, Panno Lacey, i Pan Harry miewacie się dobrze, podróż zaś dostarcza Wam wielu wrażeń.*

*Pozostaję z szacunkiem*

*John MacAndrew.*

W pierwszej chwili ogarnęła mnie irytacja, że John MacAndrew miesza się w nie swoje sprawy. Akurat kiedy musiałam przedłużyć pobyt we Francji, kazał mi wracać do domu, niczym dziecku po szkole. Oczywiście nie mogłam jechać. Uniknięcie odpowiedzialności za matkę mogło mnie jednakże kosztować trochę kłopotów.

Po zastanowieniu uznałam, że problemy ze zdrowiem mamy mogły mi pomóc w rozwiązaniu własnych kłopotów, mogły mi ułatwić pozostanie z Celią we Francji i wyprawienie Harry'ego do domu. A tam trzymałby mamusię za rękę w czasie palpacji czy innych przypadłości wymagających obecności kochanego chłopczyka. Zasugerowałam tę wizję — naturalnie w odpowiedni sposób — Celi, tak że wydawało się, że sama wpadła na taki pomysł.

— O, tak! — stwierdziła. Byłyśmy w jej pokoju. Przebierała się właśnie przed przejazdką. Napotkała mój wzrok w dużym lustrze. — Ale będziesz się bardzo niepokoiła o mamę, Beatrice.

— Tak — zasmuciłam się. — Przed rozwiązaniem nie mogę jednak wracać do domu. A tak przynajmniej pocieszy mnie świadomość, że Harry jest pod ręką i troszczy się o mamę. Harry zdejmie jej z barków ciężar prowadzenia Wideacre.

— Powiedzmy mu o tym natychmiast — zdecydowała Celia.

Założyłyśmy czepki, podniosłyśmy parasolki i pojechałyśmy go szukać.

Harry zwiedzał farmę, na której jako nawozu używano wodorostów. Planowaliśmy wprowadzić ten sposób w Wideacre. Byłam przekonana, że na kredowej glebie naszych wyżej położonych pastwisk należy stosować nawóz zwierzęcy, wodorosty zaś są do wykorzystania jedynie na piaskach i glinie dolin. Harry natomiast uważał, że można je również stosować na kredowych zboczach, o ile w wodorostach nastąpił daleko posunięty proces rozkładu. Na zwiedzanej przez niego farmie suszono wodorosty w słońcu, a następnie moczo w deszczu, po czym były worywane w glebę. Pojechałyśmy na spotkanie Harry'ego.

Celia rozpromieniła się widząc nadciągającego jeźdźca. Pod wpływem zwyczajów panujących w tym prowincjonalnym francuskim mieście Harry zdjął perukę i zapuścił włosy. Wystające spod trójgraniastego kapelusza włosy połyskiwały w słońcu. Cwałował na wynajętym koniku niczym na rączym arabie.

— Witajcie! — ściągnął cugle przy naszym powozie. — A to ci miła niespodzianka. — Swój uśmiech rozdzielił równo między siostrę i żonę, lecz spojrzenie przeznaczył tylko dla mnie.

— Przywiozłyśmy ci coś do zjedzenia — odezwała się cicho Celia. — Czy zwiedzasz teraz ciekawe miejsce?

— No cóż, wracajmy na farmę. Jest tam wspaniała rzeka. Gdybym zabrał wędkę, mógłbym spróbować złowić pstrąga.

— Przywiozłam ci wędkę! — zawołała Celia z triumfem. — Wiedziałam, że będziesz miał ochotę na pstrąga i zatęsknisz za swoimi wędkami.

Harry pochylił się nad jej dłonią opartą o ściankę powozu i pocałował ją.

— Jesteś najlepszą żoną na świecie — stwierdził czule. — Wspaniale! — Zawrócił i krzyknął: — Za mną! — i poprowadził nas na brzeg rzeki.

Nie wspomniałam o liście doktora MacAndrew, dopóki nie zjedliśmy. Harry usiadł ze swymi drogocennymi wędkami i pustymi sakami, a ja dopiero po dobrej półgodzinie pokazałam ów list, a potem dłuższy list mamy, pełen niepokoju o jesienne siewy i wątpliwości, które pola obsiać, a które zostawić.

— Musimy, jak sądzę, natychmiast wracać — stwierdził Harry, kiedy przeczytał krótką notę doktora i dłuższą chwilę studiował pająkową bazgraninę mamy. — Mama zawsze miała skłonności do tych ataków. Nie darowałabym sobie, gdybym miał ją wpędzić troskami w chorobę.

— Zgadza się. Powinniśmy jak najszybciej wrócić do domu — przytaknęłam. — Doktor MacAndrew pisze bardzo oględnie, aby nas nie denerwować, ale gdyby sytuacja nie była poważna, nie napisałby wcale. Jak możemy najszybciej dostać się do domu?

— Mamy szczęście, że jesteśmy w Bordeaux — zaczął zastanawiać się Harry. — Gdyby ten list zastał nas we Włoszech lub gdzieś w centrum Francji, powrót zabrałby nam wiele tygodni. A tak możemy wsiąść na statek pocztowy do Bristolu, a dalej już dyliżansem.

Uśmiechnęłam się. Wszystko przemawiało na moją korzyść. Kiedy Celia rzuciła mi zdumione spojrzenie, mrugnęłam do niej, a ona posłusznie nic nie powiedziała.

I nie minęło parę godzin, a ja podniosłam problem moich skłonności do choroby morskiej. Wyznałam Harry'emu, że obawiam się podjęcia długiej podróży morskiej.

— Pomyślisz z pewnością, że jestem wyrodną córką — uśmiechnęłam się śmiało — lecz nie zdobyłabym się na postawienie stopy na pokładzie, jeśli chodzi o tak długi rejs, zwłaszcza w listopadzie. Wszystko na co mnie stać, to podróż przez kanał La Manche.

Siedzieliśmy w naszym prywatnym saloniku po kolacji, a Harry nie pisał jak zwykle listów, mając w perspektywie żeglugę.

— No więc cóż zrobić, Beatrice? — zapytał. Zwracał się do mnie o rozwiązanie problemu, tak jak do Celi zwracał się po słodycze i pociechę.

— Mama cię potrzebuje — oświadczyłam dzielnie. — Sądzę zatem, że powinienes jechać. Celia i ja zostaniemy tu, aż nadejdą wiadomości z domu. Jeśli mama nadal będzie chora, kiedy już ją uwolnisz od trosk związanych z zarządzaniem Wideacre, wtedy wykrzesam po prostu z siebie dość odwagi i siły, aby popłynąć do domu. Jeśli jednak uznasz jej stan za zadowalający i nie będziesz widział zagrożeń, podejmiemy podróż dyliżansem na północ i pokonamy szlak morski przez kanał do Portsmouth.

— Ależ oczywiście! — zgodził się. — Zabiorę powozy i cięższe bagaże, a jeśli sobie życzyacie, także pokojówki. — Tak, albo ja wrócę i was zabiorę — zapewnił Harry. — Lub wynajmę kuriera, aby wam towarzyszył. Nie możecie przecież podróżować same. Czy uważasz to za dobry plan, Beatrice?

Uśmiechnęłam się i kiwnęłam głową, starając się nie okazać swej satysfakcji. Harry nie tylko zgodził się z moją oceną sytuacji, lecz nawet nie spojrzał w stronę Celi, aby zasięgnąć jej opinii. Wedle swego uznania mogła zostać we Francji lub wrócić do domu.

— A co ze służbą? — spytał. — Zabiorę oczywiście do domu mojego lokaja, a wtedy wy zostałybyście z pokojówkami i dwoma powozami.

— Och, oszczędź mi tego! — odparłam z wesołym zakłopotaniem. — Wyprzedzisz nas zaledwie o parę dni! Celia i ja nie jesteśmy aż takimi księżniczkami, aby nie obyć się bez francuskiej pokojówki przez parę dni. Harry, błagam, nie zostawiaj mi tu pary służących i dwóch powozów, żebym musiała zajmować się transportem tej karawany do domu!

Harry wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Bardzo proszę — zdecydowałam i zwróciłam się do Celi. — Nie masz nic przeciwko radzeniu sobie bez służącej przez jakiś czas, Celio, prawda?

Pochyliła głowę nad robótką, nie umiała bowiem dobrze kłamać.

— Naturalnie — odrzekła spokojnym głosem.

— Więc dobrze, postanowione. Idę porozmawiać z właścicielem. — Harry zatrzymał się przy drzwiach. — Mam nadzieję, że się na to zgadzasz, Celio? — grzecznie poprosił o akceptację.

— Oczywiście — stwierdziła szlachetnie. — Zgadzam się na wszystko, co postanowicie.

Harry wyszedł, a Celia nie odezwała się, dopóki nie zamknęły się za nim drzwi. A potem spojrzała na mnie ze zgrozą.

— Beatrice, nie ruszyłaś palcem, a załatwiłaś wszystko tak jak chciałaś.

Uśmiechnęłam się, starając wyrugować z głosu ton samozadowolenia.

— Tak. Zawsze mi się to udaje.

Harry odpływał zatem, a ostatnia wspólna noc była pasmem słodyczy. Nasze rozstanie uczyniło go sentymentalnym. Od kiedy przyjechaliśmy do Francji, każdą noc spędzaliśmy razem, odkąd zaś zostaliśmy kochankami, każdej nocy zasypialiśmy pod jednym dachem. Teraz miał wziąć na siebie odpowiedzialność za prowadzenie wielkiej posiadłości. Dorosły mężczyzna. Mąż. Czulałam dumę, leżąc obok niego. Uśmiechnęłam się.

— Mój Boże, Beatrice, z każdym dniem jesteś piękniejsza — stwierdził niczym dumny właściciel mojej osoby.

Pochylił się i zanurzył twarz między cudownie powiększonymi piersiami.

— Uwielbiam cię w tym nieco okrągłym wcieleniu — oświadczył stłumionym głosem, całując jedną z krągłości i biorąc do ust brodawkę. Zmierziłam mu włosy i zaczęłam popychać jego głowę coraz niżej, do delikatnego zaokrąglenia brzemiennego brzucha i dalej, gorącym wilgotnym szlakiem.

Igraszki dwojga zaspokojonych ciał nastąpiły tym razem po akcie miłosnym. Wzdychałam z rozkoszy, reagując tak nie tylko na przyjemne mrowienie skóry, lecz również z radości, że ten ranek mamy dla siebie i że nikt nam nie przeszkadza.

— Kiedy wrócę do domu — odezwałam się leniwie — musimy znaleźć dla siebie jakieś bezpieczne miejsce na wspólne popołudnia i noce. Nie chcę już tego wymykania się o świcie albo czajenia się po kątach.

— Dobrze — nieobecny myślą Harry położył głowę na poduszce obok mnie. — Kazałem otworzyć drzwi łączące moją garderobę ze skrzydłem zachodnim, tak że w każdej chwili mogę wychodzić do części domu zajmowanej przez ciebie i nikt się o tym nie dowie. Nie muszę nawet pokazywać się na korytarzu. Będę cię odwiedzać, kiedy inni śpią.

— I w porze herbaty — dodałam uśmiechnięta.

— Oraz śniadania — uzupełnił.

Odrzucił się i sprawdził godzinę na zegarku, który leżał na nocnym stoliku.

— Muszę się ubierać — oznajmił. — Celia wkrótce wróci z zakupów, zaczniesz pakować jedzenie, a ja powinienem przypilnować, żeby spakowała też dokumenty.

Kiwnęłam głową, lecz się nie ruszyłam z miejsca.

— Napisz zaraz po przyjeździe do domu — poleciłam. — Chcę mieć wieści z Wideacre. Pamiętaj, żeby powiadomić mnie, które krowy są cielne i jak wyglądają oziminy, i czy wystarczy siana.

— No i jak zdrowie mamy — wtrącił Harry.

— Och, oczywiście, jak zdrowie mamy — zgodziłam się skwapliwie.

— A ty dbaj o siebie — przykazał mi czule, sięgając po czystą koszulę. — Chciałbym, żebyś wróciła teraz ze mną do domu, Beatrice. Nie mogę znieść myśli, że was tu zostawiam same.

— Nonsens — odrzekłam łagodnie i wysliznęłam się z łóżka. — Celia i ja świetnie sobie poradzimy. Mamy przed sobą miłą podróż, a kiedy tylko pani Davey i jej córki przybędą do miasta, zaproponujemy im wspólny powrót. Ty wyruszysz nam na spotkanie do Portsmouth, a jeśli ci się zechce, to nawet do Francji.

— Z ochotą bym to zrobił — rozpromienił się Harry. — Gdybym tylko tym razem nie cierpiał na chorobę morską! Muszę przyznać, że ta podróż mnie przeraża. Sprytnie się wymigałaś, mój mały tchórz.

— Raczej strachliwy zajaczku — zgodziłam się z uśmiechem.

Odrzuciłam się plecami i uniosłam włosy, tak żeby zapiął mi guziczki przy szyi, tam gdzie nie mogłam dosięgnąć. Guzdrał się przy pętelkach, a kiedy skończył, pochylił się i pocałował mnie u nasady włosów i czule chwycił zębami naprężone mięśnie na mym karku. Rozkoszowałam się dreszczami, które przebiegły mi wtedy po plecach. Już na końcu języka miałam wiadomość o tym, że spodziewam się dziecka. Jakże cieszyłby się Harry, gdyby los uczynił z nas normalne kochające się małżeństwo.

Powstrzymałam się jednak przed tym wyznaniem, mimo słodkiej aury poranka we dwoje. Już i tak Harry z wysiłkiem zachowywał lojalność wobec dwóch kobiet. Nie mogłam ryzykować, że zapragnie uchronić Celię przed kłopotami, w które ją wplątałam, Harry nie był na tyle naiwny jak ona, by przyjąć czyjeś dziecko jako własne i w ten sposób wydziedziczyć swoje późniejsze potomstwo. Nie zgodziłby się nawet na uznanie mojego syna za dziedzica, gdyby żona spłodziła legalne potomstwo.

Minął nastrój miłosnej poufałości. Nawet kochanemu Harry'emu nie mogłam zdradzić największych swych sekretów. Zbliżyliśmy się do siebie podczas tej długiej uroczej podróży, ja jednak miałam w sobie coś, czego brakowało Harry'emu — ostrość, zdecydowanie, przenikliwość. Harry był moim kochankiem, obiektem pożądania, lecz nie drżałam od jednego jego spojrzenia, tak jak w czasach związku z Ralphem. Nie mogłam też sobie wyobrazić, aby Harry brnął do mnie przez grzech, zbrodnię, z rękami splamionymi krwią. Na tle Harry'ego ja byłam panem i władcą; przy Ralphie czułam się mu równa, równa pod względem namiętności,



zmysłowości, bystrości, zdecydowania. Dla Ralpha stawałam się lubieżna, Harry natomiast wielbił mnie i pieścił jak zakochany młodzieniaszek.

Na dnie serca ukrywałam dwie zbrodnie, a wyrzeczenie się nieprawego dziecka także nie należało do lekkich wykroczeń. Nikt nigdy nie zajrzy do mego wnętrza tak jak ongiś Ralph. Nikt nie usłyszy ode mnie nagiej prawdy. W okrutnej pułapce zginął nie tylko Ralph, lecz mój honor i uczciwość. I słusznie robiłam zachowując ostrożność wobec Harry'ego. Dowiodły tego wypowiedziane wtedy słowa.

— Opiekuj się Celią, Beatrice — polecił mi, zawiązując świeży halsztuk i oglądając się w lustrze z niezadowoleniem. — Była taka milutka podczas naszej wycieczki. Nie chcę, żeby za bardzo za mną tęskniła. Pilnuj jej i przypomnij mi jeszcze, żebym zostawił ci trochę pieniędzy na jej wydatki.

Kiwnęłam głową i nie wyrzekłam ani słowa na to trwonienie pieniędzy pochodzących z Wideacre, potrzebnych w Wideacre, a przeznaczonych na zachcianki kobiety, która i tak nie skarżyła się na ubóstwo.

— Będę tęsknił za tobą — odwrócił się od lustra i znów mnie objął.

Przytuliłam się, przycisnęłam twarz do czystej nakrochmalonej koszuli i wdychałam z rozkoszą woń lnu i skóry Harry'ego pod spodem.

— Wiesz — odezwał się nagle zdumiony — będę tęsknił za wami obiema! Wracajcie do domu jak najszybciej, dobrze, Beatrice?

— Oczywiście.

Oczywiście skłamałam.

Okoliczności nauczyły mnie kłamać z łatwością. Najpierw czekałam, czekałam przez miesiąc w starym hotelu w Bordeaux, aż nadeszły wiadomości z Anglii od Harry'ego. Po otwarciu listu uśmiechnęłam się. Oto czego oczekiwałam. Nasza kochana mama znów miała w domu swego chłopczyka i wcale nie zamierzała go nigdzie puszczać. Harry pisał dziecinnymi bazgrołami, że boryka się z trudnościami. Liczni kłusownicy na terenach łowieckich; omyłkowe zaoranie pól, które powinny leżeć odłogiem; pożar stodoły jednego z dzierżawców i jego prośba o pożyczkę.

„Mama wydaje się przytłoczona ogromem pracy koniecznej do wykonania na farmie — pisał Harry. — Zauważyłem po przybyciu, że cierpi na bardzo poważne napady duszności, które ją całkiem osłabiły. Ukryła to nawet przed doktorem MacAndrew. Sądzę, że nie mogę jej tu zostawić samej i obarczyć odpowiedzialnością za posiadłość, błagam zatem, Beatrice, wynajmijcie kuriera i wracajcie, moje kochane, do domu, lądem lub morzem”.

Kiwnęłam głową. Wiedziałam, że prowadzenie farmy to dla mamy zbyt wielkie obciążenie. To praca dla kogoś, kto zna i kocha ziemię, zaś ktoś słaby i niekompetentny, jak mama, może zgiąć się pod ciężarem odpowiedzialności i spraw przybierających niewłaściwy obrót. I to ryzyko wzięłam na siebie, kiedy zdecydowałam, że nie pozwolę Celi i Harry'emu podróżować we własnym towarzystwie. Zaryzykowałam też los Wideacre — zostawiając posiadłość w słabych rękach mamy. Teraz musiałam ufać, że Harry nie zdąży

wyrządzić większych szkód, zanim wrócę do domu. Harry bowiem musiał zostać w Anglii, a ja we Francji, dopóki nie urodzi się nasz syn.

Wzięłam pióro i bezmyślnie ostrzyłam stalówkę, aż uporządkowałam sobie sprawy, o których miałam pisać. Zaczęłam wreszcie list do Harry'ego. Ograniczałam się w treści do spraw interesu. Skoro pole zostało zaorane, trzeba je obsiać koniczyną. Dzierżawcy udzielić pożyczki na dwa procent, płatne w gotówce lub towarze, pod zastaw inwentarza żywego. Gajowy albo będzie w swej pracy skuteczniejszy, albo się go zwolni. Lord Havering powie, gdzie szukać innego.

Teraz przeszłam do spraw osobistych. Napisałam, że strasznie tęsknię (co było prawdą) i że Francja bez niego nie sprawia mi przyjemności (co było prawdą po części) oraz że tęsknię do powrotu (w czym nie było ani krzty prawdy). A potem zaczęłam gryźć obsadkę i zastanawiać się, jak ująć wiadomość, że Celia spodziewa się dziecka.

„Pragnę powrotu z całego serca, lecz na nic się zdadzą pragnienia, gdy los chce inaczej! — przełałam na papier słodkie kłamstwo. — Celia nie może teraz podróżować i konieczność opieki nad nią to jedyna okoliczność powstrzymująca mnie od przyjazdu do ciebie — dla przeciętnie bystrego człowieka wszystko w tym momencie byłoby jasne, a miałam świadomość, że Harry przeczyta list na głos mamie lub lady Havering. — Jestem niezmiernie szczęśliwa, mogąc ci donieść, iż Celia spodziewa się dziecka”.

Znów przerwałam pisanie. Zdrowie Celi powinno wystarczyć za powód odkładania wyjazdu, stan zaś „ciążarnej” nie był na tyle ciężki, by wydał się poważniejszy niż stan naszej mamy. Mama zatrzyma raczej Harry'ego w domu, chociaż tak właściwie nigdy nic nie wiadomo. Może ją ogarnąć czułość względem Celi i poczętego wnuka i w odruchu wielkoduszności pośle Harry'ego dylizanssem do Francji.

„Celia czuje się nad wyraz dobrze — oznajmiłam. — Trzyma się dzielnie i jest szczęśliwa. Uważa jednakże, iż jakikolwiek ruch czy to powozu, czy statku wywołałby poważne nudności. Miejscowa akuszerka mówiąca wspaniałą angielszczyzną, kobieta życzliwa i doświadczona, radzi nam, żeby nie podejmować podróży aż do końca trzeciego miesiąca ciąży, kiedy dolegliwości prawdopodobnie ustąpią i będziemy mogły ruszyć do domu”.

Całą następną stronicę zajęły mi zapewnienia, że opiekuję się Celią i że Harry nie ma się czym martwić, i że za dwa miesiące wyjedziemy. Rzuciłam myśl, że nie powinien wyruszać nam na spotkanie ani też przyjeżdżać po nas bez uprzedniego powiadomienia mnie o tym. „Jakiż byłby to niefortunny zbieg okoliczności, gdyby nasze statki minęły się!” Sądziłam, że to go zatrzyma w domu.

Wiedziałam, że w podanym przeze mnie czasie rzekome mdłości Celi zapewne ustąpią, lecz pojawi się problem ze znalezieniem statku. Potem z kolei wystąpią zimowe sztormy, a potem, w obliczu zbliżającego się terminu rozwiązania będziemy musiały porzucić plany podróży czy po wyboistych traktach, czy długim morskim szlakiem. Jeśli każdy list zawrze w sobie obietnicę rychłego wyruszenia w drogę, oczekujący nas z radością Harry zajmie się posiadłością podczas naszej nieobecności. Wiedziałam, że muszę sprytnie kłamać w listach, i wiedziałam, że potrafię to robić.

Moje ciało zaokrągliło się coraz bardziej i zapomniałam już, jaki miało kształt przedtem. Wyglądałam jak pękaty tulipan na wiotkiej łodydze. Opuściliśmy hotel zaraz po wyjeździe Harry'ego i wynajęliśmy umeblowane pokoje na przedmieściach Bordeaux, na południe od rzeki Gironde. Co dzień budząc się,

widziałam tańczące refleksy fal na suficie i dobiegały mnie wołania rybaków i żeglarzy porozumiewających się pomiędzy brzegami.

Właścicielka domu, wdowa, była przekonana, że jestem młodą mężatką, a Celia to moja szwagierka. W ten sposób mogliśmy uniknąć wszelkich plotek.

Rytm mijania wczesnozimowych dni świetnie współgrał z moim nastrojem środkowej fazy ciąży. Stawałam się ociężała, znużona; chętnie przysuwałam sofę do kominka i siedziałam z uniesionymi stopami, a Celia cały czas szyła przesliczną wyprawkę dla książątka, dla dziedzica Wideacre.

Twarz jej rozpromieniła się, gdy pewnego dnia zdradziłam łaskawie:

— On kopie! Możesz sprawdzić, jeśli chcesz.

— Och, mogę? — z zapalem położyła delikatnie dłoń na zaokrągleniu mojego brzucha i czekała w napięciu. Przez twarz przemknął jej uśmiech, kiedy poczuła gwałtowne poruszenia.

— Ach — westchnęła z rozkoszy — jaka jest silna! — I nachmurzyła się. Głupia, nie pomyślała wcześniej o przyszłości Wideacre. — A jeśli to chłopiec? Dziedzic? — spytała.

Zachowałam spokój i uśmiech pełen pewności. Byłam przygotowana na to pytanie.

— Wyrwało mi się „on”, lecz wiem, że to dziewczynka — i wydawało się, że wierzę w to kłamstwo, tak jak w głębi ducha byłam całkowicie przekonana, że noszę pod sercem dziedzica Wideacre.

— To dziewczynka — powtórzyłam. — Obiecuję ci to, Celio, matka zawsze wyczuwa płęć dziecka.

Zimny wiatr, który przegnał zimę znad morza, zamarł nagle i nastąpiła piękna wczesna wiosna. Usychałam z tęsknoty do Wideacre niczym długoletni zesłaniec i ledwie dostrzegałam uroki ciepłej francuskiej wiosny. Nadeszła znieca i od razu zrobiło się tak gorąco... Nie zdążyłam przeżyć radosnego oczekiwania na nową porę roku. Aż jęknęłam, gdy zerknęłam na kalendarz i zdałam sobie sprawę, że w sprzyjających okolicznościach, gdyby nowy dziedzic przyszedł na świat o czasie, zdążyłabym do domu na kwitnienie dzikich żonkili pod drzewami w lasach.

Właścicielka domu postarała się o znajomą kobietę, która odbierała już szczęśliwie wiele porodów, a często wzywano ją nawet do pań z wyższych sfer. Poleciała nam też pewnego chirurga na wypadek komplikacji. Ku swemu zdumieniu zrozumiałam, że skrycie marzę o fachowości doktora MacAndrew. Uśmiechnęłam się na wyobrażenie jego reakcji, gdyby dowiedział się, że piękna panna Lacey oczekuje we Francji rozwiązania. Gdy staruszka wcierała olejki w mój napęczniały brzuch, a Celia wieszkała nad drzwiami suszone kwiaty i zioła, do kominka zaś wrzucała specjalny proszek, poczułam zniecierpliwienie tymi gusłami. O ileż wolałabym, żeby doktor MacAndrew spojrzął na mnie szczerym, jasnym wzrokiem i powiedział, czy wszystko pójdzie łatwo czy nie. Pod jego nieobecność musiałam polegać na doświadczeniu tej ograniczonej kobiety. Może poradzi sobie z jeszcze jednym szkrabem.

Kiedy nadszedł czas, wszystko potoczyło się nadzwyczaj gładko. To dzięki moim dziewczęcym galopadom, jak stwierdziła akuszerka. Nieczęsty przypadek wśród młodych kobiet we Francji.

Obudziłam się w nocy cała mokra i powiedziałam zaspana:

— Dobry Boże, on się rodzi. — I nic więcej, lecz Celia usłyszała przez ścianę sypialni i w sekundę była przy mnie. Posłała naszą gospodynię po akuszerkę. Przygotowała kołyskę i powijaki, postawiła garniec wody na piecu, a potem usiadła przy mnie spokojnie, gotowa do pomocy.

To było jak dźwiganie ciężkich snopów albo wtaczanie wozu drabiniastego do stodoły; ciężka praca i skupienie się na pracy, nie na bólu. Krzyknęłam parę razy, jak sądzę, lecz czujny umysł ustrzegł mnie przed wołaniem czyjegokolwiek imienia.

Celia przywarła twarzą do mojej dłoni. Zbladła niczym śnieżnobiałe kaftaniki dla noworodka, a ja usiadłam na łóżku i pochyliłam się nad brzuchem, którego mięśnie prężyły się jak struny. Mogłam wręcz dostrzec kształt syna, kochanego syna, dziedzica Wideacre, który dzielnie torował sobie drogę na zewnątrz mego ciała, gotowy do narodzin.

— *Poussez, madame!* — krzyknęła akuszerka.

— *Poussez!* — wrzasnęła wdowa.

— Mówią: przyj — dyszała Celia przytłoczona całą tą wrzawą i krzataniną. Zakrztusiłam się ze śmiechu, ale zapomniałam o komedii wokół siebie, kiedy potężna fala popchnęła mojego kochanego chłopca o następny cal.

— *Arretez! Arretez!* — wrzasnęła akuszerka.

Pochyliła się i rąbkami brudnego fartucha wytarła coś, co nie stanowiło już części mego ciała. Oczy Celi weszły łzami, gdy usłyszałyśmy ochrypy płacz. Mój syn, mój dziedzic powitał świat okrzykiem wydanym wraz z ostatnim pchnięciem. Prężył się, a nawet przebierał stópkami niczym pływak. Akuszerka położyła go na moim zwiotczalym brzuchu jak rybę, którą fala wyrzuciła na brzeg.

Spojrzałam mu prosto w oczy tak intensywnie niebieskie, że nawet białka wydawały się błękitne jak poranne niebo nad Wideacre. Dotknęłam jego mokrej główki o ciemnych włoskach, które zdradzały już kasztanowy połysk (to po mnie). Obejrzałam paluszki zwieńczone paznokietkami jak muszelki.

— *Vous avez une jolie fille* — z zadowoleniem odezwała się akuszerka i zajęła się prześcieradłami.

Powiodłam tęym wzrokiem od synka do zmieszanej twarzy Celi.

— To dziewczynka — powiedziała Celia cicho, ze zgrozą.

Odpychałam od siebie te słowa i po francusku, i po angielsku. Dziecko, które nosiłam tak ostrożnie, tak długo, dla którego cierpiałam całą noc, było synem, było dziedzicem Wideacre. Było końcem, triumfem nad wszystkimi grzechami i kłopotami. Moje dziecko z niekwestionowanym prawem do dziedziczenia. Mój syn, syn, syn.

— Śliczna dziewczynka — powtórzyła Celia.

Odwróciłam twarz tak gwałtownie, że dziecko niemal spadło.

Celia jednak była szybsza. Złapała je. Dziecko wydało krzyk i dalej płakało w ramionach Celi.

— Zabierz tego szkraba — powiedziałam z nienawiścią, nie dbając o pozory. — Zabierz sobie. Przecież się zgodziłaś. Chciałaś cały czas dziewczynki, no to masz. Zabierz ją.

Uspokoiliłam się szybko, choć zza ściany dobiegał nieustanny płacz i odgłos kroków Celi noszącej na rękach głodne niemowlę. Słyszałam, jak uspokaja dziecko kołysankami śpiewanymi coraz cichszym głosem. Zapadałam w drzemkę, a potem budziłam się z gniewem i gorzkim rozczarowaniem. Przez całe życie domagałam się praw do Wideacre. Ja, która najbardziej z nas wszystkich kochałam ziemię i najlepiej jej służyłam, która snułam plany i posuwałam się do zbrodni z miłości do ziemi — znów przeżyłam rozczarowanie. Zabrakło lutu szczęścia, który uczyniłby mnie na zawsze matką dziedzica Wideacre. Czas pokazałby, czy zachowałabym

tajemnicę głęboko w sercu, czyniąc z niej swą pociechę i rozkosz, czy też pewnego dnia wyszeptalabym prawdę dorastającemu synowi. A na razie obdarzona zostałam nędzną, nic nie znaczącą dziewczynką, którą usunie w cień pierwsze dziecko płci męskiej urodzone przez Celię i która po ślubie odejdzie z Wideacre, tak jak to planowano w stosunku do mnie.

Dziewczynka zadała śmiertelny cios moim zamierzeniom. Nie wiedziałam, jak mam się pogodzić z tym rozczarowaniem. Długie oczekiwanie na narodziny dziecka i tyle zabiegów dało w efekcie nic niewartą córkę. Zbyt gorzka to pigułka do przełknięcia. Majaczyłam w półśnie, że straciłam właściwie dziecko, którego nie było; syna, wymarzonego z dumą i czułością. Myśli kłębiły się w mojej głowie, a pomocy szukałam nie w wymagowanej postaci Harry'ego, lecz Ralpa. Zwracałam się do niego bezgłośnie: „Znów coś utraciłam. Nie tylko ty cierpisz z powodu Wideacre. Ty straciłeś nogi, ja — syna”. Majaki dawały pocieszenie. Tylko Ralph zrozumiałby mój ból.

W te półsennie wizje wdarł się jednak koszmarny obraz mężczyzny na wielkim czarnym koniu. Zerwałam się z krzykiem.

Był dzień. Przez zamknięte drzwi słyszałam odgłosy przygotowywania śniadania. Poczulałam silny głód. Zatęskniłam za gorącym rogalikiem i mocną czarną kawą, które przyniosłaby mi gospodyni lub Celia. Ciało miałam obolałe, jak gdyby ogier kopnął mnie w łono. Byłam zmęczona niczym po całodziennym polowaniu. Brzuch stał się płaski i miękki jak budyń, wiedziałam jednak, że to szybko minie. Podciągnęłam koszulkę i z zadowoleniem spjrzałam na uda i kolana przez tyle miesięcy zasłonięte przez wzgórek brzucha. Podziękowałam Bogu za to, że mój pępek zmniejszył się znów do rozmiarów zgrabnego dołeczka, a nie sporego kretowiska, jak podczas ciąży.

W nastroju samozadowolenia uśmiechnęłam się, kiedy drzwi otworzyły się i wkroczyła Celia niosąc tacę ze śniadaniem. Ktoś poszedł do ogrodu i zerwał dla mnie trochę białych fiołków. Ich chłodna wilgotna woń przypomniała mi boleśnie o lasach Wideacre, gdzie białe i niebieskie fiołki rosną całymi kępami u korzeni drzew. Dobiegł mnie też zapach okropnie mocnej kawy parzonej przez naszą *madame*, a do tego ujrzałam chrupiące złote rogaliki i białe niesolone masło. Poczulałam apetyt jak po całorocznej głodówce.

— Cudownie — stwierdziłam stawiając tacę na kolanach.

Nalałam sobie filiżankę czarnej gorzkiej kawy i rzuciłam się na rogaliki. Dopiero gdy wyczyściłam talerz palcem z najdrobniejszego okruszka, spostrzegłam, że Celia jest blada i zmęczona.

— Źle się czujesz, Celio? — spytałam zdumiona.

— Jestem zmęczona — odparła cicho, lecz w tonie jej głosu pobrzmiwała dziwna nuta stanowczości.

— Dziecko płakało całą noc. Jest głodne, a nie chce ani mleka krowiego z mąką, ani koziego. Mamka, którą umówiliśmy, straciła pokarm i nasza gospodyni spróbuje dzisiaj znaleźć inną. Ale dziecko jest głodne.

Opadłam na poduszki i spoglądałam spod powiek na Celię. Twarz miałam nieprzeniknioną.

— Sądzę, że powinnaś nakarmić ją piersią — odezwała się Celia spokojnie. — Musisz ją karmić, dopóki nie znajdziemy mamki. Obawiam się, że nie masz wyboru.

— Miałam nadzieję, że obejdzie się bez tego — odparłam, udając wahanie i próbując zgłębić siłę nowej cechy Celi, zdecydowania. — Chciałam dla jej dobra i dla dobra nas wszystkich mieć z nią jak najmniej do



czynienia, zwłaszcza w tym pierwszym okresie, kiedy co zrozumiałe, jestem nieco rozdrażniona — wprawiłam swój głos w lekkie drżenie i niczym jastrząb oczekiwałam reakcji Celi.

— Och, Beatrice, tak mi przykro — odpowiedziała. — Widzisz, myślałam tylko o niej. Rozumiem oczywiście, że możesz sobie nie życzyć jej widzieć, dopóki nie przyzwyczaisz się do nowej sytuacji. Pozwoliłam, aby moja troska o dziecko wzięła górę nad troską o ciebie. Wybacz mi, proszę, moja droga.

Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam się uprzejmie. Gestem ręki poprosiłam o wyniesienie tacy. Tak też zrobiła, a ja opadłam na poduszki z westchnieniem błogiego zadowolenia, co Celia poczytała za zmęczenie.

— Dam ci odpocząć — powiedziała. — Nie bój się o maleństwo. Jakoś ją nakarmię. — Kiwnęłam głową. Byłam spokojna. Gdybym urodziła chłopca, wytęsknionego syna, nigdy nie pozwoliłabym jakiegś biednej francuskiej wieśniaczce zbliżyć się do niego ze swoim mlekiem i swoim brudem. A dziewczynka — niech sobie radzi. Setki niemowląt wykarmiły się na papce mąki z wodą, tak że ten berbec o niepożądaney płci na pewno jakoś przeżyje. Setki dzieci nie wytrzymało tej diety, a to też stanowiło pewne rozwiązanie (pod wieloma względami bardzo rozsądne) problemu płaczącej dziewczynki. Zmuszanie przez całe życie Celi do zachowania tajemnicy mogło kosztować mnie sporo zachodu i dobrej woli. Ten wysiłek nie znaczyłby nic, gdyby chodziło o syna, dziedzica Wideacre, lecz okazałby się zbyt wysoką ceną za nic niewartą pozycję córki. Po co mi dziewczynka, po co komukolwiek dziewczynka? W przypiływie rozczarowania znów zamknęłam oczy i zdrzemnąłam się.

Obudziłam się z głową na poduszce mokrej od łez. Płakałam we śnie, a teraz czując na policzku mokre płótno, znów zaczęłam szlochać. Tak daleko było do Wideacre z tego dusznego pokoiku w obcym mieście. Wielkie szare fale morskie oddzielały mnie od domu. Z dala od Wideacre, z dala od prawa do własności. Wizja Wideacre nawiedzała mnie w snach jak obraz świętego Graala i na poszukiwaniach mogłam strawić bezowocnie całe życie. Przycisnęłam twarz do poduszki i wypowiedziałam imię człowieka, który był w stanie dać mi Wideacre. Ralph.

I znów zasnąłam.

Celia zjawiła się w porze obiadu, przynosząc tacę pełną smakołyków. Karczochy, pierś kurczęcia, ragoût z warzyw, ciastka, biszkopt w mleku i ser. Zjadłam wszystko z apetytem, jak po całym dniu wędrowania przez pola Wideacre. Zaczekała, aż skończę, a potem nalala mi szklanę ratafii. Uniosłam brwi zdziwiona, lecz wysączyłam zawartość szklanki.

— Akuszerka mówi, że powinnaś wypić szklanę tego dziennie, a pod wieczór kufel portera lub jasnego piwa.

— A na cóż to? — odezwałam się leniwie, opadając na poduszki i rozkoszując się wspomnieniem słodkiego smaku na języku.

— Żebyś miała pokarm — odparła Celia oschle.

Po raz pierwszy spostrzegłam napięcie w jej oczach i wyraz zdecydowania na twarzy. Twarz jak kwiatusek nie przestała przez to być śliczna, lecz aksamitne brązowe oczy odbijały stanowczość. Opuściłam powieki, aby ukryć swe zdumienie. Celia bardzo poważnie traktowała macierzyństwo i przy tym stanie rzeczy rychło straci swój cukierkowy wygląd, podczas gdy ja będę kwitnąca i wypoczęta niczym rozpieszczona kotka.

— Nie można tu nigdzie znaleźć innej mamki, musiałam więc posłać po proboszcza, w którego gestii znajduje się przytułek Świętej Magdaleny. Znajdują tam opiekę panny z dziećmi — wyjaśniła Celia. — Posłałam tam chłopaka stajennego naszej gospodyni, ale nie znajdziemy nikogo przecież tak od zaraz. A dziecko płacze i płaczem domaga się twojego mleka. Nie chce ani krowiego mleka, ani koziego, ani mąki z wodą, ani samej wody.

Spojrzałam na nią ukradkiem, wciąż nieporuszona jej słowami. Wyraz twarzy Celi nappełnił mnie jednak niepokojem. Zaszokowana zdałam sobie nagle sprawę, że oto znalazła się kwestia, wobec której Celia zajmuje bardziej zdecydowane stanowisko niż ja. Broniała tego kłopotliwego berbecia jak swego własnego. Zakochała się w dziecku od chwili jego narodzin, a złożyło się na to wiele przyczyn: miesiące przygotowań i oczekiwań, niepokój o Harry'ego (przecież dziecko urodziło się oficjalnie za wcześniej), delikatne usposobienie i potrzeba dawania miłości. To ona wzięła noworodka w ramiona. To ona pierwsza przemówiła doń z miłością. Ona pierwsza kołysała i całowała maleńkie ciało. Postępowała jak każda matka po urodzeniu dziecka. A teraz broniła go. Walczyła o życie dziecka gotowa stoczyć walkę z każdym, kto zagrażał jego istnieniu. Patrzyłam na nią z nieukrywaną ciekawością. To już nie posłuszne dziewczątko, którym dyrygowałam jak kukiełką. To dorosła kobieta odpowiedzialna za czyjeś życie — a przez to silna i stanowcza. A w tej właśnie kwestii silniejsza ode mnie.

— Beatrice — głos jej zabrzmiał twardo. — Musisz nakarmić dziecko. To ci nie sprawi kłopotu. Przyniosę ją i zabiorę zaraz po karmieniu, proszę tylko o te kilka razy, zanim znajdziemy mamkę.

Przerwała. Ja dalej nic nie mówiłam. Gotowa byłam się zgodzić. Właściwie dlaczegoż by nie? Nie zepsuje mi to przecież figury, o, miałam pewność, że pozostanę zgrabna i ponętna. Okażę się wrażliwą kobietą. Wahałam się jednak, chcąc sprawdzić granice stanowczości Celi.

— To nie potrwa dłużej niż parę dni — stwierdziła. — A gdyby nawet rok, też prosiłabym cię, Beatrice, *nalegałabym*, żebyś to zrobiła. Dziecko jest moje. Biorę na siebie odpowiedzialność za nie, muszę więc mieć pewność, że zostanie nakarmione. A tylko ty możesz dać to, czego dziecku trzeba.

Uśmiechnęłam się spokojnie.

— Oczywiście, Celio, jeśli tak bardzo chcesz — odparłam szlachetnie. — Nie proponowałam ci tego, ponieważ sądziłam, że wszystko świetnie ułożyłaś już sobie z naszą gospodynią — widok ulgi na twarzy Celiomal nie przypisał mi o wybuch śmiechu. — Możesz ją przynieść — pozwoliłam łaskawie. — Zostań jednak i poczekaj, żeby zabrać ją po karmieniu. Będę chciała się zdrzemnąć.

Celia wybiegła z pokoju jak strzała i wróciła z płaczącym zawiniątkiem. Dziewczynka miała cudownie miękkie brązowe włoski zwijające się w loczek na czubku główki (potem, jak wiedziałam, owłosienie głowy całkiem się zmieni, podobnie jak intensywnie niebieskie oczy). Wpatrywała się we mnie, jak gdyby chciała zajrzeć do mojej duszy. Bawiło mnie wytrzymywanie jej wzroku. Zawsze mierzyłam się wzrokiem — z kotami, psami i ludźmi. Te niebieskie oczka nie uciekały o dziwo przed moim spojrzeniem, miały w sobie coś szaleńczego i sprawiały, że poczułam się nieswojo, trochę przestraszona. Rączki były pomarszczone jak rozgwiazda, niesłychanie maleńkie, a z powijkaków wystawały jeszcze stóпки wyglądające niczym wyschłe listki. Pachniała moją wonią, wonią narodzin. Stanowiłyśmy jedność, ta kropeczka i ja. Ale nie była synem!

Żaden z niej pożytek. Odżegnam się od wszelkiej więzi z tą istotką. Niech troszczy się i martwi o nią Celia, niech na jej twarzy pojawiają się cienie i zmarszczki.

Przystawiłam zawiniątko do piersi i trzymałam niezdarnie. Celia mimowolnie cofnęła dłonie, lecz widziałam, że rwie się do pomocy. Patrzyła i czekała. Żadna z nas nie wiedziała, jak trzeba postępować, lecz dziecko miało w sobie instynkt przetrwania. Czując zapach brodawki, wyrwała się do piersi. Usteczka przybrały kształt trójkąta skierowanego wierzchołkiem w stronę brodawki. Poczułam dziwny ból w piersi, a potem wielką ulgę i zadowolenie, kiedy dziecko zaczęło ssać. Pochrapywało i posapywało, wydawało wściekle okrzyki protestu, gdy mleko spływało za wolno, a potem przyssało się na dobre. Oczka spojrzwały nieprzytomnie i zamknęły się, gdy dziewczynka wpadła w miarowy rytm jedzenia. Nad główką dziecka napotkałam oczami wzrok Celi i uśmiechnęliśmy się.

— Jak ją nazwiesz? — spytałam bez większego zainteresowania.

Celia pochyliła się, aby dotknąć małej główki, i położyła palec na ciemączku pulsującym silnie, zdrowo.

— Oto moja mała Julia — odrzekła cicho, lecz stanowczo. — Już niedługo zabiorę ją do domu.

Odczekałam jeszcze z tydzień i napisałam list, który długo układałam w myślach:

*Najdroższy Harry,*

*Z dumą i radością donoszę Ci, że Twoje dziecko, urodzone przedwcześnie, czuje się dobrze. Masz dziewczynkę, a Celia zamierza nazwać ją Julią. Delikatne zdrowie Celi przysporzyło nam wiele niepokoju i bardzo się przeraziłam, kiedy złapały ją bóle na dwa tygodnie przed terminem. Miałyśmy jednak dobrą akuszerkę, a i nasza gospodyni pomogła, więc Celia męczyła się niecały dzień. Dziecko oczywiście było dość małe, lecz szybko przybiera na wadze, a mamka ma dużo pokarmu. Zanim wrócimy do domu, zniknie różnica między Julią, a dziećmi urodzonymi o czasie.*

Przynajmniej to jest prawdą — pomyślałam, dodając jeszcze parę sugestywnych szczegółów do tego obrazu. Na końcu nagryzmołam parę słów rzekomo od Celi powracającej do zdrowia po trudnym połogu.

Niewiele wiedziałam o dzieciach, miałam jednak pewność, że jeśli wrócimy do domu z ponadmiesięcznym niemowlęciem, nikt się nie zorientuje w prawdziwym terminie poczęcia dziecka. Jeśli ktokolwiek nabierze podejrzeń, że dziecko wygląda zbyt dobrze i zbyt jest ruchliwe jak na wcześniaka, wątpliwości będą dotyczyć Celi i Harry'ego i ich współżycia przed ślubem. Ja pozostanę czysta. Harry natomiast nie będzie w stanie określić wieku dziecka — a tylko on wie, że małżeństwo skonsumowali dopiero w Paryżu. Dokładnie wszystkie podawane przez siebie daty dopasowałam do owej jedynej wspólnej nocy udreki Celi i Harry'ego.

W pośpiechu, w obcym kraju, pod naciskiem okoliczności i pewna, że noszę pod sercem syna, ułożyłam swój plan najlepiej jak umiałam. Zapieczętowałam kopertę i położyłam na nocnym stoliku, żeby Celia zaniósła list na pocztę. Nic więcej nie mogłam zrobić. Resztę zostawiłam kapryśnym bogom Wideacre, którzy tak często mi sprzyjali w nagrodę za moją wierność ziemi. Zaufałam też Celi, że poprawnie odegra swoją rolę, kiedy znajdziemy się w domu.

I tak też się stało. Ze zdecydowaniem, które widziałam w jej zachowaniu tylko raz przedtem, na promie na kanale La Manche, Celia zorganizowała znakomicie całą wyprawę. Mamka, ja, kwiląca Julia i Celia wsiadłyśmy na statek pocztowy płynący do Anglii szybciej, niż to wydawało się możliwe.

Cieszyłam się, że Celia wzięła wszystko na siebie. Ja czułam się wyczerpana. Chociaż odpoczywałam jak rozpieszczona księżniczka i przed, i po porodzie, wciąż odczuwałam zmęczenie i miewałam zmienne nastroje jak rozkapryszona francuska pensjonarka. W nocy słyszałam zza ściany płacz dziecka i chociaż porzuciłam myśl, że to ja powinnam wstać, zapalić świecę i zająć się uspokojeniem dziecka, że to ja powinnam nosić je na rękach, aż znów zaśnie, wciąż w głębi duszy czułam, że to mnie wzywa Julia, a piersi zaczynały boleć.

Byłam rozbita wewnętrznie. Moje ciało zawsze tworzyło harmonijną całość z umysłem, teraz jednak wciąż nieco rozlazłe, zwiotczałe w talii, pokryte różowymi liniami rozstępów na skórze, wydawało się jak nie moje. A do tego reakcja na płacz dziecka w nocy: otwarcie oczu, napięcie mięśni! Nie poznawałam samej siebie! Twarde piersi bolały od zbierającego się mleka. Wszystko to jakoś obce, nużące, tak jak monotonne, błękitne francuskie niebo i dziwacznie pachnąca ziemia, inny chleb i cuchnące sery. Wszystko nie tak, jak w Wideacre wiosną, jak w domu.

Przez większą część podróży morze było spokojne. Rozkoszowałam się słoną wonią i południowym wiatrem, a nawet nauczyłam się znosić kołysanie statku. Ciało powoli traciło zaokrąglenia, odyskiwało zaś dawną wiotkość. Nabrałam przekonania, że powracam do swej prawdziwej osobowości. Poranne słońce rzucało miedziany blask na moje kasztanowe włosy i wywoływało drobne piegi na nosie. Byłam jeszcze trochę pulchna na szyi, a i piersi miałam pełniejsze i cięższe niż przed ciążą, lecz gdy oglądałam się nago w lustrze, w kolebiącej się kajucie, pomyślałam, że nikt nie przypuści, że urodziłam dziecko, nawet Harry, kiedy zbada mnie od stóp do głowy wzrokiem, dłońmi i językiem.

Kiedy tylko Celia znalazła mamkę, odstawiłam dziecko i podwiązałam piersi. Powiedziałam Celii, że pokarm zanikł natychmiast, a jako dowód pokazałam swą szczupłą figurę. Nie mówiłam całej prawdy. Kiedy słyszałam płacz głodnego dziecka, piersi bolały, a brodawki moczyły sukienkę. Gdyby Celia miała tyle mleka, sama karmiłaby dziecko. A ja, tryskająca pokarmem, spokojnie patrzyłam jej w oczy i przysięgałam, że mleko się skończyło.

Okropne różowe rozstępy na skórze znikwały, tworząc niemal niewidzialne nitki, tak jak zapowiadała nasza *madame*. Cienie pod oczami przestały mnie gnębić, kiedy dziecko, mamka i Celia zajęły kajuty położone z dala od mojej.

W rzeczy samej nie dane im było długie spanie. Kiedy ja przechadzałam się po pokładzie lub wygrzewałam się na słońcu, patrząc na rozsuwane dziobem niebieskie fale, albo przechylona przez rufę obserwowałam spieniony, niczym znaczony kredą biały szlak na morzu, Celia najczęściej nosiła dziecko na rękach w dusznej kajucie pod pokładem.

Dziecku wyraźnie nie odpowiadały morskie podróże, a francuska dziewczyna wynajęta jako mamka podczas napadów choroby morskiej traciła chwilowo pokarm. Mleko płynęło, jeśli dziecko było często przystawiane do piersi. Między karmieniami dalej czuło głód i odwracało głowę od papki mącznej i wody. Kiedy zobaczyłam twarz Celii po całym dniu opiekowania się wymiotującą mamką i po całej nocy noszenia

marudzącego dziecka, niemal parsknęłam śmiechem. Jeden rzut oka na wymizerowaną Celię przekonał mnie, że macierzyństwo nie jest moim powołaniem. Wyglądała o parę lat starzej niż płochliwa panna młoda, która wyjeżdżała z Anglii przed dziewięcioma miesiącami. Naprawdę — wyglądała jak kobieta, która dopiero co wydała na świat wcześniaka, ba, co najmniej trojaczki.

— Odpocznij, Celio, odpocznij — odezwałam się, wskazując na miejsce obok i odsuwając fałdy spódnicy.

— Mogę przysiąc tylko na chwilę, kiedy ona śpi. — Celia przycupnęła na skraju ławeczki, czujnie nasłuchując dźwięków dochodzących spod pokładu.

— Co dolega dziecku? — spytałam zdawkowo.

— Nic nowego, jak sądzę — odparła znużonym głosem. — Po pierwsze, niepokoi ją ruch statku. Po drugie, nie najada się do syta. Myślę, że teraz zebrało się wystarczająco dużo pokarmu, więc po ostatnim karmieniu będzie dobrze spała.

Kiwnęłam głową uprzejmie, lecz bez większego zainteresowania.

— Dobrze jej zrobi powietrze Wideacre — stwierdziłam, mając tu na myśli przede wszystkim siebie.

— Tak, z pewnością — ucieszyła się Celia. — I widok tatusia, i domu. Nie mogę się już doczekać, a ty, Beatrice?

Serce mi zabiło na wspomnienie Harry'ego i domu.

— Ja także — odrzekłam. — Jakże już długo przebywamy poza domem! Ciekawa jestem, jak tam wszystko wygląda.

Bezwiednie pochyliłam się i zaczęłam wpatrywać w horyzont tak intensywnie, że oczami wyobraźni widziałam fioletowy garb ziemi wyrastający tam, gdzie morze styka się z niebem. Przestałam myśleć o problemach, które zostawiłam za sobą. Na pierwsze miejsce wysunęła się Wideacre. Wiedziałam już ze szczegółowych listów Harry'ego, że wiosenne zasiewy udały się, że zima była lekka, a paszy wystarczyło, tak że nie ubijano zwierząt. Dzierżawcy przekonali się, że rzepy można używać zimą jako paszy, kiedy udowodniliśmy na naszej farmie przydomowej, że inwentarz z powodzeniem się nią karmi. Francuskie winorośle, które Harry przywiózł z Bordeaux, zostały zasadzone na zboczach terenów położonych na południu posiadłości i nie wyglądały wcale gorzej niż te rosnące we Francji, więc chyba się przyjęły.

Były też ujemne strony. Z dala od domu nie upilnowałam szaleńczego pędu Harry'ego do eksperymentowania. Pierwszy z jego przejawów nie miał większego znaczenia. Zaorano stare pola, które i tak wkrótce porosną trawą. No cóż, ludzie stracą szybsze przejście prowadzące przez owe tereny „na skróty”, a drogi okolicznych farmerów staną się na pewien czas nieprzejezdne. Harry nie posłuchał rad doświadczonych robotników rolnych i zamierzał założyć sad na Green Lane Meadow. Wkrótce przekonał się, że rosnąca tu trawa swą bujność zawdzięczała nietypowemu gliniastemu podłożu. Lemiesze grzęzły niczym na glebach Devonu, drzewa zaczęły marnieć, a lepkie błoto w słońcu wysychało na skałę. Cała stuakrowa łąka obróciła się w ruinę, a drzewka, pieniądze i czas przyszło spisać na straty spowodowane niedoświadczeniem Harry'ego. Rozzłościłam się, że nie mogłam temu zapobiec, a jednocześnie cieszyłam się, że straty nie okazały się zbyt wysokie. Rozsądni starsi robotnicy, a nawet młodzi parobkowie będą kręcić teraz głowami na wieść o zwariowanych pomysłach dziedzica i szeptać życzenia, oby panna Beatrice jak najszybciej wracała do domu.



Inny z nonsensownych wyskoków Harry'ego mógł kosztować czyjeś życie, a tego bym nie wybaczyła. Naczytał się w fachowych książkach o regulacji rzek i postanowił spróbować z naszą Fenny. Fenny od wieków należała do rzek niespokojnych w porze wiosennej. Nurt jej stawał się szybki, woda występowała z brzegów, latem zaś wracała do swej ospałej, powolnej natury. Każdy to wiedział, każdy oprócz oczywiście Harry'ego, a wszyscy farmerzy, których pola leżały nad rzeką, byli zawsze przygotowani na wiosenne wylewy i podniesiony poziom wody zimą. Zostawiali nie zaorane wielkie obszary dawnych zagród dla bydła. Woda traciła tam swoją szybkość, przestała stwarzać zagrożenie dla reszty pól i po pewnym czasie spływała do głównego nurtu rzeki. Przeciętnie traciliśmy jedną owcę czy nierozważne cielę, a raz jak pamiętam, podczas wylewów zginęło nie dopilnowane dziecko. Nigdy jednak nie było mowy o wielkiej powodzi. Słodka Fenny; można sobie z nią poradzić starymi sprawdzonymi sposobami.

Harry'emu one jednak nie wystarczały. Liczył, że jeśli poziom wody da się uregulować dodatkowym zbiornikiem w postaci dolinki otoczonej murem, reszta terenów, zwykle leżących odłogiem w oczekiwaniu na wiosenne wylewy, da się wykorzystać. Puste zakola, podmokłe łąki zalewane dwukrotnie w ciągu roku można było zaorać, aby dały większe plony tak ukochanej przez Harry'ego pszenicy. Wysłuchał uprzejmie wszystkich dobrych rad doświadczonych ludzi i puścił je mimo uszu. Zignorował też moje listy wyrażające ostry sprzeciw. Harry uważał się za najmądrzejszego. Starzy dzierżawcy posyłali swoich synów do budowy grobli i śluz, do kopania kanalików, a za plecami Harry'ego śmiali się z tego marnotrawstwa i jak sądzę, zastanawiali się, co też powie na to wszystko panienka Beatrice, kiedy wróci do domu i wpadnie we wściekłość.

Co się następnie wydarzyło, zdołałby przewidzieć każdy głupiec oprócz oczywiście tego głupca — dziedzica Wideacre. Spiętrzenie wód przerosło przewidywania Harry'ego. Brał on pod uwagę tylko nurt rzeki Fenny, kiedy zaś topnieją śniegi i padają ulewne wiosenne deszcze, cała okolica staje się podmokła i pojawiają się nagle jak spod ziemi nowe strumienie. Wezbrane wody jeziora zatopiły zagajnik leszczynowy starszy niż sama Wideacre i rozlały się na dobre suche łąki w górnych partiach posiadłości. Wrota śluzy z trudem otwierały się i zamykały, zależnie od siły przepływu; świeżo budowany mur rozpadł się po prostu, grobla runęła i potężna ściana wody, wysoka jak dom, z hukiem pomknęła dolinką w stronę Acre.

Rycząca fala zerwała mostek, a Harry mógł mówić o dużym szczęściu; na starym moście nie było ani dzieci siadających zwykle na poręczach, ani starców palących tytoń i wpatrujących się w nurt rzeki. Rwący żywioł zmiótł dosłownie most z powierzchni ziemi.

Fala zniszczenia sunęła dalej niczym niezdarnie rozłożony wachlarz, który zmiata ze stołu cenną zastawę. Zboże, krzewy, zarośla, a nawet płytko zakorzenione jodły w odległości dwudziestu stóp od brzegu w mgnieniu oka zniknęły. Zasiwy na podmokłych do niedawna łąkach, duma Harry'ego, zostały wyrwane, zanim zapuściły korzenie. Odzyskane pola pokryły się mułem i połamanymi gałęziami.

Potop dotarł do nowego młyna i tu napotkał opór. Budynek trzymał się mocno. Okna na parterze i drzwi otwarły się pod naporem wody i trochę ziarna uległo zalaniu, lecz zabudowania ocalały. Stary młyn, gdzie kochałam się z Ralphem, oraz chata Meg padły jednak ofiarą powodzi. Zostały tylko dwie ściany. Woda zmyła ślady naszych stóp na malowniczym brzegu rzeki. Słoma, której źdźbła Ralph zdejmował z mojej sukni, popłynęła z falą.

Najgorsze nastąpiło, kiedy rzeka wróciła do swego koryta. Harry pisał mi, że kiedy następnego dnia wyruszył na przejażdżkę, spotkały go gniewne spojrzenia. Och, ja wiedziałam, że właściwie wszyscy się śmieją za jego plecami. Każdy spryciarz w Wideacre skorzysta na tych szaleństwach dziedzica i zażąda niebotycznego odszkodowania. Harry musiał znaleźć robotników i pieniądze, żeby odbudować most i drogę; musiał zrekompensować straty dzierżawcom, których ziemie zostały zalane, a zboże zniszczone. Musiał zapłacić pani Green za nowe szyby w oknach i nowy perkal na zasłony. Kiedy przeczytałam ów pelen skarg list opisujący szkody i roszczenia wobec Harry'ego, aż zawrzał we mnie gniew. Tak jednak tęskniłam już za domem, że gotowa byłam pomóc w rozwiązaniu całej sytuacji.

O niektóre sprawy nie mogłam wypytywać Harry'ego. Na przykład: jak się miewa młody doktor, czy lady Havering udało się go upolować dla jednej z pięknych sióstr Celi, czy pamiętał swoje zauroczenie moją osobą... Serce nie biło mi wcale mocniej na myśl o nim (nie stanowił dla mnie żadnej atrakcji ani zagadki, nie mógł mi też dać Wideacre), lecz swego czasu pochlebił mojej próżności i zainteresował mnie. Nic przypominał ani w calu mężczyzn, których znałam, czyli mężczyzn związanych z ziemią — dziedziców, rubasznym rolników, ludzi decydujących o losach naszego hrabstwa. Doktor MacAndrew nic miał jednak w sobie nic z magii, jak Ralph. Nie miał ziemi ani czaru, jak Harry. Zainteresował mnie, a jeśli pozostał kawalerem, jeśli wciąż gotów jest śmiać się do mnie błękitnymi oczami — niechaj mnie interesuje!

Patrzyłam na morze, na fale podążające jedna za drugą jak wędrujące wzgórze. Rozważałam najważniejszy problem, który czekał mnie w domu: czy znaleziono, osądzono i powieszono wszystkich łajdaków biorących udział w napadzie w Kent, czy też jeden z nich, herszt na czarnym koniu i w towarzystwie dwóch czarnych psów, pozostawał wciąż na wolności. Koszmarny obraz beznogiego jeźdźca nie budził mnie już co noc, aczkolwiek pojawiał się w moich snach. Myśl o wspaniałym silnym Ralphie kuśtykającym o kulach lub co gorsza, pełzającym po ziemi jak pies w rynsztoku, zawsze napawała mnie wstrętem i strachem. Starłam się usunąć tę wizję z psychiki, a kiedy wracała nieproszona po zamknięciu oczu, brałam sporą dawkę laudanum i zapadałam w sen.

Jeśli stłumiono bunt głodowe, mogłam spać spokojnie. Herszt bandy dawno zawisnął na szubienicy. Mógł zataić swoje prawdziwe nazwisko, a wtedy nikt nawet nie powiadomiłby Wideacre, a z pewnością nikt nie przekazałby informacji o nim do Francji. Postać nawiedzająca mnie w koszmarach mogła rzeczywiście pochodzić ze świata duchów. Nie bałam się umarłych.

Jeśli nie żył, powinnam czuć żal. Mój pierwszy kochanek, chłopiec a potem mężczyzna mówiący o ziemi i rozkoszy z taką tęsknotą i pragnąco obu tych rzeczy. Bystry młodzieniec, który tak szybko pojął, że są tacy, co dają miłość, i tacy, co ją biorą. Śmiały, namiętny, spontaniczny kochanek, który nie wątpił, że mnie chce i nie zastanawiał się nad tym wcale. Nasze zmysły świetnie współgrały. Tak nigdy nie będzie z Harrym. Gdybyż tylko pochodził z naszej sfery... te marzenia prowadziły jednak donikąd. Zabił dla Wideacre i prawie umarł dla Wideacre. Pozostawało mi mieć nadzieję, że dokończył to, co zaczęła pułapka na kłusowników, i że miłość dziewczynki, dziewczyny i kobiety zakończyła żywot.

— Czy to może być ład? — spytała nagle Celia.

Wskazała przed siebie. Dostrzegłabym nawet smugę dymu na horyzoncie.

— Chyba jeszcze nie — odparłam, wyżejając wzrok. — Kapitan mówił, że to nastąpi dopiero jutro. Wiatry jednak nam sprzyjały przez cały dzień.

— A ja wierzę, że to ład. — Blade policzki Celi zarumieniły się radośnie. — Jakże cudownie znów zobaczyć Anglię! Przyniosę Julię, żeby zobaczyła dom.

Zeszła pod pokład i wróciła z dzieckiem, nianią i wszystkimi rzeczami niemowlęcia. Na dziobie statku dziecko miało zetknąć się z bliskością domu.

— Miejmy nadzieję, że widok ojca bardziej ją zaciekawi — powiedziałam, obserwując te nonsensowne poczynania.

Celia zaśmiała się z lekkim rozczarowaniem.

— Och, ona jest za mała, żeby się czymś zainteresować. Ale lubię jej pokazywać różne rzeczy i opowiadać o nich. Wkrótce będzie już wiele umiała.

— A jeśli nie, to na pewno nie ze względu na brak nauki — rzuciłam oschle.

Celia spojrzała na mnie poruszona tonem mego głosu.

— Ty nie... nie żałujesz swej decyzji, Beatrice? — podeszła z dzieckiem na rękę.

Zatroskała się stanem moich uczuć, mocniej chwyciła dziecko.

— Nie — uśmiechnęłam się na widok jej przerażonej twarzy.

— Nie, nie, Celio. Dziecko jest twoje i masz na to błogosławieństwo. Mówię tak, bo jestem zdumiona, jak wiele dziecko dla ciebie znaczy.

— Wiele? — Celia gapiła się, nie rozumiejąc. — Ależ, Beatrice, ona jest tak skończenie *doskonała*. Musiałabym postradać zmysły, żeby nie kochać jej nad życie.

— A zatem ustaliłyśmy — orzekłam zadowolona, że wyjaśniłyśmy sprawę raz na zawsze. Dziwaczne wydawało mi się, że instynktowna miłość Celi do dziecka, która zaczęła się w momencie powiadomienia jej o mojej ciąży, rozwinęła się w tak gorące oddanie. Entuzjizm, jaki wzbudzała we mnie myśl o noszonym pod sercem chłopcu, sprawił, że pozostawałam nieczuła na wszelkie uroki urodzonej dziewczynki. Celia nie nastawiała się na płęć dziecka, chłopca pokochałaby także. A ja pragnęłam tylko dziedzica.

Wstałam i ruszyłam na przechadzkę po lekko rozkołysanym pokładzie. Patrzyłam na morze, wypatrując Anglii, która stawała się coraz ciemniejszą smugą na horyzoncie. Wychyliłam się przez reling i wyobrażałam sobie, że rozgrzana słońcem woda sięga do mych piersi. Wieczorem, a najdalej w nocy znajdę się znów w ramionach dziedzica Wideacre. Drżałam z niecierpliwości. Długo czekałam na tę chwilę, lecz warto było czekać.

Wiatr zmienił się w bryzę wiejącą od strony ładu. Żagle obwisły. Żeglarze przeklinali. Tak blisko ładu! Kapitan przy kolacji obiecywał, że przybijemy do Portsmouth rankiem. Pochyliłam głowę nad talerzem, aby ukryć rozczarowanie, Celia natomiast uśmiechnęła się i wyraziła radość.

— Akurat Julia się obudzi — wyjaśniła — a ona zawsze najlepiej czuje się rano.

Kiwnęłam głową, kryjąc pod powiekami wzrok pełen pogardy. Celia myśli tylko o dziecku, wątpię jednak, czy Harry spojrzy na kosztowną kołyskę, kiedy ja stanę obok...

Jakże miałam się zdumieć. Gorzko zdumieć.

Weszliśmy do portu w Portsmouth zaraz po śniadaniu. Celia i ja stałyśmy przy relingu, w podnieceniu patrząc na tłum witający statek.

— Tam jest! — zawołała Celia. — Widzę go, Beatrice! Jest też twoja mama!

Napotkałam wzrok Harry'ego jak spłoszony koń. Wczepiłam się w reling, wbiłam paznokcie w twarde drzewo aż do bólu, aby powstrzymać się od krzyku: „Harry! Harry!” i od wyciągnięcia ramion, jak gdybym całkiem absurdalnie chciała pokonać odległość między statkiem a brzegiem. Jęknęłam z pożądania. Spojrzałam na mamę wyglądającą przez okno powozu i pomachałam jej ręką, a potem znów przykułam wzrok do mojego brata, mojego kochanka.

Wskoczył pierwszy na pomost, kiedy tylko przycumowano statek, a ja pierwsza przywitałam się z nim, chociaż myśl o wyprzedzeniu Celi nie przyszła mi do głowy. Celia podnosiła dziecko z kołyski, tak że nie było sensu czekać na nią, nie istniał też powód, dla którego Harry nie mógłby mnie objąć na powitanie.

— Harry — odezwałam się, a żądza pobrzmiewała w moim głosie.

Wyciągnęłam ręce i nadstawiłam twarz do całusa. Wpatrywałam się w jego twarz tak intensywnie, jak gdybym chciała go pochłonać. Złożył gorący serdeczny pocałunek na moich ustach i zerknął mi przez ramię.

— Beatrice — powiedział i znów spojrzał na mnie. — Dziękuję ci, *naprawdę* ci dziękuję, że przywiozłaś je obie do domu.

A potem bardzo delikatnie odsunął mnie i podszedł do kobiety, którą uwielbiał, do Celi. Do Celi i mojego dziecka. Otoczył je obie ramieniem.

— Och, najdroższa — usłyszałam, jak mówi cicho, tylko dla niej.

Podniósł falbankę czepka i pocałował ją na oczach roześmianych marynarzy, na oczach tłumu w porcie, na moich oczach.

Długi pocałunek. Oczy Harry'ego pojaśniały miłością, na twarzy malowała się czułość. Przeniósł wzrok na dziecko.

— A oto nasza mała dziewczynka! — stwierdził z zachwytem.

Wziął ją ostrożnie z rąk Celi i podniósł chwiejną główkę na wysokość swojej twarzy.

— Dzień dobry, panno Julio — powiedział tkliwie, rozbawionym tonem. — Witaj w domu, w swoim kraju. — Usiadł obok Celi. — Ot, wykapany tatuś! Widać, że z rodu Laceyów! Jak sądzisz? Najprawdziwsza dziedziczka, moja kochana! — Uśmiechnął się i bezpiecznie posadził dziecko na zgiętym ramieniu, a wolną ręką ujął malutką dłoń i ucałował.

Zazdrość, zdumienie i zgroza przykuły mnie do pokładu przy relingu, zdecydowałam się jednak wreszcie przerwać tę czułą scenę.

— Musimy zabrać bagaże — oznajmiłam nagle.

— O, tak — zgodził się Harry, nie odrywając wzroku od rozkosznie pokraśniałej twarzy Celi.

— Wezwiesz bagażowych? — spytałam najgrzeczniej, jak umiałam.

— O, tak — odparł Harry, lecz nie ruszył się ani o cal.

— Celia będzie chciała przywitać się z mamą i pokazać jej dziecko — zarządziłam sprytnie i popatrzyłam, jak Celia z poczuciem winy biegnie z dzieckiem na pomost. — Tylko nie to — powstrzymałam ją

zniecierpliwiona. Przywołałam nianię, aby wzięła dziecko, ja zaś poprawiłam czepek i szal Celi, wręczyłam jej torebkę i ustawivszy dostojną procesję, poszłam razem z nimi.

Mama zachowała się równie niemożliwie jak Harry. Ledwie rzuciła na nas wzrokiem i natychmiast zajęła się dzieckiem. Oglądała śliczną twarzyczkę w obramowaniu falbanek czapeczki.

— Cóż za przepiękne dziecko — aż zaćwierkała z zachwytu. — Witaj, panno Julio. Witaj nareszcie w domu.

Celia i ja wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia. Może i zwariowała na punkcie dziecka, ale każdą noc spędzała na noszeniu maleństwa na rękach i uspokajaniu go. Zachowałyśmy milczenie, a mama ćwierkała dalej. Dziecko zagugało w odpowiedzi. Mama oglądała wspaniałe paluszki i stópki w atlasowych trzewiczkach. W końcu podniosła głowę i obdarzyła nas ciepłym uśmiechem.

— Och, moje drogie! Nie mogę wprost wyrazić swej radości, że was obie widzę! — Gdy to mówiła, otrząsnęła się z zauroczenia dzieckiem, a przez bladą twarz przemknął cień. Przeniosła szybko przenikliwy, wręcz podejrzliwy wzrok z niewinnej twarzy Celi na moją zakłamaną minę.

Nagle zaczęłam się bać. Bać jej doświadczenia i czujności. Znała specyficzną woń narodzin dziecka, a ja wciąż krwawiłam. Tego nie mogła wiedzieć, lecz patrzyła na mnie, jak gdybym stała przed nią naga, jak gdyby rejestrowała uważnie zaokrąglenie szyi, karku, ramion. Jak gdyby widziała pod sukienką ciasno związane piersi. Jak gdyby czuła (choć kąpałam się bardzo starannie) zapach wydzielanego jeszcze mleka. Spojrzała mi w oczy... i wiedziała. Wymieniliśmy milczące spojrzenia i wiedziała. Przysięgam, że dostrzegła we mnie kobietę, która miała za sobą podobne przejścia jak ona, która cierpiała rozkosz i ból, która urodziła dziecko, dała życie nowej istotce, wydała ją na obojętny świat. Mama spojrzała z powrotem na Celię. Dziewczęcą, dziewiczo ładną, niczym nie różniącą się od płochliwej panny młodej sprzed paru miesięcy.

Wiedziała. Czułam to. Wiedziała, lecz wyrzucała tę wiedzę ze świadomości. Bała się. Jej spętany konwenansami umysł bał się tego, co mówił kobiecie instynkt. Oczy widziały zaokrąglenia mojej figury i wiotkość Celi. Węch czuł mleko. Kobieta matka rozpoznała drugą matkę. Zwróciła się do Celi.

— Jakże musisz być zmęczona, moja droga. Taka długa podróż, tyle przeżyć. Siadaj, wkrótce będziemy w domu. — Ucałowała Celię, a ta usiadła obok niej w powozie.

Nareszcie mama przemówiła do mnie.

— Moja najdroższa — obawa i nie wypowiedziane podejrzenia zniknęły z jej oczu. Zbyt była słaba, zbyt tchórzliwa, by stawić czoło czemuś nieprzyjemnemu. — Witaj w domu, Beatrice — pochyliła się, ucałowała mnie i objęła moje zaokrąglone ciało. — Miło znów cię widzieć, i to w dobrym zdrowiu.

Dołączył do nas Harry. Zapakował mamkę do powozu mamy, a sam pilnował bagażu i służących w drugim dylizansie.

— Jak świetnie sobie poradziłaś — odezwał się z wdzięcznością. — Gdybym wiedział, kiedy wyjeżdżałem... Nigdy w świecie bym nie wyjechał, gdybym nie wiedział, że dasz sobie radę, najdroższa Beatrice.

Wziął moją dłoń i pocałował beznamiętnym pocałunkiem wdzięcznego brata, nie zaś tkliwym, czułym pocałunkiem, jakim obdarzył Celię. Badałam jego twarz, szukając oznak zmiany wobec mnie.



— Wiesz, że zrobiłabym wszystko, żebyś był zadowolony, Harry — odparłam dwuznacznie, wciąż czując wewnętrzny żar.

— O tak — rzekł głosem zrównoważonym. — Każdy mężczyzna uważałby jednak, że opieka nad własnym dzieckiem to szczególne, odpowiedzialne zadanie.

Uśmiechnęłam się. Czytałam w jego myślach. Harry podobnie jak Celia zwariował na punkcie dziecka. Muszą przejść przez ten nudny okres, a potem z tego wyrosną. Miałam wielkie wątpliwości, czy zauroczenie Harry'ego potrwa dłużej niż podróż do domu, odbywana w ciasnocie powozu, z wrzeszczącym nie dokarmionym dzieckiem, niedoświadczoną matką i cudzoziemską mamką.

Mylłam się.

Zauroczenie trwało dłużej niż podróż. Ich opiekuńczość wobec dziecka sprawiła, że jechaliśmy bardzo wolno. Powóz włókł się za Harrym i Celią idącymi gościńcem w przekonaniu, że spacer na świeżym powietrzu dobrze zrobi zmęczonemu dziecku. Ja szłam przed nimi. Mama niewzruszenie pozostała w powozie.

Pomimo rosnącej irytacji zachowaniem Harry'ego nie wściekałam się zbyt; przecież kroczyłam po drózkach Wideacre. Wielkie kasztanowce sywały na mnie deszcz purpurowych i białych płatków bujnego kwiecia. Trawa zieleniła się pięknie i była tak soczysta, że chciałoby się zobaczyć deszcz, który dał jej tę świetność. Żywopłaty zadziwiały gęstością, a pnie drzew od północy pokryły się wilgotnym ciemnozielonym mchem lub grubą szarą warstwą porostów. Ziemia nasiąkała jak gąbka. Wzdłuż żywopłotów rosły blade dzikie róże i białe kwiaty jeżyn. W zamożniejszych chatach dojrzewały warzywa, a kwiaty okalające ścieżki w ogródkach sprawiały, że nawet najmniejsze domki wyglądały radośnie, kwitnąco. Na trawie, na ścieżkach, nawet na ścianach, z każdej szczeliny czy szpary wyrastały wesołe kwiaty.

Tak, Harry i ja musieliśmy rozliczyć się ze sobą. Żaden mężczyzna nie będzie mnie rzucał bezkarnie dla innej kobiety, podczas naszej długiej podróży zrozumiałam jednak, że ważniejsza w tym wszystkim jest dla mnie Wideacre i powrót do domu; Harry znajduje się gdzieś na dalszym miejscu. On może poczekać. Najpierw przywitam się z ziemią.

Wróciłam! Daję słowo, zapukałam do drzwi każdej chaty weszłam z uśmiechem i dostałam kubek piwa albo mleka. W każdym domu pytałam o dzieci, a mężczyzn zagadnęłam o zbiory. Nie ominęłam ani jednego stogu siana, ani jednego poletka żyznej wilgotnej ziemi. Nawet mewy krążące nad zaoraną ziemią nie widziały więcej niż ja. Każdego ranka czekał na mnie u drzwi koń, a kiedy Harry wstawał wcześniej, żeby zająć się dzieckiem, ja doglądałam posiadłości niczym kwoka wysiadująca troskliwie jaja.

Kochałam naszą ziemię jeszcze mocniej. Widziałam kawałek świata: żałośnie wysuszone farmy francuskie, brzydkie rzędy winnic... Kochałam każdy akr świeżej płodnej gleby Wideacre. Kochałam trudne do uprawy pola na wzgórzach, widziałam pastwiska na nizinach. Całe dni jeździłam wzdłuż i wszerz po naszych terenach niczym mądra gospodarna sowa; przemierzyłam granice posiadłości, jak gdybym odbywała jakąś dziwną pielgrzymkę.

Mama protestowała widząc, że jeżdżę sama, bez towarzystwa chociażby chłopca stajennego. Szczęśliwa młoda para nieoczekiwanie wystąpiła jako mój sojusznik.

— Pozwól jej jeździć, mamó — spokojnie poprosił Harry. — Beatrice musi nadrobić czas, kiedy jej tu nie było. Pozwól jej jeździć. Przecież nic jej się nie stanie.

— Oczywiście — potwierdziła Celia swoim cichym głosem. — Beatrice naprawdę zasłużyła na odpoczynek po tym wszystkim, czego dokonała.

Uśmiechnęli się do mnie tym łagodnym głupim uśmiechem zaślepionych rodziców. Odpowiedziałam uśmiechem i już mnie nie było. Zbadałam każdą dróżkę, każde drzewo w lasach i nie spoczęłam, dopóki nie wiedziałam, że trzymam mocno w ręce całą posiadłość.

Wszyscy pracownicy powitali mnie niczym odnalezionego księcia Stuarta. Podczas mojej nieobecności zapoznali się z Harrym, woleli jednak rozmawiać ze mną, bo ja wiedziałam, co się dzieje w wiosce, kto się za kogo wydał, kto oszczędza na dożywocie, a kto się nie ożeni, zanim nie spłaci długów. Łatwiej im się ze mną rozmawiało, bo w ogóle nie musieli dużo mówić, Harry natomiast próbował niezdarnie zadawać kłopotliwe pytania, a kiedy proponował komuś pomoc, brzmiało to jak okazywanie łaski.

Szczerzyli szelmowsko zęby zdradzając, że stary Jacob Cooper ma nowiutką strzechę na swojej chacie, a ja wiedziałam od razu, że trzcina naciął sobie za darmo po kryjomu nad Fenny. Kiedy usłyszałam, że był to szczególnie zły rok dla bażantów, zajęcy, a nawet królików, wiedziałam natychmiast, że wszyscy używali sobie podczas mojej nieobecności, zastawiając sidła i szczując psy. Uśmiechnęłam się ponuro. Harry nigdy by tego nie zrozumiał; Harry nie postrzegał naszych ludzi jako ludzi. Widział tylko wystrzępione grzywki, a nie zauważał ironicznych uśmiezków. A ja widziałam wszystko i wieśniacy zdawali sobie z tego sprawę. Wiedzieli też, że kiedy kiwałam głową, iskierki w moim wzroku stanowiły ostrzeżenie dla tych, co przekroczyli jakąś dozwoloną granicę. Obie strony wiedziały, na czym stoją. Wróciłam do domu, żeby wziąć w garść posiadłość, ludzi i wszystko, co rosło na tej ziemi. I wydawało mi się z każdym dniem, że ludzie, ziemia, rośliny, zwierzęta, słowem cała posiadłość ma się lepiej po moim powrocie.

Jeździłam wszędzie. Nad Fenny, żeby zobaczyć bagnistą łąkę, gdzie kwitły żółte kosańce, które zapuściły korzenie na ruinach starego młyna. Mój koń grzązł w mule po kolana, a ja chciałam zobaczyć miejsce, gdzie dziewczyna i chłopiec rozmawiali o miłości i leżeli razem. Już żadni kochankowie nie znajdują schronienia w resztkach dwóch ścian.

Tyle już minęło czasu, że wydawało się, jak gdyby wszystko to wydarzyło się komuś innemu albo przyśniło mi się tylko. To chyba nie ja baraszkowałam z Ralphem, nie ja byłam przez niego kochana i nie ja snułam plany, nie ja nastawałam na jego życie. Tamta Beatrice to piękne dziecko. A ja terazniejsza to kobieta nie obawiająca się ani przeszłości, ani przyszłości. Patrzyłam bez emocji na ruiny stodoły, na bagnistą łąkę i cieszyłam się, że nic nie czuję. Żal, strach odeszły; pozostał dystans. Jeśli Ralph przeżył, nawet jako herszt bandy buntowników, znajdował się daleko stąd. Dni spędzone na nizinach, potajemne spotkania w młynie — to wszystko rozplynęło się w niepamięci, mojej i jego.

Zawróciłam konia i klusem ruszyłam przez słoneczne lasy do domu. Za mną przeszłość. Fenny nadal płynie. Trzeba myśleć o przyszłości.

Zaczęłam od własnych pokoi. Budowniczości zakończyli prace w zachodnim skrzydle dworu. Piękne masywne meble wyrzucone z sypialni Harry'ego po jego powrocie ze szkoły, kiedy urządzono mu pokój w stylu udającym pagodę, wtłoczono do graciarni na strychu. Teraz wyjęłam je i wypolerowałam orzechowe drewno, bogato rzeźbione. Trzeba było sporego wysiłku sześciu mężczyzn, aby przenieść ciężkie sprzęty.

— Jakie brzydactwo! — zdziwiła się Celia.

A to były meble mojego dzieciństwa i uważałam, że gabinet nie wyglądałby bez nich na prawdziwy gabinet. Wielkie rzeźbione łoże oparte na czterech nogach grubych jak pnie topoli kazałam wstawić do mojej nowej sypialni w skrzydle zachodnim.

Nareszcie okna mojego pokoju wychodziły na ogród różany i wybieg dla koni, znajdujący się od frontu; widziałam też las i cudowne tereny nizin, rozpościerające się w dali. Obok łóżka stanęła rzeźbiona komoda, olbrzymia szafa na suknie znalazła zaś miejsce w sąsiednim pokoju.

Kiedy z graciarni na strychu zniknęły ciężkie meble, odkryłam tam wiele rzeczy należących kiedyś do papy. Zostały rzucone przez służbę gdzieś w kącie, bezładnie, tworząc plątaninę: bicze, szpicruty, siodła, kurtki jeździeckie. Papa zajmował się amatorsko wyrobem siodeł, a jego drewnianego konia i wieszak na siodła także schowano na strychu. Kaprys, a po trosze szacunek dla papy kazał mi nie wyrzucać konia razem ze starymi siodłami i połamanymi batami. Przeniosłam wszystko na środek pokoju i postanowiłam sama zdobyć umiejętności, do których doszedł papa. Spędzałam tu długie popołudnia wiążąc rzemienie, z dłońmi czerwonymi od ukłuć igły szewskiej, dziwnie spokojnie odnosząc się do szycia.

Na parterze znalazł miejsce stary stół papy służący mu za kartotekę dzierżawców. Wielki okrągły stół niczym z opowieści o królu Arturze; obracający się wokół własnej osi, tak że dziedzic miał łatwy dostęp do każdej oznakowanej literą szufladki, w której leżały dokumenty dotyczące dzierżawców o nazwiskach zaczynających się na tę właśnie literę. Obok stołu ustawiłam solidną kasetkę na pieniądze. Tu zbierałam co miesiąc lub kwartał dzierżawy; tu przechowywałam pieniądze na dniówki i tygodniówki dla pracowników. Tak oto urządziłam gabinet, kantorek, w którym skupiały się wszelkie interesy i finanse Wideacre. I ja miałam klucze.

Zamówiłam w Chichester ozdobną ramę i oparłam w nią specjalnie dla mnie sporządzoną szczegółową mapę posiadłości z dokładnie zaznaczonymi granicami gospodarstw, co raz na zawsze miało uciąć wszelkie zatargi na tym tle. Przyniosłam też z biblioteki stary sekretarzyk ojca, z wieloma przegródkami i dwiema skrytkami. Stał przy oknie, tak że robiąc rachunki, mogłam wyglądać na róże, na wybieg, łąki i słońce przyświecające pomyślności Wideacre.

Niestety nie udało mi się ocalić mniejszego pokoju na parterze przed upodobaniami mamy do pastelowych i złotych barw. Urządziła mi tradycyjny damski salonik z jasnym dywanem, pretensjonalnymi meblami i prześlicznymi brokatowymi zasłonami. Oczywiście podziękowałam słodko uśmiechnięta i powstrzymałam się od grymasu niesmaku na widok pozbawionej gustu „prześliczności”. Najważniejsze, że pozwolono mi tu samej spędzać wieczory, a ranki i całe dni mogłam przesiadywać w kantorku.

Pod tym względem miałam nareszcie spokój i przyczyniło się do tego z pewnością rozkoszne niemowlę. Nawet mama zgadzała się, że przy gaworzącym i płaczącym dziecku nie da się prowadzić

rachunków ani pisać listów. Odkąd Harry i Celia zaczęli przynosić małą po południu i wieczorem do salonu, znalazłam wymówkę, by uwolnić się od towarzystwa dziecka chociażby na pewien czas.

Nie mogłam jednak pozostać całkiem nieczuła na wdzięki dziewczynki. Była naprawdę czarująca. Miała dalej ciemnoniebieskie oczy, z jakimi się urodziła, i miękkie brązowe włoski delikatne w dotyku jak jedwab, jak sierść szczeniaczka. W blasku słońca przybierały miedziany odcień, jak moje włosy. W ciepłe słoneczne dni Celia wstawiała kołyskę po południu na taras i przez otwarte okna mojego gabinetu dobiegały mnie odgłosy gruchania i gugania dziecka, mieszające się z bzyczeniem trzmieli i gruchaniem leśnych gołębi. Gdy przerywałam w pół zdania pisanie jakiegoś listu handlowego lub sprawdzałam po kilka razy kolumnę cyfr, wyglądałam przez okno i widziałam nóżki przebierające w powietrzu albo machające piąstki próbujące chwycić słońce lub koronkową falbankę parasola.

Pewnego dnia mała gruchała tak donośnie i wesoło, że niemal roześmiałam się. Taka była do mnie podobna w swym upodobaniu do słońca, do powiewu ciepłego wiatru. Spośród całej rodziny, ludzi stąpających po ziemi jak po lśniącej posadzce, chyba tylko ja i moja córka (córka Celi) umiałyśmy się zachowywać naturalnie. Ja i to maleństwo, nic jeszcze nie mówiące, nic nie rozumiejące. Gdy się tak przyglądałam dziecku, spostrzegłam, że jedna z zabawek, obśliniony króliczek z owczej wełny, wypadła z kołyski. Wesołe gruchanie ucichło i usłyszałam odgłos niezadowolenia. Niewiele myśląc, otworzyłam wysokie okno kantorka i przeskoczyłam przez parapet na taras.

Podniosłam zabawkę i położyłam w łóżeczku obok dziecka. Widząc moją twarz, rozpromieniło się i zamachało szaleńczo rączkami i nóżkami na powitanie. Głośno zagruchało. Zachichotałam. Tej dziewczynce nie sposób się było oprzeć. Nic dziwnego, że wszyscy w domu zwariowali na punkcie jej uśmiechów. Mały tyran domowy — zupełnie jak ja! Takie łączyło nas podobieństwo!

Pochyliłam się z uśmiechem i pogłaskałam palcem po policzku. Złapała palec zdumiewająco mocno i natychmiast zdecydowanym gestem poprowadziła go do buzi. Bezzębne dziąsła zacisnęły się, policzki zapadły i zaczęła z zapalem ssać. Oczy przybrały wyraz błogiej rozkoszy. Znów zachichotałam. Podobnie jak ja była nastawiona do świata w skrajnie sensualny sposób. I tak jak ja czerpała rozkosz całą garścią. Gdy próbowałam uwolnić palec, uwiesiła się na mojej dłoni i zawisała nad kołyską. Dałam się ubłagać i wzięłam dziecko na ręce. Przytuliłam.

Pachniała przyjemnie, jak wszystkie dzieci, czystą ciepłą skórą i mydłem. Wokół usteczek roztaczała się woń mleka. Cudownie pachniało ubranko z wełny i bawełny. Ostrożnie podparłam główkę ramieniem i lekko zakołysałam. Znów zagugała wesoło, dźwięcznie, a kiedy pochyliłam twarz, aby powąchać raz jeszcze falbaneczkę przy tłustej szyjce, rozśmieszyła mnie na powrót, wgrzając się i ssąc z zadowoleniem mój podbródek.

Z uśmiechem, roztańczona, z dzieckiem na rękach, obróciłam się w stronę domu. Ktoś patrzył na mnie z okien salonu. Celia. Stała nieruchomo z twarzą bladą jak marmur.

Gdy napotkałam jej wzrok, śmiech zamarł mi na ustach i poczułam się winna, jak złapana na grzebaniu w czyjejsz szafie lub czytaniu czyichś listów. Po chwili pojawiła się na tarasie.

Dłonie jej drżały, lecz twarz zachowała opanowaną, a krok stanowczy. Podeszła bez słowa i wzięła dziecko z moich rąk z równie obojętną miną, jak gdyby ściągała mi szal z szyi.

— Wyniosłam Julię na dwór, żeby spała — powiedziała spokojnie.

Odwróciła się i położyła Julię w kołysce. Rozczarowane dziecko zaprotestowało krzykiem, lecz Celia zachowała się jak surowa niania.

— Wolałabym, żeby nikt jej nie przeszkadzał w wypoczynku.

Czułam się strasznie, zupełnie jak chłopiec przyłapany na kradzieży jabłek w cudzym sadzie.

— Oczywiście, Celio — odezwałam się ulegle. — Chciałam jej tylko podać zabawkę, która upadła.

Celia wyprostowała się i popatrzyła na mnie.

— Chętnie by się bawiła przez całe popołudnie — stwierdziła. — Ty jednak, jak sądzę, masz swoje zajęcia.

Zostałam oddalona. Słaba, nie licząca się Celia, nagle stała się wielka za sprawą macierzyństwa. Oddaliła mnie jak niesolidną pokojówkę.

— Oczywiście — uśmiechnęłam się jak idiotka. — Oczywiście. — Zawróciłam na pięcie i poszłam po tarasie do otwartego okna kantorka, gdzie czekał na mnie sekretarz i stos papierów.

Czułam wzrok Celi na plecach. Spokojny, niewzruszony wzrok.

To powinno mi dać nauczkę. Ale coś mnie ciągnęło do Julii. Troszeczkę. Nie tęskniłam za nią zbyt. Kiedy czasem w nocy słyszałam jej płacz, spało mi się potem jeszcze lepiej, bo to nie ja musiałam wstawać do dziecka. Gdy marudziła w ciągu dnia albo gdy Celia nie schodziła na herbatę i kolację, zostając w pokoju dzieciennym, nie czułam potrzeby zajrzenia do dziecka. Czasem jednak w słoneczne popołudnia, kiedy widziałam wierzgające nóżki i słyszałam gruchanie, skradałam się na taras niczym potajemny kochanek i łaskotałam małe rączki i stópki.

Nauczyłam się ostrożności. Celia już nigdy nie zastała mnie pochylonej nad kołyską. Kiedy jednak wybrała się z Harrym do Chichester, żeby kupić nowe firanki do pokoju dzieciennego, a mama z powodu upału źle się poczuła i położyła, spędziłam miłe pół godziny na zabawie w chowanego z dzieckiem. Wynurzałam się to z tej, to z tamtej strony kołyski wołając „a kuku!”, aż mała niemal zakrztusiła się ze śmiechu.

Mnie ta zabawa zmęczyła o wiele szybciej niż ją. Miałam jechać do wioski do kowala. Kiedy pocałowałam Julię na pożegnanie, chwyciła mnie za twarz, a kiedy zniknęłam z jej pola widzenia, podniosła taki protest, że aż zaafierowana niania wybiegła z domu zobaczyć, co się dzieje.

— Teraz się już nie uspokoi — orzekła, patrząc na mnie z wyrzutem. — Jest rozbudzona i chce się bawić.

— To moja wina — przyznałam. — Co by ją mogło uspokoić?

— Będę musiała ją kołysać — stwierdziła niechętnie. — Ruch kołyski powinien ją uspić.

— Muszę jechać do wioski. Może ona zaśnie w powozie? — zaproponowałam.

Twarz niani rozpromieniła się od razu na tę zapowiedź przejażdżki eleganckim powozem. Ruszyła do domu po czepek dla siebie i kocyk dla Julii.

Miałam rację. Wyjęta z kołyski, Julia od razu wyraziła uśmiechem swą aprobatę i wydała odgłos rozkoszy. A kiedy jechaliśmy kłusem po podjeździe i cienie drzew na przemian z promykami słońca migały jej po twarzy, wyciągała rączki na powitanie wiatru, reagowała na tętent podków i wszystko, co się wokół działo.

Zwolniłam na moście przebiegającym przez Fenny.



— To Fenny — objaśniłam małej z powagą. — Kiedy będziesz duża, nauczę cię tu łowić pstrągi. Twój papa pokaże ci, jak młode damy łowią ryby na wędkę, a ja nauczę cię łowić je na zaostrzony patyk i wyrzucać na brzeg, jak przystało na prawdziwe wiejskie dziecko.

Ucieszyła się, jak gdyby rozumiała każde słowo, a ja odwzajemniłam się pełnym zachwytem uśmiechem. Potem cmoknęłam na Sorrela i ruszyliśmy kłusem obok stróżówki, gdzie Sarah pomachała nam ręką, i dalej słonecznym gościńcem do Acre.

— Oto łąki, w tym roku leżące odłogiem — pokazałam Julii butem. — Uważam, że pole raz na trzy lata musi wypocząć i porosnąć swobodnie trawą. Twój papa sądzi, że pola powinny wypoczywać co pięć lat. Możemy wypróbować obie te metody, a ty osądzisz, co było dla ziemi lepsze, oczywiście kiedy dorośniesz.

Julia kiwnęła główką w czepeczku, jak gdyby wszystko rozumiała. Zauważyła chyba zmianę tonu mego głosu. Wyczuła miłość do ziemi i czułość w stosunku do samej siebie.

Pół tuzina mężczyzn stało przed kuźnią, kiedy przybyliśmy, wieśniacy i jeden dzierżawca czekający na podkucie swego konia pociągowego. W mgnieniu oka powóz otoczyły kobiety. Podziwiała śliczne dziecko i wspaniałą koronkową sukieneczkę. Cisnęłam lejce kowalowi, który wyszedł, wycierając brudne ręce w skórzany fartuch, i podałam ostrożnie dziecko wieśniaczkom.

Cmokały i piały niczym kury wysiadujące jaja. Dotykały koronkowych haleczek i puszystego kocyka i ustawiły się w kolejce do trzymania dziecka i podziwiania jego delikatnej skóry, niebieskich oczu i nieskazitelnej bieli ubranka.

Zanim skończyłam rozmowę z kowalem, Julia dotarła do końca kolejki, trochę wytarmoszona, chociaż traktowana przez wszystkie kobiety niczym świętość.

— Lepiej ją przebierz, zanim wróci jej mama — odezwałam się ponuro do niani, widząc szary od dotykania zapuszczonych rąk obrąbek koronki.

— No oczywiście — odpowiedziała z przekąsem. — Lady Lacey nigdy nie zabiera jej do wsi i nigdy nie pozwoliłaby, żeby tacy ludzie jej dotykali.

Rzuciłam jej ostre spojrzenie i przez chwilę nic nie mówiłam.

— Przecież nic jej się nie stało — zakończyłam sprawę. — Prawda, dziewczynko? Ci wszyscy ludzie będą ci oddani, tak jak teraz mnie. Ci ludzie pracują dla dobrobytu i pomyślność Wideacre. Cóż, są brudni, ale wykapiemy się i założymy nowe ubranie. Musisz być zawsze gotowa do obdarowania ich uśmiechem. Ty też do nich należysz.

Jechałam w milczeniu, rozkoszując się powiewem wiatr na twarzy i uważając na drogę, tak żeby omijać wszelkie kamienie i wyboje i oszczędzić Julii wstrząsów. Jechałam tak ostrożnie, że skupiona nie usłyszałam stukotu kół powozu zaprzęzonego w parę koni, nadjeżdżającego z naprzeciwka, i podskoczyłam niczym przestępca przyłapany na gorącym uczynku, widząc nagle naszą karetę. Właśnie zbliżała się do bramy obok stróżówki. Ach, jeszcze parę chwil, a byłabym w domu wcześniej niż oni. Celia doskonale widziała przez okno, jak kłusujemy gościńcem z Acre — ja i niania z dzieckiem przy mnie, na siedzeniu dla pasażera.

Spojrzała na mnie pustym wzrokiem. Wiedziała, że jest wściekła. Nie zaskoczyło mnie to. Wnętrznosci skręciły mi się gwałtownie, tak jak bywało w dzieciństwie, gdy czułam dezaprobatę ojca. Nigdy nie podejrzewałam, że Celia może wpaść we wściekłość. Tym razem jednak z jej punktu widzenia postąpiłam

wysoce nagannie. Zabrałam na przejażdżkę jej dziecko bez zezwolenia. Lodowate spojrzenie Celi orzekało moją winę.

Nie spieszyłam się, żeby ich dogonić. Na dziedzińcu stajennym nie zastałam rozgniewanej matki Julii. Niania z dzieckiem zsiadła i weszła do domu drzwiami od strony skrzydła zachodniego. Podążyła do pokoju dzieciennego, aby przebrać małą, jak się spodziewałam. Powierzyłam Sorrela chłopcu stajennemu i ruszyłam do drzwi frontowych. Celia czekała na mnie w hallu. Zaciągnęła mnie do salonu. Harry przezornie (a może posłusznie) zniknął.

Podeszłam do lustra nad kominkiem i zdjęłam kapelusz.

— Cóż za cudowny dzień — odezwałam się swobodnie. — Załatwiliście wszystko w Chichester? Czy musicie jechać do Londynu?

Celia milczała. Odwróciłam się od lustra. Stała wciąż pośrodku pokoju, dominując nad otoczeniem, samą obecnością swej wiotkiej sylwetki i siłą gniewu.

— Muszę cię prosić, abys nigdy nie zabierała Julii bez mojego wyraźnego osobistego zezwolenia — powiedziała spokojnym tonem, całkiem ignorując moje pytania.

Spojrzałam jej prosto w oczy, lecz nic nie odrzekłam.

— Muszę ci także przypomnieć, że Harry i ja zdecydowanie zabraniamy Julii przejażdżek otwartym powozem, gdyż uważamy ten sposób podróżowania za niebezpieczny dla dziecka.

— Och, daj spokój, Celio — stwierdziłam beztrósco. — Nic jej się nie stało. Zaprzęgam najspokojniejszego konia z całej stajni. Sama ujeżdżałam Sorrela. Wzięłam ją ze sobą do Acre po prostu dlatego, że na tarasie by się nie uspokoiła.

Celia spojrzała na mnie w taki sposób, jak się patrzy na jakąś przeszkodę na drodze; trzeba ją przeskoczyć lub ominąć.

— Jej ojciec i ja postanowiliśmy, że nie życzymy sobie podróżowania otwartym powozem, w tym także powożonym przez ciebie, niezależnie od zaprzęgniętego konia — wycedziła, jak gdyby tłumaczyła coś niesforemnie nierozumnemu dziecku. — Co więcej, nie życzę sobie, aby ktokolwiek wyjmował ją z kołyski lub zabierał z domu czy z terenu posiadłości bez mego wyraźnego osobistego zezwolenia.

Wzruszyłam ramionami.

— Ależ Celio, nie rozdierajmy szat! — powiedziałam lekkim tonem. — Przepraszam. Nie powinnam nic robić, nie uzyskawszy twojej zgody. Po prostu musiałam pojechać do Acre i chciałam pokazać Julii ziemię i dom, tak jak kiedyś papa pokazywał mnie i Harry'emu.

Wyraz oczu Celi nie zmienił się. Surowe spojrzenie nie ugięło się pod wpływem przeprosin.

— Julia znajduje się w zupełnie innym położeniu niż ty czy Harry. Nie ma powodu, dla którego miałyby odbierać podobne wychowanie — stwierdziła stanowczo.

— Ależ ona jest dzieckiem z Wideacre! — zdumiałam się. — Musi poznać ziemię, musi mieć kontakt z ziemią. Tu jest jej dom, tak samo jak mój. Tu jest jej miejsce!

Celia gwałtownie podniosła głowę. Policzki jej płonęły.

— Nie — odparła. — Ona nie należy do Wideacre tak jak ty. Nie interesują mnie twoje plany, Beatrice. Przybyłam do tego domu, aby zamieszkać z mężem, z twoją mamą i z tobą. Ale moja Julia nie będzie tutaj żyła

przez całe życie. Wyjdzie za mąż i odejdzie stąd. Spędzi tu dzieciństwo, lecz pozwolę sobie na stwierdzenie, że będzie przebywać głównie poza domem, w szkole. Potem zacznie składać wizyty przyjaciółkom. Na Wideacre świat się dla niej nie skończy. Jest miejsce na coś więcej niż tylko dom i ziemia. Julia będzie miała inne dzieciństwo niż ty, inne zainteresowania, inne życie.

Gapiałam się na Celię, lecz cóż mogłam powiedzieć?

— Jak sobie życzysz — odparłam równie chłodno. — Jesteś przecież jej matką, Celio.

Obróciłam się na pięcie i zostawiłam ją samą na środku salonu. Poszłam do swojego gabinetu, zamknęłam drzwi i oparłam się plecami o boazerię. Stałam tak w ciszy kantorka, wśród przeróżnych dokumentów, bardzo, bardzo długo.

\*

Julia była naprawdę dzieckiem Celi. Wszystko robiono tak, jak sobie życzyła Celia. Mama chciała uzupełniać jadłospis dziecka łyżką melasy, lub przynajmniej miodu, przy każdym posiłku. Celia odmówiła. Dziecko piło tylko pokarm z piersi. Harry chciał dać małej parę łyżek portwajnu, kiedy siedziała po obiedzie na jego kolanach. Celia nie pozwoliła. Mama chciała przewinąć niemowlę, a Celia powstrzymała ją, niezwykle grzecznie, lecz zdecydowanie.

Mama ostrzegała, że Julia będzie miała krzywe nóżki, jeśli nie zaczniemy ich wzmacniać przez przywiązywanie do deszczulek. Celia sprzeciwiła się temu, a nawet wezwała na poparcie swych słów doktora MacAndrew. Ten rozpyływał się w pochwałach nad jej decyzją, orzekł, że swoboda lepiej służy zdrowiu i sile dziecka.

Zdanie doktora MacAndrew bardzo się liczyło w naszym domu. Podczas mojej nieobecności stał się przyjacielem i zaufaną osobą mamy. Jak przypuszczałam, opowiadała mu dużo o sobie, o swoim małżeństwie i słabym zdrowiu. Opowiadała mu także, jak sobie wyobrażałam, o problemach w wychowywaniu mnie; nie podobał mi się błysk w oczach doktora, kiedy czasem natrafiłam wzrokiem na jego spojrzenie. Miałam zawsze wrażenie, że coś we mnie go zastanawia, a może bawi, chociaż nie wiedziałam co. A mama bacznie nas obserwowała.

Nasze pierwsze spotkanie po powrocie z Francji wypadło bardzo niezgrabnie. Nalewałam herbatę dla mamy w salonie, kiedy przyszedł właśnie z wizytą do Celi. Podjął ze mną towarzyską konwersację, okazując się człowiekiem o nienagannych manierach, który uprzejmiem nie zwrócił uwagi na mój rumieniec.

— Wygląda na to, że Francja doskonale pani zrobiła — stwierdził.

Mama patrzyła przenikliwie, a ja uwolniłam dłoń z uścisku jego ręki i usiadłam na powrót przy dzbanku.

— Zaiste — odparłam opanowanym głosem. — Cieszę się jednak, że znów jestem w domu.

Nalałam mu herbaty i pewną ręką podałam filizankę na spodeczku. Nie będę przecież drzeć na widok uśmiechu doktora MacAndrew.

— Kiedy pani wyjechała, zrobiłem nowy nabytek — ciągnął rozmowę. — Kupiłem nowego konia z zagranicy, pełnej krwi araba, wierzchowca. Ciekaw jestem, co pani o nim powie.

— Arab! — odparłam. — Chyba nie dojdziemy do porozumienia. Ja wolę konie angielskie, tu wyhodowane. Lepiej się sprawdzają w naszym klimacie, na naszych terenach. Chciałabym jednak zobaczyć czystej krwi araba, który wytrzymałby całodniowe polowanie.

Zaśmiał się.

— Cóż, idę o zakład z panią. Stawiam Sea Ferna przeciwko każdemu koniowi myśliwskiemu z pani stajni. Wygra na płaskim terenie, wygra gonitwę z przeszkodami.

— Ach, wyścigi — zniechęciłam się. — Tu się nie będę z panem spierać. Arabcy są dobre na krótkich dystansach, ale brakuje im wigoru.

— Jeżdżę na Sea Fernie przez cały dzień, odbywam wszystkie wizyty, a wieczorem koń jest jeszcze gotów do galopu przez niziny — powiedział doktor MacAndrew. — Panno Lacey, nie znajdzie w nim pani słabego punktu.

Roześmiałam się.

— Mój papa zwykł mawiać, że marnuje się czas, próbując dojść do ładu z człowiekiem, który sprzedaje ziemię albo kupuje konia. Nie przekonam pana. Proszę mi go pokazać po jednej spędzonej w Anglii zimie i wtedy porozmawiamy. Kiedy przyjdzie rachunek za owies, bo przecież delikatny żołądek szlachetnej rasy gardzi inną strawą, przyzna mi pan rację.

Młody doktor uśmiechnął się. Błękitne oczy patrzyły spokojnie, szczerze.

— To prawda, wydam na niego fortunę — przyznał. — Powiniennem być dumny, że wydaję pieniądze na jedzenie dla pięknego zwierzęcia, a nie na własne obżarstwo i góry zapasów w piwnicy.

— A zatem pełna zgoda — uśmiechnęłam się. — Konie to naprawdę najważniejsza rzecz w każdym gospodarstwie. — Zaczęłam opowiadać o koniach, które widziałam we Francji, nędznych chabetach na ulicach i wspaniałych sztukach w stajniach szlachty. Doktor mówił o swoim cennym Sea Fernie. Rozmawialiśmy potem o tresurze koni i ich karmieniu. Harry i Celia weszli z nianią i dzieckiem i w tym momencie możliwość konwersacji się skończyła. Musieliśmy podziwiać dziecko, które właśnie nauczyło się chwytać paluszki u nóg.

Na pożegnanie ujął mnie delikatnie, lecz pewnie za rękę i zapytał:

— A zatem kiedy nasza gonitwa, panno Lacey? Sea Fern i ja jesteśmy gotowi. Urządzimy wyścig? Miejsce i czas pozostawiam pani do wyboru.

— Wyścig? — roześmiałam się.

Harry usłyszał naszą rozmowę i podniósł głowę znad kołyski, gdzie zabawiał dziecko huśtaniem własnego zegarka.

— Myślę, że możesz przegrać, Beatrice — ostrzegł mnie. — Widziałem konia doktora MacAndrew i nie należy on do tych filigranowych arabów, które poznałaś, lecz robi naprawdę wrażenie.

— Spróbuję swoich szans w gonitwie na Tobermorym — wybrałam najlepszego wierzchowca w stajni.

— No cóż, postawię na ciebie — zdecydował Harry bez entuzjazmu. — Pięćdziesiąt koron, sir?

— Ho, ho! Sto! — oznajmił doktor MacAndrew i wszyscy poczynili zakłady. Celia postawiła naszyjnik z pereł przeciwko moim kolczykom z pereł; mama założyła się o nową biblioteczkę do mojego gabinetu; Harry obiecał mi nowy strój do konnej jazdy, jeśli obronię honor stajni Wideacre, ja zaś postawiłam nowy bat ze

srebrną rączką twierdząc, że na pewno wykonam swój obowiązek wobec Wideacre! John MacAndrew spojrzał na mnie, a w jego wzroku kryło się wyzwanie.

— A pan co stawia? — spytałam.

W pokoju zapadła cisza. Mama patrzyła z zainteresowaniem, lekko się uśmiechając.

— Zwycięzca powie, czego żąda — odparł natychmiast, jak gdyby wcześniej to zaplanował. — Jeśli wygram, będę się domagał od pani nagrody, panno Lacey. A pani w razie zwycięstwa zażąda jej ode mnie.

— Taki zakład to niebezpieczna gra dla przegranego — stwierdziłam ze śmiechem.

— A więc lepiej jest wygrać — zakończył i wyszedł.

Zapowiedziany wyścig miał dla Harry'ego podwójne znaczenie. Znów skupił na mnie uwagę. Spędziliśmy miły ranek w kantorku przed nowo powieszoną mapą, wytyczając trasę gonitwy. Poza tym Harry wreszcie oderwał się od dziecka i Celi i pojechał ze mną zbadać wybraną trasę, a zwłaszcza stan gruntu. Pierwsza nasza wspólna przejażdżka po moim powrocie. Z rozmysłem poprowadziłam wolnym krokiem drogą przez niziny, obok dolinki, w której pierwszy raz się kochaliśmy.

Był cudowny gorący dzień, a zanosił się na jeszcze upalniejszy. Nad łąkami unosił się zapach świeżo skoszonego siana. Na zboczach trwały żniwa. Wdychaliśmy woń zboża, ziół, kwiatów na długich łądogach: maków, niebieskich ostróżek polnych, białych i złotych stokrotek. Czubkiem bata podniosłam wiązkę siana i powąchałam z rozkoszą. Zapach był tak apetyczny jak najsmakowitsza herbata lub najszlachetniejszy tytoń. Zatknęłam maki za wstążkę kapelusza, chociaż wiedziałam, że ich świeżość nie przetrwa południa. Maki, tak jak rozkosz, nie trwają wiecznie, nic nie szkodzi jednak, by cieszyć się nimi przez chwilę. Nosiałam ciemnopurpurowy strój do konnej jazdy, a płomienna barwa maków, jaskrawa jak palenisko w kuźni, stanowiła wspaniałą akcent na tle ubrania. Gdyby mama zobaczyła zestawienie tych dwóch odcieni czerwieni, uśmiechnęłaby się i stwierdziła, że nie umiem dobrać kolorów. I myliłaby się. Umiałam dobrać kolory, zwłaszcza kolory kwiatów z Wideacre. Bo też wszystkie mi pasowały.

Harry uśmiechnął się.

— Widzę, że jesteś szczęśliwa z powrotu do domu, Beatrice — odezwał się czule.

— Czuję się jak w niebie — wcale nie skłamałam.

Kiwnął głową uśmiechnięty. Jechaliśmy pod górę. Konie nurzały się po pierś w zieleni, a muchy bzyczały im nad głowami, aż zirytowane wierzchowce ruszały uszami. Wreszcie wybrnęliśmy z zielonego morza paproci i ruszyliśmy skrajem nizin, jak wzdłuż brzegu oceanu.

Konie wydłużyły krok i parskały w radosnym oczekiwaniu. Harry dosiadał Saladina, młodego konia myśliwskiego, natomiast mój koń, Tobermory, wypoczęty, pełen wigoru, przejął prowadzenie, kiedy popuściłam cugli. Cwałowaliśmy swobodnie dróżką wzdłuż skraju nizin. Jak zwykle spojrzałam w dół na Wideacre widniejącą jak miniatuurka, jak zabaweczka na tle kraciastej pikowanki pól i lasów.

Dróżka ginęła wśród drzew. Zniknął też widok domu, zawsze bliski moim myślom. Znaleźliśmy się w zacisznym, ustronnym miejscu.

Ziemia wypiętrzyła się tu w łagodny nasyp i setki lat temu wyrósł na nim las, teraz górujący nad nami. Wspaniałe zielone buki i młode dęby dały nam schronienie. U stóp drzew zakwitły białe leśne kwiaty, niczym gwiazdki na tle ciemnego poszycie. Lasek zajmował nie więcej niż kilkaset jardów, a obfity w liściaste jamy i



grubą warstwę ściółki. Przyglądałam się Harry'emu ukradkiem i zauważyłam z niepokojem stanowczy wyraz jego ust. Patrzył prosto przed siebie niewidzącym wzrokiem, ponad łbem konia. Saladin potrząsnął głową w proteście, lecz Harry jeszcze mocniej ściągnął cugle.

— Zatrzymaj konia, Harry — odezwałam się cicho.

Stanął bez entuzjazmu. Saladin, trzymany za krótko, cofnął się gwałtownie. Harry miał ponury wyraz twarzy, a w oczach malowało się zdecydowanie. Czytałam mojego brata jak książkę. Poznałam go na wylot, kiedy go uwiodłam, i wiedziałam, na co mogę liczyć, kiedy wysyłałam go samego do domu, do Anglii. Teraz zdałam sobie sprawę, że Harry szuka sposobu, aby ze mną skończyć i oczyścić się z winy, aby z czystym sumieniem pokochać — nie Celię, lecz uwielbiane dziecko.

Siedziałam w siodle, ponętna jak zawsze i jak zawsze pełna pożądania. Miałam całkowitą pewność, że dopóki mieszkam w tym domu, który powinien być mój, a który on nazywał swoim, dopóki chodzę po tej ziemi, która powinna być moja, a do której on rościł pretensje, muszę mieć Harry'ego. Wiedziałam też na pewno, że przez resztę życia będę go nienawidzić i obrażać go. Moja namiętność minęła. Dlaczego? Zwiędła niczym zerwany mak w momencie, gdy zatknęłam go za wstążkę. Zdobycie Harry'ego przyszło tak łatwo. Tak łatwo mogłam go przy sobie zatrzymać. We Francji, z dala od ziemi, która stała się jego własnością, a której tak potrzebowałam, wydawał się zupełnie zwyczajnym młodzieńcem. Przystojny, czarujący, towarzyski, niezbyt błyskotliwy; w każdym hoteliku we Francji, gdzie zatrzymywali się liczni Anglicy, znalazłoby się z pół tuzina takich Harrych. Z dala od ziemi, odarty z magii boga żniw, Harry nie wydawał się nikim specjalnym.

Moja namiętność przerodziła się w niesmak, musiałam jednak dalej panować nad jego wnętrzem. Bicie serca i dreszcz pożądania należały do przeszłości i znudziły się już, ale potrzebowałam dziedzica. Harry jako kochanek pozwalał mi czuć się bezpiecznie w Wideacre.

— Harry — odezwałam się przeciągle.

— Koniec, Beatrice — odparł gwałtownie. — Grzeszyłem, Bóg jeden wie, z tobą i namawiałem cię do grzechu. Ale teraz koniec. Nigdy już nie będziemy razem tak jak przedtem. Z czasem zaczniesz kochać kogoś innego.

Zapadła cisza. Rwałam się myślą do Harry'ego niczym drapieźnik na widok ofiary, lecz milczałam i obserwowałam go. Podniósł głowę. Twarz miał spokojną i opanowaną. Widziałam, jak powoli staje się kochającym ojcem, dobrym mężem, gospodarnym dziedzicem, kimś z ckliwych fantazji; w tym cnotliwym nowym życiu nie znajdował miejsca na potajemne rozkosze miłosne.

Patrzyłam wzrokiem nieprzeniknionym, wężowym, cały czas myśląc intensywnie o nowym nienagannym moralnie obliczu Harry'ego. Tu i teraz nie mam szans, by go odzyskać — stwierdziłam. Przygotował się na moje miłosne propozycje podczas przejażdżki. Nastawił się na zdecydowaną odmowę. Trzymał żądze na uwięzi, tak jak swego konia, bezlitośnie. Nie mogłam mu dawać czasu na odparcie ataku. Można go było pokonać tylko przez zaskoczenie, nie dopuszczając, aby uczynił użytek z sumienia i posłuchał jego głosu. Teraz w lasce, w ciepłe poranka, wszelkie starania poszłyby na marne. Nie zdobyłabym Harry'ego.

Uśmiechnęłam się słodko, a jego twarz w odpowiedzi rozpromieniła się z ulgą.

— Och, Harry, tak się cieszę. Wiesz, że nigdy nie było moją intencją postępowanie wbrew własnej woli, wbrew nam obojgu. Niepokoiłam się zupełnie niepotrzebnie, gdyż ty myślisz podobnie, Bogu dzięki. Zadręczałam się zastanawiając, jak to wszystko zakończyć.

Mój naiwny głupi brat był zachwycony.

— Beatrice! Powinienem się domyślić... Tak się cieszę, że uważasz podobnie. Och, Beatrice, tak się cieszę!

Harry popuścił cugli, tak że Saladin wreszcie wyprostował szyję. A ja uśmiechnęłam się czule.

— Bogu dzięki, teraz oboje uwolniliśmy się od grzechu — powiedziałam pobożnym tonem. — Nareszcie możemy kochać się wzajemnie i być razem tak, jak to powszechnie przyjęte.

Konie szły naprzód zgodnie, bok w bok. Wyjechaliśmy z mrocznego lasu na słońce. Harry rozejrzał się i popatrzył na oświetlone promieniami torfowe gleby jak na Nowe Jeruzalem, na bezgrzeszny raj wokół nas.

— A teraz pomówmy o wyścigu — zaproponowałam pogodnie i pokłusowaliśmy pod górę ścieżką zaczynającą się na dnie doliny.

Z wysoka widać było niemal całą trasę, którą zaplanowałam dla Tobermory'ego i araba doktora MacAndrew. Chciałam dać mu nauczkę. Trasa gonitwy zaczynała się i kończyła przy dworze, a miała kształt ósemki. Pierwsza pętla prowadziła na północ od dworu, po stromych piaszczystych drózkach, przez wspólne grunty. Ziemia jest tu miękka i sypka jak cukier; gruba warstwa piasku na gliniastym podłożu i chociaż żaden koń nie przejechałby tędy szybko, miałam nadzieję, że sypka gleba zmęczy araba. Na wspólnych gruntach wieśniacy wypasają owce, czasem kozły, źle karmione krowy i oczywiście polują tu na ptaki, lisy, jelenie. Rosną tu wrzosi i paprocie (w słonecznych zacisznych kotlinkach) oraz gęste lasy, głównie bukowe, na zachodnich zboczach. Trasa zakręcała na szczycie, na otwartej przestrzeni, gdzie zwrotność araba okaże się mało przydatna, a silne nogi Tobermory'ego pozwolą na przyspieszenie kroku.

Ruszyliśmy stromą drózką w dół. Sądziłam, że koń pokona tę ścieżkę cwałem; miałam zaufanie do Tobermory'ego, przecież polował na tych terenach przez cztery sezony. Dwa skoki dzieliły nas od dworskiego parku: przez wysoki mur i przez rów, którego szerokość trudno było określić, jeśli się nie znało okolicy. A potem zdrowy galop po trawiastych leśnych drózkach aż do drugiej pętli, południowej i na skraj nizin, długi galop, cały czas stromo pod górę. Przewidywałam, że oba konie będą kompletnie wyczerpane, kiedy dotrą na szczyt, a kto przybędzie tam pierwszy, ten chyba nie odda już prowadzenia. Jeszcze parę mil przez trawiaste sprężyste torfy nizin i powrót do Wideacre przez bukowy zagajnik męczący i dla koni, i dla jeźdźców, a potem szaleńczy finisz po podjeździe do dworu.

Harry i ja szacowaliśmy, że cały bieg zajmie około dwóch godzin i że najcięższe dla koni i jeźdźców okaże się strome podejście ku dworowi. Uczciwie uprzedziliśmy o tym Johna MacAndrew, kiedy stajenni wyprowadzali konie. Roześmiał się tylko i stwierdził, że próbujemy go przestraszyć.

Tobermory wyskoczył niczym miedziana strzała przez wrota stajni pod łukowatym sklepieniem z piaskowca. Wypoczęty, rwał się do jazdy. Harry szepnął mi, abym mocno ściągała cugle, bo inaczej koń wywiezie mnie na gościniec do Londynu. Pomógł mi wsiąść i podał cugle, a ja poprawiłam purpurową suknię i nacisnęłam mocniej kapelusz.

I wtedy ujrzałam Sea Ferna.

Doktor MacAndrew opowiadał, że koń ma szarą sierść. Był jednak niemal srebrzystobiały i tylko nogi miały ciemniejszy lśniący odcień. Oczy mi zabłysły z podziwu, a John MacAndrew zaśmiał się.

— Myślę, że mogę powiedzieć, co przegram, jeśli pani pierwsza dobiegnie do mety, panno Lacey — odezwał się żartobliwie. — I już nigdy się pani o nic nie założy.

— Chyba każdy cieszyłby się, gdyby dostał takiego konia — odparłam z rozmarzeniem.

Badałam wzrokiem piękne rysy pyska i jasne bystre oczy. Szyja miała idealny kształt sierpu trzymanego przez chłopca stajennego i była silna niczym napięty łuk. Wspaniałe, zaiste wspaniałe zwierzę. John MacAndrew dosiadł go bez niczyjej pomocy, zgrabnym ruchem. Spojrzeliśmy na siebie i uśmiechnęliśmy się.

Celia, mama, dziecko i niania patrzyły z tarasu, kiedy staliśmy ramię w ramię, czekając na sygnał Harry'ego. Tobermory chciał stanąć dęba z podniecenia, Sea Fern zaś odskakiwał nieco w bok. Na tarasie Harry spokojnie podniósł chusteczkę. Potem opuścił ramię. Poczułam, jak Tobermory gwałtownie wyrwa się do przodu, spięty ostrogami.

Pomknęliśmy przez lasy cwałem, uważnie kontrolując bieg koni. Białe przednie nogi Sea Ferna pierwsze przesadziły mur parku, lecz spodziewałam się tego. Nie myślałam jednak, że utrzyma szybki rytm na morderczym podejściu do wspólnych gruntów ani że nie okaże zbytniego zmęczenia na szczycie. Na widok piasku na wzgórzu parsknął tylko i puścił się galopem przez sypką rzekę (będącą w istocie przeszkodą dla pożarów). Tobermory pochylił głowę i ruszył jak burza, lecz Sea Fern wytrzymał to wyzwanie i na odcinku dwóch, trzech mil spod podków tryskał połyskujący piach, prosto w moją twarz. Oba konie dyszały. Tobermory zdołał wysunąć się na prowadzenie dopiero na zboczu prowadzącym z powrotem do parku.

Paru naszych ludzi ścinało drzewo na opał. Widząc Sea Ferna, przestraszyli się, a potem powstali. Tobermory, opanowany jak skała, nie zwolnił. Słyszałam, że nasi ludzie ucieszyli się gdy pomknęłam w dół ze sporą przewagą, a Tobermory z impetem przeskoczył mur parku i ruszyliśmy przez wzgórze w stronę nizin. Zachował przewagę w długim ciężkim galopie i już byłam pewna, już ogarniał mnie śmiech, że Sea Fern został w tym wyścigu pokonany. Dotarliśmy na wzgórze i czekała nas łatwa jazda po torfowej glebie. Tobermory dyszał, lecz kiedy poczuł pod kopytami torf, wojowniczo podniósł głowę. Pomknęliśmy dróżką. Usłyszałam za plecami stukot kopyt. Doganiali nas. Sea Fern toczył pianę z pyska, a John MacAndrew pochylił się w siodle niczym dżokej, aby wykorzystać cały pęd konia i dogonić nas. Odgłos pościgu dobiegł Tobermory'ego. Potrząsnął grzywą i podjął wyzwanie. Pomknął swoim najszybszym krokiem stosowanym podczas polowań. Szaleńczy galop. To też nie wystarczyło. Zanim trasa osiągnęła zbocze prowadzące ku lasom, konie zrównały się.

Gdy zanurzyliśmy się w mrok lasu, ściągnęłam cugle i uważnie patrzyłam pod nogi konia, szukając niebezpiecznych korzeni i zdradzieckich grud błota. Musiałam też uważać na rosnące nisko gałęzie, aby nie uderzyły mnie w twarz i nie ściągnęły z siodła. John MacAndrew nie zważał jednak na nic. Popędzał bezcennego konia jak szaleniec, jak gdyby Sea Fern przestał się liczyć. Piękne zwierzę potykało się i ślizgało, lecz nie traciło bezlitosnej prędkości, a ja nie mogłam i nie miałam śmiałości, by podjąć bieg na złamanie karku. Przed oczami migały mi gałęzie i kałuże, a ja mimowolnie zaczęłam zachodzić w głowę; dlaczego John MacAndrew tak poważnie traktuje nasz wyścig? Dlaczego?

Zanim dotarliśmy do bramy przy stróżówce, gdzie Sarah Hodgett zagrzewała mnie do walki swymi okrzykami, kiedy przemykałam obok jak piorun, przewaga araba powiększyła się jeszcze. Dystans nie do odrobienia! Zad galopującego Sea Ferna błyszczał w słońcu niczym biały jedwab, gdy sunęliśmy pojazdem w stronę dworu, a doktor zatrzymał się przy tarasie o dobre parę długości przede mną.

Roześmiałam się z nieklamanej rozkoszy. Byłam brudna, twarz miałam oblepioną grudkami błota. Kapelusz spadł mi gdzieś po drodze; chłopak stajenny będzie go musiał jutro poszukać. Dzika gonitwa zamieniła moją fryzurę w bezładną płataninę kasztanowych pukli. Połyskliwa sierść Tobermory'ego ociekała potem. Sea Fern aż dygotał, dysząc. Jasna skóra doktora MacAndrew oblała się szkarłatnym rumieńcem, a błękitne oczy zwycięzcy iskrzyły od ekscytacji.

— A zatem czego pan żąda? — wysapałam, gdy tylko mogłam wydusić z siebie głos. — Jechał pan jak demon po nagrodę. Czegóż pragnął pan tak bardzo?

Zsunął się z konia i pomógł mi zsiść. Zeskoczyłam prosto w jego ramiona i poczułam, że się czerwienię, podniecona dziką, zapierającą dech jazdą, wonią naszych drżących ciał i bliskością mężczyzny.

— Domagam się pani rękawiczki — oznajmił tak żarliwym tonem, że przestałam się śmiać i spojrzałam z powagą. — Najpierw rękawiczka — rzekł, ściągając purpurową rękawiczkę z mojej dłoni — a potem, panno Lacey, pani ręka i małżeństwo.

Ledwo powstrzymałam się od okrzyku zniewagi, a on zimno spokojnie włożył do kieszeni swą zdobycz, jak gdyby podobnie postępował ze wszystkimi kobietami, i to codziennie. Zanim cokolwiek odpowiedziałam, zjawił się Harry z resztą towarzystwa. Zaczęła się ożywiona konwersacja.

Właściwie nie chciałam mu nic odpowiadać. Kiedy przebierałam się, myłam twarz i upinałam włosy, nie traciłam czasu na planowanie odpowiedzi. Zmroził mnie jego opanowany ton. Nie warto łamać sobie serca dla człowieka, który nie miał ziemi, który nie dziedziczył ani nie mógł kupić Wideacre. Gdyby nawet ten czarujący doktor oświadczył się oficjalnie, spotkałaby go delikatna uprzejma odmowa. A na razie... Zakreśliłam na palcach pasma włosów wokół twarzy. Zachichotałam swobodnie... Na razie jest rozkosznie. Muszę się pospieszyć, żeby zdążyć na herbatę.

Potraktowałam całą sprawę jak żart, lecz wyścig uczynił doktora mile widzianym gościem w naszym domu. Chociaż mama nigdy nie wypowiedziała się wprost, wiedziałam, że uważa go za przyszłego zięcia, a jego obecność uwalniała ją od nieuświadomionych lęków. Zanosilo się na szczęśliwe dla nas wszystkich lato. Wszelkie troski Harry'ego związane z ziemią zniknęły od razu, gdy wzięłam posiadłość pod swoją kontrolę. Wiedział, że może na mnie polegać i że uchronię go od błędów w postępowaniu z ludźmi i cenną ziemią. Winorośle miały się dobrze na obcej angielskiej glebie, co Harry poczytał za triumf swojej duszy eksperymentatora nad moim przywiązaniem do tradycyjnych metod uprawy. Jego sukces napawał mnie radością. To jednak, czy z zawiązków wyrosną dorodne, słodkie zielone owoce, nie zależało jedynie od entuzjazmu Harry'ego.

Harry się cieszył, ja byłam zadowolona, a więc i mama czuła się szczęśliwa. Pochłaniała ją niemal całkowicie rola babci. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jakże musiała powściągać swoją czulość wobec mojej ostentacyjnej niezależności i przez zwyczaj powierzania dzieci na wychowanie nianiom. Poblężliwa dobra Celia nie zsyłała swego aniołka do pokoju dziecinnego, poza porą posiłków i snu. Nie pozwalano, aby

dziecko płakało w samotności ciemnego pokoju. Nie zostawiano go też nigdy pod opieką obojętnych służących. Życie Julii wyglądało jak niekończący się bankiet całusów, pieszczot, zabaw i piosenek. Zachwycony papa, kochająca mama lub równie zauroczona babcia nie odstępowała jej na krok. Wyraz szczęścia na twarzy mamy i rozkoszne gruchanie dobiegające z kołyski; unosząca się nad wszystkimi miłość rodzinna — o, ten obraz wzruszyłby nawet kamienne serce.

Tęskniłam za Julią. Bóg mi świadkiem, nie należałam do tych kobiet, które nie wyobrażają sobie życia bez dziecka gramolącego się co chwila na kolana, lecz mała Julia wydawała się szczególnym dzieckiem. Więcej. Była częścią mnie, w niepojęty sposób; kość z kości. Dostrzegałam w jej włosach rdzawy połysk mojej czupryny. Poznawałam własną radość z mieszkania w Wideacre w jej pogodnym guganiu, kiedy wystawiano ją w kołysce na powietrze. Była na wskroś moim dzieckiem i brakowało mi jej. Celia patrzyła surowo. Nie mogłam ani wyjmować dziecka z kołyski, ani pobawić się z nim, ani — co podkreśliła — zabierać go na pola, do lasu, aby dać chociaż posmak prawdziwego dzieciństwa w Wideacre.

Celia wyglądała na wręcz oszołomioną szczęściem. Dziecko zajmowało jej czas i uwagę i jeśli chodziło o Julię, Celia zdobywała się na nieprawdopodobną wrażliwość. Wstawała od stołu, gdy usłyszała (i nikt poza nią) najcichszy choćby płacz. Pół domu wydawało się nucić kołysanki śpiewane dziecku przez Celię, a ściany kołysały się w rytm zabawnych melodyjek. Idąc za jej delikatnymi, nieśmiałymi propozycjami, sprzątano i urządzano na nowo kolejne pokoje; stare ciężkie meble dziadka i ojca zastępowano modnymi lekkimi sprzętami. Czerpałam z tego korzyści, ściągając usuwane komody i stoły do coraz bardziej zagraconego zachodniego skrzydła, dom zaś zyskiwał nową świetność.

Celia sprawiła mamie przyjemność swym upodobaniem do robótek ręcznych, najodpowiedniejszego przecież zajęcia dla kobiet. Pracowały jak mrówki nad nowym obrusem na ołtarz do naszego kościoła. Zaprojektowały i narysowały wzór, a potem haftowały. I ja zrobiłam parę ściegów w miejscach, gdzie nie trzeba było specjalnej precyzji, lecz mama i Celia całymi dniami ślęczały nad płachtą materiału, oddając się zbożnemu dziełu.

Kiedy nie haftowały, czytały na głos, jak gdyby urzeczony brzmieniem słów. Urządzały też przejażdżki powozem, aby przewietrzyć nieco małenstwo, odbywały wizyty, zbierały kwiaty, śpiewały, słowem — zajmowały się typowymi czynnościami wypełniającymi życie damy. A ja? Nie narzekałam. Uwielbiały ten kołowrotek codziennych zajęć, przywiązanie zaś Celi do teściowej, domu i szycia zwalniało mnie od spędzania wielu nudnych godzin w saloniku.

Dziewczęca płochliwość Celi i jej gotowość zajmowania w domu drugiego, nie, nie, czwartego miejsca, oznaczały brak konfliktów między nią i mamą. Przekonała się już we Francji, że jej życzenia i pragnienia rozpatrywane są zawsze w dalszej kolejności, po zachciankach moich i Harry'ego, i przestała oczekiwać czegokolwiek. Nie zajęła pozycji śmiałej młodej żony; traktowano ją raczej jako miłego gościa czy też ubogą krewną, której pozwala się mieszkać przy rodzinie w zamian za okazywanie wdzięczności i za drobne przysługi. Nie wtargnęła w żaden z obszarów mojej władzy. Nie miała dostępu do kluczy, do rachunków, do spiżarni, do kuchni, do piwnicy; nie zajmowała się płacami służących. Nie zagrażała też domenom mamy, która dobierała i przyuczała służbę, układała menu, pilnowała porządku w domu, Los ciężko



doświadczyl Celię. Nigdy nie zapomniala niechęci, jaka ją spotkala u Haveringów, i niewiele wymagała od swego nowego domu.

Mając tak ograniczone wymagania, mile się rozczarowała. Mama nastawiła się na obronę własnych praw przed bądź co bądź intruzem w domu, lecz spostrzegła, że Celia o nic nie prosi niczego nie bierze, niczego nie oczekuje. Wystąpiła czasem z cichą sugestią, jeśli chodziło o dobro i wygodę Harry'ego, a wtedy znajdowała sprzymierzeńca w ukochanej mamusi, zawsze chętniej dowiedzieć się czegoś o upodobaniach synka.

Stride, doświadczony lokaj znający się na ludziach z wyższych sfer, zaakceptował Celię i służył życzliwą radą. Za jego przykładem reszta służby okazywała Celi szacunek. Nikt się jej nie bał, a wszyscy ją kochali. Gotowość Celi do przyjęcia stylu zachowania Harry'ego, mamy czy mojego bardzo ułatwiała nam życie i wносиła do niego wiele pogody.

Ja także czułam się szczęśliwa. Rankiem na ogół jechałam na pola lub sprawdzałam ogrodzenia albo ruszałam na niziny doglądać owiec. Popołudniami robiłam rachunki, prowadziłam korespondencję handlową i przyjmowałam interesantów cierpliwie siedzących w poczekalni przy bocznym wejściu. Przed przebraniem się do kolacji zwykle przechadzałam się z Harrym po ogrodzie różanym wśród bujnych krzewów, a czasem szliśmy aż do rzeki Fenny, rozmawiając o interesach lub plotkując. Wieczorem siadałam naprzeciw Celi po prawej ręce Harry'ego i spożywałam istic królewski posiłek, gdyż nowy kucharz raczył nas wszystkich w Wideacre wyśmienitymi potrawami.

Po kolacji Celia grała i śpiewała, a Harry czytał lub rozmawiał ze mną przyciszonym głosem, kiedy siedzieliśmy razem przy oknie; czasem Celia grała z mamą w duecie albo obie haftowały.

Podczas owego cudownego ciepłego lata osiągnęliśmy wyżyny domowego szczęścia. Zniknęły konflikty, zniknął grzech. Każdy kto by na nas popatrzył (jak na przykład młody doktor MacAndrew życzliwym spojrzeniem swych jasnych oczu), pomyślałby, że łączy nas silne sekretne uczucie miłości rodzinnej. Złota epoka spokoju uśpiła nawet moje żądze. Wystarczały mi przyjazne uśmiechy Johna MacAndrew, czuły ton jego głosu, gdy przemawiał do mnie, atmosfera spacerów po ogrodzie o zmroku. Nie byłam oczywiście zakochana. Uśmiechałam się jednak na widok doktora nadjeżdżającego na wspólną kolację; lubiłam, kiedy mnie rozśmieszał, kiedy nasze oczy spotykały się; lubiłam sposób, w jaki zarzucał na ramiona płaszcz i mnóstwo podobnych drobnostek. Nie potrzebowałam się do niczego spieszyć, skoro jego zaloty dostarczały mi tyle przyjemności. Uśmiech na pożegnanie, uścisk ręki, muśnięcie warg na mojej dłoni...

To się musiało oczywiście skończyć. Jeśli posuwałby się dalej tą drogą, powinnam stanowczo odmówić propozycji małżeństwa. Żegnaj, niewinny przyjemny czasie. Dopóki jednak to trwało, każdy dzień przynosił mi albo wizytę doktora, albo książkę, którą mi obiecał, albo wypożyczenie jego ukochanego Sea Ferna na majówkę, albo bukiet kwiatów. Budziłam się każdego ranka z uśmiechem na wspomnienie jakichś słów, jakichś myśli Johna MacAndrew. A zatem moje dni zaczynały się przyjemnie.

Nigdy wcześniej nie zalecał się do mnie żaden mężczyzna z naszej sfery, wszystkie te rozkosze były więc dla mnie nowością. Sposób, w jaki dotykał mych palców, gdy podawałam mu filiżankę herbaty, czy sposób, w jaki patrzył na mnie w pokoju pełnym ludzi... Polubiłam pewność, że w chwili kiedy wchodzę do salonu, na przykład u znajomych w Chichester, on natychmiast to spostrzeża i rusza w moją stronę lub — jeśli

właśnie tańczy — wyczuwa moją obecność; jeśli zaś akurat podano herbatę, w mgnieniu oka zjawi się przy moim krześle z talerzem moich ulubionych ciasteczek, a wszyscy goście zwrócą na nas uwagę.

Byłam oczarowana tymi zalotami „krok za krokiem”, posuwającymi się niewidzialnie naprzód. Przestałam nawet przypatrywać się małżeństwu Celi i Harry'ego. Małe codzienne przyjemności przysłoniły mi dawne pożądanie. Niezagrożona w swym zwierzchnictwie nad ziemią (akceptowanym przez wszystkich) nie czułam już potrzeby dominacji nad dziedzicem Wideacre. Harry był kolegą, współnikiem; nie potrzebowałam go jako kochanka.

Celia najbardziej przyczyniła się do zbudowania letniej oazy spokoju, ona też ją zniszczyła. Ucierpiała równie silnie jak wszyscy, których wciągnęła rozwijająca się sytuacja. Popełniła błąd, lecz wynikał on z miłości i czułości. Gdyby wtedy latem zachowała się inaczej, gdyby milczała, wszystko mogłoby się potoczyć całkiem inaczej.

Nie milczała. Jej matka dopytywała się o przyczyny zajmowania oddzielnych sypialni przez nią i Harry'ego. Moja mama napomknęła coś o niepoprzestawaniu na jednym maleństwie. Sumienie zaś przypominało Celi przy każdej wieczornej modlitwie, że nie wypełniła jeszcze obowiązku wobec męża, ponieważ to nie ona wydała na świat ukochane dziecko. Dla Celi, dla Harry'ego i oczywiście dla mnie najważniejszy jednak okazał się fakt, że uczyła się kochać męża.

Harry obserwowany na co dzień od rana do wieczora, nie był tyranem czy potworem. Celia słyszała, jak mama strofuje go za spóźnienie na obiad; słyszała, jak siostra żartuje z jego zapału do nowoczesnych metod gospodarowania; widziała, jak spokojnie przyjmuje wymówki i prześmiewki. Równie pogodnie przystał na takie a nie inne reguły ich małżeńskiego życia. Nigdy nie otworzył drzwi między ich sypialniami, aczkolwiek Celia wiedziała, że Harry ma klucz. Zawsze wchodził do jej sypialni z korytarza, uprzednio pukając. Gdy witał ją na dzień dobry, całował jej dłoń z szacunkiem, a kiedy żegnał na dobranoc, całował czule w czoło. Minęły trzy miesiące od naszego powrotu, a on ani razu nie zaklął w jej obecności, nigdy też nie powiedział nic złośliwego czy niechętnego. Coraz bardziej zdumiona swoim szczęściem Celia odkryła, że poślubiła jednego z najsympatyczniejszych mężczyzn, jakich widział świat. Kochała go oczywiście.

Wszystko to powinnam przewidzieć, obserwując ciepły uśmiech Harry'ego na widok Celi opiekującej się dzieckiem. Powinnam usłyszeć to w rozmarzonym tonie głosu Celi, gdy mówiła o mężu. A ja byłam ślepa i głucha aż do pewnego dnia przy końcu września, kiedy natknęłam się na Celię w ogrodzie różanym. Trzymała srebrne nożyce, eleganckie lecz niezbyt przydatne, oraz koszyk, jej głowę zaś chronił przed słońcem słomkowy kapelusik. Wracałam z wybiegu w stroju do konnej jazdy. Sprawdzałam właśnie, czy jeden z wierzchowców nie zerwał ścięgna, i zmierzałam do stajni, aby zalecić stosowanie okładów na pęcinę. Celia zatrzymała mnie i wręczyła bukietek późno kwitnących białych róż. Wciągnęłam ich śmietankową woń i uśmiechnęłam się w podzięcie.

— Czyż nie pachną jak masło? — spytałam refleksyjnie, przytulając dorodne kwiaty do twarzy. — Masło, śmietanka i domieszka czegoś ostrego, może cytryny.

— Brzmi to jak przepis na pudding — uśmiechnęła się Celia.

— To też racja — odparłam. — Trzeba by spróbować przyrządzić pudding z róż. Wspaniale byłoby jeść róże. Pachną słodko, jak gdyby miały się rozpuścić w ustach.

Celia, zdziwiona moimi kulinarnymi skojarzeniami, powąchała przez grzeczność jeden z pąków, ścięła następną różę i włożyła ją do koszyka.

— Jak tam noga Saladina? — zainteresowała się, widząc moje brudne ręce i uzdę.

— Właśnie idę zalecić okłady.

Zauważyłam nagle jakieś poruszenie na pierwszym piętrze dworu. Ktoś biegł przez korytarz z wielkim naręczem pościeli i ubrań, dalej ktoś z następnym naręczem i jeszcze ktoś. Wyglądało to jak dziwaczna procesja mijająca kolejne okna.

Mogłam zapytać Celię, lecz nie wydawało mi się, że jest zorientowana w tym, co się dzieje w domu, skoro ja sama nie wiedziałam. Przeprosiłam i szybko ruszyłam do drzwi frontowych, a potem po schodach na korytarz pierwszego piętra. Panował tu nieopisany bałagan. Wszędzie leżała pościel. Szafa zablokowała drzwi do pokoju Celi, a wielka sterta ubrań Harry'ego leżała na łóżku mamy.

— Co tu się dzieje? — spytałam pokojówkę.

Tonęła pod stosem nakrochmalonych halek Celi. Dygnęła z wdziękiem kosza na bieliznę.

— Przenosimy rzeczy lady Lacey, panienko Beatrice — odrzekła. — Ona się przeprowadza z paniczem Harrym do pokoju mamy.

— Co takiego? — nie dowierzałam własnym uszom.

Stos płótna znów dygnął grzecznie i powtórzył. Właściwie usłyszałam wiadomość za pierwszym razem, lecz jej sens nie dotarł do mego umysłu. Celia przeprowadza się z Harrym do pokoju mamy — to może znaczyć tylko jedno: Celia przezwyciężyła swój lęk przed współżyciem z Harrym. To niemożliwe!

Zawróciłam na pięcie i zbiegłam z łoskotem po schodach. Celia dalej cięła różę jak aniołek w rajskim ogrodzie.

— Służące przenoszą twoje rzeczy do głównej sypialni. Będziecie ją dzielić z Harrym — oświadczyłam bez ogródek i czekałam na szok.

Spod szerokiego runda kapelusika spojrzała jednak całkiem spokojna twarz. Na wargach igrał nawet nieśmiały uśmiech.

— Tak — odparła cicho. — Poprosiłam, żeby zrobiły to dziś po południu, kiedy wszyscy wyjdą z domu. Starłam się, żeby nikomu to nie przeszkadzało.

— To na twoje polecenie! — wykrzyknęłam z niedowierzaniem, a potem ugryzłam się w język i zamilkłam.

— O, tak — potwierdziła cicho i podniosła na mnie wzrok. — Sądziłam, że tak będzie najlepiej — odezwała się zaniepokojona. — Twoja mama nie wносиła sprzeciwu, a nie uważam, abym musiała dodatkowo pytać ciebie o zdanie. Mam nadzieję, że nie czujesz się urażona, Beatrice? Nie myślałam, że tak się tym przejmiesz.

Powstrzymałam się od wymówek, gdy zrozumiałam, że Celia miała rację. Cóż mogłam powiedzieć na to, że chce spać w jednym łóżku z własnym mężem? Ale tu chodziło o łożo dziedziców Wideacre, w którym od dawien dawna sypiał pan z panią naszej posiadłości. Sypiając w tym łożu Celia stawała się pierwszą damą we dworze. I tym się przejęłam. W tym łożu w ramionach Harry'ego stawała się pełnoprawną żoną i źródłem rozkoszy w nocy. I tym się przejęłam. Przy Celi, pani, Celi kochance ja czułam się zbędna, widmo zaś

konkurenta starającego się o moją rękę nabierało realnych kształtów i groziło utratą Harry'ego, choćby jako partnera w pracy.

— Dlaczego to robisz, Celio? — spytałam natarczywie. — Przecież nie musisz. Nie trzeba dokonywać tych wszystkich zmian, skoro twoja mama i moja chciałyby mieć następnego wnuka. Po co się spieszyć, skoro wiele jeszcze lat przed wami. Jesteś samodzielna, masz własną rodzinę i nie musisz narzucać sobie wstrętnych obowiązków, o ile nie masz ochoty.

Policzki Celi przybrały barwę pąsowej róży, jak ta, którą trzymała w dłoni. Chociaż spuściła oczy, widziałam, że się uśmiecha.

— Ależ mam ochotę, Beatrice — wyszeptała cichutko. — Cieszę się bardzo, że mogę ci to oznajmić. — Przerwała i zarumieniła się jeszcze bardziej. — Mam ochotę.

Ogromnym wysiłkiem woli zdobyłam się na ślad uśmiechu. Celia parsknęła śmiechem i wyszła z ogrodu. Przy furtce zatrzymała się i posłała mi czarujący uśmiech.

— Wiedziałam, że będziesz ze mnie zadowolona — stwierdziła tak cicho, że z ledwością usłyszałam. — Moja droga Beatrice, myślę, że mogę dać twemu bratu szczęście. I oto wreszcie sama mogę się przy tym czuć szczęśliwa.

Odeszła — kochająca, czarująca, śliczna, zdolna budzić pożądanie i teraz zdolna sama pożądać. Byłam zgubiona.

Wyobraźnia i wierność nie należały do mocnych stron Harry'ego. Mając przy sobie co noc piękną, dorodną jak brzoskwinia Celię, Harry szybko zapomni o zmysłowych rozkoszach, jakich mu dostarczałam. Żona stanie się środkiem jego świata, a kiedy mama wspomni o moim małżeństwie, Harry z entuzjazmem zaprobuję tę myśl, uważając, że małżeństwo to wspaniała sprawa. Stracę swój wpływ na Celię, gdyż przestanie istnieć przyczyna mojej przewagi, jej przerażająca oziębłość. Skoro zachichotała przy wzmiance o Harrym w łóżku, przestała być dzieckiem, które boi się kominiarza. Zaczęła poznawać własne ciało i jego żądze. W Harrym znajdzie czulego nauczyciela.

Stałam tak w ogrodzie machając uzdą. Musiałam znaleźć jakiś sposób na wyrwanie Harry'ego z domowego ciepła. Celia mogła mu dać miłość; emanowała wręcz tkliwością i potrzebą okazywania uczuć. Ja taka nie byłam i wiedziałam, że nigdy nie będę. Celia mogła mu dać rozkosz, bowiem słodkie pocałunki i delikatne ciało wcale nie tak często trafiają się mężczyznom (poza oczywiście ich snami).

Ja potrafiłam jednakże zaproponować coś jeszcze, coś, czego Celia nie mogła dać temu zaślepienemu żonkosowi. Trzymałam Harry'ego w niewoli przez dwa lata, bo znałam go lepiej niż ktokolwiek. Wiedziałam, którą sekretną strunę potrafić, żeby zatańczył tak, jak mu zagram.

Stałam niczym posąg bogini Diany: wysoka, dumna, piękna i pożądliva. Wrześniowy cień pełznął przez ogród. Zachodzące słońce sprawiało, że łupkowe dachówki świeciły różowym blaskiem. Przestałam machać uzdą i podniosłam głowę. Uśmiechnęłam się do słońca i powiedziałam cicho do samej siebie: „Tak”.

Trzecie, ostatnie piętro w skrzydle zachodnim służyło jako magazyn. Znajdował się tam długi niski pokój, jednym końcem wychodzący na północ, na wspólne grunty, a drugim na południe, na ogród. Kiedy byłam małą dziewczynką i energia wprost mnie rozpieierała, przychodziłam tu w słotne dni i szalałam. Krzyczałam, śpiewałam, tańczyłam, a nikt mnie nie słyszał. Okna były osadzone bezpośrednio w skośnym dachu, bardzo nisko, tak że kiedy przekroczyłam wiek jedenastu lat, musiałam się schylać, aby cokolwiek przez nie dostrzec. Zgromadzono tu stare meble usunięte z innych pokoi. Teraz, gdy zostały odnowione i ustawione w zajmowanych przeze mnie pomieszczeniach, na strychu leżały tylko stare siodła i inne przedmioty po papie.

Nikt nie zwrócił uwagi na moje nowe plany związane z poddaszem. Zdjęłam z wieszaka siodła, których reperacji się podjęłam. Pusty wieszak na środku pokoju przypominał teraz konia spiętego do skoku. Płaszcz, buty, zapiski papy dotyczące karmienia koni i jego projekty siodła spakowałam do skrzyni. Zostawiłam tylko nóż myśliwski i bat o długim rzemieniu.

Potem wezwałam stolarza z Acre i poleciłam mu przymocować do ściany dwa mocne haki na wysokości ramion i dwa tuż przy podłodze.

— Mam nadzieję, że dobrze to wykonałem, bo skoro nie wiem, do czego to ma służyć, nie mogę sam ocenić swojej pracy — narzekał.

— Wspaniale — stwierdziłam, obejrzawszy jego dzieło. Zapłaciłam sownie za jego trud i drugie tyle za milczenie. Okrągła sumka. Wiedział, że jeśli piśnie choć słówko, natychmiast i ja się dowiem, a wtedy nie znajdzie pracy w całym hrabstwie Sussex.

Kiedy poszedł, przywiązałam do haków skórzane rzemienie. Pokój świetnie się prezentował. Już wcześniej stał tu szeląg przy kominku i nikt nawet nie zauważyłby, że przyniosłam tu z dołu kandelabry, a na podłogę rzuciłam kilka baranic. I gotowe.

Gotowe, lecz nie wiedziałam, jak zacząć. Niewiele tu było do mówienia, a ja nie czułam w sobie ani śmiałości, ani specjalnej potrzeby, żeby zabrać się do rzeczy. Chciałam zaspokoić gusty Harry'ego, nie zaś własne. Potrzebowałam bodźca, który kazałby mi działać. Nawet widok Celi spóźniającej się na śniadanie, z cieniami pod oczami, lecz radosnym uśmiechem na ustach, nie pobudził mnie do czynu. Minął tydzień. Wszystko przygotowałam, a sama wciąż nie byłam gotowa. I wtedy Harry zwrócił się do mnie przy kolacji:

— Mógłbym z tobą potem porozmawiać, Beatrice? Zostań, kiedy będę pił portwajnu.

— Oczywiście — odparłam z grzeczną obojętnością.

Czekałam, aż Celia i mama wyjdą z jadalni, i usiadłam naprzeciwko brata. Lokaj nalał mi szklanę ratafii, a przed Harrym postawił karafkę portwajnu.

W domu panował spokój. Zastanawiałam się, czy Harry pamięta inny taki wieczór, kiedy siedzieliśmy w milczeniu, aż cały dom usnął, a w kominku wypalił się ogień, my zaś stopiliśmy się w jedno na twardej drewnianej podłodze. Teraz spostrzegłam uśmiech na chłopięcych ustach i pogodne jasne oczy; już wiedziałam, że nic nie pamięta. Teraz kto inny całował go i ogrzewał. Teraz kochał się w łóżu pana. Nasze potajemne spotkania należały do przeszłości.

— Muszę z tobą pomówić o czymś, co mnie bardzo cieszy — odezwał się Harry. — Nie sądzę, aby to była dla ciebie niespodzianka. Właściwie nie sądzę, żeby dla kogokolwiek to była niespodzianka.

Obracałam bezmyślnie szklanę.



— Doktor MacAndrew zwrócił się do mnie, jako głowy domu, o twoją rękę — oznajmił pompatycznie. Uniosłam gwałtownie głowę, zielone oczy zabłyśły.

— I co mu odpowiedziałeś? — zaatakowałam pytaniem.

Zająknął się zaskoczony.

— Oczywiście odpowiedziałem „tak”. Beatrice, myślałem... wszyscy myśleliśmy... Byłem pewien, że... Zerwałam się na nogi, aż ciężkie stare krzesło zarysowało wypastowaną podłogę.

— Wyraziłeś zgodę bez pytania mnie o zdanie? — zapytałam lodowatym tonem, lecz wzrok mi płonął.

— Beatrice — powiedział delikatnie Harry. — Każdy widzi, że go lubisz. On ma oczywiście nietypowy zawód, ale pochodzi ze świetnej rodziny, bardzo... majątnej. Zgodziłem się, żeby z tobą o tym porozmawiał. Dlaczegoż by nie?

— Ponieważ on nie ma gdzie mieszkać! — wrzasnęłam, niemal łkając. — Gdzie będę mieszkać, jeśli wolno spytać?

Harry uśmiechnął się uspokajająco.

— Beatrice, chyba nie zdajesz sobie sprawy, jaki to bogaty człowiek. Zamierza wrócić do domu, do Edynburga. Jestem przekonany, że gdybyś tylko chciała, kupiłby dla ciebie pałac Holyrood. Z pewnością pieniędzy mu nie zabraknie.

Mój umysł mobilizowany przez gniew podpowiedział mi, w które miejsce uderzyć.

— A więc mam wyjść za mąż i się wynosić do Edynburga! — krzyknęłam urażona. — A co z Wideacre?

Harry, wciąż zbity z tropu moją wściekłością, próbował mnie uspokoić.

— Wideacre nie zginie bez ciebie, Beatrice. Bóg jeden wie, że jesteś dla tej posiadłości czymś więcej nawet niż dziedzicem, ale to przecież nie może marnować ci życia i przyszłości. Wideacre nie powinna stać na twojej drodze do szczęścia i przeszkadzać w twoim wyjeździe do Szkocji.

Gdyby rozwścieczenie nie doprowadziło mnie na granicę hysterii, roześmiałabym się chyba. Komiczny pomysł — wyjazd do jakiegoś pretensjonalnego domostwa w Edynburgu i miłość do jasnowłosego nieznajomego, który zabrałby mnie z Wideacre! Komiczne, ale i budzące grozę...

— Kto wie o tym planie? Mama? — spytałam wzburzona.

— Nikt oprócz mnie — pospiesznie zapewnił Harry. — Najpierw chciałem porozmawiać z tobą, Beatrice, to oczywiste. No i chyba wolno mi było wspomnieć o całej sprawie Celi. — Jego niezdecydowany uśmiech uświadomił mi, że moja przyszłość i wygnanie z domu stały się tematem pogaduszek w małżeńskim łóżu. — Nie miałem pojęcia, Celia też nie miała pojęcia, że nie tak wygląda twoja wizja szczęścia, Beatrice.

Miał taki opanowany głos, taki kojący, czekoladowy, łagodny głos wszechwładnych mężczyzn od wieków rozporządzających życiem kobiet, ich zamążpójściem, ciałem i losem, kiedy kobiety oczekiwały czegoś całkiem innego: ziemi. Straciłam resztki kontroli nad sobą.

— Chodź ze mną — rozkazałam i wzięłam kandelabr ze stołu.

Harry zaprotestował, rozejrzał się, szukając ratunku, a kiedy go nie znalazł, podążył moim śladem. W hallu zobaczyliśmy uchylone drzwi salonu. Mama i Celia rozmawiały cicho, pochylone nad wyszywanym obrusem. Ruszyłam w stronę łuku schodów, Harry za mną, ogłupiały, lecz posłuszny. Pierwsze piętro, drugie, a

potem wąskie schodki oświetlone tylko niesionymi przeze mnie świecami. Dotarliśmy do zamkniętych drzwi na poddaszu zachodniego skrzydła.

— A teraz poczekaj — poleciłam i otworzyłam drzwi kluczem wyjętym z kieszeni.

Zostawiłam Harry'ego pod drzwiami w ciemnościach. W pośpiechu przebrałam się w zielony strój do konnej jazdy. Nosiłam go jako dziewczynka, kiedy Harry wrócił ze szkoły i zaskoczył mnie w owo upalne popołudnie nagą na podłodze stodoły przy starym młynie. Długi rząd guzików dopasowanego żakietka pozostawiłam rozpięty — od szyi do pępka. Pod spodem byłam naga. W ręku trzymałam stary bat ojca — długi, czarny, z poskręcanych rzemieni; okrutne, lecz sprawne narzędzie wymuszania dyscypliny. Bat miał czarną rączkę z kości słoniowej inkrustowanej srebrem.

— Wejdz — nadałam swemu głosowi ton, któremu Harry nie śmiał się sprzeciwić.

Pchnął drzwi i jęknął na mój widok. Stałam gniewna, wyniosła w migotliwym świetle świec. Znów jęknął, spostrzegłszy rozpięty strój, wieszak na siodła, haki na ścianie, otomanę zasłaną poduszkami i baranice na podłodze.

— Chodź tu — rzekłam głosem ostrym jak brzytwa.

Szedł za mną do haków jak w transie. Kiedy uderzyłam go biczem po nogach, stanął w rozkroku, tak że mogłam przywiązać rzemienie do kostek. Bez słowa rozpostarł ramiona, a ja przywiązałam je w nadgarstkach, mocno, boleśnie.

Jednym silnym pociągnięciem zdarłam z niego koszulę z cienkiego płótna. Wzdrygnął się. Stał przede mną na wpół obnażony. Uderzyłam go na odlew po twarzy, dwa razy, z prawej, z lewej. Potem niby kot podwórzowy przeciągnęłam wszystkimi ostrymi paznokciami po torsie Harry'ego — od gardła po pas spodni. Zawisł na więzach i zajęczał. Zabrzmiało to jak gdybym naprawdę poważnie go zraniła. Odczułam wielkie zadowolenie.

Wzięłam stary nóż myśliwski papy i rozciąłam szwy eleganckich haftowanych spodni Harry'ego. Strzępy trzymały się tylko na pasku. Ostrze zadrasnęło skórę na udzie. Kiedy ujrzałam wzbierającą kroplę krwi, ukłękłam i wyssałam ją niczym głodny wampir. Gdybym mogła upuścić razem z krwią całą samczą dumę i władczość, zrobiłabym to. Znów jęknął i wyprężył się w więzach, jak gdyby chciał się uwolnić. Zrobiłam krok w tył i jednym zręcznym ruchem rozwinęłam bat na podłodze. Leżał jak wąż gotowy do zaatakowania. Podniosłam dłoń.

— Musisz to zrozumieć, Harry — odezwałam się głosem przenikliwym od nienawiści. — Nigdy w życiu nie opuszczę Wideacre. Nigdy w życiu nie opuszczę ciebie. Na zawsze jesteśmy złączeni. Jesteś dziedzicem Wideacre, a ja jestem do ciebie przypisana, tak jak ziemia. Zapomniałeś o tym i dlatego wymierzę ci karę. Ukarzę cię w taki sposób, że nigdy już tego nie zapomnisz. Uczynię z tej kary narkotyk i obiekt tęsknoty na całe życie.

Chwytał ciężko powietrze, jak gdyby chciał coś powiedzieć, błagać o wykonanie — lub odroczenie — wyroku. Nie obchodziło mnie to. Podniosłam ramię i strzeliłam z bicza.

Kiedy miałam dziesięć lat, papa nauczył mnie obchodzić się z biczem. Na dziedzińcu stajennym. Nabrawszy wprawę, można ściąć truskawkę, można też rozciąć skórę byka do żywego. Staralam się uderzać

Harry'ego w delikatną skórę pod pachami i po bokach spoconego dygoczącego ciała, potem wręcz pieściłam rzemieniem szyję, dyszącą klatkę piersiową, musnęłam miejsce między rozkraczonymi nogami.

— Teraz wieszak na siodła — zapowiedziałam. Odwiązałam go. Osunął się na podłogę u moich stóp. Bez wahania kopnęłam go z całej siły w żebra. — Marsz do wieszaka — rozkazałam.

Padł na wieszak jak w dzieciństwie na łóżko. Przytulił policzek do gładkiego wypolerowanego drewna, a ja przywiązywałam nadgarstki i kostki do podpórek. Igrałam batem po plecach, pośladkach i udach Harry'ego. Zaczynałam lekkim muśnięciem i poprawiałam coraz mocniej, aż wystąpiły różowe pręgi.

Znów go odwiązałam i znów osunął się bezwładnie na podłogę. Wyciągnął błagalnie rękę do obrąbka mojej spódnicy.

Rozpięłam spódnicę i rzuciłam obok. Dłoń Harry'ego zacisnęła się konwulsyjnie na miękkim aksamicie. Zaszlochał i zanurzył twarz w tkaninie. Zostałam w dopasowanym żakiecie i skórzanych butach do konnej jazdy.

— Na plecy! — rozkazałam bezlitośnie.

Harry ledwo zapał. Leżał niczym wieloryb wyrzucony na brzeg morza. Konał z pożądania. Jak drapieżny orzeł znalazłszy padlinę, rzuciłam się na bezbronne ciało, na jego najtwardszy punkt. Gdy Harry zagłębiał się we mnie, krzyknął ochryple z rozkoszy. Wyprężył się jak most na powitanie, ramiona i żebra zaskrzypiały o podłogę, zaszurały o wełnę baranic. Pozostałam chłodna i opanowana, aczkolwiek w skrytości ducha przeżyłam zaspokojenie. Mimowolne kurcze moich mięśni doprowadziły Harry'ego na skraj bolesnej ekstazy. Czulałam, że cały drży. Wił się pode mną coraz szybciej, coraz bardziej szaleńczo. Zobaczyłam, że zamyka oczy i otwiera usta, aby wydać ostatni jęk szczytu rozkoszy i ulgi. I wtedy nagle podniosłam się. Otwartą dłonią uderzyłam sztywną męskość, tak jak karci się skaczącego psa, aby wreszcie usiadł. Harry zawył z niewypowiedzianego bólu. Zauważyłam, że skaleczyłam delikatną, napiętą skórę pierścionkiem. Trysnęła fontanna nasienia i krwi. Zbrukała podrapany obity brzuch. Zaszlochał krótko trzy razy, z ulgi i rozczarowania. Krwawił niczym dziewica za pierwszym razem. A ja patrzyłam na to z kamienną twarzą.

Z trudem wstałam nazajutrz, taka byłam zmęczona, wprost wykończona napięciem nerwów i emocji, zdobywaniem władzy nad ciałem i żądzami Harry'ego. Zjadłam spóźnione śniadanie w sypialni, w łóżku, a resztę dnia spędziłam za biurkiem przy zalanym słońcem oknie kantorku. Miałam robić rachunki, lecz niewiele czasu poświęciłam pracy. Prawdę mówiąc gapiłam się, nic nie widząc, przez okno, wciąż rozpamiętując obraz ekstazy i miłosnej agonii Harry'ego.

W południe pokojówka przyniosła mi mocną czarną kawę (to jeszcze z zapasów przywiezionych z Francji). Na srebrnej tacy stała dodatkowa filiżanka, a za plecami służącej pojawił się Harry. Muszę przyznać, że mnie zaskoczył. Nie spodziewałam się, że okaże tyle śmiałości. Szedł na sztywnych nogach, lecz nie rzucało się to zbyt w oczy; tylko ja obserwowałam go sokolim wzrokiem.

Służąca nalala kawy i postawiła moją filiżankę na biurku, a potem zostawiła nas samych. Milczałam. Zmęczenie minęło i czułam się jak kłusownik: czujna, a zarazem przerażona.

Harry z brzękiem odstawił filiżankę na porcelanowy spodek.

— Beatrice — odezwał się, a brzmiało to jak westchnienie, oznaka obsesji i wyczerpania.

Natychmiast poczułam w sercu blask i ciepło stu świec. Zdobyłam go. Miałam go. Nie musiałam się już bać o swoje miejsce w Wideacre. Złapałam dziedzica w sieć dewiacji moralnej.

— Traktujesz mnie, jak gdybyś mnie nienawidziła, ale ty mnie nie nienawidzisz, prawda, Beatrice? — powiedział to takim tonem jak żebrak, który prosi o jałmużnę.

To chyba po głosie Ralph rozpoznał upodobania Harry'ego. Tego tonu Harry nauczył się w szkole, kiedy wielki bohater Staveley kazał swojej gromadce obsługiwać się, walczyć i rozdawać szturchańce w swym imieniu. Tym tonem Harry prosił o bicie i znęcanie się, tym tonem błagał o słodycze w nagrodę. Gdybym znała Staveleya albo gdyby Ralph wyjaśnił mi te sprawy, wiedziałabym teraz, co robić, kiedy karać Harry'ego i kiedy mu pobbłażać. Szukałam jakiegoś tropu.

— Myliłem się całkowicie — skarżył się jak oćwiczony spanielek. — Nie bij mnie więcej, Beatrice. Ja się poprawię. Nigdy cię już nie obrażę.

Harry, dziedzic Wideacre, a tu — skamlące dziecko. Poczułam fizyczny wprost wstręt. Natychmiast przypomniałam sobie pogardę w błyszczących oczach Ralpa, kiedy Harry klęknął na zakurzonej podłodze stodoły i przytulił policzek do jego bosej stopy. Ralph oczywiście czuł także ulgę, że w ten oto cudowny sposób uniknęliśmy zdemaskowania. Z pewnością jednak musiał pomyśleć o tym samym co ja teraz: Harry stanowił nieprzyzwoitą pomyłkę natury porównywalną do trójgłowego cielęcia. Widziałam przed sobą długie lata zadawania się z dziedzicem kwilącym dzidziusiem. Zatęskniłam za Ralphem i jego zdrowym spontanicznym pożądaniem.

— Napawasz mnie wstrętem — nie powstrzymałam się, prawda przeszła przez moje usta.

Harry zaskowyczał i osunął się z wytwornego krzesła na kolana, na dywan u moich stóp.

— Wiem. Wiem — stwierdził załośnię. — Nic nie poradzę. Chyba zostałem zaczarowany. Przez całe życie myliłem się. Tylko ty możesz mnie ocalić, Beatrice, choć to ty mnie zaczarowałaś. Złapałaś mnie w swe sidła i teraz jestem bezbronny. Na miłość boską, miej litość nade mną.

Uśmiechnęłam się obojętnie, okrutnie. Oto nowa rola dla mnie, wyznaczona przez Harry'ego w jego rozgorączkowanej, przeerotyzowanej i nafaszerowanej książkami wyobraźni.

— Jesteś mój na zawsze, Harry — oznajmiłam. — Twoje igraszki z młodą żonką, twoje przyjaźnie z mężczyznami, twoja miłość do mamy, twoja praca na roli — wszystko to nie ma nic wspólnego z realnym życiem. Realne życie dla ciebie to potajemne spotkania ze mną w zamkniętym pokoju. Ty to świetnie wiesz. A wejść do tego pokoju możesz tylko wtedy, gdy ja cię zaproszę, bo tylko ja mam klucz. Doprowadzę cię do bólu i jeszcze dalej, poza granicę bólu. I nigdy się nie rozdzielimy, bo ja nie chcę odejść, ty natomiast — tu uśmiechnęłam się na widok jego białej jak śnieg twarzy — skonałbyś pozbawiony rozkoszy.

Jęknął i przypadł twarzą do mojej sukni. Dotknęłam delikatnie jego głowy, tak jak nasza mama, a on znów zajęczał w reakcji na ten gest czułości. Chwyciłam za długie jasne pukle i pociągnęłam. Spojrzałam mu prosto w oczy.

— Chcesz być moim sługą? — spytałam lodowatym szeptem.

— Tak — odrzekł bezdźwięcznie. — Tak.

— Chcesz być moim niewolnikiem?

— Tak.

— A zatem idź sobie; mam cię dość.

Zabrzmiało to bezwzględnie. Odwróciłam się do biurka. Powłócząc nogami skierowałam się do drzwi. Położyłam już dłoń na klamce, gdy zawołałam go zupełnie tak, jak zwykłam wołać na swoje psy:

— Harry!

Odwrócił się natychmiast, skory spełnić każde me życzenie.

— Masz się zachowywać przy obiedzie, jak gdyby nic się nie wydarzyło — przykazałam. — To tajemnica życia i śmierci i nie wolno ci jej zdradzić wyrazem twojej głupiej szczerzej twarzy, bo będziesz zgubiony. Pamiętaj, Harry.

Kiwnął głową niczym żebrak słuchający regulaminu przytułku. Już miał otworzyć drzwi, kiedy powiedziałam jeszcze ciszej, przeciągając nieco głoski:

— Harry, dziś w nocy otworzę drzwi mego sekretnego pokoju. Możesz przyjść o północy.

Rzucił mi spojrzenie pełne niewymownej wdzięczności. Pozwoliłam mu odejść.

Wciąż nie rozwiązałam problemu Johna MacAndrew oraz (prawdę mówiąc) problemu przyjemności, jaką odczuwałam przebywając w jego towarzystwie. Z niechęcią musiałam z tego zrezygnować. Jak? Po prostu skłamać. Powiedzieć, że Harry źle zrozumiał moje zachowanie i że chociaż cieszy mnie przyjaźń doktora, wątpię, czy stanowilibyśmy dobraną parą. Dumiałam tak nad papierami zaścielającymi biurko. Powinnam sprawdzać rachunki, a wpatrywałam się w ciężki szklany przycisk do papieru z zatopionym w środku czerwonym makiem. Odgrywałam w myślach tę scenę: ubolewanie z powodu odrzucenia Johna MacAndrew. Przepowiadałam nawet sobie po cichu pełne dziewczęcej skromności zdania. Moją poważną twarz rozjaśnił nagle uśmiech. To tylko górnotne frazesy! Bystry, sprytny John MacAndrew w okamgnieniu przejrzył mnie na wylot. Musiałam znaleźć jakiś przekonywujący powód, aby przestał myśleć o małżeństwie i wywiezieniu mnie do Szkocji. Nigdy nie przekonam go stwierdzeniami, że traktuję naszą znajomość jak przyjaźń, skoro wszyscy widzieli moje uśmiechy na jego widok i skoro tak świetnie umiał mnie zabawić.

Nie tęskniłam za nim tak boleśnie jak ongiś za Harrym. Myśl o Johnie nie owładnęła pragnieniami mego ciała, jak to się stało w przypadku Ralpa. Nie mogłam się jednak powstrzymać od uśmiechu, gdy wspominałam doktora, a wyobrażając sobie jego pocałunki, od razu czułam się przyjemnie. Nigdy o nim nie śniłam, ale przed snem rozmyślałam o doktorze.

Kiedy wciąż zastanawiałam się gorączkowo, cóż mam mu powiedzieć, usłyszałam odgłos kół i końskich kopyt. Kosztowny powóz doktora MacAndrew wtoczył się po podjeździe i zatrzymał bezceremonialnie, zuchwałe, przed moim oknem. John wyjrzał z budki dla woźnicy i uśmiechnął się. Podeszłam do okna i energicznie je otworzyłam.

— Dzień dobry, panno Lacey — odezwał się. — Przybyłem porwać panią od spraw interesu. Szkoda marnować tak piękny dzień na siedzenie w czterech ścianach. Proszę wybrać się ze mną na przejażdżkę.

Zawahałam się. Odmówić — to okazać niewdzięczność i odwlec tylko złożenie propozycji małżeństwa, jeśli zdecydował się już na nie. A przyroda kusila. Zapach dojrzałych róż, dzwonek i lewkonii. Gruchanie leśnych gołębi. Pożegnalne loty jaskółek przed wyruszeniem do ciepłych krajów. Mogliśmy zobaczyć, jak przebiega bronowanie torfowych gleb na polach przygotowywanych po odpoczynku do zasiewów.

— Skoczę po kapelusz — odparłam z uśmiechem i wybiegłam z pokoju.



Nie wzięłam jednak pod uwagę mamy. Spotkałam ją na schodach. Nalegała, abym przebrała się w piękną suknię spacerową i nie pokazywała się na polach w porannej garderobie. Denerwowałam się, że zmiana stroju długo potrwa, ale mama wezwała swoją pokojówkę, moją także i zaprezentowała mnóstwo sukni do wyboru, rozłożywszy je na łóżku.

— Wszystko jedno, którą założę — stwierdziłam. — Jadę tylko na spacer po okolicy z doktorem MacAndrew, mamó. Nie wyjeżdżam przecież do Londynu na całą zimę!

— A dlaczegoż nie możesz wyglądać ładnie? — ta stanowczość nie pasowała do mamy.

Wybrała dla mnie ciemnozieloną suknię: zgrabny staniczek i obfitą spódnicę. Ten kolor podkreślał zieleń moich oczu i miodowy odcień skóry. Dopasowany do całości czepeczek miał woalkę z zielonej koronki, która — na co się skarżyłam — zasłaniała mi widok, lecz zachwyił mnie sposób, w jaki kryła blask oczu i kierowała uwagę na moje uśmiechnięte usta. Osobisty fryzjer mamy upiął mi włosy w bujne zwoje, a mama sama założyła mi kapelusz i ułożyła woalkę. Potem wzięła mnie za ręce w rękawiczkach i ucałowała.

— Idź już. Wyglądasz prześlicznie. Jestem z ciebie bardzo, bardzo zadowolona.

Nie tylko mama sądziła, że podczas tej przejażdżki czekają mnie oświadczyzny. Połowa służby znalazła się na schodach lub w hallu, aby niby to przypadkiem patrzeć, jak krocę na dół. Wszyscy składali mi ukłony i posyłali uśmiechy, jak gdyby cała Wideacre knuła spisek w celu doprowadzenia mnie do ołtarza.

Przy drzwiach frontowych zgromadzili się w komplecie lokaje i pokojówki, jak gdyby oczekiwali na mój publiczny występ. Główny lokaj uroczysto otworzył podwoje, a kiedy doktor MacAndrew pomagał mi wsiąść do powozu, z okien salonu bacznie patrzyła na mnie Celia, niania i oczywiście maleńka Julia.

— Pięknie panią żegnają dzisiaj — zauważył żartobliwie, widząc rumieńce na mych policzkach.

— Zwykło się czekać, aż się zostanie przyjętym, a nie rozgłaszać o faktach, zanim nastąpią — odezwałam się kwaśno, zapomniawszy z irytacji o ułożonej wcześniej scenie odmowy.

Zakrztusił się ze śmiechu na tę bezceremonialność.

— Ależ, Beatrice, proszę mnie tak nie atakować — błagał i żadną miarą nie mogłam pohamować śmiechu. I jak tu podjąć kwestię odmowy? W dodatku cała służba wyległa na taras i odprowadzała nas wzrokiem, a ja odjeżdżałam w dal uśmiechnięta u boku konkurenta.

Pomknęliśmy podjazdem. Powoził parą wybornych gniadoszy, wypoczętych i chętnych do biegu. Na zakrętach ściągał cugle i zwalniał do klusa, lecz ja czekałam, aż wyjedziemy na drogę do Acre. Tam dopiero można było rozwinąć szybkość. Wrota stróżówki czekały na nas otwarte na oścież, a Sarah Hodgett dygnęła i spojrzała znacząco. Popatrzyłam surowo na profil Johna MacAndrew. Cała rodzina Hodgettów tłoczyła się przed domem, aby pomachać pięknej panience Beatrice i jej młodemu towarzyszkowi. John MacAndrew odwrócił głowę i wyszczerzył zęby w bezlitosnym uśmiechu.

— To nie moja wina, Beatrice. Proszę nie patrzeć tak piorunująco. Nie wspominałem nikomu ani słowem oprócz pani brata. Wyobrażam sobie po prostu, że cały świat spostrzegł, jak patrzę na panią i jak pani się do mnie uśmiecha. Cały świat czekał, aż pojawimy się razem, a my jesteśmy tym teraz zaskoczeni.

Wysłuchałam tego w milczeniu. Nie podobał mi się swobodny poufały ton, lecz ciekawiła mnie własna reakcja na oświadczyzny. Zdumiały mnie słowa zasłyszane w dniu gonitwy, teraz jednak z jeszcze większą

rezerwą patrzyłam na swoje zachowanie. Siedziałam sobie na koźle w pędzącym powozie, śmiałam się przez cały czas i ani mi w głowie była jakakolwiek odmowa.

To zrozumiałe samo przez się, że powinnam odmówić opuszczenia Wideacre. Trudno jednak odmawiać, zanim padnie propozycja, z każdą zaś chwilą silniejsze stawało się wrażenie, że zaakceptuję Johna MacAndrew, a nawet że już go zaakceptowałam. Sprytny doktor postanowił sprowadzić całą kwestię do oczywistości, tak żebym nie miała sposobności do odrzucenia go.

Kiedy wyjechaliśmy z podjazdu na gościniec, skręcił nie tak jak oczekiwałam w stronę Acre, lecz w prawo, w stronę krzyżówki, gdzie gościniec dochodzi do głównej drogi z Chichester do Londynu.

— Dokąd zamierza pan jechać? — spytałam chłodno.

— Na przejażdżkę, przecież mówiłem pani — odparł lekko. — Mam taką fantazję, żeby zobaczyć morze.

— Morze! — aż sapnęłam ze złości. — Mama chyba umrze z niepokoju! Powiedziałam, że wrócę na obiad. Przykro mi, doktorze MacAndrew, ale pojedzie pan tam tylko we własnym towarzystwie.

— O, nie — zdecydował. — Powiedziałem mamie pani, że wrócimy po herbacie. Tak więc nie będzie nas oczekiwać wcześniej. Zgodziła się ze mną, że młodej kobiecie źle służy zbyt dużo pracy przy biurku.

Znów sapnęłam ze złości. Taki spryt!

— Czy stan mego zdrowia jest bardzo zły? — spytałam sarkastycznie.

— Zaiste, jest — stwierdził bez wahania. — Zaokrąglają się pani ramiona.

Tłumiłam chichot, bezskutecznie.

— Doktorze MacAndrew, pan jest kompletnie nieobliczalny i nie chcę mieć z panem nic wspólnego — oznajmiłam. — Dziś zdołał pan mnie porwać, ale następnym razem będę ostrożniejsza.

— Och, Beatrice — odwrócił w moją stronę uśmiechniętą czule twarz. — Beatrice, pani jest taka mądra i taka głupiutka.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Poczulałam, że się uśmiecham i rumienię.

Popuścił cugli. Konie ruszyły cwałem.

— Zapowiada się cudowny dzień — powiedział.

To rzeczywiście był cudowny dzień. Gospodyni doktora przygotowała nam takie jedzenie, że i lord pozazdrościłby nam pikniku. Posiłek spożyliśmy na skraju nizin. U naszych stóp rozpościerało się hrabstwo Sussex, nad nami zaś jasne niebiosa. Wspomnienie spektaklu, który urządziłam poprzedniej nocy, całkiem wywietrzało mi z głowy. Delektowałam się swoją nową rolą, a właściwie brakiem roli. Przestałam być boginią i czarownicą, stałam się po prostu piękną dziewczyną cieszącą się słonecznym dniem. Po szaleńczej adoracji Harry'ego przyszedł czas na odpoczynek; nie musiałam niczego udawać, nie musiałam nad nikim górować. John MacAndrew uśmiechał się ciepło, wzrokiem jednak taksował mnie bystro. Ten nigdy nie będzie się czołgał u moich stóp jak szmata nasiąkła pokorą i żądzą.

Uśmiechnęłam się zadowolona. On odpowiedział uśmiechem. Potem spakowaliśmy wiktuały i naczynia i ruszyliśmy dalej.

Nad morze dotarliśmy w porze herbaty. Doktor wybrał odcinek wybrzeża położony najbliżej Wideacre, na południe od naszej posiadłości. Pół tuzina rybackich chat tworzyło maleńką wioskę. Stał tu też pub o

jednoznacznie łajdackim wyglądem. Stanęliśmy obok. John zawołał właściciela. Wybiegł zdumiony, zapewnia-  
zapewniając, że ludzie z wyższych sfer nie mają czego szukać w tym domu. Niewątpliwie. Ale w powozie  
znajdował się serwis do herbaty, najszlachetniejszy jej gatunek oraz cukier i śmietanka.

— Przypuszczam, że ze śmietanki dawno zrobiło się masło — stwierdził John MacAndrew, rozkładając  
pled na kamienistej plaży, abym mogła usiąść. — Ale też prosta wiejska dziewczyna jak pani nie spodziewa się  
żadnych frykasów, gdy opuszcza swą posiadłość i wyrusza z wizytą na wieś.

— Zaiste — odparowałam cios. — Pan jednak nie spostrzeże różnicy, gdyż ośmielę się zauważyć, że  
nie znał pan smaku ani masła, ani śmietany, zanim opuścił pan Szkocję.

— O, nie — odrzekł natychmiast, powracając do najczystszej szkockiego akcentu. — Pijamy w domu  
tylko usquebaugh!

— Usquebaugh! — wykrzyknęłam. — A cóż to takiego?

Twarz mu pociemniała. Zasepił się.

— Taki napój — odparł krótko. — Smakuje jak grog czy brandy, lecz jest o niebo mocniejszy.  
Wspaniały napój na zapomnienie o smutkach. Często piją go wieśniacy. Marny jednak z niego pan. Znałem  
ludzi, jednego nawet bardzo blisko, których zniszczył ten trunek.

— A pan go kiedyś próbował? — spytałam zaintrygowana nagłym spowężeniem doktora. Taki  
poważny był tylko przy pracy.

Wykrzywił twarz w grymasie.

— Pijam go w Szkocji. W wielu miejscach nie sposób dostać nic innego. Mój ojciec podaje go  
wieczorem zamiast portwajnu, a ja raczej nie odmawiam! Nie bez obaw jednak. — Tu przerwał i spojrzał  
niepewnie, jak gdyby wahał się, czy powierzyć mi jakiś sekret. Odetchnął głęboko i ciągnął dalej. — Kiedy  
zmarła moja matka, zaczynałem właśnie studia — mówił cicho. — Bardzo przeżyłem tę stratę. Spostrzegłem,  
że kiedy piłem usquebaugh, whisky, mój ból znika. Postanowiłem pić na okrągło. Można popaść w  
uzależnienie. Ostrzegałem panią, że niektórzy ludzie wpadają w nałóg zażywania laudanum. Zawsze boję się o  
swoich pacjentów, bo sam poznałem smak nałogu. W towarzystwie ojca wypijam czasem szklaneczkę whisky,  
ale na tym koniec. Muszę się bronić przed swoją słabością.

Kiwnęłam głową, rozumiejąc jedynie mgliście, co doktor ma na myśli, lecz czując, że wyznanie to  
świadczy o jego zaufaniu. Z pubu wyszedł właściciel, niosąc w budzącym zgrozę skupieniu srebrny serwis  
Johna MacAndrew. Srebrny dzbanek wypełniony był po brzegi smakowicie zaparzoną indyjską herbatą.

— Zaczynam się niepokoić, że w drodze do domu zaatakują nas rabusie. Już ostrzą sobie zęby na te  
srebrne szczypce do cukru — zażartowałam. — Zawsze otacza się pan takim przepychem w podróży?

— Tylko wtedy, gdy się oświadczam — oznajmił tak niespodziewanie, że aż podskoczyłam, wylewając  
herbatę na spodek i suknię.

— Należałoby pana wychłostać! — zawołałam, przykładając chusteczkę do płamy.

— O, nie — podjął żartobliwy ton. — Pani źle zrozumiała ideę moich oświadczeń. Jestem  
zdecydowany poślubić panią.

Zakrztusiłam się ze śmiechu. Chwycił moją filiżankę i odstawił ją na tacę za plecami.

— Muszę to teraz powiedzieć — nagle spowaźniał. — Kocham cię, Beatrice, i z całego serca pragnę, żebyś została moją żoną.

Śmiech zamarł mi na ustach. Gotowa już byłam odrzec: „Nie” i nie zdołałam wydusić głosu. Bałam się po prostu zepsuć taki cudowny słoneczny dzień. Fale morskie uderzały o kamienie. Mewy nawoływały się i kołowały w przesyconym solą powietrzu. Odmowa oddaliłaby to wszystko o miliony mil, chociaż zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam przyjmować oświadczyn.

— Czy chodzi o Wideacre? — spytał, kiedy cisza się przeciągała.

Podniosłam szybko wzrok z wdzięcznością za jego wyrozumiałość.

— Tak — potwierdziłam. — Nie mogłabym mieszkać gdzie indziej. Po prostu nie mogłabym.

Uśmiechnął się łagodnie, w niebieskich oczach pojawił się jednak smutek.

— Nawet tam, gdzie stworzyłabyś mi dom i była żoną?

Znów zapadła cisza. Wydawało się, że odmowa trafiła do niego.

— Przykro mi. Naprawdę — odezwałam się. — Wideacre to całe moje życie. Nie potrafię nawet tego wyjaśnić. Nie umiem stąd odejść.

Wyciągnął ręce i zacisnął w nich moją dłoń, a po chwili pocałował jej wnętrze i zacisnął palce, aby chroniły ślad po jego ustach.

— Beatrice, wiedz, że odkąd cię zobaczyłem przed rokiem, obserwuję cię i zdawałem sobie sprawę, że mnie chyba odrzucisz, wybierając pozostanie w domu — przemówił bardzo poważnie. — Posłuchaj jednak: Wideacre należy do Harry'ego, a potem do jego potomków. Nigdy nie będzie należeć do ciebie. To dom twojego brata, nie twój. Jeśli między wami dojdzie do kłótni, co jak sądzę, jest wysoce nieprawdopodobne, lecz jeśli Harry się uprze, może cię wyrzucić choćby jutro. Jesteś na jego łasce. Nie masz żadnych praw. Jeśli przedkładasz Wideacre nad małżeństwo, znaczy to, że przedkładasz niepewne tymczasowe mieszkanie nad prawdziwy dom w przyszłości.

— Wiem — odparłam cicho. Patrzyłam na morze z kamienną twarzą. — To na ile czuję się w Wideacre pewnie, zależy ode mnie samej.

— Beatrice, to cudowny dom i przepiękna okolica, nie widziałas jednak innych ładnych miejsc w naszym kraju. Są równie cudowne domy, gdzie moglibyśmy zamieszkać i pokochać je tak jak Wideacre.

Potrząsnęłam głową i spojrzałam na niego.

— Nie rozumiesz. Liczy się tylko Wideacre. Nie wiesz, jak się starałam, żeby zapewnić tu sobie miejsce. Marzyłam o tym przez całe życie.

Patrzyły na mnie mądre oczy.

— A cóż takiego zrobiłaś? — podchwycił niebacznie rzucone słowa. — Cóż zrobiłaś, aby zapewnić tu sobie miejsce? Dlaczego tak ci na tym zależy?

Wahałam się między wyznaniem całej prawdy tym mądrym życzliwym oczom a sprytnym kłamstwem. Instynkt i inteligencja przestrzegały przed poufałością, szczerością, miłością, małżeństwem...

— Beatrice... Możesz mi powiedzieć.

Miałam prawdę na końcu języka. Zamierzałam wszystko wyznać. Wtedy spojrzałam w stronę morza i spostrzegłam mężczyznę opalonego jak pirat. Przyglądał się nam z ciekawością.

— Chyba miałam rację z tymi srebrnymi szczypcami — stwierdziłam lekko.

John podążył za moim spojrzeniem, krzyknął i podniósł się. Bez wahania podszedł do mężczyzny. Jego buty ślizgały się na kamieniach. Zamienił parę słów z nieznajomym, rzucił mi niepewne spojrzenie i wrócił, nie sam.

— On cię rozpoznał jako pannę Lacey z Wideacre — oznajmił zdumiony. — Chce z tobą o czymś porozmawiać, ale nie zdradził mi o czym. Odesłać go?

— Nie, oczywiście, że nie! — odrzekłam z uśmiechem. — Może powie mi, gdzie zakopano skarb! Policz łyżeczki i spakuj wszystko, a ja zobaczę, czego chce ten człowiek.

Wstałam i podeszłam do nieznajomego. Na mój widok skłonił się nisko. Wyglądał na marynarza; nie miał w sobie ociężałości ludzi pracujących na roli. Skóra przybrała odcień brudnego brązu, oczy zaś zwęziły się w szparki od patrzenia na błyszczące wody. Nosił luźne spodnie rozszerzające się ku dołowi i pantofle, a nie buty z cholewami, jak farmerzy. Wokół czoła przewiązał chustkę z charakterystycznym kosmykiem sterczącym zza opaski. Typowy łobuz, jak oceniłam. Zdecydowałam się na ostrożny uśmiech.

— Czego chcesz ode mnie? — spytałam pewna, że chodzi mu o jakiś datek albo drobną przysługę.

— Mam interes. Handlowy — odpowiedział ku memu zdziwieniu.

Mówił z nietutejszym akcentem. Nie wiedziałam, skąd pochodzi. Gdzieś z zachodu. Zaczynałam się domyślać, o jaki interes mu chodzi.

— Handel? — podjęłam ostro. — My uprawiamy ziemię, nie handlujemy.

— Wolny handel. Powinienem od razu powiedzieć! — obserwował moją twarz.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

— Czego chcesz? — dopytywałam się energicznie. — Nie mam czasu na czcze gadanie z łobuzami. Mów krótko, ale uprzedzam, w Wideacre nie łamie się prawa.

Wyszczerzył zęby bez cienia zażenowania.

— Oczywiście, panienko, że nie. Ale macie dobrą i niedrogą herbatę, i cukier, i brandy.

Spojrzałam ponuro i znów zapytałam:

— Czego chcesz?

— Mamy pewne kłopoty w miejscu, gdzie zwykle magazynujemy nasze towary — zniżył głos, bacznie obserwując Johna MacAndrew czekającego w pełnej gotowości przy powozie. — Mamy nowego herszta, a on zaproponował, żeby urządzić magazyn w starym młynie na terenie waszej posiadłości. Każda partia towaru poleży tam tylko kilka nocy. Nie musicie nic o tym wiedzieć, panno Lacey. Zawsze zostawimy i dla was parę beczulek, jeśli okażecie się na tyle wspaniałomyślni, by je przyjąć. Może podrzucimy trochę pięknego francuskiego jedwabiu. Oddalibyście przysługę dżentelmenom, panno Lacey, a my nigdy nie zapominamy o naszych przyjaciółach.

Nie mogłam się zdobyć na surowość wobec tego zuchwałego rzezimieszka. W tym o co prosił, nie było nic niezwykłego. Przemysłowcy (nazywani dżentelmenami) od dawien dawna grasowali na gościńcach hrabstwa Sussex. Odpowiadały im wysokie, strome pobocza dróg. Dwaj oficerowie, którzy mieli za zadanie kontrolować przemysł na całym wybrzeżu, tam gdzie morze głęboko wcina się w ląd, spędzali noce w ciepłych łóżkach, a za dnia pisali sprawozdania. Jeden z nich był zawodowym poetą i przyjął tę pracę jedynie po to, by zyskać czas na



pisanie. Mieliśmy zatem w Sussex dwojaki korzyści: bezcłowy handel i piękną poezję. Oto komiczny w swej istocie wynik zagmatwanych przepisów o akcyzach i rozdawania przez rząd stanowisk ku uciesze młodzieńców.

Papa pozwalał przemytnikom przechowywać towary w stodołach leżących na uboczu i przymykał oko na doniesienia o sześciu koniach przejeżdżających późną nocą cichcem drogą przez Acre. Wieś Acre zaciągała firanki i nabierała wody w usta. Dżentelmeni okazywali szczodrość przyjaciom, lecz zabijali tych, co mieli za długi język.

Nie istniały więc powody, dla których nie mogliby przechowywać towarów na naszej ziemi, i już miałam głośno na to przyzwolić, kiedy zainteresowałam się wzmianką o starym młynie i nowym herszcie.

— A kto jest waszym nowym hersztem? — spytałam.

Mężczyzna zmrużył oczy.

— Im mniej wiesz, tym lepiej śpisz — odparł ostrożnie. — Powiem tylko, że ma łeb na karku i umie pociągnąć za sobą ludzi. Kiedy widzę jego czarnego konia na przedzie, lżej mi się robi na duszy.

Nagle zaschło mi w ustach. Z trudnością przełknęłam ślinę.

— Czy to on wybrał stary młyn na magazyn? — mój głos zabrzmiał słabo, a na twarz wystąpił zimny pot.

Człowiek spojrzał zdumiony na moją pobladłą nagle twarz.

— Tak, to on, panienko. Źle się panienka poczuła?

Podniosłam dłoń do oczu i spostrzegłam, że drżą mi spoczone palce.

— To nic takiego — rozpaczliwie ciągnęłam rozmowę. — On chyba pochodzi z tych okolic?

— Sądzę, że się urodził i wychował niedaleko Wideacre — mężczyzna wydawał się zniecierpliwiony tym nagabywaniem i zmartwiony, że zaczęły mi drżeć ręce, a oczy pociemniały. — Co mam mu powiedzieć?

— Powiedz, że stary młyn został zmyty przez powódź i że wszystko tam wygląda inaczej — wybuchłam, podnosząc głos ze strachu. — Powiedz, że musi znaleźć inne miejsce, inną trasę. Powiedz, że ma się trzymać z dala ode mnie i mojej ziemi. Powiedz, że moi ludzie go nie przepuszczą. Powiedz, że zawsze pozostanie wyrzutkiem, a ja będę kochana.

Nogi się pode mną uginały, lecz nagle poczułam, że podtrzymuje mnie silne ramię Johna. Wystarczyło jedno jego groźne spojrzenie, aby nieznajomy odszedł potykając się na kamieniach i zniknął między łodziami rybackimi.

John MacAndrew, profesjonalista w każdym calu, podniósł mnie i wsadził jak dziecko do powozu, bez słowa. Spod siedzenia stangreta wyciągnął butelkę szkockiej whisky i przyłożył srebrną nakrętkę do moich ust. Odwróciłam głowę z niesmakiem, poczuwszy zapach alkoholu, lecz zmusił mnie do żucia paru kropel. To mnie rozgrzało i uspokoiło. Drżenie ustało. Siedzieliśmy w milczeniu, aż znów zaczęłam słyszeć miarowe bicie serca. Czulałam w głowie pustkę. Przeraziło mnie to nagłe pojawienie się ducha. W biały dzień! Z pewnością mogłam zareagować inaczej; nie załamywać się w obecności człowieka nasłanego niewątpliwie albo przez jakiegoś kłusownika wygnanego z Wideacre, albo przez któregoś z robotników rolnych wcielonych do marynarki, co zbiegł i przystał do przemytników. Sam czarny koń nic nie znaczył. Głupio się zachowałam. Głupio dałam się zastraszyć.

Nawet teraz jednak siedząc bezpiecznie w powozie w ciepłe słoneczne popołudnie, z drogocennym srebrnym serwisem MacAndrew oraz zaprzęgiem koni wartym majątek, czułam się bezbronna i upokarzająco przerażona.

Po raz ostatni wstrząsnął mną konwulsyjny dreszcz, a potem odetchnęłam głęboko. Ugryzłam się w policzki i trzymając ręce na podolku, wbiłam paznokcie w skórę dłoni.

Wreszcie odwróciłam się do Johna MacAndrew i uśmiechnęłam się.

— Dziękuję ci. Dałam się głupio wyprowadzić z równowagi. To przemytnik omijający cło. Chciał znaleźć miejsce na przechowywanie swoich beczulek. Zaczął złorzeczyć, kiedy mu odmówiłam. Nie wiem sama, dlaczego tak mnie to zdenerwowało.

John MacAndrew kiwnął głową ze zrozumieniem, lecz wzrok miał przenikliwy.

— Dlaczego się nie zgodziłaś? — spytał. — Przecież chyba nie masz nic przeciwko nim?

— Nigdy nie miałam — odrzekłam powoli. Znów pojawił się lęk. Zdusiłam w sobie prawdę. — Nie będę jednak tolerować w Wideacre ludzi, którzy łamią prawo — krzyknęłam z pasją. — Nie chcę ani przywódców motłochu, ani złodziei cudzej własności, ani ludzi, którzy pod osłoną nocy prowadzą na mojej ziemi jakieś ciemne interesy. Dziś przemytnicy, a jutro kto? Nie chcę rzezimieszków prowadzonych przez herszta na czarnym koniu, jeżdżących po gościńcu w pobliżu mojego domu. — Przerwałam, szlochając, przerażona własnym wybuchem. Zbyt byłam zaszokowana, aby zatuszować wrażenie, że przeżyłam coś budzącego zgrozę.

Ciepła dłoń Johna ujęła moją rękę.

— Czy chcesz powiedzieć, dlaczego tak postanowiłaś? — spytał cichym głosem pełnym czułości, współczucia.

Westchnęłam; niemal jęknęłam.

— Nie — odmówiłam nieszczęśliwym tonem. — Nie.

Siedzieliśmy dalej w milczeniu. Konie pochyliły głowy. Cugle luźno zwisały. Późnopołudniowe czerwone słońce schodziło nad morze wśród różowych pierzastych chmur.

— Odwiozę cię do domu — zdecydował John z życzliwą cierpliwością.

Wiedziałam, że mnie kocha. Kocha tak bardzo, że gotów dawać wiarę temu, co mówię i robię, chociaż ma świadomość, że nie jestem taką znów prostą, miłą, uroczą dziewczyną. Domyślał się, że kryję jakąś tajemnicę. A on tylko cmoknął na konie i odwiózł mnie do domu. Zachód słońca przeszedł w zmierzch, kiedy jechaliśmy skrajem nizin koto Goodwood, a kiedy znaleźliśmy się na drodze do Wideacre, świeciły już gwiazdy. Towarzyszył nam księżyc w nowiu — chudy sierp na nocnym niebie. John MacAndrew pomógł mi wysiąść z powozu i musnął delikatnym jak sen pocałunkiem moje włosy.

Nigdy nie żądał wyjaśnień; przez wszystkie dni kończącego się upalnego lata, kiedy siano stało w stogach, a zboże zostało wymłócone, młody inwentarz skończył ssać mleko matek i przybierał na wadze, mniej było pracy, a więcej czasu na wizyty, tańce i pikniki.

Kiedy jechaliśmy do Haveringów z Celią, Harrym i mamą, John i ja spacerowaliśmy we dwoje w popadającym w ruinę ogrodzie wśród rosnących dziko krzewów. Kiedy zjawialiśmy się na herbacie, mama i lady Havering wymieniały porozumiewawcze uśmiechy. Natychmiast zmieniały wyraz twarzy, gdy spostrzegały, że się im bacznie przyglądamy. Wieczorem zwijaliśmy dywany, a mama zaczynała wygrywać na

fortepianie Haveringów ludowe tańce i jiggi. Pierwszy i ostatni taniec zawsze należał do Johna. Gdy w coraz chłodniejszym nocnym powietrzu czekaliśmy na nasze powozy, John owijał mi szal wokół ramion, a czasem podsuwał go aż pod szyję, aby musnąć lekkim zarostem mój błądy gładki policzek.

Powozy ze stukiem wytaczały się z dziedzińca stajennego. Pomagał mi wsiąść, a wśród ogólnego pożegnania John dodawał od siebie znaczący uścisk mojej dłoni. Opierałam wygodnie głowę na jedwabnych poduszkach, zapamiętując ciepły uśmiech, błysk oczu, dotyk ręki na policzku... Konie ruszały klusem, a siedząca obok mama uśmiechała się uspokojona.

Miłe niewymuszone zaloty nigdy jednak nie pochłaniały mnie na tyle, abym zapomniała o pilnowaniu Harry'ego i ziemi. Co najmniej raz w tygodniu wspinałam się po schodach do pokoju na poddaszu i doprowadzałam Harry'ego do stanu żalostnego strzępu dygocącego ze strachu i rozkoszy. Im częściej brałam w tym udział, tym obojętniej traktowałam te przedstawienia, aż osiągnęłam poziom lodowatej pogardy wobec sapiącego Harry'ego.

Zdałam sobie wreszcie sprawę z istoty mego związku z Harrym. Początkowa namiętność zmaćla mi rzeczywisty obraz. Sądziłam, że sypiam z nim jako kobieta wolna, a byłam niewolnicą. Nie miałam wyboru. Chciałam go, ponieważ był dziedzicem. Nie pragnęłam Harry'ego dla niego samego. Teraz tracił swój piękny wygląd i wdzięk. Stawał się rozlazły, tłusty. Sypiałam z dziedzicem, nie z Harrym. I znów nie miałam wyboru. Nie mogłam powiedzieć: „nie”. Moje bezpieczeństwo na tej ziemi wymagało szczególnej daniny. Płaciłam należność, tak jak dzierżawcy podchodzący do mojej kartoteki z garścią monet zawiniętych w szmatkę. Kiedy leżałam na plecach, kiedy przechadzałam się po pokoju, grożąc najwymyślniejszym bólem, płaciłam daninę. Nieznośne uczucie.

Harry stracił swoją magię, ale ziemia — nie. Jesień w Wideacre miała kolor liści jarzębiny. Iście letnie upały trwały jeszcze długo i nawet w październiku na przejażdżki z Johnem zarzucałam tylko szal. Kiedy w listopadzie nastały mrozy, ucieszyłam się, bo twardy grunt dobrze trzyma trop i przy największych chłodach widać ślady lisich łap. Zaczął się sezon myśliwski. Po dwóch długich latach żałoby i wyjazdu do Francji znów w siodle! Dziedzic Wideacre zgodnie ze zwyczajem przygotowywał nasze psy gończe. Codziennie zajmowaliśmy się nimi z Harrym i rozmawialiśmy wyłącznie o polowaniach. To miał być pierwszy sezon Harry'ego i zanosilo się na wielką kompromitację. Mój brat lubił jednak hodować najlepsze zwierzęta, a znaczyło to, że dysponujemy najszybszymi psami w całym hrabstwie. Wystarczyło gnać za nimi i przeskakiwać wszelkie przeszkody na drodze, bez większego namysłu. Na pewno znajdą się chętni, by wyruszyć z nami na zwierzynę i pomóc przy psach. Shaw, dobry gajowy, znał lisie ścieżki. A ja wiernie towarzyszyłam Harry'emu.

## 12

Uzgodniliśmy termin polowania z gajowym Shawem. Pierwszego dnia października ruszyliśmy na wspaniałe łowy. Trasa zaczynała się na wspólnych gruntach, potem szeroki łuk przez pola, z powrotem na wspólne grunty aż do skraju parku, gdzie lasy Wideacre rosną na poszyciu z wrzosów i paproci. Tam właśnie dopadliśmy zwierzynę: starego lisa, którego kiedyś goniłam z papą. Wtedy oderwał się od mnie chyłego stada,

teraz zaś był o trzy lata starszy i nawet niedoświadczony Harry, całkiem pozbawiony instynktu myśliwego, zauważył, że przebiegłe zwierzę kieruje się w stronę strumienia, aby w wodzie zgubić trop.

— Spuszczaj psy, Harry! — wrzasnęłam ponad ujadaniem sfory i tętentem podków.

Wiatr porywał moje słowa.

Zabrzmiały rogi. Tru-tu-tu! Tru-tu-tu! Konie pomknęły naprzód, a psy rzuciły się z morderczym jazgotem w poszukiwaniu ofiary. Stary lis zdobył się na ostatni zryw i o mało co by mu się udało, lecz psy dopadły go tuż nad strumieniem. Harry przedarł się przez ujadającą głodną gromadę, odciął kity i podał mi jeszcze krwawiącą. Skinęłam głową w podzięcie i dłonią w rękawiczce sięgnęłam po trofeum. Zawsze dostawałam pierwszą zdobycz sezonu, odkąd skończyłam jedenaście lat i papa umazał mi twarz odrażającą, cuchnącą lepką posoką.

Mama na mój widok jęknęła. Wyglądałam jak dzikus. Już miała wyrazić swą dezaprobatę, kiedy papa surowo przykazał, aby mnie nie myć.

— Dziecko śmierdzi lisem — stwierdziła mama drżącym od gniewu głosem przechodzącym w szept.

— To taka tradycja — wyjaśnił twardo papa. Jemu to wyjaśnienie wystarczało; mnie też. Bóg mi świadkiem, że nie należałam do dziewczynek delikatnych jak laleczki, ale kiedy ojciec wcierał mi w twarz jeszcze gorącą krew płynącą z nasady ogona, zachwiałam się w siodle ze wstrętu. Nie spadłam jednak. I nie umyłam się.

Patrząc wstecz, widzę wyraźnie, że poradziłam sobie wtedy w typowy dla siebie sposób, nie sprzeciwiając się papie, a jednocześnie okazując własne zdanie. Tradycja nakazywała, aby ohydna krew została na skórze, dopóki sama nie zniknie. Poczekałam parę godzin, aż krew zakrzepła w kruche płyty, a potem podeszłam do starego kamiennego koryta przy stajni. Usiadłam nad cembrowiną z piaskowca i przyłożyłam do niej twarz. Pocierałam skórą czoła i policzków o szorstką powierzchnię, aż choć podrapana i obolała, była czysta.

— Umyłaś się, Beatrice? — spytał surowo papa, kiedy zobaczył mnie następnego dnia przy śniadaniu.

— Nie, papo, starłam krew — odparłam. — Czy teraz mogę się już umyć?

Od jego cudownego, życzliwego swobodnego śmiechu zatrzęsły się okna i srebrny serwis do kawy.

— Starłaś krew? O moja małeńka kochana! — ryknął, zaśmiewając się do łez. Wytarł oczy w serwetkę. — Tak, tak, możesz się teraz umyć. Zadośćuczyniłaś tradycji, to dobrze. A że po swojemu — to trochę komiczne.

Myślałam o tej scenie sprzed lat i o kochanym papie, kiedy w zimowym słońcu przejmowałam kity od Harry'ego. Woń świeżo zabitego lisa przypomniała mi wydarzenia sprzed lat. Przeszłość, która nie wróci. Nie wróci.

— Świetna gonitwa, panno Lacey — odezwał się jeden z synów Haveringów, brat przyrodni Celi, George.

— Tak, rzeczywiście — odparłam z uśmiechem.

— Jak wspaniale pani jechała! — stwierdził z uwielbieniem w oczach. — Nie mogłem nadążyć! Kiedy pokonywała pani ostatni żywopłot, musiałem zamknąć oczy. Byłem pewien, że niska gałąź zrzuci panią z konia!

Zaśmiałam się na wspomnienie tej przeszkody.

— Ja też zamknęłam oczy! — wyznałam. — Tak się denerwowałam, że zapomniałam o ostrożności. Spięłam Tobermory'ego do skoku, nie widząc drzewa. Gdy zdałam sobie sprawę, że nie ma dla nas miejsca między żywopłotem a niskimi gałęziami, było już za późno. Mogłam tylko schylić jak najniżej głowę i żywić nadzieję, że się jakoś przecisniemy. I przecisnęliśmy się, choć wydaje mi się, że mam podrapane plecy.

— Słyszałem również, że brała pani udział w wyścigach konnych — powiedział George, wskazując ruchem głowy Johna MacAndrew, który właśnie nadjeżdżał ku nam. Słońce zagrzało nagle mocniej, a my uśmiechnęliśmy się do siebie.

— Taka towarzyska gonitwa — odparłam. — Jednak doktor MacAndrew ściga się o zbyt wysokie stawki.

Jasne oczy George'a wędrowały od twarzy doktora do mojej i z powrotem.

— Mam nadzieję, że pani nie przegrała Tobermory'ego!

— Nie — odrzekłam, posyłając specjalny uśmiech Johnowi MacAndrew. — Ale już nigdy na ślepo od doktora nie przyjmę zakładu.

George roześmiał się i wreszcie zajął się rozmową z Harrym, chwając go za udane polowanie. Zostałam z Johnem sama. Przemówił przez niego lekarz, nie kochanek.

— Jesteś blada — zauważył. — Nie czujesz się dobrze?

— Skądże, czuję się świetnie — uśmiechnęłam się, aby uwiarygodnić te słowa. Jednakże gdy to mówiłam, czułam przyływ mdłości i osłabienie.

— Widzę, że nie najlepiej — oznajmił sucho.

Zsiadł z konia i stanowczym gestem wyciągnął ramiona. Cóż, ześliznęłam się z siodła i pozwoliłam się podprowadzić do zwałonego pnia. Kiedy usiadłam, poczułam się od razu lepiej. Odetchnęłam kilka razy głęboko ostrym jesiennym powietrzem, wciągając ekscytującą, chłodną przenikliwą woń suchych liści.

— Coś jest nie tak? — spytał.

Cały czas trzymał mnie za rękę. Czułe palce dyskretnie badały mój puls.

— Daj spokój — uwolniłam dłoń. — Nie stać mnie na cotygodniowe konsultacje, doktorze. Mdli mnie i boli mnie głowa, ponieważ degustowałam wczoraj wieczorem nasze młode wino. Smakuje jak ocet i trzeba by cukru z połowy Indii Zachodnich, aby je dosłodzić. W dodatku jego wytwarzanie jest bardzo kosztowne.

Rozbawił go mój zły humor. Nie obraził się jednak, taktownie się wycofał. Wdał się w pogawędkę z innymi myśliwymi, a ja mogłam rozsiąść się wygodnie na pniu drzewa.

Skłamałam oczywiście. Co prawda rzeczywiście piliśmy poprzedniego wieczora nieudane gorzkie wino Harry'ego, lecz wcale nie to spowodowało moją poranną słabość, nudności i nadwrażliwość piersi. Znowu spodziewałam się dziecka i zbierało mi się na wymioty zarówno z powodu mego stanu fizycznego, jak i psychicznego. Wielkiej dzielności wymagało ode mnie żartowanie i uśmiechanie się do Harry'ego, George'a, Johna MacAndrew, podczas gdy rósł we mnie nowy chwast.

Nie dziwiłam się, że George nie mógł za mną nadażyć. Pędziłam na złamanie karku. Jeden upadek — i stałabym się wolna od pasożyta. Krwawiłabym, lecz oczyściłabym się. Tobermory był jednak świetnym wierzchowcem, a ja wyśmienitym jeźdźcem. Pokonałam niewiarygodnie trudne przeszkody i siedziałam w blasku jesiennego słońca piękna jak zawsze, ale — w pierwszym miesiącu ciąży. Wściekałam się na swoją



plodność. Mdły smak palił mnie w język jak ogień. Odzyskałam bezgraniczną miłość Harry'ego, lecz stanęłam przed nowym problemem. Szaleńcza jazda nie usunęła z mego brzucha bękarta, płodu, który był zapewne równie silny jak Julia. Ta zniosła moje galopady i urodziła się jako okaz zdrowia. Nie mogłam liczyć na dobrodziejstwo upadku z konia. Musiałam postarać się o jakąś trującą miksturę od wiejskiej znachorki i z determinacją znieść bóle poronienia.

Nie od razu znalazłam odpowiednią babkę. Po zniknięciu z Acre Meg, matki Ralpha, nie mieliśmy we wsi kobiety zajmującej się tym bezecnym procederem. Przed córką pani Hodgett, śliczną Mary, udałam, że poszukuję — o ironio! — jakiegoś napoju miłosnego. Spojrzała na mnie jak na dziewczynę, której nie potrzeba podobnych środków, ale tak jak się spodziewałam, podała mi nazwisko pewnej staruchy mieszkającej w lepiance na gruntach Haveringów.

Znając warunki wiejskie, mogłam przypuszczać, że ta wiedźma mieszka w parszywej ruderze, ale nie sądziłam, że będzie to aż taka nora, gorsza niż nasze chlewy. Podłoga z mułu, ściany obłożone torfem i paprociami, dach z gałęzi pokrytych mchem. Kiedy schylając głowę weszłam, już wiedziałam, że nie powinnam tu przychodzić i że wizyta nie przyniesie pożądanego skutku. Nie miałam jednak wyboru. Musiałam spróbować. Odrażająca stara wiedźma wyciągnęła kamienną flaszkę zatkaną kawałkiem brudnej szmaty i ukryła w łachmanach srebrne szylingi, które cisnęłam na podłogę. Niosłam flaszkę do domu ostrożnie niczym prawdziwą truciznę i potajemnie w sypialni wypiłam sporo, tak jak mi kazała.

Ohyda. Tak jak oczekiwałam, pochorowałam się w nocy i przez cały następny dzień miałam wymioty i biegunkę, lecz z poczętym dzieckiem nic się nie stało. Wciąż nosiłam je w sobie. Wydawaliśmy się nierozdzielni. Cięża wyczerpywała mnie, a do tego jeszcze dwa dni choroby. Musiałam jednak znów pojechać do parszywej chaty i zobaczyć, co zdecyduje starucha.

Niczego nie wskórałam poza nawrotem choroby. Wiedźma kazała spróbować jeszcze raz, a potem dodała, że tępy nóż wsunięty ostrożnie w odpowiednie miejsce nie sprawi mi prawie wcale bólu, a uwolni od płodu. Ale ja miałam już dosyć. Podejrzewałam, że za stosowną opłatą starucha będzie podejmować wciąż nowe próby, aż dziecko rzeczywiście umrze. Lub ja umrę. Nie ufałam brudnej lepiance, gdzie sporządzała te swoje wywary z zielska. Panicznie bałam się zardzewiałego noża. Przestałam się zatem zadawać z ową kobietą i gdy tylko poczułam się lepiej po paru koszmarnych dniach, zaczęłam rozważać inne możliwości.

Pomyślałam oczywiście o Celii, drogiej małej Celii, uroczej i dobrej. Pamiętałam jej natychmiastową zgodę i miłość, jaką otoczyła Julię. Ucieszyłaby się zapewne z następnego dziecka. Uniosłam głowę, a przez twarz przemknął mi uśmiech. Istniała pewna szansa, że uda się znów podrzucić dziecko do kołyski dziedzica. Gdybym mogła uniknąć ciąży! Gdybym mogła pozbyć się nie narodzonego! Ale skoro płód rósł we mnie, trzeba było próbować, a może rzeczywiście odziedziczy ziemię lub przynajmniej słuszną jej część.

Tym razem zachowałam większą nieufność. Już raz przeżyłam rozczarowanie, gdy przyszła na świat bezwartościowa dziewczynka. Nie pozwoliłabym sobie teraz na adorację pęczniejącego ciała i dopatrywanie się w wypukłości brzucha gwarancji własnej przyszłości. Nie mogłam się jednocześnie powstrzymać od uśmiechu na myśl, że po urodzeniu dziewczynki wzrosły szanse na powicie chłopca. Z pewnością mój brat i ja splodziliśmy syna.

Nie mogłam czekać. Poczęłam we wrześniu, a mieliśmy połowę listopada. Trzeba działać. Trzeba powiedzieć Celi i ułożyć jakiś plan wyjazdu z Wideacre, i to szybko. Zawołałam jednego z chłopców stajennych towarzyszących myśliwym na zapasowych koniach. Z szacunkiem dotknął czapki i pomógł mi wsiąść. Kazałam powiedzieć panu, że poczułam się zmęczona i dyskretnie, nie żegnając się, wróciłam do domu.

Nie wzięłam jednak pod uwagę Johna. Gdy obejrzałam się na łowców pod drzewami, spostrzegłam, że Sea Fern stoi z boku, z dala od rozbieganych psów i podawanych sobie z ust do ust srebrnych buteleczek. John widział, jak odjeżdżam, i nie przyglądał mi się rozmarzonym wzrokiem kochasia, lecz badawczym spojrzeniem profesjonalisty. Wyprostowałam się w siodle świadoma jego wzroku i raz jeszcze pomyślałam, że Celia i ja musimy się pospieszyć. Znow podróż? To nudne i trudne do przeprowadzenia. Ale Wideacre? Tu żaden sekret nie ukryłby się przed przenikliwym spojrzeniem doktora MacAndrew.

Poczekaliśmy na sposobność, kiedy Celia mogła mi poświęcić trochę czasu, i poprosiłam, żeby po obiedzie przyszła do mojego gabinetu. Za pretekst posłużyła chęć porady w sprawie nowych zasłon.

Na wielkim stole z kartoteką służąca podała chińską herbatę. Kontrast między ciężkim meblem a kruchą czerwoną porcelaną wywołał uśmiech Celi.

— Cóż, to przecież kantorek — stwierdziłam na wpuł usprawiedliwiając się. — Gdybym wprowadzała wieśniaków do saloniku, połamaliby delikatne krzesła i nanieśli błota na dywan.

— Doprawdy nie wiem, jak sobie dajesz radę — rzekła Celia, patrząc na stertę ksiąg rachunkowych na biurku. — Sądzę, że trudno w ogóle dojść, skąd pieniądze wpływają i na co są wydawane! I takie to nudne!

— Zgadza się, że to niełatwa sprawa — zdobyłam się na kłamstwo. — Szczęśliwa jednak jestem, że robiąc rachunki, odciążam trochę Harry'ego. Celio, chciałam z tobą porozmawiać sam na sam, dlatego prosiłam, żebyś tu przyszła.

Aksamitnobrazowe oczy Celi natychmiast się zatroskały.

— Czy coś się stało, Beatrice?

— Nie chodzi o mnie — odrzekłam stanowczo. — Chciałabym porozmawiać o tobie. Moja droga, jesteśmy w domu od czterech miesięcy, a od prawie dwóch dzielisz z Harrym wspólną sypialnię. Zastanawiam się po prostu, czy zauważyłaś jakieś oznaki, że spodziewasz się dziecka?

Twarzyczka Celi oblała się szkarłatnym rumieńcem. Pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach.

— Nie — odezwała się bardzo cicho. — Żadnych oznak, Beatrice. Nie rozumiem tego.

— Jesteś całkiem zdrowa? — spytałam, udając zaniepokojenie.

— Tak sądziłam — odparła nieszczęsnym głosem. — Ale chyba nie jestem w stanie począć dziecka. Harry nic nie mówi, ale ja wiem, że myśli o swoim następcy. Mama radziła, żeby jeść dużo soli. Tak też zrobiłam, lecz bez rezultatu. A co gorsza, Beatrice, przecież tylko ty i ja wiemy, że to nie ja powiłam Julię. Cały rok jestem mężatką i nie poczęłam dziecka.

Zmarszczyłam czoło i spojrzałam serdecznie.

— Moja droga, może potrzebujesz porady lekarskiej? Doktora Johna MacAndrew albo jakiegoś specjalisty z Londynu?

— Skądże! — krzyknęła Celia. — Każdy lekarz z pewnością zada pytanie o pierwsze dziecko, a ja nie będę mogła odpowiedzieć, że go nie poczęłam, skoro mam Julię, a Harry wierzy, że to jego córka!

— Och, Celio! Tego się obawiałam. Cóż zatem zamierzasz?

— Nie wiem, co mogłabym zrobić — stwierdziła Celia. Sięgnęła po koronkową chusteczkę do kieszeni jedwabnej narzutki. Wytarła mokre policzki i próbowała się uśmiechnąć, lecz dolna warga drżała jej jak u dziecka.

— Modłę się i modłę — powiedziała cichutko. — Moje modlitwy nie zostały jednak wysłuchane. Zgrozą napawa mnie myśl, że z mojego powodu Wideacre przejdzie w ręce waszych kuzynów. Gdybym wiedziała, że zawiodę Harry'ego jako żona, nigdy bym go nie poślubiła. Oszczędziłabym mu rozczarowania — skończyła szlochając. Przycisnęła chusteczkę do ust. — Tak niewiele wiem o tych rzeczach, Beatrice — przyznała. — I nie mogę spytać mojej mamy. Jeden rok to niezbyt długo, prawda? Może dotychczas po prostu nie miałam szczęścia?

— Nie — odrzekłam, bezlitośnie niszcząc nadzieję Celi. — Jestem przekonana, że większość kobiet wykazuje największą płodność w pierwszym roku małżeństwa. Skoro do tej pory nie poczęłaś, uważam za nieprawdopodobne, żeby kiedykolwiek to się stało.

Przerwałam, aby dać jej chwilę na otarcie oczu. Spuściła głowę, słysząc wyrok, który na nią wydałam. Wtedy zapaliłam promyk nadziei.

— A gdybym ja znów poczęła dziecko, wyjechałybyśmy i dałabym ci niemowlę? — zastanawiałam się głośno.

Podniosła oczy pełne łez i pozwoliła sobie na bezbarwny uśmiech.

— Beatrice, ty naprawdę umiesz wszystkich zaszokować!

— Wiem — odparłam zniecierpliwiona. — Ja myślę tylko o tobie, o tobie i Harrym. Gdybym miała się zaręczyć czy też nawet wyjść za mąż, byłabym przygotowana na to, aby rozwiązać ten straszny problem. Z radością oddałabym wam moje dziecko.

— Nie — potrząsnęła zdecydowanie głową. — Nie, do tego nigdy nie dojdzie. Nie uda się. Nie można by czegoś takiego przeprowadzić.

— Chodzi tylko o szczegóły — utrzymywałam, dalej zniecierpliwiona. — Daję słowo, że da się to zrobić. Ja mogłabym to zrobić. Czyż nie sprawiłoby ci ulgi przywiezienie następnego dziecka do domu, do Wideacre, do Harry'ego? Chłopca, dziedzica?

Spojrzała z powątpiewaniem, wyczułam jednak również zaufanie i nadzieję.

— Mówisz poważnie, Beatrice?

— Jestem jak najdalej od żartów, jeśli wchodzi w grę tak dramatyczny kryzys waszego życia i małżeństwa — starałam się przejaskrawić sytuację. — Widzę twoje nieszczęście, widzę niepokój Harry'ego, widzę, że Wideacre zostanie zabrana naszej linii rodu i oddana dalekim kuzynom. Mówię całkowicie poważnie.

Celia podniosła się z krzesła i stanęła za moimi plecami. Objęła mnie za szyję i pochyliła się, aby przytulić mokry policzek do mojej twarzy.

— Jakaś ty dobra — odezwała się z emfazą. — Jaka szlachetna, kochająca, życzliwa.

— Naprawdę? — spytałam. — A więc zgadzasz się?

— Nie — stwierdziła spokojnie ze smutkiem. — Nie zrobimy tego.

Obróciłam się na krzesło, aby na nią popatrzeć. Miała smutną twarz.

— Nie mogłabym, Beatrice — odrzekła po prostu. — Zapomniałaś, że aby wprowadzić w życie ten oszukańczy projekt, musiałabym skłamać Harry'emu. Sprowadziłabym do jego domu dziecko innego mężczyzny, co oznaczałoby zdradę, podłą zdradę z mojej strony. Nie mogłabym tego zrobić, Beatrice.

— Już to zrobiłaś — stwierdziłam szorstko.

Skrzywiła się jak uderzona w policzek.

— Wiem, że źle postąpiłam — przyznała otwarcie. — Bałam się małżeństwa i zarazem troszczyłam się o ciebie, popełniłam więc straszny grzech przeciwko własnemu mężowi, którego teraz Kocham nade wszystko. Nie powinnam była tego robić i czasem przychodzi mi do głowy myśl, że za karę nie tylko muszę żyć ze świadomością grzechu, lecz także cierpieć z powodu bezpłodności. Staram się odpokutować za to, Kochając Julię jak własną córkę, i pragnę do końca życia nie oszukiwać już Harry'ego. Wiem jednak, że tego nie powinnam robić, nie poddać się tej pokusie.

Westchnęła ciężko i znów otarła policzki mokrym skrawkiem koronki.

— Jesteś taka dobra, taka szlachetna, Beatrice, proponując mi to wszystko — odezwała się z wdzięcznością. — Zawsze myślisz o mnie, nigdy zaś o sobie. Tym razem jednak twoja szlachetność nie doprowadziłaby do wielkodusznego daru, lecz do potwornego grzechu.

Próbowałam kiwnąć głową i uśmiechnąć się współczująco, lecz mięśnie twarzy odmówiły posłuszeństwa. Poczułam narastającą falę paniki i strachu oraz przypływ nudności. Przeraziła mnie ciąża, której nie mogłam się pozbyć; przeraziła dziecko, którego nie mogłam oddać po urodzeniu; przeraziła czekająca mnie hańba, kiedy będę musiała wszystko wyznać. Co zrobi mama, co zrobi Harry... Zostanę odesłana z domu w hańbie. Ulokują mnie w jakimś miasteczku targowym z fałszywą obrączką na palcu, a z Wideacre będzie mnie łączyła tylko comiesięczna pensja. Rano będę się budziła słysząc stukot furmanek i powozów. Śpiew ptaków zostanie daleko, w Wideacre. Słońce przyspieszające dojrzewanie zbiorów zajrzy przez brudne okna, lecz całkiem inaczej będę czuła jego blask. Ten sam deszcz będzie spływał po szybach mojego domku w obcym miasteczku i napełniał zbiorniki i dołki wzdłuż rzeki Fenny, ale ja już nigdy nie napiję się naszej słodkiej wody. Nie zniosłabym tego. To oznaczało mój koniec.

Spojrzałam na Celię, na jej szczupłą sylwetkę w liliowym jedwabiu i zniecierliłam jej sztywną moralność, jej milczące nieprzejednanie wobec definicji dobra i zła, jej opór wobec moich zamiarów. Była bezpłodna i zazdrościłam jej tego czystego, nie powodującego komplikacji stanu. Była mężatką. Sprzedała wolność i niezależność za kwartalne kieszonkowe. Zyskała jednak poczucie bezpieczeństwa! Nic jej nie mogło usunąć z Wideacre aż do śmierci w łożu dziedzica. A ja, Kochająca ziemię i potrzebująca ziemi, tęskniąca do ziemi, miałam umrzeć z nostalgii w jakimś wąskim łóżku, w maleńkim pokoiku i spocząć w ziemi pachnącej obco.

Musiałam pozbyć się Celi z gabinetu, bo zbierało mi się na płacz.

— O nieba! — odezwałam się żartobliwie. — Patrz, która już godzina! Julia zapłacze się bez ciebie.

Sięgnęłam po najpewniejszy sposób. Celia zerwała się na nogi i ruszyła do drzwi. Nasza mała moralistka sunęła lekko; cóż, nie nosiła w brzuchu kłopotliwego ciężaru. Jej patetyczne sumienie odcięło mi

jedyną drogę ucieczki. Pogrzyżyła mój plan. I mnie. Ukłękłam i złożyłam głowę na wielkim krześle, które zawsze zajmował dziedzic Wideacre. Ukryłam twarz w dłoniach przyciśniętych do orzechowego drewna. Wstrząsnął mną szloch. Byłam całkiem sama. W rozpaczy.

Z oddali usłyszałam odgłos podków na podjeździe i podniosłam głowę. Nagle ze zgrozą spostrzegłam, że w oknie pojawił się piękny srebrzysty arab. John MacAndrew z wysokości końskiego grzbietu ujrzał mnie na kolanach, w pogniecionej sukni, z czerwonymi oczami i dłońmi obejmującymi głowę. Natychmiast wesoły uśmiech zniknął mu z twarzy. Wyprowadził Sea Ferna na dziedziniec stajni. Słyszałam, jak przywoływał chłopca stajennego. Potem otworzył boczne drzwi do skrzydła zachodniego, te, którymi robotnicy rolni przychodzili po zapłatę. Bez pukania wszedł do pokoju. Znalazłam się w jego ramionach.

Powinnam była go odepchnąć, powinnam iść do swojej sypialni. Powinnam odwrócić twarz do okna i chłodnym tonem oznajmić, że cierpię na ból głowy, chandrę czy cokolwiek. Zamiast tego chwyciłam go rozpaczliwym gestem za kłapy i zaczęłam płakać, wtuliwszy głowę w przyjazne silne ramię.

— Och, John — odezwałam się nieszczęśliwym głosem. — Tak się cieszę, że tu jesteś.

Mądry czuły kochanek nie powiedział ani słowa poza kojącym:

— Już dobrze, kochanie.

Nikt nie gładził mnie po plecach, kiedy szlochałam, odkąd odrzuciłam czułości mamy w wieku sześciu czy siedmiu lat, więc tkliwość Johna rozbroiła mnie. Wreszcie szloch ustał. John usiadł na wielkim krześle milcząc i wziął mnie jak potulne dziecko na kolana. Jedną ręką objął mnie w pasie, a drugą uniosł podbródek, przyglądając się badawczo.

— Pokłóciłaś się z Harrym? Z mamą? — spytał.

— Nie mogę ci niczego wyjaśnić — nie umiałam zdobyć się na kłamstwo. — Nie pytaj. Po prostu zdałam sobie sprawę, nieważne dlaczego, że jest dokładnie tak, jak twierdzisz: nie mam swojego domu. A odejścia stąd nie zniosę.

— Rozumiem twoje przywiązanie do Wideacre — odparł, cały czas obserwując moją wilgotną twarz. — Rozumiem i jakkolwiek nie potrafię sobie wyobrazić podobnego związku z ziemią, szczerze współczuję.

Zanurzyłam twarz w ciepłą miękkość wełnianej kurtki. Pachniał cygarami i świeżym jesiennym powietrzem, a także ostrą wonią mydła do golenia. W miarę jak łyzy wysychały mi na policzkach, stawałam się świadoma obecności mężczyzny i naszego niespodziewanego uścisku. Przybliżyłam twarz do jego szyi i dotknęłam jej trochę nieśmiało ustami.

— Wyjdź za mnie, Beatrice — poprosił cicho, czując dotyk moich warg na skórze. Obrócił twarz i przyjął pocałunek na swoje usta. — Kocham cię, a ty wiesz, że też mnie kochasz. Powiedz, że się pobierzemy, a ja znajdę jakiś sposób, aby zapewnić ci bezpieczeństwo tutaj na tej ziemi, tak przez ciebie kochanej.

Pocałował mnie delikatnie w smutne usta, a kiedy kąciki warg uniosły się w uśmiechu, pocałował jeszcze raz, mocniej. Objęłam go za szyję, przyciągnęłam do siebie, a on wycalał każdy cal mojej twarzy: słodko pachnące włosy, mokre powieki, zapłonione policzki, uszy i znów usta, a ja smakowałam z rozkoszą jego wargi.

Jego usta na twarzy, na włosach, na uszach. Zupełnie nie wiedziałam, co robię i czego chcę. Nie należałam do dziewcząt niedoświadczonych w tej materii, lecz ten uczony człowiek o spokojnym



nieprzeniknionym spojrzeniu sprawił, że zsunęłam się mu z kolan na podłogę przed kominkiem bez zastanowienia. Jego dłonie znalazły się zaraz pod suknią, dotykały piersi; krzyknęłam, gdy przycisnął mnie całym swym ciężarem. Zręczne ręce doktora uniosły spódnicę i halki, zanim zdążyłam zaprotestować, chociaż Bóg mi świadkiem, ani mi w głowie był protest.

Drzwi nie były zamknięte na klucz, zasłony nie zaciągnięte. W każdej chwili ktoś mógł przejechać pod oknem i zajrzeć do wnętrza; służący mógł wnieść świece. Nie myślałam o tym. Nie mogłam. Chciałam się tylko śmiać z zasługującego na naganę zachowania Johna MacAndrew, a z serca rwał się tęskny krzyk: „Zapomnij o wszystkich moich odmowach. Nie mówmy już nic. Kochaj mnie, kochaj, kochaj”.

I wtedy uświadomiłam sobie, że leżę pod nim na podłodze, że obejmuję go, oczy mam zamknięte, a usta uśmiechnięte i że szepczę: „Kochaj mnie”. A on posłuchał.

Kiedy wyrwał mi się z gardła okrzyk rozkoszy — głośny i wyraźny, nie pozostawiający wątpliwości — powiedział cicho, lecz z wielką ulgą: „O tak, tak, tak”.

A potem długo leżeliśmy razem w bezruchu.

W kominku poruszyły się płonące polana. Powoli wychodziłam z transu; chciałam wstać. Pomógł mi się podnieść i poprawił moje halki i spódnicę tak kurtuazyjnym gestem, jak gdybyśmy znajdowali się w sali balowej. Jemu też wydało się to niestosowne, bo uśmiechnął się lekko. A potem usiadł na wielkim krześle i znów przyciągnął mnie do siebie. Przytulił twarz do mego policzka, a ja uśmiechnęłam się z sekretną rozkoszą, niemal wybuchnęłam śmiechem ze szczęścia.

Porozumieliśmy się oczami niczym spiskowcy.

— Beatrice, mała ladacznico, po tym wszystkim powinnaś się zaręczyć! — huknął na mnie.

— Chyba już jestem zaręczona — odparłam.

Siedzieliśmy w kantorku, a nad zachodnimi polami zaszło słońce i nisko nad horyzontem pojawiła się zorza wieczorna. Ogień dopalał się powoli, lecz nie dbaliśmy o dorzucanie drewna. Całowaliśmy się lekko, delikatnie, a potem gwałtownie, namiętnie. Mówiliśmy niewiele lub wcale. O polowaniu, o nieudolności Harry'ego jako gospodarza. John nie pytał, dlaczego płakałam. Nie snuliśmy żadnych planów. Spozrzegłam, że w saloniku mamy zapalono świece, a pokojówka zaciąga zasłony.

— Myślałam, że będzie bolało — odezwałam się leniwie, stwarzając pozory, że chronię swą reputację dziewicy.

— Po tylu latach spędzonych w siodle? — zapytał z uśmiechem. — Dziwię się, że w ogóle coś zauważyłaś.

Zachichotałam nieprzyzwoicie, lecz nie chciało mi się udawać czegokolwiek i kogokolwiek.

— Muszę iść — stwierdziłam bynajmniej nie przerażona. Ociągając się jak kotka, wstałam z jego kolan. — Zaczną się zastanawiać, gdzie jestem.

— Może pójde z tobą i powiemy im o zaręczynach? — zaproponował.

Pomógł mi wygładzić na plecach jedwab sukni.

— Nie dzisiaj — poprosiłam. — Dziś jeszcze zachowajmy to dla siebie. Przyjdź jutro na obiad i wtedy ich powiadomimy.

Skinął głową z żartobliwym posłuszeństwem i pocałował mnie delikatnie na pożegnanie, wyszedł bocznymi drzwiami. Jego wizyta przeszła niezauważona przez mamę, Harry'ego i Celię, wiedziałam jednak, że służba i chłopcy stajenni spostrzegli, kiedy John wchodził i wychodził oraz jak długo byliśmy razem. To dlatego nie przyniesiono nam świec o zmroku. Ukryli nasze zaloty; przecież tak właśnie, tylko przy blasku ognia, kochają się wiejskie dziewczyny ze swymi chłopcami. Jak zwykle prości ludzie z Wideacre wiedzieli więcej niż Harry i mama.

Nazajutrz, kiedy John przyszedł przed obiadem zabrać mnie na przejażdżkę, Harry, mama i Celia nie zwrócili na to specjalnie uwagi, ale wszyscy służący uśmiechali się i wyglądali przez okna albo celowo krzatali się w hallu. Stride ceremonialnie obwieścił, że John czeka w swym powozie na podjeździe. Kiedy podawał mi rękę przy wsiadaniu, czułam się jak panna prowadzona do ołtarza. I nie przejęłam się tym wcale.

— Ufam, że dziś mnie nie porwiesz — odezwałam się i rozwinęłam żółtą parasolkę nad głowę. Tego dnia założyłam żółty czepeczek i żółtą wełnianą suknię.

— Nie, dziś zadowolę się widokiem morza ze skraju waszych nizin — odparł lekko. — Sądysz, że uda nam się przejechać powozem tą wąską ścieżką?

— Ciasno będzie — orzekłam, mierząc wzrokiem zaprzęg i parę gniadoszy. — Jeśli jednak zdołasz poprowadzić konie całkiem prosto, może się uda.

Zachichotał.

— Kiepski ze mnie woźnica, wiem, całkiem do niczego. Ale przecież ty możesz wziąć cugle w ręce, żeby mnie pilnować.

Wybuchnęłam śmiechem. W Johnie MacAndrew podobała mi się najbardziej jego odporność na moje lekceważące zachowanie. Nigdy nie dał się na nie nabrać, nigdy nie dał się sprowokować moimi atakami, nigdy nie okazał, że uważa je za wyzwanie pod swoim adresem. Traktował to jako część naszej gry. Przyznawał się do niewiedzy czy nieumiejętności bez zajknięcia, a wszystko kończyło się na śmiechu.

— Przepraszam bardzo — odparłam rozbawiona. — Chciałam tylko powiedzieć, że potrafiłbyś zapewne przejechać powozem po schodach, nie płosząc koni ani nie zdrapując politory z poręczy.

— Rzeczywiście mógłbym — przyznał skromnie. — Nigdy jednak bym się na to nie zdobył, Beatrice. Nigdy bym się przed tobą nie popisywał. Wiem, że sprawiłoby ci to przykrość, bo wstydzisz się, że masz dwie lewe ręce do powożenia.

Roześmiałam się serdecznie. Spojrzałam prosto w niepokojąco jasne oczy Johna. Kiedy się tak ze mną droczył, oczy miał równie jasne jak przy pocałunkach. Doprowadził zaprzęg do płotu obok ścieżki prowadzącej przez nizinę. Zeskoczył z kozła i przywiązał lejce.

— Jakoś tu wytrzymają — stwierdził, zostawiając konie czystej krwi, warte setki gwinei. Podał mi ramię, abym zsiadła. Pomógł mi przejść przez ogrodzenie i trzymał dalej moją dłoń, kiedy szliśmy na skraj nizin. Wymarzone miejsce na zaloty. Byłabym jednak szczęśliwsza, gdybyśmy nie znaleźli się tak blisko kryjówki, gdzie leżeliśmy z Ralphem w paprociach, czy dolinki, w której uderzyłam Harry'ego w twarz i dosiadłam jego ciała, doprowadzając je do rozkoszy.

— Beatrice — przemówił do mnie John.

Odwróciłam twarz.

— Beatrice... — powtórzył.

Ralph miał rację. Są ludzie, którzy kochają, i ludzie, którzy są kochani. John MacAndrew chciał dawać miłość. Inteligencja i mądrość ustrzegły go przed miłością do mnie za wszelką cenę. Ja miałam rzec tylko jedno słowo: „Tak”.

— Tak — powiedziałam.

— Kilka tygodni temu napisałem do mego ojca, aby zapoznać go z moimi uczuciami. Odnosił się do całej sprawy przychylnie, rzekłbym nawet, że wielkodusznie. Przekazał mi w całości moje udziały w MacAndrew Line, abym dysponował nimi wedle uznania — uśmiechnął się. — To prawdziwa fortuna, Beatrice. Wystarczyłoby, żeby kupić Wideacre, a jeszcze zostanie.

— Wideacre jest objęta majoratem i Harry nie może jej sprzedać — natychmiast zwiększyłam zainteresowanie.

— Ech, ty tylko o tym myślisz, prawda? — odezwał się John ponuro. — Chciałem ci tylko powiedzieć, że mój majątek wystarczy, aby kupić lub wydzierżawić jakąś posiadłość w pobliżu, jeśli tego zapragniesz. Oznajmiłem ojcu, że nigdy nie wrócę do Szkocji, że poślubię pewną Angielkę. Dumną, nieprzystępną upartą Angielkę. I będę ją kochał, jeśli mi pozwoli, po kres moich dni.

Obróciłam do niego uśmiechniętą zakochaną twarz. Oczy rozbłysły czułością. Po tym co przeżyłam z Ralphem, nie oczekiwałam już nigdy miłości. Sądziłam kiedyś, że moja namiętność wobec Harry'ego jest wieczna. A teraz nawet nie pamiętałam koloru jego oczu... Zapatrzyłam się w niebieskie, szczere, pełne miłości oczy Johna, w jego czuły uśmiech i poza tym nie widziałam już nic.

— Będę tu mieszkać? — spytałam, aby potwierdzić własne szczęście.

— Będziesz tu mieszkać — obiecał. — A kiedy nadejdą bardzo ciężkie chwile, kupię dla ciebie choćby chlewy Wideacre, abyśmy nie opuścili tej świętej ziemi. Czy to cię zadowoli? — Niecierpliwie, z miłością chwycił mnie w ramiona i mocno przytulił.

Ogarnęło mnie znajome uczucie zmysłowego zapomnienia. Czując bliskość mężczyzny i wzbierającą namiętność, uklękłam. Kiedy oderwaliśmy się od siebie, dyszeliśmy.

— A więc jesteśmy oficjalnie zaręczeni? — żądał lapidarnego potwierdzenia. — Wyjdiesz za mnie i zamieszkamy tutaj, tak oznajmimy przy obiedzie?

— Tak — odparłam z powagą, jak przystało na narzeczoną.

Pomyślałam o dziecku rosnącym pod moim sercem i o rozpalającym mnie pożądaniu. I o zadowoleniu na wieść o majątku rodziny MacAndrew; tyle dobrego mogłabym dzięki niemu zdziałać dla Wideacre.

— Tak — powtórzyłam.

Wzięliśmy się mocno za ręce i wróciliśmy do powozu. Konie czekały spokojnie, skubiąc ciemne liście jesiennego głogu w żywopłocie. Kos śpiewał smutną pieśń gdzieś w lesie.

John musiał cofnąć powóz wąskim traktem aż do bramy; dopiero tam mógł zawrócić. Potem uważnie prowadził konie ścieżką do podjazdu i dalej już swobodnie do domu.

Liście bukowe spadały nam na głowy niczym ryż po ceremonii ślubnej. Jechaliśmy wolno — nie było do czego się spieszyć. Miedziane buki przybrały jesiennie fioletowoczarne barwy. Liście na innych drzewach, przedtem cudownie zielone, stały się żółte lub pomarańczowe i na tle zapadającego zmroku wydawały się

niewiarygodnie jaskrawe. Moje ulubione drzewa (jedne z ulubionych), srebrzyste brzozy, przypominały teraz żółciutkie jaskry, ich korony pobłyskiwały jak złoto, odcinając się od białych pni. Żywopłoty wprost płonęły czerwienią owoców dzikiej róży, a tam gdzie przedtem rosły kremowe kwiaty czarnego bzu, błyszcząły ciemne jagody.

— Piękna kraina — stwierdził John, wodząc wzrokiem w ślad za moim spojrzeniem. Podziwiałam tak dobrze znane, wciąż zmieniające się drzewa i żywopłoty, i ziemię. — Rozumiem, dlaczego tak ją kochasz.

— Ty też ją kiedyś pokochasz — odezwałam się z przekonaniem. — Kiedy trochę tu pomieszkasz, kiedy spędzisz tu część swego życia, zaczniesz troszczyć się o tę ziemię tak jak ja albo prawie tak jak ja.

— Nikt nigdy nie dorówna tobie w miłości do Wideacre, to wiem na pewno — droczył się. — Nawet Harry.

— Tak — odrzekłam. — Myślę, że tylko papa dbał o ziemię tak jak ja, ale nawet on wyjeżdżał bez żalu na polowania czy do miasta na zimę. Ja zaś byłabym szczęśliwa, gdybym przez całe życie już stąd nie wyjeżdżała.

— Może pozwolimy sobie chociaż na jeden dzień nieobecności rocznie? — roześmiał się John. — A w latach przestępnych moglibyśmy się wybierać nawet do Chichester!

— Na dziesiątą rocznicę ślubu pozwolę ci pojechać do Petworth! — nie byłam gorsza.

— A zatem uzgodniliśmy — uśmiechnął się. — Jestem bardzo zadowolony z naszej umowy.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi. Zatoczyliśmy łuk po podejździe i zatrzymaliśmy się przy schodach. W oknie salonu wystawiono świece, aby oświetlały nam drogę do domu.

Kiedy podano owoce i ser, a służący wyszli z jadalni, John ogłosił nasze zaręczyny, co przyjęto bez zaskoczenia, za to z ogromną radością. Czują twarz mamy zalała się łzami. Wyciągnęła ręce do Johna i odezwała się z uśmiechem:

— Mój najdroższy chłopcze, mój najdroższy chłopcze!

Ujął jej dłonie i ucałował, a potem przytulił i cmoknął w oba policzki.

— Mamo! — zatyłował ją śmiało, czym zasłużył sobie na trzepnięcie wachlarzem.

— Zuchwalec — określiła go tklawie, a potem rozpostarła ramiona w moim kierunku i chyba po raz pierwszy w życiu przytuliłam się do niej szczerze, serdecznie.

— Czy jesteś szczęśliwa, Beatrice? — spytała w zamieszaniu wywołanym przez Harry'ego, który potrząsał dzwonkiem, kazał przynieść szampana i poklepywał Johna po plecach.

— Tak, mam — odparłam zgodnie z prawdą. — Naprawdę jestem szczęśliwa.

— Wreszcie znalazłaś spokojną przystań? — przyglądała mi się badawczo, starając się zrozumieć łamigłówkę, jaką dla niej byłam.

— Tak, mam — odparłam. — Czuję, że wreszcie nadeszło to, czego tak długo oczekiwałam.

Kiwnęła na to głową zadowolona. W mrokach podświadomości kryła klucz do wszystkich zagadek. Bijący ode mnie zapach mleka, kiedy wróciłam z Celią i dzieckiem z Francji, koszmary po śmierci ojca, zniknięcie towarzysza mych dziecięcych zabaw, pomocnika gajowego... Nigdy nie odważyła się chwycić za nić i iść przez gąszcz zdarzeń do potwornej prawdy. Teraz gąszcz i cała przerażająca reszta zniknęły przyćmione radosnym finałem.

— To dobry człowiek — stwierdziła, patrząc na Johna, który jedną ręką żartobliwie objął kibić Celi i śmiał się z Harrym.

— Ja też tak sądzę — podażyłam za jej spojrzeniem.

John świadom, że na niego patrzą, puścił Celię i wesoło z emfazą wyjaśnił:

— Muszę pamiętać, że jestem zaręczony! Celio, wybacz. Zupełnie zapomniałem o swojej sytuacji!

— A kiedy będziesz żonaty? — spytała łagodnie Celia. — Beatrice, czy planujecie długi okres narzeczeństwa?

— Raczej nie — odrzekłam bez zastanowienia. Potem przerwałam i spojrzałam na Johna. — Nie omawialiśmy tego jeszcze, lecz ja na pewno wolałabym ślub przed świętami Bożego Narodzenia i jeszcze przed koceniem się owiec.

— No cóż, skoro owce mają decydować o moim pożyciu małżeńskim, to chyba muszę się do nich dostosować — żartobliwie zauważył John.

— Dacie na zapowiedzi, a na waszym weselu będzie się bawiła cała Wideacre — rozmarzyła się mama, snując wizję sukni, świadków, przyjęcia i święta w całej posiadłości.

— Nie — stwierdziłam twardo, pewnym siebie wzrokiem mierząc Johna. — Nie, to powinno się odbyć skromnie i bez rozgłosu. Nie zniosłabym całej tej pompy. Szybko, skromnie, bez rozgłosu.

John kiwnął głową, milcząco zgadzając się z moim zdaniem.

— Oczywiście wszystko odbędzie się zgodnie z waszym życzeniem — dyplomatycznie załagodziła Celia, patrząc to na mamę, to na mnie. — Ale może chociaż małe przyjęcie, Beatrice? Dla najbliższej rodziny, twojej i Johna, i przyjaciół?

— Nie — byłam nieugięta. — Wiem, że moda się zmienia, ja jednak pozostaję wierna tradycji. Chciałabym obudzić się rano, założyć piękną suknię, pojechać do kościoła, poślubić Johna, wrócić do domu na śniadanie, a po południu wyjść sprawdzać zagrody. Nie chcę całej tej nowomodnej wrzawy wokół najzupełniej prywatnych spraw.

— Ja także — poparł mnie John, dokładnie w chwili kiedy tego potrzebowałam.

— Mają rację — Harry jak zwykle zachował się lojalnie. — Mamo, Celio, nic już nie mówcie. Beatrice znana jest ze swego przywiązania do tradycji i nowoczesny ślub oznaczałby dla niej bluźnierstwo. Niech już będzie tak, jak mówi Beatrice: skromnie, intymnie, a na Boże Narodzenie możemy urządzić mały poczęstunek, świętując obie okazje.

— No cóż, dobrze — ustąpiła mama. — Będzie, jak sobie życzycie. Wolałabym urządzić przyjęcie, lecz według Harry'ego ważniejszy jest uroczysty poczęstunek dla Wideacre.

Za ten kompromis nagrodziłam ją uśmiechem. A przyszły zięć ucałował z kurtuazją jej dłonie.

— Następna sprawa — podjęła Celia bardziej interesującą kwestię. — Musimy przystosować dla was skrzydło zachodnie. Jak chcielibyście je urządzić?

Poddałam się.

— Wszystko jedno — podniosłam ramiona w geście rezygnacji. — Ty i mama wiecie, jak będzie najlepiej. Proszę tylko o jedno: żadnych smoków i pagód.



— To paskudztwo — orzekła Celia. — Styl chiński wyszedł już z mody. Dla ciebie, Beatrice, urządzą turecki pałac!

I tak żartując, John i ja ustaliliśmy szczegóły skromnego ślubu i przeprowadzki pana młodego. Miała na niego czekać obszerna wygodna sypialnia przylegająca do mojej, garderoba z wejściem przez sypialnię, gabinet na dole wychodzący na ogród kuchenny (miejsce na książki i lekarstwa), oraz dodatkowy boks w stajni dla cennego Sea Ferna.

Postanowiliśmy odbyć kilkudniową podróż poślubną. John miał ciotkę w Pagham, która udostępniła nam swój dom. Pojechaliśmy tam po południu. Powitał nas elegancki dworek z otwartymi na oścież drzwiami.

— Ziemia uprawna nie należy do dworku — wyjaśnił John, widząc, że wyglądam uważnie przez okno salonu. — Ciotka ma tylko ogród, nie zastosowałabyś tu zatem nowych metod gospodarowania.

— O, to Harry lubi nowinki rolnicze — stwierdziłam, wracając bez żalu do stołu. John sęczył portwajn, a ja pogryzałam kandyzowane owoce. — Myślałam tylko, że jeśli pola miałyby układ podłużny, pasmowy, a nie tak jak przyjęto układ szachownicy, łatwiej byłoby je orać.

— Czy to sprawiłoby jakąś różnicę? — spytał John, mieszczuch, a więc laik w tych sprawach.

— Na Boga, oczywiście! Zaoszczędziłoby się mnóstwo czasu. Najcięższy, najbardziej czasochłonny etap orki to zawracanie koni. Gdyby to ode mnie zależało, uprawialibyśmy pola o kształcie pasów. Konie szłyby i szły bez zatrzymywania prosto przed siebie.

John wybuchnął śmiechem na widok mojej rozmarzonej twarzy.

— Aż do Londynu, jak sądzę — odezwał się.

— Och, nie — zaprzeczyłam. — To podobne do Harry'ego. To on chce więcej ziemi. Ja chcę tylko, żeby Wideacre była odpowiednio ogrodzona i dawała godziwe plony. Przyjemnie jest posiadać dużo ziemi, ale wtedy trzeba poznawać nowych ludzi, nowe pola. Harry chętnie kupowałby ziemię na metry, jak samodiał. Ja myślę inaczej.

— Jak? — nalegał. — Czy według ciebie ta ziemia różni się od innej?

Obracałam kielich z winem zapatrzona w ciemną zawartość.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć — odpowiedziałam powoli. — Jest w tym jakaś magia. Każdy ma swoje sekretne miejsce, do którego czuje się przypisany. Każdy ma swój horyzont, granicę swego świata. Może nie zdaje sobie z tego sprawy, lecz jeśli w końcu to zrozumie, wydaje mu się, że czekał całe życie na moment olśnienia, kiedy może powiedzieć: „Nareszcie wiem, kim jestem”. A ja jestem sobą w Wideacre — stwierdziłam ze świadomością, że ujawniłam tylko część swoich uczuć. — Zrozumiałam to wiele lat temu w dniu, kiedy papa posadził mnie na swego konia i pokazał naszą posiadłość. Zrozumiałam, że tu jest mój dom. Harry mógłby mieszkać gdziekolwiek, a ja tylko w Wideacre. To jedyne miejsce na ziemi, gdzie przykładając głowę do ziemi, słyszę, jak bije jej magiczne serce.

Zamilkłam. I tak powiedziałam więcej, niż zamierzałam. Nagle poczułam się głupio, zupełnie jak obnażona. Wciąż ze spuszczonego wzrokiem obracałam palcami kieliszek. Znieruchomiałam, gdy John położył bladą dłoń na mojej ręce.

— Nigdy cię nie zabiorę z Wideacre, Beatrice — odezwał się czule. — Naprawdę rozumiem, czym jest dla ciebie życie na tej ziemi. Myślę, że uważasz za swoją wielką tragedię fakt, iż nie urodziłaś się chłopcem,

dziedzicem. Widzę, jakże niezastąpioną osobą jesteś w gospodarstwie. Słyszę zewsząd, jak sobie świetnie dajesz radę, jak potrafisz przystosować teorie Harry'ego do praktyki, jak zamiast czerzej litości umiesz ofiarować prawdziwą pomoc, jak zachęcasz własnym zaangażowaniem do pracy. I zarazem ci współczuję. — Podniosłam gwałtownie głowę. Uspokoił mnie swym łagodnym uśmiechem. — Ponieważ nigdy nie zostaniesz właścicielką Wideacre. Nie stanę na twojej drodze do ziemi, ale równocześnie nie mogę i nikt tego nie może sprawić, abyś przejęła Wideacre w swoje wyłączne władanie.

Kiwnęłam głową. Zrozumiał, co oznacza dla mnie Wideacre, i zgodził się, abyśmy zamieszkali w zachodnim skrzydle. Zrozumiał istotę mej obsesji i dlatego nie zraził się pierwszym odrzuceniem oświadczyn. Był pewien, że możemy zostać kochankami i małżonkami i że będziemy szczęśliwi.

Nigdy nie przespałam nocy z mężczyzną, nie obawiając się o poranek, nie bojąc się przebudzenia. Cieszyłam się, że teraz nie mam się czego lękać. Cieszyłam się też, że łączy nas pożądanie, że podczas tej cudownej nocy wina, rozmów i wesołości zespalaliśmy się w miłosnym uścisku wiele, wiele razy.

— Ach, Beatrice — John MacAndrew z żartobliwą brutalnością przygarnął mnie do siebie. — Tak długo na ciebie czekałem.

A potem zasnęliśmy.

Rankiem przy świeżych bułeczkach i mocnej kawie oznajmił:

— Beatrice, chyba podoba mi się małżeństwo z tobą.

Uśmiechnęłam się spontanicznie, serdecznie jak on, a na moją twarz wypełził rumieniec zadowolenia.

Pierwsze dni i miesiące naszego małżeńskiego pożycia przebiegały spokojnie. Zachwycaliśmy się sobą i czuliśmy wzajemne pożądanie. John miał przede mną kochanki (i ja też na Boga, miałam przecież kochanków), razem jednak przeżywaliśmy coś szczególnego; mieszanina czułości i zmysłowości czyniła nasze noce słodkimi. Dni też były ciekawe. John żartował i śmiał się przez cały czas: ze mnie i ze mną. Rozśmieszał mnie w najmniej odpowiednich momentach, na przykład kiedy stary Tyacke przyszedł na skargę albo kiedy Harry przedstawiał mi swój najnowszy postrzelony pomysł. John krył się za plecami białołącego Tyacke'a i składał burleskowy, przesadnie unижony ukłon, a gdy Harry wyłuszczał mi plan budowania wielkich szklarni, aby hodować ananasy na rynek londyński, John z powagą potakiwał.

I tak nastaly mroźne dni. Wydawało się, że jesteśmy szczęśliwym małżeństwem od lat, a przyszłość przed nami to spokojna łatwa droga.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Dzierżawcy z niecierpliwością czekali na doroczne przyjęcie. Najzamożniejsi właściciele ziemscy w hrabstwie pozwalali swoim dzierżawcom i pracownikom patrzeć, jak szlachta bawi się i tańczy. W Wideacre jednak kontynuuje się tradycję farm dworów. Na dziedzińcu stajennym ustawiamy wielki stół na krzyżakach i ławki, budujemy ogromne palenisko i pieczemy całego wołu. Gdy wszyscy się już najedzą i napiją warzonego w Wideacre piwa, odsuwamy stoły, zrzucamy zimowe palta i tańczymy w bladym grudniowym słońcu.

Pierwsze od czasu śmierci papy przyjęcie odbywało się w pogodny, bezchmurny zimowy dzień. Przetanńczyliśmy całe popołudnie, czując ciepłe promienie słońca na policzkach. Jako świeżej mężatce, mnie przypadło prowadzenie korowodu. Uśmiechnęłam się przepaszająco do Johna i stanęłam w parze z Harrym. Za nami stanęli inni. Za nami stanęła tradycja, którą w tej chwili zapoczątkowałam: dziedzic i jego piękna siostra

prowadzą świąteczny taniec. Drugą parę tworzyli Celia (wyglądała zachwycająco we wspaniałej błękitnej akksamitnej sukni obszytej u dołu białym łabędzim puchem) i mój kochany John prawiający komplementy Celii i uśmiechający się ukradkiem do mnie, tylko do mnie.

Zabrzmiała muzyka. Nic szczególnego, skrzypce i wiolonczela, lecz w takt skocznej melodyjki zawirowały moje purpurowe spódnice. Obrót w prawo, obrót w lewo, klaśnięcie w dłonie Harry'ego i przejście przez szpaler, a potem ułożenie z naszych ramion luku, pod którym przemknęły kolejno pozostałe pary. Potem szpaler oklaskiwał Celię i Johna.

— Jesteś szczęśliwa, Beatrice? Wygląda na to, że tak — odezwał się głośno Harry, widząc moją uśmiechniętą twarz.

— Tak, Harry, jestem szczęśliwa — odparłam z zapałem. — W Wideacre dobrze się dzieje, a my oboje zawariliśmy szczęśliwe małżeństwa. Mama się cieszy. Czegoż tu jeszcze chcieć?

Harry rozpromienił się na coraz okrągłejszej twarzy (skutek jadłospisu układanego przez Celię) i wydał się jeszcze bardziej zadowolony z siebie.

— Świetnie — stwierdził. — Wszystko nam się tak dobrze ułożyło.

Uśmiechnęłam się bez słowa. Wiedziałam, że nawiązał do mojego niegdysiejszego sprzeciwu wobec projektu małżeństwa z Johnem. Harry w ogóle nie rozumiał, dlaczego kategorię sprzeciwu zmienił się w radosną zgodę. Wiedziałam też, że myśli o mojej obietnicy (i groźbie zarazem) mówiącej, że pozostanę u jego boku w Wideacre na zawsze. Harry cierpiał z przerażenia i równocześnie z rozkoszy, wyczekując chwil spędzanych sam na sam ze mną w zamkniętym na klucz pokoju na strychu. Uwielbiał Celię i czuł się szczęśliwy, a jednak tęsknił do tajemnej perwersyjnej rozkoszy w zakamarku domu, w świetle świec, z dala od oficjalnego życia rodzinnego. Odkąd wyszłam za mąż, spotkaliśmy się w naszym ustroniu może trzy, cztery razy. John ze zrozumieniem przyjmował zapowiedź, że będę pracować do późna, sam przecież przyjmował pacjentów w nocy, jeśli odbierał poród z powikłaniami lub zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Wykorzystywałam te okazje i kiedy John asystował przy narodzinach i zgonach, ja przywiązywałam mojego brata do ściany i maltretowałam go na wszelkie sposoby.

— Tak, rzeczywiście dobrze — zgodziłam się.

I znów nasza kolej. Cały czas rozmawiając, chwyciliśmy się za ręce i ruszyliśmy na czoło korowodu. Muzycy zagrali akord kończący ten taniec. Harry zakręcił mną, aż purpurowe spódnice z brokatu zafurkotały jaskrawą plamą. Niestety zakręciło mi się w głowie. Skończyło się uniesienie, a zaczęły mdłości. Z twarzą białą jak kreda, zataczając się, odeszłam na bok.

W mgnieniu oka zjawił się przy mnie John, a zaraz za nim chętna do pomocy Celia.

— To nic takiego — wysapałam. — Wypiję tylko szklankę wody.

John skinął na lokaja. Lodowata woda w zielonym kielichu zmyła smak podchodzącej do gardła żółci. Ochłodziłam czoło, przykładając doń zimne szkło. Zdobyłam się na łobuzerski uśmiech.

— Kolejna cudowna kuracja znakomitego młodego doktora — stwierdziłam.

— Cóż, muszę teraz leczyć chorobę, której stałem się przyczyną — odezwał się serdecznie cichym głosem. — Wystarczy tych tańców na dziś. Usiądźmy w jadalni. Możesz sobie popatrzeć, ale nie wolno ci więcej tańczyć.

Kiwnęłam głową i wzięłam go pod ramię. Poszliśmy do domu. Celia i Harry mieli poprowadzić następny taniec. John milczał. Usiedliśmy przy oknie wychodzącym na podwórze. Podano dzbanek mocnej kawy.

— No cóż, moje maleństwo — zaczął John, podając mi filiżankę kawy bez mleka, obficie posłodzonej melasą, słowem takiej, jaką lubiłam. — Kiedy łaskawie raczysz zdradzić mężowi dobrą nowinę?

— Co masz na myśli? — spytałam z żartobliwą naiwnością.

— Udawanie nic nie da, Beatrice — oznajmił. — Zapomniałaś, że masz do czynienia ze świetnym diagnostą. Widzę, jak co rano wymawiasz się od śniadania, jak nabrzmiewają i twardnieją ci piersi. Nie sądzisz, że już czas, abyś powiedziała mi to, co twoje ciało mówi bez słów?

Wzruszyłam beztrzesko ramionami, lecz rozpromieniłam się pochylona nad filiżanką.

— Jesteś ekspertem, a więc wyjaśnij, o co chodzi.

— Dobrze — odparł. — Chyba dobrze zrobiliśmy, tak szybko się pobierając! Przewiduję syna. Sądzę, że przyjdzie na świat pod koniec czerwca.

Spuściłam wzrok, aby ukryć ulgę. A więc nie wątpił, że poczęłam dziecko podczas owego przedmałżeńskiego popołudnia. Nie miał pojęcia, że dziecko powinno urodzić się w maju. Wreszcie: podniosłam wzrok z uśmiechem. To nie był Ralph. Ani dziedzic Wideacre. Ale ktoś bardzo, bardzo mi drogi.

— Jesteś szczęśliwy? — spytałam.

Wstał z krzesła i ukląkł przy mnie. Objął mnie w talii. Zanurzył twarz w pachnące zagłębienie mojej szyi, w ciepło pełnych piersi mocno ściśniętych stanikiem.

— Bardzo szczęśliwy. Nowy mały MacAndrew dla rodu MacAndrew.

— I chłopiec dla Wideacre — poprawiłam delikatnie.

— Spadkobierca pieniędzy i ziemi — podsumował John. — Pomyślne połączenie. Tak jak piękno i mądrość. Cóż za okaz się zapowiada!

— Ale chyba o miesiąc za wcześnie, niżby wynikało z przyjętych obyczajów! — zauważyłam lekko.

— Ja tam mam zaufanie do natury — nie przejmował się John. — Raz się kupuje cielną krowę!

Bałam się, że się zdradzę jakimś słowem, lecz nawet cień podejrzenia nie przemknął przez umysł Johna, nigdy. Kiedy odkrył, jak mocno wiązę stanik, nalegał, abym w ogóle przestała go nosić, i żartował z moich powiększonych kształtów. Nie przypuszczał, że zaszłam w ciążę pięć tygodni przed zmysłową chwilą przy kominku. Przez całą mroźną zimę, kiedy moje nabrzmiewające zaokrąglające się ciało wprost płonęło w nocy, John cieszył się razem ze mną i wcale chętnie korzystał z wdzięków przyszłej matki.

Nikt nie zadawał mi pytań. Nawet Celia. Oznajmiłam, że dziecko urodzi się w czerwcu i umówiliśmy zawczasu mamkę. Gdy zazieleniła się wreszcie wiosna, bacznie kryłam przed otoczeniem narastające zmęczenie i udawałam, że przeżywam właśnie kwitnące miesiące środkowego trymestru ciąży. W parę tygodni po pierwszych poruszeniach dziecka w moim łonie poklepałam się po brzuchu, szepcząc z przerażeniem: „John, on się poruszył”.

W całym tym oszustwie pomagała mi niewiedza Johna. Kształcił się na najlepszym uniwersytecie w kraju, lecz żadna z kobiet naszej sfery nie pozwoliłaby mu się zbliżyć do siebie, gdy nadszedł jej czas. Ciężarne, które wołały akuszerkę mężczyznę, zwracały się do starszych, bardziej doświadczonych lekarzy.

Większość dam i kobiet z niższych sfer pozostawała wierna tradycji i korzystała z usług miejscowych położ-  
położnych.

John miał zatem do czynienia tylko z ciężarnymi żonami ubogich dzierżawców i robotników, a i to sporadycznie. Nie wzywano go, obawiając się kosztów, ale kiedy przybywał do któregoś z zamożnych domów zbadać chore dziecko, pani domu wspominała czasem, że któraś z zatrudnionych kobiet ma ciężki poród czy też że jedna z pokojówek jest w ciąży. John stykał się z porodami tylko w ciężkich przypadkach i tylko wśród ubogich kobiet, więc kiedy patrzył na mnie czule jasnymi oczami, łągałam jak z nut, trwając w nedorzecznej nadziei, że ocalę nasze szczęście, że nic się nie zmieni w naszej miłości i serdeczności.

Naprawdę go kochałam i jeśli chciałam uratować jego miłość, musiałam jakoś pozbyć się go z domu w czasie, gdy miało przyjść na świat dziecko, które on uważał za swoje — na pięć tygodni przed oficjalnym terminem.

— Miło byłoby mi znów gościć tu twego papę — zagadnęłam pewnego wieczora, gdy we czwórkę usiedliśmy w salonie przy kominku. Drzewa kwitły i głóg w żywopłotach wydał białe kwiecie, lecz po zachodzie słońca robiło się zimno.

— Mógłby nas odwiedzić — stwierdził John z pewnym powątpiewaniem. — Ale chyba nawet diabeł nie odciągnie go od interesów. Musiałem niemal za kołnierz ciągnąć go na nasz ślub.

— Z pewnością chciałby zobaczyć swego pierwszego wnuka — przysłała mi w sukurs Celia. Wybierała nici z pudełka do robótek stojącego między nami. Obrus na ołtarz był już w połowie wyhaftowany, a mnie przypadło wyszywanie niebieskich chmurek tworzących tło anioła. Tego nawet ja nie potrafiłabym popsuć, zwłaszcza że po każdym ściegu odkładałam robotę, aby zamyślić się lub porozmawiać.

— Tak, tak, to człowiek bardzo rodzinny. Będzie zadowolony, kiedy zostanie głową naszego klanu — zgodził się John. — Ale chyba musiałbym po prostu go porwać, bo zaczyna się najpracowitszy okres w roku.

— A dlaczegoż by nie? — udałam, że jestem olśniona tym pomysłem. — Czemuż nie miałbyś pojechać po niego? Sam mówiłeś, że tęsknisz za zapachem Edynburga, za starymi smrodami. Przywieź go! Mógłby zostać na czas narodzin, a potem podawać dziecko do chrztu.

— Tak, tak — John wyglądał na niezdecydowanego. — Chciałbym zobaczyć ojca i paru kolegów na uniwersytecie. Ale przecież nie powinienem zostawiać ciebie, Beatrice. Lepiej pojedźmy z wizytą wszyscy razem, później.

Podniosłam ramiona, ze śmiechem udając zgrozę.

— O nie! Już podróżowałam z noworodkiem i nigdy nie wybaczę Celi, że musiałyśmy jechać z Julią. Już nigdy nie wyruszę w podróż z wymiotującym maleństwem. Poczekamy, aż twój syn zostanie odstawiony od piersi. Więc jeśli chciałbyś odwiedzić Edynburg przed upływem dwóch lat, zrób to teraz!

Na wspomnienie naszych wojaży Celia wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

— Beatrice ma rację, John — powiedziała. — Nie masz pojęcia, jaką udręką jest podróż z niemowlęciem. Dziecko marudzi cały czas i nie ma sposobu, aby je uspokoić. Jeśli chcesz zatem, aby twój papa zobaczył wnuka, to on musi przyjechać do nas.

— Masz chyba rację — w głosie Johna brzmiało wahanie — wolałbym jednak nie opuszczać Beatrice w czasie ciąży. Jeśli cokolwiek potoczyłoby się źle, a ja byłbym daleko...



— Ach, nie martw się — pocieszył go Harry zagłębiony w wygodnym fotelu przy kominku. — Przrzekam, że będzie się trzymała z dala od Sea Ferna, a Celia przypilnuje, żeby nie objadała się słodyczami. Beatrice będzie tu bezpieczna, a w razie potrzeby natychmiast pošemy po ciebie.

— Chciałbym pojechać — wyznał John. — To zależy tylko od ciebie, Beatrice. Jesteś pewna, że mogę jechać?

Wpięłam igłę w twarz wyhaftowanego anioła i wyciągnęłam rękę w stronę męża.

— Jestem pewna — odrzekłam, a on ucałował czule moją dłoń. — Obiecuję, że nie będę jeździć na dzikich koniach i nie utyję. Aż do twojego powrotu.

— I pošesz po mnie, jeśli poczujesz się źle albo choćby smutno?

— Obiecuję — odparłam beztrasko.

Obrócił moją dłoń wnętrzem do góry, tak jak w czasie narzeczeństwa, złożył pocałunek i zacisnął palce wokół pocałowanej przestrzeni. Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się najserdeczniej, jak umiałam.

John powstrzymał się z wyjazdem do dnia moich dziewiętnastych urodzin, czwartego maja. Celia kazała wynieść z jadalni meble i zaprosiła pół tuzina sąsiadów na wieczór taneczny. Kryjąc się ze zmęczeniem, zatańczyłam dwa gawoty z Johnem i wolnego walca z Harrym, a potem usiadłam, żeby rozpakować prezenty.

Harry i Celia ofiarowali mi parę diamentowych kolczyków, a mama diamentowy naszyjnik do kompletu. Od Johna dostałam duże, ciężkie skórzane pudło przypominające szkatułkę na biżuterię, z mosiężnymi narożnikami i zamkiem.

— To chyba kopalnia diamentów — zgadywałam przy śmiechu Johna.

— Coś lepszego — stwierdził.

Wyjął z kieszonki kamizelki mosiężny klucz i wręczył mi. Świetnie pasował do zamka. Pokrywa uniosła się z łatwością. Na wyściółce z niebieskiego aksamitu, w specjalnie wymodelowanym wydrążeniu, leżał mosiężny sekstans.

— Boże wszechmocny, a cóż to jest? — spytała mama.

Podniosłam na Johna rozpromieniony wzrok.

— To sekstans, mamó — wyjaśniłam. — Cudowny wynalazek. Piękna robota. Będę mogła sama kreślić mapy naszej posiadłości. Nie będę więcej zdana na kreślarzy z Chichester. — Wyciągnęłam rękę do Johna. — Dziękuję, dziękuję, najdroższy.

— Cóż za prezent dla młodej żony! — dziwiła się Celia. — Beatrice, dobraliście się jak w korcu maku. John jest równie wielkim dziwakiem jak ty. John roześmiał się rozbrajająco.

— Och, Beatrice jest taka rozpieszczona, że muszę jej kupować rzeczy nietuzinkowe — powiedział. — Tonie w biżuterii i jedwabiach. Spójrzcie tylko na ten stos podarków!

Na stoliku w rogu jadalni piętrzyła się sterta jaskrawych opakowań. Prezenty od dzierżawców, robotników rolnych i służących. Bukieciki od dzieci z wioski zdobiły cały pokój.

— Jesteś przez wszystkich kochana — uśmiechnął się John.

— To prawda — odezwał się Harry. — Mnie nigdy nie zasypano taką górą podarków urodzinowych. Kiedy Beatrice będzie obchodzić dwudzieste pierwsze urodziny, ogłoszę dzień wolny od pracy.

— Co tam dzień, przynajmniej tydzień! — uśmiechnęłam się, słysząc w głosie Harry'ego echo zazdrości. Za krótko był beniaminkiem Wideacre. Zaskarbił sobie miłość wszystkich podczas tamtych pamiętnych żniw. Po powrocie z Francji spostrzegł jednak, że sam dziedzic bez siostry był tylko półpanem; w dodatku stanowił tę gorszą połowę.

Powróciłam z Francji w chwale na należne mi miejsce, witana ukłonami i uśmiechami.

Podeszłam do stolika i zaczęłam rozpakowywać podarki, drobiazgi wykonane własnoręcznie przez ofiarodawców. Wełniana poduszczyca na szpilki, których porcelanowe główki tworzyły moje imię. Bat z moim imieniem wyrzezanym na drewnianej ręczce. Zrobione na drutach mitenki do noszenia pod rękawiczkami do jazdy konnej. Szal utkany z owczej wełny. I jeszcze jedna paczuszka, nie większa od mojej pięści, zawinięta, o dziwo, w czarny papier. Nie było nazwiska ani życzeń. Obracałam paczuszkę w palcach, czując jakiś niepokój. Dziecko wyprężyło się w mym łonie, jak gdyby wyczuwało niebezpieczeństwo.

— Otwórz — nalegała Celia. — Może w środku jest nazwisko ofiarodawcy.

Rozdarłam czarny papier przy czarnej pieczęci i wyjęłam maleńką porcelanową sówkę.

— Prześliczna — ochoczo stwierdziła Celia.

Gapiałam się na prezent ze zgrozą. Usiłowałam zmusić drżące wargi do uśmiechu.

— Co się stało, Beatrice? — spytał John.

Głos dobiegł jakby z oddali. Jego twarz widziałam jak przez mgłę. Zamrugałam oczami, potrząsnęłam głową. Chciałam pozbyć się nieznośnego brzęczenia w uszach.

— Nic — odparłam cicho. — Nic. Przepraszam na chwilkę. — Bez słowa wyjaśnienia odwróciłam się od stosu nie otwartych podarków i opuściłam gości. W hallu zadzwoniłam na Stride'a. Wyszedł uśmiechnięty z kuchni.

— Tak, panienko Beatrice?

Pokazałam mu czarny papier, zaciśnięty w kulkę w mojej dłoni. W drugiej dłoni trzymałam kurczowo sówkę. Czulałam chłodną porcelanę i cała dygotałam.

— To opakowanie jednego z prezentów — przeszłam od razu do rzeczy. — Wiesz, kto to przyniósł? Jak to się tu znalazło?

Stride wziął zmięty papier i wygładził go.

— Taka maleńka paczuszka? — spytał.

Kiwnęłam głową. Nie mogłam ufać suchemu gardłu.

— Myśleliśmy, że to od kogoś z dzieci — odrzekł z uśmiechem. — Zostawiono to pod oknem pani sypialni, w koszyczku z łozy.

Jęknęłam.

— Chcę zobaczyć ten koszyczek — oznajmiłam.

Stride kiwnął głową i wyszedł przez obite zielonym rypsem drzwi. Chłód porcelanowej sówki przenikał mnie do szpiku kości. Wiedziałam doskonale, kto był ofiarodawcą. Kaleki banita. Tyle pozostało z chłopaka, który przed czterema laty dał mi z miłością pisklę sowy. Ralph przysłał mi ten złowieszczy prezent jako sygnał. Nie znałam jednak jego znaczenia.

Otworzyły się drzwi jadalni. Wyszedł John i na widok mojej pobladłej twarzy aż krzyknął.

— Jesteś przemęczona. Co cię gnębi?

— Nic — powtórzyłam, zmuszając zdrętwiałe wargi do mówienia.

— Chodź tu i usiądź — zaprowadził mnie do salonu. — Za chwilę będziesz mogła wrócić na tańce.

Chcesz soli trzeźwiących?

— Tak — zdecydowałam, aby pozbyć się go na moment. — Są w mojej sypialni.

Przyjrzał mi się badawczo i wyszedł. Siedziałam trzęsąc się, w oczekiwaniu aż Stride przyniesie mi łożynowy koszycek.

Włożył koszycek w moje dłonie. Odprawiłam go skinieniem głowy. Dzieło Ralph; replika innego koszyczka, który przed laty wciągnęłam na nitce przez okno o świcie, w dniu piętnastych urodzin. Witki zachowały zieloną barwę i świeżość, a więc ścięto je przed paru dniami. To mogły być łoży z Wideacre, a więc Ralph podszedł aż do rzeki Fenny. Z koszyczkiem w jednej ręce, a prezentem w drugiej wydałam jęk rozpaczny. Potem ugryzłam się w koniuszek języka i uszczypnęłam się w policzki, aby nadać im rumieńców. Kiedy John wkroczył z solami trzeźwiącymi, roześmiałam się tylko i machnięciem dłoni pokazałam, że już nie trzeba. Sole trzeźwiące, pytania, zatroskane spojrzenie — wszystko to oddaliłam od siebie. John obserwował mnie bacznie z niepokojem, lecz nie męczył więcej pytaniami.

— To nic takiego — stwierdziłam. — Nic. Po prostu za długo tańczyłam z twoim synkiem. — Na tym zakończyłam wyjaśnienia.

Nie mogłam dać najmniejszego powodu Johnowi, aby odwołał swój wyjazd. Musiałam wysłać go z domu. Dziecko miało przyjść na świat za trzy, cztery tygodnie. Zdusiłam w sobie strach, zachowując pozory śmiałości. Spakowałam rzeczy Johna, żwawo się ruszając i uśmiechając. Stałam na schodach i machałam na pożegnanie, aż kareta zniknęła z oczu. Powstrzymałam się od drżenia, dopóki stukot końskich kopyt rozbrzmiewał na podjeździe.

Potem oparłam się o rozgrzaną słońcem kolumnenkę i jęknęłam z przerażenia. Myśl, że Ralph mógłby podjechać czy raczej doczołgać się do ścian dworu i że nienawiść wyostrzyła jego pamięć do tego stopnia, że przypomniał sobie, co mi ofiarował przed czterema laty, przyprawiała mnie o paraliż.

Nie miałam jednak czasu na zastanawianie się. Błogosławiłam ogrom czekających mnie zajęć, błogosławiłam zmęczenie, które kazało mi spać kamiennym snem przez całą noc. W czasie pierwszej ciąży delektowałam się cudownym nicnierobieniem ostatnich tygodni przed rozwiązaniem. Tym razem musiałam udawać przed trzema parami uważnych oczu, że jeszcze dwa miesiące dzielą mnie od porodu. Chodziłam lekkim krokiem i pracowałam od rana do wieczora, nie narzekając i nie zdradzając bolącego krzyża. Dopiero w bezpiecznej ciszy sypialni, przed snem, mówiłam sama sobie, że padam z nóg.

Oczekiwałam rozwiązania przy końcu maja, a tu miesiąc się skończył — i nic. Budząc się rankiem pierwszego czerwca, czułam wielką radość. Czerwiec. To już nieźle. Liczyłam na palcach tygodnie, siedząc przy biurku. Słońce ogrzewało mi ramiona, a ja zastanawiałam się, czy dane mi będzie przynieść dziecko na tyle, aby podeprzeć niepewną reputację. Sięgnęłam po kalendarz i wtedy poczułam ból tak silny, że pociemniało mi w oczach i zaszumiało w uszach. Jęknęłam.

Tkwiałam jak sparaliżowana przez kilka długich minut. Ból ustal. Poczułam ciepłą wilgoć odchodzących wód. Dziecko wyruszyło w krótką niebezpieczną podróż.

Wstałam od biurka i przyciągnęłam jedno z ciężkich krzeseł do wysokiej biblioteczki, gdzie trzymałam księgi rachunkowe obejmujące siedemset lat panowania Laceyów na tej ziemi. Obawiałam się, że znów chwyci mnie ból, kiedy wejdę na siedzenie krzesła i wyciągnę ramię do najwyższej półki. Nie myliłam się. Jęczałam, wyciągając opasłe tomiska. Musiałam jednak zadbać o sugestywną scenografię. Wyjęłam więc trzy czy cztery potężne księgi i rozrzuciłam je malowniczo po podłodze. Potem przewróciłam z hukiem krzesło i położyłam się na podłodze obok. Pokojówka sprzątająca moją sypialnię na górze usłyszała hałas. Zastukała do drzwi i weszła. Leżałam nieruchomo, udając omdlenie. Słyszałam, że dziewczyna jęknęła ze strachu, gdy zrozumiała, co się stało. Przewrócone krzesło, rozrzucone księgi, coraz większa plama na cienkiej jedwabnej sukni... Wypadła z pokoju i zaczęła wzywać pomocy. Domownicy wpadli w panikę. Przeniesiono mnie ostrożnie do sypialni, gdzie jęknąwszy cicho, odzyskałam świadomość.

— Nie bój się — mama ujęła moją dłoń. — Nie ma się czego bać, kochanie. Spadłaś z krzesła w gabinecie i to przyspieszyło poród. Posłaliśmy już po położną. Harry zawiadomi Johna. — Pochyliła się nad łóżkiem i otarła mi czoło chusteczką pachnącą fiołkami. — Za wcześnie, kochanie — odezwała się łagodnie. — Musisz być przygotowana na ewentualne rozczarowanie tym razem.

Zdobyłam się na nikły uśmiech.

— Wszystko w rękach Boga, mamó — bluźnierstwo przyszło mi z łatwością. — Czy bardzo będzie bolało?

— Ach, nie — odparła czule. — Nie będzie bolało, moja dzielna dziewczynko. Zawsze byłaś odważna, wręcz nieustraszona. A poza tym dziecko nie może być jeszcze zbyt duże.

Zamknęłam oczy, czując znajomy skurcz.

— Mamó, czy mogę cię prosić o lemoniadę, taką jaką podawałaś nam, gdy byliśmy chorzy w dzieciństwie? — spytałam po ustąpieniu skurczu.

— Oczywiście, kochanie — mama schyliła się, żeby mnie pocałować. — Już idę robić. Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebowała. Celia zostanie z tobą. Pani Merry, położna, jest w drodze, a chłopak stajenny pojechał po pana Smythe'a, akuszera z Petworth. Będziesz miała dobrą opiekę, kochanie. Teraz odpocznij w miarę możliwości. To będzie długo trwało.

Opadłam na poduszki i uśmiechnęłam się. Nie potrwa to długo, nie. Lepiej niech pan Smythe się pospieszy, bo ominie go zapłata. Drugie dziecko zawsze rodzi się szybciej niż pierwsze. Bóle były coraz silniejsze, coraz częstsze. Celia usiadła przy łóżku i trzymała mnie za rękę, tak jak wtedy.

— Zupełnie jak czekanie na Julię — stwierdziła. Spostrzegłam, że oczy ma pełne łez. Była bardzo poruszona porodem. Piękna bezpłodna kobieta. — Tak się wtedy świetnie spisałaś, najdroższa, wiem zatem, że i teraz poradzisz sobie znakomicie.

Uśmiechnęłam się machinalnie. Wszystko działo się jak gdyby w oddali. Myślałam tylko o toczącej się walce między dzieckiem, które wrywało się na wolność, a moim napiętym ciałem, które nie chciało poddać się tak łatwo. Nagły skurcz wywołał mój jęk. Usłyszałam za drzwiami stukot kołyski (naszej rodzinnej kołyski) niesionej przez pokojówkę. Cała służba krzątała się gorączkowo, przygotowując pokój dziecienny dla nieoczekiwanego tak wcześnie noworodka; pierwszego w tym pokoleniu dziecka rodzącego się tu, w Wideacre.

Bóle następowały coraz częściej. Odczuwałam je teraz jak wielki wysiłek przy przesuwaniu ciężkich mebli albo przy przeciąganiu liny. Zjawiła się pani Merry, ale prawie nie zważałam na jej krzątaninę. Przywiązała skrecone napięte prześcieradło do słupków w rogach łóżka. Odpędziłam ją, kiedy nalegała, żebym je chwyciła. Nie chciałam krzyków i zamieszania, kiedy mój organizm przeżywał ważną tajemną chwilę, kiedy mój syn zstępował do niebezpiecznego, niechętnego mu tunelu. Pani Merry nie obraziła się wcale. Stara, mądra pomarszczona twarz uśmiechnęła się tylko, a bystre oczy obserwowały wygięcie moich pleców, odruchowe jęki i kołysanie całego ciała.

— Dasz sobie radę — oceniła spokojnie, jak gdyby przemawiała do klaczy.

I tak jak sobie życzyłam, kończąc z całą tą krzątaniną, usiadła w nogach łóżka z jakimś szyciem, czekając, aż jej pomoc stanie się potrzebna.

Nie musiała długo czekać.

— Pani Merry! — zawołałam.

Celia przypadła do mojej dłoni, ja jednak szukałam wzroku doświadczonej staruszki.

— Gotowa? — spytała, podwijając brudne rękawy.

— Już... już... — dyszałam niczym wyjęty z wody losoś.

Skurcze zaatakowały mój napięty brzuch jak rybitwa chwytająca swą ofiarę w szpony.

— Przyj! — krzyknęła pani Merry. — Widzę główkę!

Ogarnął mnie spazm, potem przerwa i znów potężne pchnięcie. Czułam, że zręczne brudne palce pani Merry pomagają dziecku wydostać się. Jeszcze jeden skurcz mięśni i koniec. Dziecko znalazło się poza moim ciałem. Pokój wypełnił się ochryplym szlochem. Zza drzwi dobiegły okrzyki radości służących. Chyba wszyscy usłyszeli płacz dziecka.

— Chłopiec — pani Merry trzymała dziecko za nóżki jak oskubanego kurczaka i bezceremonialnie położyła je na dygocącym pagórku mojego brzucha. — Chłopiec dla Wideacre. To dobrze.

Celia przypatrywała się dziecku szczerym otwartym wzrokiem.

— Jaki śliczny — powiedziała głosem pełnym miłości i nie skrywanej tęsknoty.

Wzięłam go w ramiona i wdychałam niepowtarzalną, słodką silną woń narodzin. Nagle parzące łzy popłynęły mi po policzkach. Nie mogłam powstrzymać szlochu. Płakałam z żalu. Nie mogłam przywołać żadnego imienia. Chłopiec miał tak ciemne oczy i tak czarne włoski, że wydawał mi się podobny do Ralpa. Wyczerpana zaczęłam myśleć o nim jak o dziecku Ralpa. Urodziłam dziecko Ralpa.

Pani Merry zabrała noworodka, zawinęła we flanelowe kocyki i podała Celi.

— Wyjdźcie teraz z pokoju — poleciła krótko. — Mam tu dla niej gorący posset, który z miejsca postawi ją na nogi. Niech się wypłacze. Lepiej teraz niż potem.

— Beatrice płacze! — odezwała się mama z niedowierzaniem, wkroczywszy do pokoju.

Na widok mojej twarzy stanęła jak wryta wśród pomiętych pokrzwawionych prześcieradeł.

— To zbyt wielkie przeżycie dla niej — wyjaśniła Celia cicho. — Ale spójrz, mam, na dzieciątko. Cud. Zabierzmy je na dół. Wrócimy tu, kiedy Beatrice wypocznie.

Drzwi zamknęły się za nimi. Zostałam sama ze swym niepojętym smutkiem. Napotkałam przenikliwe spojrzenie starej pani Merry.



— Niech panienka to wypije. — Zakrztusiłam się possetem z ziół pachnącym słodko miętą, lawendą i najmocniejszym ze składników, ginem. Opróżniłam kubek i przestałam płakać.

— To siedmiomiesięczne dziecko, hm? — spytała, a czujny wzrok zdradzał wielką wiedzę.

— Tak — odparłam spokojnie. — Mój upadek przyspieszył poród.

— Jak na siedem miesięcy, to duże dziecko — stwierdziła. — A jak na pierwszy poród, wszystko poszło bardzo szybko.

— Ile chcesz za milczenie? — spytałam zbyt zmęczona, aby się targować, i zbyt rozsądna, aby kłamać.

— O, nic — uśmiechnęła się, co przydało jej twarzy dodatkowych zmarszczek. — Zapłaciliście mi już wystarczająco wiele posyłając po mnie. Skoro żona znakomitego młodego doktora postępuje w myśl tradycji, daje przykład połowie dam w naszym hrabstwie. Panienko Beatrice, dała mi pani pewność na dobre zarobki. Kiedy wszyscy się dowiedzą, że sama odebrałam poród, nie będą tak od razu wzywać pana Smythe'a.

— Wiesz, że zawsze jestem wierna tradycji. W sprawach poczęcia także — uśmiechnęłam się porozumiewawczo. — A moje słowo jest prawem w Wideacre. Zawsze znajdzie się tu chata dla pani Merry oraz miejsce w kuchni. Ja nie zapominam o przyjaciółkach... lecz nie cierpię plotek.

— Ja nic nie powiem — zastrzegła się stanowczo. — A nikt inny nie domyśli się wieku dziecka. Nawet bystry mąż panienki. A jeśli nie wróci przed upływem tygodnia, na pewno nie powie na ten temat ani słowa. Na nic szkoły w Edynburgu!

Kiwnęłam głową i opadłam na poduszki, a ona sprawnie zmieniła mokre prześcieradła, nie każąc mi się wcale ruszać.

— Pani Merry, przynieście mojego syna — poprosiłam nagle. — Dajcie mi go.

Skinęła i wyszła ciężko z pokoju. Wróciła z zawiniątkiem, ostrożnie otaczając je ramieniem.

— Mama panienki i lady Lacey chciały tu przyjść, ale im jeszcze nie pozwoliłam. Oto chłopak. Zostawię was samych, żebyście się zapoznali. Niech pani tylko leży spokojnie. Zaraz wrócę i go zabiorę.

Kiwnęłam odruchowo głową, ale prawie nie słuchałam. Niebieskie oczy synka spojrzały na mnie niewidząco. Pomarszczona twarzyczka była jeszcze bezkształtna, pozbawiona wyrazu. Wyróżniały się jedynie niepokojące, niemal fioletowe oczy oraz czarna czupryna. Odrzuciłam kołdrę i stanęłam boso na zimnej podłodze. Z dzieckiem na ręku podeszłam do okna. Małeńkie ciało było lekkie i kruche jak pączek piwonii. Otworzyłam okno i odetchnęłam słodką wonią kwiatów i owoców Wideacre. Ogród różany był jedną różowo-purpurowo-białą plamą. Ostry zapach wspinał się po nagranych kamieniach ścian do mego okna. Dalej, za ogrodem pobłyskiwał szmaragdowo wybieg porośnięty bujną, wysoką do kostek, a gdzieniegdzie do kolan, trawą. Jeszcze dalej — szare pnie buków podtrzymywały zielone korony nakrapiane tu i ówdzie rudymi plamkami. A za kopułami drzew — blade kwadraty położonych najwyżej pół graniczących z nizinnymi pastwiskami. Nad całą okolicą górowała, niewiarygodnie daleko, kolista linia horyzontu Wideacre.

— Widzisz? — spytałam dziecko i skierowałam chwiejną główkę na wprost, na cudowne widoki. — Widzisz? To wszystko należy do mnie, a pewnego dnia będzie twoje. Inni ludzie sądzą, że to ich własność, lecz się mylą. To moje i zapiszę ci wszystko. Muszę stoczyć nową bitwę, aby zapewnić ci przyszłość, synku. Ty jesteś dziedzicem, ty jesteś synem dziedzica i siostry dziedzica, a więc po dwakroć przyszedł właściciel tej

ziemi. Co więcej, ta ziemia ci się należy, ponieważ poznasz ją i pokochasz jak ja. A poprzez ciebie nawet po mojej śmierci będę tu obecna.

Usłyszałam ciężki chód pani Merry w korytarzu za drzwiami. Zatrzasnęłam okno i pognałam do łóżka niczym spłoszona pensjonarka. Dopiero leżąc na poduszkach poczułam wielką słabość. Mojego kochanego syna zaniecono mamie i Celi. Mogłam zapaść w błogi sen i śnić o przyszłości — ryzyku i szansie.

## 13

Następny tydzień spędziłam w świecie radości macierzyństwa, zadowolona niczym kotka karmiąca małe. Żyłam pogrążona w marzeniach, ogarnięta jedną myślą: jak doprowadzić do tego, aby Harry uczynił swego syna dziedzicem Wideacre, nie dowiadując się jednocześnie prawdy o ojcostwie. Znałam swojego delikatnego brata na tyle, by się spodziewać, że na myśl o dziecku z kazirodczego związku zareagowałby odrazą. Ja sama wzdragałam się, rozważając ten pomysł. Czułam, że uchylene rąbka tajemnicy dotyczącej ojca mojego syna ściągnęłoby na dziecko katastrofę i oznaczało koniec moich planów i nadziei. Musiał jednak istnieć jakiś sposób, aby zapewnić temu wspaniałemu dziecku, mojemu chłopczykowi, równe prawa z Julią. Świadomość niesprawiedliwości i prześladowającego mnie pecha kładła się cieniem na szczęśliwe chwile mojej słodkiej samotności. Nie zdołało to jednak odebrać mi całej radości, jaką sprawiał mi synek. Śniłam o nim, śpiewałam mu.

Zachwyciałam się jego paznokietkami. Każdy paluszek, mniejszy niż najdrobniejsza gałązka, kończył się paznokciem o skończenie doskonałym kształcie. Czubki palców były idealnie półokrągłe. Przez sprężyste ciało stóp dało się wyczuć cudowne kostki. Fałdki szyi pachniały słodko, uszka miały kształt muszelek, a usteczka składały się w rozkoszny dzióbek. Kiedy był głodny i szukał moich twardych, ociekających mlekiem sutków, twarzyczka krzywiła się, a buzia zaczynała przypominać łaknący trójkącik. A kiedy już zapadł w stan mlecznej nieświadomości, pod górną wargą pojawiał się uroczy pęcherzyk, znak intensywnego ssania.

Gorące czerwcowe dni spędzałam na odpoczynku. Chłopczyk leżał nagi, przebierając nóżkami, na moim łóżku, a ja pudrowałam go lub nacierałam oliwką po kąpieli. Upierałam się, tak jak Celia, żeby zostawić nóżkom swobodę, żeby nie krępować ich ciasnymi powijakami. Cała Wideacre żyła rytmem dyktowanym przez dwoje małych tyranów: wspaniałej Julii i równie wspaniałego Richarda.

Dałam mu bowiem na imię Richard. Dlaczego akurat tak — sama nie wiem; może dlatego, że kiedy ujrzałam czarną jak gagat mokrą czuprynkę, pomyślałam zaraz o Ralphie. Odruchowo wymknęło mi się „R”... Właściwie nigdy nie zdarzyło mi się coś podobnego. Kochany Richard rozbroił mnie całkowicie. Śniłam o jego przyszłości, snułam plany, straciłam gdzieś jednak całą swą zaciekłość, ostrość. Chciałam chociaż raz nie myśleć o tym, co powiem, kiedy ktoś zagadnie mnie o wiek dziecka — pulchnego zdrowego noworodka karmionego co trzy, cztery godziny, a nie chudego wcześniaka. Celia nic nie mówiła na ten temat. Bo i cóż wiedziała? Ale służba wiedziała. Służba zawsze wie. A w takim razie wie cała wieś Acre. Nie miałam co do tego wątpliwości.

Cóż, mieszkaliśmy jednak wśród swoich. Niewiele małżeństw w naszej parafii zawierano, zanim brzuszek panny młodej zaokrąglił się pod suknią ślubną. A jakież pożytek z bezpłodnej żony? W wyższych sferach na ogół narzeczona nie wykazuje się swą płodnością przed ślubem, lecz jak to się kończy? Brakiem nadziei na dziecko, tak jak w przypadku Celi i Harry'ego. Wszyscy we wsi i na dworze, a pewnie i w całym hrabstwie wiedzieli, że John i ja zostaliśmy kochankami przed ślubem, lecz nikt nas za to nie potępiał.

Tylko mama zdecydowała się podjąć sprawę naszego przedmałżeńskiego grzechu.

— To duże dziecko jak na swój wiek — stwierdziła, patrząc na mnie nucącą kołysankę i na dziecko syte po karmieniu, pogrążone w błogiej drzemce na moim łóżku.

— Tak — odparłam machinalnie, obserwując oczka dziecka.

— Pomyliłaś się w datach, moja droga? — spytała mama cicho. — Wydaje się pulchniutki i zdrowy, zupełnie nie jak wcześniak.

— Och, daj spokój, mamó — odezwałam się leniwie. — Przecież świetnie wiesz. Poczęłam go jeszcze w czasach narzeczeństwa. W niczym nie złamałam tu tradycji, byliśmy przecież zaręczeni. Nic złego się nie stało.

Twarz mamy wyrażała dezaprobatę.

— Oczywiście nie ma w tym nic nagannego z punktu widzenia moralności, Beatrice, doskonale to rozumiem — powiedziała. — Skoro twój mąż nie ma nic przeciwko temu, nie mam prawa robić ci wymówek. Doskonale pasuje to do twego zauroczenia wiejską obyczajowością i wiejskimi zasadami. Mnie by się o czymś podobnym nawet nie śniło! Cieszę się, że już się usamodzielniałaś.

To powiedziawszy, wzburzona wyszła z pokoju, a ja zaczęłam się śmiać, Richard zaś nie śmiał się ani nie płakał, lecz leżał sobie senny w słońcu, jak gdyby przyjmując do wiadomości, że jego mama jest czystej wody ulicznicą.

Kłamstwo, że chłopiec został poczęty przeze mnie i Johna przed naszym ślubem, było tak sugestywne, że nie obawiałam się powrotu Johna i jego opinii na ten temat. Niewiele wiedziałam o niemowlętach i sądziłam, że trzy tygodnie nie czyni większej różnicy dla wyglądu dziecka. Prawie nie pamiętałam już pierwszych dni życia Julii, miałam jednak wrażenie, że od urodzenia do momentu przybycia do Anglii nie zmieniła się zbytnio i była równie okrągłutka. Powodzenie mistyfikacji z pierwszym dzieckiem napawało mnie otuchą. Raz się udało. Mówiłam więc otwarcie o wcześniaku, o niedokładności wyliczeń młodej mężatki. Przychodziło mi to łatwo, bez kłopotu. Nie miałam pojęcia, że w przypadku Richarda sytuacja będzie wyglądać zgoła inaczej. Nie sądziłam, że mój mąż, bystry przecież i doświadczony, odróżni przenoszonego nieco chłopczyka od dziecka urodzonego trzy tygodnie przed terminem. Potrzeba było jeszcze trochę czasu i z pewnością nie spostrzegłby nic podejrzanego.

Wrócił jednak wcześniej.

Wrócił wcześniej, niż oczekiwaliśmy. Nim minął tydzień, był już z nami. Podróżował dyliżansem pocztowym dzień i noc, jak demon, przekupiwszy woźniców, aby jechali bez zatrzymywania się na posiłki. Wtoczył się z hukiem po podjeździe i wpadł do domu, do salonu. Mama siedziała przy fortepianie, Celia z Julią na kolanach i ja przy oknie, kołysząc Richarda w drewnianej kołysce. Wyglądał okropnie, błydy ze zmęczenia, z brudną twarzą i kłującym zarostem, śmierdział whisky. Rozejrzał się z niedowierzaniem, jak gdyby czymś

niesamowitym wydał mu się czysty pachnący salon i spokój domowego ogniska. Skierował na mnie oczy w czerwonych obwódkach.

— Beatrice, moja miłości — wyrzekł i przyklęknął obok, obejmując mnie w talii.

Przywarł spękanymi wargami do moich ust. Mama i Celia wymknęły się dyskretnie, zamykając za sobą drzwi.

— Mój Boże! — westchnął głęboko. — Wyobrażałem sobie, że zmarłaś albo poważnie się rozchorowałaś, albo wykrwawiasz się i tu znajduję cię w świetnym zdrowiu, śliczną jak aniołek. — Podniósł wzrok i bacznie się mi przypatrywał. — Naprawdę dobrze się czujesz?

— O, tak — odparłam cicho z czułością. — Twój syn również.

Odetchnął z ulgą i odwrócił się do kołyski z lekkim uśmiechem na zmęczonych wargach. Półśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy. Pochylił się nad kołyską z nagle pociemniałymi oczami.

— Kiedy się urodził? — spytał nagle chłodnym tonem.

— Pierwszego czerwca, dziesięć dni temu — odparłam, starając się mówić spokojnie niczym człowiek przechodzący przez zamarznąłą rzekę, który usiłuje zmniejszyć siłę nacisku na lód, ślizgając się po równej powierzchni.

— Jakieś trzy tygodnie przed terminem, tak? — głos Johna ciął powietrze jak nóż.

Zaczęłam dygotać z podskórnego strachu.

— Dwa lub trzy — stwierdziłam. — Nie jestem pewna...

John wyjął Richarda z kołyski wprawnym gestem, bez żadnych czułości, i rozwinął kocyk. Nie zwracając uwagi na moje protesty, rozebrał dziecko tak szybko i zręcznie, że nawet nie zapłakało. Rozprostował delikatnie rączki i nóżki, obmacał okrągły brzusek. Smukłe palce doktora dotknęły pulchnych nadgarstków i tłusciutkich kolanek. Potem na powrót zawinął dziecko w kocyk i włożył ostrożnie do kołyski, podtrzymując przy tym główkę. Dopiero wtedy wyprostował się i spojrzał mi prosto w oczy. Zrozumiałam, że tonę, że spadam w przepaść, że jestem zrujnowana.

— To dziecko zostało urodzone o czasie — ugodził mnie brzmieniem swego głosu niczym odłamkiem szkła. — Miałaś je w brzuchu, kiedy pierwszy raz mi uległaś. Miałaś je w brzuchu, kiedy mnie poślubiłaś. Wyszłaś za mnie z powodu tego dziecka. Jesteś zwykłą dziwką, Beatrice Lacey.

Przerwał. Otworzyłam usta, lecz nie mogłam wydobyć słowa. Czułam tylko ból w piersi, jak gdybym nie mogła wydostać się z wody uwięziona pod lodową powłoką.

— Jesteś czymś więcej — dodał głucho. — Jesteś głupia. Kochałem cię tak bardzo, że ożeniłbym się z tobą i przyjął twoje dziecko, jeślibyś mnie o to poprosiła. Ty jednakże wolałaś kłamać, zwodzić, szargać moje dobre imię.

Podniosłam ramiona, jak gdyby broniąc się przed ciosem. Byłam zrujnowana, a wraz ze mną — mój wspaniały syn. Nie znajdowałam słów, aby nas bronić, aby zapewnić nam bezpieczeństwo.

Pół tuzina pospiesznych kroków i drzwi zamknęło się cicho. Wyszedł. Skurczyłam się w sobie. Czekałam na trzaśnięcie drzwi prowadzących do zachodniego skrzydła, lecz nie usłyszałam go. Jedyne odgłos zamykanych drzwi do biblioteki. W domu zapanowała cisza. Wszystko znieruchomiało. Mój grzech zmroził nawet ciepłe bijące serce Wideacre.

Siedziałam bez ruchu, a promień słońca wolno przesuwiał się przez pokój odmierzając czas wędrówki słońca po niebie. Słońce nie zdołało mnie ogrzać, dygotałam. Cała zamieniłam się w słuch. Usłyszałam najłżejsze skrzypnięcie drzwi biblioteki. Nic jednak nie mąciło ciszy. Zegar w salonie tykał cicho, miarowo, a zegar papy w hallu odpowiadał mu głośniejszym echem. Płynęły sekundy.

Nie mogłam dłużej czekać. Wymknęłam się z pokoju i stanęłam nad słuchując pod drzwiami biblioteki. Z wnętrza nie dobiegał żaden dźwięk, lecz ktoś tam był. Czułam jego obecność, tak jak jeleń czuje czającego się psa myśliwskiego. Stałam jak słup soli z szeroko otwartymi przerażonymi oczami, oddychając płytko. Nic nie słyszałam. W ustach mi zaschło z przerażenia... Zdecydowałam się wreszcie wejść. Byłam przecież nieodrodną córką papy. Instynkt kazał mi pokonać strach. Nacisnęłam klamkę. Skrzypnęła. Zamarłam. Nic się jednak nie działo, uchyliłam drzwi i zajrzałam przez szparę.

Siedział w fotelu, trzymając brudne buty do końskiej jazdy na aksamitnej kanapce pod oknem. Gapił się pustym wzrokiem na ogród różany. Spod poduszek wystawała butelka jego ulubionej whisky. W zwisającej dłoni tkwiła szklanka. Butelka była prawie pusta, pił już podczas podróży. Spojrzał na mnie, kiedy wkroczyłam do pokoju; moje kremowe spódnice zaszurały o perski dywan. Obca twarz pokryła się maską bólu. Podkrążone oczy, zmarszczki, których przedtem nie widziałam, wokół ust.

— Beatrice — jęknął tęsknie. — Beatrice, dlaczego mi nie powiedziałaś?

Podeszłam bliżej, wyciągnęłam rozpostarte ramiona, jak gdybym chciała powiedzieć, że sama nie wiem.

— Opiekowałbym się tobą — stwierdził z oczami błyszczącymi od łez, z twarzą zalaną łzami. Bruzdy wokół ust wyglądały jak blizny po głębokich ranach. — Mogłaś mi zaufać. Obiecywałem, że będę się o ciebie troszczył. Powinnaś była mi zaufać.

— Wiem — głos załamał mi się, przeszedł w szloch. — Ale nie mogłam się zdobyć na wyznanie ci prawdy. Ja naprawdę cię kocham, John.

Jęknął i położył głowę na oparciu fotela, jak gdyby to wyznanie miłości nie zmniejszyło, lecz spotęgowało ból.

— Kto jest ojcem — spytał głucho. — Uległaś mu, kiedy zalecałem się do ciebie, prawda?

— Nie — odrzekłam. — Nie, to wcale nie tak. — Patrzył na mnie z takim wyrzutem, że spuściłam wzrok. Wpatrywałam się intensywnie w nici dywanu. Biała wełna połyskiwała jak ostrzyżona owca, zielenie i błękity miały odcień piórek zimorodka.

— Czy to ma coś wspólnego z porcelanową sową? — spytał nagle, aż podskoczyłam zdumiona jego spostrzegawczością. — Czy to ma coś wspólnego z marynarzem spotkanym wtedy na plaży? Z tym przemytnikiem? — dopytywał się. Wwiercał się we mnie wzrokiem. Miał w ręku wszystkie fragmenty układanki, lecz nie umiał ich złożyć. Nasze szczęście i miłość też rozpadły się na kawałki i nie potrafiłam ich naprawić. Teraz w chłodnym pokoju, przy zgaszonym kominku, dałabym wszystko, aby odzyskać jego miłość.

— Tak — odparłam, wdychając z drżeniem.

— To przywódca bandy? — spytał bardzo cicho, jak gdybym była pacjentką, z której uczuciami należy się obchodzić ostrożnie.



— John... — odezwała się błagalnie. Błyskawiczne rozumowanie Johna porwało mnie za sobą jak lawina, rzuciło w nurt kłamstw. Sama nie wiedziałam, do czego zmierzam. Nie mogłam zdradzić prawdy. Nie miałam jednak na podorędziu kłamstwa, które mogłyby go zadowolić.

— Zmusił cię? — głos jego znów brzmiał bardzo, bardzo delikatnie. — Groził ci czymś? A może groził Wideacre?

— Tak — westchnęłam głęboko i spojrzałam na niego. Wyglądał jak człowiek poddany torturom. — Och, John! — krzyknęłam. — Nie patrz tak na mnie. Usiłowałam się pozbyć dziecka, ale ono nie umarło! Jeździłam konno jak szalona, piłam jakieś obrzydlistwo! Nie wiedziałam, co robić! Gdybym ci wtedy powiedziała! Gdybym ci powiedziała! — padłam na kolana przy fotelu, ukryłam twarz w dłoniach i lamentowałam niczym wieśniaczka opłakująca zmarłego. Nie odważyłam się nawet dotknąć ręki Johna na poręczu. Mogłam tylko klęczeć, nieszczęsna, zrozpaczona, u jego stóp.

Wewnętrzny ból wyostrzył moje zmysły. Poczułam jego dłoń na pochylonej głowie. Podniosłam wzrok na Johna.

— Och, Beatrice, moja miłości — głos mu się załamał.

Przysunęłam mokry policzek do jego dłoni. Podłożył mi rękę pod brodę. Patrzyłam mu prosto w oczy.

— Idź teraz — powiedział łagodnie, bez gniewu, rozdzierająco smutnym głosem. — Jestem zbyt zmęczony i zbyt pijany, aby rozsądnie myśleć. To dla mnie koniec świata, Beatrice. Nie chcę jednak nic więcej mówić, dopóki wszystkiego nie przemyślę. Idź teraz.

— Czy pójdziesz spać do swojego pokoju? — spytał ostrożnie, mając na względzie jego wygodę. Niepokoiliła mnie bruźda zmęczenia i udręki na twarzy Johna.

— Nie. Będę spał tutaj. Poproś, żeby nikt mi nie przeszkadzał. Chcę na razie być sam.

Kiwnęłam głową, słysząc taką odprawę. Pochlipując, podniosłam się. Nie dotknął mnie już. Wolno poszłam do drzwi.

— Beatrice — odezwał się cicho.

Natychmiast się odwróciłam.

— Czy to prawda? — patrzył badawczo. — Że ten przemytnik zmusił cię do tego?

— Tak. — Cóż innego mogłam odpowiedzieć? — Bóg mi świadkiem, John. Nie chciałam być ci niewierna. Nigdy bym cię nie zdradziła, jeśli miałabym przed sobą wolny wybór.

Kiwnął głową, jak gdyby moja przysięga mogła zbudować most przez rzekę smutku na drugi brzeg, gdzie doszłoby do naszego spotkania. Nic więcej mi nie powiedział, wyszłam więc cicho z pokoju.

Narzuciłam szal i poszłam się przejść. Uważałam to za coś oczywistego. Zawsze gdy ból rozdziera mi serce, idę na spacer — przez ogród różany, furtką prowadzącą na wybieg, obok koni witających mnie z radością i dotykających nozdrzami moich kieszeni w poszukiwaniu łakoci, i dalej następną furtką do lasu w stronę rzeki Fenny.

Szłam, nie zatrzymując się, w jedwabnych trzewikach teraz poplamionych i ubłoconych; piękna suknia, którą założyłam do herbaty, ciągnęła się po trawie. Trzymałam głowę wysoko, a ręce zacisnęłam w pięści. Po policzkach płynęły mi łzy. Wyglądało, jak gdybym chciała po prostu zaczerpnąć świeżego powietrza; ot, młoda zona w samotności rozkoszuje się szczęśliwym powrotem ukochanego męża. Ileż to błogosławieństw ją

spotkało: zdrowo powity pierworodny syn, mąż gnający do niej jak szaleniec, bezpieczny piękny dom. Ja jednak nie wyliczałam dobrodziejstw losu, ale oplakiwałam wszystko, co straciłam.

Bo naprawdę kochałam Johna. Kochałam w nim kogoś równego sobie. Tego uczucia nigdy nie doświadczyłam z Ralphem, nie mogłam bowiem zapomnieć o jego cygańskiej krwi. Kochałam Johna jako kogoś dorównującego mi inteligencją — a to z kolei było niemożliwe z Harrym. Karmiony czysto książkową wiedzą Harry raczej tracił, niż zyskiwał na bystrości. Mój smukły błyskotliwy mąż posiadał mnie ciałem i duchem, to oznaczało dla mnie coś całkiem nowego i jak sądziłam, miało stać się na zawsze źródłem rozkoszy. Teraz spokój naszego związku wisiał na cieniutkiej nitce, którą sama uprzedłam i która mogła pęknąć wraz z wyznaniem prawdy. Nadal nie czułam się bezpieczna w Wideacre, chociaż zrobiłam wszystko co w mocy kobiety, aby to sobie zapewnić. Chciałam usidlić Harry'ego, ale mroczne igraszki doprowadziły do poczęcia dziecka i mojej zguby. Mąż mógł mnie teraz porzucić, zostawić w hańbie lub zabrać daleko od Wideacre.

Ból spod żeber podchodził coraz wyżej, do gardła, z każdym krokiem silniejszy, aż jęknęłam i oparłam głowę o pień wielkiego kasztana. Ocierałam się czołem o szorstką przyjazną korę, potem oparłam plecami o drzewo i podniosłam wzrok. Na tle błękitnego popołudniowego nieba różowe kwiaty pobłyskiwały niczym lodowe przybranie na ulubionym puddingu Harry'ego.

— Och, John — odezwałam się ze smutkiem.

Inne słowa nie przychodziły mi do głowy.

Dlaczego właśnie jego tak zraniłam, choć nie chciałam mu zrobić krzywdy? Mógł mnie teraz odepchnąć i już nigdy nie zostalibyśmy kochankami. Nie do wiary, że potrafiłam zadać mu tak wielki ból, że tak się ułożyły sprawy między nami. Czułam jeszcze na twarzy ciepłe pocałunki na powitanie, pamiętałam, jak namiętnie, z jaką ulgą obejmował mnie po przyjeździe. Wszystko potoczyło się tak szybko...

Stałam pod rozłożystymi konarami i czułam, jak płatki kwitnącego kwiecica spadają mi na włosy, jak spływają po policzkach niczym łzy. W tym momencie byłam w stanie zrezygnować niemal z Wideacre, z domu, z ziemi, aby nie łamać serca człowiekowi, który mnie pokochał. Niemal...

Czekałam, aż dobry las mnie pocieszy tak jak zawsze. Patrzyłam na Fenny i jej odwieczny niewzruszony nurt połyskujący wśród soczystej letniej zieleni. Zamknęłam oczy, aby lepiej słyszeć gruchanie leśnych gołębi i głos kukułki gdzieś w oddali, na nizinach.

Tego dnia jednak magia ziemi nie objawiła się, nie złagodziła mego bólu. W bibliotece spał człowiek, którego kochałam. Nie chciał patrzeć na mnie ani na dziecko. A tak pragnęłam, żeby je pokochał. Odzyskać jego miłość i zaufanie mogłam tylko kłamiąc. Musiałam wykorzystać cały swój spryt i trafić na moment, kiedy się przebudzi i wytrzeźwieje. Wróciłam więc do domu, nie płacząc już, z bladą twarzą i rozpaczą ukrytą głęboko w sercu.

Idąc przez ogród różany, Zerwałam jedną z róż, białą jak mleko, z ciemnymi błyszczącymi liśćmi. Kiedy schodziłam na kolację wyniosła niczym królowa, róża była w mej dłoni. Czując, że pod powiekami znów wzbierają łzy, mocno zacisnęłam dłoń na kolcach.

Mama i Celia wypominały mi nieobecność Johna przy stole. Celia poleciła podać jego ulubione danie — dziką kaczkę w cytrusach. zaproponowałam, abyśmy nie czekali na niego, lecz odstawili jego porcję na później.

— Jest wyczerpany — oznajmiłam. — Przebył bardzo długą podróż. Dajmy mu lepiej odpocząć.

Kiedy jadłam, biała róża leżała przy moim nakryciu. Żółty pączek i kremowobiałe płatki odcinały się od wspaniałej zieleni liści. Harry, Celia i mama konwersowali sobie miło, a ja przytakiwałam od czasu do czasu. Po kolacji usiedliśmy przy kominku w salonie. Celia grała na fortepianie i śpiewała, mama wyszywała, Harry zaś i ja patrzyliśmy na płonące polana.

Kiedy przyniesiono herbatę, przeprosiłam i wyszłam. John wciąż spał w bibliotece, rozparty w fotelu. Przysunął go do okna, a obok postawił stolik. Miał pod ręką szklankę i butelkę. Ze swego miejsca widział, jak szłam do lasu, i pojął zapewne, dlaczego idę tak wolno, z opuszczonymi ramionami. Jeśli odezwało się w nim echo dawnej miłości, skutecznie je zagłuszył. Pusta butelka potoczyła się pod fotel. Rozlana resztką whisky zrobiła plamę na drogocennym perskim dywanie. Odchylił głowę na poduszki i pochrapywał. Z komody w hallu wyjęłam pled i okryłam mu nogi z czułością, jak gdybym miała do czynienia ze śmiertelnie chorym człowiekiem. Byłam pewna, że się nie obudzi; uklękłam przy nim i przytuliłam policzek do kłującej, nieogolonej brudnej twarzy.

Nic więcej nie mogłam zrobić.

Serce rozdzierał mi ból.

Wreszcie wstałam i wróciłam do oświetlonego świecami salonu na herbatę. Celia czytała na głos jakąś powieść; to oszczędziło mi pytań. Oba zegary, w hallu i w salonie, wybiły zgodnie jedenastą. Mama westchnęła i podniosła się znad wyszywanego od wieków obrusa.

— Dobranoc, kochani moi — powiedziała i pocałowała Celię, która grzecznie dygnęła. Potem pocałowała mnie w czoło i cmoknęła w policzek Harry'ego, który otworzył jej drzwi.

— Dobranoc, mamó — pożegnał ją.

— Ty też się już położysz, Celio? — spytałam.

Mimo upływu czasu zachowała dawną potulność.

— Mam iść? — patrzyła wyczekująco to na mnie, to na Harry'ego.

— Tak, ogrzej nam łożę — uśmiechnął się Harry. — Muszę jeszcze pomówić z Beatrice o interesach. To nie potrwa długo.

Celia ucałowała mnie, a Harry'ego poklepała po policzku wachlarzem, kiedy otwierał jej drzwi. Potem wrócił na swoje miejsce przy kominku,

— Interesy? — spytałam, marszcząc znacząco brew.

— W zasadzie tak — uśmiechnął się porozumiewawczo. — Sądziłem, Beatrice, że doszłaś już do siebie po porodzie. Rozmyślałem o pokoju na strychu.

Ogarnęła mnie fala zmęczenia.

— Och, nie, Harry — odrzekłam. — Nie dzisiaj. Czuję się dobrze i niebawem znów się spotkamy w naszej kryjówce, ale nie dzisiaj. Wrócił John, a i Celia czeka na ciebie. Spotkamy się tam może jutro.

— Jutro nie będziesz się mogła wymknąć od wypoczętego Johna — twierdził Harry. Wyglądał jak rozkapryszone dziecko, któremu nie chcą dać zabawki. — Przez najbliższe tygodnie nie będziesz miała dla mnie czasu. Trzeba dzisiaj.

Westchnęłam ze zmęczenia. Natrętność Harry'ego i samolubna chęć zaspokajania żądzy napawała mnie niesmakiem.

— Nie — powtórzyłam. — To niemożliwe. Tam jest ciemno i zimno. Nie kazałam rozpalić kominka. Spotkamy się wkrótce, dziś jednak to niemożliwe.

— A więc tutaj! — zapalił się Harry. — Tu przy kominku. Nie widzę przeszkód, Beatrice.

— Nie, Harry — moja irytacja rosła. — John śpi w bibliotece, lecz w każdej chwili może się obudzić. Celia czeka na ciebie na górze. Idź do Celi, ona cię pragnie.

— Dziś w nocy pragnę ciebie — oznajmił Harry z uporem, a jego twarz przybrała zacięty wyraz. — Skoro nie możemy iść do tamtego pokoju, pragnę ciebie tutaj, teraz.

Baraskowanie z Harrym na szorstkim dywanie to ostatnia rzecz, jaka by mi przyszła wtedy do głowy, lecz wydawało się, że nie da się tego uniknąć.

— Chodź, Beatrice — Harry był natrętny jak szczeniaczek.

Ukląkł i jedną ręką objął mnie w talii, a drugą zanurzył pod moje spódnice i halki.

— A więc dobrze — odezwałam się gniewnie. — Poczekaj, Harry, podrzesz mi suknię. — I szybko rozwiązałam staniczek, podniosłam spódnice i halki i położyłam się przed kominkiem.

Widząc jego upór, zrozumiałam, że najlepszym sposobem na pozbycie się go będzie szybkie załatwienie sprawy. Podniecony Harry upora się ze swym nudnym zadaniem w parę minut. Już sama moja bliskość sprawiła, że dyszał ciężko i poczerwieniał na twarzy. Obnażył się od pasa w dół, a ja leżałam na plecach, bynajmniej nie zachęcająco, i pozwoliłam, aby we mnie wszedł.

— Och, Beatrice — powiedział, a ja uśmiechnęłam się ponuro.

Wolał spółkowanie bez entuzjazmu z mojej strony niż gorące pocałunki Celi w łóżu pana domu. Kiedy jego ciało zaczęło kołysać się znajomym rytmem, mnie także ogarnęło przyjemne uczucie. Uniosłam nieco biodra, a Harry z jękiem wsunął się we mnie jeszcze głębiej. Dopasowałam się do jego rytmu i zapomniałam już o swym początkowym oporze. Fale żaru mające źródło w ośrodku rozkoszy zalewały całe moje ciało, aż po koniuszki palców. Zbliżał się moment całkowitego oddania się słodkiej rozkoszy.

Resztką świadomości zarejestrowałam dźwięk niepodobny do chrapliwych jęków Harry'ego, do mojego posapywania — trzask otwieranych drzwi... i wtedy... za późno, o wieki za późno, zdałam sobie sprawę, że to trzask otwieranych drzwi salonu, odgłos klamki naciskanej dłonią mamy.

Zareagowałam bardzo, bardzo wolno. Ociężałe otworzyłam oczy, jak gdyby powieki ważyły tony. Mój brat rytmicznie opadał i podnosił się, a ja napotkałam wzrok mamy.

Stała w drzwiach niczym słup soli. Od świec z korytarza biła jasność. Oświetlała scenę rozgrywającą się przed jej oczami. Wypięte, tłuste białe pośladki Harry'ego. Moja blada twarz gapiąca się milcząco nad aksamitnego rękawa brata. Nadciągała katastrofa. Powolnie, nieubłaganie jak blask wschodzącego słońca.

— Zostawiłam tu książkę — odezwała się mama nedorzecznie, wpatrzona w nasze ciała splecione w świetle dogasającego na kominku ognia. Harry zamarł. Leżał na mnie, lecz odwrócił głowę w stronę drzwi. Wybałuszone oczy, spocona czerwona twarz. — Przyszłam po książkę — powtórzyła. Świecznik wypadł jej z rąk i runęła w tył, na plecy, jak gdyby ten widok własnych dzieci spowodował natychmiastową śmierć.

Harry jęknął jak powiew wiatru. Upadek mamy wyrwał mnie do reszty z transu. Chciałam coś zrobić, lecz czułam się jak mucha w smole, jak gdybym tonęła w rzece Fenny i pod lodową powłoką przedzierała się przez koszarne wodorosty. Uwolniłam się od ciężaru ciała Harry'ego, opuściłam halki i suknię, zawiązałam staniczek.

— Podciągaj spodnie — syknęłam, aby powrócił do rzeczywistości.

Chwiejąc się, wstał i zbierał niezdarne ubranie. Podeszłam do drzwi i niemal potknęłam się o mamę leżącą bezwładnie obok dymiącego świecznika. Jaskrawe oświetlenie hallu nadawało jej skórze zielony odcień. Na twarzy zastygła maska przerażenia. Instynkt kazał mi poszukać jej pulsu, sprawdzić, czy serce bije. Wyglądała na zmarłą. Nie wyczułam tętna.

— Mój Boże! — nie mogłam w to uwierzyć. Z nagłym zdecydowaniem zawołałam: — Harry! Pomóż mi zanieść mamę do łóżka.

Bez peruki, dzikim wzrokiem Harry gapił się na ciało matki, które trzymał w ramionach. Poszłam przodem, oświetlając schody jedną tylko świecą. Nasze postaci rzucały groteskowe cienie. Harry położył swój ciężar na łóżku. W osłupieniu patrzyliśmy na bladą znieruchomiałą mamę.

— Wygląda na poważnie chorą — odezwał się Harry.

Przerażona odebrałam jego słowa jak odległe spowolnione echo.

— Chyba serce przestało jej bić — stwierdziłam zimno. — Nie zdołałam wyczuć tętna.

— Musimy wezwać Johna — postanowił Harry i ruszył do drzwi.

Odruchowo podniosłam rękę, aby go zatrzymać.

— Nie, Beatrice — powiedział stanowczo. — Cokolwiek miałoby się zdarzyć, musimy chronić zdrowie mamy.

Wstrząsnął mną paroksyzm śmiechu.

— O, tak — zgodziłam się szyderczo. — Wypełnij swój obowiązek, ty dziedzicu za trzy grosze. — Odwróciłam twarz ze wstrętem.

I tak mnie zastali, nieruchomą jak posąg, wpatrzoną w zastygłą twarz mamy. Harry musiał niemal ciągnąć Johna po schodach. John zataczał się ze zmęczenia i przepicia. Harry bez słowa potrząsnął nim i wylał mu na głowę zimną wodę. Nieszczęśliwe przejścia wciąż spały alkoholowym snem w podświadomości mojego męża, lecz profesjonalista czuwał przez cały czas. Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę: kochałam go, kochałam go żarliwie wtedy, gdy z otchłani zmęczenia, alkoholu i rozpaczy wynurzył się odpowiedzialny lekarz i badawczo skierował oczy w czerwonych obwódkach na zielonkawą twarz mamy, a drżącą ręką szukał pulsu.

— Wyjdźcie, Harry — polecił. Ciężki oddech zalatywał alkoholem, nikt jednak nie śmiał się mu sprzeciwić. — Beatrice, moja torba jest w twoim gabinecie. Przynieś ją.

Wymknęliśmy się z pokoju jak złodzieje; Harry do salonu, aby wygładzić dywan i posprzątać, ja do zachodniego skrzydła po torbę lekarską Johna. Kiedy szłam, poprawiłam na sobie suknię, lecz nie miałam czasu, by uporządkować myśli. Płynęły cenne sekundy. Wróciłam z torbą do sypialni mamy. Leżała, mamrocząc do poduszek i do baldachimu nad łóżkiem: „Harry, Harry, Harry”. Nie miałam złudzeń. Widziała. Widziała dokładnie. Ochryply, szorstki głos wzywał syna do powrotu z piekła, z mrocznego tunelu grzechu, z



objąć własnej siostry, z dorosłości. Chciała powrotu małego chłopczyka, niewinnego dziecka o wijących się włosach.

— Harry — jęknęła. — Harry, Harry, Harry.

Ze zgrozą przeniosłam wzrok na Johna. Patrzył pusto, obojętnie. Jego inteligencja nie ogarnęła jeszcze znaczenia tych słów.

— Harry! — powtórzyła mama z chorobliwą monotonią. — Beatrice.

To nie rozumiejące spojrzenie nie mogło trwać wiecznie. Wreszcie znajdzie wyjście z labiryntu. Wybrałam tego mądrego kochanego człowieka dlatego, że nie spotkałam nikogo lepszego, kto mógłby się ze mną mierzyć pod względem bystrości, błyskotliwości. Teraz jego rozum miał się obrócić przeciwko mnie. Nie wiedziałam, kiedy nastąpi atak.

— Chciałam tylko zabrać książkę — odezwała się mama, jak gdyby to wszystko wyjaśniało. — Och, Harry! Beatrice! Nie!

John zwracał uwagę nie tylko na to, co mama mówi; badał też jej oddech i gestykulację — unoszenie ramion w bezsilnej obronie przed czymś.

— Przeżyła szok — oznajmił John, jak gdybym była studentem Królewskiej Akademii Medycznej zainteresowanym diagnostyką. — Nie wiem, co go spowodowało, ale był silny na tyle, że niemal ją zabił. Stan jest poważny. Jeśli przez dwa, trzy dni odpocznie od niepokojących myśli, być może powróci do równowagi i nie będzie więcej reagowała atakiem serca na przyczynę swego przerażenia. Trudne to, lecz do zrobienia.

Ze zniszczonej torby wyjął fiolkę i specjalną szklaneczkę z dzióbkiem ułatwiającym pacjentowi picie. Doświadczenie przydawało jego gestom pewności. Za ten ogromny wysiłek płacił jednak słono; na twarz wystąpił pot.

— Jedna, dwie, trzy, cztery — odmierzał skrupulatnie. Każde słowo zionęło alkoholem. — Musi zażywać cztery krople co cztery godziny. Rozumiesz, Beatrice?

— Tak — odparłam.

Uniósł bezradne ciało mamy i fachowo zaaplikował zawartość szklaneczki. Ułożył chorą z powrotem na poduszkach, poprawił kódrę, wygładził poduszki.

— Harry! Harry! Harry! — zawołała, zabrzmiało to jednak trochę ciszej.

— Musisz z nią posiedzieć, ty albo Harry — stwierdził zatroskany. — Za cztery godziny, nie wcześniej, może zażyć następną dawkę czterech kropli. Za cztery godziny, nie wcześniej, następne cztery krople, aż zapadnie w naturalny sen, nie niepokojona koszmarami. Rozumiesz?

— Tak — powtórzyłam głosem wypranym z wszelkich uczuć.

— Przekroczenie tej dawki sprawi, że serce przestanie bić — ostrzegł. — Nie wolno jej zażyć więcej. Potrzebuje odpoczynku. Za dużo laudanum, a nastąpi zgon. Rozumiesz?

— Tak — powtórzyłam równie monotennie.

— Cztery krople co cztery godziny — polecił raz jeszcze.

Te powtarzane parokrotnie wskazówki, bezustanny jęk mamy, świadomość grzechu, który popełniłam, i pętli zaciskającej się wokół mojej szyi sprawiały, że sypialnia wydawała mi się duszną norą. Świece na nocnym stoliku ociekały woskiem, migocące cienie chyliły się ku mnie. Mój mąż nie mógł mi spojrzeć prosto w oczy.

Mój brat przyłapany na grzechu razem ze mną, zniknął gdzieś bez śladu. A na łóżku obok mama mamrotała jak szalona.

John z wysiłkiem zamknął torbę i chwiejnym krokiem podążył do drzwi.

— Nie więcej niż cztery krople, nie wcześniej niż za cztery godziny. Rozumiesz, Beatrice?

— Tak — powiedziałam jeszcze raz.

Zataczając się doszedł do schodów. Zegary wybiły północ złowieszczym chórem, kiedy John chwycił się kurczowo poręczy. Podniosłam świecznik, aby oświetlić mu drogę. Torba objęła się o słupki balustrady, niebezpiecznie płątała się pod nogami. Dobrnął do drzwi biblioteki i prawie upadł, gdy klamka ustąpiła. Odstawiłam świecznik i niczym duch pomknęłam na dół.

— Pilnuj mamy — poleciłam Harry'emu, który stał jak zapóźniony gość w drzwiach salonu. Kiwnął głową w niemej rozpacz. Zaczekałam, aż wejdzie po schodach i zamknie drzwi sypialni. Zebrałam całą odwagę, jaka mi jeszcze pozostała, i otworzyłam drzwi biblioteki, gotowa na spotkanie z moim mężem.

Wrócił tam, gdzie przesiedział cały dzień. Między kolanami trzymał jednak nową butelkę whisky, a w dłoni szklanek z nową porcją bursztynowego płynu. Brudne buty położył na kanapce pod oknem, głowę oparł na poręczy fotela.

— Co mogło spowodować atak mamy? — spytałam, podchodząc do fotela oświetlonego jedynie lodowatą poświatą sączącą się zza okna.

Spojrzał z niezwykłym wyrazem twarzy niczym dziecko, które budzi się w ciemnym pokoju i nie wie, gdzie jest.

— Nie wiem — odrzekł. — Cały czas mówi „Beatrice” i „Harry”, jak gdybyście mogli jej pomóc. Nie wiem jednak, o co jej chodzi. Nie wiem też, dlaczego powtarza „Przyszłam tylko po swoją książkę”. Rozumiesz coś z tego, Beatrice?

— Nie — stwierdziłam z nadzieją, że powaga w moim głosie zabrzmiała przekonująco. — Nie wiem, John. Widocznie coś ją zdenerwowało, ale nie mam pojęcia co. Nie wiem, jaką powieść czytała.

Odwrócił twarz. Wiedziałam, że w tej chwili zapomniał o pacjentce, że myślał o żonie.

— Idź już, Beatrice — odezwał się smutno. — Wiesz, że chciałbym ci przebaczyć, żeby wszystko było między nami jak dawniej, ale jestem wyczerpany. Zająłem się twoją mamą, najlepiej jak umiałem. Jej życiu nic nie zagraża. Nic więcej nie mogę na razie zrobić. Obiecuję, że będzie żyła. Obiecuję, że porozmawiam z tobą rano. Czuję jednak, że teraz powinienem być sam, sam oplakiwać swój los. Wróciłem do domu pełen nadziei, a tu nagle wszystko się zmieniło, wywróciło do góry nogami. Daj mi trochę czasu. Jutro znów będę sobą.

Kiwnęłam głową i pochyliłam się, żeby pocałować go w czoło.

— Przepraszam — i nie kłamałam. — Postępowałam źle, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak źle. Ale przepraszam za ból, który ci sprawiłam. Kocham cię, przecież wiesz.

Dotknął mojej dłoni, lecz nie uściśnął mi palców.

— Wiem o tym, Beatrice. Podaruj mi jednak trochę samotności. Jestem pijany, zmęczony i ledwo mówię.

Pocałowałam go jeszcze raz i wyszłam na paluszkach z biblioteki. Przy drzwiach zatrzymałam się i obejrzałam. Pogrzyżył się znów w swoim świecie alkoholu i znużenia. Nalał sobie nową porcję whisky i

pociągnął spory łyk, starając się nie uronić ani kropli. Wtedy uznałam, że spotkała mnie niesprawiedliwość i zbyt surowa kara. Gdyby istniała inna droga do Wideacre...

Ja nie mogłam siedzieć w bibliotece i powtarzać, że muszę mieć czas na zastanowienie. W sypialni na górze jęczała mama, a mój brat przysłuchiwał się temu ze wzrastającym przerażeniem.

Ziemia za oknem wzywała gospodarnego dziedzica. Nie mogłam spocząć, jeszcze wiele pracy przede mną.

Harry siedział przy mamie. Twarz miał równie bladą jak ona.

— Beatrice! — zawołał na mój widok.

Odciągnął mnie od łóżka i zaczął mówić półgłosem rozgorączkowany:

— Beatrice! Mama wie! Widziała nas! Mówi przez sen, wie o wszystkim! Co teraz zrobimy?

— Och, przestań, Harry! — przerwałam mu bez ogródek, zbyt wyczerpana, aby koić jego sumienie w chwili, gdy mój mąż chciał odpocząć ode mnie, a serce mamy przestawało bić w mojej obecności, jak gdybym była aniołem śmierci. — Przestań, Harry! Dostyc już udawania bezradnego niewiniątka.

Harry rozdziawił usta, słysząc ostry ton mego głosu. Bez pardonu wypchnęłam go z pokoju.

— Jedno z nas musi siedzieć przy mamie i podać jej laudanum — stwierdziłam krótko. — Zostanę tu do trzeciej lub czwartej, tobie przypadnie dyżur przez resztę nocy. Idź teraz i prześpij się.

Chciał się kłócić, ale odepchnęłam go tylko pięściami.

— No idź! Mam już dość tej nocy i ciebie. Idź i prześpij się, żebym ja mogła się zdrzemnąć po tobie, a rano znajdziemy jakieś wyjście. Na litość boską, idź już.

Desperacja w moim głosie przecięła wreszcie jego staropanieńskie fochy. Ucałował moje pięści bez słowa i oddalił się do swojej sypialni. Odwróciłam się na pięcie i znużona powlokłam do pokoju mamy, niczym skazaniec wstępujący na szafot.

Mama rzucała się na poduszkach i jęczała przerażona. Raz po raz powtarzała: „Harry!” lub „Beatrice!” albo „Nie! Nie!” Działanie laudanum nie pozwalało jej powiedzieć więcej. Czuwanie przy łóżku mamy nie oznaczało miłego próżnowania. Na parterze mój mąż pił, bo wołał to niż patrzeć na mnie. Za ścianą Harry wślizgiwał się pod koldrę, spragniony bezgrzesznego ciepła. Serce mamy usiłowało bić pomimo porażającej jej wiedzy. Tylko ja czuwałam tej nocy. Niczym czarownica siedziałam w cieniu przy świetle księżyca, patrząc na srebrną smugę tworzącą ścieżkę ode mnie do łóżka mamy. Czerpałam siłę z ciemnej ziemi za oknem i czekałam na chwilę, kiedy będę gotowa do czynu.

Powolna wędrówka księżyca po bezchmurnym niebie połączyła po raz ostatni srebrzystą rzeką mamę i mnie. Stąpając lekko tym szlakiem, zbliżyłam się do mamy i spojrzałam na nią. Wypreżyła się, jak gdyby czując na sobie mój wzrok, nie obudziła się jednak. Obserwowałam bladą twarz i chrapliwy oddech. Uśmiechnęłam się nagle wyzbyta wątpliwości. Zerknęłam na zegar. Za godzinę można podać następną dawkę. Obudzę Harry'ego.

Znów jak duch wymknęłam się z pokoju i zapukałam do drzwi jego sypialni. Otworzyła Celia.

— Harry śpi — szepnęła. — Powiedział, że wasza mama jest chora. Czy mogłabym przy niej posiedzieć?

Uśmiechnęłam się. Wszystko szło po mojej myśli, niczym po księżycowym promieniu.

— Dziękuję, Celio. Dziękuję, moja droga — powiedziałam z wdzięcznością. — Jestem taka zmęczona. — W ręce trzymałam fiolkę laudanum i szklaneczkę na lekarstwa. — Daj jej to za pół godziny — poleciłam. — John udzielił mi dokładnych instrukcji, zanim poszedł spać do biblioteki. Kazał dopilnować, aby zażyła całą zawartość.

Celia wzięła buteleczkę z laudanum i kiwnęła głową na znak, że rozumiała.

— Dopilnuję, aby zażyła. Czy John odczuwa nadal skutki zmęczenia?

— Chyba już doszedł do siebie — oznajmiłam. — Wspaniale zajął się mamą. Harry na pewno ci opowie. I tak jasno potrafił przekazać zalecenia!

Celia znów kiwnęła głową.

— Idź i prześpij się — poradziła. — Wezwę cię, jeśli zajdzie potrzeba, lecz na razie wypocznij, Beatrice, a ja podam laudanum ściśle według wskazówek Johna.

Skinęłam przyzwalająco i zostawiłam Celię przy drzwiach sypialni. Na paluszkach zesłam po schodach i zatrzymałam się przed biblioteką, nasłuchując charczącego oddechu. Ostrożnie pchnęłam drzwi i weszłam.

Świt sączył się przez okna szarym cieniem. Z trudem poznałam w tym wraku mężczyznę, który kiedyś z dumą mówił, że mnie kocha. Tkwił w fotelu, lecz granatowa kurtka podróżna i bryczesy pokryły się plamami wymiotów. Musiał rozbić szklankę o kamienny kominik i pić prosto z butelki, opróżnił ją niemal do dna i usnął. Torba lekarska leżała na podłodze obok, a wokół walały się pigułki i fiołki.

Baczenie obserwując bezwładne, powalane, przesiąknięte alkoholem ciało, uniosłam falbany i powolutku wycofałam się do drzwi. Zamknęłam je na klucz. Nie chciałam, aby jakaś lojalna pokojówka czy młody gorliwy lokaj doprowadzili męża panienci Beatrice do porządku, aby oszczędzić jej przykrego widoku.

Szeleszcząc jedwabną suknią wieczorową, pomknęłam do skrzydła zachodniego, do mojej sypialni.

Moja pokojówka od dawna spała; nie miałam serca kazać służbie, aby czekała na mnie po północy. Sama rozebrałam się z sukni i przepoconych halek. Całe wieki temu bielizna obciskała mi talię i przeszkadzała w spółkowaniu z Harrym. Teraz zostawiłam na podłodze garderoby całe ubranie przesiąknięte niewiarygodnie odległą przeszłością: suknię, staniczek, halki, pończochy.

Z szafy wyjęłam lekki szlafroczek, różowy, obiecujący jak wschodzące słońce. Zapowiadał się długi upalny, ciężki dzień. Będę musiała wyteżyć umysł.

W miednicy stała zimna woda, którą spryskałam sobie twarz i drżące ciało. Spośród wszystkich ludzi śpiących w domu ja musiałam wykazać się największą przytomnością i świeżością. Nadszedł dzień wielkiej próby. Moje prawo do Wideacre wisiało na włosku. Nie mogłam zaniedbać żadnego szczegółu.

Wśliznęłam się w chłodny jedwabny szlafroczek, narzuciłam na ramiona szal i usadowiłam się w fotelu czekając. Minęła już chyba godzina, odkąd zostawiłam Celię, byłam jednak zbyt ostrożna, aby podkraść się do głównej części domu i nasłuchiwać. Przezorna i opanowana siedziałam ze stopami na małym stołeczku i czekałam, aż sprawy potoczą się biegiem, który im nadałam. Wtem usłyszałam trzask drzwi, a potem stukanie do drzwi biblioteki i przerażony głos Celi wołającej mojego męża.

— John! John! Obudź się!

Usłyszałam, jak wpada do zachodniego skrzydła. Stałam w otwartych szeroko drzwiach mojej sypialni, aby ją powitać. Udałam, że zerwałam się dopiero co z łóżka, słysząc nawoływania.

— Co się dzieje? — spytałam.

— Mama! — odezwała się z rozpaczą. — Dałam jej laudanum, tak jak kazałaś, i chyba usnęła. A teraz wydaje się całkiem zimna i nie czuję pulsu.

Wyciągnęłam ręce, a ona uścisnęła je mocno. Młodziutka przestraszona twarz. Zbiegłyśmy razem po schodach.

— A John? — spytałam.

— Nie mogę go dobudzić. Chyba zamknął się od wewnątrz na klucz — rozpacziała.

— Mam zapasowy klucz — stwierdziłam i otworzyłam drzwi na oścież, tak by Celia mogła zobaczyć panujący w pokoju bałagan. Światło poranka uwydatniło plamy na ubraniu Johna i ślady wymiotów na kamiennej obudowie kominka oraz drogocennych dywanach. Przez sen przechylił trzymaną butelkę, tak że jego głowa spoczywała w kałuży rozsiewającej kwaśną woń whisky. Fotel wyrócił się. Poduszki na kanapce pod oknem pokryły się błotem z butów. Mój mąż, duma braci lekarskiej, leżał jak pies we własnych wymiotach i spał jak zabiły, nie zważając na cały rumor i krzyki.

Podeszłam do dzwonka i zadzwoniłam długo, głośno. Potem przyniosłam dzbanek wody i chlusnęłam mu w twarz. Odwrócił głowę i jęknął. Z pokojów służby dobiegło stukanie garnków i pospieszne kroki. Na górze człapały bosc stopy Harry'ego. Zjawił się jednocześnie z pomywaczką.

— Stan mamy się pogorszył, a John jest pijany — oznajmiłam Harry'emu ze świadomością, że każde słowo zostanie powtórzone we wsi Acre i gdzie indziej przez służącą.

— Idźcie do mamy — powiedział Harry stanowczo. — Ja obudzę Johna. — Pochylił się nad moim mężem i dźwignął go na fotel. — Wiadro zimnej wody — zażądał od dziewczyny — prosto ze studni kuchennej, a do tego kwartę gorzycy i dużo ciepłej wody.

— A ty obudź chłopców stajennych i Stride'a — kazałam Celi, kiedy szłyśmy do schodów. — Poślij jednego z chłopców do Chichester. Potrzebujemy dobrego lekarza.

Zignorowałam jęk Celi i podążyłam do mamy. Nie żyła. Wiedziałam, że tak będzie.

Nie cierpiała i to mnie cieszyło, bo śmierć papy była okrutna, nieludzka, a agonia za sprawą Ralpa trwała całą noc. Ostatni, jak miałam nadzieję, zgon w imię losów Wideacre nastąpił lekko, we śnie, po zażyciu lekarstwa. Mama leżała na kosztownych koronkowych poduszkach na pretensjonalnym, nowomodnym białozłotym łóżku. Środek nasenny utrwalił na jej twarzy uśmiech. Pewnie śniło jej się coś miłego. Potężna dawka podana kochającymi rękami synowej przeniosła mamę z koszmaru prawdy o nas do pałacu przyjemnych halucynacji, gdzie już nigdy nic jej nie zaniepokoi.

Uklękłam przy łóżku i przytuliłam czoło do jej dłoni. Kilka łez popłynęło na haftowaną pościel.

— Odeszła — Celia także nie miała wątpliwości.

— Tak — potwierdziłam cicho. — Jakże spokojnie to się odbyło, Celio. Powinnam być szczęśliwa, że mama odeszła w spokoju.

— Pobiegłam po ciebie i Johna, chociaż wiedziałam, że już jest za późno — przyznała Celia opanowanym głosem. — Wtedy wyglądała tak samo. Musiała umrzeć wkrótce po tym, jak podałam jej lekarstwo.



— John mówił, że serce może nie wytrzymać — powstałam i odruchowo wygładziłam kołdrę. Podeszłam do okna, aby je otworzyć i zaciągnąć zasłony. — Wiele bym jednak dała, aby to on przy niej siedział.

— Nie wiń go, Beatrice — odparła Celia z nagłą czułością. — Przeżył długą męczącą podróż. Nie mógł przewidzieć, że twoja mama tak nagle zachoruje. Dość długo go nie było, a my widząc przecież mamę na co dzień, niczego nie zauważyliśmy. Nie wiń go.

— Nie. — Odwróciłam się od okna i spoglądałam na pogrążony w półmroku pokój. — Nie. Nie można tu nikogo winić. Wszyscy wiedzieliśmy, że mama ma słabe serce. Nie winię Johna.

Wokół nas Wideacre jak każdego dnia budziła się do życia, lecz panowała dziwna cisza. Służący pracowali w pośpiechu, przekazując sobie szeptem przerażającą nowinę. Zamknęłyśmy drzwi sypialni mamy i zeszłyśmy do salonu.

— Poproszę o kawę dla ciebie — delikatnie odezwała się Celia i pociągnęła za dzwonek.

Siedząc w salonie, słyszałam ciężki chód Harry'ego prowadzącego Johna tam i z powrotem w bibliotecę, aby przyspieszyć trzeźwienie. Potem odgłosy krztuszenia się, kiedy zmusił Johna do wypicia wody z gorczycą. Odrażający dźwięk wymiotowania. Łyk czystej whisky. Celia skrzywiła się. Usiadłyśmy przy oknie, aby tego nie słuchać. Tam przynajmniej śpiewały ptaki.

Był piękny bezwietrzny poranek. Pachniały róże. W ciepłym powietrzu unosiła się mgiełka niczym zapowiedź jakiegoś odrodzenia. Młode liście na bukach, srebrzyste od rosy, błyszcząły w lesie, a w dolinach przerywających zieloną linię nizinnego horyzontu mgła tworzyła blady, delikatny woal. Bezcenna ziemia. Ziemia warta każdej ceny. Ujęłam filiżankę kawy w dłonie ze świadomością, że działam w imię słusznej sprawy. Wypiłam duszkiem parzący płyn.

Drzwi salonu otworzyły się i wszedł Harry. Blady, przybity, lecz mimo wszystko wyglądał lepiej, niż się spodziewałam, a już bynajmniej nie jak ktoś winny. Bez słowa wyciągnął ramiona, a Celia rzuciła mu się w objęcia.

— John wreszcie doszedł do siebie — odezwał się do mnie ponad głową Celi. — Mógł wybrać inną porę na pijaństwo, ale teraz jest już trzeźwy.

Celia uwolniła się z uścisku i nalala Harry'emu kawy. Harry upadł na swoje krzesło przy kominku, gdzie tliły się resztki drewna.

— Widziałem ją — stwierdził krótko. — Ma bardzo spokojny wyraz twarzy.

— Bo taką miała śmierć — zapewniła Celia. — Nie mówiła nic. Po prostu uśmiechnęła się i zasnęła.

— Ty z nią byłaś? — spytał zdumiony. — Sądziłem, że siedziała przy niej Beatrice.

— Nie — odparła Celia, a ja spuściłam powieki, by ukryć błysk zadowolenia w oczach. Wszystko przebiegało wręcz fantastycznie. — Beatrice obudziła mnie, a sama się położyła. Ja byłam z twoją mamą, kiedy zmarła.

Podniosłam wzrok i spostrzegłam, że w drzwiach stoi John. Narzucił szlafrok na poplamioną koszulę. Twarz i włosy miał mokre od otrzęwiających zabiegów Harry'ego. Wyglądał na człowieka przytomnego. Spięłam się niczym zając czujący w pobliżu wilka.

— Czy nie zażyła czasem zbyt dużej dawki? — spytał.

Język mu się trochę plątał, a głowa chwiała się jak u pięściarza, który przyjął zbyt wiele ciosów.

— Według twoich zaleceń — odrzekłam. — Celia zrobiła tak, jak kazałeś.

— Celia? — Oczy Johna zwięzły się pod wpływem jaskrawego blasku słońca. Podniósł rękę do czoła, aby się przed nim osłonić. — Myślałem, że to ty czuwałaś w nocy.

— Kładź się do łóżka, człowieku — odezwał się Harry chłodno. — Wciąż jesteś zamroczony. Zostawiłeś Beatrice i mnie, żebyśmy zajęli się mamą, potem Celia nas zastąpiła. Sam niewiele pomogłeś.

Potykaçąc się, John podszedł do krzesła przy drzwiach. Zaczął się wpatrywać w podłogę.

— Cztery krople — powiedział wreszcie. — Cztery krople co cztery godziny. To nie za duża dawka.

— Nie wiem w ogóle, o czym mówisz — mój głos ciął powietrze jak ostry kamień rysujący powierzchnię lodu. — Wręczyłeś mi fiolkę i kazałeś dać mamie. Celia tak właśnie zrobiła, a potem mama zmarła. Czyżbyś twierdził, że się pomyliłeś?

John rzucił mi spod zmrużonych powiek spojrzenie świadczące, że intensywnie szuka czegoś w pamięci.

— Ja się nie mylę w dawkowaniu lekarstw — powiedział głucho, szukając ratunku w tym stwierdzeniu.

— Kto tu mówi o błędzie — odparł niecierpliwie Harry. — Idź lepiej do łóżka. Mama umarła. Mógłbyś okazać trochę szacunku.

— Przepraszam — niezbyt zręcznie odezwał się John.

Z trudem wstał. Zrezygnowany Harry chwycił go pod ramię i skinieniem głowy polecił mi, abym mu pomogła.

— Nie ważcie się mnie tknąć, wy dwoje! — krzyknął John i o własnych siłach dobrnął do drzwi.

Niestety wkrótce stracił równowagę. Kolana ugięły się pod nim i byłby upadł, ale Harry zdążył go podtrzymać. Z niechęcią chwyciłam Johna pod ramię z drugiej strony. I tak powlekliśmy go po schodach do skrzydła zachodniego, do jego sypialni.

Już chciałam wychodzić, kiedy John z niespodziewaną siłą schwycił mnie za nadgarstek.

— Powiedziałem: cztery krople, prawda, Beatrice? — wyszeptał. Oczy patrzyły nad wyraz przytomnie. Zrozumiał. — Wiem także, o czym ona mówiła i co widziała, co znalazła, kiedy przyszła po książkę. Beatrice i Harry. Powiedziałem ci: cztery krople, a ty przekazałaś Celii: całą fiolkę, tak?

Czułam, jak delikatne kości mojej ręki zaczynają trzeszczeć, lecz nie uczyniłam najmniejszego ruchu. Przygotowywałam się do tej sceny od świtu. Mógł złamać mi rękę, lecz nie mógł mnie pokonać. Z bólem zdobyłam się na kłamstwo wobec jedynego mężczyzny, którego naprawdę kochałam, jednak cóż... Moje oczy, zimne jak zielone kryształki lodu, wytrzymały jego spojrzenie. Wzbierała we mnie energia. Walczyłam o Wideacre! Przeciwno mojej prawdzie John mógł postawić zaledwie rojenia pijaka.

— Byłeś pijany — odezwałam się zjadliwie. — Tak pijany, że nie umiałeś zalecić odpowiedniego lekarstwa. Zawartość twojej torby walała się po całej podłodze biblioteki. Celia zobaczyła to dziś rano. Widziała to też służba. Nie wiedziałeś, co robisz. Zaufałam ci, bo wierzyłam, że jesteś wspaniałym lekarzem, świetnym specjalistą. A ty, kompletnie pijany, nawet nie zostałeś, by czuwać przy mamie. Jeśli zażyła zbyt dużą dawkę laudanum, to twoja wina. Ty dałeś mi lekarstwo do rąk i polecieś podanie go chorej. Jeśli zmarła z tego powodu, ty jesteś mordercą i zasługujesz na powieszenie.

Puścił mój nadgarstek, jak gdyby go oparzył.

— Cztery krople co cztery godziny — dyszał. — Tak ci poleciłem.

— Nic nie pamiętasz — stwierdziłam stanowczo ze wzgardą.

— Ale to co ci teraz powiem, zapamiętasz. W razie choćby cienia wątpliwości co do śmierci mamy wystarczy jedno moje słowo, a zawiśniesz.

Patrzył szeroko otwartymi oczami ze wstrętem, jak gdybym zionęła siarką z najgłębszych czeluści piekielnych.

— Mylisz się — wyszeptał. — Wszystko doskonale pamiętam. Nikczemny koszmar, podłość, w którą nie mogę uwierzyć. A jednak doskonale sobie przypominam ten deliryczny sen.

— Dość już, złotousty! — ucięłam niecierpliwie i odwróciłam się do wyjścia. — Przyślę ci jeszcze jedną butelkę whisky — oznajmiłam pogardliwie. — Chyba dobrze ci zrobi.

Dopiero wtedy się załamalam.

Przez cały okres przygotowań do pogrzebu mamy, organizacji ceremonii, zapraszania gości, szycia czarnych strojów dla służby i układania menu przebywałam z Celią. Wciąż się wahałam. Na tydzień przed pogrzebem już, już miałam otworzyć drzwi sypialni Johna, i myślałam o tym przynajmniej raz dziennie. Tak niedawno nauczyłam się go kochać i nadal go kochałam gdzieś w najskrytszym kąciaku mego serca.

Potem przyszło jednak zastanowienie. Co John właściwie o mnie wiedział? O dreszcz przyprawiała mnie myśl, co by się stało, gdyby paplanina Johna doszła do uszu Celi. Gdyby Celia i John zaczęli snuć domysły na temat ojca Richarda. Zdejmowałam dłoń z klamki i odchodziłam spod drzwi pokoju mojego męża z zaciętą twarzą i niewzruszonym spojrzeniem. On przejrzał tajemnicę mojej zbrodni. Widziałam swe odbicie w jego oczach i nie byłam w stanie tego znieść. Znał tę poniżającą, deprawującą cenę, którą musiałam zapłacić, aby poczuć się bezpieczna w Wideacre. W oczach Johna nie byłam słaba i upokorzona; byłam zhańbiona.

W całej krzątaninie i zamieszaniu, chcąc urządzić mamie pogrzeb godny Wideacre, nie zapomniałam polecić Stride'owi, aby dostarczał butelkę whisky do sypialni doktora MacAndrew — codziennie w południe i w porze kolacji. Stride wyrażał wzrokiem milczące współczucie, a ja zdobywałam się na nikły uśmiech. „Źle trafiła” — tak brzmiał werdykt służby i chociaż John nie musiał czekać na czystą szklanekę czy świeżą wodę do popicia trunku, służący gardzili nim.

Plotka, że to nieudolność doktora spowodowała śmierć mamy, rozniosła się daleko poza dwór i wieś Acre. Doszła do uszu dam z towarzystwa dzięki gadatliwym pokojówkom i lokajom. Gdyby John chciał powrócić do swych zwykłych wizyt, przyjęć, obiadów, znalazłby przed sobą zamknięte drzwi. Nie mógł wrócić do świata, dopóki ja nie wprowadzę go do niego na nowo.

Nie wzywano go nawet do prostych rodzin farmerów ani do domów kupców z Chichester i Midhurst. Nawet niższe sfery słyszały plotkę. Patrzono na niego krzywo w każdej wiosce w promieniu stu mil. Ganiono go za pijaństwo i nieudolność postępowania z lady Lacey, za doprowadzenie do rozpaczki panienci Beatrice, ulubienicy całego hrabstwa.

Przez parę dni wcale nie udawałam żalu. Strach przed Johnem, przed hańbą, jeśli prawda wyjdzie na jaw, sprawił, że coraz bardziej oddalałam się od męża. Zanim odbył się pogrzeb, w tydzień po tym jak groziłam Johnowi szubienicą, jeśli mnie zdradzi, wiedziałam już, że go nienawidzę i że nie spocznę, dopóki go nie wypędzę z Wideacre i nie uciszę na dobre.

Żywiłam nadzieję, że w dniu pogrzebu będzie pijany, lecz kiedy Harry pomagał mi wsiąść do powozu, w drzwiach frontowych w pełnym czerwcowym słońcu ukazał się John, starannie ubrany w świetnie skrojony czarny garnitur, nienagannie upudrowany, z trójgraniastym kapeluszem przybranym czarną wstążką. Był bardzo blady i drżał mimo palącego słońca. Nie wypił jednak ani kropli więcej, niż potrzebował do trzymania się na nogach, a spojrzenie miał stanowcze i przenikliwe. Na tle Johna Harry wyglądał jak zadowolony z siebie tłuścioch. John równym krokiem podszedł do powozu niczym blady anioł mściciel i usiadł naprzeciwko mnie, nie zamieniając z nikim ani słowa. Trzeźwy mściwy John mógł mnie zrujnować. Miał przecież prawo, aby mi rozkazywać, aby mnie kontrolować, śledzić każdy mój ruch i sprawdzać, czy spałam w nocy we własnym łóżku. Mógł o każdej porze dnia i nocy przyjść do mojej sypialni. Co gorsza, mógł — i na myśl o tym zacisnęłam dłonie w czarnych rękawiczkach, aby ukryć drżenie palców — wyjechać z Wideacre i wnieść pozew o rozwód, jeśli odmówiłabym towarzyszenia mu.

Kradnąc jego nazwisko dla mego pozbawionego ojca syna, obrabowałam samą siebie z wolności. Dzień i noc poddana nadzorowi męża i wroga zarazem, który w majestacie prawa mógł mnie uwięzić, pobić, zabrać z domu rodzinnego. Nie dla mnie przywileje (ograniczone, lecz rzeczywiste) staropanieństwa. Byłam żoną, a skoro mąż mnie znienawidził — czekała mnie niewesoła przyszłość.

John pochylił się i pogłaskał drobną dłoń Celi, w której trzymała modlitewnik.

— Nie zamartwiaj się — odezwał się czule. Głos brzmiał ochryple; skutek niewyspania i ciągłego popijania. — Mama miała spokojną lekką śmierć, a za życia czuła się szczęśliwa, mając was wokół siebie. I małą Julię. Więc nie zamartwiaj się. Wszyscy powinni modlić się o takie dobre, pełne miłości życie i spokojną lekką śmierć.

Celia skinęła głową i jej ręka w czarnej rękawicze odwzajemniła gest Johna.

— Tak, masz rację — odparła cicho, próbując powstrzymać łzy. — Duża to jednak dla mnie strata. Była tylko teściową, lecz kochałam ją jak córka własną matkę.

Szczerze wyznanie Celi sprowokowało Johna do rzucenia mi ostrego ironicznego spojrzenia. Czułam, jak policzki pod woalką płoną mi gniewem. Sentymalna konwersacja!

— Wierzę ci — zgodził się John, nie spuszczać ze mnie wzroku. — Jestem pewny, że i Beatrice myśli podobnie. Czyż nie, Beatrice?

Usiłowałam znaleźć taki ton głosu, który nie zawierałby wściekłości i strachu. John tkał misterną sieć. Ślizgał się niczym doświadczony łyżwiarz po cienkiej tafli prawdy. Rzucił mi wyzwanie. Straszyl. Ale ja też dysponowałam bronią i on doskonale o tym pamiętał.

— Zaiste — odrzekłam opanowanym głosem. — Mama zawsze mówiła, że miała szczęście, że dobrze trafiliśmy z Harrym. Prześliczna synowa i udany zięć, lekarz.

To mu dopiekło i wiedziałam, że tak będzie. Jedno moje słowo, a uniwersytet skreśliłby jego nazwisko z listy absolwentów. Jedno moje słowo, a czeka go stryczek, od którego nie uratuje go nawet cały spryt. Jeśli mnie rozsierzdzi, wywołam skandal. Dojdzie do procesu o spowodowanie śmierci mamy. Publicznie przyznam, że przedawkował lekarstwo, kiedy był pijany, i nie znajdzie się nikt, kto zaprzeczy moim słowom.

John wyprostował się, uważając, aby nawet ciałem nie dotknąć siedzącego obok Harry'ego. Zauważyłam, że przygryza wargi, aby ukryć ich drzenie. Ścisnął dłonie. Musiał się napić, żeby zapanować nad zmojami, które go dręczyły.

Wszyscy czworo wyglądaliśmy w milczeniu przez okno na mijane wysokie drzewa, pola i chatki wsi Acre. Rozbrzmiewał dzwon pogrzebowy, a na polach robotnicy zdejmowali kapelusze i przerywali pracę, kiedy przejeżdżaliśmy. Zaraz potem wracali do zajęć, a ja żałowałam dawnych czasów, kiedy okoliczni mieszkańcy dostawali dzień płatnego urlopu, aby mogli pożegnać swojego pana. Ale dzierżawcy, a nawet najubożsi wyrobnicy poświęcili pół dnia i stawili się tłumnie w kościele na pogrzebie mamy.

Mama przypominała im o poprzednim dziedzicu, moim papie. Wraz z jej nagłą nieoczekiwaną śmiercią ziemia i dom przeszły w ręce młodego pokolenia. Tłum w kościele i na cmentarzu rozumiał, że śmierć mamy oznacza koniec tradycji, choć była wcale liczna grupa farmerów, która twierdziła, że dopóki ja mam tu coś do powiedzenia, nie trzeba się obawiać dramatycznych zmian i niepewnej przyszłości.

Weszliśmy za trumną do kościoła, aby uczestniczyć w poważnej, posępnej ceremonii. Potem otwarto grobowiec. Mama spoczęła obok papy — tak jak się dzieje w kochających nierozdzielnych stadłach małżeńskich. Planowaliśmy później postawić pomnik obok stojącego już marmurowego potworka upamiętniającego papę. Pastor Pearce zakończył nabożeństwo i zamknął mszał. Przez chwilę zapomniałam, gdzie się znajduję. Podniosłam głowę jak węszący pointer i ze strachem w głosie, strachem tak dobrze znanym wszystkim właścicielom ziemskim, odezwałam się:

— Czuję, że coś się pali.

Harry wymienił uścisk dłoni z pastorem i kiwnął na kościelnego, aby zamknął grobowiec. Potem zwrócił się do mnie.

— Chyba się mylisz, Beatrice — stwierdził. — O tej porze roku nikt nie pali ściernisk, a za wcześnie jeszcze na pożary lasów.

— Coś się pali — utrzymywałam. — Czuję to.

Wyteżyłam wzrok. Na horyzoncie, na wschodzie, dostrzegłam płomyczek nie większy niż główka szpilki.

— Tam — pokazałam. — Co to takiego?

Wzrok Harry'ego podążył za moim palcem. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

— Wygląda na to, że masz rację Beatrice. To ogień! Zastanawiam się, co może płonąć. Coś dużego, większego niż stodoła czy dom.

Inni usłyszeli, że mówię: „Tam” i zobaczyli złowieszczą lunę na horyzoncie — bladą w promieniach słońca, lecz z tej odległości wyrazistą. W pomruku zgromadzonych rozpoznałam szybko — może zbyt szybko — coś więcej niż zwykłą wiejską ciekawość. W słowach wieśniaków za moimi plecami czuć było niemal satysfakcję: „To Mściciel. Mściciel obiecał, że wróci. Obiecał, że to nastąpi dzisiaj, Powiedział, że z cmentarza w Acre będzie widać. Mściciel jest tutaj”.

Odwróciłam się gwałtownie, lecz twarze nałożyły już maski milczenia. Potem rozległ się tętent i od strony wsi Acre nadjechał zziąjany ciężki koń, jeszcze w uprzęży, widać dopiero co skończył pracę. Na szerokim grzbiecie podskakiwał niczym piłka jakiś chłopczyk.



— Papa! To Mściciel! — zawołał dźwięcznie. Zapanowała cisza. — Spalili nową plantację pana Briggsa, papo! Kiedy ogrodził wspólne grunty i wyrzucił wyrobników, posadził tam pięć tysięcy drzew. Mściciel podpalił nowy las. Zostały tylko szerniałe gałęzie. Mama kazała sprowadzić cię natychmiast. Ale pożar chyba nas nie dosięgnie.

Ojcem chłopca był Bill Cooper — miał u nas dług wpisany na hipotekę swojej farmy — niezależny rolnik, nie żaden dzierżawca. Poczł na sobie mój wzrok, skłonił się na pożegnanie i poszedł w stronę bramy cementarnej. Pospieszyłam za nim.

— Kim jest ów Mściciel? — spytałam natarczywie.

— To herszt jednej z najokrutniejszych band, które organizują bunty chlebowe, bunty zbożowe i podpalenia w naszym hrabstwie. — Bill Cooper podprowadził konia do furtki, aby łatwiej było go dosięść. Nie zważając na nową, cenną jedwabną suknię, przytrzymałam łeb konia, gdy Bill siadał za swoim synem. — Jej herszta nazwano Mścicielem, bo mówi on, że szlachta gnije i trzeba pomścić tych, którzy przez tę zgniliznę cierpią.

Zauważył, że moje oczy pociemniały ze strachu. Wziął go mylnie za gniew.

— Przepraszam, panienko Beatrice, a właściwie pani MacAndrew, jak powinienem powiedzieć. Powtarzam tylko, co mi powiedzieli moi robotnicy.

— Czemuż ja o nim nie słyssałam? — spytałam, wciąż trzymając lejce.

— Niedawno przeniósł się do Sussex z innego hrabstwa — wyjaśnił Bill Cooper. — Ja sam usłyszałem o nim dopiero wczoraj. Słyszałem, że na jednym z nowych drzew pana Briggsa przybito ostrzeżenie głozące, że kto przedkłada drzewa nad ludzi, nie ma prawa do ziemi i że zaczyna się plewienie panów.

Ściągnął lejce i spiął konia kopniakiem. Wiedziałam, że Harry, Celia i John spojrzeli na mnie ze zdumieniem, gdy zagroziłam Cooperowi drogę. Nie miałam czasu na etykietę. Paraliżował mnie strach i chciałam wreszcie położyć temu kres.

— Poczekaj, Cooper — poleciłam stanowczo. — Jak wygląda ten człowiek? — Twardą ręką trzymałam konia w bezpiecznej odległości. Uważałam szczególnie na ciężkie przebierające kopyta, aby nie zmiażdżyły mi nóg obutych w atłasowe trzewiczki.

— Mówią, że jeździ na wielkim czarnym koniu — odrzekł Bill Cooper. — Mówią, że był kiedyś gajowym w jakiejś szlacheckiej posiadłości i poznał na wylot zwyczaj panów, tak że zaczął ich nienawidzić. Mówią, że członkowie jego bandy poszliby za nim do piekła i że ma dwa czarne psy, które chodzą za nim wszędzie jak cień. Podobno nie ma nóg, tak że cudem trzyma się na koniu. Mówią, że jest śmiercią wcieloną, panienko Beatrice. Muszę jechać... on jest niedaleko od naszej ziemi.

Puściłam go. Bezwiednie rozluźniłam uchwyt na lejcach i koń przemknął tak blisko, że oddechem musnął mnie po twarzy. Znałam Mściciela. Znałam go. Łuna pożaru rozświetliła horyzont

Wideacre. Zachwiałam się oślepią blaskiem ognia. Z trudem oddychałam zadymionym powietrzem. Podeszła Celia.

— Beatrice, źle się czujesz? — spytała.

— Pomóż mi wsiąść do powozu — poprosiłam słabym głosem. — Muszę wrócić do domu. Chcę mieć już za sobą wrota stróżówki, drzwi domu i drzwi mojej sypialni. Zabierz mnie do domu, Celio. Proszę.

Oznajmiono zatem, że tak silnie przeżywam śmierć matki, iż nie jestem w stanie podziękować osobiście wszystkim przybyłym żałobnikom. Szpaler życzliwych twarzy żegnał odjeżdżający powóz. Czy na pewno wśród nich nie było nikogo, kto dałby schronienie lub zataił wiadomości o bandzie desperatów, wrogów spokoju na naszej ziemi? Przekonywałam samą siebie, że nie. Nikt z moich ludzi nie kryłby Mściciela w Wideacre. Cokolwiek by sądzić o ich lojalności, o ich specyficznym chłopskim honorze, z pewnością oddaliby przestępcę w rodzaju Mściciela w ręce sprawiedliwości, gdy tylko zbliżyłby się do granic własności Laceyów. Mógł sobie podpalać sąsiednie posiadłości wspomagany i kryty przez ludzi, którzy z radością oglądaliby upokorzenie swych panów, lecz w Wideacre to ja panowałam nad sercami mieszkańców, nad naszym dobytkiem. Dopóki mnie kochano, Mściciel nie miał szans. To, że urodził się w Wideacre i że zawsze sam sobie dawał radę w życiu, nie miało znaczenia. Jak i to, że znał i kochał Wideacre równie mocno jak ja.

Ze strachu jęknęłam. Celia objęła mnie i przytuliła.

— Jesteś zmęczona — odezwała się łagodnie. — Jesteś zmęczona i nie ma potrzeby, żebyś czymkolwiek dzisiaj się jeszcze trudziła. Nie musisz towarzyszyć gościom przy obiedzie. Napracowałam się ciężko przy przygotowaniach do dzisiejszej ceremonii. A teraz odpocznij, moja droga.

Zaiste czułam się znużona. Zaiste strasznie się bałam. Moja śmiałość, dzielność i wściekłość wypaliły się niczym lasy pana Briggsa. Została czarna spalona ziemia, gdzie nawet śpiewającego ptaka się nie spotka. Szara smuga dymu na horyzoncie — ślad działalności Mściciela — stanowiła złowieszczą pogroźkę. Nie było dla mnie spokoju, dopóki Mściciel znajdował się na wolności. Oparłam głowę na ramieniu Celi, a ona poklepała mnie po plecach. Spod powiek, spod woalki rzuciłam szybkie spojrzenie mojemu mężowi siedzącemu naprzeciwko. Przypatrywał się badawczo mojej twarzy, jak gdyby analizował głębię mej duszy. Napotkałam jego wzrok i rozpoznałam w nim zawodową dociekliwość. Odruchowo zadrzałam, pomimo blasku słońca. Dzień zaczął się tak pogodnie, słonecznie; zanosilo się na upał, a teraz jak gdyby przywołane dymem na horyzoncie, nadciągały chmury burzowe. Mściciel w odległości mniejszej niż sto mil od mojego domu, John MacAndrew w moim łóżku — i jak tu czuć się bezpiecznie?

Mój strach i załamanie działało na Johna jak kieliszek whisky. Zapomniał o własnych lękach, kiedy zobaczył przerażenie malujące się na mojej twarzy. Natychmiast otrząsnął się z koszmarów i skutków przepicia.

Nagle pochylił się w moją stronę.

— Kim jest ów Mściciel? — spytał zupełnie trzeźwo. — Cóż on ma do ciebie?

Znów zadrzałam odruchowo i ukryłam twarz w ciepłym ramieniu Celi. Jej ręka wykonała obronny gest.

— Nie teraz — poprosiła cicho Johna. — Nie pytaj jej teraz.

— Teraz nadszedł moment, kiedy moglibyśmy nareszcie poznać prawdę! — stwierdził twardo John. — Kim jest ów Mściciel, Beatrice? Czemu tak się go boisz?

— Zabierz mnie do domu, Celio — odezwałam się ledwie słyszalnie. — Pozwól mi się położyć.

Kiedy powóz podjechał do schodów, Celia zaprowadziła mnie do sypialni i ułożyła, jak gdybym była gorączkującym dzieckiem. Zażyłam dwie krople laudanum, aby ochronić swoje sny przed brzękiem pułapki na kłusowników, odgłosem upadającego konia i smutnym przedśmiertnym pojękiwaniem mamy. Spałam jak niemowlę aż do kolacji.

Po południu odczytano testament zmarłej. Większość żałobników rozeszła się, skrywając radość bądź rozczarowanie niewielkimi legatami. Kapitałik mamy został podzielony równo między Harry'ego i mnie. Ziemi mama nie posiadała oczywiście. Nigdy nie należał do niej grunt, po którym chodziła, kamienie, drzewa czy nawet ptaki lęgające się w gałęziach tychże drzew. W dzieciństwie mieszkała w domu swego ojca. Będąc dojrzałą kobietą, zamieszkała w domu męża, na jego ziemi. Nigdy w życiu nie zarobiła ani grosza, nigdy nie dysponowała najmniejszą nawet kwotą, którą z czystym sumieniem mogłaby nazwać swoimi pieniędzmi. Kapitał, który zostawiła, należał do niej w stopniu nie większym niż biżuteria podarowana Celi z okazji ślubu z Harrym. Dla Wideacre, dla banku, domu, ziemi czy nawet własnych klejnotów mama pozostawała zawsze dzierżawcą.

A wszyscy panowie pogardzają swymi dzierżawcami.

„Zamożne ubóstwo” mamy sprawiło, że krótki testament odczytano jeszcze przed herbatą. Kiedy zeszłam na kolację o dziewiątej, zastałam tylko Johna, Harry'ego i Celię. Mieliśmy zasiąść do stołu razem z pastorem Wideacre, wielbnym doktorem Pearce'em.

Po raz pierwszy od powrotu ze Szkocji i od nocy, gdy umarła mama, John pokazał się w towarzystwie, ja zaś błogosławiłam niemądrą niewrażliwość Harry'ego na uczucia innych ludzi i napięcie panujące w pokoju. Harry już przyszedł do siebie po smutnym dniu i gawędził głośno z doktorem Pearce'em. Wszyscy trzej stali przy kominku w bibliotece. Nikt, kto zobaczyłby Harry'ego ze szklaneczką sherry w dłoni, grzejącego bryczesy przy kominku, nie uwierzyłby, że oto człowiek, który ongiś w tym samym pokoju usiłował dobudzić pijanego w sztok Johna, albo że ten sam Harry rzucił swoją siostrę na podłogę i wziął ją w akcie rozpaczliwej namiętności. Patrząc spode łba czujny John mógł jednak wyobrazić sobie te sytuacje. Celia też pamiętała jego pijaństwo i spostrzegłam, że zaniepokojonym wzrokiem wodzi od twarzy Johna do szklanki w jego dłoni. Odwrócił się od okna, aby uśmiechnąć się do niej z nagle pojaśniałą twarzą.

— Nie lękaj się, Celio. Nie będę rozbijał mebli.

Celia zapłonila się, lecz popatrzyła mu z czułością prosto w oczy. Zdradzała życzliwe nastawienie do Johna i troskę o jego zdrowie.

— Nie mogę tak po prostu przestać się niepokoić o ciebie — powiedziała. — Przeżywamy trudne chwile. Cieszę się, że czułeś się na siłach zostać z nami dzisiaj. Jeśli jednak zmieniłbyś zdanie i chciał zjeść kolację sam, z chęcią polecę, aby przyniesiono posiłek do twojego pokoju.

John kiwnął głową w podzięcie.

— Miło, że o mnie myślisz, Celio, lecz już wystarczająco długo byłem sam — odparł. — Moja żona potrzebuje towarzystwa i wsparcia, sama rozumiesz, w ciągu nadchodzących dni i tygodni. — Słowa „moja żona” wypowiedział jak „moja zaraza” czy „moja żmija”. Sarkastyczny ton pobrzmiął obrzydzeniem, kiedy na mnie popatrzył. Nikt, nawet dobra Celia, nie mógł nie zrozumieć tego jednoznacznie; nikt nie mógł poczytać jego troski za szczerą. Nawet Harry zamilkł i zaciekawiony spojrział na naszą trójkę: Johna, stojącego plecami do pokoju, Celię, pobladałą, patrzącą na Johna i wypuszczającą z rąk robótkę, oraz mnie, pochyloną nad okrągłym stolikiem pośrodku, z zaangażowaniem przeglądającą gazetę, lecz napiętą jak struna. John zajął się karafką i nalał sobie do pełna następną szklankę. Wypił ją duszkiem jak lekarstwo.

Potem Stride zapowiedział kolację i pełna napięcia scena znalazła swój finał. Rozkoszowałam się przez chwilę słodczą zemsty; przesłam obok Johna tak blisko, że dół sukni omiółł jego nogi i podałam rękę Harry'emu, aby poprowadził mnie do stołu. Harry usiadł u szczytu stołu, ja natomiast naprzeciw niego, na dawnym miejscu mamy. Celia siedziała tam gdzie zawsze, po prawicy Harry'ego, a John obok niej, mając naprzeciwko wielebnego doktora Pearce'a. W bliskości Johna zastygłam urażona, on zaś nie krył wstrętu.

Zdobył się na pełną dystansu chłodną grzeczność wobec Harry'ego, lecz nie znosił fizycznego kontaktu z nim. Jeśli tylko ręka Harry'ego musnęła przypadkowo rękaw Johna, ten wzdrygał się z odrazą. Wobec Harry'ego czuł wstręt, a mnie nienawidził. Nienawiść ta wyrażała się w złośliwości, kąśliwym sarkazmie i obelżywości. Cóż ja mogłam zrobić? Męczyć go swoją obecnością, która przypominała mu o niedawnym pożądaniu. Niemal nic nie jadł i zastanawiałam się ze zjadliwą satysfakcją, czy długo zdoła wytrzymać bez alkoholu, poddany presji gniewu i konieczności milczenia. Jego szklanka wina stała prawie nietknięta, lecz skinęłam na lokaja, aby ponownie ją napełnił.

Wielebny Pearce, goszczący u nas po raz pierwszy, nie wyczuwał napiętej atmosfery przyjęcia rodzinnego. Był jednak człowiekiem światowym, o nienagannych manierach i szerokich zainteresowaniach. Zaczął z Harrym rozmowę o jego eksperymentach w prowadzeniu gospodarstwa. Harry dumny był ze zmian zachodzących na naszej ziemi i z tego, że zamożniejsi dzierżawcy brali z niego przykład, co rozślawiało Wideacre jako pioniera w rolnictwie. Ja zachowywałam wobec tego nowinkarstwa rezerwę, a moja miłość do tradycji i troska o biednych powodowały, że miałam za sobą mieszkańców Wideacre.

— Kiedy zaczynałem tu gospodarzyć, mieliśmy zaledwie dwóch robotników rolnych zatrudnionych na stałe i używaliśmy pługów, których budowa nie zmieniła się od czasów Rzymian — Harry połknął haczyk. — Teraz mamy pługi, które mogą zorać glebę aż do granicy nizin, a w Acre mamy coraz mniej biedoty żyjącej w lepiankach i chałupników bez ziemi.

— Mała to dla nas korzyść — odezwałam się cierpko z drugiego końca stołu. Zauważyłam, że John pręży się na dźwięk mego chłodnego metalicznego głosu i podświadomie sięga po szklankę z winem.

— Biedota z chałup i lepianek stojących za wsią znalazła teraz u nas zatrudnienie, a nawet mieszkanie w przytułku parafialnym i pracę w tamtejszych warsztatach. A twoje nowe pługi zniszczyły stare dobre łąki, dając w efekcie zbyteczne dodatkowe zasiewy i co roku nadmiar zboża. Cena chleba spada, więc nie warto rok po roku siać zboża, nawet mając w perspektywie zwyżkę ceny w roku nieurodzaju.

Harry uśmiechnął się do mnie.

— Jesteś niepoprawną konserwatystką, Beatrice — stwierdził. — Nienawidzisz wszelkich zmian, ale to ty prowadzisz księgi. Wiesz więc równie dobrze jak ja, że sianie pszenicy się opłaca.

— Owszem, nam się opłaca — odrzekłam. — Szlachcie się opłaca. Jednak prości ludzie Wideacre mają z tego niewiele korzyści. A już żadnych korzyści nie odnoszą ci, których kiedyś uważaliśmy za naszych ludzi, dawni mieszkańcy lepianek hodujący świnie na wspólnym zagonie, teraz zlikwidowanym.

— Ach, Beatrice — przekomarzał się Harry. — Przemawiają przez ciebie dwie osoby. Kiedy księgi wykazują dochód, jesteś zadowolona, lecz w głębi serca dalej wolisz tradycyjne metody gospodarowania.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, zapominając o Johnie, zapominając o napiętej atmosferze, myśląc tylko o Wideacre. Harry miał rację. Nasz spór trwał równie długo jak wspólne prowadzenie farmy. Gdybym

kiedykolwiek sądziła, że nowe metody Harry'ego stanowią zagrożenie dla spokoju i pomyślności Wideacre, natychmiast bym go powstrzymała. Na wiele jego planów nie wyraziłam zgody i nigdy więcej o nich nie słyszałam. Troską napawała mnie jedynie myśl (a byłam przecież przedstawicielką szlachty, garstki bogaczy wśród rzeszy biedoty), że plany Harry'ego, jak i rozwój wydarzeń w kraju, prowadziły do coraz większego rozdziewu między bogatymi a biednymi.

— To prawda — uśmiechnęłam się do Harry'ego. Głos mój brzmiał łagodnie, a w oczach miałam czułość; chodziło wszak o Wideacre. — Jestem po prostu sentymentalnym farmerem.

Krzesło Johna zaszurało nieprzyjemnie po podłodze, kiedy odsunął się nagle od stołu.

— Przepraszam — odezwał się, złośliwie mnie ignorując; zwracał się tylko do Celi. Poszedł ciężkim krokiem w stronę drzwi i zamknął je z trzaskiem, jak gdyby podkreślając swoją dezaprobatę wobec nas, wobec oświetlonego jasno salonu. Celia spojrzała na mnie zaniepokojona, lecz moja twarz nawet nie drgnęła. Zwróciłam u jak gdyby nigdy nic do doktora Pearce'a:

— Pan pochodzi z wysoko położonych chłodnych terenów północnych, gdzie jak sądzę, niewiele wysiewa się pszenicy. Pewnie nasza obsesja na tle cen pszenicy i białej mąki wydaje się panu odrażająca.

— Rzeczywiście widzę wielkie różnice — przyznał. — W moim hrabstwie, Durham, biedota nadal żywi się żytnim chlebem, czarnym lub brunatnym. Nędzna strawa w porównaniu z waszymi złotymi bochnami, zgadzam się, lecz nieźle się tym karmią i nie jest to drogie. Jedzą też dużo ziemniaków i klusek z podłej mąki, tak że cena pszenicy niezbyt ich obchodzi. Tu zaś jak widzę, biedota jest całkiem uzależniona od ceny pszenicy.

— O, tak — odezwała się Celia cicho. — Dokładnie tak, jak mówi Beatrice. Nieźle się mają ludzie, gdy cena zboża jest niska, lecz gdy idzie w górę, życie staje się ciężkie, bo nie ma właściwie innego pożywienia.

— Obawiam się, że naprawdę jesteśmy poganami — powiedziałam swobodnie. Wzięłam pokąźną brzoskwinie i obrałam pokrytą meszkiem skórkę, aby dostać się do słodkiego śliskiego owocu. — Ziemia tu taka dobra, a plony takie wysokie, że trudno nie uwierzyć w działanie jakiejś magii.

— Cóż, ja wierzę w naukę — wyznał Harry żarliwie. — Magia Beatrice pomaga mi w moich eksperymentach. Doprawdy jednak, doktorze Pearce, spaliliby pan na stosie moją siostrę jako czarownicę, gdyby zobaczył ją pan przy sianokosach!

Celia zaśmiała się.

— To prawda, Beatrice. Parę dni temu miałaś zabrać Sea Ferna do podkucia. Zobaczyłam, że koń stoi uwiązany przy bramie Dębowej Łąki, a ty na środku pola, bez kapelusza, wznosisz twarz do nieba, trzymając w jednej ręce bukiet maków, w drugiej zaś bukiet ostróżek polnych. Jechałam z mamą do Chichester i musiałam szybko odwrócić jakoś jej uwagę, żeby nie patrzyła na ciebie. Wyglądałaś niczym bogini Ceres na zabawie przebierańców.

Wybuchnęłam nieskrępowanym śmiechem.

— Widzę, że stają się ogólnie znaną dziwaczką, obiektem drwin gawiedzi w Chichester! — odezwałam się.

— Nawet ja nie musiałem długo czekać po przyjeździe do Acre, aby usłyszeć mnóstwo dziwnych złowieszczych plotek — mrugnął do mnie wielebny Pearce. — Jeden z najstarszych mieszkańców, pani



MacAndrew, opowiadał mi, że zawsze zaprasza panią na herbatę i na przechadzkę po polach w czasie siewów. Przysięgał, że najpewniejszy sposób na ustrzeżenie się od rdzy zbożowej to obecność panienki Beatrice idącej parę kroków za pługiem.

Skinęłam głową w stronę Harry'ego.

— Tak mówią Tyacke, Frosterly i Jameson — zapewniłam. — Paru innych też w to wierzy. W poprzednich latach rzeczywiście się tak składało, że pierwsza wychodziłam na pole. Czułam się tak samotnie po śmierci papy...

Na wspomnienie tych dobrych czasów poczułam nostalgię. Lato, kiedy kochałam się z Ralphem pod błękitnym niebem; to niekończące się lato. I drugie lato, gdy Harry wydawał się bogiem żniw i wiół zboże niczym król. Trzecie upalne lato to trzeci kochanek, John i jego zaloty, pocałunki i wielomilowe przejażdżki po terenach naszej posiadłości.

— Magia i nauka — podsumował doktor Pearce. — Nic dziwnego, że dopisuje wam urodzaj.

— Miejmy nadzieję, że to będzie dalej trwało — stwierdziłam, bezwiednie rzucając cień na tę miłą konwersację. Przecucie, nieuchwytne, posępne, groźne niczym pożar lasu w oddali na horyzoncie. — Nie ma nic gorszego niż zły rok po kilku latach dobrych. Ludzie stają się zbyt ufni i oczekują zbyt wiele.

— Tak właśnie jest — odparł szybko doktor Pearce, potwierdzając tym samym ocenę Harry'ego; twarogłowy realista pozbawiony wyobraźni, nadęty.

Wiedziałam dobrze, co zaraz nastąpi. Tyrada przeciwko biednym, ich niesolidności w płaceniu dzierżaw i dziesięcin, ich niefrasobliwości w płodzeniu potomstwa, ich nierozsądnych żądań. Gdybym teraz wyszła z Celią, istniałaby szansa, że Harry i doktor Pearce skończą tę rozmowę, zanim przejdą do salonu na herbatę. Kiwnęłam głową na Celię. Ta zostawiła na talerzu kilka winogron i wstała. Stride podszedł do drzwi, lecz Harry powstrzymał go gestem i sam otworzył je dla nas. Przepuściłam Celię i odczytałam sens rozpalonego spojrzenia Harry'ego. Rozmowa o ziemi przypomniła mu o mojej władzy i moim pięknie. Pogrzebał już swój strach przed mamą i tej nocy znów byliśmy kochankami.

## 14

Spotkania z Johnem przebiegały łatwiej, niż się mogłam spodziewać. Jego nagłe odejście z jadalni po kolacji oznaczało, tak jak miałam nadzieję, powrót do picia. A ja nie pomagałam mu walczyć z alkoholem; kiedy dotarł do swego gabinetu w zachodnim skrzydle, znalazł dwie świeżo zmrożone butelki whisky, dzbanek zimnej wody do rozcieńczania trunku, kieliszek oraz talerz herbatników i sera dla podtrzymania iluzji, że pije tylko zwyczajową szklaneczkę przy jedzeniu. Odruchowo, nie patrząc na ręce, odkorkował jedną z butelek i nalał sobie miarkę, ledwie kropelkę, którą porządnie rozcieńczył. Jeden łyk pozbawił go wszelkich zahamowań i wypił prawie całą butelkę do czasu, kiedy nadeszłam, zachowując czujność, aby rzucić na niego okiem. Spał w fotelu przy kominku. Zwykle rano wyglądał bardzo przystojnie, lecz teraz stracił cały swój urok niczym zwiędły mak. Patrzyłam długo, beznamiętnie, jak leżał z na wpół otwartymi ustami, pochrapując. Zmięte

ubranie, nastroszone włosy sztywne od potu, którym spływał, śniąc koszmarne sny. Pojękiwał. Okruszki herbatnika w fałdach halsztuka, oddech zalatujący kwaśnym odorem whisky...

Nie czułam litości. Oto człowiek, którego kochałam, który przez wiele tygodni, miesiące darzył mnie wielką prawą miłością. Przeklął mnie jednak i zagrażał memu bezpieczeństwu w Wideacre. Ogrom mego grzechu poraził go, ja zaś wołałam teraz, żeby zniszczył go całkowicie. Gdyby dalej tak się upijał, miałyby to z pewnością dla niego zgubne skutki, a mnie zapewniłoby spokój. Uniosłam jedwabne spodnice, tak by szelest materiału nie przypominał mu przez sen o dawnym szczęściu, i wolno, ostrożnie podeszłam do drzwi. Zamknęłam je na klucz od zewnątrz. Znow miałam nad nim władzę. I byłam bezpieczna.

A potem wspięłam się po schodach na trzeci podest do pokoju na poddaszu zachodniego skrzydła. Rozpaliłam ogień w kominku, zapaliłam świece. Otworzyłam drugie drzwi prowadzące z głównej części domu. Czekał tam Harry, bez marynarki, boso, milcząco, z jedną tylko świecą zabraną z sypialni.

Objęliśmy się jak kochankowie, nie jak zawzięci wrogowie, jakimi byliśmy tak często w tym pokoju. Mój mąż śnił na parterze swe przerażające pijane sny; mój drugi wróg, dobrze mi znany, knuł coś o niecałe pięćdziesiąt mil stąd, więc nie mogłam dać się porwać burzy namiętności. Chciałam czułości, pocałunków; całym swym obolałym przestraszonym sercem pragnęłam ciepła. Pozwoliłam, by Harry wziął mnie w ramiona i położył na kanapie niczym troskliwy kochanek, by całował i kochał mnie delikatnie. Pod wieloma względami ów iście małżeński, spokojny akt miłosny stanowił najbardziej perwersyjny, podły czyn, jakiego się kiedykolwiek dopuściliśmy.

Nie zważałam jednak na to. I na nic. W tym momencie.

Potem leżeliśmy rozluźnieni, przytuleni na kanapie, patrząc na migocący ogień i pijąc ciepłe czerwone wino. Gęstwina mych kasztanowych włosów spoczywała na pokrytej miękkim owłosieniem piersi Harry'ego. Twarzą dotykałam jego pulchnej szyi. Byłam zmęczona, uspokojona, posiniaczona, lecz nie czułam bólu. Każda kobieta na moim miejscu zasnęłaby zadowolona.

— Harry — odezwałam się.

— Tak? — spytał, budząc się z półsnu i przytulając mnie mocniej.

— Już od dłuższego czasu zamierzam ci coś powiedzieć — zaczęłam z wahaniem. — Coś, co jak się obawiam, może cię zasmucić, lecz wiesz, że chodzi mi tylko o dobro Wideacre.

Harry czekał spokojnie. Wiedział, że nie mogliśmy się kochać, gdyby coś zagrażało Wideacre. Wiedział, że ja zawsze na pierwszym miejscu stawiam miłość do Wideacre. Cekał, co nastąpi.

— Chodzi o majorat — wyjaśniłam. — Martwi mnie, że Wideacre w świetle prawa ma przypaść naszemu kuzynowi jako najbliższemu spokrewnionemu spadkobiercy płci męskiej. Jeśli nie daj Boże coś by ci się stało, Celia, Julia i ja byłybyśmy bezdomne.

Skrzywił nieco swoją pełną samozadowolenia twarz.

— To prawda — powiedział. — Myślałem o tym parokrotnie. Mamy jednak jeszcze dużo czasu, Beatrice. Ja nie jestem taki szybki jak ty, ho, ho! Mogę następnym razem spłodzić chłopca, który będzie po mnie dziedziczył. Nie sądzę, aby kwestia majoratu była teraz naszym największym problemem.

— Cóż, obawiałam się, że nic nie wiesz — mówiąc to, przekreśliłam się na brzuch i oparłam na łokciach, aby patrzeć na Harry'ego. — Obawiałam się, że Celia ci nie powiedziała. Nie winię jej za to. Być

może nie doszło to do niej po urodzeniu Julii, we Francji. Boję się, że Celia stała się bezpłodna, Harry. Akuszerka twierdziła, że cudem poczęła pierwsze dziecko i że bardzo wątpi, czy kiedykolwiek będzie miała jeszcze dzieci. Jakaś wada w jej anatomii przeszkadza w poczęciu.

Przerwałam, aby pojął sens moich słów.

— Po porodzie starałam się jej to przekazać, jak najdelikatniej, aby się nie załamała, lecz chyba moje sugestie do niej nie dotarły. A prawda, Harry, jest taka — tu otwierałam szeroko swe orzechowe oczy, aby dodać twarzy wyrazu szczerości — prawda jest taka, że Celia nigdy nie wyda na świat drugiego dziecka, a ty nie będziesz miał syna, dziedzica Wideacre. O to się boję.

Zaokrąglona twarz Harry'ego nie wyglądała już tak radośnie. Uwierzył mi.

— To dla mnie wielki cios — odezwał się.

Widziałam, że brakuje mu słów na wyrażenie swoich myśli, że nie jest w stanie ogarnąć tego nowego świata pozbawionego marzeń o synu następcy. Wideacre miała przejść w ręce obcych!

— Myślałam, że Celia to w końcu zrozumiała i wyznała ci prawdę — ciągnęłam łagodnie. — Dla was obojga niewesoła to perspektywa: Wideacre przypadnie kuzynowi, mała Julia zaś, a także Richard zostaną pozbawieni domu.

— Tak. — Ta wizja bardzo go poruszyła. — Wychować się w Wideacre i być zmuszonym do odejścia stąd!

— Gdybyż można było jakoś ominąć zasadę majoratu! — westchnęłam tęskniąc za taką sposobnością. — Gdybyśmy mogli znaleźć jakiś sposób, aby zabezpieczyć naszym dzieciom dom na zawsze...

— Słyszałem, że zdarzają się przypadki przywrócenia praw do dziedziczenia — zaczął Harry z powątpiewaniem w głosie. — Kosztuje to jednak niewyobrażalne sumy. Trzeba wyrównać straty legalnym spadkobiercom, koszty sądowe zaś przeprowadzenia całej sprawy są olbrzymie. Niewiele posiadłości może sobie na to pozwolić, a już z pewnością nie Wideacre.

— Jeśli tego nie przeprowadzimy, koszty okażą się o wiele wyższe — odparłam. Usiadłam naga i pochyliłam się w stronę kominka, aby dorzucić drew. Odwróciłam się i uśmiechnęłam do Harry'ego. Migocące płomienie rzucały smugi światła na moją gładką ciepłą skórę. — Nie mogę wprost znieść myśli, że nasze dzieci będą skazane na niedolę i poniewierkę tylko dlatego, że nie potrafiliśmy im zapewnić godziwej przyszłości. Są prawie w równym wieku i takie do nas podobne. Nie miałyby domu!

— Cóż, raczej nie czeka ich bezdomność — Harry nie wykazywał zrozumienia problemu. — Julia odziedziczy mój kapitał i dożywocie Celi, a Richard stanie się jednym ze spadkobierców fortuny przedsiębiorstwa MacAndrew. To chyba wystarczająca ilość gotówki, aby kupić posiadłość, jak sądzę.

— A co wolałbyś mieć, pieniądze czy Wideacre? — spytałam spontanicznie, zapominając na chwilę o klimacie naszej rozmowy.

Harry zastanowił się. Głupiec, potrzebował czasu, żeby przemyśleć taką kwestię!

— Cóż — odezwał się z nedorzecznym w tym wypadku wahaniem — jeśli ma się majątek, można kupić równie piękną posiadłość. Ty jesteś szalona na punkcie Wideacre, Beatrice, lecz zważ, iż w hrabstwie Kent, nawet w Suffolk czy Hampshire jest wiele pięknych posiadłości.

Przygryzłam policzki. Powstrzymałam się w ten sposób od wypowiedzenia jakichś niebacznych pogardliwych słów. Dopiero po dłuższej chwili stwierdziłam głosem miękkim jak jedwab:

— To prawda, Harry, przyznaję. Jeśli jednak twoja córeczka wda się we mnie, z pewnością uschnie z tęsknoty i umrze zmuszona do zamieszkania z dala od krajobrazu nizin Wideacre. Pieniądze nie dadzą jej pocieszenia, skoro jakiś daleki kuzyn wygna ją z domu, w którym spędziła całe życie. Pomyśli wtedy, że miała niezapobiegliwego ojca i przeklnie twoją pamięć, chociaż przecież tak cię kochała.

— Och, nie mów tak! — odezwał się poruszony Harry. Chyba przejął się wizją zarzutów, które mogłaby mu postawić Julia. — Beatrice, chciałbym bardzo przedsięwziąć jakieś kroki, lecz Bóg mi świadkiem, nie widzę możliwości.

— Cóż, zdecydujmy coś wreszcie. Jeśli postanowimy uchylić majorat, skupimy wszystkie nasze wysiłki i spróbujemy znaleźć potrzebne pieniądze.

Harry potrząsnął głową.

— Nie rozumiesz, Beatrice — stwierdził. — Nigdy nie zdołamy osiągnąć takich dochodów, aby porwać się na kolosalne obciążenia finansowe. Tylko najbogatsze rodziny w całym królestwie mogą czegoś takiego dokonać. Po prostu nie leży to w zasięgu naszych możliwości.

— Naszych nie — odrzekłam powoli. — Ale co powiesz o możliwościach fortuny rodu MacAndrew?

Harry otworzył szeroko niebieskie oczy.

— On nigdy... — zaczął z pewną nadzieją — nigdy nie włożyłby tyle pieniędzy w Wideacre!

— Teraz nie — zgodziłam się. — Ale może zmienić zdanie. Może będzie chciał w coś zainwestować. Gdybyśmy dysponowali choćby połową tej fortuny, moglibyśmy poważnie przemyśleć kwestię majoratu, podliczyć koszty, zbadać możliwości działania.

Harry kiwnął głową.

— Ja się nie boję, Beatrice. Będę przygotowany na zrezygnowanie z moich eksperymentów. Możemy zasiać więcej pszenicy zamiast upraw, które planowałem. A zyski przeznaczymy na spłacenie kuzyna. Uda nam się zaoszczędzić pieniądze, a jeśli przyjdą gorsze czasy, zawsze możemy zastawić hipotecznie część ziemi, a potem ją wykupić.

— Tak. Z niechęcią, ale zgodziłabym się na to.

— Musisz jednak zrezygnować z występowania w obronie praw biedoty, Beatrice — odezwał się Harry z powagą. — Mamy sto akrów wspólnych gruntów, które moglibyśmy przyłączyć i zaorać. A gdybyśmy podnieśli dzierżawy, dałoby to dodatkowe tysiące funtów. Twoje serce może się buntować, lecz jeśli chcemy zdobyć pieniądze, dużo pieniędzy, musimy uciekać się do rzeczy, których nie zrobilibyśmy w innej sytuacji.

Wtedy zawahałam się. Pomyślałam o cudownych terenach wspólnych gruntów, gdzie na piaszczystej glebie rosną wrzosi wysokie po uda, gdzie strumyczki płyną po podłożu z białego piasku w maleńkich dolinkach. W kotlinkach rosną paprocie, a spod ich słodko-pieprznie pachnących liści wypełzają węże i suną w stronę człowieka, aby przy nim wygrzewać się na słońcu. Wspomniałam chłodne noce, kiedy spacerowałam samotnie pod gwiazdami, a na glebie widniały wyraźne tropy jeleni cicho przemykających pod rozłożystymi konarami dębów i buków. Jeśli Harry nie zmieni już zdania, wszystko to zostanie spalone, wycięte, wykarczowane, zaś gładkie prostokątne pola pszenicy wyrosną tam, gdzie teraz strzeliste srebrzyste brzozy i

jodły kołyszą się na wietrze. Wysoka cena do zapłacenia. Wyższa niż mogłabym się spodziewać. Konieczna jednak, by posadzić mego syna na fotelu dziedzica i wlać moją krew w żyły linii dziedziców.

— Będziemy musieli zatrudnić ludzi z przytułku — oznajmił Harry z pewnym odcieniem ulgi w głosie. — W ten sposób zaoszczędzimy. Wynajęcie naszych dzierżawców czy ludzi z Acre kosztowałoby znacznie drożej niż zawarcie kontraktu z przytułkiem parafialnym. Zapłacimy im gotówką, kiedy będą pracowali, a kiedy nie — nie będziemy musieli płacić nic. Rocznie da to setki funtów, jeśli pozwolimy mieszkańcom Acre poszukać pracy na własną rękę i wykreślimy ich ze swoich rejestrów.

Kiwnęłam głową. Wyobrażałam sobie przyszłe zmiany w Wideacre. Wieś Acre stanie się mniejsza, liczba chat zmaleje. Ci, którzy zostaną, polepszą swój byt. Jednak znikną niewielkie chatki, których mieszkańcy utrzymywali się tylko dzięki okazjonalnym zarobkom, jakie im zapewnialiśmy przy stryżeniu żywopłotów, kopaniu rowów czy odkopywaniu spod śniegu owiec i przy bydle. Żyli z oszczędności, z warzyw wyhodowanych na własnej grządce, a krowa, która pasła się na wspólnych gruntach, dawała im mleko. Trzymali też świny, jedli żołądź, a po drodze biegało kilka kur.

Wiosną i latem wieśniacy zarabiali nieźle przy siewach, sianokosach, żniwach i powożeniu. Przez dwa, trzy dni pracowali morderczo od świtu do zmierzchu, usiłując nadążyć za rytmem ziemi. Nagle ta harówka kończyła się. Zboża ścięte, stodoły pełne, stogi ustawione — a cała wieś może oddać się wspaniałej szaleńczej zabawie przez kilka dni, aż znajdzie się następne pilne zajęcie.

Nikt z tych wieśniaków nigdy nie należał do ludzi bogatych. Nie miał nawet własnej ziemi. Żyli jednak w sposób, którego zazdrościłby im niejeden mieszczuch. Pracowali, kiedy chcieli, i odpoczywali, kiedy chcieli; nie byli bogaci, lecz także nie obawiali się nędzy.

Kury biegające po gościńcu i krowa na wspólnych gruntach stanowiły zabezpieczenie przed głodem i nagłą potrzebą. Wieśniacy wiedzieli, że jeśli trafi się w ich rodzinie choroba czy śmierć, zawsze znajdzie się dla nich miejsce w kuchni we dworze i jedno słówko szepnięte panience Beatrice wystarczy, by najstarszego syna przyjęli do terminu, a i najstarsza córka dostanie tu zajęcie.

Gdybym jednak miała iść drogą wytyczoną przez Harry'ego i uciec się do bezwzględnych metod, Wideacre upodobni się do innych posiadłości, gdzie biedota kłania się na widok powozu państwa, a gdy powóz przejedzie, twarze stają się posępne i zawzięte, gdzie dzieci są blade i chude, a ich matki starzeją się szybko od zmartwień. Mieszkańcy Wideacre wiedli beztroski żywot, bo we dworze szanowano tradycję. Kierowaliśmy się odwiecznymi zasadami gospodarowania i odpoczynku. Wspólne grunty były otwarte dla wszystkich, nawet kłusowników nie prześladowaliśmy zbyt. Okrutny plan Harry'ego przewidywał, że ogrodzimy wspólne grunty, odetniemy ścieżki, a krowy i świny pozbawimy pastwisk. Biedni staną się jeszcze biedniejsi. A najbiedniejsi stracą zwyczajowe wsparcie i zaczną przymierać głodem.

Na krańcu tej drogi znajdował się jednak szlachetny cel: bezpieczeństwo mego syna, prawo do dziedziczenia. Stratowałabym każdą stojącą mi na przeszkodzie matkę, żeby mój syn osiągnął miejsce w fotelu dziedzica Wideacre.

— Tak musi być — stwierdziłam. — Ja to rozumiem.



— Jakież to wielkoduszne z twojej strony! — ocenił z entuzjazmem Harry. — Wiem, że bardzo kochasz tradycję i że dużo nam dało trzymanie się odwiecznych zwyczajów. Okazujesz wielkie serce, chcąc z tego zrezygnować, a wszystko to dla dobra małej Julii.

— Tak — usiadłam wygodnie na kanapie i okryłam nagie ramiona szalem.

Poczułam dotyk miękkiego ciepłego jedwabiu. Kiedy na wspomnienie biednych wieśniaków wzruszyłam ramionami, fałdy szala rozchyliły się, a Harry pochylił się, aby pocałować obnażone ciało. Uśmiechnęłam się. Tej nocy musiał się posunąć jeszcze dalej.

— Ale to wciąż nie wystarczy — powiedział. — Aby spłacić spadkobiercę, musimy zaproponować olbrzymią sumę. Z pewnością możemy zacząć gromadzić fundusze, lecz raczej nie zbierzemy pieniędzy szybko.

— Wiem — kiwnęłam głową. — Musimy sięgnąć po pieniądze rodu MacAndrew.

Harry zmarszczył brwi. Myślał wolno, lecz nie był głupi.

— John się chyba nie zgodzi. Chodzi tu o zapewnienie przyszłości Julii. Mam nadzieję, że dopóki ona będzie mieszkała w Wideacre i zarządzała majątkiem, cała wasza trójka znajdzie tu dom, nie widzę jednak powodu, dla którego John miałby użyczać swej fortuny przedsięwzięciu, które nic nie przyniesie ani jemu, ani jego dziecku.

Uśmiechnęłam się. Z Harrym wszystkie sprawy trzeba załatwiać bardzo powoli. Ale w końcu dochodzi się do celu.

— Chyba że znajdziemy możliwość uczynienia zarówno Julii, jak i Richarda dziedzicami — zasugerowałam delikatnie. — Mogliby gospodarować wspólnie, tak jak ty i ja. Wszyscy widzą, jak świetnie to zdaje egzamin. Może oni też będą potrafili pracować wspólnie.

Harry uśmiechnął się i obsypał mnie serią pocałunków — od ramienia poprzez zgrabną linię szyi aż do ucha.

— Cóż, dobrze, Beatrice — stwierdził cicho. — Przyznasz jednak, że nasze rozmowy o interesach przebiegają bardzo nietypowo.

— Mogliby zostać współnikami — zamruczałam ospale, jak gdybym myślała tylko o ogarniającym mnie ciepłe i rozkoszy czerpanej z pocałunków. Położyłam się na kanapie z zamkniętymi powiekami kryjącymi oczy przenikliwe niczym zielone szkło.

Następna seria pocałunków Harry'ego, od nasady szyi w dół, między piersiami, nie trwała długo.

— Julia i Richard? — zareagował nagłym zdumieniem.

— Tak — odrzekłam, przyciskając jego twarz do mego miękkiego brzucha, wciąż lekko obwisłego po urodzeniu syna. — Dlaczegoż by nie?

Harry pocałował mnie odruchowo, zastanawiając się, jak zapewnić Julii odziedziczenie jednej z najpiękniejszych posiadłości w hrabstwie Sussex, co pozwoliłoby zatrzymać majątek dla naszej linii Laceyów.

— Wiesz co, Beatrice — odezwał się — to raczej dobry pomysł. Jeśli John przyjąłby udział w postaci połowy posiadłości w zamian za zasilenie funduszu na rzecz spłacenia Charlesa Lacey'a i zawieszenia zasady majoratu, moglibyśmy przygotować kontrakt dający obojgu dzieciom wspólne prawo własności.

— To cudownie! — udzielił mi się entuzjazm Harry'ego, jak gdybym nie zaplanowała tego od momentu, gdy w małej Julii rozpoznałam samą siebie, o prawo zaś Richarda do ziemi postanowiłam walczyć jak o swoje własne.

— Jak cudownie byłoby, Harry, gdyby nasze dzieci mogły tutaj gospodarować, kiedy my odejdziemy!  
Harry rozpromienił się.

— Przekazanie Wideacre Julii warte jest każdego poświęcenia — stwierdził czule. — Z radością powitam możliwość dania twojemu synowi równych praw do Wideacre, Beatrice.

— Masz całkowitą rację, Harry — powiedziałam, jak gdybym składała mu gratulacje za świetny pomysł. — Powinniśmy natychmiast zacząć urzeczywistniać nasz plan, nie sądzisz?

Harry przytulił się ochoczo, a ja przygotowałam się na spełnienie swych obowiązków. Potrafiłam czerpać zadowolenie z kontaktów z Harrym; kiedy czułam strach lub niepokój, mogłam nawet gorąco go pragnąć. Kiedy jednak zaspokoiliam pierwszą żądzę, chciałam przede wszystkim znaleźć się sama we własnym łóżku. Teraz Harry cieszył się, że tak sprytnie zdołał rozwiązać problem majoratu, a ja pragnęłam dać mu radość aż do zmęczenia, tak by nie miał siły na rozmowę z Celią, gdy wreszcie spocznie u jej boku. Nazajutrz mieliśmy dalej snuć swoje plany.

— Przyjdź rano do mojego gabinetu. Napiszemy do prawników w Londynie — powiedziałam i westchnęłam, jak gdyby rozkosz jego pocałunków obezwładniła mnie zupełnie. — Och, Harry — udałam wyczerpaną. — Po śniadaniu, jutro.

Kiedy Harry wyszedł, siedziałam jeszcze dwie czy trzy godziny wpatrując się w dogasający ogień, marząc, rozkoszując się chwilą swobody. Ostatni dzwonek, aby się wycofać. Czekala mnie teraz stroma droga w dół. Na takich stromiznach nie rośnie nawet trawa. Stawiasz krok, potem drugi, a potem nabierasz rozpędu i nie możesz się zatrzymać. Ja też nie będę mogła się zatrzymać, jeśli zacznę wprowadzać w życie to, co sobie umyśliłam. Czekam mnie nie wesoły śmiech, lecz strach przed rozwojem wydarzeń.

Stałam więc tak w wyobraźni na szczycie stromego zbocza i rozmyślałam o tym, na co się porywam. Jeszcze kilka spokojnych godzin przy kominku, aby wypróbować swoją determinację i powziąć gorące postanowienie, że wytrzymam. Musiałam wystąpić przeciwko naturze, przeciwko ziemi, aby przejąć prawa własności. Zadać ból ziemi i ludziom, i rytmowi życia przyrody, aż krwawe żniwo pozwoli wypełnić szaleńczy plan.

Farmer nigdy nie myśli o dniu dzisiejszym. Farmer zawsze myśli o następnym roku lub jeszcze następnym. Pszenicę sieje się dla własnego zysku, lecz drzewa sadi się już dla własnych następców. Ja sadziłam drzewa. Wybiegałam w planach pięćdziesiąt lat naprzód. Nie mogłam sadić w ziemi swojej miłości, pieniędzy i troski, aby plony zebrał jakiś przeklęty kuzyn. Owoce mojej pracy należały do dzieci poczętych z mojej krwi i mego ciała.

Bez względu na koszty.

Wszystko potoczyło się tak, jak zaplanowałam. Po nocy spędzonej na miłości ze mną, Harry spoczął u boku śpiącej żony i zamienił z nią ledwie z tuzin słów, zanim usiedliśmy do śniadania w rozświetlonej ciepłym czerwcowym słońcem jadalni. Celia w prostej czarnej sukni obszytej czarną koronką wyglądała prześlicznie; młoda kobieta wypoczęta po dwunastogodzinnym śnie tak właśnie wygląda w letni poranek. Zaryzykuję

twierdzenie, że na jej tle wydawałam się zmęczona. Miałam tego świadomość. Uśmiechałam się jednakże, gdyż wszystkie domniemane przeszkody jak na razie były łatwe do pokonania. Bez podziękowania przyjął z rąk Celi filizankę francuskiej kawy. Wzięłam z kredensu plasterek szynki. Wtedy otworzyły się drzwi i wszedł mój mąż.

Kroczył lekko, spokojnie, jak gdyby w nocy nie pił, jak gdyby nie pił na umór w ciągu poprzednich dwunastu nocy. Uśmiechem szczerego podziwu powitał świeży wygląd Celi. Zwrócił na mnie swą twarz i z miejsca jego uśmiech stał się szyderczy.

— Moja urocza żona — niemal wypluł z siebie te słowa, jak gdyby samo ich brzmienie pozostawiało na jego ustach cierpki smak.

— Dzień dobry — odparłam niewzruszenie i zajęłam miejsce naprzeciwko Harry'ego.

— Beatrice, przyjdę do twojego gabinetu, aby omówić sprawę, o której rozmawialiśmy wczoraj wieczorem — odezwał się Harry pompatycznie. Wolałabym, żeby zachował milczenie.

— Wczoraj wieczorem? — spytał John ze wzrokiem utkwionym w talerzu. — Rozmawialiście o czymś w trójkę?

Z niezmaconym spokojem Celia zabrała głos znad srebrnego serwisu do kawy:

— Nie, to ci dwoje przez długie godziny omawiali jak zwykle zyski i straty posiadłości. Wiesz, jak to z nimi jest, kiedy snują jakieś plany dotyczące Wideacre, John.

John rzucił jej surowe spojrzenie spod jasnych brwi.

— Wiem, jak to jest, gdy ci dwoje się zejdą — stwierdził krótko.

Zapadła niezręczna cisza.

— Oczywiście — odpowiedziałam gładko Harry'emu.

— A później chciałabym ci pokazać, co rodzina Hale'ów zrobiła z Reedy Hollow. Zbudowali tam niewielką śluzę i kilka kanałów. Powstało całkiem suche pole, lecz obawiam się o wodę z wiosennych roztopów.

— Ty, Beatrice, jak nikt znasz wahania poziomu wody — odrzekł Harry. — Sądysz, że rozważali już zastosowanie pompy wodnej?

Nawet ochładzająca atmosferę obecność Johna nie mogła powstrzymać Celi i mnie od wymiany uśmiechów.

— Naprawdę, Harry, jesteś już za stary, żeby bawić się zabawkami — skarciłam go. — Sądziłam, że porzuciłeś już myśli o swoich pompach, wiatrakach i wysiewaniu dziesięciu gatunków zbóż.

Harry zachichotał swobodnie.

— Skoro takie ciekawe rzeczy robią na farmie w Fens, dlaczegoż bym nie mógł zastosować pompy w Wideacre — oznajmił z udawaną żalością.

— No, to teraz zaczniemy budować groble — przekomarzałam się. — Jesteśmy w Sussex, Harry, więc trzymaj się miejscowych zwyczajów. Niech ci wystarczy reputacja najbardziej nowatorskiego gospodarza w promieniu kilkudziesięciu mil.

Harry odpowiedział uśmiechem.

— Będę oszczędzał, Beatrice — obiecał żarliwie. — Wiesz, że wszystko nabiera dla mnie wartości, jeśli przynosi pożytek naszej posiadłości.

— Oszczędzać na co? — Głos mego męża brzmiał niczym diament tnący ostrze. — Czy wiesz, Celio, na co oszczędza Harry? — powtórzył.

Celia podniosła pusty wzrok, lecz lojalność wobec Harry'ego kazała jej instynktownie milczeć.

— Harry i ja planujemy utworzenie funduszu na rzecz zapewnienia przyszłości Julii i Richarda — wyjaśniłam lekko. — Wykorzystamy dochody, jakie przynosi Wideacre. Nie opracowaliśmy jeszcze szczegółów i teraz rano zamierzamy porozmawiać o raczej nudnych zagadnieniach rolnych. Oczywiście z radością powitamy ciebie i Celię w moim gabinecie po śniadaniu, lecz nie sądzę, aby temat was zainteresował. Na razie tylko niezobowiązująco rozmawiamy.

Wzrok Johna był równie przenikliwy, jak Celi zdezorientowany.

— Snujecie plany na przyszłość, Beatrice? — spytał, a nuta podejrzliwości i nienawiści zabrzmiała całkiem jednoznacznie. Spojrzałam ostro na lokaja stojącego przy drzwiach.

Zachował kamienną twarz. Znałam go jednak, znałam ich wszystkich.

To był jeden z chłopaków Hodgettów, syn dozorca. Zabrałam go do pracy we dworze, kiedy popadł w konflikt z gajowym; chodziło o fretkę, którą wpuścił na tereny chronione. Uchroniłam chłopca przed chłostą, a jego ojcu zaoszczędziłam czasu i kłopotów. Uwielbiał mnie. Z pewnością nie będzie plotkował na temat tego, co się wydarzyło w jadalni, może tylko stwierdzi oględnie w jakiejś rozmowie, że młody mąż panienci Beatrice nie jest godzien całować ziemi, po której ona stąpa.

— Oczywiście robię plany na przyszłość, John — oświadczyłam i spostrzegłam, jak się skrzywił, gdy wymówiłam jego imię. — Planuję przyszłość dla naszego maleństwa, tak jak każda matka. Planuję przyszłość dla ciebie i dla mnie, tak jak każda żona. Możesz być pewny, że nigdy nie przestanę myśleć o tobie i planować twojej przyszłości, dopóki życia starczy.

Celia z ulgą przyjęła słodycz mego głosu i miłość bijącą z tych słów. John jednakże zbladł i wyglądał niepewnie, jak gdyby czuł, że coś groźnego czai się za plecami. Zamilkł na dobre na resztę dnia. A ja musiałam znaleźć sposób, aby uciszyć go na zawsze.

Wstałam od stołu.

— W moim pokoju za dziesięć minut, Harry? — spytałam.

Harry podniósł się z miejsca i kiwnął potakująco głową, gdy zbierałam się do wyjścia. John ociągał się z okazaniem szacunku poprzez powstanie. Czekałam bez ruchu, patrząc na niego, aż uczyni zadość zasadom uprzejmości. Odsunął krzesło niczym posłuszny chłopiec, a ja odczułam sekretną przyjemność z powodu tego spektaklu tresury źle wychowanego psa. Jednakże trzeba pamiętać, że takim sprawiającym kłopot psom przywiązuje się kamień do szyi i wrzuca do rzeki Fenny. Poszłam do swojego gabinetu.

Wszędzie w Wideacre czuję się dobrze, lecz kiedy zasiadam w fotelu dziedzica za wielką okrągłą kartoteką, która w swych szufladkach kryje dokumenty dotyczące wszystkich dzierżawców, i kiedy za oknem kołują jaskółki, czuję prawdziwą błogość. To tu bije serce Wideacre. W najsekretniejszych leśnych azylach, na piaszczystych wspólnych graniach, na pachnących tymiankiem nizinach, lecz także tutaj, gdzie życie każdego z naszych ludzi zostało zapisane w moich porządnie prowadzonych księgach, a przyszłość — zaplanowana na ol-

brzymiej mapie. Tutaj zbieram dochody w postaci cotygodniowych wpłat od dzierżawców, zestawień coraz wyższych wyników zbiorów, przekazów bankowych od handlarzy zbożem z Chichester, czeków za sprzedaną wełnę, złota za sprzedaż mięsa. Tu także rozdysponowuję te dochody: wypisuję zamówienia na nowe narzędzia, na inwentarz, na ziarno, planuję niekończące się wydatki na dom (Celia uważa zakup niektórych rzeczy za konieczny, a ja nie odmawiam). Nieźle żyjemy sobie w Wideacre, a księgi rachunkowe mówią mi, zapewniając czarnymi rzędami cyferek, że stać nas na to, bowiem ziemia daje nam bogactwo.

I oto całe to bogactwo, nieustanny przepływ pieniędzy w gotówce i w złocie trzeba skierować do nowego zbiornika; trzeba utworzyć fundusz, aby kupić dla mojego syna fotel dziedzica, ten fotel, w którym teraz siedzę, w pokoju gdzie wydaję polecenia, na tej ziemi, którą zarządzam. Richard, moje kochane maleństwo, którego kąpiel będę się przyglądać za kilka minut, zostanie panem Wideacre, jeśli znajdę sposób, jakkolwiek sposób, aby urzeczywistnić ten plan.

Harry zastukał i wszedł. Pocałował mnie, już drugi raz tego dnia, w policzek. Pierwszy pocałunek przy śniadaniu, niejako złożony publicznie, wyglądał konwencjonalnie — ot, brat cmokający siostrę; ten natomiast, całkiem prywatny, łączył dwoje od dawna się znających kochanków.

— Siadaj — poleciłam.

Przysunął krzesło.

— Dziś rano napiszę do radców prawnych w Londynie. Podejmę kwestię majoratu, a kiedy poznamy ich szacunkowe wyliczenia kosztów przedsięwzięcia, będziemy wiedzieć, na czym stoimy — oznajmiłam oficjalnym tonem.

— Dobrze — przytaknął Harry.

— Uważam jednak, że ta sprawa powinna zostać między nami, dopóki nie poczynimy jakichś kroków. Na razie nie powiem nic Johnowi i myślę, że lepiej będzie, jeśli ty także nie powiesz Celi.

— Ach tak? Dlaczego nie? — spytał Harry.

— Och, Harry, ty wcale nie rozumiesz kobiet! Jeśli Celia dowie się, że planujesz zapewnić Julii prawo dziedziczenia, stwierdzi, że uznałeś ją za bezpłodną. To by jej chyba złamało serce. Co gorsza, wiedziałaby, że to ja ci zdradziłam tę tajemnicę i poczułaby się oszukana przeze mnie. Dopóki nie zyskamy pewności, że możemy odkupić prawo dziedziczenia, a właściwie dopóki nie spłacimy majoratu i nie przepisujemy prawa własności na Richarda i Julię, Celia moim zdaniem nie powinna nic wiedzieć. Inaczej poczyta to sobie za wyrzut, a przecież w tej sprawie nie może nic zmienić.

— To prawda. — W Harrym wezbrała nagle czułość; zawsze myślał z czułością o swojej prześlicznej żonie. — Nie zniósłbym, gdybym stał się przyczyną jej smutku. Kiedy jednak kontrakt zostanie podpisany, a Julia i Richard nabędą wspólnie prawo do dziedziczenia, Celia zrozumie, że wiem wszystko i nie spodziewam się narodzin następnych spadkobierców.

— Znajdzie jednakże pocieszenie, wiedząc, że Julia ma zabezpieczoną przyszłość i że sama mimo wszystko ma swój udział w zapewnieniu Wideacre dziedzica.

Harry kiwnął głową, wstał od stołu i podszedł do okna. Usłyszałam chrzęst kroków na żwirowej ścieżce. Stałam przy Harrym. Mój mąż kroczył zamyślony w stronę ogrodu różanego. Z opuszczonych ramion wnioskowałam, że znalazł trunek, który mu zostawiłam w bibliotece i wypił szklaneczkę na lepsze



samopoczucie; czekał go przecież jeszcze cały dzień. Cały dzień bez śmiechu, radości i miłości w domu, który cuchnął grzechem. Chód Johna stracił lekkość i szybkość. Sam John bowiem stracił dumę, która czyniła z niego świętego piechura, zręcznego tancerza i doskonałego kochanka. To ja zabrałam mu siłę i cnotę. A gdybym wiedziała jak, zabrałabym jeszcze więcej.

— Co się dzieje z Johnem? — spytał półgłosem Harry.

Wzruszyłam ramionami.

— Przecież widzisz — odparłam. — Nie powiem mu o naszych planach. Jest niedyskretny i nie zna się na tych sprawach. Jeśli dalej będzie tyle pił, napiszę do jego ojca i dowiem się, czy ty i ja moglibyśmy przejąć pełnomocnictwo w kwestii dysponowania jego częścią majątku rodu MacAndrew. John nie jest godny zaufania. Mógłby przepić od razu całą fortunę.

Harry kiwnął głową, patrząc na pochylone plecy Johna.

— Czy on się wstydzi swego błędu w przedawkowaniu lekarstwa mamie? — spytał.

— Przypuszczam, że tak — przytaknęłam. — On mi się nie zwierza. Wie, że nie potrafiłabym mu wybaczyć jego zachowania tamtej nocy. Gdyby nie był pijany, nasza kochana mama mogłaby żyć. — Oparłam głowę o framugę. — Nie mogę się powstrzymać od płaczu, gdy pomyślę o chorobie mamy i o tym, że ten pajac pomylił dawkę.

Twarz Harry'ego zapłonęła gniewem.

— Tak — odezwał się. — Gdybyśmy wtedy wiedzieli! Ale nie możemy być pewni, Beatrice. Mama zawsze miała słabe serce i przeczuliśmy, że pewnego dnia odejdzie od nas.

— A jednak nie mogę znieść, że zmarła przez jego głupotę! — stwierdziłam.

— Zastanawiam się, co spowodowało atak mamy — Harry spojrzał na mnie tchórzliwie. — Czy John ma jakąś hipotezę?

— Nie — teraz ja kłamałam. — Mama zasłała tuż pod drzwiami salonu. Może za szybko schodziła ze schodów. John nie ma pojęcia, co stało się przyczyną jej ataku.

Harry pokiwał głową. Pragnął słodkich kłamstw, kiedy rzeczywistość stawała się dla niego niewygodna.

— Wiem, że nie możemy być pewni — ciągnęłam. — Ty jednak i ja jesteśmy co do tego przekonani. Cały dom wie, że John się wtedy upił. I całe hrabstwo wie, że John zajął się mamą, mimo że był pijany, a następnego dnia mama zmarła. To oczywiste, że nie mogę mu wybaczyć. Oczywiste, że okrył się hańbą. Od tego czasu nie pokazuje się nigdzie poza granicami posiadłości. Pojechał tylko na pogrzeb. I nie wzywają go do chorych, nawet do najbiedniejszych domów. Wszyscy wiedzą, że był pijany i popełnił błąd.

Harry znów pokiwał.

— To musi być dla niego bardzo przykre — powiedział.

John w ogrodzie różanym szedł ścieżką prowadzącą do altany. Patrzyliśmy, jak z trudem pokonuje schodki i siada całkiem zrezygnowany.

— Zaiste — potwierdziłam. — Całe jego życie, cała jego duma związane były z medycyną i leczeniem ludzi. Wydaje mi się, że chyba wołałby teraz umrzeć.

Upodobanie, z jakim wypowiedziałam te słowa, było czytelne nawet dla niespostrzegawczego Harry'ego.

— Tak bardzo go nienawidzisz? — spytał. — Z powodu mamy?

Kiwnęłam głową.

— Nie mogę mu przebaczyć, że tak nas zawiódł i tak rażąco zaniedbał swoich obowiązków. Gardzę nim za to, że okazał się pijakiem, że pił tamtej nocy i każdej następnej. Wolałabym go nie poślubić. Z twoim jednak wsparciem i pomocą, Harry, nie pozwolimy, żeby mnie skrzywdził.

Harry kiwnął głową.

— Tak, tak, gorzki to dla ciebie wstyd, Beatrice. Przy mnie jednak zawsze będziesz tutaj bezpieczna. A jeśli jego ojciec rzeczywiście przeniesie na ciebie prawo dysponowania fortuną Johna, on stanie się bezsilny. Nie będzie mógł nic zdziałać, chyba że wydzielisz mu pieniądze. Będzie mógł mieszkać tylko tam, gdzie mu pozwolisz.

Znów kiwnęłam potakująco.

— Musi się udać — powiedziałam do siebie. — Uda się. Bez względu na koszty kupimy prawo do dziedziczenia.

Dwa długie miesiące minęły, zanim uzyskaliśmy informacje. Prawnicy w Londynie wertowali zakurzone akta i badali na przestrzeni setek lat kwestię przejmowania praw do dziedziczenia przez chłopców. W zamierzonych czasach, kiedy moi przodkowie pojawili się w Wideacre i ujrzeli te cudowne wzgórza, te lepianki, byli wojownikami przybyłymi wraz z normańskim najeźdźcą, złaknionymi ziemi. Kobiety miały ściśle wyznaczoną rolę: rodzić, karmić i wychowywać synów na przyszłych żołnierzy. Poza tym ich zdanie się nie liczyło. Było oczywiste, że tylko chłopcy mieli prawo do dziedziczenia.

I nikt nie śmiał się temu sprzeciwić.

Kolejne pokolenia kobiet żyły na tej ziemi. Wychodziły za mąż, nosiły pod sercem dzieci i rodziły je w bólach, odważnie, a czasem same musiały zarządzać gospodarstwem. Matki i synowe dziedziczyły obowiązki, lecz nie władzę, podczas gdy ich synowe i mężowie wydawali polecenia, zbierali zyski i znikali. Dziedzice biorący udział w wyprawach krzyżowych zostawiali Wideacre na całe lata pod opieką swoich żon, a po powrocie czekały na nich dobrze uprawiane pola, zebrane plony, zreperowane i nowo zbudowane chaty i urodzajna ziemia. Obcy na własnej ziemi, opaleni cudzoziemskim słońcem, wreszcie zjeżdżali do domu i bez słowa przejmowali władzę od kobiet, które całym życiem i sercem służyły dworowi i ziemi, aby rosła w siłę i kwitła.

Tych nieobecnych panów chowano w kościele w Wideacre. Są tu ich wizerunki; leżą na plecach, w zbroi, z rękami pobożnie złożonymi na metalowych brzuchach i niewygodnie skrzyżowanymi nogami, oczy ich gapią się pusto na sufit kościoła. Wyobrażam sobie czasem, że tak samo leżeli obok śpiących żon, patrząc na baldachim wielkiego drewnianego łoża, właśnie tego, w którym ja teraz śpię, i oczami duszy widzieli pustynię, kohorty pogan i Jeruzalem na horyzoncie.

A żony tych rycerzy były zapewne równie zmęczone i śpiące jak ja po całym dniu pracy nad rachunkami, kiedy cyfry zaczynają skakać mi przed oczami. Albo po całym dniu w siodle, spędzonym na pilnowaniu owiec i wrzeszczeniu na nie, tak jak wieśniacy wrzeszczą na psy. Albo wtedy gdy żniwa nie idą sprawnie z powodu deszczu, a ja muszę przez cały dzień poganiać robotników do pracy. „Pospieszcie się! Szybciej! Burza nadciąga! Idzie jesień! Zboże nie zebrane!” Żony krzyżowców po całym dniu pracy czuły się

równie zmęczone i śpiące. My, kobiety, nie mamy czasu na marzenia, na wojny i chwałę. My zostajemy w domu, na ziemi, i musimy doglądać gospodarstwa. Nas nie czeka ani sława, ani władza, ani bogactwo.

Dziedzice Wideacre nie nosili lordowskich tytułów, jak rodzina Haveringów, nie byli też wielkimi kupcami, jak ród de Courceyów. Przebywali w domu częściej niż potężniejsi panowie, lecz równie często wyruszali na wędrowną. Zostawiając Wideacre, lecz zabierając na swoje potrzeby bogactwo w Wideacre wytworzone, towarzyszyli królowi podczas wojen i żyli potem długie lata na wygnaniu. Ich żony dalej prowadziły gospodarstwo. Pisały listy, wysyłały pieniądze, a szkatułki coraz bardziej pustoszały. Użerały się z armią okrągłogłowych, błagając, aby zostawili chociaż siano, chociaż konie.

Długie lata Protektoratu kobiety z Wideacre spędziły na wygnaniu na własnej ziemi — cicho, nie wadząc nikomu, aby tylko pozwolono im żyć swoim życiem w spokoju i bezpieczeństwie. I oczywiście udało im się. Kobieta wie, jak upodobnić się do otoczenia tak, by stać się niewidzialną, i przetrwać bez władzy, bez bogactwa, bez pomocy.

Tak więc kiedy wreszcie sympatyzujący ze Stuartami dziedzic wrócił do domu w triumfie, na schodach powitała go zmęczona blada kobieta. A on zsiadł z konia i zajął miejsce w fotelu dziedzica, jak gdyby wcale nie wyjeżdżał.

Ona zaś przekazała mu księgi, klucze, plany, zamówienia, decyzje, tak jakby sama zajmowała się wyłącznie robótkami, jakby nigdy nie była niczym więcej niż wieszakiem na ubranie, jakby spędzała czas na układaniu kwiatów w wazonach i śpiewaniu piosenek.

Moja prapraprababka należała do tego typu kobiet. Codziennie patrzę na jej portret wiszący na podeście schodów w zachodnim skrzydle. Ma suknię z głębokim dekoltem i pełne białe ramiona, jak wszystkie kobiety w tamtych czasach. Śliczne różowe usteczka przypominają nieco usta Harry'ego. Wolę jednak myśleć, że miała silne usta i stanowczy podbródek, tak jak ja, a malarz nie oddał tego na obrazie, gdyż szukał rysów ślicznych, nie mocnych. A ja wiedziałam, że w jej oczach widzę jakby samą siebie. Same oczy nie są podobne do moich, są niebieskie i nie mają kociego wyrazu, kryją jednak w sobie jakieś znużenie, jakąś podejrzliwość — zupełnie jak moje oczy, kiedy rozmawiam z mężczyznami o ziemi i prawie własności. Babka nauczyła się tak jak ja, że kobieta służy i zarabia, lecz nie posiada. Mijając jej portret, zastanawiałam się zawsze, jak świetnie maskowała nienawiść i wściekłość, gdy usunięto ją z fotela dziedzica i nakazano powrót do saloniku. Zastanawiałam się, w jaki sposób ja mam uniknąć podobnego losu.

Gdybym to wiedziała, wybrałabym prostą drogę do celu. Tak właśnie postępowali moi normańscy praojcowie: rzucenie wyzwania, a potem walka na śmierć i życie o prawo do posiadania ziemi. Cóż, cywilizacja uczyniła z kobiet wyrobnice pańszczyźniane nie mające nadziei na rekompensatę. Żadnemu posiadaczowi ziemskiemu nie przyszło nawet do głowy, aby uwzględnić prawa żony czy córek. Jedyną szansą zdobycia ziemi, którą kochałam i na którą zasługiwałam, było udowodnienie mężczyznom właścicielom, że jestem, jak papa, niezastąpiona w polu czy też w kantorku.

Ale mój syn i moja córka nie będą musieli snuć intryg, spiskować, kłamać i płacić ciałem za własne prawa. Będą legalnymi spadkobiercami z mocy prawa ustanowionego przez mężczyzn, przez parlament składający się z mężczyzn, z błogosławieństwem prawników mężczyzn i posłów mężczyzn. A ja tylko będę się

uśmiechać zielonymi oczami spod spuszczonej powieki, kryjąc triumfalnie błyszczący wzrok w dniu, w którym Richard i Julia staną się współnikami, dziedzicami Wideacre.

Londyńscy prawnicy nakreślili w swym liście, jak trzeba przeprowadzić całą sprawę. Tak jak się obawialiśmy, procedura należała do kosztownych i musiała zostać uzgodniona z Izbą Lordów. Następnie trzeba było spłacić kuzyna, Charlesa Lacey, zrzekającego się praw do dziedziczenia. Ten na razie może nie zażądać wiele, gdyż żadna wzmianka o bezpłodności Celi nie wydostała się poza mury Wideacre. Szybko jednak odgadnie z zabiegów Harry'ego, że skoro on pragnie przepisać posiadłość na swoją córkę i siostrzeńca, to znaczy, że nigdy nie będzie miał syna, a wtedy może zażądać nawet ponad stu tysięcy funtów. Musimy więc poznać jego warunki, zanim zasada majoratu zostanie uchylona.

— Nie mam pojęcia, jak nam się uda zgromadzić taką sumę, Beatrice — stwierdził Harry, siedząc na kartotece z listem w ręku. — Nie możemy oddać Wideacre w zastaw hipoteczny, bo jakież marny spadek przekażemy wtedy obojgu dzieciom. Nigdy nie uda nam się też zebrać tych pieniędzy z naszych dochodów.

— Musimy sięgnąć po fortunę rodu MacAndrew — oznajmiłam stanowczo. — Jeśli dałoby się użyć tych pieniędzy dla spłacenia Charlesa Lacey, wtedy moglibyśmy zastawić część ziemi, aby stopniowo uiszczać opłaty sądowe. Przy dobrym gospodarowaniu i uprawach przynoszących duży zysk zdołamy prawdopodobnie odciążyć posiadłość od długu w ciągu dziesięciu, dwudziestu lat, w każdym razie z pewnością zanim dzieci obejmą majątek.

— Tak, ale stary pan MacAndrew niezbyt chętnie da pieniądze na zakup Wideacre dla swego wnuka — zgłosił sprzeciw Harry. — A poza tym dał tę sumę do dyspozycji Johna dopiero rok temu.

— Gdybyśmy uzyskali pełnomocnictwa co do dysponowania tymi pieniędzmi — odezwałam się zamyślona — moglibyśmy zrobić z nimi wszystko.

— Ale na jakiej podstawie? — spytał Harry, wstając ze stołu i podchodząc do okna. Pod oknem kwitły marcinki, a ich zapach i przypominająca pieprz woń chryzantem unosiły się w pokoju.

— Z powodu jego pijaństwa — odrzekłam krótko. — Można go skłonić, aby podpisał stosowne dokumenty.

Harry podskoczył jak oparzony.

— Żeby podpisał! — zakrztusił się. — Beatrice, ty oszalałaś! Wiem, że John wciąż pije, że upija się codziennie. Ale nie obnosi się z tym. Trudno go uznać za człowieka niespełna rozumu!

— Myślę, że wpada coraz bardziej w nałóg — stwierdziłam, tłumiąc w sobie chwilowy żal. — I że będzie pił coraz więcej. A jeśli tak, stanie się nieodpowiedzialny, a w tym wypadku trzeba go ubezwłasnowolnić, bo gotów zapisać się na śmierć, ja zaś odziedziczę jego fortunę, a ty i stary pan MacAndrew będziecie kuratorami spadku. Tak czy owak te pieniądze należą do nas.

— Tak, ale Beatrice — Harry zwrócił poważną twarz w moją stronę — gdyby do tego doszło, to będzie tragedia. John jest młodym człowiekiem, ma całe życie przed sobą. Jeśli jego stan się polepszy, możecie jeszcze być razem szczęśliwi, on natomiast z radością wniesie swój wkład w zapewnienie synowi przyszłości. Wiem, że teraz jesteś rozwścieczona i przygnębiona jego postępowaniem, ale wkrótce, jestem przekonany, znów będziecie szczęśliwi, a John stanie się dawnym Johnem.

Posłałam Harry'emu mój najpromienniejszy, najbardziej anielski uśmiech.

— Modłę się o to co noc — powiedziałam. — Oczywiście żywię nadzieję i przekonanie, że John wyjdzie z tego stanu. Jednak jeśli nie, to ja będę ponosić odpowiedzialność za przyszłość mego syna, naturalnie więc, że muszę coś planować.

Harry uśmiechnął się z ulgą.

— Tak, wiem, że myślisz na głos i że snujesz plany dotyczące przyszłości Richarda i Julii. Wiem również, że nie mówiłaś poważnie o ubezwłasnowolnieniu Johna.

— Oczywiście, że nie — odparłam lekko i zmieniłam temat.

Pozwoliłam Harry'emu mówić o innych sprawach.

Nie mogłam jednak nie brać pod uwagę Celi. Spacerowała właśnie z Julią po ogrodzie różanym, kiedy John spostrzegł ją z domku letniego i przyłączył się. Krzywe nóżki Julii rwały się do stawiania chwiejnych kroczków. Uwielbiała wtedy trzymać się ręki kogoś dorosłego. Zabawnie tupała, co chwila zmieniając kierunek, i upadała na owinięty bezpiecznie miękkimi pieluszkami tyłek.

Widziałam ich wszystkich z okna gabinetu i słyszałam dźwięczny głos Celi.

— Sądzisz, że jest za mała, aby zacząć chodzić? — spytała, rozprostowując plecy zmęczone nadzorowaniem pierwszych kroków cudownego dziecka.

— Nie — odparł John.

Stanął przy Celi i wyjął małe rączki Julii z dłoni jej matki. Celia cofnęła się i podtrzymała dziecko w pasie. Julia zachwycona przybyciem nowej osoby do pomocy wyruszyła na pierwszą przechadzkę z Johnem, który pochylony bacznie obserwował jej poczynania.

— Gdyby leżała w powijakach, nie chodziłaby aż do trzeciego czy nawet czwartego roku życia — powiedziała Celia, patrząc na dziwną marszrutę małej.

— Dzieciaki są jak małe zwierzątka — odezwał się John swobodnie. — Same najlepiej wiedzą, co robić. Dziecko skrepowane powijakami jest spokojne, lecz jeśli pozwoli się mu kopać nóżkami i ćwiczyć je, już bardzo wcześnie może zacząć chodzić.

— Ale nie zrobi sobie krzywdy, prawda? Nie nadweręży nówek?

John odwrócił głowę i uśmiechnął się.

— Nie — zapewnił. — Zacznie chodzić samodzielnie i już niedługo będzie stawiać nóżki zwawo i pewnie.

Celia kiwnęła głową.

— Miło jest widzieć cię na świeżym powietrzu w taki cudowny dzień — stwierdziła. — Wspaniale, że mogę cię spytać o Julię. Wkrótce podejmiesz praktykę lekarską, prawda, John? Minęło już ponad trzy miesiące, wiesz.

Nachmurzył się i spuścił wzrok na Julię.

— Nie — odparł cicho. — Chyba nigdy nie wrócę do zawodu. Straciłem reputację. Straciłem zajęcie, które tak kochałem. Wszyscy w jakiś sposób płacimy daninę Wideacre.

Zamarłam, stojąc przy oknie. Jeśli ta rozmowa przybierze demaskujący bieg, zapukam w szybę, aby ją przerwać. John kroczył bardzo wąską ścieżką. Nie pozwolę mu na aluzje i niedyskrecje w obecności Celi. Oboje, każde z osobna, wiedzieli za dużo. Nie wolno im połączyć obu fragmentów układanki.



— Musisz jednak natychmiast przestać pić — oznajmiła Celia delikatnie, tonem pełnym perswazji. — Wiesz, jak to źle na ciebie wpływa i jak unieszczęśliwiasz Beatrice. Postarasz się, prawda?

Julia usiadła, a John gwałtownie wyprostował grzbiet. Sięgnął po złotą chryzantemę.

— Postaram się — powiedział bez przekonania. — Minione miesiące wydają mi się jakimś snem. Wciąż wyobrażam sobie, że pewnego ranka obudzę się przy boku Beatrice spodziewającej się naszego dziecka, a cały ten koszmar, mój wyjazd, poród, śmierć teściowej, się nie wydarzy. Zaczynam pić, bo nie chcę wierzyć, że to wszystko jednak miało miejsce. A kiedy piję, pogrążam się w nierzeczywistości i wydaje mi się, że wiodę szczęśliwe życie tak jak jeszcze parę miesięcy temu.

Celia, wstrętna flirciarka, wyciągnęła do niego rękę.

— Spróbujesz przestać pić? — nakłaniała. — Drogi bracie Johnie, spróbujesz?

A mój biedny mąż pijak wziął jej dłoń i ucałował.

— Spróbuję — obiecał.

I znów pochylił się nad Julią, postawił ją na nóżki i oprowadził po dziedzińcu stajni.

A ja wiedziałam już, że mam na niego sposób.

Miałam go w rękach, jak tresowane źrebię. Był na wpół zakochany w Celii, jej dziecku i jej nonsensownie sentymentalnym życiu. Odepchnięty i wystraszony przeze mnie, Ignął do Celii niczym dewotka całująca rąbek sukni figury Matki Boskiej. Miłość Celii do dziecka, szczerść, skromność, dobroć — to trzymało Johna przy życiu, kiedy zaczynał się bać, że oszalał, kiedy pragnął umrzeć. Świat zdominowany przeze mnie doprowadzał go do rozpacz, zawsze mógł jednak popatrzeć na czule szczere oczy Celii i ogrzać się przy płomieniu jej niewinności.

Miałam zatem klucz do Johna. Dopóki miłość do Celii zatrzymywała go w Wideacre, nie mógł mnie skrzywdzić. Dopóki milczał, aby zaoszczędzić Celii okrutnej prawdy, czerpałam korzyści z jego dyskrecji. Dopóki delikatnie, czule całował ją po rękach, nie nękał mnie. Kochał, był więc słaby. A ja mogłam się czuć trochę bezpieczniej.

Z drugiej jednak strony zaniepokoiłam się. Nie jestem kobietą pozbawioną uczuć; nie należę do tych, które łatwo dzielą się z kimś kochaną osobą, choćby to był ktoś kochany w przeszłości. Nigdy nie zapomniałam, że pojawienie się Celii groziło odejściem Harry'ego ode mnie, że czas, który mógł poświęcić na naszą miłość, strawił na zapraszanie Celii do łóżnicy, że aby nie dopuścić do zbytniego zbliżenia nowożeńców, musiałam uciekać się do pokrętnych sposobów, i aby przyciągnąć Harry'ego, robiłam rzeczy napawające mnie wstrętem. Gdyby Harry'ego nie zepsuła w tak młodym wieku szkoła, nigdy nie odebrałabym go Celii. Wiedziałam, że jestem sto razy ładniejsza, sto razy silniejsza niż ona. Cóż jednak mi przyszło z tej wiedzy, kiedy zobaczyłam, z jaką ukrytą siłą Celia umie działać, czując po swojej stronie rację moralną. Nie mogłam też mieć pewności, że każdy mężczyzna wolałby mnie; przecież Harry patrzył na Celię z taką miłością, kiedy wróciliśmy z Francji.

Nigdy nie wybaczę Celii tego lata. Pomimo że nie musiałam wtedy zabiegać o Harry'ego, że jeździłam i tańczyłam dzień i noc z Johnem. A jednak nie wybaczę Celii, że zabrała mi kochanka bez najmniejszego wysiłku, bez żadnych starań z jej strony.

I oto teraz mój mąż pochylił się i pocałował ją w rękę, zupełnie jak w dawnych romansach: ona — królowa, on — rycerz ślubujący wierność. Mogłabym prychnąć tylko z irytacją, widząc taką scenę pod swoim oknem. Mogłam również zmierzyć słabość Johna i zastanowić się, jak ją wykorzystać. Tak, wykorzystać. Chociaż nic już nie czułam do Johna, powinnam go ukarać za zwrócenie uwagi na Celię. Nieważne, czy go chciałam czy nie. Nie mogłam po prostu znieść, że mój mąż kochał kogoś innego.

Tego popołudnia ubrałam się do obiadu z niezwykłą starannością. Przerobiłam aksamitną czarną suknię, którą nosiłam zimą podczas żałoby po śmierci papy. Modniarka z Chichester знаła swój fach. Pluszowe zakładki obciskały moje piersi i talię niczym dopasowany futerał i spływały obfitymi fałdami wokół bioder. Kiedy szłam, czarne jedwabne halki szeleściły ocierając się o gruby aksamit. Upewniłam się, że Lucy dobrze upudrowała mi włosy i wpięłam we fryzurę czarną kokardę. Na końcu założyłam perłowy naszyjnik, a szyję przepasałam czarną wstążką. Nadchodziła zima, więc moja skóra traciła złoty odcień i stawała się kremowa, zaś na tle czerni sukni wyglądałam blado, prześlicznie. Zielone oczy błyszczały w ciemnej oprawie. Uszczypnęłam się w policzki, aby przydać im rumieńca, i otworzyłam drzwi salonu.

Harry i John stali przy kominku. John trzymał się jak tylko mógł najdalej od Harry'ego. Harry zdjął marynarkę i grzał swe pulchne pośladki, pijąc sherry. John, jak od razu spostrzegłam, sącył lemoniadę. Miałam rację. Celia usiłowała ocalić mego męża. On zaś żywił nadzieję, że znów wejdzie na drogę prowadzącą do zdrowia. Harry wytrzeszczył oczy na mój widok, a John oparł się ramieniem o kominek, jak gdyby jeden mój uśmiech mógł go zniszczyć.

— Daję słowo, Beatrice, wyglądasz dziś uroczo — odezwał się Harry, podchodząc do mnie i podsuwając mi najbliższe krzesło.

— Dziękuję, Harry — odparłam obrzydliwie słodko. Tak musiała smakować lemoniada Johna. — Dobry wieczór, John — posłałam mu ciepłe zmysłowe spojrzenie. Widziałam, że z całej siły zaciska palce na ramie kominka.

Drzwi salonu otworzyły się i weszła Celia. Czerń żałoby odcinająca się od jasnej skóry, włosów i błyszczących oczu przyćmiła złoty urok Celi. Nie było jej do twarzy w ciemnych kolorach, zauważyłam to już przed dwoma laty, kiedy bez wysiłku pokonałam ją swym czarem. Tego wieczora tryskałam zdrowiem i urodą. Czarny aksamit stanowił idealne tło dla piękna mego ciała — tak jak miękka wyściółka w pudełeczku z cenną kameą w pracowni jubilera. Żałobna suknia Celi dodawała jej lat i podkreślała zmęczenie.

Brązowe oczy Celi powędrowały ku szklance w rękę Johna. Policzki zaróżowiły się. Znów stała przed nami śliczna dziewczynka.

— Och! Znakomicie! — odezwała się zachęcająco.

A kiedy Harry zaproponował jej szklaneczkę sherry, wybrała lemoniadę. Śmieszne wsparcie. Uśmiechnęłam się, a moje oczy wydawały się jeszcze intensywniej zielone, jeszcze bardziej zagadkowe. Wzięłam szklaneczkę z dużą porcją sherry nalaną przez Harry'ego i wypiłam demonstracyjnie na oczach Johna.

Stride poprosił nas do stołu i dał mi znak ruchem głowy, że chce porozmawiać na osobności. Harry poprowadził mnie do jadalni na moje miejsce, a ja przeprosiłam zebranych z uśmiechem i wróciłam do hallu, gdzie krążył oczekujący mnie Stride.

— Panienko Beatrice, sędzę, że powinienem to z panią ustalić — powiedział półgłosem. — Lady Lacey poleciła, żeby dziś nie podawać wina ani portwajnu po obiedzie. Poleciła ustawić na stole lemoniadę i dzbanki z wodą.

Nie mogłam opanować chichotu.

— Nie bądź niemądry, Stride. Czy na stole są szklanki do wina?

Kiwnął głową.

— Skończono już nakrywać do stołu, kiedy otrzymałem to polecenie, więc nie chciałem nic robić, dopóki nie upewnię się w rozmowie z panią — wyjaśnił Stride.

— Oczywiście, słusznie — rzekłam gładko. — Dziś wieczór na pewno będziemy pić wino, a sir Harry otrzyma oczywiście swój portwajn. Masz też nalać wina mojemu mężowi, a jeśli będzie chciał dalej pić lemoniadę, to przecież nikt mu nie będzie zabraniał.

Stride kiwnął głową, a ja uśmiechnięta powróciłam do pokoju.

— Wszystko w porządku? — spytał Harry.

Przytaknęłam i nachyliłam się do Celi.

— Później ci wyjaśnię sprawę wina — odezwałam się do niej cicho.

Spojrzała na mnie zdumiona, a potem odruchowo przeniosła wzrok na Johna. Zaciskał wargi aż do białości. Chciał sam siebie poddać próbie, nikt jednak nie wiedział do końca, jaką cenę za to płacił. Stride wkroczył na powrót do pokoju, a z nim dwaj lokaje, którzy podali jedzenie, podczas gdy Stride nalał wina do wszystkich szklanek, tak jak poleciłam.

Celia znów podniosła na mnie wzrok z milczącym wyzwaniem, ja zaś patrzyłam na Harry'ego i wypytywałam go o nowo wybranego mistrza łowów.

— Oczywiście dalej będziemy trzymać tutaj psy — zapewnił Harry. — A pan Haller mógłby częściej ich doglądać. Na wszelki wypadek w czasie tego żałobnego roku okazałbym mu większą pomoc, bo chociaż świetnie zna się na polowaniach, nie zna tutejszych lasów tak jak my, Beatrice. A chciałbym mieć pewność, że nasze lisy nigdzie nie znikną.

— Dobrze — odrzekłam.

Pan Haller dzierżawił Dower House, miły budynek o kształcie sześcianu z piaskowca i wielkości połowy dworu Wideacre, stojący w połowie podjazdu. Wynajął ten dom specjalnie na czas polowań i z zachwytem dowiedział się, że polowania w Wideacre nie mają swego mistrza ze względu na żalobę Harry'ego.

— Jakże mi będzie brakowało polowań — stwierdziłam z tęsknotą w głosie. Na dźwięk tych słów John napiął mięśnie ramion. Przed nim czekała szklanka napełniona rubinowym winem. Czuł jego woń.

— Tak — potwierdził Harry. — Mama, gdyby żyła, chciałaby, żebyśmy dobrze się bawili.

Zaniosłam się śmiechem.

— Mnie to nie dotyczy, Harry — odparłam bez ogródek. — Mama gotowa była łamać zasady etykiety, aby zadowolić ciebie, lecz mnie zawsze chciała trzymać z dala od koni, najlepiej w czterech ścianach dworu.

Harry uśmiechnął się i pokiwał głową.

— To prawda — próbował mnie pocieszyć. — Ale ja nie chciałbym bez szacunku obejść się z jej pamięcią. Ciężko jednak będzie zrezygnować z jeszcze jednego sezonu łowieckiego.

Zajął się talerzem. Z uznaniem zerknął na Celię.

— To coś wspaniałego, moja droga — pochwalił.

Słyszając to, uśmiechnęła się i rozpromieniła.

— Ten przepis papa zdobył w jednym z londyńskich klubów — wyjaśniła. — Sądziłam, że ci będzie smakowało.

John odprężył się nieco. Jadł.

— Tak się cieszę, że wreszcie coś jesz, John — odezwałam się słodko. — Bardzo się niepokoiłam, widząc, że nie masz apetytu.

Widelec Johna z nienaruszoną porcją powędrował z powrotem na talerz. Harry spojrzął na mnie tkliwie, współczująco, Celia wyglądała zaś na osobę lekko zdezorientowaną. Uśmiechnęłam się do niej ciepło i sięgnęłam po wino. John utkwiał wzrok w wytrawnym trunku, a ja oblizyłam wargi, oczekując uczyty smakowej.

— Co będziesz jutro robił, Harry? — spytałam swobodnie, aby odwrócić od siebie uwagę zebranych. — Myślałam o wyjeździe do Chichester, aby zamówić dwukółkę lub jakiś powóz dla mnie. Nie mogę przecież na razie publicznie pokazywać się na koniu.

— Wobec tego ja też pojedę — zdecydował Harry. — Nie chcę, żebyś tłukła się sama.

Zaśmiałam się zalotnie. Widelec Johna zabrzączał o talerz, kiedy odsuwał jedzenie.

— O, tak! — postanowiłam. — Coś sportowego, szybkiego, a do tego para siwków!

— Ja też pojechałabym, jeśli można — zaproponowała Celia cicho. — Julia potrzebuje nowych bucików. Nie chcę zamawiać butów u tego łatacza z Acre, on nawet nie ma wystarczająco miękkiej skóry.

Służący wynieśli talerze. Harry wstał, aby pokroić parę bażantów. Celia i ja dostałyśmy pierś ptaka, a John nóżki oblane smakowitym sosem. Spuścił wzrok na talerz. Podejrzywałam, że robi mu się mdło i chyba marzy o winie. Poczekalam, aż podadzą mu jarzyny i rogalik. Wtedy pochyliłam się w jego stronę.

— Spróbuj i zjedz — powiedziałam czule. — Nie wstawaj od stołu i nie wychodź do swojego gabinetu, John.

Tego było mu już nadto. Odsunął krzesło, jak gdyby go parzyło, i w dwóch susach znalazł się przy drzwiach. Odwrócił się i skłonił Celi.

— Proszę o wybaczenie — rzekł krótko. Lokaj rzucił się, by otworzyć i zamknąć za nim drzwi. Skinęłam głową; talerz Johna i sztucce natychmiast zniknęły. Zostaliśmy sami.

— To hańba — wyraził współczucie Harry. — Tak się starasz, Beatrice. Mój Boże, po prostu hańba.

Spuściłam głowę, jak gdyby kryjąc łzy.

— Jestem pewna, że będzie lepiej — na wpół szepnęłam. — Jestem pewna, że John zwalczy swoją słabość.

Sądziłam, że ominie mnie rozmowa z Celią. Specjalnie towarzyszyłam Harry'emu przy portwajnie, a potem od razu poszłam spać. Jednak następnego dnia przed śniadaniem zastukała do drzwi mego kantorku i spytała, czy może wejść. W porannej czarnej sukni wyglądała na bardzo znużoną i o wiele starszą. Podkrążone oczy (widać nie spała), poorane od zmartwień czoło. Ja zaś miałam świeżą twarz, gładką cerę i uśmiechałam się słonecznie jak na pogodny zimowy poranek przystało. Zaprosiłam ją, żeby usiadła.

— Chodzi o Johna — zaczęła.

Uśmiechnęłam się. Celia chce rozmawiać, Celia mnie szuka, Celia niepokoi się o mego męża — to dopiero nowość.

— Tak? — odparłam zdawkowo, przeglądając dokumenty na biurku.

— Beatrice, zeszłej nocy on poszedł do swojego gabinetu i znów zaczął pić, chociaż obiecał mi, że spróbuje przestać — powiedziała Celia szczerze poruszona.

— Cóż — odrzekłam ze smutkiem.

Dokumenty zawierały zestawienia plonów, odkąd ja zaczęłam prowadzić księgi Wideacre. Myślałam, że rachunki wykażą, jakich zysków moglibyśmy się spodziewać, gdyby idąc za głosem Harry'ego, prowadzić naszą posiadłość jak farmę nastawioną bardziej na handel.

— Beatrice, przepraszam, że ci przeszkadzam — odezwała się Celia.

Nie brzmiało to jednak jak przeprosiny. Przypomniałam sobie od razu scenę we Francji, gdy Celia wkroczyła do mojej sypialni z wyrazami ubolewania na ustach, lecz z głodnym niemowlęciem w ramionach i absolutną determinacją: musiałam nakarmić dziecko. Stanowczość Celi nie brała się z egoizmu, przeciwnie — stawiała się dzielna występując w obronie osób, za które czuła się odpowiedzialna. Powinnam właściwie bardziej się przed nią pilnować, ale tylko mnie rozbawiła.

— Wcale nie przeszkadzasz, Celio — stwierdziłam grzecznie, dając jednocześnie do zrozumienia, że bardzo mi przeszkadza. — Mów dalej, proszę.

— Kiedy John wczoraj poszedł do swego gabinetu, znalazł tam na stole dwie otwarte butelki whisky. Wypił je obie. — Przybrałam zaszokowany wyraz twarzy, słysząc te słowa.

— Skąd się tam wzięły? — spytała Celia surowo.

— Nie wiem. Prawdopodobnie John polecił swojemu służącemu przynieść parę butelek. Pije tak przecież od czterech miesięcy, jak pamiętasz, Celio. Służba już przywykła przynosić mu to, czego zażąda.

— A więc musimy przykazać, aby tego nie robiła — oznajmiła Celia energicznie. Pochyliła się ku mnie nad stołem. Brązowe oczy błyszczały. Po zmęczeniu nie pozostało śladu. — Musisz powiedzieć Stride'owi, aby pod żadnym pozorem nie przynosił Johnowi alkoholu, my zaś powinniśmy zrezygnować z podawania wina do posiłków, a nawet ze spożywania wina w domu, dopóki John nie wyleczy się z nałogu.

Kiwnęłam głową.

— Chyba masz rację, Celio. Zdrowie Johna jest najważniejsze. Musimy znaleźć jakiś sposób na wyciągnięcie go z tego. Może powinniśmy go dokądś wysłać? Są przecież wspaniali lekarze specjalizujący się w takich właśnie przypadkach.

— Naprawdę? — spytała. — Nie wiedziałam. Ale czy on się zgodzi?

— Moglibyśmy nalegać, żeby pojechał, legalnie skłonić go, aby poddał się leczeniu — z rozmysłem wyrażałam się niejasno.

Celia westchnęła.

— Może do tego dojść, jak przypuszczam. Brzmi to jednak strasznie. Moglibyśmy zacząć od wyrzeczenia się alkoholu w tym domu.

Znów pokiwałam głową.



— Jeśli jesteś pewna, że to najwłaściwsza droga — odezwałam się niepewnie. — Wczoraj poleciłam podanie wina, bo sądziłam, że John przyzwyczai się do picia lemoniady w towarzystwie innych ludzi pijących wino. Kiedy wybierzemy się do kogoś na obiad, zawsze będzie tam wino i portwajn na stole, wiesz dobrze.

— Tak, nie pomyślałam o tym. Mam jednak całkowitą pewność, że przez pierwsze kilka dni powinniśmy trzymać Johna z dala od alkoholu. Wydasz odpowiednie polecenie, Beatrice?

Uśmiechnęłam się.

— Oczywiście, Celio. Wszystko zrobię, aby tylko mój mąż znów był zdrowy.

Spojrzała na mnie badawczo. Mała dobra Celia, która sądziła, że świat jest równie łagodny jak ona, uczyła się szybko. Głupiutkie dziewczątka, które myślało, że wszyscy są tacy jak ono, tak samo myślą, mówią, kochają — nagle temu dziewczątku otworzyły się oczy na odmienność ludzi. Celia zaczynała rozumieć, że ja jestem inna niż ona. Nie wiedziała jednak, jaka jestem.

Zwyciężyły jej dobre maniery.

— Bardzo cię przepraszam. Nie mam prawa wydawać poleceń bez twojej wiedzy. Wszystko dlatego, że się niepokoję o Johna. Chciałam tylko usunąć wino ze stołu.

Przesłałam jej dłonią całusa.

— Nic się nie stało, Celio! I chyba miałaś rację. Oczyszczę nasz dom z alkoholu i to na pewno, tak jak twierdzisz, pomoże Johnowi — zdecydowałam swobodnie.

— Pójdę mu to powiedzieć — odrzekła Celia i szeleszcząc czarnym jedwabiem, wymknęła się z pokoju.

Wróciłam z zainteresowaniem do studiowania ksiąg rachunkowych. Nie musiałam nawet podsłuchiwać ich rozmowy. Wiedziałam doskonale, jaki będzie jej przebieg. Celia będzie błagała Johna, żeby więcej nie pił; John obolały od całonocnego pijaństwa, bolejący nad swoim upadkiem moralnym, żałośnie wyrazi zgodę. Celia rozpromieniona nadzieją i dobrocią oznajmi, że udało jej się ułatwić Johnowi pierwszy krok, że z domu zostanie usunięty alkohol i kiedy wieczorem zejdzie na kolację, nie poczuje zapachu sherry w saloniku i nie spostrzeże rubinowego wina w szklance przed swoim nakryciem.

W Johna wstąpi nadzieja. Pomyśli, że niezależnie od moich słodkich kuszących uśmiechów nareszcie uwolni się od przekłętą widoku: dwóch świeżych butelek whisky pokrytych mgielką rosy i klucza w zamku gabinetu, tak aby mógł zostać sam na sam z trunkiem.

Tak więc przy śniadaniu piliśmy herbatę i lemoniadę, a Harry z irytacją zerkał na pusty półkwartowy dzbanek, lecz nic nie mówił. Celia zrezygnowała z wyjazdu ze mną do Chichester. Wołała zostać w domu. O ile znałam swoją bratową, zamierzała skusić Johna do wyjścia na spacer, wzmocnić jego siły słodką herbatą oraz trzymać go przy sobie, zabawiając pogawędką, uśmiechami i zabawą z Julią aż do kolacji. Celia walczyła o jego duszę i wkładała w tę walkę całe swoje lojalne kochające serduszko.

Harry i ja pojechaliśmy zatem sami do Chichester i wypróbowaliśmy naszą gotowość do oszczędzania. Trudno było się oprzeć tylu pięknym powozom! Harry już zaczynał się wahać, lecz ja niewzruszona opierałam się nęcącym pojazdom. Potrzebowałam zgrabnego kabrioletu lub dwukółki do przejażdżek po terenach posiadłości. Solidne modele na nisko podwieszonych osiach były i zbyt kosztowne, i zbyt niestabilne jak na

koleiny dróg, po których miałam podróżować, aby oszczędzić sobie spaceru po śniegu, spiesząc do kocących się owiec.

— Jestem wyczerpana — westchnęłam, kiedy Harry w końcu dokonał wyboru. — Chodźmy na herbatę do de Courceyów.

Lady de Courcey była dawną przyjaciółką mamy i miała dwoje dzieci prawie w naszym wieku. Spośród wszystkich rodzin mieszkających w Chichester właśnie z de Courceyami utrzymywaliśmy najbliższy kontakt z racji ich zbliżonej do nas pozycji społecznej (wedle ocen mamy). Nie mieli ziemi, lecz byli zamożniejsi. Należeli do starych rodów, lecz nie mieszkali w swym starym domu, tak jak my Laceyowie. W Chichester odwiedzaliśmy też biskupa (uciażliwy to obowiązek) oraz dwie czy trzy inne rodziny, ale tylko z de Courceyami łączyła nas przyjaźń.

Chociaż nie odczuwaliśmy równie wyraźnie jak mama ostrości podziałów społecznych, Harry i ja na razie nie poszerzaliśmy kręgu znajomych. Po części dlatego, że mieszkaliśmy w znacznej odległości od Chichester i wyjazd do najbliższego miasteczka oznaczał dla nas całą wyprawę, nie zwykłą przejażdżkę. Po części również dlatego, że nie leżało to w tradycji Wideacre. Tak samo jak za życia papy spotykaliśmy się tylko z ludźmi z najbliższego sąsiedztwa, z tymi, którzy z nami polowali, i z krewnymi. Drogi często tonęły w błocie, w zimie zaś stawały się całkiem nieprzejezdne. Praca na roli należała do zajęć czasochłonnych i wyczerpujących fizycznie. A przede wszystkim Harry i ja, a teraz również Celia i John, tworzyliśmy swój mały świat. Mając taką możliwość, nie wyjeżdżałabym z Wideacre nawet na jeden dzień, a inni chociaż nie darzyli Wideacre równie silnym uczuciem, z radością pozostawali w murach naszego parku.

Haveringowie i de Courceyowie należeli do grona naszych starych przyjaciół. Czasem zatrzymał się u nas jakiś krewny ze strony mamy, czasem ktoś ze strony Laceyów. Jednak ogólnie, tak jak większość rodzin z naszej sfery, stanowiliśmy izolowaną wysepkę pośród morza ludzi ubogich. Nic dziwnego, że mama, postrzegając niziny społeczne jako anonimową masę, niemal niewidzialny tłum, czuła się samotnie. Nic dziwnego, że ja, chwytająca najmniejszy przejaw niezadowolenia mogący przerodzić się w groźny bunt, czułam czasem strach.

Inaczej to wyglądało w mieście. Dom de Courceyów stał trochę z dala od ulicy wśród szkockich jodeł, otoczony wysokim murem ze zgrabnymi, niebezpiecznymi metalowymi kolcami. Kiedy zajechaliśmy tam z Harrym, na zwirowym łuku podjazdu stały już trzy powozy. Skrzywiłam się na ich widok.

— Herbatka — odezwałam się. — Nie zostawiaj mnie z tymi starymi damami.

Harry zachichotał i pomógł mi zejść po niskich schodkach. Służący zastukał do drzwi. Lokaj de Courceyów poprowadził nas po czarno-białej marmurowej posadzce i otworzył energicznie drzwi salonu.

— Pani MacAndrew. Sir Harry Lacey — zaanonsował, a lady de Courcey zerwała się z krzesła i pośpieszyła do nas.

— Beatrice! Harry! Moi kochani! — ucałowała nas hałaśliwie w oba policzki. Byłam od niej nieco wyższa i musiałam się schylić. Miałam zawsze wrażenie, że jest za młoda jak na przyjaciółkę mamy. Wydawała się wiecznie dwudziestoletnią piękną, która przez całą zimę uwodziła pół Londynu, a potem zgarnęła najlepszego konkurenta, lorda de Courcey. Bez majątku, bez nazwiska weszła do bogatej rodziny, pięknego domu. Wystarczył jej wygląd. Moje bystre oko dostrzegło w niej awanturnicę lubiącą wpływy,

posiadanie. Nigdy jednak nie dała po sobie poznać tej prawdziwej natury. Stanowiła ucieleśnienie wspaniałych manier. Tylko ja widziałam w niej przebiegłą oszustkę zdobywającą swoją pozycję ładną buzią.

Jej salon wypełniała śmietanka towarzyska Chichester. Większość gości znaleźliśmy. Ukłoniłam się starym plotkarkom i uściśniłam rękę biskupowi. Harry, zerkając na talerz z ciasteczkami, gawędził z synową lady de Courcey siedzącą koło tacy z herbatą i z jej synem Peterem stojącym przy kominku.

Spędziliśmy tam nudne pół godziny, zanim nie posądzeni o niegrzeczność, mogliśmy się pożegnać. I wtedy pod wpływem impulsu spytałam Isabel de Courcey, czy ona i Peter zjedliby z nami obiad. Peter wyraził ochotę, a lady de Courcey z uśmiechem dała swe pozwolenie. W dziesięć minut byli gotowi, moja zaś opinia osoby lekko postrzelonej tłumaczyła nieformalny, improwizowany charakter zaproszenia.

Celia wypatrywała nas z okna salonu i wyszła na schody, widząc z tyłu drugi powóz ozdobiony herbem de Courceyów na drzwiach.

— Jak cudownie — stwierdziła, jak zwykle demonstrując nienaganne maniery.

Zauważyłam jednak, że cień przemknął przez jej twarz. Wiedziałam dlaczego.

Spędziła z Johnem cały dzień, trzymając go z dala od alkoholu, dodając mu odwagi przed obiadem w moim towarzystwie i zapewniając, że na stole nie będzie wina. Teraz przebrana do obiadu i czekająca, aż John do nas dołączy, odkryła ze zgrozą, że oto czeka nas wesołe spotkanie towarzyskie, a nie kameralny posiłek w gronie rodzinnym.

Zostawiłam de Courceyów z Celią i pomknęłam po schodach zachodniego skrzydła, żeby się przebrać. Tego wieczora założyłam suknię z czarnej tafty wyciętą w karo i czarne jak smoła kolczyki zwisające nisko z uszu, podkreślające smukłość mojej szyi. Obejrzałam się w lustrze i zadowolona z widoku ruszyłam do drzwi. Mój wygląd, wspaniała figura, w każdym mężczyźnie wzbudziłyby pożądanie. Wiedziałam świetnie, że jeśli John MacAndrew będzie mnie oglądał co wieczór tak uroczy i zarazem tak zniechęcony, zniszczę go.

Pojawił się na scenie mojego życia rozgrzany alkoholem, by móc mnie zaatakować. Schodząc ze sceny, potrzebował trunku, by móc znieść mój widok. Teraz zrozumiał, że alkohol, który mu pomagał, pozwalał przebrnąć przez koszmar ostatnich miesięcy, stracił swą zbawczą moc. Wiedział już, dlaczego zawsze znajdował butelkę przy łóżku i szklankę na tacy ze śniadaniem. Wiedział, że butelka w gabinecie, w bibliotece, w pokoju myśliwskim nie była przypadkowa. To ja ją przysyłałam. Pojmował powoli, że miał dwóch wrogów i że wrogowie ci zawarli przymierze. Jeden z nich to kobieta, którą kiedyś kochał. A drugi — to alkohol, od którego nie mógł się uwolnić. Bał się, że znalazł się blisko dna. Czuł, że spada. Nie mógł znieść takiego życia i rozpamiętywania klęski. Ani dziecka, ani żony, ani godności, ani uczucia. Znikąd. Tylko dobra Celia wkładała całą czułość w podtrzymywanie Johna na duchu. Bał się stracić to ostatnie oparcie.

Uśmiechnęłam się do siebie. Lustro pokazało kobietę kwitnącą niby panna młoda. Tak wyglądałam w dniu ślubu. Śmignęłam po schodach, a tafta sukni zafalowała za mną. Stride wyczekiwał na mnie w hallu.

Uśmiechnęłam się, od razu wiedząc, o co chodzi.

— Tak, wiem — odezwałam się niemal ze śmiechem. — Nie możemy jednak oczekiwać od de Courceyów, aby pili lemoniadę. Podaj sherry w salonie, a wino w jadalni. Najpierw najlepsze wino wytrawne, a do owoców chyba szampan. Panowie jak zwykle dostaną portwajn.

— Czy napełniać szklankę pana MacAndrew? — Stride spytał neutralnym tonem.

Nie dałam po sobie poznać, że zauważyłam, iż Stride i reszta służby przestała nazywać mojego męża „doktorem”. Teraz już na zawsze, bez najmniejszego sprzeciwu z mojej strony John miał pozostać „panem MacAndrew”.

— Oczywiście — odparłam.

Minęłam Stride'a i weszłam do salonu.

Byli tam wszyscy. John dobrze czuł się pod kontrolą pełnych miłości oczu Celi. Harry szukał wzrokiem karafki z sherry. Stride wniósł naczynie i Harry nalał szczerą ręką dla de Courceyów, dla mnie i dla siebie. Celia wzięła szklankę z lemoniadą, a i John trzymał bladożółty napój. Widziałam, że uniósł głowę i patrzy na Harry'ego. Instynktownie domyśliłam się, że próbuje wyczuć zapach sherry ciepławej od żaru kominka.

Podano obiad. Celia zmierzyła wzrokiem stojące na stole szklanki i posłała mi surowe spojrzenie. Wzruszyłam lekko ramionami i kiwnęłam głową w stronę de Courceyów. Moje oczy i kryły nieme pytanie: „Cóż mam zrobić?”

John jadł niewiele, starał się jednak zachowywać dobre maniery i podtrzymywał konwersację z Isabel siedzącą po jego lewej ręce. Słyszałam każde słowo, mimo że sama rozmawiałam z moim sąsiadem, Peterem. John nie tknął ani białego, ani czerwonego wina i widziałam, że śledzi wzrokiem zabierane ze stołu szklanki. Wniesiono wielką srebrną misę owoców. Rozległ się miły dla ucha odgłos odkorkowywania szampana. W szklankach zaszumił musujący napój.

Obserwowałam twarz Johna; uwielbiał szampan.

— Tylko jedną szklaneczkę — powiedział na wpół do siebie, na wpół do Celi.

Celia gwałtownie potrząsnęła głową, dając znak lokajowi, który stał gotów do napełnienia szklanki Johna. Niezręczna sytuacja. Lokaj trzymał przechyloną butelkę nad wysoką szklanką. John utkwiał wzrok w zielonej szyjce butelki i aż drżał, słysząc syk bąbelków.

— Nie — stwierdziła Celia stanowczo półgłosem.

Lokaj Jack Levy, sierota, przebywałby pewnie nadal w parafialnym przytułku, gdybym przed dziesięciu laty nie dała mu pracy palacza we dworze. Postawny, dobrze wyglądający w liberii, popatrzył na mnie, czekając dalszych poleceń. Posłuchał, gdy dałam mu znak ruchem głowy. Nalał złotej musującej cieczy do szklanki Johna i przeszedł dalej. Harry wniósł toast. Harry należy do ludzi, którzy zawsze wnoszą toasty. Wypiliśmy. John wypił duszkiem niczym spragniony wędrowiec na pustyni. Levy znów spojrzał na mnie i posłusznie napełnił szklankę Johna. A potem znów. I znów.

Isabel mówiła o zimie spędzonej w Londynie i o przyjęciach, w których brała udział. Harry wypytywał o plotki. Peter de Courcey opowiadał mi o swoich planach kupienia domku myśliwskiego na północy. Zaproponowałam, żeby poradził się doktora Pearce'a, który znał dobrze tamtejsze tereny. Nikt nie zajmował się Johnem, który z płonącym wzrokiem pił na okrągło. I nikt oprócz mnie nie zwrócił uwagi na Celię siedzącą w milczeniu z pochyloną głową i łzami spływającymi po policzkach.

Poczekalam, aż się uspokoi. Wyprostowała ramiona i powiodła wzrokiem wokół. Wytarła moką twarz w serwetkę i wstała, chcąc opuścić pokój. Mężczyźni zerwali się na nogi. John szukał pomocy w oparciu

krzesła. Wyobrażałam sobie, jak świat wiruje mu w głowie. Poprowadziłam panie do saloniku. Usiadłyśmy przy kominku.

Reszta wieczoru bardzo się dłużyła. Panowie dołączyli do nas bez Johna. Podniosłam brwi, zerkając na Harry'ego, a ten skrzywił usta z niesmakiem.

— Służący kładą go do łóżka — wyjaśnił mi cicho. — Peter de Courcey nie zauważył nic osobliwego, lecz doprawdy, Beatrice, to haniebne.

Kiwnęłam głową i zaczęłam nalewać herbatę. De Courceyowie wypili w pośpiechu i postanowili jechać do domu, póki księżyc oświetla im drogę. Powóz podjechał do drzwi. Umościli się wygodnie, grzejąc stopy gorącymi cegłami, okutani kocami po uszy.

— Do widzenia! — zawołałam ze schodów. Było mroźno; para buchała z ust. — Wspaniale, że nas odwiedziliście. Dziękujemy za przybycie.

Powóz odjechał po podjeździe, a ja wróciłam do domu. Harry senny od portwajnu i nudnych rozmów udał się już na spoczynek, Celia jednak czekała na mnie w saloniku przy kominku.

— Czy to ty zaprosiłaś de Courceyów, Beatrice? — spytała. Zawahałam się. W jej głosie pobrzmiwała nuta, której wcześniej nie słyszałam: nieugiętość.

— Nie pamiętam — grałam na zwłokę. — Harry albo ja.

— Pytałam Harry'ego. Mówi, że zaproszenie wyszło od ciebie.

— Widać tak właśnie było — odparłam lekko. — Oni często bywają u nas na obiedzie, Celio. Nie sądziłam, że miałybyś jakiś powód do niezadowolenia z ich wizyty.

— Nie byłam niezadowolona — odpowiedziała Celia cienkim od niedowierzania głosem. — To jednak nie ma znaczenia, Beatrice. John zamierzał przez cały dzień powstrzymać się od alkoholu. I już nigdy nie pić. Cały dzień przekonywałam go, że dałaś słowo i z Wideacre zniknie alkohol. Zapewniłam go, że powinien usiąść z nami do obiadu i że nikt nie będzie mu proponował mocnych trunków. I oto nadchodzi obiad, a on musi siedzieć ze szklanką białego schłodzonego wina przed sobą, potem czerwonego wina, a na końcu jego ulubionego szampana. Beatrice, to już było za dużo dla niego! Znów jest pijany, a rano będzie się czuł fatalnie! Uzna, że poniósł klęskę, bo rzeczywiście tak było! Ale to przez twój egoizm i kaprys!

Miała łzy w oczach, a policzki zaróżowiły się z gniewu. Z trudem rozpoznawałam moją kochaną łagodną bratową w tej stanowczej rozwścieczonej kobiecie.

— Celio — odezwałam się z wyrzutem.

Opuściła wzrok. Rumieńce zniknęły.

— Bardzo cię przepraszam — dobre wychowanie wzięło w niej górę. — Jestem jednak poważnie zaniepokojona Johnem. Mam nadzieję, że jutro wieczorem na stole nie pojawi się alkohol.

— Oczywiście — odrzekłam. — Ale kiedy mamy gości, nie możemy im podawać lemoniady. Rozumiesz to, prawda, Celio?

— Tak — odparła niechętnie. — Nie oczekujemy chyba nikogo przez resztę tygodnia, nieprawdaż?

— Nie — potwierdziłam z uśmiechem. — Kiedy jesteśmy w domu tylko my, uważam, że nie powinniśmy podawać alkoholu do posiłków, aby nie kusić Johna. Wszyscy postaramy się mu pomóc.



Wtedy podeszła i pocałowała mnie zdawkowo, czysto z grzeczności, w policzek. Miała zimne usta. Poszła spać, a ja zostałam przy kominku, wpatrując się w płomienie tworzące najcudowniejsze kształty: czerwone piramidy i zamki, jaskinie i grotty. Przed mężczyzną, którego poślubiłam z miłości, była długa droga rozpacz i upadku.

Nazajutrz wieczorem przyszedł pan Haller, więc musieliśmy podać wino do obiadu. John wypił szklankę, potem następną. Celia i ja wyszliśmy. Harry i George Haller pili portwajn. Służący Johna położył go do łóżka pijanego w sztok.

Następnego wieczora przybył z Acre wielebny Pearce, ot tak, na poczęstunek.

— Pewien ptaszek powiedział mi, że macie dzisiaj zajęcia w zalewie z czerwonego wina. A to moje ulubione danie — przyznał się słodko Celii.

— A cóż to był za ptaszek? — spytała, zerkając na mnie.

— Najpiękniejszy ptaszek w całej parafii! — oznajmił doktor Pearce, całując moją dłoń. Celia przybrała kamienny wyraz twarzy.

Następnego dnia dostaliśmy zaproszenie na obiad od rodziców Celii i przy obopólnej zgodzie zdecydowaliśmy, że John nie powinien iść z nami.

Celia spędziła dłuższą chwilę ze Stride'em. Wyobrażałam sobie, że wymogła na nim obietnicę, aby Johnowi nie podawać wina do posiłku ani portwajnu po jedzeniu. Stride zatrzymał mnie w hallu. Wyglądał na bardzo cierpliwego lokaja. Miał pensję na tyle wysoką, żeby nie przejmować się sprzecznymi poleceniami; w Wideacre tylko jeden głos wydawał polecenia. I ten oto głos przemówił.

— Proszę nie podawać dziś wina ani portwajnu panu MacAndrew — poprosiłam. — Zanieś mu jednak do biblioteki dwie butelki whisky, szklankę i wodę.

Stride kiwnął głową. Twarz ani mu drgnęła. Myślę, że gdybym mu kazała przygotować pętlę wisielczą w sypialni pana MacAndrew, wykonałby to polecenie bez komentarza.

— Powiedziałam Stride'owi, że Johnowi nie wolno podawać dziś wieczór alkoholu — stwierdziła Celia, kiedy usadowiliśmy się w powozie pod warstwą ciepłych pledów przed wyjazdem do Havering Hall.

— Oczywiście — kiwnęłam głową. — Mam nadzieję, że nie schował gdzieś whisky.

Celia wyglądała na zaszokowaną.

— Nie pomyślałam o tym — przyznała. — Jestem jednak przekonana, że jeśli nikt mu nie zaproponuje alkoholu, nie będzie sam żądał, aby mu przyniesiono.

— Mam nadzieję — odrzekłam pobożnym tonem.

Harry chrząknął z rezerwą, lecz nic nie powiedział. Chciałam, żeby ten wieczór trwał długo. Lord Havering był w domu i z zachwytem poprosił swoją żonę o jeszcze jedną partyjkę kart, gdyż miał mnie za partnerkę w grze. Siedziałam naprzeciwko niego, spuściwszy skromnie wzrok na trzymane karty, lecz od czasu do czasu rzucałam spojrzenie swymi skośnymi zielonymi oczami, z tajemniczym uśmiechem, na ordynarną, nabiegłą krwią twarz lorda.

Kiedy dotarliśmy do domu, w oknach paliły się wszystkie światła, a zasłony nie były zasunięte.

— Co się stało? — spytałam przerażonym głosem i wyskoczyłam z powozu, zanim podstawiono schodki. — Czy nic się nie stało Richardowi? Julii? Czy to Mściciel?

— To pan MacAndrew — wyjaśnił Stride, podchodząc do powozu. — Zaproszył ogień na dywan w bibliotece i potłukł trochę porcelany.

Harry krzyknął i przemknął obok mnie do biblioteki. Gwałtownie otworzył drzwi. Oczom naszym ukazał się chaos. Bezcenny perski kobierzec poczerniał, a na środku pojawiła się wielka dziura o zwęglonych brzegach. Szyby w gablotkach stłuczone, duże wazony stojące na podłodze — roztrzaskane. Książki wyciągnięte z półek, porozrzucane, kartki pogniecione. A na środku tego pobojuwiska mój mąż w wysokich butach, bez marynarki, z pogrzebaczem w ręku niczym duński król Hamlet na scenie wędrownego teatru.

Harry zamarł na progu, wprost zaniemówił. Celia jednakże zanurkowała pod jego ramieniem i podbiegła do Johna.

— Co to ma znaczyć, John? — głos jej się trząsnął ze zdenerwowania. — Czyś ty oszalał? Co to ma znaczyć?

Wskazał pogrzebaczem okrągły stolik przysunięty kuszaco blisko jego ulubionego fotela. Stały na nim dwie butelki whisky i karafka z zimną wodą, talerz herbatników oraz cygaro, już obcięte, gotowe do zapalenia.

— Kto to tu postawił? — dopytywała się Celia i gwałtownie zwróciła się do Stride'a. Wydawała się teraz wyższa. Trzymała głowę wysoko, a oczy pały gniewem. — Kto to tu postawił? — powtórzyła pytanie tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Ja, wasza miłościwość — przyznał się Stride.

Patrzył jej prosto w oczy, aczkolwiek nie widział jej jeszcze w takim stanie. Podobnie jak nikt z nas.

— Czy doktor MacAndrew polecił ci to? — spytała.

Kłamstwo nic by nie dało; jej oczy błyszczały, twarz miała lodowaty wyraz.

— Nie, wasza miłościwość — odparł Stride.

Nie zamierzał wyjawiać, że otrzymał polecenie ode mnie. W każdym razie Celi to wystarczyło.

— Możesz odejść — odesłała go energicznie i skinieniem głowy kazała zamknąć drzwi.

Harry, John, Celia i ja zostaliśmy sami z panującym w pokoju bałaganem.

John opuścił rękę z pogrzebaczem i opanował swój gniew. Patrzył łakomie, tęsknie na butelki. Opuścił ramiona, jak gdyby spodziewając się niechybnej klęski. Celia szybkimi krokami (zupełnie niepodobne to do jej zwykłych delikatnych ruchów) podeszła do butelek i podniosła je jedną dłonią za szyjki. Jednym silnym gestem rozbiła butelki o kamienną obudowę kominka, a kikuty szyjek wrzuciła do paleniska.

— To ty poleciłaś je podać, Beatrice — stwierdziła gniewnie. Nawet jej suknia wydawała się sztywna od gniewu. — Ty poleciłaś je podać, tak samo jak robisz wszystko, abyśmy pili wino przy każdym posiłku. Chcesz zmusić Johna do picia. Chcesz, żeby dalej pił.

Harry dyszał jak łoś w sieci. Wydarzenia toczyły się zbyt szybko dla niego, widok zaś rozwścieczonej Celi zaszokowałby każdego mężczyznę. Ze mną było nieco lepiej. Patrzyłam na nią z ciekawością, niczym na kotkę, która nagle dostała napadu szału. Bałam się jej nowej siły.

— Ja jestem lady Lacey — oznajmiła.

Uniosła dumnie głowę, przyspieszyła oddech. Twarz płonęła gniewem. Nigdy w życiu nie była wściekła i ta eksplozja gniewu wyglądała jak wiosenna powódź.

— Ja jestem lady Lacey — powtórzyła. — To mój dom i polecam, rozkazuję, aby w tym domu przestano podawać alkohol, komukolwiek.

— Celio... — zaczął Harry niepewnie.

Odwróciła się w jego stronę, zapominając o dotychczasowym posłuszeństwie wobec męża.

— Harry, nie pozwolę, aby na moich oczach niszczonego człowieka i żebym ja nic w tej sprawie nie przedsięwzięła — wybuchnęła. — Nigdy nie rozkazywałam w tym domu, i w ogóle nigdzie, i wcale mnie do tego nie ciągnęło. Teraz jednak jestem do tego zmuszona.

Harry patrzył na mnie rozpaczliwie i szukał pomocy. Cóż mogłam zrobić? Stałam nieruchomo jak lis, nasłuchujący rogów myśliwskich i ujadania psów. Mój wzrok wędrował od Johna (milczącego, niewzruszonego) do Celi pałającej gniewem.

— Gdzie są klucze do piwnicy? — spytała Harry'ego.

— Stride ma klucze — odrzekł płaczliwie. — I Beatrice.

Celia podeszła do drzwi i otworzyła je raptownie. Widać Stride i nasza gospodyni podsłuchiwali w hallu. Głupio teraz wyglądali, przycupnięci pod drzwiami.

— Daj mi klucze do piwnicy — poleciła Celia Stride'owi. — Wszystkie klucze. Komplet panienci Beatrice także.

Stride zerknął na mnie. Skinęłam głową. Nie mogłam powstrzymać biegu wydarzeń. Ich rwący potok ściał mnie z nóg. Musiałam płynąć z nurtem, a potem zastanowić się, jak wrócić do domu.

Stride przyniósł swój i mój komplet kluczy z haka w kantorku. Staliśmy w milczeniu, aż trzasnęły drzwi zachodniego skrzydła i Stride pojawił się z powrotem.

Celia stanowczym gestem schwyła klucze.

— Zatrzymam je do czasu, kiedy znów zaczniemy podawać wino, kiedy John wyzdrowieje — obwieściła z absolutną pewnością. — Harry, zgadzasz się?

Harry z trudem łapał powietrze.

— Tak, moja droga — powiedział to jak człowiek całkiem ubezwłasnowolniony.

— A Beatrice? — spytała teraz mnie głosem równie odpychającym jak jej twarz.

— Oczywiście, jeśli sobie tego życzysz — odparłam, unosząc jednocześnie zuchwale brwi.

Zignorowała to i wróciła do Stride'a.

— Teraz, jeśli można, pójdziemy zamknąć piwnice. Proszę posłać po służącego doktora MacAndrew, aby go zabrał do sypialni. Jest niezdrów.

— Służący pana MacAndrew ma dziś wieczór wychodne — odezwał się Stride. Celia natychmiast ucieła.

— Doktora MacAndrew, chciałeś powiedzieć — poprawiła go i spojrzała surowo.

Zdecydowanie bijące z błyszczących brązowych oczu sprawiło, że Stride opuścił wzrok.

— Doktora MacAndrew — powtórzył posłusznie.

— Poślij więc po innego lokaja — poleciła energicznie. — Doktor MacAndrew jest zmęczony i musi się położyć. I niech ktoś tu posprząta.

Teraz zwróciła się do mnie i Harry'ego, stojących bez słowa na zwęglonym dywanie. W powietrzu unosił się jeszcze dym i woń spalenizny. Czułam niepokój, jak koń na spalonej ziemi.

— Kiedy zamknę piwnicę, położę się spać — zapowiedziała. — Pomówimy o wszystkim jutro rano, jeśli sobie życzyście.

Odwróciła się i wyszła.

Nie mogłam nic zrobić, aby ją powstrzymać.

## 15

Rano Celia zachowywała się tak samo. Po południu miała gości. Pracowałam w swoim gabinecie i zastanawiałam się, czy paplanina wysokich głosów i perlisy śmiech nie męczą i nie wyczerpują Celi. Kiedy wieczorem zesłam na kolację, szeleszcząc jedwabną suknią i trzymając głowę wysoko, spojrzała mi prosto w oczy. Była niewzruszona. Pani domu.

Wzięłam Harry'ego pod ramię i weszliśmy do jadalni. John zaprowadził Celię do jej krzesła. Już cały dzień nie pił. Ręce mu drżały, usta dygotały nerwowo. Mając jednak Celię u boku, wyprostował się i kroczył pewnie. Spojrzałam na nich ukradkiem. Wyglądali niczym para bohaterów powieściowych, która przetrwała najstraszliwsze przygody. Wydawali się zmęczeni: John był w złym stanie fizycznym, a Celia miała za sobą bezsenność; podkrążone oczy świadczyły, że rozpamiętywała swój gniew. Podobnie jednak jak postaci z literatury, oboje byli gotowi wstąpić w najbardziej zagmatwany labirynt i pokonać każdego potwora czającego się w ciemności.

Nie podano wina. John pił wodę, Celia sęczyła lemoniadę, przed Harrym stał półkwartowy kubek wody. Harry miał kwaśną minę. Milcząc, pełna buntu, sięgnęłam po swoją szklanekę lemoniady. Nikt z nas nawet nie próbował udawać, że nic się nie stało. Zwykle zaczynałam rozmowę i wciągałam do niej Harry'ego i Celię, tego wieczora siedziałam jednak posepnie, gdyż nie przewidziałam aż takiej porażki. Posiłek trwał krótko, a kiedy Celia i ja wstałyśmy od stołu, spostrzegłam z ulgą, że panowie idą z nami. Nie uśmiechała mi się perspektywa wieczoru spędzonego sam na sam z Celią przy kominku w salonie.

Poleciliśmy wcześniejsze podanie herbaty i siedzieliśmy w ciszy niczym podejrzliwi nieznajomi. Kiedy wypiliśmy herbatę, odstawiłam filiżankę na spodek energicznie i odezwałam się do Harry'ego:

— O ile nie masz nic innego do roboty, może zajrzałbyś do mojego gabinetu, Harry? Dostałam list w sprawie praw do wody z rzeki Fenny i chciałabym, żebyś rozważył tę kwestię na mapie.

Celia spojrzała na mnie. Wiedziałam, że bada prawdziwość moich słów.

— O ile oczywiście Celia nie ma nic przeciwko temu — dodałam ostro.

Zauważyłam, że spłonęła rumieńcem i spuściła wzrok, jak gdyby zawstydzona.

— Oczywiście, że nie — odparła cicho. — Pójdę do biblioteki poczytać trochę.

Przestałam zachowywać pozory, ledwie zamknęłam drzwi kantorku. Oparłam się o futrynę i powiedziałam władczo:

— Musisz kazać Celi skończyć z tymi szaleńczymi pomysłami! Doprowadzi nas wszystkich do utraty zmysłów!

Harry opadł na fotel przy kominku jak nadąsany uczeń.

— Co mam zrobić? — spytał zirytowany. — Rozmawiałem z nią rano, bo wczoraj nie chciała o niczym słyszeć, a ona mi powiedziała po prostu: „Ja jestem lady Lacey i w moim domu John nie dostanie alkoholu”.

— Jesteś jej mężem — stwierdziłam surowo. — Musi ci być posłuszna. Przecież dotąd się ciebie bała. Zagroź jej, huknij na nią, uderz, rozbij talerz. Zrób cokolwiek, Harry, bo nie wytrzymamy.

Harry podniósł wzrok. Oszupiał.

— Beatrice, zapominasz się! — wymamrotał. — Mówimy o Celi! Nie mógłbym na nią krzyczeć, tak jak nie umiem polecić na Księżyc. Na takie kobiety jak ona się nie krzyczy. Jakże mógłbym ją straszyć! Nigdy nie chciałbym do tego dopuścić.

Przygryzłam wargi, aby opanować wzbierający gniew.

— Cóż, rób jak uważasz, Harry. Czekają nas jednak ponure święta w Wideacre, jeśli Celia będzie dalej trzymała wino pod kluczem. A ty nie możesz nawet wypić portwajnu po obiedzie. Jak mamy przyjmować gości? Co im mamy zaproponować do obiadu czy kolacji? Plan Celi jest bez sensu i musisz jej to powiedzieć.

— Próbowałem — wyznał Harry słabym głosem. — Ale ona myśli tylko o Johnie. Naprawdę postanowiła wyleczyć go z picia, wiesz, Beatrice, nie będzie nawet chciała o niczym słyszeć.

Wyraz jego twarzy złagodniał.

— Ona ma rację, mówiąc, że byliśmy szczęśliwi, kiedy mama żyła. Gdyby John przestał pić, ty i on bylibyście znów szczęśliwi, a to rzecz warta największego poświęcenia, prawda?

— Tak, oczywiście — odrzekłam słodko. — Ale jednocześnie, Harry, przygnębia mnie myśl, że Celia, tak troszcząca się o twoje dobro, odmawia ci najmniejszej niewinnej przyjemności: szklaneczki sherry przed obiadem czy szklanki portwajnu wypitej z przyjaciółmi. Staniesz się pośmiewiskiem całego hrabstwa, jeśli to się wyda. Ludzie zaczną żartować, że wprowadziliśmy w Wideacre prohibicję, a dziedzic to pantoflarz, któremu nie wolno nawet wypić szklanki wina z własnej piwnicy.

Harry jeszcze bardziej skrzywił swe różowe usteczka.

— Wiem, że to źle, ale Celia zadecydowała — powiedział.

— Przecież wszyscy się z nią zgadzamy! — łgarstwo lekko przechodziło mi przez usta. — Wszyscy uważamy, że John powinien przestać pić. Po prostu nie mamy tu warunków, aby odciąć Johnowi dostęp do alkoholu. Nie pozostaje nic innego, jak wysłać go do lekarza, który by go wyleczył. Zasięgnęłam języka w tej sprawie. Okazuje się, że niejaki doktor Rose w Bristolu specjalizuje się w podobnych przypadkach. Czemu nie posłać tam Johna? Mógłby zostać do chwili, kiedy zostanie wyleczony. Wróci zdrowo do domu i znów wszyscy będziemy szczęśliwi.

Oczy Harry'ego pojaśniały.

— Tak, a kiedy John wyjedzie, tutaj wszystko mogłoby toczyć się normalnie — mój brat był wyraźnie uradowany.

— Cóż, przedstaw zatem Celi nasz plan — poleciłam. — Nie zwlekaj, a może uda się wysłać Johna z domu przed upływem tygodnia.



Harry z nową energią zerwał się z fotela i wyszedł z gabinetu. Czekalam. Czytałam raz jeszcze list dotyczący prawa wodnego, tej zmory każdego właściciela ziemskiego. Zaznaczyłam na mapie teren, którego dotyczył spór. Chodziło o farmera z sąsiedztwa uprawiającego ziemię nad rzeką Fenny, który opracował nowy system nawadniający mający podnieść plony. Wykopał kilka kanałów i już miał otworzyć wrota śluzy na rzece, kiedy nagle poziom wody opadł. Stało się tak za sprawą naszego zbiornika wodnego przy młynie, w którym zgromadziliśmy zapasy wody po zniwach. Gdyby ów farmer obserwował zmiany poziomu lustra wody na rzece, zamiast teoretyzować z nosem w książce, nie budowałby swoich kosztownych śluz.

Musiał teraz całkiem zmienić koncepcję i całą winę przypisywał nam, żądając przywrócenia dawnych warunków wodnych, tak jak gdybym mogła zesłać deszcz. Zaczęłam się zastanawiać nad odpowiedzią, lecz właśnie wtedy usłyszałam, że ktoś otwiera drzwi.

Oczekiwałam Harry'ego z pomyślnymi wieściami. Weszła Celia. Wydawało mi się, że ma w oczach łzy, co by znaczyło, że Harry zwyciężył. Stanowczość, z jaką na mnie spojrzała, świadczyła, że Celia nie została jednak pokonana.

— Beatrice, Harry przyszedł ze mną pomówić, sądzę jednak, że powtórzył to, co ty mu powiedziałaś — zaczęła ostro. Ku swemu zdziwieniu wyczułam w jej głosie pogardliwy ton.

— Jestem pewna, że znamy się wystarczająco dobrze, abyś zwracała się do mnie bezpośrednio — oznajmiła. Nie myliłam się, słyszałam pogardę. — Może powiesz mi zatem, jakie plany wiążesz ze swoim mężem?

Odsunęłam na bok listy i starannie zwinęłam mapę, nie spuszczając oka z tego śmiałego dzieciaka, który porzucił salonową delikatność i wkroczył nieustraszenie do mego biura.

— Usiądź, proszę, Celio — zaproponowałam uprzejmie.

Odsunęła jedno z krzeseł z twardym oparciem od stołu i usiadła sztywno. Wysłałam zza biurka, aby usiąść przy niej. Pragnęłam nadać swoim oczom ciepły współczujący wyraz, lecz surowe spojrzenie Celii poważnie mnie zaniepokoiło.

— Tak dalej być nie może — stwierdziłam z zatroskaniem. — Widziałaś sama, jak niezręcznie to wypadło wczoraj przy kolacji. Wszystkie wieczory nie mogą wyglądać w ten sposób, Celio.

Kiwnęła głową. Mój zrównoważony głos wzmagał jeszcze jej gniew. Kazałam jej postrzegać problem Johna jako kłopot dla nas wszystkich. Kazałam jej porzucić myśl, że właśnie ona jest szczególnie odpowiedzialna za Johna, a cały niedobry świat umywa ręce, nawet żona z radością krzywdząca męża.

— Sądzę, że wytrzymamy przez jakiś czas — zaczęła z rozmysłem. — Nie myślę, że choroba Johna zaszła tak daleko, aby potrzebował więcej niż paru tygodni wolnych od pokusy.

— Celio — odparłam żarliwie. — On jest moim mężem. Rozważam tylko to, co jest dla niego najlepsze. Chodzi mi o jego zdrowie i szczęście.

Słyszając czułość w moim głosie, podniosła wzrok i przypatrywała mi się z ciekawością.

— Naprawdę to ci leży na sercu? — spytała głucho. — A może tylko tak mówisz?

— Celio! — zaproponowałam z wyrzutem, lecz niezbyt energicznie.

— Przepraszam, jeśli zwracam się do ciebie niegrzecznie — zabrzmiało to dość obojętnie. — Po prostu nie potrafię zrozumieć twojego zachowania. Jeśli naprawdę zależy ci na dobru Johna, powinnaś walczyć o jego zdrowie. A ja tego nie widzę.

— Nie umiem ci wyjaśnić — powiedziała cicho. — Nie mogę mu wybaczyć śmierci mamy. Chciałabym, żeby wyzdrowiał, lecz jednocześnie nie potrafię go kochać, tak jak powinnam.

— Ale będziesz mogła, Beatrice! — stwierdziła Celia z twarzą rozjaśnioną nagłym współczuciem. — Kiedy tylko John wyzdrowieje, odzyskasz swoją miłość. Wierzę, że znów będziecie szczęśliwi.

Uśmiechnęłam się słodko.

— Celio, musisz mieć na względzie także swojego męża. Decyzją, żeby nie podawać więcej wina, pozbawiasz Harry'ego przyjemności.

Twarz Celi stężała. Zrozumiałam, że już słyszała ten argument na górze.

— Niewielkie to wyrzeczenie dla prawdziwego mężczyzny — odrzekła stanowczo. — Niewielkie wyrzeczenie dla mężczyzny, nie pić alkoholu przez kilka tygodni, kiedy szczęście, a może i życie męża jego siostry zależy od tej decyzji.

— Rzeczywiście — pokiwałam głową. — Może się na to zdobyć. Co jednak, jeśli odciągniesz przez to Harry'ego od domu?

Celia spojrzała na mnie przerażona.

— Wiele rodzin w sąsiedztwie z radością powitałoby Harry'ego na obiedzie, choćby i codziennie — oznajmiłam. — Nie będą go tam zameczać dramatycznymi scenami, kiedy jest znużony i chce w spokoju coś wypić i zjeść. Powitają Harry'ego z radością, z uśmiechem, poczęstują, czym chata bogata. Harry poczuje, że się o niego troszczą, że go kochają. Znajdzie sobie miłe towarzystwo, także ludzi młodych — ciągnęłam, obracając w rękach nóż do papieru. — Po obiedzie może gdzieś zostać na tańcach. A w okolicznych posiadłościach mamy najpiękniejsze dziewczęta Anglii. Każda poczyta sobie za zaszczyt taniec z dziedzicem Wideacre.

Celia, która dawniej pozwoliłaby Harry'emu z ochotą na kochankę, teraz truchlała ze zgrozy na myśl o tym, że jej mąż mógłby tańczyć z jakąś ładną dziewczyną.

— Harry nigdy nie nadużyje twego zaufania — zapewniłam ją. — Jestem przekonana, że tego nie zrobi. Nie mogłabyś jednak winić młodego mężczyzny za to, że jada poza domem, skoro we własnym domu odmawia się mu tego, co lubi.

Celia odwróciła głowę i gwałtownie wstała od stołu. Wiedziałam, że wizja Harry'ego hulającego z dala od domu to więcej niż mogła znieść. Siedziałam w bezruchu, milcząc. Pozwoliłam jej stać przez kilka dobrych minut przy kominku z głową opartą o kamienną obudowę i wpatrywać się w płonące polana.

— Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić, Beatrice? — spytała.

Westchnęłam bez słowa. Jeszcze raz przejęłam panowanie nad sytuacją.

— Sądzę, że powinniśmy znaleźć dobrego lekarza, który zabrałby go do siebie na kurację. Jego pijaństwo to nie po prostu słabość, Celio, to więcej niż choroba. John sam sobie nie poradzi. Najlepszy dla niego byłby wyjazd do jakiegoś znakomitego specjalisty. Ocaliliby w ten sposób nasz dom, a my czekaliłbyśmy bezpiecznie na jego szczęśliwy powrót, na to, żeby wszystko było tak jak dawniej.

— I znów go pokochasz, Beatrice? — W jasnych oczach Celi kryło się wyzwanie. — Wiem, że John najbardziej przeżywa właśnie to, że między wami się nie układa.

Uśmiechnęłam się złośliwie na wspomnienie wiecznej tortury, jaką sprawiałam Johnowi swą obecnością.

— Tak, oczywiście — odparłam z czułością. — Postaram się, aby nigdy o mnie nie zapomniał.

Celia podeszła, usiadła przy stole, a potem osunęła się na kolana przy moim krześle.

— Obiecujesz, Beatrice? — badała moją twarz szczerym wejrzeniem.

Wytrzymałam jej wzrok. Wyraz mojej twarzy wiernie odbijał stan sumienia.

— Na honor — oznajmiłam uroczyście.

Celia zmęczona, zalekniona, ze szlochom wtuliła twarz w jedwab mej sukni. Położyłam łagodnie dłoń na jej głowie. Biedna Celia! Tak niewiele rozumiała, a tak wiele chciała działać.

Pogłaskałam uspokajająco jej włosy, ciepłe, jedwabiste w dotyku.

— Głupiutka Celia! — przemówiłam do niej tkliwie. — I po cóż urządziłaś wczoraj całą tę scenę!

Oparła podbródek o moje kolana i podniosła wzrok uśmiechnięta.

— Sama nie wiem, o co mi chodziło — wyznała. — Coś mnie napadło. Byłam tak rozgniewana, że nie wiedziałam, co mówię, co robię. Tak się martwiłam o Johna, tak się bałam tego, co się tu dzieje. Wszyscyście się tak zmienili: ty, Harry, oczywiście John także. Byliśmy przecież szczęśliwi, a nagle wszystko stało się inne, obce. Jak gdyby jakaś trucizna znalazła się w naszym domu.

Uśmiechem zamaskowałam szok. Już to słyszałam. Celia mówiła dokładnie to, co kiedyś mama. Obie wyczuwały jakąś nikczemną więź łączącą mnie i Harry'ego. Nasz grzechgnił i cały dom cuchnął. Wszyscy czuli ten smród, lecz nie wiedzieli, skąd dobiega. Wzruszyłam lekko ramionami i przytuliłam twarz do pachnących włosów Celi.

— Nie mówmy już o tym dzisiaj — poprosiłam. — Rano pokażę ci list, który dostałam od doktora Rose'a z Bristolu. Zobaczysz sama, że jest on najodpowiedniejszą osobą dla Johna. Moglibyśmy posłać po niego, aby przyjechał i zbadał Johna na miejscu.

Celia podniosła się posłusznie. Wyglądała, jak gdyby kamień jej spadł z serca. Pozbawiłam ją władzy, używając całego swego sprytu oraz wykorzystując jej ufną naturę. Uwolniłam ją; mogła znów stać się kochającą żoną i ulubienicą domowników. Lekkim krokiem podeszła do drzwi i szepnęła:

— Dobranoc, niech cię Bóg błogosławi — i wyszła.

Uśmiechnęłam się do płonących w kominku dREW. Usiadłam przy ogniu, opierając stopy o kratę. Celia wzbudziła we mnie trwogę, ale znów miałam ją w garści. Zadzwoiłam po moją pokojówkę Lucy.

— Przynies mi szklanekę portwajnu z tego kosza, który dostarczono z Chichester — poleciłam. — I zanieś też butelkę do sypialni pana MacAndrew.

A potem grzałam palce u nóg i sączyłam trunek, aż zadzwoniono na kolację. Do północy czytałam jeszcze w saloniku i wraz z wybiciem godziny duchów położyłam się spać.

To był pracowity tydzień. Odpowiedziałam doktorowi Rose'owi i poprosiłam, aby wraz ze swym współnikiem przybył do nas zbadać Johna, i jeśli uzna ten przypadek za możliwy do wyleczenia, by zabrał go swoim powozem. Pozostawiony w Wideacre John mógł przecież trafić do szpitala wariatów, gdzie szaleńcy

tarzają się we własnych nieczystościach i bełkocą niczym małpy gdzieś po kątach. Klinika doktora Rose'a wyglądała zgoła inaczej. Posiadał on niewielki dworek pod Bristolem i miał pod opieką jednorazowo tylko pół tuzina pacjentów. Jego metoda polegała na stopniowym ograniczaniu dawek alkoholu lub narkotyków podawanych pacjentom, aż byli zdolni obejść się naprawdę znikomą ilością. W pewnych przypadkach udawało się im w ogóle odstawić laudanum, opium czy alkohol i powrócić do przyjaciół i rodziny jako osoby całkowicie wyleczone.

Kiedy tylko wysłałam ten list, otrzymałam pismo od prawników z Londynu, gotowych podjąć kroki w celu wykupienia praw do dziedziczenia, jeśli dysponuję odpowiednim kapitałem na spłacenie Charlesa Lacey'a. Nazwisko, jakie nosiłam po mężu, MacAndrew, wzbudzało szacunek w City. List prawników utrzymany był w uniżonym tonie. Musieli jednak, jako świetni fachowcy przestrzec mnie, że koszt uchylenia majoratu będzie wynosił około dwustu tysięcy funtów. Przygryzłam pióro i uśmiechnęłam się, czytając te słowa. Jeszcze tydzień wcześniej wpadłabym w rozpacz, teraz jednak z pomocą słodkiej Celi byłam w stanie znaleźć potrzebną sumę w ciągu miesiąca. Napisałam zatem ostrożną odpowiedź i poleciłam rozpoczęcie negocjacji z Charlesem w celu uzyskania jak najniższej ceny.

Drugi list pochodził od pewnego londyńskiego kupca. Nasi doradcy zasięgnęli jego opinii w sprawie ewentualnego zastawu hipotecznego. Chcieliśmy w ten sposób zdobyć kapitał na opłaty sądowe. Fortuna rodu MacAndrew nie starczyłaby na to, musieliśmy więc zastawić część cudownej ziemi Wideacre, aby potem zyskać całą posiadłość dla mojego syna. Jeśli moje obliczenia nie kłamały, zdołalibyśmy spłacić pożyczkę, zanim Richard osiągnie pełnoletność. Kiedy zasiejemy dodatkowe zboże na wspólnych gruntach, kiedy podniesiemy dzierżawy i ściągniemy długi, Wideacre może podwoić przynoszone dochody. Zapowiadała się jednak ciężka zima dla ludzi. Kupiec, pan Llewellyn, zaproponował, że przyjedzie do Wideacre, aby osobiście obejrzeć ziemię. Wystosowałam uprzejme zaproszenie, aby przybył w nadchodzącym tygodniu.

A potem chciałam odpocząć od biura i ciasnych czterech ścian. Pospieszyłam na górę do pokoju dziecinnego Richarda. Akurat jadł śniadanie.

Nie ma na świecie większego brudaska niż dziecko uczące się samodzielnie jeść. Nic bardziej rozczulającego, o ile nie trzeba samemu po nim sprzątać. Richard chwycił raptownie kubeczek z mlekiem i wylał sobie zawartość na twarz. Trochę mleka, raczej przypadkowo, trafiło jednak do buzi. Zacisnął w piąstce kromkę chleba z masłem i jadł z własnej woli niczym dzikus. Upačkana masłem i mlekiem twarzyczka rozpromieniła się na mój widok, a ja odpowiedziałam radosnym uśmiechem.

— Rośnie, prawda? — odezwał się do niani.

— Ano rośnie — odparła, czekając z mokrą ściereczką, aż Richard zakończy tę ucztę. — A jaki silny, jaki mądry!

— Ubierz go ciepło — poleciłam. — Zabiorę go na przejażdżkę nową dwukółką. Ty też pojedziesz.

— Widzisz! — z zadowoleniem oznajmiła Richardowi. — A to będzie zabawa!

Wytarła go, podniosła z krzesła i zabrała do sypialni. Słyszałam krzyki protestu, kiedy rozbierała i myła go, a ja stałam bezczynnie przy kominku, uśmiechając się pogodnie. Niezłe miał płuca ten mój synek Richard. I od małego ma swoje zdanie, tak jak ja. Kiedy wreszcie się pojawili, chłopiec był ubrany, tak jak kazałam, lecz niania (niezbyt się nam udała) wyglądała na zdenerwowaną i zmieszaną.

— Mama! — zawołał i puścił się na czworakach po podłodze.

Moja suknia zafalowała, gdy przysiadłam obok i podniosłam go do twarzy. Drobną rączką poklepała mnie po policzku, a ciemnoniebieskie oczy patrzyły z miłością. Tylko malutkie dzieci potrafią tak kochać. Przytuliłam twarz do jego szyi i pocałowałam mocno, a potem poklepałam okrągły brzusek pełen chleba i mleka, i połaskotałam opatulone ciepło żebra, aż zachichotał i domagał się zaprzestania tych pieszczot.

Kiedy niania szukała czepka, szala i dodatkowego pledu dla małego, baraszkowaliśmy razem, a ja cieszyłam się jak dziecko.

Chowałam się za fotel i wyskakiwałam z głośnym „a kuku” ku zachwytowi Richarda. Chowałam za plecami lalkę i czekałam, aż znajdzie. Turlałam go po podłodze, podrzucałam wysoko, udając, że nie zamierzam go złapać.

Potem wzięłam go na ręce i zniosłam po schodach zachodniego skrzydła, na dziedziniec stajni. John właśnie wchodził do domu. Zamarł na mój widok. Trzymałam dziecko, a roześmianą twarz miałam pełną miłości. Przekazałam Richarda niani, która miała mu pokazać konie.

— Dziękuję ci za wczorajszy prezent — odezwał się John ze śmiertelnie bladą twarzą.

Widać pił tego w nocy.

— Proszę bardzo — odparłam lodowatym tonem. — Możesz być pewny, że zawsze będę ci zapewniać to, czego potrzebujesz.

Usta mu zadrżały.

— Beatrice, na litość boską, nie... Nie można tego robić mężczyźnie. Widziałem już ludzi silniejszych niż ja, którzy skończyli jak psy w rynsztoku. Celia uważa, że można mnie wyleczyć. Mówi, że zgodziliście się wszyscy troje, aby nie podawać w domu alkoholu. Proszę, nie przysyłaj mi już butelek.

Wzruszyłam ramionami.

— Jeśli nie chcesz, to nie pij — stwierdziłam. — Nie mogę wprowadzić prohibicji w całym hrabstwie Sussex. Zawsze gdzieś znajdzie się alkohol, zawsze jakiś służący przyniesie szklaneczkę. Nic na to nie poradzę.

— Możesz poradzić, Beatrice, bo to ty tu rozkazuje — zapewnił mnie z chorobliwym ożywieniem. — Twoje słowo jest prawem w Wideacre. Gdybyś miała na sercu moje dobro, zakazałabyś picia alkoholu w całej posiadłości i nikt nie śmiałyby cię nie posłuchać.

Z uśmiechem spojrzałam prosto w jego oczy z czerwonymi obwódkami.

— To prawda — rzekłam słodko i niewinnie. — Ale nigdy nie będę chować alkoholu przed tobą, bo sprawia mi radość patrzeć, jak sam siebie niszczysz. Nie zaznasz spokoju, dopóki ja tu jestem. I za każdym razem kiedy otworzysz szufladę albo sięgniesz pod łóżko czy do kredensu, zawsze znajdziesz czekającą na ciebie butelkę. Nie będziesz mógł temu zapobiec ani ty, ani Celia.

— Powiem Celi — oznajmił z rozpaczą. — Powiem jej, że postanowiłaś mnie zniszczyć.

— Powiesz Celi! — zaśmiałam się pogardliwie. — Więc biegnij, powiedz jej! A ja powiem na to, że nawet cię dziś nie widziałam, że chyba śnisz, że nie posłałam ci portwajnu, że drzwi piwnicy są zamknięte na klucz, a rzeczywiście są. Mów, co chcesz — ciągnęłam triumfalnie. — Nic cię nie ocali przed pićciem, dopóki mieszkasz na mojej ziemi.



Przemknęłam obok lekko i beztrąsko i wzięłam synka z rąk niani. John słyszał, jak radośnie Richard zareagował na mój widok. Potem oschle rzuciłam polecenie stajennym, aby przytrzymali konia, kiedy wsiadałam do dwukółki z cennym „bagażem” na rękach.

Kiedy dłońmi w rękawiczkach ujęłam lejce i cmoknęłam na konia, spojrzałam ku wejściu. John stał tam, gdzie go zostawiłam, z bladą, niemal zielonkawą twarzą i ramionami opuszczonymi z rezygnacją. Gdzieś bardzo głęboko na dnie serca poczułam ból, widząc, w jakim jest stanie. Pamiętałam jednak jego atak na mnie, jego zadurzenie w Celi. Zazdrość, strach, duma natychmiast stłumiły moje wahania. Nie uznawałam uczuć pośrednich, niezdecydowanych. Kiedyś bardzo kochałam tego człowieka, a teraz nienawidziłam i bałam się go. Znowu cmoknęłam na konia i pojechaliśmy. W Wideacre był piękny, słoneczny zimowy dzień.

Mój mąż nie siedział beczynn timer. Rozmawiał w cztery oczy z Celią, kiedy byłam na przejeździe, a kiedy wróciłam, spostrzegłam jej twarz w oknie salonu. Tak jak oczekiwałam, Stride wyszedł na dziedziniec, aby przekazać od niej wiadomość. Czekał, a ja podniosłam Richarda, aby pogłaskał konia po pysku, potem nakarmiłam konia garścią ziarna wyjętą z kieszeni. Stride obwieścił, że lady Lacey chce mnie natychmiast widzieć, o ile nie mam nic przeciwko temu. Kiwnęłam głową, mocno uściskałam Richarda i przykazałam, aby zjadł ładnie obiad, i szybko poszłam do salonu.

Celia szyla przy oknie; znowu blada i zmęczona.

— Dzień dobry — powitałam ją wesoło. — Przychodzę do ciebie nie zwlekając, jeszcze pachnąca koniem, więc proszę, nie zatrzymuj mnie. Muszę się przebrać.

Celia skinęła głową i uśmiechnęła się zdawkowo.

— Widziałaś się dzisiaj z Johnem, Beatrice? — spytała.

— Nie — odparłam lekko. — Minęłam go na schodach rano, lecz nie rozmawialiśmy.

Spojrzała uważnie.

— Nic nie mówiliście do siebie? — dopytywała się.

— Nie — potwierdziłam obojętnym tonem. — Trzymałam Richarda, a John wyglądał niezdrowszy. Nie chciałam, żeby zasmucił dziecko.

Twarz Celi przybrała przerażony wyraz.

— Beatrice, tak się boję! — wykrzyknęła.

Odwróciłam się zdumiona.

— Celio, co się stało? — spytałam zatroskana. — O co chodzi?

— Chodzi o Johna — powiedziała niemal z płaczem. — Myślę, że on bredzi z pijaństwa.

Udałam szok i usiadłam obok niej przy oknie, wyjmując robótkę z jej znieruchomiałych rąk.

— Co? Co się dzieje? — spytałam zdumiona.

Celia wydała stłumiony szloch i ukryła twarz w dłoniach.

— John przyszedł do mnie zaraz po śniadaniu — zaczęła. — Wyglądał strasznie i mówił od rzeczy. Powiedział, że jesteś wiedźmą, Beatrice, że jesteś kobietą opętaną przez ziemię. Powiedział, że próbujesz go zabić, że wszędzie dokądkolwiek by poszedł, znajdzie alkohol, aż zapije się na śmierć. A kiedy zauważyłam, że to mu się chyba przyśniło, spojrzał dzikim wzrokiem i stwierdził: „Ty także! Ciebie też przekabaciła!” i wybiegł z pokoju.

Objęłam Celię, a ona przytuliła się i płakała na moim ramieniu.

— No, już dobrze, nie płacz, Celio — poprosiłam. — To wszystko brzmi strasznie, lecz jestem pewna, że zdołamy w końcu wyleczyć Johna. Wygląda na to, że po części postradał zmysły, ale przecież mu pomożemy.

Celia jeszcze raz zaniósła się szlochem i uspokoiła. — On mówi, że to twoja wina, że jesteś potworem. Nazywa cię wiedźmą, Beatrice.

— To się zwykle zdarza — odparłam opanowanym smutnym głosem. — Mężczyźni, którzy nadużywają alkoholu, często zwracają się przeciwko ludziom, których najbardziej kochają. To jak sądzę, jeden z objawów szaleństwa.

Celia pokiwała głową i usiadła prosto, ocierając oczy.

— Zeszłej nocy upił się — wyznała ze smutkiem. — Nie udało mi się temu zapobiec. Powiedział, że alkohol po prostu pojawił się w jego pokoju. Powiedział, że tak działa twoje przekleństwo. Wystarczy wyciągnąć rękę, a pojawi się butelka.

— Cóż — odezwałam się — teraz będzie mnie chyba obwiniał za wszystko. W głębi serca wciąż mnie kocha. Oto dlaczego obrócił się przeciwko mnie.

Celia spojrzała zdziwiona.

— Jesteś taka dobra — rzekła. — On wydaje się wpadać w szaleństwo, a jednocześnie ty jesteś taka dobra, Beatrice.

Podniosłam głowę i ze łzami w oczach spojrzałam na jej zmęczoną twarz.

— Tyle mnie w życiu spotkało smutku, Celio. Straciłam papę, kiedy miałam zaledwie piętnaście lat, a mamę tuż po dziewiętnastych urodzinach. Teraz obawiam się, że mój mąż oszalał z pijaństwa. Całe moje wnętrze płacze, Celio. Ale nauczyłam się być dzielna, gdyż mam dużo pracy i wiele planów do zrealizowania.

Celia z szacunkiem skinęła głową.

— Jesteś odważniejsza i silniejsza niż ja — stwierdziła. — Płakałam przez cały ranek, odkąd zobaczyłam Johna. Nie wiem po prostu, cóż możemy zrobić.

— To zbyt poważny problem, abyśmy sami sobie z nim poradzili — przyznałam. — John musi się znaleźć pod opieką odpowiedniego specjalisty. W tym tygodniu powinien przybyć doktor Rose ze swoim współnikiem. Będą mogli zabrać ze sobą Johna do Bristolu.

Twarz Celi rozjaśniła się nadzieją.

— Ale czy on się zgodzi? — spytała. — Mówił tak agresywnie, jak gdyby nikomu nie ufał. Może odmówić wyjazdu z nimi.

— Jeśli zgodzą się go zabrać, jeśli uznają, że wymaga leczenia, możemy go zmusić, aby pojechał z nimi i poddał się kuracji — odparłam. — Lekarze podpiszą kontrakt, w którym zobowiążą się zapewnić mu mieszkanie i leczenie, aż wyzdrowieje na tyle, by wrócić do domu.

— Nie miałam o tym pojęcia — przyznała Celia. — Wiem niewiele o takich rzeczach.

— Ja też nie — wyznałam bez ogródek. — Ale musiałam się dowiedzieć. Ów doktor Rose pisze, że jeśli zdołamy nakłonić Johna, aby po prostu się z nim spotkał i porozmawiał, będzie mógł postawić diagnozę.

Sądziysz, że John posłucha ciebie i zgodzi się spotkać z doktorem Rose i jego współnikiem, jeśli go poprosisz? Jeśli dasz mu słowo, że to dla jego dobra?

Celia zmarszczyła brwi.

— Chyba tak. Tak, jestem pewna, że się zgodzi. Oskarżał ciebie i Harry'ego, że zawiązaliście jakiś straszliwy spisek na rzecz Wideacre, lecz nie wątpi chyba w uczucie, jakim go darzę. Jestem przekonana, że John spotka się z nim, o ile mu obiecuję, że to leży w jego własnym interesie.

— Dobrze — odrzekłam. — Musisz tylko przestać mnie łączyć z tą sprawą. Niech myśli, że to ty znalazłaś lekarzy, a wtedy nabierze do nich zaufania i porozmawia z nimi, a jego biedny opętany umysł znajdzie spokój.

Celia chwyciła moją dłoń i pocałowała ją.

— Jesteś taka dobra, Beatrice — załkała. — Ja już odchodzę od zmysłów ze zmartwienia, tak jak John z pijaństwa. Oczywiście zrobię wszystko, co uznasz za najwłaściwsze. Wiem, że to będzie najlepsze dla nas wszystkich. Zaufam ci.

Uśmiechnęłam się słodko i ucałowałam ją w policzek.

— Kochana mała Celia — odezwałam się z czułością. — Jak mogłaś mi nie wierzyć?

Uchwyciła się moich rąk niczym tonący.

— Potrafisz nas uwolnić od tego szaleństwa, wiem o tym — wyszeptowała. — Próbowałam wiele razy, lecz to tylko pogorszyło sprawę. Ty jednak wszystko naprawisz, Beatrice.

— Tak będzie — odparłam łagodnie. — Zdajcie się na mnie. Gorzej już być nie może, lecz możemy uratować Johna.

Znów westchnęła. Objęłam ją w pasie. Siedziałyśmy tak w ciszy przez długą chwilę, a zimowe słońce grzało nam plecy.

Wyszłam z salonu całkiem zadowolona. Celia wpadła w potrzask własnego zaufania do mnie, a ja obróciłam oskarżenia Johna w objawy szaleństwa. W bagnie grzechu, w którym wszyscy tonęliśmy, przejrzysta wizja Johna wydała się całkiem nie pasować. Mogli sobie spędzać nawet każde popołudnie przy smacznej herbatce, próbując odciągnąć Johna od alkoholu. Trzeźwy czy pijany, na dźwięk mego imienia zmieniał się w wariata. Celia natomiast lojalnie i ufnie wykonywała polecenia wiedźmy, czyli moje, opowiadając Johnowi o świetnej reputacji doktora Rose'a i nakłaniając, aby spotkał się z tym specjalistą. Poradziła sobie nawet lepiej niż ja: przekonała Johna, że jedynym sposobem uwolnienia się od koszmarów związanych ze mną i zerwania z nałogiem jest zaszycie się w azylu bristolskiej kliniki doktora Rose'a. I John, najpierw pijący, a potem trzeźwiejący wśród mdłości, kuszony butelkami pod łóżkiem czy w pościeli, przerażony otchłanią, która się przed nim rozwarła, i widzący dzień i noc mój wiedźmowaty uśmiech i kocie oczy, obiecał, że pojedzie.

W dniu wizyty doktora był trzeźwy. Słyszałam, jak w sąsiedniej sypialni spędza bezsenną noc na chodzeniu po pokoju. Kiedy rzucił się na łóżko, rozległ się jęk. Znalazł na poduszce butelkę portwajnu. Potem usłyszałam tupot butów na schodach skrzydła zachodniego. Wybiegł z domu do ogrodu, na mróz, aby uciec od pokusy alkoholu. Zdrzemnęłam się. Wrócił o świcie. Musiał przemarznąć. Grudniowe poranki witały nas przymrozkami, a w nocy często przelotnie padał śnieg. John całą noc spacerował owinięty derką podróżną. Łzy

zamarzły mu na policzkach. Ogarnął go paniczny strach przed pobytem w domu, przed moją obecnością za ścianą. Ciągłe jednak znajdował się na mojej ziemi.

Wrócił do domu, szcękając zębami z zimna. Usłyszałam, że podsycy ogień w kominku, aby się ogrzać. Odwrócił się plecami do łóżka i do zbawionego trunku czekającego, by go nalać. Drzemiąc w swoim ciepłym gniazdku pod kocami, słyszałam, że wciąż chodzi po sypialni niczym wiewiórka biegająca po klatce. Potem zasnęłam, a kiedy pokojówka przyniosła moją poranną czekoladę, zza ściany nie dobiegał żaden dźwięk.

— Gdzie jest pan MacAndrew? — spytałam.

— W pokoju dzieciennym pani Julii — odrzekła Lucy zdziwionym głosem. — Pani Allen twierdzi, że przyszedł tam wczesnym rankiem, aby się ogrzać przy kominku i został tam na kawę.

Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam się. I tak mnie to niewiele obchodziło. Dzisiaj John mógł być trzeźwy lub pijany. Zaiste nieważne. Dostał się w szpony koszmaru i zaczynał wątpić w prawdy, które z takim trudem i bólem poznał. Tylko jedną osobę z domowników uważał za bezpieczną — Celię. Ufał Celi. Jeśli nie mógł być z nią, chciał być z jej dzieckiem, z Julią. Wszędzie mogła kryć się butelka, za każdym rogiem mogło czaić się szaleństwo, lecz z Celią był bezpieczny.

Ubrałam się w czarną suknię poranną i zawiązałam wokół głowy czarną wstążkę, aby włosy nie zasłaniały mi twarzy. Na tle matowego blasku sukni moja skóra przybrała kremoworóżowy odcień, oczy zaś pociemniały od smutku. Nie musiałam długo czekać, żeby usłyszeć odgłos karety. Przeszłam do hallu głównej części domu na powitanie doktora Rose'a i jego współnika, doktora Hilary'ego. Przeszliśmy do biblioteki.

— Od kiedy pani mąż pije, pani MacAndrew? — zapytał doktor Rose, wysoki przystojny mężczyzna o brązowych oczach i rumianej cerze. Zaskoczył go mój wygląd; stałam w ciemnym hallu jak wysmukła hebanowa statua. Teraz jednak przystąpił do pracy. Przygotował pióro i papier.

— Rozpił się po powrocie ze Szkocji. Siedem miesięcy temu. Przez ten czas zaledwie parę dni był trzeźwy, ale zdaje się, że w domu jego ojca nigdy nie brakowało whisky. Zaczął pić ponad miarę po śmierci matki.

Doktor Rose kiwnął głową i zanotował coś. Jego współnik usiadł na krześle obok i słuchał. Był to potężny mężczyzna, blondyn o obojętnej twarzy. To on jak sądziłam, pilnował pacjentów odchodzących od zmysłów, uspokajając ich jednym dobrze odmierzonym ciosem w kark, kiedy stawali się nie do wytrzymania.

— Czy miał jakiś powód, żeby zacząć pić? — spytał doktor Rose.

Spuściłam wzrok na ściśnięte dłonie.

— Wtedy właśnie urodziłam nasze pierwsze dziecko — powiedziałam cicho. — Wiedziałam jeszcze przed ślubem, że on należy do mężczyzn bardzo zazdrosnych, nie zdawałam sobie jednak sprawy, w jakim stopniu go to cechuje. Przebywał w Szkocji, kiedy urodziło się dziecko, a kiedy wrócił do domu, ogarnęła go obsesja, że dziecko nie jest jego.

Doktor Rose wyduł wargi i przyjął postawę zawodowej neutralności. Żaden mężczyzna nie oparłby się jednak współczuciu dla tak urodziwej ofiary.

— Tej samej nocy mama dostała ataku i zmarła — ciągnęłam niemal szeptem. — Mój mąż był zbyt pijany, aby odpowiednio się nią zająć. Winił się potem za to — spuściłam głowę. — Odtąd nasze życie stało się pasmem udreki.

Doktor Rose pokiwał głową i powstrzymał impuls, by pogłaskać mnie pocieszająco po ręce.

— Czy wie, że mieliśmy przyjechać?

— Tak. W przebłyskach trzeźwości bardzo pragnie wyzdrowieć. Chyba dzisiaj nic nie pił, tak że zobaczą go panowie w niezłym stanie.

Doktor znów kiwnął głową.

— Myślałam, że zechcą panowie spotkać się z nim w mniej oficjalnej atmosferze. Jest w saloniku z moją bratową. Jeśli panowie pozwolą, przejdziemy tam na kawę.

— Wyśmienity pomysł — stwierdził doktor Rose, a ja zaprowadziłam ich do saloniku Celi.

Celia świetnie się spisała, zajmując się Johnem, tak by ominęło go wcześniejsze spotkanie z lekarzami, a potem siedząc z nim w salonie przy kawie. Był zaskoczony, kiedy wkroczyłam do pokoju, a zobaczywszy towarzyszących mi dwóch mężczyzn, zaczął się tak trząść, że aż musiał odstawić filiżankę. Rzucił spojrzenie Celi, a ta uspokoiła go uśmiechem, lecz moja obecność nadszarpięła jej zaufanie do całego przedsięwzięcia.

— To doktor Rose i doktor Hilary — przedstawiłam. — A to moja bratowa, lady Lacey, oraz mój mąż, pan MacAndrew.

Nikt nie skomentował faktu, że pominęłam tytuł doktora, przedstawiając Johna, jednakże Celia spojrzała na mnie, podając rękę gościom i prosząc, aby spoczęli.

Śmignęłam do dzbanka z kawą i nalałam trzy filiżanki. John obserwował doktora Rose'a niczym ptak patrzący na węża i trzymał się z daleka od zwalistej sylwetki doktora Hilary'ego, który zagłębił się w jednym z przepastnych foteli niczym rządca zamykający w areszcie domowym dzierżawcę.

— Słyszałem nieco o pana problemie — odezwał się doktor Rose łagodnym tonem do Johna. — Sądzę, że chyba potrafimy panu pomóc. Posiadam nieduży dom niedaleko Bristolu, dokąd mógłby pan się udać i pozostać tam, o ile pan zechce. Teraz mam czterech pacjentów. Jeden cierpi na uzależnienie od laudanum, trzej pozostali mają kłopoty z alkoholem. Każdy pacjent dostaje osobny pokój, ma zapewniony spokój i poczucie prywatności. Stara się zrozumieć istotę swego problemu i nauczyć walczyć z nałogiem. W początkowym etapie kuracji stosuję ograniczone dawki laudanum, tak aby ułatwić przebrnięcie przez najtrudniejsze dni. Odniosłem już znaczące sukcesy.

John kiwnął głową. Był napięty jak postronek. Celia patrzyła z życzliwością i miłością. John zerkał na nią, jak gdyby bał się, że lada moment czar jej tkliwości pryśnie. Wydawał się uspokojony łagodnym głosem doktora Rose'a. Spoglądał jednak bacznie na doktora Hilary'ego, który siedział niewzruszony jak góra, ze wzrokiem utkwionym w czubkach butów.

— Chciałbym pojechać do pańskiej kliniki — oznajmił John zdenerwowanym głosem.

— Dobrze — doktor Rose uśmiechnął się zachęcająco. — Cieszę się. Jestem pewien, że potrafimy panu pomóc.

— Każę spakować twoje rzeczy — powiedziałam i wyszłam.

Rozmówiłam się z lokajem Johna i stanęłam w hallu, nasłuchując.

— Trzeba podpisać pewne dokumenty — dobiegł mnie delikatny głos doktora Rose'a. — To czysta formalność. Proszę tu złożyć swój podpis. — Usłyszałam szelest papieru i zgrzyt pióra. Uśmiechnęłam się i weszłam do pokoju.



Pospieszyłam się.

Źle wybrałam moment powrotu. Byłam niecierpliwa, a powinnam poczekać jeszcze chwilę. John podpisał już pierwszy dokument, w którym wyraził zgodę na metody terapii doktora Rose'a. Nie ustanowił go jednak swoim opiekunem. Moje wkroczenie do pokoju zbiło go z tropu. Pióro zawisło, gdy spojrzał na gęsto zadrukowany dokument.

— Co to jest? — spytał nagle ostrym tonem.

Zmrużył oczy. Doktor Rose odwrócił wzrok.

— Chodzi tu o ustalenie opiekuna — wyjaśnił gładko. — Zazwyczaj ludzie przebywający pod moją opieką czynią krewnych swoimi pełnomocnikami w zakresie prowadzonych interesów. Tak na wszelki wypadek, gdyby trzeba było podjąć nagłą decyzję pod ich nieobecność.

John podniósł spłoszony wzrok na krąg uśmiechniętych twarzy.

— Opiekun? — jego bystry umysł wyłuskał to właśnie najistotniejsze słowo. — Opiekun? Jadę do pańskiej kliniki dobrowolnie.

— Ależ oczywiście — odparł doktor Rose. — To tylko formalność na wypadek, gdyby uzależnienie od alkoholu przekraczało siły pacjenta. Tak, byśmy mogli trzymać pacjenta z dala od pokus.

— W zamknięciu? — John zachrypnął zaszokowany. — Te dokumenty zabierają mi majątek i osadzają w domu wariatów! Nieprawdaż? Nieprawdaż? — przerażony zwrócił się do Celi. — Wiedziałaś o tym? — spytał gwałtownie. — To był twój pomysł, ty mi wmówiłaś, że znajdę ocalenie. Ty to zaplanowałaś?

— Cóż, tak, John — Celia nie była w stanie odrzec niczego sensownego, a John wpadał w szal. — Ale przecież nic się nie stanie, naprawdę.

— Kto przejmuje mój majątek? — dopytywał się John.

Chwytał dokument. Reszta papierów spadła w beładzie na podłogę.

— Harry Lacey i adwokaci Harry'ego Lacey'a! — wykrzyknął.

— Ale my wszyscy wiemy, kto rządzi Harrym Laceyem, prawda? — spojrzał na mnie jadowitym, a zarazem przerażonym wzrokiem. Zrozumiał. Dokument wypadł mu z rąk. — Mój Boże, Beatrice. Kradniesz moje pieniądze, a mnie usuwasz z drogi! — stwierdził ze zgrozą. — Zamykasz mnie i ograbiasz!

Doktor Rose dał ledwie widoczny znak skinieniem głowy, lecz John spostrzegł go natychmiast. Doktor Hilary zerwał się na nogi, a John wrzasnął niczym przestraszone dziecko.

— Nie! Nie! — i rzucił się do drzwi, przewracając stolik i pudełko z robótkami Celi.

Motki bawełny i filizanki z kawą znalazły się na dywanie, a doktor Hilary zdumiewająco szybko jak na tak potężnego mężczyznę, złapał Johna za nogi, obalił go i obezwładnił. Celia krzyknęła, a ja zacisnęłam pięści z przerażenia, kiedy osiłek przycisnął Johna do podłogi.

Doktor Rose wyciągnął z walizeczki kaftan bezpieczeństwa i podał doktorowi Hilary'emu. Przeważony John wrzeszczał:

— Nie! Nie! Celio! Celio, nie pozwól im na to!

Celia rzuciła się do kaftana, lecz ja natychmiast chwyciłam ją i przytrzymałam. Odpychała mnie, wołając:

— Beatrice! Musisz ich powstrzymać! Nie ma potrzeby! Dlaczego krzywdzą Johna?! Niech go przestaną wiązać!

Sprawnymi ruchami doktor Hilary wsunął machające ramiona Johna do rękawów, zręcznie przetoczył go na brzuch (tak samo przygotowuję drób do pieczenia) i skrzyżowane z przodu długie pasy materiału związały mocno na plecach. John wygiął grzbiet, wybałuszył oczy ze zgrozą.

— Jesteś diabłem, Beatrice — jęknął. — Jesteś diabłem wcielonym.

Przeniósł wzrok na doktora Rose'a.

— Nie róbcie tego — powiedział. Głos uwiązł mu w gardle. Z przerażenia zaczął charczeć. — Nie! Błagam, proszę, tylko nie to. To cały spisek, ja wszystko wyjaśnię. Moja żona chce mnie usunąć z drogi. Jest dziwką i morderczynią.

Celia wyrwała mi się i ukłękła obok Johna.

— Nie, nie mów takich rzeczy, John — zaprotestowała. — Nie zachowuj się tak. Bądź spokojny, a wszystko dobrze się skończy.

John otworzył usta, lecz okrzyk przerażenia nie pokonał ściśniętej krtani.

— Ciebie też w to wciągnęła! — oznajmił po chwili z rozpaczą. — Zdradziłaś mnie. Zaufałaś jej sługusom. Zastawiłaś na mnie pułapkę i tym samym wykonałaś za nią czarną robotę... — przerwał i patrzył wyczekująco na naszą czwórkę, szukając pomocy. — Beatrice, jesteś diabłem — jęknął znowu. — Diabłem. Niech Bóg trzyma mnie od ciebie z daleka i z daleka od piekielnej Wideacre. — Zaczął szlochać i nie powiedział nic więcej.

Stałam w milczeniu. Doktor Rose zerknął na mnie z ciekawością. Miałam kamienną twarz białą jak mleko. Celia odstała od Johna, kiedy napadł na nią ze swymi oskarżeniami. Płakała, ukrywając twarz w dłoniach, aby oszczędzić sobie widoku szwagra związanego na podłodze jej przytulnego saloniku.

Zachowywałam się cały czas niczym zamarznięta rzeka. Nie wierzyłam, że to wszystko rozgrywa się na moich oczach, chociaż wiedziałam przecież, że coś takiego mogło się zdarzyć. Ręką za plecami znalazłam oparcie krzesła i opadłam na nie, nie spuszczając wzroku z Johna. Spostrzegłam, że mruga powiekami, zamyka oczy, a jego piersią wstrząsa szloch.

Doktor Rose podszedł do niego. Uniósł głowę Johna.

— Umieść go od razu w powozie — polecił doktorowi Hilary'emu. — Nic mu nie jest.

Potężny mężczyzna podniósł Johna jak piórko i wyniósł go ostrożnie z pokoju. Doktor Rose pomógł Celi usiąść, lecz ta nie spojrzała nawet na niego ani nie przestała szlochać.

— To bardzo przygnębiający widok, lecz nic niezwykłego w takich wypadkach — delikatnie wyjaśnił mi doktor Rose. Skinęłam sztywno głową. Siedziałam wyprostowana, jak przykuta do krzesła. Mięśnie miałam napięte do granic, a głowa aż parzyła z bólu.

— Doktor Hilary i ja z pewnością podpiszemy dokumenty dotyczące ubezwłasnowolnienia — oświadczył doktor Rose, zbierając papiery z podłogi. — Będę także potrzebował podpisu krewnego płci męskiej.

— Oczywiście — odparłam zdrtwiałymi wargami.

— Wolimy, kiedy nasi pacjenci sami powierzają się naszej opiece i rezygnują z nadzorowania swoich interesów do czasu wyzdrowienia. Kiedy jednak mamy pewność, iż choroba i stan psychiczny pacjenta nie pozwalają mu na podjęcie decyzji o leczeniu, możemy przejąć nad nim opiekę bez jego zgody — wyjaśnił. — Jestem głęboko przekonany, że nadużywanie alkoholu spowodowało u pani męża zaburzenia w postrzeganiu rzeczywistości — mówił dalej doktor Rose, wypełniając pospiesznie dokumenty i podpisując się z zakrętasem. Podniósł na mnie wzrok. — Nie należy jednak zbytnio się przejmować tym, co on twierdzi, pani MacAndrew. To zwykły objaw u pacjentów, że wyolbrzymiają swój strach przed osobami, które starają się im pomóc. Wysłuchaliśmy już setek najdziwniejszych rzeczy z ust naszych pacjentów. Po wyleczeniu zapominali o wszystkim.

Skinęłam głowę. Mięśnie pozostawały sztywne. Doktor Rose spojrzął na Celię.

— Może lady Lacey chciałaby zażyć laudanum? — spytał. — Musiałyście przeżyć prawdziwy szok, moje panie.

Celia podniosła głowę i odetchnęła głęboko, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

— Nie — odrzekła. — Chciałabym zobaczyć się jeszcze z Johnem przed odjazdem. — Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymywała się od szlochu, lecz nie panowała nad łzami. Brązowe oczy i policzki były mokre.

— Pan John dostanie porcję laudanum w powozie i uśnie. Nie ma potrzeby, aby się pani fatygowała, lady Lacey.

Celia wstała. Biła od niej godność. Oto zmiana, jaka w niej zaszła w ostatnich dniach.

— On sądzi, że go zdradziłam — powiedziała. — Zaufał mi, a ja pozwoliłam, aby go obezwładniono i związano niczym przestępcę. I to w moim salonie. Sądzi, że go zdradziłam, a tak nie jest, bo przecież nie chcę dla niego źle. Zawiodłam go jednak, nie powstrzymując pana.

Doktor Rose także wstał i wyciągnął rękę w pojednawczym geście.

— Lady Lacey, to wszystko dla jego dobra — oświadczył. — Natychmiast po przyjeździe do mojego domu zostanie rozwiązany. Z najwyższą uwagą przystąpię do jego kuracji. A jeśli Bóg da i pan MacAndrew wykaże się dzielnością, może wrócić do domu, do was wszystkich, całkowicie wyleczony.

— Doktor MacAndrew — spokojnie poprawiła Celia.

Po jej policzkach wciąż spływały strugi łez.

— Doktor MacAndrew — powtórzył, skinąwszy z szacunkiem głową.

— Napiszę liścik i wetknę mu do kieszeni — zdecydowała Celia. — Proszę nie odjeżdżać, zanim go nie zobaczę.

Doktor Rose kiwnięciem głowy wyraził zgodę, a Celia wyszła z pokoju z dumnie uniesioną głową, pewnym krokiem, aczkolwiek nadal płacząc.

W saloniku zapadła cisza. W ogrodzie ściętym mrozem rozległ się przenikliwy śpiew rudzika.

— A co z dokumentami dotyczącymi przejęcia opieki? — spytałam.

— Podpisałem je razem z dokumentami przyjęcia do naszej kliniki — wyjaśnił doktor Rose. — Został ubezwłasnowolniony do momentu, kiedy uznam, że można go wypisać. Prowadzeniem jego interesów zajmie się pani brat.

— Jak pan przewiduje, ile czasu John pozostanie u państwa? — dopytywałam się.

— To zależy od niego — odparł doktor Rose. — Ja osobiście oczekiwałbym widocznej poprawy w ciągu dwóch, trzech miesięcy.

Kiwnęłam głową. Tyle czasu wystarczy. Lekkie poruszenie głową wywołało ból od karku aż po czubek czaszki. To co zaplanowałam, miało szansę realizacji, lecz nie byłam w stanie się cieszyć.

— Co tydzień będę przysyłał pani informacje — obiecał doktor Rose. Wręczył mi list opisujący jego klinikę i metody leczenia oraz dokumenty do podpisania przez Harry'ego. Powstrzymałam drżenie rąk, lecz nawet palce bolały.

— Może pani odwiedzić go albo napisać. Pani czy ktokolwiek z pani rodziny będzie mile widziany.

— To nie będzie możliwe — stwierdziłam. — Sądzę, że lepiej się stanie, jeśli nie otrzyma listów z domu, przynajmniej przez pierwszy miesiąc. Ostatnio wpadał w przygnębienie na wieść o każdym nawet najmniejszym wydarzeniu. Najbezpieczniej będzie, jeśli odeśle mi pan wszystkie listy, które John otrzyma.

— Jak sobie pani życzy — odparł doktor Rose obojętnym tonem. Wziął swoją walizeczkę i zamknął ją z trzaskiem. Wstałam. Poczulałam ból kolan, nawet łydek, zupełnie jak w malarii. Podeszłam na sztywnych nogach do drzwi. Celia czekała w hallu z zapieczętowaną kopertą w dłoni.

— Napisałam do Johna, żeby go zapewnić, iż naprawdę czuję się winna. Zawiodłam go, lecz przez myśl mi nawet nie przeszło zdradzenie go — oznajmiła spokojnie. Łzy płynęły jej po policzkach, lecz nie zważała na nie. — Błagam go o przebaczenie, iż stałam się mimowolnie przyczyną jego cierpień.

Doktor Rose skinął głową, spoglądając na list. Celia podążyła przodem, a doktor za jej plecami pokazał mi wzrokiem kopertę.

— Może to mu pan wyjąć z kieszeni, kiedy odjedziecie, a potem mi odesłać — poprosiłam cicho. — To by go na pewno zdenerwowało.

Doktor odprowadził Celię do powozu.

John leżał na przednim siedzeniu, dalej w kaftanie bezpieczeństwa, owinięty w kraciasty pled podróżny. Na tle jaskrawej czerwieni i błękitu koca jego twarz była śmiertelnie blada, lecz miała spokojny wyraz niczym u dziecka. Oddychał równo. Jasne włosy sterczały w bezładnych kosmykach wokół twarzy. Na policzkach widniały ślady łez, lecz usta uśmiechały się leciutko. Celia wspięła się po schodkach i wetknęła list do kieszeni Johna. Jej zmaganie z ubraniem obudziło Johna. Otworzył oczy zamglone od narkotyku.

— Celia — odezwał się cicho, nieco bełkotliwie.

— Proszę nic nie mówić, lady Lacey — polecił stanowczo doktor Rose. — Nie powinien się niepokoić.

Celia posłusznie złożyła tylko pocałunek na czole Johna i w milczeniu wyszła z powozu. Stała przy oknie, a doktor Rose zajął miejsce przy swoim krzepkim koledze. Wpatrywała się w twarz Johna.

Nie zamknął oczu. Patrzył na nią jak na latarnię morską w dalekim porcie, bezpieczne schronienie przed szalejącą wokół burzą. Nagle wzrok mu oprzytomniał, gdy zauważył mnie stojącą nieruchomo na schodach.

— Celio! — odezwał się szybko, jednak język trochę mu się plątał. — Beatrice chce zagarnąć Wideacre dla Richarda — powiedział.

— Do widzenia — pożegnałam natychmiast doktora Rose'a. — Jedź — kazałam stangretowi.

Celia pobiegła parę kroków za powozem ze zrozpaczoną bladą twarzą.

— Chronić dzieci — krzyknął ochryple John. — Chronić dzieci przed Wideacre, Celio!

Konie pomknęły klusem. Koła powozu zazgrzytały na żwirze. Celia została z tyłu. Odjechał.

Wieczorem jedliśmy obiad w milczeniu. Celia przepłakała popołudnie i miała czerwone spuchnięte oczy. Harry siedział na swym wielkim rzeźbionym krześle jak na szpilkach. Celia czekała na niego przez cały ranek na dziedzińcu stajennym i błagała, aby wycofał swój podpis z dokumentów ustanawiających doktora Rose'a opiekunem Johna i żeby kazał przywieźć go z powrotem do domu. Harry wykazał wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, by odmówić rozmowy na ten temat. Stwierdził, że to ja mam prawo wyboru kuracji dla swojego męża. Celia nic na to nie powiedziała, bo przecież miała zaledwie mgliste wyobrażenia, niejasne podejrzenia, że z jakiegoś powodu nie należy mi ufać.

Spuściła więc wzrok, wlepiła w talerz zaczerwienione oczy i prawie nic nie jadła. Ja też straciłam apetyt. Krzesło Johna stało pod ścianą, a jego miejsce wydawało się boleśnie puste. Nie mogłam zapomnieć przerażonego wrzasku, gdy doktor strażnik przygwoździł go do ziemi i związał. Gwałt w słonecznym saloniku odbił się echem w całym domu, jak gdyby na dźwięk krzyków obudziło się sto duchów.

Celia nawet na chwilę nie weszła do salonu po kolacji. Oznajmiła, że chce posiedzieć z Julią w pokoju dzieciennym. Przypomniałam sobie z trwogą, że John również uważał pokój dziecienny za jedyne miejsce w domu wolne od grzechu, przemocy i pełzającego zepsucia. Uśmiechnęłam się jednak ciepło do Celi i pocałowałam ją w czoło na dobranoc. Wydało mi się, że wzdrygnęła się, gdy jej dotknęłam, bojąc się chyba naznaczenia piętnem bezwzględności. Byłam mimo to pewna, że Celia podobnie jak mama, trzymając w rękę nić prowadzącą do prawdy, nie odważy się wyruszyć w głąb labiryntu.

Tak więc siedzieliśmy z Harrym sami w salonie, a kiedy wniesiono herbatę, nalałam filizankę dla Harry'ego i posłodziłam tyle, ile lubił. Gdy sączył herbatę i czynił spustoszenie na talerzu ptifurków, oparłam atłasowe trzewiczki o kratę kominka i odezwałam się obojętnym tonem:

— Czy podpisałeś i wysłałeś dokumenty dla doktora Rose'a, Harry?

— Podpisałem je — odrzekł. — Są na twoim biurku. Jednakże to, co mówi Celia o doktorze Rose i o Johnie, każe mi się zastanowić, czy postępujemy słusznie.

— Owszem, wyglądało to bardzo niepokojąco — zgodziłam się. — John zachowywał się jak szaleniec. Gdyby nie doświadczenie i szybkość działania tych lekarzy, nie wiem, co by się stało. Celia sądzi, że zdoła panować nad Johnem i pomóc mu w rzuceniu picia, lecz jego dzisiejsze zachowanie wykazało, że w istocie ma na niego niewielki wpływ. Minęły prawie dwa tygodnie, odkąd Celia usiłuje odzwyczaić go od picia, a on upijał się prawie co noc. A dziś oskarżył ją o zdradzenie go. Doprawdy nie damy sobie z nim rady, skoro zaczyna odchodzić od zmysłów.

Okrągła twarz Harry'ego wydłużyła się z zatroskania.

— Celia mi o tym nie opowiedziała — poskarżył się. — Mówiła tylko, że jej zdaniem lekarze zbyt brutalnie obchodzili się z Johnem i że napawa ją lękiem cały ten pomysł z ubezwłasnowolnieniem go. Wydaje się zaniepokojona losom majątku Johna, jego częścią fortuny rodu MacAndrew.

— Zaprzętnęła sobie głowę nonsensami wykrzykiwanymi przez Johna — wyjaśniłam lekko. — To była denerwująca scena. Ale nasza droga Celia nie rozumie nic ze świata interesów. Nie ulega wątpliwości, iż dom doktora Rose'a to najlepsze miejsce dla Johna i oczywiście musi on zostać ubezwłasnowolniony, tak aby



uniemożliwić mu wychodzenie na przykład po alkohol. Wiemy przecież, jak trudno go trzymać z daleka od trunków! Celia przez dwa tygodnie zamykała piwnice na klucz, a on wciąż skądś miał alkohol.

Harry spojrzął na mnie spod oka.

— Ty chyba nie wiesz, skąd on brał alkohol, Beatrice? — spytał nerwowo.

— Nie — oświadczyłam stanowczo. — Nie mam pojęcia.

— Cóż, muszę przekonać Celię, że działamy w najlepszym interesie Johna — powiedział Harry, stając przy kominku. Podwinął marynarkę, aby ogrzać pulchne pośladki. Noc była bardzo chłodna. — Zapewnię ją także, że jego fortuna pozostanie absolutnie nietknięta do czasu jego powrotu i przejęcia kontroli nad majątkiem. Teraz my sprawujemy opiekę nad pieniędzmi Johna, lecz oczywiście nie zrobimy z nich użytku.

— Chyba że nadarzy się sposobność pomnożenia tej fortuny. Nie można by nie skorzystać z okazji. Nasza kontrola nad pieniędzmi Johna ma na celu po prostu ich ochronę. Oczywiście, że nie użyjemy tych pieniędzy do celów, które nie spodobałyby się Johnowi. Źle jednak postąpilibyśmy, nie dbając o interes ich właściciela.

Harry pokiwał głową.

— Tak. Ale ty chyba nie masz już jakichś planów, prawda? Uśmiechnęłam się uspokajająco.

— Nie — odparłam — Wszystko zaszło tak nagle, tak niespodziewanie. Oczywiście, że nie mam żadnych planów.

— A co z majoratem? — zagadnął nerwowo.

— Ach, o to chodzi! — podniosłam rękę do czoła w teatralnym geście. — Nie myślmy na razie o tym, dopóki sytuacja się nieco nie wyjaśni. Może przed upływem miesiąca John wróci już do domu, a wtedy omówimy z nim całą sprawę. Powinniśmy starać się zwiększyć zyski i odkładać superatę na przyszłość. Nie istnieje jednak potrzeba szczególnego pośpiechu z uchylaniem majoratu.

Harry nie skrywał ulgi. Celia nie dysponująca wiedzą o faktach, lecz zaledwie intuicją i wrażliwością na kłamstwo, okazywała niepokój i niedowierzenie. Jej niepewność udzieliła się i Harry'emu. Pytał, kto przynosił Johnowi alkohol i jakie mam plany; znaczyło to, iż Celia wyczuwa moją decydującą rolę w zarządzaniu Wideacre, iż widzi we mnie jedyną osobę znającą cel, ku któremu zmierzamy.

— To musiał być dla ciebie przykry cios — stwierdził Harry delikatnie. — Nie popadaj jednak w zbytne przygnębienie, Beatrice. Wierzę szczerze, że John zostanie wyleczony przez tych ludzi i wszystko będzie tak jak dawniej.

Uśmiechnęłam się dzielnie.

— Tak. Ja też mam nadzieję. A teraz idź do Celi i pociesz ją, Harry. Zapewnij ją, że chociaż jest mi bardzo smutno, nie załamie się pod ciężarem bólu.

Harry pocałował mnie czule w czubek głowy i wyszedł. Zostałam jeszcze, żeby wypić szklanekę portwajnu przy wygasającym kominku i położyłam się wcześniej. Cekał mnie nazajutrz dzień pełen pracy. Przyjeżdżał pan Llewellyn. Miał obejrzeć posiadłość przed udzieleniem nam pożyczki pod zastaw hipoteczny. Zyskalibyśmy tym samym pieniądze na opłaty sądowe za uchylenie zasady majoratu. I wreszcie mogłam napisać do prawników, by nadali sprawie bieg. Miałam dostęp do fortuny rodu MacAndrew i gotowa byłam z niej skorzystać, aby wykupić Wideacre dla mojego syna, który w przyszłości przekaże ziemię swojemu synowi,

a ten swojemu synowi i tak po wsze czasy. A cała linia spadkobierców weźmie swój początek od wiedzy z Wideacre.

## 16

Wygląd pana Llewellyna nastawił mnie przychylnie. Był to pięćdziesięcioletni Walijszyk, który się dorobił na hodowli kucyków, rasy pochodzącej z jego rodzinnych wzgórz. Wyhodował wiele koników i chytrze dawał je w prezencie najszlachetniejszym londyńskim rodom. Miesiące wytrwałych prób opłaciły się. Kucyki nosiły na swych grzbietach dziedziców najbogatszych posiadaczy. Były bezpiecznymi zwierzętami i zapoczątkowały nową modę. Szał na górskie kucyki Llewellyna trwał, dopóki córka każdego rzeźnika nie dostała własnego konia. Zanim moda się skończyła, pan Llewellyn miał własny dom w mieście i jego noga nie pozostała więcej w Walii. Nie musiał już marznąć podczas mglistych walijskich zim ani rąbać lodu w skutej mrozem studni.

Nie stracił jednak nic ze sprytu wieśniaka, chociaż od dawna zamieszkiwał w okazałej rezydencji. Niebieskie oczy bystro taksowały pola Wideacre. Rozglądał się z okna mojego gabinetu, jak gdyby wyceniał każde drzewo w parku.

— Ładna posiadłość — stwierdził przychylnie.

— Wprowadziliśmy wiele innowacji — wyjaśnił Harry, pijąc ze smakiem kawę. Wskazał ręką mapę, na której przyłączone pola zaznaczono żółtą obwódką, kolorem pszenicy planowanej do wysiania tej wiosny. Harry i ja spędziliśmy długie niespokojne wieczory, zaznaczając kropkowaną pomarańczową linią ziemie, gdzie moglibyśmy uprawiać pszenicę, gdyby obszary te były wolne. Za każdym razem gdy pulchny palec Harry'ego zahaczał o las czy soczystą łąkę, drętwiałam przeczuwając najgorsze.

— Nie możemy chyba zagarnąć Łąki Normanów — stwierdziłam. — To dawne pole bitwy. Pług wyorałby spod gleby czaszki i kości. Nikt się nie zgodzi tam orać. Cała wieś Acre wierzy, że to nawiedzone miejsce.

— Nie wiedziałem — zainteresował się Harry. — Jaka bitwa tam się odbyła?

— Chyba ta, która dała nam ziemię — odparłam bez ogródek.

— Wedle tradycji nasi przodkowie, Le Saysowie, przybyli tu z garstką żołnierzy i pobili saksońskich chłopów w walce trwającej trzy dni. Wycięli ich w pień. W każdym razie tak głosi legenda.

— Cóż, to musiał być dobry nawóz — zaśmiał się Harry rubasznie. — Patrz, Beatrice! Jeśli na Dębowej Łące i Łące Trzech Bram wysiejemy zboże, to nie możemy zostawić między nimi zwykłej łąki. To będzie głupi widok: stogi siana pośród łąków zboża.

Wszystkie te zmiany wydawały mi się bezsensowne. Zmieniał się charakter naszej farmy, gdzie dotychczas żyli w harmonii właściciele ziemscy i pozostali mieszkańcy Wideacre. Gdzie pamięć o okrutnych właścicielach ograniczała się do legendarnej nazwy pola. Wideacre stanowiła zawsze oazę bezpieczeństwa w zmieniającym się na niekorzyść hrabstwie. Wokół nas podnoszono podatki i skracano terminy spłacania pożyczek, likwidowano tradycyjne prawa najuboższych, tak że biedota uciekała ze wsi. Zatrudniano chętniej

robotników z parafialnych przytułków niż miejscową siłą roboczą. Wznoszono coraz wyższe mury zakończone żelaznymi kolcami wokół dworskich parków, aby nie widzieć wychudzonych, wygłodniałych twarzy i rozwścieczonych oczu.

Pamiętałam jednak o majoracie i moim synu. Hardziałam. Kiedy Richard zostanie dziedzicem Wideacre, a Julia jego współniczką, dadzą sowite odszkodowanie ludziom tak ciężko skrzywdzonym przeze mnie w drodze do osadzenia ich na fotelu dziedzica. Richard będzie mógł zwrócić pola wieśniakom, aby hodowali na nich tak jak dawniej warzywa. Łąki staną się na powrót łąkami, a ludzie wydepczą niegdysiejsze ścieżki. Richard pozwoli mieszkańcom zastawiać sidła na króliki i łowić ryby w rzece Fenny. Nowe pola obsiane zbożem staną się znów gruntami wspólnymi. W ciągu paru lat (raczej jednak wielu, wielu lat) Wideacre odzyska swój dawny charakter sprzed okresu, gdy musiałam z Harrym po prostu obrabować naszą ziemię. Richard naprawi to, co ja musiałam zniszczyć. Niech no tylko zostanie dziedzicem, a do Wideacre powróci dobro. Ale jedyna droga do tego wiedzie poprzez tymczasowe zło.

— Wszystko będzie wyglądało całkiem inaczej niż teraz — odezwałam się.

— Tak — potwierdził Harry. — Zacznie wyglądać jak wzorowo prowadzona posiadłość, jak przykłady z moich podręczników, a nie malowniczy bałagan.

— Tak — zgodziłam się ze smutkiem.

Zamówiona przeze mnie mapa, przedmiot mojej dumy i pomoc w rozsądzaniu sporów o granice, w wytyczaniu ścieżek i miedzy, teraz dawała powód do radości Harry'emu. Energicznie powiódł do niej pana Llewellyna.

— Widzę, że planujecie wiele zmian — pan Llewellyn zmierzył wzrokiem pola pokryte pomarańczowymi kropkami niczym rozprzestrzeniającym się grzybem.

— Tak — odparł z dumą w głosie Harry.

— A zatem stawiacie na zboże? — z uśmiechem zapytał londyński kupiec.

— Oczywiście. Dzisiaj zyski płyną właśnie z uprawy zbóż — oznajmił Harry.

Pan Llewellyn pochodzący z ubogiej walijskiej wsi skinął głową.

— Tak — przyznał. — Ale dokonujecie tego bardzo szybko, prawda?

Harry skinął głową, pochylił się do pana Llewellyna i zagadnął konfidencko:

— Mamy pewien projekt, na którego sfinansowanie potrzebujemy kapitału.

— I zamierzamy uzyskać ten kapitał dzięki pożyczce hipotecznej udzielonej przez pana — przerwałam gładko Harry'emu. — Spłacimy ją dodatkowymi zyskami z nowych zasiewów, tak że obrót pieniędzy posiadłości pozostanie na niezmiennym wysokim poziomie, mimo obciążenia.

Pan Llewellyn kiwnął głową, a przenikliwe niebieskie oczy spojrzały z uśmiechem. Zauważył, że uciszyłam Harry'ego.

— Traciecie jednak siano — stwierdził. — Ile wydadacie na zakup dodatkowego siana na zimową paszę?

Przyciągnęłam do siebie arkusz papieru; to ja robiłam obliczenia, nie Harry.

— Osiemset do tysiąca funtów w zależności od aktualnej ceny. Będziemy jednak karmić owce roślinami okopowymi i kiszoną z koniczyny. Te pasze rosną na polach zazwyczaj obsiewanych zbożem, kiedy leżą one odłogiem.

— A siano dla koni? — spytał Harry'ego pan Llewellyn.

I znów to ja odpowiedziałam:

— Też będą jadły koniczynę. Ale starczy dla nich siana.

Pan Llewellyn skinął głową i przebiegł wzrokiem rzędy liczb na papierze.

— Obejrzyjmy teraz ziemię — oświadczył, odstawiając filiżankę z kawą.

— Mój brat Harry oprowadzi pana — zapowiedziałam, wskazując swoją czarną suknię. — Noszę jeszcze żałobę i nie mogę jeździć konno.

— A zatem proszę mnie obwieźć powozem! — zdecydował wesoło, a ja odpowiedziałam uśmiechem.

— Z radością to uczynię — odparłam uprzejmie. — Muszę jednak uprzedzić stajnię i pójść się przebrać.

Przepraszam na chwilkę.

Wymknęłam się z pokoju i od drzwi zachodniego skrzydła zawołałam na chłopca stajennego, aby zaprzągnął Sorrela do nowej bryczki. W parę minut przebrałam się w czarny aksamitny strój do konnej jazdy i zarzuciłam na ramiona czarną derkę, bo grudzień mieliśmy mroźny.

— Woli pan jechać powozem niż konno? — spytałam pana Llewellyna, kiedy okrywał nasze kolana pledem. Potoczyliśmy się podjazdem. Podkowy Sorrela stukotały głośno na zamarzniętym żwirze i stwardniałym niczym żelazo błocie.

— Wolałbym obejrzeć ziemię z gospodarzem — pan Llewellyn rzucił mi szelmowskie spojrzenie. — Chyba to pani ma tu na wszystko oko, pani MacAndrew.

Potwierdziłam milczącym śmiechem.

— Ładne lasy — oznajmił, patrząc na buki srebrzące się świeżym śniegiem po wschodniej stronie.

— Zaiste — przyznałam. — Ich jednak nigdy nie zastawimy hipotecznie. Chciałam natomiast polecić panu lasy na północnych zboczach pastwisk, znacznie wyższe niż te świerkowe i sosnowe.

Skreśliśmy w boczną dróżkę, a Sorrel z trudem brnąc w śniegu, buchał kłębami pary.

Pasma wspólnych gruntów, gdzie wieśniacy siali własne zboże przez ostatnie siedem lat, wydawały się białe od mrozu. Zdjęto już płotki, zlikwidowano miedze. Na wiosnę mieliśmy zaorać również grządki warzywne, z taką pieczołowitością od dawna uprawiane.

Zabierając ziemię wieśniakom, zyskiwaliśmy około dwudziestu akrów. Zabieraliśmy tereny, gdzie mogli hodować warzywa dla siebie i karmę dla ptactwa. Tracili zabezpieczenie na lata nieurodzaju, bezrobocia i głodu. Prawo do skrawka ziemi nie było nigdzie gwarantowane na piśmie. Ot, tradycja przyznawała mieszkańcom wsi parę akrów do własnego użytku. Kiedy więc pojechałam do wioski i powiedziałam sześciu najstarszym mężczyznom, że na wiosnę zaorzemy grunty wspólne pod zboże, nie mogli zrobić absolutnie nic, aby mnie powstrzymać.

Nie dyskutowałam, nawet nie wysiadłam z bryczki. Spotkałam się z nimi pod kasztanowcem na trawie i zaraz po zakomunikowaniu przykrej wiadomości zaczął padać śnieg. Musieli szukać ciepła przy własnych kominkach, nie przy moim. Wykopali już ziemniaki i zebrali warzywa. Nie odczują utraty wspólnych gruntów aż do następnej zimy.

A nawet wtedy wieś Acre nie powinna czuć się zbyt pokrzywdzona. Niemal każda chata miała swój ogródek. Pełen kwiatów ogródek był dumą i radością całego domu. Cóż, przyjdzie się z nimi rozstać. Trawiaste

ścieżki, gdzie dotychczas igrały dzieci, zostaną skopane i obsadzone warzywami. A wszystko to po to, aby Wideacre powiększyła tereny uprawne o dwadzieścia akrów... Ale i po to, aby mój syn Richard przybliżył się do fotela dziedzica.

Ściągnęłam cugle i uwiązałam Sorrela do płotu. Poszłam przodem, dróżką wiodącą grzbietem stromizny znaczącej początek nizin. Dotarliśmy do nowej plantacji drzewek, ogrodzonej łożynami, dobrym zabezpieczeniem szkółki przed owcami.

— Ile lat mają te drzewka? — spytał pan Llewellyn bez uśmiechu, surowo mierząc wzrokiem wysokość drzew; około dwudziestu, trzydziestu stóp.

— Sadziłam je z moim papą — wyjaśniłam, a wspomnienie wywołało uśmiech na mej twarzy. — Miałam wtedy pięć lat. Ten lasek ma czternaście lat. Ojciec obiecywał, że kiedy będę już leciwą damą, każe zrobić z tego drewna stołek dla siebie. — Posmutniałam.

— Czasy się zmieniają — pan Llewellyn doskonale zrozumiał przyczynę mego żalu. — Nikt nie może nadażyć za tym, co się dziś zmienia. Możemy tylko kierować się sumieniem i gonić za zyskiem, nie tracąc z oczu dobra innych ludzi! — uśmiechnął się ponuro i odwrócił do drzew.

— Ładnie rosną — wyraził zadowolenie. — Ile drzew mamy tutaj?

— Około pięciuset — odparłam. Otworzyłam dla niego furtkę w płocie. Przechadzał się między rzędami, starannie oglądając igły w poszukiwaniu śladów choroby. Odginał gałązki, aby sprawdzić ich sprężystość. Potem odmierzył kwadrat o boku dziesięciu jardów i liczył bezgłośnie drzewa przypadające na tę powierzchnię.

— Dobrze — odezwał się wreszcie. — Pożyczę pieniądze pod zastaw tej szkółki. W karcie trzymam przygotowany kontrakt. Wspominała pani także o wspólnych gruntach?

— Tak. Ale to w przeciwnym kierunku. Pojedziemy tam.

Wróciliśmy do bryczki. Llewellyn wykazał się uprzejmą inteligencją, nie oferując pomocy przy odwiązywaniu konia i zawracaniu bryczki. Dopiero wsiadając do dwukółki uśmiechnął się do mnie.

Pojechaliśmy w dół wzgórza, a potem gościńcem do Acre. Zanim dotarliśmy do wioski, skręciliśmy w lewo, znów do parku leśnego, w dróżkę prowadzącą do nowego młyna. Pani Green karmiła właśnie kury przed progami. Pomachałam jej i spostrzegłam, że przygląda się badawczo panu Llewellynowi. Pewnie zastanawiała się, kim jest ten człowiek. Wkrótce się dowie. W Wideacre żaden sekret się nie uchowa. Nawet nie wyobrażałam sobie, że uda mi się zachować tajemnicę.

Dróżka wiła się wśród drzew. Mróz trzymał mocno. Zbliżaliśmy się do wspólnych gruntów. Usłyszałam trzepot skrzydeł nad głową i ujrzałam klucz gęsi lecących na zachód w poszukiwaniu pokarmu i nie zamarzniętej wody.

— Oto ta ziemia — wskazałam ruchem głowy. — Pokazywałam panu ten teren na mapie. I oto jest. Trochę pagórków, wrzosy, paprocie, parę drzew, które trzeba będzie wyciąć, i dwa strumyki.

Panowałam nad głosem, lecz nuta miłości do tej ziemi, złotomiedzianej w zimowym świetle, wkradła się do jego brzmienia.

W pobliżu przepływał jeden ze strumyków. Słyszeliśmy wodę ściekającą z niewielkich spiętrzeń ku rzece Fenny.



Paprocie pobłyskiwały brązowym odcieniem pod srebrzystym płaszczem mrozu. Nieliczne drzewa przeznaczone do wycięcia, moje ulubione brzozy, miały pnie białe jak papier, zaś ich ciemnofioletowobrązowe gałęzie układały się w kształty przypominające wazony z sewrskiej porcelany. Bładoszare kwiaty wrzosów zachowały się pod lodową powłoką. Ziemia pod kołami bryczki była twarda niczym skała w miejscach, gdzie zamarzył mokry torf, lecz w kotlinkach biały piasek pozostał kruchy jak cukier.

— I pani przyłączy te grunty? — pan Llewellyn spojrzał nieco drwiąco.

— Nie ma z tym problemów prawnych — stwierdziłam. — Teren należy w całości do posiadłości Wideacre. Zawsze używano go wspólnie na podstawie ustnej tradycji. Nasi ludzie polowali tu na drobną zwierzynę, wypasali zwierzęta, zbierali drzewo na opał, na podpałkę. Nie istnieją jednak żadne dokumenty potwierdzające te prawa. W dawnych czasach raz do roku dziedzic umawiał się z mieszkańcami, nie zachowały się jednak żadne zapisy na ten temat. Nic nie może mi stanąć na przeszkodzie.

Uśmiechnęłam się zdawkowo.

— A nawet gdyby istniały jakieś zapisy — dodałam ironicznie — trzymałabym je w kantorku, niewielu zaś wieśniaków potrafi czytać. Nie ma w istocie żadnego powodu, dla którego nie moglibyśmy przyłączyć wspólnych gruntów.

— Pani mnie nie zrozumiała — odezwał się pan Llewellyn cicho, lecz bez żartobliwego wyrazu w oczach. — Mam na myśli to, czy uda się zaorać tę ziemię, wyrównać teren, zasypać strumienie i zasiać tu zboże.

— Taki mam zamiar — oświadczyłam z powagą.

— No cóż — odrzekł i zamilkł.

— Interesuje pana pożyczka pod zastaw hipoteczny tej ziemi? — spytałam obojętnym tonem i zawróciłam bryczkę.

— W rzeczy samej tak — oznajmił chłodno. — Znosi się na intratne przedsięwzięcie. Czy życzy pani sobie, aby pieniądze przekazać bezpośrednio pani czy też pani bankowi w Londynie?

— Naszym londyńskim prawnikom, jeśli można prosić. Ma pan ich adres.

Siedzieliśmy w milczeniu, a dwukółka toczyła się w żółtym zimowym słońcu, jasnym, lecz niezdolnym do ogrzania mroźnego powietrza.

— Prowadzenie interesów z panią to prawdziwa przyjemność, pani MacAndrew — odezwał się uprzejmie, gdy wjechaliśmy na dziedziniec stajni. — Nie będę już wchodził do domu. Odjadę, kiedy tylko podstawią moje konie.

Podszedł do powozu i podał mi dwa kontrakty. Wzięłam dokumenty, stojąc przy Sorrele, który trącał mi palce chrapami. Poklepałam rdzawy pysk i wyciągnęłam dłoń, aby pożegnać pana Llewellyna.

— Dziękuję za wizytę — powiedziałam grzecznie. — Do widzenia. Życzę bezpiecznej podróży.

Wsiadł do karety, a lokaj wciągnął schodki, zatrzasnął drzwi i zajął miejsce z tyłu. Pomyślałam, że zimno mu będzie w samej liberii. Do Londynu daleka droga. Podniosłam rękę na pożegnanie i powóz ruszył.

Dzień był zimny, lecz ja czułam także wewnętrzne zimno od momentu, gdy Llewellyn zaczął się wobec mnie zachowywać całkiem inaczej niż na początku. Obcy człowiek, a gardził mną za to, co zamierzałam zrobić ze wspólnymi gruntami, za zerwanie niepisanego kontraktu między dworem a biedotą, za chęć zniszczenia

spokojnego urodzajnego piękna Wideacre. Zadrżałam. Powóz nie zasłaniał mi już widoku na dwór. Spostrzegłam, że przy wejściu do zachodniego skrzydła stoi Celia i patrzy na mnie z przestraczem. Ubrana jak zwykle na czarno, wyglądała szczupło i wiotko.

— Kim był ten dżentelmen? — spytała. — Dlaczego nie zaproponowałaś, aby wszedł do domu?

— To kupiec — odparłam swobodnie, wręczając lejce jednemu z chłopców stojących. Objęłam Celię ramieniem. — Znów się zaczyna mróz — oznajmiłam energicznie. — Chodźmy się ogrzać przy kominku w twoim saloniku.

— Czego on chciał? — nie dawała za wygraną Celia, gdy ściągałam rękawiczki i derkę. Zadzwoiłam po kawę.

— Chciał kupić drewno z nowej plantacji — ta półprawda w moich ustach miała zabrzmieć przekonująco. — Musiałam go tam zawieźć. Było niesamowicie zimno.

— Już sprzedajesz drewno? — spytała zdumiona. — Przecież ta szkółka nie jest jeszcze gotowa do wycięcia, prawda?

— Nie, Celio. Ale to specjalista. Gwarantuje dobrą cenę na długo przed wycięciem drzew. Plantacja świetnie rośnie i wkrótce będzie można ją wyciąć. Nie byłaś tam od lat, Celio, i nie wiesz, jak to wszystko wygląda.

— Nie — przyznała, przyjmując tę nedorzecznosc za dobrą monetę. — Ja nie mam takiego kontaktu z ziemią jak ty, Beatrice. I nie rozumiem ziemi tak dobrze.

— Zupełnie bezpodstawnie się nie doceniasz — oświadczyłam żwawo i uśmiechnęłam się do Stride'a, który wniósł kawę. Ruchem ręki poleciłam, aby nalał do filiżanek. Stałam ze swoją kawą przy kominku. — Wspaniale pilnujesz porządku w kuchni, Celio. Co dzisiaj na obiad?

— Zupa, dziczyzna i inne dania — odpowiedziała wymijająco. — Beatrice, kiedy John wraca do domu?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem. Zdumiona podniosłam wzrok. Siedziała przy oknie, nie cerując, nie haftując, a jednak jej oczy i umysł nie próżnowały; obserwowała mnie bacznie. Czułam niemal jej wysiłek, aby ogarnąć jakoś tę nietypową przecież dla niej sytuację.

— Kiedy zostanie całkowicie wyleczony — oświadczyłam stanowczo. — Nie zniosłabym, gdyby miała się powtórzyć scena, którą nam tu urządził.

Zbladła, tak jak przewidywałam.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece — odrzekła, a jej wzrok powędrował ku miejscu na podłodze, gdzie leżał John wrzeszcząc, aby go ratowała. — Gdybym wiedziała, jak go będą traktować, nigdy nie poparłabym twojego pomysłu, aby stąd wyjechał.

— Z pewnością nie — podchwyciłam jej żarliwy ton. — Kiedy już jednak go schwycili i uśpili, stało się jasne, że powinien jechać na leczenie. Przecież sam chciał jechać.

Celia kiwnęła głową. Widziałam jednak, że zachowała rezerwę, a nie miałam ochoty na ciągnięcie tego tematu.

— Pójdę się przebrać do obiadu — zapowiedziałam i rzuciłam na krzesło swój trójgraniasty kapelusz. — Jest za zimno na popołudniowy spacer. Zabierzmy dzieci do krążganków i zagrajmy z nimi w wolanta.

Twarcz Celi rozbliżyła miłością do dzieci. W oczach jednak pozostał smutek.

— Tak, cudownie! — w jej głosie nie zabrzmiała radość.

Tak więc za niewysoką cenę nudnego popołudnia spędzonego na grze w wolanta z Celią, dwiema dzieciennymi niańkami i dziećmi zbyt małymi, aby zrozumieć reguły gry, kupiłam sobie wolność od pytań o pana Llewellyna, majorat i nagłą potrzebę pieniędzy. A także od pytań o Johna i przewidywany termin jego powrotu.

Celia przyjęła, że John wróci na święta Bożego Narodzenia. Święta jednak przeszły, a John nie czuł się dobrze na tyle, aby wrócić. Nie mogliśmy ze względu na żałobę urządzić wielkiego przyjęcia świątecznego, jak nakazywała tradycja Wideacre. Wielebny Pearce zaproponował, aby urządzić mniejsze przyjęcie tylko dla dzieci, na plebanii, w którym uczestniczyłyby Harry, Celia i ja.

Uznałam, że stać nas na coś więcej niż tylko nasza obecność. Pani Green, gospodyni proboszcza, siostra młynarza, dostała od nas zalecenia co do podawanych potraw i spis produktów, których dostarczenia się podejmujemy. Tak więc w pierwszy dzień Świąt pojechałam do kościoła z kosztami mięsa, chleba, słodczy, galaretek i lemoniady. Przyjęcie miało się zacząć zaraz po mszy. Harry, Celia i ja wyszliśmy z kościoła, mówiąc „dzień dobry” i „wesołych Świąt” wszystkim zamożniejszym dzierżawcom, którzy zebrali się na dziedzińcu, aby nas pozdrowić.

Ubożsi dzierżawcy i wieśniacy z Acre, a nawet dzieci chałupników, czekali w ogrodzie plebanii pod surowym okiem pani Green i dwóch wikarych.

— Wesołych Świąt, dzień dobry — powitałam wszystkich, kiedy przekroczyliśmy bramę. Zdumiała mnie reakcja zgromadzonych. Żadnych uśmiechów. Mężczyźni zdejmowali czapki lub kłaniali się, kobiety dygały, kiedy szliśmy ścieżką, lecz brakowało tradycyjnej ciepłej atmosfery. Rozejrzałam się zdziwiona, lecz ludzie spuszczały wzrok. Nikt nie wołał zyczliwie „dzień dobry”, nikt nie chwalił półgłosem wyglądu panienki Beatrice.

Przywykłam być uwielbiana w Wideacre. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego w tym pięknym ogrodzie przyjęto mnie z takim chłodem. Dzieci usiadły na długich ławach przy zbitym z surowych desek stole, a rodzice stanęli za ich plecami. Zaraz służący z dworu pomogą pani Green podać obfity obiad. Przyjęcie bożonarodzeniowe, jedno z najradośniejszych, najhałaśliwszych wydarzeń w roku. A tu — cisza, nikt się do mnie nie uśmiecha.

Spostrzegłam panią Merry, akuszerkę, i przywołałam ją skinieniem palca.

— Co się z wami dzieje? — spytałam. — Wszyscy tacy cisi...

— To skutek śmierci Gilesa — wyjaśniła cicho. — Nie słyszała panienka?

Giles. Pomyślałam o starym mężczyźnie opartym na stylisku łopaty i wsłuchanym w słowa papy. To już tyle lat. Giles, taki niby stary i słaby, przeżył mojego silnego młodego papę i pracował aż do dnia, kiedy rzucił swe dorywcze zajęcia i wstąpił do grupy robotników zatrudnionych przy parafialnym przytułku. I oto ten starzec zmarł, lecz dlargóż z tego powodu psuć dziecięce przyjęcie?

— Czemu wszyscy są tacy smutni? — dopytywałam się.

— Giles już od dawna wybierał się przeciw na tamten świat.

Pani Merry spojrzała na mnie surowo.

— On nie umarł ze starości, panienko Beatrice. On się otrul i zostanie pochowany bez nabożeństwa za murem cmentarza.

Jęknęłam.

— Otrul się! — krzyknęłam zaszokowana, aż paru dzierżawców spojrzalo z ciekawością, jak gdyby domyślając się, że pani Merry przekazała mi tę straszną nowinę. — Musiała zajść jakaś pomyłka — stwierdziłam stanowczo. — Skąd mogło komuś przyjść do głowy, że Giles zrobił coś takiego?

— Bo Giles zapowiadał, co robi — wyjaśniła głucho pani Merry. — Kiedy przestała pani dawać ludziom dorywcze prace przy rowach i żywopłotach, nie miał pieniędzy. Żył z oszczędności przez dwa tygodnie i pożyczył od sąsiadów na następny tydzień życia. Wtedy nabrał pewności, że musi iść do przytułku. A zawsze przysięgał, że wolałby się zabić, niż tam iść. Dziś rano znaleźli go martwego. Zażył strychninę, którą pożyczył od młynarza, twierdząc, że to na szczury. To bolesna śmierć, panienko Beatrice. Ciało miał wygięte w łuk, twarz czarną. Próbowali wsadzić zwłoki do trumny, kiedy pani jechała do kościoła. Nie widziała ich pani, panienko Beatrice?

— Nie — wymamrotałam. Nie mogłam powiedzieć nic więcej. Gdzieś w głębi serca chciałam zapłakać, czując, że coś się skończyło. Żałowałam, że nieodwoalnie odeszły dobre czasy dla Wideacre. Trucizna zabiła nie tylko Gilesa. Mała dawka wystarczyła.

— Co się z wami dzieje? — zawołał Harry. Jak zwykle wyrwał się głupio w nieodpowiednim momencie. — Nigdy nie widziałem tak wielu ponurych twarzy. Dalejże, przecież to Boże Narodzenie! Pierwszy dzień świąt!

Zgromadzeni spojrzeli na niego niechętnie, a potem wszyscy nasi ludzie opuścili wzrok i zaszurali butami po zamarzłym żwirze. Zanim Harry zdążył popełnić następne głupstwo, przez otwarte drzwi plebanii wkroczyli służący z obiadem dla dzieci.

— Giles nie żyje — powiedziałam cicho Harry'emu. — Chyba się zabił, kiedy skończyły mu się pieniądze. Wolał to, niż pójść do przytułku. Znalaziono go dziś rano. Widać, że wszyscy obwiniają za to nas. Sądzę, że powinniśmy poczekać do toastu i jechać do domu.

Rumiane policzki Harry'ego pobjadły.

— Słowo daję, źle się stało, Beatrice. Giles nie miał powodu, by tak postąpić. Powinien był wiedzieć, że nie damy mu przymierać głodem.

— Może nie wiedział — odrzekłam szorstko. — Chciał pracy, nie litości. Tak czy owak on nie żyje. Kończmy i idźmy, zanim jakieś głupie plotki dojdą do Celi. Nie ma potrzeby, aby się denerwowała.

— W rzeczy samej nie. — Harry rozejrzał się, szukając Celi.

Trzymała jedno z nowo narodzonych w Acre dzieci i uśmiechała się do niego. Matka dziecka stała obok i patrzyła na Celię ciepło, nie tak jak inni na mnie.

— Nie zostaniemy długo — zawołał swoim jasnym tenorem Harry. — Przyszliśmy tylko złożyć życzenia. Mamy nadzieję, że będziecie się dobrze bawić na tym przyjęciu wydanym przez nas i doktora Pearce'a specjalnie dla was.

Harry dotknął ramienia Celi. Poszli razem do powozu. Ja tuż za nimi. Czulałam na sobie badawcze spojrzenia, a w sercu budził się strach, że gdyby Mściciel stanął teraz u granic Wideacre, nie mogłabym mieć

pewności co do swego bezpieczeństwa. Szybko jednakże pocieszyłam samą siebie: to takie typowe dla zimy smutki; wszyscy pracujący na roli odczuwają wtedy zmęczenie chłodnymi mrocznymi dniami. A do tego śmierć Gilesa. Każdy ubogi wieśniak panicznie boi się iść do przytułku, choćby tylko pracować w warsztacie, a co dopiero tam zamieszkać! Z nadejściem wiosny życie stanie się łżejsze. Zapomną o Gilesie.

Wyglądałam przez okno powozu, aby zapewnić samą siebie, że tak naprawdę nic się nie zmieniło. Że przyjęcie świąteczne było takie jak zawsze. Że śmierć Gilesa zasmuciła może jego rodzinę i przyjaciół, lecz reszta wsi szybko o niej zapomni. Że kiedy dzieci najedzą się do syta, zaczną się gry, tańce i radość zawita do Wideacre jak co roku. Że przecież nic nie powinno się zmienić tak gwałtownie, tak brutalnie.

Ogród zamienił się w plac bezładnej walki. Odjazd powozu stał się sygnałem do bitwy o łupy. Dzieci rzuciły się na stoły, ściągając jedzenie i wpychając je sobie do ust, a rodzice ponad głowami dzieci pakowali pospiesznie żywność do kieszeni. Wyglądało to jak zamieszki głodowe, nie jak przyjęcie. Pani Green i służący, stojąc przy wejściu, patrzyli ze zgrozą na tę scenę. W oknie gabinetu spostrzegłam bladą twarz doktora Pearce'a. Parafianie tratowali się i przepychali, rozrywając bochenki chleba i kawałki szynki. Słodczyce, które przywiozłam ze dworu, upadły na ziemię, nie zauważone przez nikogo oprócz najmłodszych dzieci. Pełzały pod stopami kopiących ich dorosłych, aby pozbierać cukierki. A ich matki i ojcowie toczyli zaciekły bój o pożywienie, tak jakby umierali z głodu.

— Jedź! — rzuciłam ostro z przerażeniem w głosie i dałam znak stangretowi. Ten osłupiał na widok oszalałego tłumu. Ocknął się nagle i konie pomknęły, unosząc nas coraz dalej od straszliwego widoku.

— Co się dzieje? — spytała Celia. Siedziała przy drugim oknie, a zwałista postać Harry'ego przeszkadzała jej w wyjrzeniu przez moje okno. Pochyliłam się jeszcze, aby całkowicie zasłonić widok.

— To takie brutalne zabawy — odparłam szybko, starając się pohamować drzenie głosu. — No i zachłanność dzieci — tu spojrzałam na Harry'ego. Policzki mu pobladły, lecz czując mój surowy wzrok, pokiwał głową na potwierdzenie tych słów.

— O niebiosy, jakież hałas przy tym robią — odezwał się, usiłując przybrać obojętny ton.

Na szczęście byliśmy już daleko. Mogłam usiąść wygodniej i odetchnąć, próbując opanować dygotanie.

Nie zdawałam sobie sprawy, nawet nie pomyślałam, że rezygnacja z zatrudniania wieśniaków do dorywczych prac tak dotkliwie i tak szybko dotknie całą wioskę Acre. A nie chodziło tu tylko o Wideacre. Daliśmy przykład sąsiednim majątkom. We dworze Haveringów od dawna angażowano majstra z parafii i jego pracowników, płacąc im najniższe stawki za parę dni pracy w miesiącu. Teraz kiedy w Wideacre postępuje się podobnie, znika ostatni przyzwoity pracodawca w tej części hrabstwa Sussex.

Haniebna śmierć Gilesa oznaczała oczywiście niezdolność starca do przystosowania się do życia w nowych warunkach. Miał jednak chyba rację, że skoro nie znajdzie pracy w Wideacre, czekają go niechybnie warsztaty w przytułku. Majster zatrudniał tylko najsprawniejszych spośród nędzarzy. Giles nie miałby szans. Przed nim był tylko przytułek, gorszy niż więzienie w Chichester i pewna droga do śmierci. Jego śmierć nie była zrównoważoną reakcją na nasze wysiłki, by uczynić z Wideacre nowoczesną, wysoko wydajną farmę. Nie powinnam w żadnym razie czuć wyrzutów sumienia z powodu czynu takiego głupca. Musiałabym być niespełna rozumu, aby sądzić, że ta śmierć zaważy na czymkolwiek, że uczyni mój świat, Wideacre, nie do zniesienia.



Myślałam o tym wszystkim jadąc do domu, a kiedy znaleźliśmy się już we dworze za zamkniętymi drzwiami, mogłam uspokajać Harry'ego. Staliśmy przy kominku w salonie, a Celia poszła na górę zdjąć kapelusz i płaszcz oraz przygotować dzieci do świątecznego obiadu.

— Mój Boże, Beatrice, to było straszne — odezwał się Harry. Podszedł szybko do karafki z sherry i nalał sobie szklaneczkę. Wychylił ją błyskawicznie, nawet nie proponując mi trunku. — Zachowywali się jak zwierzęta! Dzikusy!

Wzruszyłam ramionami z rozmyślną obojętnością.

— Daj spokój, Harry. Jesteś taki delikatny. Zawsze są takie przepychanki i tumult podczas świątecznych przyjęć. Tyle że zwykle tego nie widzimy. Czekają, aż wyjdziemy.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem! — oświadczył Harry stanowczo. — Ty także, jestem pewien, Beatrice. To zakrawało na bunt! Nie mogę zrozumieć!

Nic dziwnego, głupcze — pomyślałam i zaczęłam sączyć sherry.

— Są niespokojni — wyjaśniłam niewzruszona. — Są niespokojni, bo wielu z nich straciło możliwość zarobkowania w zimie. Śmierć Gilesa też ich przygnębiła. Obawiają się, że zagraża im śmierć z głodu, ale kiedy nadejdzie wiosna, zrozumieją, że zaszły w sumie niewielkie zmiany.

— Ależ oni się zachowywali, jak gdyby nie widzieli jedzenia od tygodnia! — zaprotestował Harry. — Widziałaś sama, Beatrice! Nie możesz powiedzieć, że to były rodziny, którym po prostu chwilowo brakuje pieniędzy. Wyglądali, jak gdyby przymierali głodem.

— A jeśli nawet, to cóż? — odrzekłam twardo, znużona już kryciem przed Harrym konsekwencji naszej wspólnej decyzji.

— Sam chciałeś zatrudnić majstra z parafii. Zgodziliśmy się oboje, aby nie wynajmować wieśniaków z Acre do prac dorywczych przy żywopłotach, kopaniu rowów i przy owcach, aby płacić tylko za przepracowany dzień, a nie za gotowość do pracy. Zgodziliśmy się. Sądziś, że pracowali z zamiłowania? Oczywiście są głodni. Nie dostają zapłaty, usiłują przeżyć jakoś do wiosny z oszczędności. Myślą, że powrócą dawne czasy i każdy zarobi u nas przy orce i przy zasiewach, choćby i pensa.

— Nadejdzie wiosna i okaże się, że dawne czasy nie wrócą. Że zatrudnimy robotników z zewnątrz. A jeśli chcą u nas pracować, muszą przystąpić do grupy parafialnej i przyjąć nędzne wynagrodzenie.

— Chcesz powiedzieć, że wycofujesz się z naszych planów? — spytałam surowo. — Oszczędzamy przecież setki funtów miesięcznie i gospodarujemy tak, jak zawsze chciałeś. I co, sądziłeś, że nikt nie poniesie kosztów twoich ekstrawagancji, Harry? Ubodzy zapłacą. Ubodzy zawsze płacą. Ale nie mogą nam nic zrobić. A jeśli nie podoba ci się to, co robimy, odwróć po prostu głowę i patrz przez okno, jak Celia.

Obróciłam się do niej plecami i wzburzona wpatrywałam się w ogień. Dyszałam z wściekłości. Łzy cisnęły mi się do oczu. Bezmyślna ignorancja Harry'ego budziła mój gniew. Wściekałam się również, wiedząc, że znalazłam się w potrzasku. Decyzja, aby kierować się wyłącznie zyskiem, doprowadziła nas do niebezpiecznego punktu, a mogliśmy posunąć się jeszcze dalej na tej drodze. W nowych warunkach nie będzie miejsca dla biedoty. Ubodzy opuszczą Wideacre. Uparci zostaną, a wtedy starcy i być może słabsze dzieci zaczną umierać. A Giles okaże się pierwszą śmiertelną ofiarą na drodze do ustanowienia Richarda dziedzicem. Lecz mając tak wytyczony cel, ja nie ustąpię, nie ugnę się. Rozumiałam jednakże, że tę długą, powolną bolesną

drogę wielu ubogich mieszkańców Wideacre przejdzie boso, a wszystko po to, aby mój syn nosił miano dziedzica.

Harry położył mi dłoń na ramieniu. Powstrzymałam się z trudem, by jej nie strząsnąć.

— Dla nas obojga nastaly gorzkie czasy — odezwał się Harry ze smutkiem, zapominając o głodnych twarzach i myśląc już tylko o sobie. — Uważam oczywiście, że powinniśmy iść dalej. Każdy właściciel ziemski ma dokładnie te same problemy. Wszędzie zachodzą zmiany. Nie zapobiegniemy im, nie ma mowy. Ludzie będą musieli się do nich przystosować i tyle. Będą się musieli nauczyć żyć w nowych warunkach. Szaleństwem byłoby prowadzić gospodarstwo tradycyjnymi metodami, Beatrice.

Kiwnęłam głową. Harry znalazł sposób uspokojenia swego sumienia. Ja pocieszałam się myślą, że to, co robię, przybliży mego syna do sięgnięcia po Wideacre. Harry mógł poprzestać na wygodnym kłamstwie, że zmiany każą płacić nam wszystkim, i dworowi, i ludziom zwalnianym z pracy. Harry naśladował Poncjusza Piłata i umywał ręce. Postrzegał siebie jako część procesu historycznych zmian, a wobec tego nie czuł się winny ani odpowiedzialny za to, co się działo.

— Nie mamy wyboru — stwierdził cicho.

Zabrzmiało to nawet smutno; nie mógł nic zdziałać.

Tak więc kiedy Celia zeszła z dwiema nianiami i dziećmi ubranymi odświętnie, z apetytem czekającymi na pieczoną gęś, uśmiechnęliśmy się do siebie i przeszliśmy do jadalni. Na stole piętrzyły się półmiski z wyśmienitymi daniami i przystawkami, jak gdyby pięć mil stąd głodne dzieci nie zbierały okruchów z zamrożonej trawy w ogrodzie proboszcza.

Mieliśmy tego roku ciężką zimę w Wideacre. Rzadziej niż zwykle odwiedzałam wieś, bo nie było mi przyjemnie oglądać zacięte twarze. Raz czy dwa jakaś kobieta wybiegła na mój widok z chaty ze łzami w oczach i czepiając się ręką powozu, powiedziała:

— Panienko Beatrice, proszę wziąć mojego Williama do roboty przy ogrodzeniach. Wie panienka, że nie ma takiego drugiego w całym hrabstwie do tej roboty. Zapomoga z parafii nie starcza na wyżywienie dzieci. One są głodne, panienko Beatrice. Proszę dać memu mężowi pracę.

Ale ja miałam wtedy przed oczami inny obraz: moje własne dziecko, mojego Richarda i jego przyszłość. Wpatrywałam się zatem hardo w końską grzywę, a na twarz kobiety nawet nie spojrzałam i obojętnym tonem odpowiedziałam:

— Przykro mi, Bessy, ale nic nie mogę zrobić. Mamy już majstra w Wideacre. Jeśli twój mąż chce pracy, niech lepiej sam jej poszuka.

Potem cmoknęłam na konia i odjechałam, zanim kobieta zdążyła się rozplakać na środku drogi. Zachowałam kamienny wyraz twarzy, bo i cóż mogłam zrobić?

A Harry nie robił w ogóle nic. Kiedy spotkał kogoś na gościńcu i usłyszał opowieść o podłych zarobkach u majstra, o skąpstwie parafii i strachu przed przytułkiem, wzruszał tylko ramionami i mówił:

— Co mam zrobić? Mam nie większy wpływ na bieg świata niż ty, drogi przyjacielu. — Potem sięgał dłonią do kieszeni po szylinga, jak gdyby mógł w ten sposób pomóc człowiekowi z czwórką dzieci i chorą żoną oraz długą chłodną zimą w perspektywie.

Sądziłam, że obróciłam się przeciwko nim. Ale to była tylko część prawdy. Musiałam przecież myśleć o innych rzeczach, o rozpaczliwej walce, by ustanowić dziedzicami Richarda i Julię. Tak niewiele miałam czasu, aby wykorzystać fortunę Johna pod jego nieobecność. Zwlekałam z przyłączeniem wspólnych gruntów aż do wiosny, tak więc wieśniacy mieli opał na zimę, darmowe drewno i torf. Na razie nie kazałam postawić płotów, które odcięłyby ścieżki do wsi, która uważała wspólne grunty za tereny do swojej dyspozycji.

Przez całą zimę płoty stały na tyłach stajni. Odkładałam moment ich ustawienia.

— Naprawdę powinniśmy się uporać z przyłączeniem wspólnych gruntów — mawiał Harry, pochylając się nad mapą. — Spłata pożyczki od pana Llewellyna kosztuje nas niemało. Na wiosnę posiejemy pszenicę, czeka nas więc wiele pracy z przygotowaniem ziemi.

— Wiem — podniosłam wzrok znad listów zalegających moje biurko. — Mam to na uwadze, Harry. Mam gotowe płoty i powiedziałam majstrowi, że potrzebujemy co najmniej dwudziestu ludzi do pracy. Chcę jednak poczekać do roztopów. Ludzie przyzwyczaili się brać drewno za darmo i polować tam na króliki. Możemy mieć kłopoty, kiedy pojawi się ogrodzenie. Łatwiej wszystko pójdzie, kiedy zrobi się cieplej.

— Dobrze, Beatrice — zgodził się. — Ty wiesz najlepiej, kiedy co robić. Doprawdy ludzie powinni mimo wszystko zrozumieć, że już za długo żyją wedle starych zwyczajów. Nie znam innej posiadłości w całym hrabstwie, gdzie tak długo utrzymywano by tradycyjne metody gospodarowania. Darmowy opał, zastawianie siodła, darmowe pastwisko, pokłóse. Przez tyle lat pozwalaliśmy, żeby nas rabowano, Beatrice. Powinni być nam wdzięczni.

— To dziwne, ale nie są — stwierdziłam cierpko.

I naprawdę nie byli. Trwała zima, lecz ja nie słyszałam więcej próśb od kobiet ze wsi. Gdy mknęłam truchtem bryczką przez wieś, nie witały mnie uśmiechy ani ukłony. Nikt nie zachowywał się niegrzecznie, takiego zuchwalca wyrzuciłabym natychmiast z mojej ziemi. Ale już mnie nie kochano. I brakowało mi tego. Owszem, mężczyźni zdejmowali czapki, kłaniali się, a kobiety dygały, lecz nie wołano już „dzień dobry”, nie podnoszono dzieci na rękach, aby obejrzały piękną panienkę Beatrice i jej wspaniałego konia. Taka zapłata.

Oczywiście Harry'ego także przestano lubić. Prości ludzie są jednak zmienni. To mnie obwiniano w większym stopniu niż jego. Wieśniacy wiedzieli, że Harry był postrzelony na punkcie innowacji rolniczych, lecz we mnie widzieli obronę przed jego zapędami. Teraz zaś ja goniłam za zyskiem i na mnie spoczywała cała wina. Winiono mnie nawet za to, że mam zły wpływ na Harry'ego. Krótką mieli pamięć ludzie w Acre. Przecież nie ponosiłam odpowiedzialności za wszystkie nedorzeczne pomysły gospodarskie Harry'ego.

Pogoda dostroiła się do nastroju ogólnego przygnębienia. Burze śnieżne, mroźne mgły, porywiste wiatry i deszcze towarzyszyły okresowi kocenia się owiec. Tego roku straciliśmy więcej jagniąt niż przez kilka ostatnich sezonów. Po części z powodu pogody, a po części dlatego, że nikt nie chciał zostawać po godzinach, aby doglądać zwierząt, dostając w nagrodę jedynie mój uśmiech czy poklepanie po ramieniu. Dopóki pilnowałam, pracowali dobrze; sprawdzali, czy pępowina została odgryziona i czy jagnię nie zostało odrzucone przez matkę. Kiedy jednak nie nadzorowałam robotników, czym prędzej biegli do Acre, nie dbając o owce i swoje zajęcia.

Zapowiadał się zatem mniejszy dochód z owiec, niż przewidywałam. A strata spodziewanych pieniędzy kazała mi jeszcze mocniej trwać przy swych zamiarach bez względu na to, czy się do mnie uśmiechano czy nie.

Musieliśmy trzymać więcej sztuk inwentarza w zabudowaniach, nie starczało więc siana i zimowej paszy. Mając do wyboru wybicie stada albo dokupienie paszy, postanowiłam kupić karmę. Ceny jednak były niebotyczne, a nie miałam gwarancji, że odzyskam pieniądze. Moglibyśmy mówić o szczęściu, gdyby udało się zachować stan inwentarza z tego roku.

Każde zimne mroczne popołudnie spędzałam za biurkiem. Kiedy o zmierzchu Stride wnosił świece, głowa mi pękała. Wyglądało na to, że nie osiągamy wystarczających dochodów. Pożyczka od pana Llewellyna okazała się trudniejsza do spłacenia, niż sądziłam. Nasze wydatki przewyższały dochody. Przy takim oprocentowaniu nie mogłam sobie pozwolić na zakup wysokiej jakości ziarna siewnego. Musiałam pożyczyć pieniądze na ten cel.

Ukryłam twarz w dłoniach i poczułam prawdziwy strach. Nie strach przed skokiem przez wysoką przeszkodę, przed polowaniem czy znajomy strach przed brutalnymi mężczyznami. To był strach czysto zawodowy, handlowy. Czarne cyfry na białym papierze były nieubłagane. Nawet świadomość, że pod biurkiem spoczywa ciężka kasetka z pieniędzmi, nie pocieszała mnie. Zawierała dużo pieniędzy, lecz ja potrzebowałam więcej. Wideacre potrzebowała więcej. Bałam się sprytnych ludzi z Londynu. Bałam się znów zaciągnąć długi. Lecz musiałam tak postąpić.

Chroniłam Harry'ego przed kłopotami związanymi z naszymi interesami. Nie chciałam go przerażać. A byłam zbyt dumna, by przyznać się do własnego strachu. Harry nie mógł jednakże uniknąć nienawiści wieśniaków, narastającej w ciągu całej mroźnej zimy.

Z nas trojga tylko Celia nie straciła szacunku mieszkańców Acre. Rozumieli na swój dziwny sposób, że nie należy jej winić za puste miski, nędzną strawę. Głupcy, wydawali się nie dostrzegać eleganckich wełnianych płaszczy i modnych czepków. Widzieli tylko jej bladą zaniepokojoną twarz skrytą pod jedwabną falbanką, widzieli, że zawsze jest skora do otwarcia pugilaresu, aby wesprzeć rodzinę w ciężkim położeniu lub kupić dziecku kołderkę na zimne noce. Kiedy w styczniu chwyciły ostrzejsze mrozy i ziemia zamarzła na kamień, Celia codziennie wysyłała swój powóz z garncem parującego gulaszu gotowanego w dworskiej kuchni dla tych rodzin wiejskich, które przez cały tydzień nie miały mięsa w ustach. Zauważyłam z kwaśną miną, że Celię za to błogosławiono.

Zaczynała poznawać Acre, moją wioskę i mieszkańców, moich ludzi. Zaczynała nawiązywać przyjaźnie i jak dobra pani poznawać problemy poddanych. Kto z kim się żeni. Kto pije. Kto bije swoje dzieci. Która z kobiet jest w ciąży. I pierwsza dowiedziała się o śmierci dziecka Daisy Sower.

— Beatrice, musimy coś zrobić — oznajmiła, wkraczając bez pukania do mego biura.

Weszła do domu prosto ze stajni drzwiami w zachodnim skrzydle, w ubraniu podróżnym, z derką na ramionach, a podchodząc do kominka, strzepywała czarne skórzane rękawiczki. Zauważyłam, nagle zaszokowana, jak zmieniła się od śmierci mamy. Szybszy krok, dźwięczniejszy głos, zdecydowanie w gestach. Stała plecami do ognia, grzejąc się przy moim kominku i przygotowując do wygłoszenia wykładu na temat moich ludzi.

— Co mamy zrobić? — spytałam ostro.

— Coś w sprawie trudnych warunków życia w Acre — zaczęła żarliwie. — Tak dalej być nie może, Beatrice. Jest wiele rodzin w potrzebie. Umarło maleńkie dziecko Daisy Sower i jestem pewna, że stało się tak

dlatego, iż Daisy nie miała dość pokarmu. Mieli w domu tak mało jedzenia, że z pewnością karmiła przede wszystkim męża i starsze dzieci, a o sobie zapominała. Niemowlę chudło coraz bardziej, aż zmarło, Beatrice. Straszliwa strata. Takie śliczne dziecko! — głos Celii przeszedł w szloch. Odwróciła się do kominka i potarła oczy dłońmi.

— Czy naprawdę nie moglibyśmy zatrudnić więcej ludzi? — spytała. — A może chociaż dać wsi trochę ziarna? Wideacre jest bogata, dlaczego więc w Acre ma być taka bieda?

— Może przedstawić ci parę liczb? — zaproponowałam twardo. — Wideacre wydaje ci się bogata, bo dotychczas siedziałaś w czterech ścianach i nie zajmowałaś się finansami. Prowadzenie gospodarstwa należy po części do twoich obowiązków, Celio. Wiesz, że nigdy nie miałam uwag do wydatków kuchni.

Kiwnęła głową. Lekkie zagniewanie z mojej strony wyprowadziło ją z równowagi. Zbyt dobrze pamiętała budzącego grozę lorda Haveringa, kiedy pijany wrzeszczał na nią. Bała się podniesionego głosu czy nawet ostrego tonu. A ja tak właśnie się odezwałam.

— Bardzo dobrze, że okazujesz wsi królewskie miłosierdzie, że posyłasz zupę i koce, lecz musimy spłacać pożyczki hipoteczne i długi. Nie żyjemy w rajskim ogrodzie. W tym roku straciliśmy parę tuzinów jagniąt, a kocenie się też idzie nie najlepiej. Jeśli wiosna będzie mokra, będą problemy ze zbożem. Nie można mnie prosić o wspieranie wioski. Naszej posiadłości nie stać na to. Podpisałam kontrakt z majstrem parafialnym i to on zatrudnia dla nas robotników. I tak w większości pochodzą oni z Acre, pracują więc na miejscu, lecz za rozsądne wynagrodzenie.

Celia skinęła głową.

— Mówią, że płace w parafii nie wystarczają na utrzymanie rodziny — odezwała się cicho.

— Może i tak — przerwałam jej niecierpliwie. — To nie moja wina, że kobiety nie mogą nastarczyć. Ja nie namawiam do rozrzutności. A płace ustala sędzia pokoju albo przełożeni kościoła. Ja nie jestem w stanie płacić więcej i postąpiłabym niedorzecznie podnosząc płace.

Celia wyglądała na zmieszaną. Myślała jednak wciąż o dziecku Daisy Sower. Bezpłodna Celia...

— Ale to biedne dziecko... — powiedziała.

— Ile dzieci ma Daisy Sower? — przerwałam szorstko. — Pięcioro? Sześcioro? Więc nic dziwnego, że nie może nastarczyć. Powinna przestać rodzić dzieci, a wtedy przekona się, że doskonale sobie da radę. Oddajesz im wszystkim niedźwiedzią przysługę, zachęcając do trwania przy starych zwyczajach, Celio!

Celia zapłonila się, potem zbladła, przestraszona tonem mego głosu.

— Przykro mi, że ci przeszkodziłam — odezwała się, usiłując zachować resztki godności i zbierając się do wyjścia.

Zatrzymałam ją przy drzwiach.

— Celio! — zawołałam życzliwie. Natychmiast odwróciła się, a ja uśmiechnęłam się do niej. — To ja powinnam cię przeprosić — stwierdziłam łagodnie. — Jestem dla ciebie niedobrą siostrą. Błagam cię o wybaczenie.

Powoli odeszła od drzwi z wyrazem nieufności na twarzy.

— Nie, nie musisz tego mówić. Wiem, ile masz zmartwień. Owce, krowy i oczywiście troska o Johna. Przepraszam, że cię dodatkowo kłopotczę.



— Ach, nic takiego! — oświadczyłam, wyciągając do niej rękę. — Po prostu martwię się o sprawy finansowe i stałam się przez to taka wybuchowa.

Wiedza Celi o pieniądzach ograniczała się do sum rzędu jednego funta, bo tyle zwykle miała w pugilaresie, kiwnęła jednak głową, jak gdyby świetnie mnie rozumiała.

— O tak — zgodziła się żarliwie. — I tak się niepokoisz o Johna. Czy w tym miesiącu dostałaś wiadomość od doktora Rose'a?

— Tak — starałam się nadać głosowi smutne brzmienie.

— Pisze, że John daleki jest jeszcze od wyleczenia, lecz dzielnie walczy z nałogiem.

— I ani słowa od Johna osobiście? — badała Celia.

— Ani słowa — odrzekłam i zdobyłam się na uśmiech.

— Piszę i piszę do niego, lecz doktor Rose stwierdził, że John nie jest jeszcze gotowy do odpowiedzi na żaden list. A zatem przestałam się już denerwować brakiem wiadomości od samego Johna.

— Czy wybierasz się w odwiedziny, Beatrice? — spytała Celia. — Wkrótce drogi staną się przejezdne i mogłabyś zobaczyć na miejscu, jak się rzeczy mają.

Potrząsnęłam ze smutkiem głową i oparłam policzek na rękę.

— Nie — odparłam. — To by nie przyniosło niczego dobrego. Doktor Rose powiedział mi dość wyraźnie, że John nie jest jeszcze przygotowany na wizyty gości, zaś niespodziewane najście mogłoby spowodować pogorszenie jego stanu. Musimy uzbroić się w cierpliwość.

— O tak — potwierdziła Celia z zapalem. — Biedny John, biedna Beatrice. — Objęła mnie i uściśnęła. — Pójdę już, bo wiem, że jesteś zajęta — oznajmiła delikatnie. — Nie pracuj za dużo. Przerwij na chwilę i przebierz się do obiadu.

Kiwnęłam głową i odpowiedziałam jednym ze swoich odważnych uśmiechów. Celia wyszła. Poczekalam, aż zamkną się za nią drzwi, a kroki zastukają na korytarzu wiodącym do głównej części dworu. A potem otworzyłam sekretną szufladę i wyjęłam doniesienia doktora Rose'a oraz plik listów zaadresowanych do mego męża. Od Celi.

Doktor Rose sumiennie odsyłał każdy list bez otwierania, razem z comiesięcznymi raportami. A te stwierdzały jasno, że pacjent ma się lepiej. Rosło więc moje zaniepokojenie. Jeśli prawnicy się nie pospieszą, jeśli John będzie wracał do zdrowia, znajdzie się w Wideacre, zanim zdążą przekazać jego majątek kuzynowi w zamian za rezygnację z majoratu. Pierwszy raport doktora Rose'a brzmiał niewesoło. John odbył podróż w stanie zamroczenia narkotycznego, kiedy jednak po obudzeniu znalazł się w pokoju o zakratowanych oknach, wpadł w szal ze strachu. Przysięgał, że został zamknięty w więzieniu przez wiedźmę z Wideacre, która rzuciła urok na całą swoją rodzinę i będzie go więzić aż do śmierci.

Wszystko to brzmiało wystarczająco wariacko, aby trzymać go w zamknięciu z dala od Wideacre przez całe lata. Następne jednak doniesienia doktora Rose'a nasuwały wątpliwości. John czynił postępy. Miał pociąg do trunku, lecz przez większą część czasu zachowywał się normalnie, spokojnie. Zżywał kontrolowane dawki laudanum, lecz wyrzekł się alkoholu. W swoim ostatnim liście doktor Rose donosił: „Sądzę, że możemy zacząć żywić nadzieję”.

A ja zaczynałam się bać. Wiele działo się poza terenem Wideacre, gdzie moje słowo nie było już prawem. Nie miałam wpływu na te wydarzenia. Nie mogłam popędzić prawników w działaniu. Nie mogłam przyspieszyć negocjacji z kuzynem. Nie mogłam powstrzymać powrotu Johna do zdrowia. Mogłam jedynie pisać list za listem do prawników, czyniąc naciski, aby działali nieco szybciej. Doktora Rose'a zapewniałam zaś, że wolałabym raczej przez rok nie widzieć męża, niż zakłócić kurację przez przedwczesne zabranie go do domu. Miałam też przed sobą ciężkie zadanie zatrzymania ojca Johna w Edynburgu. Zaraz po ubezwłasnowolnieniu Johna napisałam do niego o chorobie syna z zapewnieniem, że John ma świetną opiekę. Odwołując się do autorytetu doktora Rose'a wyjaśniłam, że nikomu nie wolno odwiedzać Johna, kiedy jednak tylko nastąpi poprawa, przyrzekłam powiadomić starego pana MacAndrew, aby mógł się udać w odwiedziny do swego ukochanego mądrego syna. Starzec pogrążony w smutku i bólu nie pomyślał nawet, aby spytać, kto zarządza fortuną Johna, gdy ten przebywa w szpitalu obłąkanych. Ja zaś nie spieszyłam się z informacją. Gdyby pragnął odpowiedzi, oznajmiłabym, że Harry przejął kontrolę nad majątkiem Johna. Miałam cały czas nadzieję, że zanim John wyjdzie na wolność, gotowy przejąć pieczę nad swoimi pieniędzmi, całej fortuny już dawno nie będzie. Wydam ją na bękartą, który nosił nazwisko MacAndrew. Zapewnię mu tytuł dziedzica domu, którego John tak nienawidził.

Wszystkie sprawy znajdowały się w toku. Gdybyż tylko prawnicy się pospieszyli. Gdybyż mój kuzyn podpisał kontrakt, w którym zrzeka się praw do dziedziczenia. Ja mogłam tylko czekać. A Celia — pisać listy. W szufladzie miałam jedenaście listów. Johna nie było w domu od jedenastu tygodni. W każdy poniedziałek Celia zapisywała jedną stronę arkusza papieru, sądząc być może, że dłuższy list zdenerwowałby Johna. Nie miała również pewności, czy John wybaczył jej to, co sam nazwał zdradą.

Listy pełne czułości, miłości. Listy słodkie, niewinne. Listy siostry do brata. Każdy zaczynał się: „Mój najdroższy bracie”, kończył zaś: „Jesteś stale obecny w mych myślach w dzień i w modlitwach w nocy”. Podpisywała się: „Twoja kochająca siostra Celia”.

W listach pisała o dzieciach, o pogodzie i zawsze zapewniała, że ja czuję się dobrze. „Beatrice jest zdrowa i z każdym dniem piękniejsza” — napisała w jednym z listów. „Zapewne z radością przyjmiesz wiadomość, iż Beatrice ma się dobrze i jak zwykle jest przepiękna” — to w innym liście. „Beatrice czuje się dobrze, lecz wiem, że bardzo za tobą tęskni” — donosiła w następnym. Uśmiechnęłam się gorzko, czytając te słowa. Potem związałam mocno plik kopert i wetknęłam na dno sekretnej szuflady. Zamknęłam ją na klucz, a klucz schowałam za jedną z książek na półce. Poszłam się przebrać do obiadu; lekkim krokiem i z błyszczącym wzrokiem.

Powzięłam postanowienie, żeby nie przyłączać wspólnych gruntów, zanim się nie ociepli i przez dwa dni z rzędu nie utrzyma się pogodna bezchmurna aura. Dopiero wtedy niecierpliwość wzięła górę.

Powiedziałam majstrowi z parafii, że następnego dnia przyłączę dwieście akrów wspólnych gruntów i że potrzebuję rano dwudziestu ludzi do pracy. Podrapał się w głowę i spojrzał powątpiewająco. Był to prosty człowiek w brunatnym ubraniu roboczym i solidnych butach. Powodziło mu się widać lepiej niż innym, i to cudzym kosztem. Nazywał się John Brien. Poślubił jedną z dziewcząt Tyacke'ów i sprowadził się do wsi. Nie poczuwał się do zbytnej lojalności wobec wsi, a że pobierał nauki w szkole w Chichester, dostał zajęcie majstra parafialnego. Mógł sobie teraz gratulować, że jest najlepiej opłacanym i najbardziej zniechęconym

człowiekiem w Acre. Nie darzył mnie specjalnym sentymentem. Nie podobał mu się ton, jakim do niego przemawiałam. Stawiał się ponad resztę wsi, bo umiał pisać i czytać i wykonywał pracę, której większość wieśniaków by się wstydziła. W głębi serca zachowałam jeszcze tradycyjne przekonania i pogardałam ludźmi, których we wsi nie szanowano. Musiałam jednak z nim pracować. Tak więc ściągnęłam lejce Sorrela, zatrzymałam bryczkę i wyjaśniłam grzecznie, gdzie mają czekać na mnie robotnicy.

— To im się nie spodoba, pani MacAndrew — oświadczył z pogardą w głosie, przeznaczoną dla tych, co odmawiają pracy, proszeni przez dziedzica i majstra.

— Nie liczę na to, że im się będzie podobało — odparłam obojętnym głosem. — Liczę tylko na wykonanie pracy. Czy zbierzesz wystarczającą liczbę ludzi na jutro? Może powinniśmy poczekać parę dni?

— Mam ludzi. — Pokazał w stronę chałup o zamkniętych okiennicach, gdzie mężczyźni siedzieli beczynnie z głowami w dłoniach przy pustych stołach. — Wszyscy we wsi chcą pracy. Mogę wybierać i przebierać. Nie spodoba im się jednak praca przy grodzeniu wspólnych gruntów, przy odgradzaniu samych siebie. Możemy mieć kłopoty.

— To przecież moi ludzie — z lekceważeniem potraktowałam dobre rady bądź co bądź kogoś obcego. — Z każdym kłopotem dam sobie radę. Zbierz ludzi. Nie musisz im mówić, co będą robić. A ja przyjdę do was i zaradzę wszelkim kłopotom.

Skinął głową, a ja przytrzymałam Sorrela, patrząc na niego wymownie, aż to skinięcie zamieniło się w ukłon; tego oczekiwałam od mieszkańców mojej wsi. Uśmiechnęłam się zdawkowo i pożegnałam go szybko.

— Do widzenia, Brien. Spotkamy się jutro przy bukowym zagajniku. Dwudziestka ludzi.

Kiedy następnego dnia przyjechałam bryczką gościńcem i zakręciłam przy wspólnych gruntach, spostrzegłam nie dwudziestu, lecz z górą stu ludzi. Były tam też ich żony, dzieci i starcy, zbyt niedołąźni, aby pracować. Znalazło się także paru uboższych dzierżawców i z tuzin chałupników. Cała biedota Wideacre wyległa mnie powitać. Zatrzymałam Sorrela i aby zyskać na czasie, długo przywiązywałam lejce do krzaka. Musiałam się zastanowić. Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewałam. Kiedy wreszcie uniosłam głowę, twarz miałam jasną i pogodną, a uśmiech uroczy niczym słoneczny poranek.

— Dzień dobry wszystkim — odezwałam się wesoło jak ruzdzik szczebiocący w gałęziach nad głową, wysławiający błękit nieba.

Starsi mężczyźni utworzyli rozdyktowaną gromadkę. Tręcili się teraz niczym chłopcy przyłapani na kradzieży w sadzie. Wreszcie wystąpił Gaffer Tyacke, najstarszy człowiek we wsi, trwający twardo w swojej chacie, pokręcony reumatyzmem i przygarbiony, z trzęsącymi się rękami.

— Dzień dobry, panienko Beatrice — zaczął grzecznie i cierpliwie, tak jak starzy ludzie, którzy całe życie spędzili na upraszaniu o coś, a mimo to nie stracili poczucia godności i opanowania. — Przyszliśmy tu dzisiaj wszyscy, aby porozmawiać z panienką o planach co do wspólnych gruntów. — Mówił z miękkim akcentem nizin hrabstwa Sussex. Urodził się i wychował tutaj i całe życie spędził wśród tych zielonych wzgórz. Jego rodzina żyła tu od wieków. Pewnie kości jego przodków leżały na Łące Normanów. Pewnie do Tyacke'ów należała ta ziemia, zanim moi przodkowie ją zagarnęli.

— Dzień dobry — odparłam cicho. Miałam postąpić bezwzględnie, brutalnie z biedotą, lecz słysząc przeciągły akcent moich stron, nie mogłam się nie uśmiechnąć. — Zawsze się cieszę widząc was wszystkich —

oznajmiłam uprzejmie. — Zdziwiona jestem jednak, widząc tylu ludzi z Acre i spoza wioski. — Spojrzałam na dzierżawców, moich dzierżawców, których los zależał od mojej dobrej woli. Czując mój badawczy wzrok, zaszurali nogami. — Dziwię się, że tak wielu z was ma coś do powiedzenia na temat tego, co zamierzam zrobić na swojej własnej ziemi.

Gaffer Tyacke kiwnął głową na tę reprimendę, a dzierżawcy spuścili wzrok. Wiedzieli, że dobrze zapamiętam sobie ich nazwiska. Obawiali się, że przyjdzie im za to zapłacić. Nie mylili się.

— Po prostu martwimy się, panienko Beatrice — wyjaśnił łagodnie Gaffer. — Nie chcieliśmy iść do dworu, a kiedy usłyszeliśmy o pani planach, nie chcieliśmy w ogóle w to uwierzyć. Czekaliśmy, aż nadarzy się sposobność pomówienia z panienką.

Opuściłam ręce i rozejrzałam się. Mój strój podróżny mienił się w zimowym słońcu. Spod zgrabnego czarnego kapelusza wystawały włosy o miedzianym odcieniu, takim jak liście buków jesienią. Zgromadzeni otoczyli mnie kołem. Stali równo, spokojnie, nie robiąc wrażenia zbuntowanego motłochu. Panowałam nad nimi i zdawali sobie z tego sprawę. Nawet stary, mądry i pełen godności Gaffer Tyacke nie zdołał wyrugować z głosu usłużnego tonu.

— Cóż — odezwałam się głośno, dźwięcznie, tak by każdy mnie słyszał. — Nie widzę dalibóg, dlaczego mielibyście się interesować tym, co robię, lecz skoro urządziliście sobie wolny dzień, aby tutaj przyjść, powiedzcie lepiej, o co wam chodzi.

Naraz pękła jak gdyby niewidzialna tama.

— Chodzi o króliki! Nie mogę kupować mięsa i jemy tylko mięso królików! — zawołała jedna z kobiet.

— Skąd mam wziąć drewno na rozpałkę, jeśli tu mi nie wolno przychodzić? — spytała inna.

— Mam krowę i dwie świny. Zawsze tutaj się pasły — powiedział jeden z wieśniaków.

— Postawiłem swoje ule na wspólnym gruncie, żeby otrzymywać miód wrzosowy — ubolewał któryś z dzierżawców.

— Ja stąd brałem torf do pieca!

— Ja tu zbierałam poszycie!

— Moje owce pasły się na wspólnym gruncie jesienią! Przez gwar przebił się drżący tenor Gaffera Tyacke'a.

— Proszę się obejrzeć, panienko Beatrice — poprosił. Posłuchałam go. Stałam naprzeciwko wielkiego dębu, jednego z najstarszych w tych lasach. Było tradycją wsi, że zakochani pieczętowali zaręczyny wyryciem swych imion na korze dębu. Cały pień od korzeni aż na wyciągnięcie ramienia pokryty był napisami i wizerunkami serc, często prześlicznymi inskrypcjami.

— Jest tu moje imię i imię mojej żony Lizzie — wyjaśnił Gaffer i wskazał napis tuż za moją głową. Przyjrzałam się uważnie pomarszczonej korze pokrytej mchem niczym stary nagrobek; dostrzegłam kontur w kształcie serca, a w nim: „Gaffer” i „Lizzie”.

— A wyżej są imiona mojego ojca i matki — dodał Gaffer. — A jeszcze wyżej imiona ich rodziców, i tak dokąd sięga nasza pamięć, aż do zatartych śladów na korze.

— Co z tego? — spytałam zimno.

— Gdzie wyryją swoje imiona moje wnuki, kiedy przyjdzie czas ich zaręczyn? — wyraził się prosto. — Jeśli zetnie panienka to drzewo, dzieciaki z Acre nie będą wiedziały, co to zaręczyny.

W tłumie dał się słyszeć pomruk poparcia. Zaczęli od żądania żywności i opału, lecz nawet biedota ma swoje sentymenty.

— Nie — stwierdziłam nieubłaganie. Już miałam na końcu języka zgodę na to, by zostawić drzewo i otoczyć je płotem, tak by zakochane pary z Acre mogły dalej spacerować letnią nocą do dębu i ryć na nim swe imiona, a w powrotnej drodze do domu kochać się gdzieś w ciemnych zaroślach. Uznałam to jednak za głupi sentymentalny pomysł. Nonsens: wykrzywiać wytyczoną prosto linię płotu po to tylko, żeby dzieciaki, może jeszcze nie narodzone, kiedyś przeżyły chwilę szczęścia.

— Nie — powtórzyłam. — Wiem, że przywykliście w Acre do wielu zwyczajów i że w przeszłości mieliście we mnie sprzymierzeńca pod tym względem. Ale Wideacre się zmienia i zmieniają się sposoby gospodarowania. Zostają jeszcze całe połacie wspólnych gruntów nie przeznaczone do przyłączenia w tym roku. Możecie dalej wypasać inwentarz, zastawiać sidła na króliki i zbierać opał. Na tym terenie jednak wysiejemy pszenicę.

— Zły to będzie dzień, kiedy wokół Acre na polach zaszumi pszenica, a wieśniakom zabraknie pieniędzy choćby na jeden bochenek — zawołał czyjś głos z tyłu tłumu i znów zawtórował mu pomruk poparcia.

— Znam cię, Mabel Henty — wezwałam po imieniu. — Jesteś mi winna dzierżawę za ostatnie trzy miesiące. Już ja cię skontroluję pod koniec kwartału. Lepiej nie podnoś na mnie głosu!

Niektórzy wieśniacy wybuchnęli śmiechem, a Mabel Henty oblała się rumieńcem i zamilkła. Nikt już nie krzychał. Powiodłam wzrokiem po kręgu twarzy, a wszyscy spuścili powieki. Patrzyli na własne buty. Tylko Gaffer dalej trzymał uniesioną głowę. Tylko Gaffer spojrzał mi prosto w oczy.

— Jestem starym człowiekiem, panienko Beatrice — odezwał się. — W swoim życiu widziałem wiele zmian. Byłem młodzieńcem, kiedy papa panienki był chłopczykiem. Widziałem jego ślub i pogrzeb. Widziałem ślub pani brata i stałem przy bramie kościoła, kiedy panienka szła do ślubu. Stałem z tyłu podczas pogrzebu matki panienki. Nikt tutaj nie widział tyle co ja. Nigdy jednak nie widziałem dziedzica Wideacre, który występowałby przeciwko wiosce Acre. Ani nie słyszałem o takim dziedzicu. Jeśli dalej będzie pani tak postępować pomimo naszych próśb i błagań, znaczy to, że nie jest pani takim gospodarzem majątku jak ojciec i dziadek panienki. Setki lat w Wideacre rządzą Laceyowie, lecz nigdy nie dawali biedocie powodu do narzekań. Jeśli nie zaprzestanie pani tego planu, złamię pani serce Wideacre.

Potrząsnęłam głową, chcąc się pozbyć czarnych plam latających mi przed oczami. W uszach huczały pomruki tłumu popierającego Gaffera. Zdradzić ziemię, zdradzić moich ludzi — to więcej niż mogłam znieść. Czułam się jak zmęczony jeleni otoczony przez psy gończe. Bałam się. Bałam się, że zablądziłam, że straciłam z oczu cel swego życia. Że nie usłyszę już bicia serca Wideacre. Przyłożyłam dłoń do głowy. Krąg twarzy wokół mnie zlał się w smugę. Twarz Johna Briena odcinała się od pozostałych. Jasna, zaciekawiona, niewzruszona.

— Otrzymałeś polecenia, Brien — stwierdziłam jakimś obcym dla mnie samej, wysokim głosem. — Stawiajcie płoty.



Przeszłam parę niepewnych kroków do bryczki i wsiadłam z trudem. Niewiele widziałam; oczy miałam pełne gorących łez, a ręce mi drżały. Ktoś, Brien oczywiście, odwiązał lejce i podał mi. Zręcznym machinalnym gestem zawróciłam powóz.

— Nie pozwólcie mu tego zrobić! — krzyknął z tłumu czyjś dramatyczny głos. — Panienko Beatrice, proszę nam tego nie robić!

— Och, idźcie do swojej pracy! — nakazałam z rozpaczliwą niecierpliwością. — W całym hrabstwie przyłącza się wspólne grunty. Dlaczegoż w Wideacre ma być inaczej? Zabierajcie się do pracy! — Zirytowana musnęłam grzbiet Sorrela lejcami, aż gwałtownie wyrwał do przodu. Pomknęliśmy gościńcem, uciekając od kręgu zaszokowanych twarzy i od starego pięknego lasu przeznaczonego do wycięcia, od słodkich miękkich wrzosów i paproci, od wspólnych gruntów przeznaczonych do wypalenia, wyrównania i osuszenia.

Przez całą drogę do domu łzy płynęły mi po policzkach i co je wytarłam wierzchem rękawiczki, znów się pojawiały. Przecież nic właściwie się nie stało. Zgodnie z moim poleceniem teren zostanie przyłączony, a nieśmiały protest wieśniaków będzie tematem rozmów przy piwie w karczmie przez pół roku, a potem wszyscy zapomną. Nowe ogrodzenie wtopi się w krajobraz, porośnie mchem i pokryje się szarawym porostem. Zakochane pary z Acre znajdą sobie inne drzewo do wycinania napisów i serduszek. A ich dzieci nigdy nawet się nie dowiedzą, że kiedyś za lasem na setkach akrów wspólnych gruntów dzieci bawiły się w chowanego i w wojnę, że urządzały tu sobie majówki i przechadzki. Następne pokolenie będzie знаło tylko ciąg płaskich pól żółtej pszenicy, gdzie nie wolno się bawić. Nie wiedząc, że kiedyś było inaczej, nie będą tęsknić.

Ci, którzy znali te tereny, żalowali. Nazajutrz rano, kiedy ubierałam się w czarną jedwabną suknię, czułam się tak, jak gdybym nosiła nową żałobę. Płoty już pewnie stały, a dzisiaj ludzie zaczną wycinać wielkie wspaniałe drzewa i karczować korzenie. Nie chciałam patrzeć na ich pracę, dopóki nie posuną się tak daleko, że żaden żal, żaden smutek nie powstrzyma mnie przed pociągnięciem całej sprawy naprzód w imię Przyszłości, którą ja nazywałam bezwzględna bestią, a Harry — radosnym rajem. Nie chciałam też przejeżdżać przez wioskę Acre. Co prawda w tłumie nie panował nastrój gniewu, raczej żalu. Tłum prowadzony przez Gaffera Tyacke'a nie mógł być niegrzeczny. Kiedy jednak zobaczą płoty odcinające dawne ścieżki, wpadną we wściekłość. A po cóż ja mam patrzeć na ich wściekłość? Nie chciałam.

Po trwającym długo śniadaniu, kiedy planowałam, co mam robić w ciągu całego dnia, skoro nie zamierzam nigdzie pojechać, poszłam do gabinetu i zastałam w poczekalni przy drzwiach stajni Johna Briena.

— Czemu nie jesteś teraz na wspólnych gruntach? Czy coś się stało? — spytałam ostro, otwierając drzwi i ruchem ręki zapraszając go do środka.

— Nic się nie stało — odparł ironicznie.

Usiadłam za biurkiem. Jemu nie zaproponowałam, by usiadł.

— Co masz na myśli? — w moim głosie zabrzmiała nuta ostrzeżenia.

— Nic się nie stało, ponieważ ludzie nie pracują — wyjaśnił. — Kiedy pani wczoraj rano odjechała, poszli gromadą za starym Tyackiem...

— Za Gafferem Tyackiem — poprawiłam.

— Tak, za Gafferem Tyackiem — powtórzył. — A potem stwierdzili, że chcą wcześniejszej przerwy na obiad. Tak więc wszyscy rozeszli się do domów i po godzinie, kiedy na nich czekałem, nikt się nie pojawił.

— A potem? — dopytywałam się ostro.

— Potem poszedłem ich szukać — ciągnął rozdrażniony. — W żadnej z chat nie umieli mi nic powiedzieć. Chyba wszyscy opuścili wieś na cały dzień albo pozamykali się i siedzieli cicho. Acre wyglądała jak wymarła wioska.

Kiwnęłam głową. Śmieszny bunt nie mógł trwać długo. Ludzie z Acre rozpaczliwie poszukiwali pracy; gdzie mogli ją znaleźć poza Wideacre? Chcieli dostępu do ziemi, a tylko my posiadaliśmy ziemię. Chcieli dachu nad głową, a byli naszymi dzierżawcami. W tych warunkach wygaśnie każdy bunt. Byliśmy dobrymi, wręcz hojnymi panami i ludzie zapomnieli już, jakie prawa ma dziedzic Wideacre. Nie chciałam użyć tej władzy. Z pewnością jednak uczynię wszystko, aby postawić ogrodzenie i obsiać wspólne grunty pszenicą.

— A dzisiaj? — badałam sytuację.

— Dzisiaj to samo — odrzekł John Brien. — Nikt nie zgłosił się do pracy i nikt nie odpowiada w chatach. Oni po prostu nie chcą tego robić, pani MacAndrew.

Zmierzyłam go surowym spojrzeniem.

— Poproś, aby przygotowali moją bryczkę i zaprzęgli Sorrela — powiedziałam lodowato uprzejmym tonem. — Widzę, że znów muszę się zjawić na miejscu i przywołać ich do porządku.

Przebrałam się szybko w suknię podróżną. John Brien czekał na dziedzińcu przy bryczce na własnej klaczy, zbyt wyśmienitym koniu jak na człowieka z jego sfery.

— Jedź za mną — rzuciłam tonem używanym wobec bezczelnych służących. Wyjechałam z dziedzińca.

Podążyłam gościńcem do Acre. Gadka o milczących chatach — to dobre dla Johna Briena, ja zaś wiedziałam, że z każdego okna obserwuje mnie para czujnych oczu. Podjechałam do kasztana pośrodku łąki. Był to sygnał równie zrozumiały jak zatknięcie kija z przywiązaną chusteczką. Przywiązałam Sorrela do jednego z niższych konarów, wróciłam do bryczki i czekałam. Czekałam. Czekałam. Powoli jedno po drugim otwierały się drzwi chat i wychodzili mężczyźni, nieśmiało, zakładając czapki i serdaki z baranic, żegnani przez żony i dzieci. Czekałam, aż wokół bryczki zgromadził się spory tłum. Przemówiłam dźwięcznym zimnym głosem.

— Wczoraj trochę sobie porozmawialiśmy. Wyjaśniliście mi, że chcecie, aby wszystko w Wideacre pozostało po staremu. A ja powiedziałam wam, że to niemożliwe — przerwałam i czekałam na komentarze. Nikt się do nich nie kwapił. — John Brien mówi mi teraz oto, że żaden z was nie przystąpił wczoraj do pracy.

— Powoli powędrowałam wzrokiem po otaczających mnie twarzach. Wszyscy spuszczaali oczy. — Dziś także nie.

Dałam znak Johnowi Brienowi, aby odwiązał konia i podał mi lejce.

— Wybór należy do was — stwierdziłam beznamiętnie. — Skoro odmawiacie pracy, poślę do Chichester po robotników z tamtejszego przytułku. I oni zarobią to, co wy mieliście zarobić. Wy zaś siedzcie w domu i głodujcie. Równie dobrze mogę sprowadzić robotników z Irlandii, a z wami rozwiązać umowy o dzierżawę i przekazać wasze domy Irlandczykom.

Na tę wzmiankę w tłumie dał się słyszeć szmer przerażenia. Poczekałam, aż ucichną te mimowolne jęki, i znów rozejrzałam się po kręgu twarzy. Tak dobrze znałam tych ludzi. Pracowałam z nimi ramię w ramię od zawsze. A teraz górowałam nad nimi z siedzenia bryczki i przemawiałam jak do pyłu na drodze.

— Wybór należy do was — powtórzyłam. — Możecie przyjąć pracę, którą dają wam właśnie zachodzące zmiany. Możecie przyjąć zarobki ustalane uczciwie przez parafię. Albo możecie przymierać głodem. Cokolwiek zrobicie, płoty i tak tu staną. Wspólne grunty zostaną przyłączone do ziemi dworskiej.

Skinęłam na Briena, aby trzymał się z dala od konia. Poluzowałam lejce, chcąc ruszyć. Nikt nie wyrzekł ani słowa. Czułam, że milczeli, nawet kiedy byłam już bardzo daleko. Tłum stał osłupiały bezwzględnością kobiety, którą kochał od czasów, gdy jako mała dziewczynka jeździła na pulchnym koniku. Wieśniacy sądzili, że śliczna panienka Beatrice nigdy ich nie zawiedzie. Teraz patrzyłam na nich odpychającym wzrokiem, dając do wyboru: dumną śmierć z głodu albo głodowe zarobki.

Wrócili do pracy. To oczywiste. Nie byli aż takimi głupcami, aby występować przeciwko właścicielowi, pracodawcy i panu w jednej osobie. W czasie przerwy obiadowej Brien przyjechał do dworu i oznajmił, że praca ruszyła, a płoty są stawiane szybko.

— Ale im pani powiedziała! — stwierdził z uwielbieniem. — Powinna pani widzieć ich twarze. To ich zламаło. A co dopiero, gdybyśmy sprowadzili Irlandczyków! Wieś z miejsca zerwałaby się na nogi! Ale kiedy pani odjechała, wyglądali na załamanych. Dała im pani cięgi!

Spojrzałam nań zimno. To opluwanie moich ludzi uświadomiło mi, jaką rolę sama w tym wszystkim odgrywałam. Metody, do których musiałam się uciec, napawały mnie odrazą. Skinęłam głową.

— No, wracaj do pracy — poleciłam szorstko. — Chcę mieć te grunty gotowe pod wiosenne zasiewy.

Tym razem nie oszczędziłam sobie widoku przyłączanych terenów. Pojechałam o zmierzchu, który wczesną wiosną zaczynał się około czwartej. Niewiele było widać, lecz zapach ziemi, zamarłe paprocie i oszronione igły sosen poruszyły czułą strunę w moim sercu. Siedziałam w bryczce u wylotu gościńca, a Sorrel denerwował się. Przed nami ciemniały zarysy nowych pól, wyznaczające granice, dokąd sięgną w tym roku łany pszenicy. W następnym roku przyłączymy i osuszymy jeszcze więcej ziemi, aż pozostaną tylko łąki dające siano i polne kwiaty, łąki położone zbyt wysoko lub zbyt spadziste, by je zorać. Na reszcie pól zasiejemy pszenicę. Wszystkie wspólne grunty, tak malowniczo ukształtowane, z płytkimi dolinkami, znikną w ciągu kilku lat. Ten płot wywołujący w Acre tyle gniewu i żalu to zaledwie pierwsza lekcja mająca nauczyć ludzi, że ziemia należy wyłącznie do nas i że nie będzie im wolno postawić na niej nawet stopy bez naszego pozwolenia. Za ciemnym zarysem nowego ogrodzenia dostrzegłam zaokrąglone łagodnie profile pagórków i kotlinek ciągnących się w dół aż do lasów. Zabolało mnie serce.

Pospiesznie wróciłam do domu. Chciałam zdążyć na kąpiel Richarda i przebrać go w śliczną puszystą koszulkę nocną. Chciałam połaskotać pachnące, ciepłe bosc paluszki, połaskotać mięciutkie dołki pod paszkami, zmierzwić ciemne loczki, przytulić twarz do ciepłej szyjki i wdychać słodki czysty zapach dziecka. A przede wszystkim chciałam jeszcze raz upewnić się, że mam syna, przyszłego dziedzica, i że nie wolno mi zbaczać z obranego kursu nawet za cenę wydarcia serca z ziemi, którą kocham.

Nazajutrz rano John Brien przyszedł już przed śniadaniem do poczekalni koło mego gabinetu. Pokojówka Lucy obwieściła mi jego przybycie, kiedy się ubierałam. Uniosłam brwi, napotkawszy jej wzrok w lustrze.

— Nie lubisz Johna Briena, Lucy? — spytałam żartobliwie.

— A co tu do lubienia — zachnęła się. — Ledwie go znam. Wiem tylko, jaką ma pracę i że zarabia dwa razy tyle co inni w Acre, a nigdy nie pożyczy nawet pensa krewnym własnej żony.

Wiem, że wybiera sobie ludzi do pracy, a młodego Harry'ego Jamesona nie brał do swojej brygady przez całą zimę, chociaż chłopak był w rozpaczliwej sytuacji. Bardzo go nie lubię, ale większość po prostu go nienawidzi jak trucizny.

Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu. Lucy nie należała już do wsi. Związała swoje życie z moim tu we dworze i tu miała zawsze pełną miskę w kuchni. W Acre jednak pozostali jej krewni, więc orientowała się świetnie w najnowszych wydarzeniach.

— Ja też jakoś nie mam do niego serca — stwierdziłam, kiedy upinała mi włosy na czubku głowy, pozostawiając parę pukli wokół twarzy. — Powinien teraz pracować. No, zrobione, Lucy. Czekają mnie inne kłopoty.

Zrobiła jeszcze dwa zręczne gesty i posłusznie się cofnęła.

— Mogą być kłopoty, jeśli odgrodzi pani ziemię, która zawsze należała do wsi — odezwała się.

Spojrzałam surowo na jej odbicie w lustrze, aż spuściła wzrok.

— Ta ziemia należy do Wideacre — stwierdziłam stanowczo.

Posłałam jej jeszcze jedno spojrzenie i pomyślałam, że rozmawiam oto z całkiem inną osobą niż dawna moja Lucy. Wideacre będzie kiedyś bogatsza, mój syn zostanie dziedzicem, ja zaś jednak z pewnością stracę całe morze miłości, jakie mnie niegdyś otaczało.

Otrząsnęłam się z tej myśli i zeszłam do Johna Briena.

— Tak? — zagadnęłam chłodno.

Obracał czapkę w rękach, a oczy aż wytrzeszczył ze zdenerwowania z powodu tego, co mi miał powiedzieć.

— Pani MacAndrew, idzie o pani płoty — wysapał, zapominając z pośpiechu o swoim miejskim akcencie. — Obalili płoty, a niektórzy porąbali. Zepsuli prawie wszystko, co wczoraj zrobiliśmy. Płoty obalone, a droga otwarta.

Podniosłam gwałtownie głowę i spojrzałam na niego jak na anioła zagłady.

— Czy to robota Mściciela? — spytałam ostro.

Słyszając przerażenie w moim głosie, zawahał się i popatrzył z niedowierzaniem.

— Jaki Mściciel?

— Ten banita, łajdak — jękałam się z pośpiechu. — Spalił plantację pana Briggsa zeszłej jesieni. Może to jego sprawa? A może to robota wioski?

— Wioski — potwierdził. — Nikt inny jeszcze nie wie o naszych kłopotach. Przysięgam jednak, że wiem, kto to zrobił!

— Kto? — Moja pobladła, pokryta zimnym potem twarz odzyskiwała rumieńce, a oddech wracał do normy. Skoro to nie Mściciel, dam sobie radę z każdym innym zagrożeniem. Przez chwilę wydawało mi się, że ziemia rozstępuje mi się pod stopami, a z piekielnych czeluści wyłania się Mściciel obrzydliwie dosiadający czarnego konia, w towarzystwie dwóch psów. Zrozumiałam jednak sens słów Briena. Nie było czasu, aby ktokolwiek spoza wsi mógł wykorzystać sytuację. Jeśli Mściciel nadciągał, jeśli przychodził po mnie i dlatego

czułam strach, powinnam była się modlić, aby strach nie sparaliżował mego umysłu. Tyle przecież miałam do zrobienia w tak szaleńczym tempie!

— A więc to sprawka wioski? — spytałam już spokojnym głosem.

— To najmłodszy syn Gaffera Tyacke'a, John, Sam Frosterly i Ned Hunter — oznajmił z przekonaniem. — Pracowali powoli i gderali cały dzień. To znane mąciwody. Ociągali się z powrotem do wsi i trzymali się razem. A dziś rano zjawili się pierwsi, aby zobaczyć, co zrobię na widok szkód. Uśmiechali się do siebie. Założę się o tygodniówkę, że to oni.

— To poważne oskarżenie. Kwalifikuje ich na szubienicę. Masz dowody?

— Nie — odparł. — Wie pani, że to najzadziorniejsze chłopaki we wsi. Oczywiście, że maczali w tym palce.

— Tak — zamyśliłam się.

Wyjrzałam przez okno na ogród, wybieg, wzgórze i niziny. Brien odkaszlnął i niecierpliwie zaszurał. Kazałam mu jednak czekać.

— Nic na razie nie zrobimy — oświadczyłam wreszcie po przemyśleniu sprawy. — Nic nie zrobimy i ty też nic nie powiesz. Nie zamierzam przyjeżdżać do Acre za każdym razem, kiedy coś się dzieje. Ustawcie płoty tam, gdzie były, i naprawcie w miarę możliwości szkody. A tym trzem, młodemu Tyacke'owi, Samowi Frosterly'emu i Nedowi Hunterowi nic nie mów. Zostaw ich w spokoju. Może po prostu wpadli w gniew, lecz wkrótce przestaną się buntować. Jestem gotowa spojrzeć na ich czyn przez palce.

Wiedziałam, że jeśli Brien nie ma dowodów, nie możemy nic zrobić tej trójce. Wieś zamknęła przede mną domy i serca. Gdybym aresztowała trzech z najweselszych, najniesforniejszych, najprzystojniejszych chłopców w Acre, spotkałabym się nie z niechęcią, lecz z nienawiścią.

Nie było mocnych na tę trójkę, od kiedy ku ich uciesze wydalono ich z wiejskiej szkółki. Kradli jabłka z naszych sadów, uprawiali kłusownictwo na naszych terenach łowieckich, bezkarnie łowili łososie w rzece Fenny. I zawsze któryś z nich prosił mnie do tańca. Zarumieniony płaś posuwiście, podczas gdy dwaj pozostali gwizdali i chichotali. Wieś uważała, że to niedobre chłopaki, lecz tworzyli zgraną grupę przyjaciół. I każda dziewczyna we wsi dałaby wszystko, aby zostać narzeczoną któregoś z nich. A oni mieli zaledwie po dwadzieścia lat; wiek nieprzejdanego kawalerstwa, kiedy woli się męskie towarzystwo i kwartę piwa niż dziewczyny. Tak więc chociaż w zimie całowali się pewnie pod jemiolą, a latem wśród stogów siana, do zeniaczki im się nie spieszyło.

O ile ich znałam — a sądziłam, że tak — połamanie płotów miało być wyzwaniem. Jeśli nie będzie żadnej reakcji z mojej strony i ze strony Johna Briena, cały żart straci sens. Nie powtórzy się więcej, bo byłaby to wyjątkowa złośliwość. A ja przecież wierzyłam, że mnie kochają, że nie będą niszczyć moich płotów, skoro żart się nie udał.

— Daj spokój — powtórzyłam. — I nie dawaj im do zrozumienia, że ich podejrzewasz.

John Brien kiwnął głową, lecz wyraz jego oczu powiedział mi, że uważa moją pozycję za osłabioną. Nie dbałam o to. Jego zdanie się dla mnie nie liczyło. Potraktowanie postępuku trzech chłopaków jako błazenady wydawało mi się właściwsze niż angażowanie swojej dumy i autorytetu.

Jednak to on miał rację. A ja się myliłam.



Przestałam rozumieć, co się dzieje w wiosce Acre i na polach. Byłam pewna, że ten atak to tylko żart, że to tylko odpowiedź na hardość panienki Beatrice. Że jeśli nie zareaguję, lecz spokojnie będę przyłączać dalej wspólne grunty, obie strony zachowają twarz, a praca szybko posunie się naprzód.

Następnej nocy płoty znów zostały przewrócone. Trzeciej zaś nocy przewrócone i spalone.

To był dobrze zaplanowany pożar. Zadbano, by nie zapaliła się sucha hubka w lesie i zwisające konary. Płoty ułożono w stos, podpalamo i zanim ktoś zdążył dostrzec płomienie, sprawcy uciekli do wsi, do swoich domów.

— A potem mówili mi, że nic nie mogli zrobić! — skarżył się John Brien z irytacją. — Twierdzili, że zanim przynieśli wodę z rzeki, płoty spłonęły!

— Mogli przecież utworzyć łańcuch rąk i czerpać wodę ze strumyka — zaproponowałam. — To ledwie parę jardów dalej.

— Strumień płynie przez przyłączony teren — wyjaśnił Brien. — Oznajmili, że pani kazała im się trzymać z dala od tej ziemi.

Zdobyłam się na uśmiech.

— To ma sens — odparłam.

Jednak uśmiech zamarł mi na wargach.

— Nie pozwolę na to — postanowiłam chłodnym tonem. — Dałam im szansę, lecz skoro chcą mi grozić, wznecając pożar w moim lesie, będą musieli dostać nauczkę. Dowiedzą się, kto tu jest panem. Będę musiała jechać do Chichester po nowe płoty. Odwiedzę też koszary i ściagnę oddział żołnierzy do pilnowania ogrodzenia podczas prac nad przyłączeniem. Jeśli nawiną się im ci nicponie, dostaną cięgi. Żart uszedł im płazem, lecz teraz zabawa skończona, trzeba pracować.

Brien skinął głową. Oczy mu się zapaliły na dźwięk nieustępliwości w moim głosie.

— Jeśli zostaną przyłapani na gorącym uczynku, będzie pani mogła ich aresztować — odezwał się. — Mogą za to zawisnąć.

— Chłopcy z Wideacre? Nie — zgasiłam jego zapal. — Muszą się najeść strachu, lecz nic więcej. Natychmiast jadę do Chichester.

Poszłam do stajni polecić, by przygotowano powóz. Zajrzałam jeszcze przedtem do Harry'ego, który bawił się z Julią w pokoju dziecięcym.

— Wiesz, Beatrice, jest bardzo źle — ocenił Harry, towarzysząc mi w drodze na dziedziniec stajni.

— Zgadza się — odparłam, energicznie zakładając rękawiczki.

— To typowe dla biedoty — zdecydował Harry. — Nie rozumieją po prostu, że taka jest zwykła kolej rzeczy.

— Chcą nam chyba udowodnić, że wydarzenia wcale nie muszą się toczyć według tej zwykłej kolej rzeczy — podsumowałam ironicznie i wsiałam do powozu. — Jak na naturalny proces wszystko idzie dość opornie, nie uważasz?

— Kpisz, Beatrice — Harry zachował powagę. — Wszyscy wiedzą, że tak musi być. Paru szalonych wieśniaków nie powstrzyma postępu.

— Wiem. Zasięgnę porady prawnej u lorda de Courceya w mieście. Jeśli to się nie skończy, trzeba będzie ich złapać i postawić przed sądem.

— Z całą surowością — poparł mnie Harry, badając, czy ma wyczyszczone buty. — Dość pobłażania.

Kiwnęłam głową i pomachałam na pożegnanie. Ton Harry'ego wydał mi się napuszony i głupi, lecz z kimkolwiek rozmawiałam w Chichester, mówił podobnie. Lord de Courcey potraktował łamanie płotów i pożar jako zbrojne powstanie i natychmiast zabrał mnie do koszar. Oparłam się bez większego trudu pomysłowi, aby zakwaterować na naszej farmie szwadron konnicy, mający bronić dworu przed trzema chłopakami. Z zadowoleniem przyjął jednak propozycję pomocy w postaci pół tuzina żołnierzy z sierżantem.

Mogłam użyć naszych lokajów. Wiedziałam jednak dobrze, że w tak małej społeczności, przy całej sympatii służby dla dworu i dla mnie, nikt nie wystąpi przeciwko własnym kuzynom czy nawet braciom w walce o moje płoty.

Wróciłam do Wideacre triumfalnie, za mną ciągnął się ociężały cały wóz nowych płotów, a nieco dalej jechał sierżant na czele kawalerzystów. Mieli na razie kwaterować u Busha, niby jako partia rekrutów, lecz czekali tylko na moje słowo, aby zastawić pułapkę. Polecenie wydałam już następnej nocy. Przez cały dzień John Brien i szczerzący zęby w uśmiechu wieśniacy ustawiali nowe ogrodzenie, solidnie wkopując żerdzie w grunt. Gdy zapadła ciemność i ludzie poszli do domów, John Brien, Harry i ja spotkaliśmy się z kawalerzystami na drugim brzegu rzeki. Po cichu przeprowadziliśmy konie przez wodę. Żołnierze uwiązali wierzchowce i otoczyli polanę, zostawiając dojście od strony gościńca. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, tylko gwiazdy świeciły, zakrywane często przez chmury.

Zostałam na koniu. Spostrzegłam, że Tobermory strzyże niespokojnie uszami, niezadowolony z tego nocnego patrolu. Było zimno i wilgotno. Harry podskakiwał na siodle, aby się rozgrzać, i chuchał w dłonie.

— Jak długo będziemy tu czekać? — spytał.

Był podekscytowany jak chłopiec. Przypomniałam sobie z lękiem jego entuzjastyczny udział w bójkach szkolnych, którym przewodził ulubieniec Harry'ego, Staveley. Harry po prostu cieszył się z dobrej zabawy. John Brien, stojący koło mnie z drugiej strony, traktował całą sprawę bardzo poważnie. Chociaż miał żonę z Acre, nienawidził wsi i wywyższał się ponad to nowe otoczenie. Jak każdy głupiec z miasta uważał się za sprytniejszego od powolnych wieśniaków. I jak każdy człowiek pnący się po drabinie awansu społecznego nienawidził sfery, z której się wywodził.

— Damy im godzinę — powiedziałam cicho.

Byłam podniecona i napięta. Zastawiliśmy zasadzkę, lecz jakiś głos mówił mi: „Przecież to twoi ludzie, a ty chowasz się tu z żołnierzami i mężczyznami, którymi gardzisz, aby złapać ich w zasadzkę i skrzywdzić”.

Nie mogłam uwierzyć, że znikła niemal cała więź łącząca mnie z Wideacre, z ziemią, z ludźmi, że oto muszę czaić się w mroku niczym szpieg, aby zaatakować. Gdybym nie zapragnęła uczynić Richarda dziedzicem! To pociągnęło za sobą łańcuch wydarzeń. Mój mąż znalazł się za szpitalnymi kratami, a pogodne oblicze Wideacre zmieniało się na moich oczach. Gdybyż tu nie chodziło o Richarda! Lecz...

— Oto są... — cicho oznajmił John Brien.

Wyteżając wzrok w ciemnościach, dostrzegłam trzy postacie idące w milczeniu dróżką z Acre. Szli gęsiego skrajem, czasem znikając za krzakami. Widziałam jasne kędziory Johna Tyacke'a, błyszczące w świetle

gwiazd. Rozpoznałam też chyba szerokie ramiona Sama Frosterly'ego. Usłyszałam, jak John Tyacke mówi coś pod nosem, a Ned Hunter wtóruje mu cichym śmiechem. Zachowywali się cicho; była noc, a oni przecież wychowali się na wsi. Nie bali się pułapki. Nawet im się nie śniło, że chłopców z Acre może spotkać zasadzka na ziemi Wideacre.

Podeszli do pierwszego płotu i przygotowywali się, aby go przewrócić. Jeden z nich zdjął z ramienia łopatę i podkopał belki, a potem wszyscy trzej natarli z rozpędu na ogrodzenie, które pod ich naporem zważyło się.

— Teraz? — spytał mnie cicho Brien.

— Teraz — odparłam sztywnymi z zimna ustami.

— Teraz! — zawołał Harry i pognął konia naprzód, a kawalerzyści wynurzyli się z ciemnych krzaków i rzucili się w stronę chłopców. Sześciu żołnierzy, sierżant na koniu, Harry, John Brien i ja. Chłopcy zerwali się na nogi i gapili się, jakby nie dowierzając własnym oczom, a potem pomknęli niczym przerażone jelenie z powrotem do Acre, ufni, że tam będą bezpieczni.

Ned i Sam przeskoczyli przewrócony płot i pobiegli drogą, mając za plecami kawalerzystów i Harry'ego. Zauważyłam błysk jasnych włosów. John Tyacke uciekał w przeciwną stronę ku rzece Fenny, gdzie z pewnością czekało na niego w ciemności mnóstwo kryjówek. Nie wiedział, że ja tam jestem i obserwuję go; biegł wprost na mnie. Nastawiał się na pogoń za plecami, nasłuchiwał, czy Harry zajął się pozostałymi dwoma chłopakami. W ostatniej chwili dopiero zdał sobie sprawę, że czekam na niego. Zatrzymał się u boku Tobermory'ego.

— Panienska Beatrice! — odezwał się.

— John Tyacke — odpowiedziałam.

Rzucił się w bok ścieżką wiodącą nad rzekę.

— Widziała go pani, madame? — krzyknął sierżant, zawracając swych ludzi po skończonej bójce na gościńcu. Ned i Sam stali nachmurzeni między Johnem i Harrym.

— Nie — odparłam odruchowo. John był wnukiem starego Tyacke'a, a ja lubiłam starego Tyacke'a. Był jednym z naszych ludzi, a sierżant przybył z zewnątrz. Nikt obcy nie powinien urządzać na niego nagonki jak na psa.

— Nie, zgubiliśmy go — oświadczyłam.

Kawalerzyści zabrali Sama i Neda do Chichester tej samej nocy. Czekał ich proces w ciągu trzech miesięcy. Trybunałowi miał przewodniczyć sędzia Browning. Nie myślałam o tym. Kiedy wieś Acre obudziła się rano, nie można było już nic zrobić. Zabrano dwóch najukochańszych chłopaków. A ich przyjaciel, młody John Tyacke, mógł tylko siedzieć przy piecu u matki z głową w dłoniach i mamrotać, że nie wie, co robić.

Cała Acre wiedziała, że skoro Ned i Sam wpadli w kłopoty, John powinien być razem z nimi. Wiedziała także, że źle się to wszystko skończy, skoro nierozłączna trójka została rozdzielona. John nie należał do tego typu ludzi, którzy zostawiają przyjaciół w biedzie. Siedział i dumiał przez cały dzień, co ma robić. W tym czasie naprawiono płot i zaczęto wreszcie wycinać drzewa na przyłączonym terenie. Potem poszedł do dziadka, Gaffera Tyacke'a, i opowiedział mu, co się zdarzyło.

A potem Gaffer Tyacke przyszedł do mnie.

Nie spodziewałam się tej wizyty, gdyż nauczyłam się już, że wieśniacy nie zwracali się więcej do mnie ze swymi kłopotami.

Gaffer zjawił się, kiedy Harry był w biurze. Natychmiast chciałam odesłać Harry'ego, jak gdybym mogła jeszcze zatrzymać rozkręcającą się spiralę tragedii. Niestety właśnie Stride przyniósł nam kawę, a Harry jak zwykle miał chęć na pyszne ptifurki i nie zamierzał nas opuścić. Tak więc chrupał ciasteczka przy biurku, a Gaffer stanął naprzeciwko mnie z czapką w dłoniach.

— Przyszedłem się poddać, panienko Beatrice — zaczął.

— Co? — spytałam z niedowierzaniem.

— Przyszedłem się poddać — powtórzył spokojnie. — To ja zabrałem zeszłej nocy tych dwóch chłopaków do lasu i kazałem im obalić płoty. Ja im kazałem pomagać przy niszczeniu płotu przedwczoraj. A wcześniej działałem sam.

Gapiłam się osłupiała, jak gdyby któreś z nas postradało zmysły. Powoli doszło do mnie, co zamierza Gaffer.

— Gafferze Tyacke, nikt w to nie uwierzy — stwierdziłam łagodnie. — Jesteś starym człowiekiem i nie zdołałbyś tego zrobić. Wiem, co teraz usiłujesz zdziałać, lecz to ci się nie uda.

Patrzył beznamiętnie. Znał mnie i kochał od urodzenia. Widział mój chrzest w kościele parafialnym i moje pierwsze przejażdżki z papą. Teraz jednak patrzył przeze mnie, jak przez zamazaną szybę.

— Przyszedłem się poddać, panienko Beatrice, oraz prosić, żeby panienka mnie aresztowała i odesłała do Chichester.

— O co tu chodzi? — dopytywał się Harry, wynurzając się ze swego czekoladowego świata łakoci. — Co ja słyszę? To ty przewracałeś płoty, Tyacke?

— Tak — spokojnie potwierdził starzec.

— Nie! — wmieszałam się zirytowana i przerażona. — Co ty opowiadasz, Harry! Nie bądź głupi. Widziałeś mężczyznę, który nam uciekł zeszłej nocy. To nie był Gaffer Tyacke.

— To byłem ja, za przeproszeniem — spokojnie oświadczył Gaffer Tyacke. — I przyszedłem się poddać.

— Cóż, będziesz musiał stanąć przed sądem, bo popełniłeś bardzo poważne przestępstwo — ostrzegł Harry.

— Wiem, wielmożny dziedzicu — głos Tyacke'a zabrzmiał znów spokojnie.

Mówił z przekonaniem. Naprawdę rozumiał, co się stało, skoro tu przyszedł. Wyciągnęłam rękę.

— Gafferze Tyacke, wiem, co chcesz zrobić — powiedziałam. — Nie sądziłam, że do tego dojdzie. Mogę jednak powstrzymać sprawę. Nie ma potrzeby ratować ich w ten sposób.

Powiesili go.

Biednego starego, dzielnego, głupiego Gaffera Tyacke'a.

Dwaj chłopcy nie zgodzili się z twierdzeniem, że Gaffer ponosi całą winę. Sąd natomiast z radością powitał człowieka, który przyznał się do niszczenia płotów, wchodzenia na teren cudzej posiadłości oraz podpalenia. Tak więc powiesili go. Gaffer Tyacke szedł na szafot równym krokiem, dumnie wyprostowawszy stare ramiona.

Zwrócił na mnie twarz o oczach czarnych jak oczy proroka.

— Panienko Beatrice, gdyby pani nie chciała, żeby do tego doszło, nie zaczynałaby pani całej sprawy. Sama pani mówiła, że świat poza Wideacre się zmienia. Sprowadziła pani ten nowy świat do Wideacre, a to oznacza śmierć. Sprowadziła pani śmierć do Wideacre, panienko Beatrice. Lepiej, żeby wypadło na mnie niż na kogoś innego.

Jęknęłam i opadłam na fotel. Harry wystąpił władczo.

— Widzisz, dość już! Zdenerwowałeś panienkę Beatrice. Powstrzymaj swój język!

Gaffer Tyacke skinął głową, nadal wpatrzony we mnie z wyrzutem. Harry podszedł do dzwonka. Kazał przygotować powóz do drogi. Do Chichester.

— Harry — odezwałam się pospiesznie. — To przecież nonsens, z którym trzeba skończyć.

Zawahał się, słysząc ton mego głosu. Wędrował wzrokiem ode mnie do Gaffera Tyacke'a.

— Przeszedłem się oddać w wasze ręce — powiedział Gaffer. — Ale mogę iść do lorda Haveringa. Jestem przygotowany ponieść karę.

— To zbyt poważna sprawa, aby ją zlekceważyć, Beatrice — głos Harry'ego zabrzmiał rozsądnie, lecz twarz zdradzała dziecinne podniecenie zachodzącym dramatem. — Zaraz zabiorę Tyacke'a do Chichester i złożę zeznanie. Chodź ze mną — nakazał brutalnie Tyacke'owi i wyszli z pokoju.

Zobaczyłam z okna odjeżdżający powóz. Przez głowę nie przeszło mi, żeby go zatrzymać, żeby cokolwiek zatrzymać. Siedziałam z twarzą w dłoniach przez długą godzinę. Potem poszłam na górę do pokoju dziecinnego, do mego syna, przyszłego dziedzica.

Dwóch chłopców, Huntera i Frosterly'ego, skazano na zesłanie. Ned Hunter złapał w więzieniu paskudną gorączkę i zmarł w oczekiwaniu na transport. Mówiono, że Sam był z nim do końca. Zmarł na rękach Sama z wargami czarnymi od gorączki, tęskniąc za widokiem domu i dotykiem matczynej ręki. Sam Frosterly wypłynął najbliższym statkiem i rodzina wkrótce dostała od niego list. Był w Australii i wiódł ciężkie gorzkie życie, za ciężkie jak na chłopaka wychowanego w sercu spokojnego hrabstwa Sussex. Musiał bardzo tęsknić za zielonymi wzgórzami rodzinnych stron. I ta właśnie tęsknota, a nie upał, muchy czy brutalne bójki, go zabiła. Nie upłynął nawet rok od zesłania. Jeśli ktoś urodził się i wychował w Wideacre, nie może być szczęśliwy w innym miejscu.

Przyjęłam wiadomość o ich śmierci (Gaffera na szubienicy i Huntera w więzieniu) z zaciśniętymi ustami i bladą twarzą. Po śmierci Huntera John Tyacke, wnuk Gaffera i ulubieniec wioski, zniknął. Niektórzy mówili, że zaciągnął się na jakiś statek, inni powiadali, że powiesił się w lasach Wideacre i zostanie znaleziony, kiedy wiatr obędzie drzewa z liści jesienią. Tak czy owak odszedł. Nigdy już trzech łobuzów nie przejdzie przez wieś ramię w ramię. A podczas dożynkowej zabawy John Tyacke nie puścił się ze mną w płąs przy akompaniamencie gwizdów i żartów. Trzech chłopców odeszło.



Nie słyszałam już bicia serca Wideacre. Nie słyszałam bicia serca, nie słyszałam śpiewu ptaków. Wiosna stawała się coraz cieplejsza, lecz trwało to powoli, jak gdyby tu, w środku Anglii, tkwiła wciąż bryła lodu. Wcale mi nie było ciepłej. Kukułki nawoływały się w lasach, a skowronki próbowały siły skrzydeł i gardeł. A mnie wcale nie było ciepłej. Moje serce nie śpiewało. Dzikie zonkile kwitły w lasach, na łąkach pojawiły się kobierce polnych kwiatów, zieleńły się liście, szumiała rzeka Fenny, słowem — do Wideacre przyszła wiosna, lecz w moim sercu lód nie stopniał.

Nie zauważałam zmian w przyrodzie. Nic nie słyszałam, nic nie widziałam. Straciłam poczucie rzeczywistości. Patrzyłam na wilgotną zieloną ziemię jak przez tafelę lodu oddzielającą mnie po wsze czasy od ziemi, którą kochałam, i od ludzi, których znałam.

Spędzałam długie godziny patrząc przez okno. Patrzyłam z niedowierzaniem na zieleniejące lasy, jasne, falujące jak zawsze. Serce stukało znajomym rytmem rodzinnych stron, lecz nie ośmielałam się wyjść. Nużyło mnie już jeżdżenie powozem w żałobie, a z drugiej strony nie chciałam dosiąść konia. Ani pójść na spacer po polach. Ziemia, mokra i ciepła pod stopami, wydawała się wciągać mnie niczym trzęsawisko; nie przypominała miękkiego łu Wideacre. Kiedy powoziłam bryczką, z wielką trudnością przychodziło mi zawrócenie konia, skłonienie go do klusa czy uspokojenie rozbrykanego zwierzaka.

Wiosna na wsi tym razem nie miała uroku; była zbyt jaskrawa. Odcienie zieleni raziły wzrok. Mrużyłam oczy, patrząc na niziny, a blask słońca uwydatniał bruzdy na czole i wokół ust, kiedy przybierałam nachmurzoną minę.

Wyjście na świeże powietrze przestało być dla mnie przyjemnością. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Pobyt w wiosce też nie należał do miłych. Upewniłam się, że nikomu nie zabraknie drewna na rozpałkę, pomimo przyłączenia ziemi. Starannie wybrałam termin postawienia płotów. Nie powinni mieć do mnie pretensji. Nikt nie marzył przede mną tej wiosny. Tak więc to, co robiłam, nie było do końca złe.

Ale nie ufano mi. W owym pamiętnym roku zauroczenia Ralphem zieleniejące łądygi i ciepła ziemia wydawały się częścią mojej magii; teraz również, tyle że była to zła magia. Zdechła krowa Sowerów, więc uznano, że to moja wina, bo na soczystej trawie wspólnych gruntów by nie padła. Jedno z dzieci Hillów zachorowało — znów moja wina, bo mój mąż doktor wyjechał, a wieśniaków nie stać było na innego lekarza. Pani Hunter siedziała przy poczerńiałej kracie kominka i płakała wciąż nad hańbą, jaka spotkała jej syna i zabrała go od niej. Płakała, że syn zmarł wzywając jej imię, a ona nie mogła do niego jechać. Mówili, że to moja wina. To była moja wina.

Wiedziałam, że tak.

Kiedy musiałam przejechać przez wieś, unosiłam dumnie głowę, a wzrok mój płonął wyzwaniem. Na razie jeszcze nie znalazł się nikt, kto śmiałby spojrzeć mi prosto w oczy. Wszyscy odwracali nachmurzone twarze. Kiedy jednak przez okno ujrzałam panią Hunter siedzącą bez ruchu przy wygasłym kominku, nie miałam chęci rzucać nikomu wyzwania. Nie chciałam zuchwale dążyć do katastrofy. Po prostu się bałam, było mi zimno i smutno. Pewnego chłodnego popołudnia zatrzymałam się koło szewca i zawołałam: „Pani Merry!” w stronę grupy plotkujących kobiet. Zwróciły na mnie posępne zamknięte twarze i wspomniałam z nostalgią czasy, kiedy witano mnie z uśmiechem i tłoczono się wokół powozu, aby przekazać najnowsze wiejskie plotki.

Teraz kobiety stanęły w półkolu i mierzyły mnie zimnym wzrokiem. Przepuściły panią Merry. Uderzyło mnie, że szła ociągając się, bez uśmiechu, z czujnym wyrazem twarzy.

— Co się dzieje z panią Hunter? — spytałam, chwytając lejce w jedną rękę i odkładając bat.

— Nie jest chora na ciele — odparła pani Merry, patrząc mi prosto w oczy.

— Cóż jej zatem dolega? — dopytywałam się niecierpliwie. — Kominek jej zgasł. Przejeżdżałam tędy przed trzema dniami, a ona wciąż siedzi przy wygasłym kominku. Co jej dolega? Czemu nie przyjdą jacyś znajomi i nie rozpalą ognia?

— Ona sobie tego nie życzy. Nie chce jedzenia. Nie chce rozmawiać ze znajomymi. Siedzi tak już tydzień, odkąd dostała list od Sama Frosterly'ego o śmierci Neda. Przeczytałam jej, bo ona nie umie czytać. Wzięła wiadro i zalała ogień, a potem usiadła przy mokrym popiele. Kiedy wróciłam rano, trwała tak dalej.

Nie zmieniałam się na twarzy, lecz oczy wyrażały rozpacz.

— Wyzdrowieje — stwierdziłam. — Przeżyła szok w związku z utratą syna. Jest wdową, nie ma teraz nikogo.

— Tak — odezwała się pani Merry.

Niemyły pomruk kobiety, która odbierała moje dziecko, która była przy mnie w chwili wielkiego wysiłku i bólu, która obiecywała, że nie będzie plotek i dotrzymała obietnicy. Kobiety, która powiedziała, że troszczyć się o mieszkańców Wideacre jak mój papa.

— To nie moja wina, pani Merry — odezwałam się nagle żarliwie. — Nie chciałam, żeby tak się stało, wcale tego nie zamierzałam. Chciałam jedynie więcej pól obsiać pszenicą. Nie śniło mi się nawet, że chłopcy będą niszczyć ogrodzenie. Chciałam ich tylko nastraszyć żołnierzami, żeby przestali mnie dręczyć. Nie chciałam, aby ich schwytano. Nie sądziłam, że Gaffer się przyzna i że zostanie powieszony i że Ned umrze, a Sam wyjedzie na zesłanie. Nie chciałam tego.

W oczach pani Merry nie było litości.

— Chciała pani orać, a nie zahaczyć pługiem żadnej żaby. Chciała pani kosić i nie zaciąć żadnego zająca. Chciała pani machać nożem i nikogo wokół nie skaleczyć — powiedziała ironicznie. — A więc nie można pani za nic winić, prawda, panienko Beatrice?

Wyciągnęłam rękę ku pani Merry, mądrej kobiecie.

— Ja tego nie chciałam, a teraz obwinia się mnie o wszystko. Ale mój syn wynagrodzi ludziom krzywdy. Powiedźcie pani Hunter, że jej syn zostanie sprowadzony do domu i godnie pochowany na cmentarzu.

Pani Merry potrząsnęła głową.

— Nie, panienko Beatrice — rzekła stanowczo. — Nie zaniosę żadnej wiadomości od pani do pani Hunter. To byłaby zniewaga.

Jęknęłam i chwyciłam lejce. Sorrel ruszył, a ja poganiałam go jeszcze batem do cwału. Kiedy odjechałam od stojących kobiet, usłyszałam jakiś stuk o bok bryczki.

Ktoś rzucił kamień.

Ktoś cisnął we mnie kamieniem.

Zatem tej wiosny nie wybierałam się już na przejażdżki po lasach ani na spacer po polach czy gościńcem do Acre. Harry chodził tam, gdzie chciał. A i Celia odwiedzała wieś. To ona właśnie zajęła się sprowadzeniem zwłok Neda Huntera z portu Portsmouth. To Celia zapłaciła za jego pogrzeb i krzyż na grobie. Celia i Harry wciąż jeszcze spotykali się z ukłonami i dygnięciami w Acre. Ja jednak nie mogłam pojawić się w wiosce. Tylko w niedzielne poranki tej ciepłej mokrej wiosny przejeżdżałam obok chat, oglądana zza okien oczami wieśniaków. Obok domku pani Hunter, gdzie z komina nie leciał dym. Obok świeżych grobów na cmentarzu — grobów Gaffera Tyacke'a i Neda Huntera. Powoli szłam nawą, mijając rzędy ławek; moi ludzie patrzyli na mnie wzrokiem ostrym jak krzemień.

Tej wiosny pracowałam w czterech ścianach. John Brien jeździł i załatwiał sprawy, które mu zleciłam. Codziennie przychodził do mojego gabinetu, a ja mówiłam, co jest do zrobienia. Potem odchodził, aby nadzorować prace. Ziemia, która nigdy nie znała rządcy, która zawsze miała kontakt z właścicielem, teraz miała nadzorcę nie należącego do rodu Laceyów i nawet nie farmera, lecz człowieka wychowanego i urodzonego w mieście, nie w Wideacre.

Jego brygada wykarczowała wspólne grunty i wysiała na polach pszenicę. Wieś przestała się buntować. Brien zaorał pół tuzina łązek, na których bawiły się dzieci, oraz zlikwidował miedzę znaczącą kiedyś granicę wspólnych terenów. Zasiał pszenicę wszędzie tam, gdzie udało się zaorać glebę. Wciąż jednak nie wystarczało pieniędzy.

Fortunę Johna przeznaczyłam na spłatę naszego kuzyna. Nie chciałam ruszać tych pieniędzy, by przeznaczyć je na opłaty sądowe. Prawnicy nalegali na uiszczenie opłat, a ich rachunki wciąż rosły. Pożyczyliśmy od pana Llewellyna na pokrycie opłat za trzy miesiące, lecz mieliśmy przecież także do spłacenia raty pożyczki, a na dodatkowe dochody nie mogliśmy liczyć do momentu sprzedaży plonów, pszenica zaś jeszcze nawet nie wykiełkowała.

Z niczym nie nadążałam. Na początku całego przedsięwzięcia naradzałam się jeszcze z Harrym, teraz jednak nie śmiałam mu pokazywać wyliczeń. Wydawaliśmy więcej, niż zarabialiśmy: na spłaty pożyczek, na koszty sądowe, na kurację Johna, na brygady nowych robotników, na narzędzia i nasiona. Sięgnęliśmy po rezerwy kapitału, tak obficie z nich korzystając, że zaczęłam już obliczać, kiedy fortuna mego ojca, tak powoli i z wysiłkiem gromadzona, będzie na wyczerpaniu. Potem czekało nas tylko sprzedanie ziemi.

Te oto troski trzymały mnie w czterech ścianach, nawet gdy przyleciały jaskółki i kołowały rankiem nad rzeką Fenny. Codziennie z lękiem czekałam na listonosza, obawiając się, czy aby tym razem doktor Rose nie napisze swym grzecznym stylem: „Jestem niezmiernie zadowolony, mogąc Pani donieść, iż mąż Pani został całkowicie wyleczony. W tej właśnie chwili pakuje się przed odjazdem do domu!”

Codziennie spodziewałam się listu zapowiadającego powrót Johna. Codziennie modliłam się, aby otrzymać list od naszego kuzyna przyjmującego proponowane warunki spłaty spadku. Mogłabym wtedy wypłacić mu pieniądze z majątku Johna i w majestacie prawa przepisać prawo własności Wideacre. Codziennie rano budziłam się zaprzątnięta myślą o tych dwóch listach, a kiedy przynoszono mi do kantorku pocztę, drżałam, otwierając koperty, niepewna, czy wygrałam czy też przegrałam Wideacre dla mego syna.

Wygrałam.

Pewnego słodkiego kwietniowego poranka, gdy żonkile podniosły żółte głowy pod moim oknem, a ptaki wielbiły śpiewem wiosenne słońce, w poczcie przyniesiono mi grubą kremową kopertę z pieczęcią naszej kancelarii adwokackiej i firmowym nadrukiem w rogu. Wychwalając kwiecieście swoją zręczność, prawnicy donosili, że nasz kuzyn Charles Lacey przyjmował proponowaną rekompensatę i gotów był zrezygnować ze swych praw do Wideacre. Wygrałam. Richard wygrał. Cała groza i niepewność ostatnich miesięcy minęły bezpowrotnie. Jak gdyby wcale nie było tej lodowatej szklanej wiosny. Richard zostanie wychowany tu na tej ziemi jako jej przyszły dziedzic. Nauczę go wszystkiego, czego trzeba: o ziemi, o ludziach. To on będzie zwoził zboże do młyna co roku po żniwach. Poślubi jakąś urodziwą dziewczynę z naszego hrabstwa (sama ją wybiorę) i razem spłodzą nowych dziedziców tej ziemi. Z mojej krwi i kości. Zapoczątkują ród, który będzie tu trwał przez wieki, aż do niewyobrażalnej przyszłości. Dokonałam tego, posługując się własną inteligencją, zręcznością i odwagą. Udało się, chociaż przestałam słyszeć bicie serca, serca Wideacre, i straciłam miłość moich ludzi. Ale udało mi się.

Siedziałam w milczeniu z listem w dłoni i uczuciem wielkiej ulgi, ogarniającym mnie tak wyraźnie jak promienie wiosennego słońca czy dotyk jedwabnych rękawów. Przez długie minuty nie ruszałam się, smakując zwycięstwo. Tylko ja wiedziałam, ile mnie to kosztowało, ile kosztowało Wideacre i wieś Acre, aby dotrzeć do tego punktu, skąd zaczynała się wspinała przyszłość mego syna. Tylko ja wiedziałam. Ale istniały jeszcze koszty, o których nie wiedziałam, nie zdawałam sobie z nich sprawy. Wygrałam ziemię dla Richarda, lecz straciłam tegoroczną wiosnę. Nie miałam pewności, czy moje uczucia wobec ziemi powrócą. Ludzie obrócili się przeciwko mnie. Trawa wydawała się zbyt jaskrawozielona i nawet śpiew drozda nie przebijał muru, który mnie otaczał. To wszystko mogło być częścią ceny za uczynienie Richarda dziedzicem. Płaciłam i płaciłam coraz więcej, lecz teraz nagroda znalazła się w zasięgu ręki.

Przysunęłam z westchnieniem papier listowy i napisałam do banku, polecając podjęcie fortuny Johna, sprzedaż jego udziałów w firmie ojca i przekazanie pieniędzy na konto naszego kuzyna. Załączyłam dokument o ubezwłasnowolnieniu, aby ubiec ewentualne dociekania bankierów. Potem wzięłam jeszcze jeden arkusz papieru i zaczęłam pisać list do prawników, powiadamiający, że mogą przystąpić do legalizacji zrzeczenia się spadku na rzecz mego syna Richarda i mojej córki Julii jako równoprawnych dziedziców.

A potem usiadłam w bezruchu, czując ciepło promieni słonecznych na ramionach. Chciałam dać sobie parę chwil na zastanowienie nad tym, co robię.

Z niecierpliwością typową raczej dla piętnastolatki stwierdziłam: „Teraz”. Richard i Julia też będą mieli w przyszłości jakieś rachunki do spłacenia. Ja muszę płacić teraz. Sama chciałam.

Sama zapragnęłam dla syna praw do dziedziczenia. Byłam świadoma swej lekkomyślności. Ciężar spłaty pożyczek będzie spoczywał po części na Richardzie. Czekala go wspólna z siostrą praca, przez całe życie. Spełniłam swój obowiązek wobec Richarda i Julii, wobec samej siebie, a w pewien sposób także wobec mego papy i starego rodu Laceyów. Osadziłam najlepszego z najlepszych na fotelu dziedzica. Długi przyszłości powinny być płacone w przyszłości.

Osuszyłam listy bibułą i zapieczętowałam. Przystąpiłam do pisania trzeciego. Do pana Llewellyna. Zaproponowałam mu jeszcze jedną pożyczkę pod zastaw hipoteczny ziemi Wideacre: nowych łąk przyłączonych od strony posiadłości Haveringów. Przypadły nam jako część dożywocia Celi. Skoro dojdzie do

najgorszego i zmuszeni będziemy do wyprzedawania ziemi, wołałam stracić pola dopiero niedawno pozyskane. Nie zniosłabym zastawienia pól, po których jeździłam z papą, nawet dla jego wnuka. Ale potrzebowaliśmy pieniędzy. Akty prawne musiały zostać podpisane i poświadczone przez samą Izbę Lordów, a po drodze wiele osób legalnie i nielegalnie nadstawi kieszeni. Tego lata musimy zebrać obfite plony, bo inaczej staniemy w obliczu ruiny.

— Beatrice! Wyglądasz naprawdę lepiej! — oceniła Celia, gdy dołączyłam do niej i Harry'ego przy śniadaniu.

— Czuję się lepiej — odparłam z uśmiechem. Kucharka Celi upiekła na słodko szynkę z morelami i aromatycznymi kotlecikami wołowymi. — Dziwię się, że pani Gough jest w kuchni. Naprawdę zazdrozczę jej pensji.

— A dlaczego miałabyś jej zazdrościć? — spytała Celia, otwierając szeroko brązowe oczy. — Wszyscy kucharze z Londynu są bardzo drodzy. Powiedziałabym, że pani Gough płacimy nawet za mało.

Uśmiechnęłam się i wzruszyłam ramionami.

— Nie przejmuj się, Celio. Nie zamierzam sprowadzić do kuchni robotników z parafii, żeby gotowali nam obiady. Po prostu dopiero co przeglądałam rachunki i nie mogę się zgodzić ze wszystkimi naszymi wydatkami.

— Chyba nie jest tak źle, bo twoje zielone oczy znów pięknie błyszczą, a to znak, że jesteś szczęśliwa — zauważyła bystro Celia. — Czy dostałaś dziś dobre wieści?

— Tak — odrzekłam. — Dostałam list, który mnie bardzo ucieszył.

Twarz Celi pojaśniała niczym oświetlona tysiącem świec.

— John wraca do domu! — odezwała się radośnie.

— Nie — zaprzeczyłam zirytowana. — John nie wraca do domu. Dobre wieści dotyczyły interesów. Ty tego nie zrozumiesz ani nie docenisz. W tym miesiącu nie miałam wiadomości od doktora Rose'a, w ostatnim liście donosił jednak, że jeszcze wiele przed Johnem do zrobienia, zanim będzie mógł wrócić do domu.

Celia spuściła wzrok na talerz. Wiedziałam, że pod jej powiekami wzbierają łzy. Kiedy podniosła wzrok, usta jej drżały lekko z rozczarowania i z lęku przed kategorycznym tonem mego głosu, który rozwiął brutalnie jej nadzieje.

— Tak mi przykro, moja droga. Jakże bezmyślnie wyciągnęłam wniosek z tego, że dostałaś dobre wieści. Tak często myślę o Johnie i twoim bólu, że uznałam twój kwitnący wygląd za pewną oznakę powrotu Johna.

Kiwnęłam zdawkowo głową i zajęłam się śniadaniem. Celia, jak spostrzegłam, jadła niewiele i nie chciała owoców.

— Pojedziesz do Bristolu go odwiedzić? — dopytywała się.

— To już trwa tak długo. Wyjechał w pierwszym tygodniu grudnia, a mamy połowę kwietnia.

— Nie — stwierdziłam stanowczo. — Czuję, że w tym względzie powinnam słuchać wskazań doktora Rose'a. Powiedział, że da mi znać, kiedy John będzie mógł przyjąć gości. Nie pomoże mu z pewnością, jeżeli uraczę go odwiedzinami, zanim będzie przygotowany na spotkanie ze mną.

Celia skinęła głową posłusznie.



— Jak sobie życzysz, moja droga — odezwała się czule.

— Gdybyś jednak zmieniła zdanie albo kiedy doktor Rose uzna, że możesz przyjechać, wiedz, iż Richard z pewnością wytrzyma kilka dni rozłąki z mamą. Zrobię wszystko, aby czuł się szczęśliwy.

Kiwnęłam potakująco głową.

— Wiem. Dziękuję ci, Celio.

Nie potrzebowałam się tak spieszyć. Kwietniowe dni stawały się coraz cieplejsze i dłuższe. Zielone lodyżki, przysłała zapłata za prawo mego syna do dziedziczenia, rosły zdrowo. Prawnicy w Londynie rozpoczęli procedurę prowadzącą do Izby Lordów. Bankierzy unieśli brwi ze zdumienia, czytając mój list, lecz dostali przecież polecenia od opiekuna Johna. Pewnego pięknego poranka w połowie kwietnia Charles Lacey otrzymał przelewem na swoje konto sumę 200 000 funtów — prawdziwą fortunę. Ja i mój syn znaleźliśmy wartość każdego pensa tej kwoty.

Na Charlesa Lacey'a, który po śmierci Harry'ego miał zgodnie z prawem zostać panem Wideacre i usunąć mnie z drogi, przelałam teraz cały majątek rodu MacAndrew. Dla siebie nie wzięłam ani pensa. Dla Wideacre również. Jednym rozrzutnym gestem rzuciłam mu pod nogi fortunę Johna MacAndrew i zostawiłam Wideacre bez zabezpieczenia, bez żadnego rezerwowego kapitału.

Musiałam napisać do innego londyńskiego banku z zapytaniem o następną pożyczkę hipoteczną na zakup nowego inwentarza, który miał zastąpić sztuki niekorzystnie sprzedane. Zdobyłam pieniądze, lecz wszystko to był ratunek na krótką metę.

W klinice doktora Rose'a w Bristolu mój mąż wracał do zdrowia. Ręce już mu się nie trzęsły, a oczy straciły gorączkowy blask. Przez kraty w oknach widział zieleniejące korony drzew. Słyszał krakanie gawronów noszących w dziobach gałązki do budowy gniazda. Słyszał gruchanie leśnych gołębi. Nie wiedział jeszcze, że jest nędzarzem. Nie wiedział, że go zrujnowałam. Jednak w miarę jak przybierał na wadze i męźniał, myślał o mnie z mniejszym lękiem i przerażeniem.

„Wydaje się nareszcie rozumieć fakt, iż całe nieszczęście minionych miesięcy nie było rozmyślnie spowodowane przez panią — pisał mi doktor Rose, jak zawsze bardzo taktownie. — Mówi teraz o pani jak o zwykłym śmiertelniku, nie zaś jak o wiedźmie. Wiem, ile to pani przysporzyło smutku. Ucieszy się zatem pani, iż te majaki tak szybko minęły”.

Uśmiechnęłam się, czytając. Powrót Johna do zdrowia mógł się okazać bardzo złudny, jeśli dowie się, że jest żebrakiem zdanym na moją łaskę. Nie będzie miał nawet pieniędzy na ofrankowanie listu do ojca, a ja i tak dowiem się, co napisał.

„Sądzę, że wkrótce będzie gotowy do powrotu do domu — pisał doktor Rose. — Omawiałem z nim tę kwestię. Twierdzi on, że z pewnością może żyć znów w normalnym domu i nie nadużywać alkoholu. Obecnie powstrzymuje się od alkoholu, aczkolwiek widzi w swoim otoczeniu trunki, jednak potrafi im się oprzeć. W domu może od czasu do czasu wypić kieliszek z rodziną czy z przyjaciółmi. Jest godny zaufania i zdoła sprawować kontrolę nad samym sobą. Wierzę, że może całkiem wyzdrowieć.”

Tu kiwnęłam głową i przewróciłam stronicę.

John może już nie szaleje ze strachu przede mną, lecz dalej mnie nienawidzi i gardzi mną. Poczułam przerażenie na myśl o tym, do jakiego stopnia mnie teraz znienawidził po tym, jak został związany, uśpiony i

zamknięty na moje polecenie. Ja też go nienawidziłam i bałam się. Gdyby to tylko ode mnie zależało, nigdy nie wróciłby do domu; mój błyskotliwy mąż o przenikliwych niebieskich oczach. Dysponował władzą, jaką daje mężczyznom prawo i tradycja. Obawiałam się tego. Wiedział, jaki mam charakter, i znał większość moich postępów. Obawiałam się tej chwili, kiedy ostatecznie przejrzy na oczy. Gdyby to tylko ode mnie zależało, pozostałby w zamknięciu przez resztę życia. Nie wybrałam jednak odpowiedniego lekarza. Doktor Rose był poczciwym świetnym praktykiem. Brał moją stronę, ponieważ moje opowieści brzmiały przekonująco, a ja byłam ładna. Mój mąż zaś wyraźnie cierpiał na załamanie nerwowe. Nie mogłam jednak prosić doktora, aby trzymał Johna u siebie w nieskończoność. John musiał kiedyś wrócić do domu.

I o ile go znałam, miał wrócić tu, aby nienawidzić mnie, kochać natomiast Celię i jej dziecko. Przed jego przybyciem musiałam doprowadzić do końca plan przekazania Wideacre Richardowi. Musiałam dokończyć dzieła, dopóki Celia była zdana tylko na siebie, dopóki John nie mógł udzielić jej wsparcia lub co gorsza informacji. O wiele łatwiej przyszłoby mi zawiadomienie Celi o uchyleniu majoratu i wyznaczeniu Richarda i Julii na równoprawnych spadkobierców. Zaskoczona Celia słysząc tę nowinę, nie miałaby znikąd pomocy, nawet ze strony mego męża rekonwalescenta.

Wzięłam pióro i arkusz papieru. Napisałam szybką spokojną odpowiedź. „Jakaż wspaniała wiadomość! — obwieściłam doktorowi Rose'owi. — Moje serce napelnia się szczęściem". Radziłam jednak uważać. Moja bratowa, tak martwiąca się chorobą Johna, sama zapadła na zdrowiu. Uważałam, że lepiej będzie, aby John zaczekał jeszcze w spokoju w Bristolu, aż cała nasza tak uczuciowa rodzina odzyska równowagę.

Nagryzmołam swój podpis i zadowolona zapieczętowałam kopertę gorącym woskiem. A potem wygodnie usiadłam na krześle i wyjrzałam przez okno.

Nadal pięknie kwitły żonkile. Przyćmiły nawet wiśniowe pąki w ogrodzie różanym. Na wybiegu dla koni rosły dzikie żonkile, bledsze i delikatniejsze niż te ogrodowe. Spostrzegłam, że Tobermory pochylił szlachetną głowę i skubał kępę kwiatów. Podniósł łeb, a z pyska wystawała żółta wiązanka. Wyglądał prześmiesznie i zapragnęłam, żeby Richard był teraz przy mnie i zobaczył tę komiczną scenę: nasz najlepszy koń myśliwski stojący niczym błazen. Dalej, na skraju lasów, brązowa ziemia pokryła się bujną zielenią młodego mchu i roślinek wybijających się ku wiosennemu słońcu. Wszystko kwitło, zieleniło się, wilo gniazda i szukało partnera; cały świat śpiewał i słodko pachniał. Wydawałam się tutaj jedyną zimną postacią, w ciemnej sukience, zamknięta w czterech ścianach.

Nagle zerwałam się od biurka i narzuciłam szal na ramiona. Z odkrytą głową wyszłam do ogrodu. Przechadzałam się, wdychając delikatną ciepłą woń żonkili, zwodniczo atakującą nozdrza. Weszłam przez furtkę na wybieg, a Tobermory, zobaczywszy mnie, przybiegł truchtem z cudownie wygiętym karkiem i wysoko uniesioną głową.

Poklepałam go, a on zaczął obwąchiwać moje kieszenie, miękкими chrapami szukając łakoci.

— Nic nie mam — odezwałam się czule. — Zapomniałam. Przyniosę ci coś później.

Czułam, że lodowy pancerz na moim sercu zaczyna topnieć. Szłam w stronę lasu, słysząc szum rzeki Fenny, głębokiej teraz, brązowej od błota spływającego z nizin. U wylotu ścieżki nie było mostka, a tylko łączący brzegi rzeki pień drzewa. Jedynie ja z niego korzystałam. Celia bała się tędy przechodzić, Harry zaś uważał, że jest na to za ciężki. Na środku pnia siedziały dzieci Hodgettów, machając nogami nad wodą. Każdy

dzieciak trzymał patyk ze sznurkiem i miał nadzieję na złowienie ryby. To była najmłodsza trójka spośród rodziny zajmującej stróżówkę. Sarah Hodgett przyrzekła pięć lat temu, że nie będzie miała więcej i dzieci po ostatnich bliźniakach, i na razie dotrzymywała obietnicy, aczkolwiek ona i jej mąż często wyglądali na zdenerwowanych.

— Cześć! — zawołałam swobodnie jak ptaszek.

Lecz wywołało to skutek podobny do uderzenia pioruna. Pięcioletnie bliźniaki, berbecie z gęstwą brązowych włosów i wielkimi wystraszonymi oczami, zerwały się tak raptownie, że niemal wpadły do wody. Ich siostra, siedmiolatka o poważnej twarzy, złapała dzieciaki po jednym każdą ręką i pognała je po pniu na drugi brzeg.

— Przepraszam, panienko Beatrice — powiedziała i pociągnęła rodzeństwo ścieżką wiodącą do ich domu.

— Nie odchodźcie! — zawołałam za nimi. — Zostawiliście wędk!

Dziewczynka ociągała się, spoglądając na mnie. Weszłam szybko na drzewo i podniosłam patyki, uśmiechając się zachęcająco.

— Nie zostawiajcie wędek! — upomniałam żartobliwie. — Jak będziecie łowić łososie, gdy przyjdzie na nie sezon?

Najstarsze dziecko odwróciło się i spojrzało zaleknionym wzrokiem.

— My nie chcieliśmy pani łososi, panienko Beatrice — wyznała żarliwie. — Malcy tylko się bawili w łowienie ryb. My nie bierzemy nic z pani ziemi. My zwykliśmy się tutaj bawić zeszłego lata, kiedy nie zabraniała pani jeszcze wstępu na te tereny. Malcy chcieli znów tu przyjść. Przepraszam, panienko Beatrice, przepraszam!

Niewiele rozumiałam z jej pospiesznej gadaniny, zeskoczyłam więc z pnia z wędkami, aby przytulić dzieci i zapewnić je, że oczywiście wolno im łowić ryby w Fenny, że mają prawo do wesołego dzieciństwa, takiego jak moje; wspaniałego dzieciństwa w Wideacre, gdzie lasy są zbyt rozległe, by je przemierzyły małe nóżki, a rzeka płynie szybciej, niż dziecko może biec.

— Chodźcie tutaj — poprosiłam łagodnie i ruszyłam ku dzieciom.

Najstarsza dziewczynka krzyknęła przeraźliwie i zaczęła uciekać, ciągnąc za sobą malców. Dziewczynka bliźniaczka potknęła się i upadła, a siostra podniosła ten olbrzymi dla niej ciężar i pokuśtykała naprzód, chłopczyk zaś podreptał obok. Trzema susami dopadłam dzieci, złapałam najstarsze z nich za ramię i obróciłam twarzą do siebie. Spojrzały na mnie pełne łez, przerażone oczy.

— O co chodzi? — spytałam. Udzielił mi się dziecięcy strach i ból. Podniosłam głos. — Co się z wami dzieje?

— Niech pani nie nasyła na nas żołnierzy, panienko Beatrice! — zaskowyczała dziewczynka doprowadzona do szoku. — Niech pani nie nasyła żołnierzy, żeby nas powiesili. My nie zrobiliśmy nic złego. Nic nie zniszczyliśmy ani nie spaliliśmy. Proszę nas nie wydawać na powieszenie, panienko Beatrice!

Cofnęłam ręce, jak gdyby kościste ramionka parzyły. Odrzuciłam głowę w tył i zamknęłam oczy, usiłując odnieść to, co mówiła, do swojej osoby, porównać ze zdaniem, jakie miałam o sobie samej, o panience Beatrice, ulubienicy Wideacre. Szłam słaniając się z zamkniętymi oczami, a dziewczynka złapała bliźniaki za

ręce i popędziła ścieżką do chaty. Nie czuła się bezpieczna, dopóki nie zamknęła się za nią furka ogródka. Na zewnątrz, w lesie, została panienka Beatrice, której zielone oczy przenikały mury i obserwowały, co robią niegrzeczne dzieci. Która jeździła konno szybciej niż ktokolwiek we wsi. Któż mógłby równać się z Nedom Hunterem? A przecież go uśmierciła. A kto powiesił najuczciwszego człowieka we wsi, Gaffera Tyacke'a, który służył z tego, że nigdy nikogo nie oszukał? Tam w lesie została panienka Beatrice, ubrana na czarno jak wiedźma, którą przecież była; pilnowała ziemi, swojej ziemi. Niech dzieci bawią się lepiej na drodze, bo panienka Beatrice je pogoni. Niech dzieci lepiej się modlą, bo panienka Beatrice przyjdzie po nie w nocy. Niech lepiej dzieci boją się, żeby nawet jej cień na nie nie padł. I niech lepiej uciekają na jej widok!

Wyciągnęłam rękę za siebie i namacałam szorstką korę dębu lodowatymi palcami. Osunęłam się oparta plecami o pień, patrząc bezmyślnie przez gałęzie na błękitne niebo, gdzie ptaki śmigwały z pełnymi dziobami, zalecając się do siebie. Za każdym razem gdy myślałam tego roku, że najgorsze mam już za sobą, otwierała się przede mną nowa otchłań i nie mogłam zrobić niczego innego jak dzielnie w nią wstąpić i przetrwać nowy koszmar. Każdy mój postępek pociągał za sobą lawinę tragedii. Niewinna decyzja, aby część wspólnych gruntów przeznaczyć na zasiew pszenicy, doprowadziła mnie oto do tego dębu i czarnej rozpacz. Byłam znienawidzona i przeklinana na ziemi, którą kochałam, przez ludzi, których wciąż uważałam za swoich.

Zagłębiłam paznokcie, niczym pazury, w korze, aby nie upaść i nie stracić przytomności. Czułam się słaba i pogiębiona, niezdolna do jakiegokolwiek działania. Nie mogłam nawet iść do domu. Po raz pierwszy w całym moim życiu chciałam po prostu zasnąć, natychmiast, tutaj na słodkiej wilgotnej ziemi Wideacre i nigdy się już nie obudzić, nie czuć więcej bólu i samotności. Stałam oparta o drzewo, obolała ze smutku i nieruchoma jak w potrzasku, jak gdybym wykrwawiała się na śmierć. Wyciekała ze mnie mądrość i miłość do Wideacre. Została pusta wiedza, coś, czego każdy może się nauczyć, nawet tacy idioci jak John Brien i Harry. Ludzie, którzy nigdy nie usłyszeli tajemnego bicia serca ziemi. Teraz i ja nie słyszałam tego dźwięku.

Chłód sprawił, że oprzytomniałam. Klęczałam na miękkiej ilastej ziemi. Suknię miałam powalaną i moką. Słońce zaszło. Chłodny wiosenny wieczór otrzeźwił mnie niczym chluśnięcie wodą na głowę. Otrząsnęłam się jak mokry szczeniak i wstałam. Zesztywniałe nogi ledwie mnie niosły. Bojaźliwie przeszłam po pniu nad wodą niczym nobliwa dama. Bo też czułam się jak stara dama. Powoli szłam do domu. Nie dumna matrona z marzeń, otoczona wianuszkami dzieci i wnuków, dająca początek całej dynastii rządzącej w Wideacre po wsze czasy, lecz pokonana biedna starowinka stojąca nad grobem. I gotowa umrzeć. Tęskniąca za śmiercią.

Tydzień później dostałam list i nie myślałam więcej o śmierci. Dostałam orzeczenie w sprawie majoratu. Prawnicy dopięli swego. Chłonełam treść pisma wyglodniałym wzrokiem. Prawo dziedziczenia zostało przeniesione z Charlesa Lacey na Julię i Richarda. Pierwsze dziecko Julii lub Richarda, bez względu na płeć, miało zostać dziedzicem. Uśmiechnęłam się. Wreszcie dziewczynka może dostać Wideacre. Jeśli moim pierwszym wnukiem ma być miedzianowłosa dziewczynka o zielonych skośnych oczach, odziedziczy ziemię, a ja zapłacę za to każdą cenę. Odziedziczy ją w majestacie prawa i będzie gospodarować bez uczucia zagrożenia swej pozycji. Jeśli będzie sprytna jak ja, poślubi jakiegoś niezamożnego ziemianina, który spłodzi z nią dzieci (przyszłość Wideacre). Wyśle go do Irlandii czy Ameryki, obiecując, że dołączy do niego. I jeśli będzie do mnie podobna (lecz odporniejsza na emocje i wstrząsy), roześmieje się w głos, czując się znów

wolna na swej ukochanej ziemi. A mieszkańcy Wideacre także się roześmieją, radując się z dobrej pani, godziwej zapłaty i pełnej miski.

Do orzeczenia o zniesieniu majoratu przypięty był kontrakt z pełnym brzmieniem postanowień. Jeden zapisany do połowy arkusz papieru welinowego, opatrzone pieczęciami i błyszczącymi wstążkami, osmalony ozdobnie na brzegach. Kilka prostych paragrafów i kryjące się za nimi koszty całego przedsięwzięcia.

„Niniejszym zawarta została umowa między Richardem MacAndrew i Julią Lacey, obecnie w wieku roku i dwóch lat. Posiadłość, dalej zwana »posiadłością«, będzie stanowić ich wspólną własność i prawa do jej dziedziczenia nabędą pierwородne dzieci z ich małżeństw.”

Trzymałam dokument w spokojnych dłoniach, wdychając zapach wosku i rozkoszując się dotykiem grubego welinowego papieru. Jedwabne czerwone wstążki zwisające u dołu były miękkie i ciepłe pod palcami. Czytałam dwa paragrafy zauroczona już samym widokiem karty papieru, która tyle mnie kosztowała.

Położyłam dokument na biurku i oparłam na nim policzek. Welinowa powierzchnia była ciepła, gładka, tu i ówdzie dało się wyczuć włókna papieru. Chropowate pieczęcie przypominały zakrzepłą krew. Wstążki pachniały delikatnymi perfumami, jak towary kupowane w obwoźnej pasmanterii, której właściciel trzyma perfumy i pudry w jednej skrzynce z jedwabiami. Łza popłynęła mi po twarzy. Uniosłam głowę, aby ją wytrzeć i nie poplamieć cennego kawałka papieru. Jedna łza, nic więcej. Nie wiedziałam sama, czy płaczę z ulgi po skończonej walce czy też z powodu zwycięstwa. Zasłona bólu oddzielająca mnie od Wideacre podzieliła też moją osobowość. Nie wiedziałam, czy wygrywam czy przegrywam. Mogłam tylko iść dalej naprzód. Orać zawzięcie, kosić zapamiętane. Zabita ropucha, okaleczony zając, moja krew na błyszczącym ostrzu — nie umiałam określić, kto tu był ofiarą.

Zadzwoniłam na służbę i kazałam przygotować powóz przed popołudniowym wyjazdem do Chichester. Poprosiłam Stride'a, aby przekazał Harry'emu, że musi mi towarzyszyć do miasta w celu dokonania pewnej transakcji.

I nawet teraz, u kresu naszej drogi, Harry nie wykazywał zdecydowania.

— Dlaczego nie zaczekamy do powrotu Johna? — spytał rozkosznie, gdy mknęliśmy bitą drogą do Chichester, mijając urocze nizinne wioski i zwalniając na stromych zjazdach.

— Cóż, nie wiemy przecież, jak to jeszcze długo potrwa ani w jakim John będzie stanie — odparłam równie lekkim tonem. — Wolę mieć wszystko czarno na białym, podpisane i załatwione od ręki. Potem możemy obwieścić o wszystkim Celi i Johnowi, robiąc im niespodziankę.

— Tak — odezwał się Harry z wahaniem. — Z punktu widzenia Johna stała się jednak niedobra rzecz, Beatrice. Wiem, że przywiązał się do Wideacre, lecz wydaliśmy przecież całą jego fortunę na uczynienie Richarda dziedzicem. Wolałbym się najpierw z nim skonsultować.

— Och! Ja też! — zapewniłam gorliwie. — Cóż jednak mogliśmy zrobić? Gdybyśmy jeszcze czekali, zaczęłyby się plotki o bezpłodności Celi, a to by ją załamało. Plotki sprawiłyby, że Charles Lacey podniósłby swoją cenę, żywiąc nadzieję na odziedziczenie posiadłości. Musieliśmy postąpić tak, jak się stało. John to zrozumie. Sam podjąłby taką decyzję.

— No cóż, skoro jesteś tego pewna — uspokoił się Harry.



Powóz zakołysał się lekko, gdy Harry usadowił się z powrotem w swoim kącie. Przerazająco szybko przybierał na wadze. Jeśli utrzyma to tempo jazdy i nadal będzie spędzał leniwe popołudnia z dziećmi na kolanach lub na powolnych spacerkach w ogrodzie, wkrótce nie znajdzie w naszej stajni żadnego konia czy powozu, który go uniesie. A przecież musi uważać, gdyż serce ma słabe, po mamie.

— Nie ma jednak powodu, abyśmy nie poczekałi do jego powrotu z podpisaniem kontraktu — Harry znów się zaniepokoił. — To wygląda dziwnie, Beatrice. W miejscu na podpis rodzica lub opiekuna Julii Lacey składam swój podpis. W miejscu na podpis rodzica lub opiekuna Richarda MacAndrew również składam swój podpis! Każdy kto nas nie zna, pomyśli, że dopuszczamy się jakiegoś oszustwa!

— Tak, ale wszyscy nas znają — odparłam swobodnie. — Widać przecież wyraźnie, że wybraliśmy najlepsze, najrozsądniejsze rozwiązanie. Nie ma tu żadnych niejasności. Traci tylko jedna osoba, Charles Lacey, a i on otrzymuje godziwą rekompensatę.

Na myśl o tym Harry zachichotał.

— Biedny stary Charles, co? A już mógł mieć nadzieję, prawda, Beatrice?

— Tak — uśmiechnęłam się. — A toś go przechytrył, Harry!

— Razem go przechytryliśmy — przyznał szlachetnie.

— Cóż, to ty wpadłeś na pomysł, który zapoczątkował nasz plan. I oto zbieramy owoce. Świetnie wszystko obmyśliłeś, Harry! Jakież szczęście czeka nasze dzieci.

Harry kiwnął głową i wyjrzał przez okno. Zjechaliśmy z bitego gościńca na zalesioną drogę do Chichester, dochodzącą do miasta od północy. Dwór de Courceyów stał za wysokim murem po lewej, a dalej wzdłuż drogi kilka innych wielkich domostw. Potem chatki biedoty, a potem koła zaterkotały na bruku. Mijaliśmy domy bogatego mieszczaństwa Chichester. Na horyzoncie górowała iglica katedry.

Harry wszedł do kancelarii adwokackiej dumny ze swej przebiegłości, dzierżąc w dłoniach cenny dokument. Podpisał go w dwóch miejscach.

— Wygląda to nieco osobliwie — orzekł nasz pełnomocnik i ośmielony naszą wieloletnią znajomością, spytał wprost: — Czy koniecznie musimy obejść się bez podpisu doktora MacAndrew?

— Mój mąż jest chory — wyjaśniłam cicho.

Pełnomocnik skinął głową. Siwowłosy człowiek w ciemnym gabinecie słyszał plotki i żałował mnie; najpiękniejsza dziewczyna w hrabstwie poślubiła pijaka.

— Uważaliśmy, że trzeba działać bez jego udziału — powiedziałam. — Nie wiemy, kiedy wyzdrowieje na tyle, by wrócić do domu. — Tu przerwałam, gdyż głos mi się załamał pod naporem łez.

Adwokat przycisnął moją dłoń.

— Przepraszam, pani MacAndrew — stwierdził życzliwie. — Lepiej, gdybym nic nie mówił. Proszę już o tym nie myśleć, przepraszam.

Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam się lekko na odchodne, kiedy schylił się i pocałował mnie w rękę. Pospiesznie pokonałam schody i opadłam na poduszki w powozie jak ktoś bardzo znużony. Harry spostrzegł mój wyraz twarzy i pocieszającym gestem ujął mą dłoń.

— Nie smuć się tak, Beatrice. John wkrótce wyzdrowieje, jestem pewny. Może znów będziecie razem szczęśliwi. Celia z przekonaniem twierdzi, że wasze małżeństwo ma przed sobą przyszłość. Cokolwiek by się wydarzyło, ty, twój mąż i twój syn jesteście bezpieczni w Wideacre.

Skinęłam głową i odpowiedziałam uściskiem dłoni.

— Tak. Dokonaliśmy dziś wielkiej sprawy, Harry!

— W rzeczy samej — potwierdził. — Co powiemy Celii?

Zastanowiłam się szybko. Nie chciałam dziś rozmawiać z Celią, lecz z drugiej strony wiedziałam, że nigdy nie będę gotowa, aby jej to powiedzieć. Kiedy obwieścimy radosną nowinę o uchyleniu majoratu i uczynieniu spadkobiercami Julii i Richarda, Celia wystąpi ze sprzeciwem. Wiedziała przecież, że oboje są moimi dziećmi, lecz nawet się nie domyślała, że spłodził je jej własny mąż. Widziałam jednak, że nie lubiła, gdy dzieci bawiły się razem. I nie lubiła, gdy zbliżałam się do Julii.

— Pozwól, Harry, że pierwsza pomówię z Celią — odezwałam się rozważnie. — Ona boi się, że załamię cię wiadomością o jej bezpłodności. Chyba lepiej, abym zapewniła ją, że chociaż zdajesz sobie sprawę z jej stanu, nie martwisz się tym zbytnio, ponieważ znalazłeś sposób na uczynienie Julii swoją spadkobierczynią.

Harry kiwnął głową.

— Zawsze wymyślisz najlepsze rozwiązanie, Beatrice. Zawsze wprowadzasz w życie swoje plany. Ja myślę tylko o obiedzie. Zimne są te kwietniowe wieczory. Sądziś, że podadzą zupeł?

— Niemal na pewno — odrzekłam spokojnie. — Po obiedzie porozmawiam z Celią w saloniku, tak że możesz dłużej posiedzieć przy szklaneczce portwajnu. Nie przychodź do nas, zanim po ciebie nie poślę.

— Bardzo dobrze — zgodził się posłusznie. — Do portwajnu zamówię ser. Nie będę się spieszył z opuszczeniem jadalni, zapewniam.

Ser okazał się dobrym powodem do wstania od stołu. Celia natychmiast zaproponowała, abyśmy przeszły do saloniku.

— Zgoda — roześmiałam się. Wzięłam do kieszeni jabłko z misy owoców. — Wolę zjeść jabłko w saloniku, niż siedzieć przy stole z tym serem, Harry!

Harry, całkiem niezrażony, zachichotał.

— Jesteś doprawdy bardzo uprzejma — stwierdził. — Idźcie porozmawiać. Celio, Beatrice ma chyba dla ciebie dobre wieści, które cię ucieszą.

Oczy Celii rozbłysły. Spojrzała na mnie rozpromieniona uśmiechem.

— Och, Beatrice, chodzi o Johna? — spytała, gdy tylko zamknęły się za nami drzwi saloniku.

— Nie — odparłam. — Jeszcze nie. Ostatni list brzmi jednak zachęcająco. Doktor Rose mówi, że to kwestia miesięcy raczej niż dłuższego pobytu.

Celia kiwnęła głową, lecz wzrok jej przygasł. Wyglądała na gorzko rozczarowaną. Nie mogłam się powstrzymać z właściwą mi złośliwością od myśli, że lubujący się w obfitym jedzeniu Harry zamieniał się powoli ze złotego księcia (jakim go poślubiła Celia) w górę tłuszczu i gburowatego żarłoka. W tym samym czasie nerwowa, rozpaczliwa walka Johna z pijaństwem i z władzą, jaką nad nim miałam, wzbudziła w Celii miłość więcej niż siostrzaną.

Nie miałam jednak teraz ochoty, by wyciągać z Celi zwierzenia. Musiałam pokonać najpoważniejszą przeszkodę i cały wysiłek włożyłam w jej bezpieczne przekroczenie.

— Wiadomość jest jednak dobra — oznajmiłam.

Podeszłam do kominka i usiadłam w wielkim fotelu. Oparłam stopy na podnóżku, aby je ogrzać. Celia usadowiła się w przeciwległym fotelu, bacznie mnie obserwując. W migającym świetle kominka i blasku świec wyglądała jak uczennica, zbyt młoda, by mieszać ją w intrygi i półprawdy, lecz i zbyt poważna, by uwolnić się z potrzasku, w jakim ją trzymałam.

— Harry wie, że jesteś bezpłodna, i ubolewa, iż nie doczeka się dziedzica płci męskiej — odezwałam się obojętnym tonem.

Celia jęknęła cicho i podniosła dłoń do policzka, jak gdyby to nie serce ją zabołało, lecz zęby.

— Och — wyrzekła i zamilkła.

— Wpadł jednak na cudowny plan, aby przepisać posiadłość na własność Julii — ciągnęłam. — Pomysł należał do niego, lecz ja oczywiście pomogłam przy jego urzeczywistnieniu. Trzymaliśmy go przed tobą w tajemnicy, gdyż na początku chcieliśmy sprawdzić, czy rzecz jest wykonalna. I jest. Jest możliwe, aby Harry wykupił prawo majoratu od naszego kuzyna Charlesa i uczynił Julię spadkobiercą. Ona i Richard wspólnie odziedziczą Wideacre i razem będą tu gospodarować.

Na twarzy Celi malowało się zdumienie, a potem zgroza.

— Razem gospodarować? — spytała. — W jaki sposób wspólnie staną się dziedzicami?

Nadawałam swemu głosowi spokojne radosne brzmienie, lecz starannie doбираłam słowa. Czułam się strasznie. Czułam się zaniepokojona. To było jak pokonywanie nieznannej przeszkody na nieznanym koniu w nieznanym hrabstwie.

— Jako wspólnicy — stwierdziłam lekko. — Jak Harry i ja teraz.

— Jak Harry i ty — powtórzyła Celia. — Jak Harry i ty.

Siedziała zwrócona do mnie, lecz wpatrywała się w ogień. Zamglony wyraz brązowych oczu kazał mi się zastanowić, cóż widzi Celia w płonących drwach.

— Nie — odezwała się gwałtownie.

Podskoczyłam, nie udając zdumienia.

— Co?

— Nie — powiedziała. — Nie daję na to zgody. Nie życzę sobie tego. Nie uważam, że to dobry pomysł.

— Celio, co ty mówisz? — odrzekłam. Nie podobało mi się, że tak szybko wyraziła swoje zdanie, z tak niezachwianą pewnością.

— Nie życzę sobie, aby taki kontrakt został podpisany — podkreśliła z całą jasnością. — To ja jestem matką Julii i mam prawo zabierać głos w sprawie jej przyszłości. Nie życzę sobie, abyście realizowali ten plan.

— Celio, dlaczegoż nie? — spytałam. — O czym ty myślisz, o przeciwstawieniu się zamiarom Harry'ego?

Przerwała, ale tylko na chwilę. Patrzyła dalej w ogień, jak gdyby w rozżarzonych węglach widziała, jak kochamy się z Harrym szaleńczo przed tym właśnie kominkiem w momencie, gdy weszła mama.

— To trudno wyjaśnić — podjęła. — Ale nie życzę sobie, aby Julia angażowała się w prowadzenie gospodarstwa, tak jak ty to robisz. — Słyszałam w jej głosie rezerwę, jak gdyby obawiała się mnie urazić. Wyraźnie słyszałam jednak także jej stanowczość. — Wideacre tyle dla ciebie znaczy, Beatrice, że nie potrafisz zrozumieć, iż dziewczynkę może czekać również całkiem inne życie. Chciałabym, aby Julia kochała to miejsce jako dom swego dzieciństwa, lecz opuściła je z lekkim sercem, kiedy poślubi wybranego mężczyznę.

— Ależ ona będzie dziedziczką, Celio! — wykrzyknęłam. — Może poślubić wybranego mężczyznę, a potem mieszkać tutaj jak John i ja, jak ty i Harry. Będzie współwłaścicielką Wideacre. Nie mogłabyś ofiarować jej nic wspanialszego!

— Mówisz o sobie! Mówisz o sobie! — Celia mówiła cicho, lecz z przeszywającą dobitnością. — Najwspanialszym darem ode mnie będzie trzymanie Julii z dala od przekonania, że Wideacre to jedyne miejsce na ziemi godne zamieszkania. Że tylko to uczyniłoby ją szczęśliwą. Chcę, żeby była szczęśliwa gdziekolwiek. Chcę, żeby była szczęśliwa żyjąc uczciwie, z czystym sumieniem, dając i biorąc miłość z nieprzymuszonej woli. Nie chcę, aby uważała, że jej szczęście wiąże się nieodwołalnie z paroma akrami ziemi i przymierającą głodem, wynędzniałą wioską!

— Celio! — jęknęłam i spojrzałam na nią ze zgrozą. — Ty nie wiesz, co mówisz!

— Wiem — odezwała się z emfazą, patrząc mi teraz prosto w oczy. — Myślałam o tym długo, Beatrice. Myślałam o tym, odkąd wróciłyśmy z Francji do domu. Nie chcę, aby Julia dzieliła dom z inną parą małżeńską, choćby i najdroższą jej sercu. Kiedy wyjdzie za mąż, powinna zamieszkać z mężem, i tylko z nim. Nie chcę, aby wprowadziła się do domu innej kobiety, tak jak ja, i żeby patrzyła, jak jej mąż jest zaabsorbowany kim innym i z kim innym pracuje, tak jak mój mąż. Jeśli będzie kochała swego męża całym sercem, powinna mieć prawo do całego jego czasu i całej miłości.

— Ale byliśmy wszyscy tacy szczęśliwi — zaprotestowałam słabo. — Byliśmy tacy szczęśliwi.

— I w tym było coś niedobrego! — wybuchnęła Celia.

W trzech szybkich krokach przemierzyła odległość do mojego fotela i chwyciła mnie za ramiona, zmuszając do wstania. Badawczo wpatrywała się w moją twarz, jak gdyby czytając mi w duszy.

— Było w tym coś niedobrego — powtórzyła zdecydowanie. — Ty wiesz, co to było, a ja nie wiem. John wiedział, lecz nie mógł mi powiedzieć. Sądzę, że ta wiedza właśnie doprowadziła go do szaleństwa i do pijaństwa. Czuję to coś w każdym kącie domu. Czuję to coś w powietrzu. I nie chcę, by moje dziecko miało z tym czymś styczność.

— To jakiś nonsens — wyjąkałam.

Na myśl przyszła mi mama i to, co mówiła o obecności w domu grzechu: czegoś brudnego, czarnego, cuchnącego, lecz niewidocznego. Wierzyłam, że mama nie będzie miała odwagi i przenikliwości potrzebnej, by znaleźć źródło grzechu i stanąć z nim twarzą w twarz. I kiedy wreszcie ujrzała prawdę, dwugłową bestię przed kominkiem, umarła z przerażenia.

Celia jednak miała w sobie śmiałość, która pozwoliłaby jej na znalezienie zła w jego siedlisku i na zmierzenie się z nim. Uzbrojona w miłość do dziecka i w odwagę, Celia mogła przestąpić próg, na którym zatrzymały się podejrzania mamy.

— Przestań, Celio! — nakazałam raptownie. — Jesteś zdenerwowana. Nie będziemy więcej o tym rozmawiać dziś wieczór.

Skoro rzeczywiście nie podoba ci się ten pomysł, możemy wprowadzić zmiany. Teraz jednak napijmy się herbaty i połóżmy się wcześniej spać.

— Nie, nie przestanę i nie chcę herbaty, i nie położę się, zanim nie dowiem się czegoś więcej. Jaka rekompensatę dostał Charles Lacey? Jakie są warunki kontraktu?

— O ho, ho! — powiedziała swobodnie. — Interesują cię więc interesy? Cóż, dobrze, jeśli sobie życzysz! — Zasypałam ją lawiną wiadomości o opłatach za dzierżawę narzędzi i podniesieniu dzierżaw za ziemię, o skróceniu terminów spłaty pożyczek, o prawach chałupników, przyłączeniach wspólnych gruntów i cenach zboża. Jak sprzedać, kiedy zboże jeszcze rośnie na polu, jak grać na giełdzie zbożowej, gdy rośnie popyt, a inni farmerzy mają niskie plony — wspomniałam nawet o wygranej przeze mnie bitwie o prawo wodne. Wreszcie Celia zaczęła kręcić nienawykłą do tych spraw głową. — Tak więc zmieniliśmy nasze metody gospodarowania, aby mieć większe zyski, i sięgnęliśmy także po pieniądze z fortuny rodu MacAndrew — zakończyłam.

Skinęła głową, lecz nie w geście potwierdzenia, lecz aby otrząsnąć się. Nie zrozumiała pewnie ani słowa z tych kręactw.

— Pieniądze Johna? — spytała.

— Tak. To jakkolwiek by było, wkład Richarda na rzecz zyskania praw własności razem z Julią.

— Skorzystałaś z pieniędzy Johna bez jego zgody? — Nie podniosła głosu, lecz na jej twarzy malowało się wyzwanie.

— To tylko pożyczka — zapewniłam. — Zadaniem opiekuna jest dbanie o interesy pacjenta. A w interesie Johna oraz moim, jako jego żony i matki jego syna, było, aby osiągnąć maksymalny zysk. Pożyczka udzielona Wideacre da mu znacznie więcej niż dywidendy firmy ojca. I stanowi także zabezpieczenie przyszłości Richarda.

— Skorzystałaś z pieniędzy Johna bez jego zgody i bez jego wiedzy przypisałaś jego syna do Wideacre? — spytała z niedowierzaniem.

— Oczywiście — przyjęłam wyzwanie, patrząc jej prosto w twarz. — Każdy odpowiedzialny rodzic byłby z tego zadowolony, tak jak Harry i ja, że udało się uchylić majorat.

Potarła dłonią czoło, jak gdyby chciała zetrzeć wyraz zakłopotania. Bezskutecznie.

— To sprawa Johna i twoja — odezwała się skołowana. — Ja nie potrafię tego pojąć. Nie mogę uwierzyć, że Harry tak wykorzystał cały majątek Johna, i to podczas jego choroby, lecz jeśli kontrakt nie został podpisany, może sprawa zaczekałaby do powrotu Johna ze szpitala?

— Może, może — łagodziłam. — Nie jestem do końca pewna. To Harry wszystko przeprowadzał, nie ja. Ja podjęłam się tylko zapewnić cię, że chociaż Harry z bólem przyjął wiadomość o twojej bezpłodności, nie musicie być z tego powodu nieszczęśliwi, albowiem znalazł sposób, by wasza prześliczna dziewczynka odziedziczyła ziemię ojca.

— To ty zaplanowałaś, aby ona i Richard stali się współwłaścicielami — powiedziała Celia powoli. — Żeby wychowywali się razem na ziemi i razem poznawali tajniki jej uprawy.



Kiwnęłam głową.

— Jak i to, że razem z Harrym będziecie pokazywać im posiadłość i uczyć rolnictwa. A z czasem więź między nimi będzie coraz silniejsza. I jedynie ty i ja będziemy wiedziały, że to nie tylko wspólnicy, nie tylko kuzyni, lecz przyrodnie rodzeństwo.

— Tak — potwierdziłam. — Ale, Celio... — Ale my nie możemy im tego powiedzieć! Będą najlepszymi przyjaciółmi, towarzyszami zabaw i współnikami w interesach. Będą uważali się za cioteczne rodzeństwo, a nie rodzeństwo przyrodnie. Nauczą się kochać. Razem będą prowadzić interesy. Jak w tej sytuacji mogliby nagle odwrócić się od siebie i pokochać swoich narzeczonych? W jaki sposób moja Julia będzie mogła wieść życie dziewczynki z wyższych sfer, życie, które sobie dla niej wymarzyłam, skoro w wieku dwóch lat została współdziedziczką i współniczką chłopca, który nie jest jej mężem ani dalekim krewnym?

Obróciła się na pięcie, tak bym nie widziała jej twarzy, i zakryła ją dłońmi.

— To jakiś koszmar — wyrzekła. — Nie potrafię powiedzieć co, lecz Julii zagraża jakieś niebezpieczeństwo. Z tego właśnie powodu.

— Zachowujesz się głupio, Celio — oznajmiłam chłodno. Chwyciłam ją mocno za ramiona. Czułam, że drży jak spłoszone źrebę. — Wideacre to zajęcie dla całej rodziny — oświadczyłam spokojnie. — Julia zawsze będzie miała jakieś obowiązki na farmie. Będzie po prostu pracowała z Richardem, tak jak ja z Harrym.

To zapewnienie wyprowadziło ją z równowagi.

— Nie! — niemal wrzasnęła. — Nie! Zabraniam! Dałaś mi ją, twierdząc, że powinna być moim dzieckiem. Domagam się tylko swoich praw jako matka, która chce decydować o przyszłości dziecka. Nie będzie w takiej zażyłości z Richardem, jak ty z Harrym, bo obawiam się, że w waszej zażyłości kryje się coś niebezpiecznego. Nie potrafię tego nazwać. Lecz to coś wywołuje we mnie dreszcz przerażenia, gdy budzę się w nocy. Sama nie wiem, czego się boję, więc nie wysuwam pod waszym adresem żadnych zarzutów. Ja się boję, Beatrice! Boję się o Julię! Nie chcę, aby ona także stała się częścią siostrzano-braterskiego układu. Nie. Nie wyrażam zgody. Powiem o tym Harry'emu.

Rzuciłam się do drzwi i rozpostarłam ramiona, aby nie mogła wyjść.

— Celio, zaczekaj — poradziłam jej. — Nie biegnij do Harry'ego w takim stanie. On to opacznie zrozumie. Pomyśli, że się pokłóciłyśmy. Uspokój się i zastanów, co mu powiesz. Skoro nie chcesz, aby Julia dziedziczyła posiadłość razem z Richardem, kiedy dorośnie, zawsze może sprzedać swoją część albo on sprzeda swoją. Nie musisz popadać w takie przygnębienie z tego właśnie powodu.

Nie słyszała. Patrzyła na mnie, jak gdyby widziała mnie po raz pierwszy w życiu. Patrzyła ze zdziwieniem, z niedowierzaniem, jak gdybym miała piętno na czole, jak gdyby pająki chodziły mi we włosach.

— Odsuń się, Beatrice — powiedziała cicho i dobitnie. — Chcę porozmawiać z Harrym.

— Nie, dopóki jesteś taka wzburzona — błagałam, nie ruszając się.

— Odsuń się — powtórzyła.

Pamiętałam chwilę, kiedy stała przy kominku w bibliotece z kikutami zbitych butelek ociekającymi whisky.

— Zdenerwujesz Harry'ego — wyjaśniłam. — Zaplanował to wszystko, abyś była szczęśliwa.

— Odsuń się — powiedziała jeszcze raz i zerknęła na dzwonek. Przez ułamek sekundy zastanawiałam się, czy byłaby w stanie polecić głównemu lokajowi usunięcie mnie siłą od drzwi. Przyjrzałam się bacznie jej twarzy i wiedziałam już, że mam do czynienia z kobietą na granicy hysterii.

— Beatrice, prosiłam cię trzy razy — odezwała się, z trudem opanowując głos. A Celi w wpadającej w panikę obawiałam się bardziej niż panującej nad słowami. Gdyby zaczęła wrzeszczeć, że Richard i Julia są bratem i siostrą, byłabym niewątpliwie zgubiona. Dopóki jednak miała nad sobą kontrolę, a ja byłam obok, mogłam jakoś zatuszować całą scenę.

Otworzyłam przed nią drzwi salonu z ironicznym ukłonem i ruszyłam za nią do jadalni. Właśnie z kuchni wychodził lokaj, niosąc herbatniki dla Harry'ego. Psyknęłam na niego i natychmiast zniknął za obitymi ryplem drzwiami. Celia nie widziała nic, nie słyszała nic. Otworzyła gwałtownie drzwi jadalni, Harry aż podskoczył. Przed nim na talerzu piętrzył się ser i herbatniki, a w zasięgu ręki stał dzban portwajnu. Podbródek miał umazany masłem. Mogłam na nim polegać jak na bezbronnym osesku.

— Nie zgadzam się na te ustalenia — odezwała się Celia swoim wysokim stanowczym głosem. — Te dokumenty nie zostaną podpisane. Nie życzę sobie tego dla Julii.

Harry ze zdumienia otworzył szeroko niebieskie oczy.

— Ale to już się stało! — stwierdził po prostu. — Podpisaliśmy je dziś po południu. Majorat uchylono, a Richard i Julia zostali współspadkobiercami.

Celia otworzyła usta i krzyknęła, zawyla cienko niczym zwierzątko złapane w potrzask. Stała w bezruchu wpatrzona w Harry'ego, który napchał sobie herbatników do ust. Ja też zamarłam. Nie wiedziałam, co powiedzieć, aby powstrzymać Celię od mówienia. Ale zgroza i strach przed nieznanym zagrożeniem kryjącym się w zakamarkach Wideacre i w atmosferze tego domu, którą wszyscy oddychaliśmy, odebrały jej głos.

Miała wciąż otwarte usta. Zakwiliła niczym dziecko, kiedy przytnie sobie palce drzwiami. Przeniosła wzrok z Harry'ego, siedzącego nieruchomo przy stole, na mnie, stojącą za jego plecami. Nie mogła znaleźć słowa, aby wyrazić swe przerażenie. Wreszcie powiedziała: „John”. Uniosła jedwabne spódnice i wybiegła z pokoju.

Harry przełknął potężny kęs i spojrzał na mnie zdezorientowany.

— O co tu chodzi? — zapytał. — Co się z nią stało?

Wzruszyłam ramionami. Poczułam, że mięśnie mam zeszywniałe, jakby drewniane. Byłam chyba blada jak prześcieradło. Czułam, że władza i panowanie nad sytuacją wyslizgują się z moich rąk jak sycki piasek pokrywający wspólne grunty.

— Posłuchaj! — powiedziałam tylko.

Usłyszałam trzask drzwi wejściowych do zachodniego skrzydła. Natychmiast pomyślałam o moim biurku i obciążającym pliku listów do Johna, które nigdy nie dotarły do adresata. Bez słowa wyjaśnienia rzuciłam się w ślad za Celią do swego gabinetu. W pokoju było ciemno; Celia tu nie zaglądała.

Zawołałam ostro: „Celio!”. Bez odpowiedzi. Nie wiedziałam, dokąd pobiegła. Sprawdziłam mój salonik w zachodnim skrzydle, ale chociaż świece się paliły i płonął ogień w kominku, na zgrabnej sofie nie zastałam szlochającej Celi. Pospieszyłam po schodach do mojej sypialni, do pokoju Johna, zajrzałam nawet do pokoju

dziecinne, gdzie mój syn spał jak rozczochrany aniołek. Nigdzie śladu Celi. Wtem usłyszałam stukot kół na brukowanym dziedzińcu stajennym. Podbiegłam do okna. Celia wsiadała do podstawionego powozu.

— Celio! — zawołałam. — Zaczekaj!

Trzęsącymi się palcami zmagalam się z klamką. Wreszcie okno ustąpiło.

— Stój! — wrzasnęłam.

Chłopcy stajenni podnieśli głowy, lecz spokojnie zamknęli drzwi powozu Celi.

— Stój! Zaczekaj!

W oknie powozu pojawiła się głowa Celi. Zobaczyłam, że wydaje polecenie stangretowi, aby ruszał. Znałam tego stangreta. Dałam mu to zajęcie ledwie sześć lat temu, kiedy papa szukał nowego woźnicy. Powiedziałam papie, że Ben należy do tych ludzi, co potrafią dosłownie z czarować konie w zaprzęgu. Nie pamiętałam jego nazwiska. Dla nas od zawsze był „stangretem Benem”. Urodził się i wychował w Wideacre. Ja dałam mu pracę. Ja mu płaciłam pensję. Wiedziałam, że się zatrzyma, że Celia będzie musiała wyjść z powozu, a potem razem z Harrym jakoś ją udobruchamy, otumanimy i wyprowadzimy w pole, klucząc, dopóki nie uleci z niej cała odwaga i animusz. A ja będę, tak jak sobie założyłam, orać i kosić, niszcząc wszystko, co mi stanie na drodze.

— Stangrecie Benie! — zawołałam dźwięcznym głosem. — Zaczekaj! Już schodzę!

Zatrzasnęłam okno i pomknęłam po schodach. Trwało to niecałą minutę i już wypadłam przez drzwi wejściowe na dziedziniec stajenny, kiedy usłyszałam odgłos toczących się kół powozu i spostrzegłam światła zakręcającego w oddali pojazdu. Wyjeżdżał na drogę prowadzącą do Acre, a stamtąd jak się domyślałam, do Bristolu, do Johna.

— Stój! — wrzasnęłam jak handlarka ryb za znikającymi światłami. Rozglądałam się wściekła za chłopcem stajennym, aby go posłać za powozem z rozkazem, by Ben się zatrzymał. Panienska Beatrice żądała, aby natychmiast zawrócił. Nagle gniewne polecenia zamarły mi na wargach. Stałam nieruchomo w chłodzie kwietniowej nocy i trzęsłam się z zimna, które poczułam w sercu.

Wiedziałam, dlaczego stangret się nie zatrzymał. Przypomniałam sobie jego nazwisko. Tyacke.

Bratanek Gaffera Tyacke'a.

Zawróciłam na pięcie i bardzo wolno weszłam do domu. Harry wciąż siedział przy stole, aczkolwiek był zaniepokojony tak dalece, że przestał jeść.

— Gdzie Celia? — spytał.

— Odjechała — odparłam ciężko i opadłam na krzesło naprzeciwko brata.

Patrzyliśmy na siebie przez całą długość wielkiego stołu w jadalni, tak jak owego dnia gdy kochaliśmy się po raz pierwszy na nizinach. Dawno, dawno temu. Harry posunął w moją stronę karafkę z portwajnem. Wzięłam czystą szklankę i nalałam szczodłą miarkę. Wypiłam duszkiem. Trunek rozgrzał mi gardło i żołądek, lecz gniotący ciężar strachu pod żebrami pozostał zimny. Któż mógł przypuszczać, że jedno namiętne popołudnie na nizinach zaprowadzi nas tak daleko. Na początku każdy krok wydawał się tak łatwy, tak bezpieczny. I oto teraz młodzieniec, który napelniał mnie pożądaniem, stał się pulchnym starzejącym się dziedzicem. Zbyt głupim, aby umieć skłamać własnej żonie. Zbyt głupim, aby dbać samemu o swoje sprawy. A olśniewająca wszystkich dziewczyna też gdzieś zniknęła. Po trochu. Najpierw w wypadku, który zabił jej papę.

Potem w pułapce, która zgruchotała nogi Ralpa. Trochę z obrazu tej dziewczynki zgasło niczym zdmuchnięta świeca, kiedy matka wyzionęła ducha. I tak jak kropla po kropli z topniejącego sopła, dziewczynka, którą niegdyś byłam, ulatniała się. Została tylko bryła lodu w miejsce serca.

— Dalej nie rozumiem, co się tu dzieje — odezwał się Harry głupawo. — Czemu Celia była taka zdenerwowana? Dokąd odjechała? Przecież o tej porze nie jeździ nigdy z wizytami? Czemu mi nie powiedziała, że zamierza dokądś jechać?

— Jak można być tak tępym! — stwierdziłam ostro. — Widzisz przecież świetnie, że Celia i ja pokłóciłyśmy się. Nie proszę cię, żebyś brał moją stronę, więc nie musisz udawać, że nie wiesz, o co chodzi. Celia wolałaby, żeby Julia straciła prawa do Wideacre, niż gospodarzyła tu dalej wspólnie z Richardem, tak jak ja i ty. Nie podobał mi się ton jej głosu. Posprzeczałyśmy się. A teraz Celia się ulotniła. Przypuszczam, że pojechała odwiedzić Johna. Wyobraża sobie, że opowie mu, co zrobiliśmy z jego fortuną. Poprosi go też, aby pomógł jej rozwiązać nasze problemy i unieważnić kontrakt między Julią a Richardem.

Harry ziewnął.

— Niedobrze — powiedział.

Posunęłam ku niemu karafkę. Nalał sobie szklaneczkę i popchnął karafkę znów w moją stronę. W powietrzu unosił się zapach spisku. Harry nie wiedział wiele, lecz zdawał sobie sprawę, że jego komfort i zamożność znalazły się w niebezpieczeństwie i zamierzał w razie jakiejś burzy nad Wideacre stanąć po mojej stronie.

— Nie mogą tego dokonać bez naszej zgody, prawda? — spytał.

— Prawda. Nie mogą też namówić Charlesa Lacey'a do oddania pieniędzy rodu MacAndrew. Tak więc nie mogą zrobić nic.

— Twierdziłaś, że John będzie zadowolony — odezwał się Harry bezsensownie. — Twierdziłaś, że Celia także będzie zadowolona.

— A skąd mogłam przypuszczać, że nie będą zadowoleni? Śmiem sądzić, że John będzie szczęśliwy, o ile Celia nie zaatakuje go opowieściami, jak to go ograbiliśmy za plecami, aby zapewnić przyszłość twojej córce.

— Z pewnością Celia nigdy nie zdobędzie się, by coś takiego powiedzieć! — zaprotestował Harry. — Wie, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Celia jest lojalna. Nie obróci się przeciwko mnie.

— Tak, lecz sądzę, że udzieliło jej się szaleństwo Johna. Zanim go zabrano, gotowa była niemal uwierzyć, że chcę mu zrobić na złość, wysyłając go na leczenie, albo może chcę zagarnąć jego fortunę. To oczywiste szaleństwo.

— No tak — Harry zaczynał się niepokoić.

— Chyba żadne z nas nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo zbliżyli się do siebie ci dwoje. Po śmierci mamy Celia spędzała z Johnem mnóstwo czasu. Rozmawiali w saloniku lub spacerowali razem w ogrodzie różanym.

— Ona kocha go jak siostra — oświadczył Harry stanowczo.

— Mam nadzieję, że to nic więcej. To byłoby coś strasznego, gdyby troskliwość Celi sprowadziła ją na manowce, skoro nawet teraz martwi się o fortunę rodu MacAndrew, nie myśląc o szczęściu twoim i twojego dziecka.

Harry osłupiał.

— To niemożliwe — oznajmił.

— Z pewnością nie — zgodziłam się gładko. — Tylko ten jej wypad do Bristolu... Wygląda na to, jak gdyby łączyła siły z Johnem przeciwko nam. Przeciwko tobie, mnie i Wideacre.

Harry znów sięgnął po karafkę i drżącymi palcami posmarował herbatnik masłem.

— To czyste szaleństwo! — wybuchnął. — Odkąd mama zmarła, nic nie toczy się normalnym trybem! John oszalał, a teraz jak twierdzisz, Celia też zachowuje się dziwacznie. Gdybym usłyszał od niej jakąś nonsensowną ocenę naszych posunięć w interesach, zareagowałbym ostro, natychmiast. Ona nie zna się przecież kompletnie na ziemi. W rzeczy samej to cieszyłem się nawet, że nic nie wie o rolnictwie, lecz nie może próbować mieszać się do tych spraw.

— Racja, Harry — mówiłam spokojnie, lecz odetchnęłam z ulgą. — Byłeś zbyt delikatny, zbyt pobłażliwy dla Celi, skoro wydaje się jej, że może nagle w środku nocy wyjechać, bez służącej, aby rozmówić się ze swoim szwagrem, a moim mężem, w naszych osobistych poufnych sprawach.

— Słuszne, zaiste! Jestem zde gustowany zachowaniem Celi. I powiem jej to, kiedy wróci do domu.

— Dobrze. Uważam, że trzeba to powiedzieć — tu przerwałam. Harry wiercił się na krześle coraz bardziej wzburzony. Wiedziałam, co teraz nastąpi, i zgadzałam się z rezygnacją na godzinę lub dwie spędzone w pokoju na poddaszu. Znałam Harry'ego. Ostatnio rzadko bywaliśmy w sekretnym pokoju. Harry stał się zbyt leniwy, by myśleć często o tajemnych rozkoszach. Nie straciły one jednak w jego oczach na atrakcyjności. Nalał sobie szklaneczkę i sięgnął po moją. Uniosłam się na krześle, aby mu podsunąć szklanke, a wzrok Harry'ego spoczął na mych piersiach.

— Mmmm, Beatrice? — odezwał się, siadając.

Uśmiechnęłam się spod ciężkich powiek.

— Tak, Harry?

— Skoro nie ma i Celi, i Johna... — nie dokończył celowo.

Oddychał szybko, płytko. Rzuciłam mu spojrzenie wyzywające i zapraszające zarazem.

— Pójdę rozpalić w kominku — zdecydowałam. — Za dziesięć minut, Harry.

Westchnął rozmarzony i posmarował masłem następny herbatnik. Wyśliznęłam się z pokoju niczym wąż i cicho zamknęłam drzwi. Jedz tak dalej, Harry, a umrzesz w ciągu trzech lat, pomyślałam beznamietnie. Wtedy mój syn Richard i moja córka Julia odziedziczą wspólnie Wideacre, a ja jako ich opiekun będę jedynym panem posiadłości, do momentu przekazania jej w ręce ukochanego syna. I ani Celia, ani John mnie nie powstrzymają.

Nie wysłałam za Celią ekspresowej karety pocztowej. Nie wysłałam też lokaja na wierzchowcu, aby ją zatrzymał. Jeśli spokojna, układna, myszkowata Celia mogła śmignąć z domu ledwie z szalem na głowie, jak obłąkana wieśniaczka, zdolna jest także pędzić teraz bez postojów i żaden dylizans pocztowy nie dowiezie listu do doktora Rose'a przed przybyciem Celi. Stangreta Bena Tyacke'a nie zatrzymałby i nie zawrócił żaden lokaj.



Ben słuchał się lady Lacey. Ben nosił nazwisko Tyacke i kochał swego stryja, więc moje polecenie powrotu zagrzałoby go do jeszcze szybszej jazdy.

Mogłam liczyć tylko na to, że John nie doszedł całkiem do równowagi, że Celia jest zdenerwowana i zrozpaczona, a doktor Rose nie ma do nich obojga zaufania, co sama bezwiednie mu sugerowałam niczym czarownica, a tak mnie przecież nazwano. Nie mogłam nic zrobić. Doszłam do tego wniosku, siedząc w porannej kąpieli przy kominku w mojej sypialni. Lucy zadzwoniła po dodatkowe szafliki gorącej wody. Odebrała je na progu od lokaja i wylewała dzbankiem parzącą wodę na moje plecy. Oparłam palce stóp na brzegu balii i cała zanurzyłam się w pachnącej, niemal wrzącej wodzie.

— Panienko Beatrice, poparzy się pani — uprzedzała Lucy, kiedy ruchem ręki kazałam włączyć następny dzban.

— Tak — odparłam radośnie i rozkoszowałam się temperaturą niemal nie do zniesienia.

Dziesięć palców u nóg zaróżowiło się od gorąca, a pośladki i całe ciało musiały chyba spurpurowieć. Po nocy maltretowania, bicia i wyklinania Harry'ego w szale uniesień czułam potrzebę oczyszczenia. Mogłam nosić na miedzianych włosach ślad wszystkich zbrodni Wideacre — a to i owo miałam przecież na sumieniu — lecz nie tolerowałam odoru parszywych przyjemności, którym oddawał się Harry. Kiedy ogarniała mnie tęsknota za zmysłową ekstazą, myślałam o prawdziwym mężczyźnie biorącym mnie na łożu lub na trawie. Harry żądał natomiast coraz to nowych tortur, pieszczot i sztuczek. Jego pulchne trzęsące się ciało nie wzbudzało we mnie ani żądzę, ani nienawiści, lecz jakąś chłodną pogardę, jeszcze bardziej go podniecającą. Zażądałam więcej gorącej wody. Musiałam zetrzeć, wyparzyć obmierzłe pocałunki Harry'ego ze swojej skóry.

Nie zrobiłam nic i nie mogłam nic zrobić. Myślałam o tym, kiedy Lucy lała wodę, a potem na skinienie nacierała mi kark słodko perfumowanym mydłem, powoli, kolistymi ruchami, aż do mokrej linii włosów.

— Mmmm — wymamrotałam z rozkoszy i zamknęłam oczy.

W najgorszym, doprawdy najgorszym razie, Celia i John mogli wrócić do domu jako para aniołów mścicieli, aby zniszczyć Wideacre, ów ogród zepsucia, w którym wyrosłam. Gdyby John domyślił się, że Harry jest ojcem Richarda i poznałby tajemnicę Celi — że Julia także jest moim dzieckiem, miałby wszystkie brakujące elementy układanki. To by mnie zrujnowało.

Nie zamierzałam jednak poddawać się bez walki. Sądziłam, że mam szansę przeżycia. John opuszczał sterylny świat dobrej kliniki psychiatrycznej nieprzygotowany do obłąkanego biegu spraw świata zewnętrznego. Zrobiłam z niego szaleńca i byłabym zdolna podobnie postąpić z Celią. Oboje gadali od rzeczy. Nikt by im nie uwierzył. Przekonywająco zabrzmiałaby opowieść o tym, jak to ich pożądanie i poczucie winy doprowadziło Johna do pijaństwa, a Celię do szaleństwa; razem śnili koszmarnie sny na jawie: potwory, rozorane ropuchy, okaleczone zające. Absurd. Nikt nie uwierzy tym dwojgu, dopóki będę dumnie obnosiła głowę niczym królowa, każdą zaś prawdę odpierała jako najnikczemniejszą kalumnię.

Nie sądziłam jednak, że zdołają złożyć obie połówki obrazu.

— Nie przestawaj — poleciłam Lucy, która posłusznie masowała mi gąbką na przemian to jedno ramię, to drugie.

John stawał do walki jak gdyby z jedną ręką związaną za plecami. Krępowała go miłość do Celi. Wiedziłam o tym. Obserwowałam go w pierwszych dniach po powrocie ze Szkocji. Miotał się wtedy między

pijaną rozpaczą, nienawiścią do mnie i przerażeniem, że oto spada na nas wszystkich jakaś groźna sieć. Gdyby chciał wydać mnie przed Celią, rozbić jej małżeństwo, złamać jej serce odrażającą prawdą o jej ukochanym mężu, zrobiłby to właśnie wtedy. A nawet kiedy skręcał się na podłodze saloniku w kaftanie bezpieczeństwa, nie zdradził tajemnicy. Nie mnie krył. Chronił Celię przed otchłanią grzechu, jaka rozwarła się pod jej stopami. Celia mogła mnie wydać przed Johnem w panicznej paplaninie, lecz ja mogłam ufać memu opanowanemu mężowi, że nawet znając całą prawdę, zachowa ją dla siebie.

I nie bałam się Celi. Jeśli wróci sama albo zdecyduje się działać w pojedynkę, nie obawiałam się, że mnie wyda. Dała przecież słowo honoru, które jak sobie wyobrażałam, znaczyło dla niej bardzo wiele. Kiedyś mnie kochała i to ją również mogło powstrzymać. Poczucie odpowiedzialności gnębiło Celię tak jak moja głupia mamę, zaś wydać mnie — oznaczałoby zniszczyć dobre imię Laceyów. A do tego Celia kochała nade wszystko Julię. Gdyby wydała mnie, matkę Julii, nawet zhańbiona mogłabym dochodzić swoich praw do Julii i zabrać ją. Przeżywając psychiczne i moralne katusze, Celia nigdy nie zaryzykowałaby utraty Julii. Tu nie myślałam się w swych chłodnych kalkulacjach. Najmniejsza aluzja z mojej strony — a Celia wycofa się z ataku na mnie.

Zgięłam kolana, aby łącznie z ramionami zanurzyć się i opłukać namydlone ciało. Miałam w ręku ich oboje. Oboje przeżywali miłość, co czyniło ich słabymi dla otoczenia. Ja nie dźwigałam tego ciężaru; byłam wolna w porównaniu z nimi. Moja miłość do Richarda nie owdłoneżała mnie, nie odebrała kontroli nad sobą. Szłam własną drogą. Knulałam intrygi dla dobra Richarda, lecz nie poświęciłabym swojej osoby dla niego. A Celia i John nie mieli władzy nad sobą. A skoro tak, nie powinnam się ich obawiać.

— Poproszę ręcznik. — Lucy przyniosła szorstkie lniane ręczniki spod kominka, gdzie się grzały. Wycierałam się energicznie, aż różowa skóra zaczęła kłuć, a potem wyszczotkowałam jedwabistą miedzianą grzywę włosów opadających na plecy swobodnie, miękko niczym atlas. Dwie cięższe nie zostały na moim ciele ani śladu. Brzuch był dalej płaski, sprężysty, piersi okrągłe i jędrne, nogi zaś długie i szczupłe, bez szpecących rozstępów.

Przeciagnałam dłonią od karku poprzez sterczącą krzywiznę piersi aż do delikatnych loczków między nogami. Wciąż byłam urocza. I wkrótce będę potrzebowała kochanka. Prawdziwego kochanka, nie niedołęgi jak Harry, lecz mężczyzny, który będzie się ze mną śmiał, baraszkował, zadawał mi ból i rozkosz. Westchnęłam i strzeliłam palcami na Lucy, aby podała moje halki. Pamiętałam miłosne namiętne boje z Ralphem. Bóg raczy wiedzieć, czy znajdę kiedyś kogoś podobnego. Raczej powinnam poddać się tylko tęsknocie.

I czekać. Czekać, aż miną trudne czasy. Czekać na dobre plony, które pozwolą myśleć o odciążeniu Wideacre z długów. Czekać na wielki złoty snop zboża, który pozwoli ludziom trochę odetchnąć, odłożyć trochę pieniędzy, tak by zapomnieli o tym okrutnym roku, a zapamiętali następne, lepsze lata mojego panowania.

Tego dnia musiałam spędzić w kantorku kolejny ranek, próbując dojść do ładu z liczbami. Pan Llewellyn udzielił nam dotychczas trzech pożyczek pod zastaw ziemi: wspólnych gruntów, szkółki leśnej i dożywocia Celi. Aby zacząć spłacać pożyczkę, musiałam zaciągnąć dług u naszych bankierów; hodowla zwierząt chwilowo podupadała. Procenty bankowe były niższe i cieszyłam się, że dałam Wideacre trochę oddechu, lecz bankierzy mogli podnosić oprocentowanie według własnego uznania i wkrótce przewyższyły one

żądania pana Llewellyna. Śmieszna sytuacja — pożyczalam pieniądze, aby spłacać pożyczkę. A gdybym zalegała ze spłatą któregośkolwiek długu, czekały mnie kary umowne.

W zeszłym miesiącu byłam zmuszona sprzedać parę tłustych baranków na rynku i dostałam za nie mniej, niż na to zasługiwały, bo rozpaczliwie potrzebowałam gotówki. W tym miesiącu mijał termin spłaty części pożyczki Llewellyna i bankowej. Stałam przed koniecznością sprzedania ziemi. Nie mogłam przecież wyprzedawać inwentarza przed sezonem. Musiał istnieć jakiś sposób wydostania się z tej spirali długów, lecz jeszcze go nie wymyśliłam. I nikt nie mógł mi udzielić rady. Znałam tylko jednego człowieka, który orientował się w metodach działania londyńskich finansistów. Tylko jeden człowiek mógł potwierdzić to, czego się obawiałam: bawili się ze mną tak, jak rybak igra z łososiem.

Chociaż rozmawiałam prywatnie z dwoma, trzema bankierami, moje słowa rozległy się echem we wszystkich bankach: Wideacre, posiadłość, której zagraża ruina, czeka na zręcznego rybaka i jego sieć. Tylko jeden człowiek umiałby mi doradzić. Niestety ten człowiek radził teraz Celi, jak pokrzyżować mi plany. Wracał z Celią do domu.

Liczyłam dni od wyjazdu Celi, kiedy schodziłam na śniadanie. Wyruszyła wieczorem, dzień drogi do Bristolu, dzień lub dwa na odwiedzenie Johna i przekonanie doktora Rose'a, aby zwolnił pacjenta, a potem dwa dni drogi do domu. Głowa w głowę w powozie. Zjednoczenie umysłów planujących mój upadek.

Liczyłam na cztery do pięciu dni i miałam rację. Czwartego dnia po południu powóz wtoczył się po podjeździe, ubłocony, ze zbitą jedną lampą. A w środku — ich dwoje.

— Oto są — powiedziałam krótko do Harry'ego. — Wiesz, co robić. Omówiliśmy wszystko i jestem pewna, że masz słuszość. Ona usiłowała się wmieszać do naszych spraw. Uciekła z domu do innego mężczyzny, do mojego męża, jak szalona. Naraziła rodzinę Laceyów na komentarze w całym hrabstwie.

Harry kiwnął głową. Oddychał szybko, a oczy mu błyszczały.

— Powinna zostać ukarana — powiedział, a ja przypominałam sobie jego brutalne zabawy w zdeprawowanej szkole.

— Tak — zgodziłam się. — Traktowaliśmy ją wszyscy jak kruchą porcelanę. Natychmiast przywołaj ją do porządku i weź od niej to, co ci się należy. Ty jesteś mężem. Masz prawo. Idź i rozmów się z nią.

Harry znów skinął głową.

— Ale jak ktoś by mógł skrzywdzić Celię? — odezwał się, pragnąc utwierdzić się w tym przekonaniu.

— Prawdziwy mężczyzna mógłby — wodziłam go na pokuszenie. — A zwłaszcza ty, Harry. Pamiętasz chłopców z twojej szkoły? Poza tym Celia może być ci droga, lecz nie możesz pozwolić, aby zachowywała się w ten sposób. Uciekła od ciebie do Johna. Jeśli chcesz zatrzymać ją przy sobie, musisz jej pokazać, kto tu jest panem. Ty jesteś dziedzicem. Jesteś jej mężem. Możesz jej zrobić, co ci się żywnie podoba. Nie słuchaj tylko tego, co ci powie. Po prostu przywołaj ją do porządku.

Harry otworzył szeroko niebieskie oczy i dyszał. Przeszedł obok tacy ciastek, nawet jej nie zauważając. Sunął do drzwi frontowych rozpierany żądzą odwetu. Usłyszeliśmy odgłos zajeżdżającego powozu. Harry dotarł do drzwi przed Stride'em. Celia wysiadła, nie czekając na schodki. Nosiła suknię, w której wyjechała, teraz wygniecioną i zmiętą po długiej podróży. Nie wyglądała jak lady Lacey dzierżąca władzę nade mną i Harrym. Była wyczerpana i lekko wystraszona.

— Harry? — powiedziała z wahaniem i po schodach podeszła do niego.

Harry stał niewzruszony przy drzwiach.

Był wspaniały. Nie odezwał się ani słowem. Wyglądał niczym tłusty heros z objazdowego teatrzyku. Zachował kamienną twarz. Przystanąła obok i położyła drobną dłoń na jego ramieniu.

— Harry? — powtórzyła.

Chwycił ją mocno, aż zbladła z bólu, a potem bez słowa wciągnął ją do domu i pognął głównymi schodami na pierwsze piętro. Słyszałam ciężkie kroki Harry'ego zmierzającego korytarzem do sypialni. Drzwi otwarły się i zamknęły, na klucz. Odwróciłam się w stronę powozu. Cokolwiek się działo za tymi drzwiami, nie obchodziło mnie to. Celia zostanie upokorzona i padnie ofiarą ohydnej żądz Harry'ego. Jeśli stawi opór, Harry pobije ją lub zgwałci. Jeśli podda się bez walki, zostanie naznaczona w duszy brudem perwersyjnej rozkoszy i nigdy nie spojrzy prosto w oczy Johnowi ani nie będzie mi wygrażać w moim własnym gabinecie. Poniżona, starta w proch.

Uśmiechnęłam się.

John dojrzał mój uśmiech, wysiadając z powozu. Mimo słońca dygotał, jak gdyby zimny wiatr dał mu prosto w kark. Wyglądał zdrowo. Twarz straciła spłoszony, desperacki wyraz. Przybrał na wadze, był smukły i zgrabny. Znikły cienie pod oczami, napięte przedtem mięśnie szyi rozluźniły się. Ciężkie przejścia pozostawiły ślad: dwie bruzdy wokół poważnych ust oraz dwie głębokie zmarszczki nad brwiami, robił jednak wrażenie człowieka silnego i pogodnego. Był nieskazitelnie ubrany, z właściwą sobie starannością, w czarny garnitur, śnieżnobiałą koszulę i gruby czarny płaszcz podróżny. Popatrzyliśmy sobie w oczy, długo, nieugięcie. Wyglądał jak człowiek, którego niegdyś kochałam, teraz jednak staliśmy się zaprzysięgłymi wrogami. Nie wyrzekłam ani słowa powitania, lecz obróciłam się na pięcie i poszłam do saloniku.

Spokojnymi rękami nalałam sobie filiżankę herbaty. Pokojówka nie proszona wkroczyła z jeszcze jedną filiżanką i talerzem, a za jej plecami jak gdyby nigdy nic, jak gdyby w ciągu minionych pięciu miesięcy codziennie pijał ze mną herbatę, pojawił się John, mój mąż. Zamknął z trzaskiem drzwi salonu. Zastanawiałam się, czemu ten dość niewinny odgłos wywołał we mnie dreszcz przerażenia.

Zostałam sam na sam z moim mężem.

— Herbaty? — spytałam uprzejmie. — Ciasteczek? A może kawałek keksa?

— Jeśli można, najpierw porozmawiajmy — odparł zrównoważonym dźwięcznym głosem.

Wyleczył się ze strachu przede mną i z potrzeby napicia się alkoholu, gdy tylko poczuł w pobliżu mój cień. Straciłam władzę nad nim. Stałam przy kominku i swobodnym gestem oparłam rękę na kamiennej obudowie. Chciałam ukryć niepokojące drżenie kolan.

John przeszedł na środek pokoju. Górował teraz nad przestrzenią salonu. Płaszcz podróżny o obszernych połach wydawał się nie mieścić w czterech ścianach. Wypolerowane czarne wysokie buty zajmowały cały dywan. Kapelusz położony na krześle wprowadził do kobiecego saloniku oznakę męskiego panowania i zagrożenia ze strony mężczyzny. Trzymałam się mocno obudowy kominka i nie dałam nic po sobie poznać.

— Nie mam ci nic do powiedzenia — oświadczyłam.

Mój głos zabrzmiał zdecydowanie. Nie mógł się zorientować, że się boję. Za dobrze się pilnowałam.

— Za to ja mam tobie wiele do powiedzenia — odrzekł.

Zerknęłam na drzwi. Złapałby mnie, zanim dobiegłabym do nich. Pomyślałam o zadzwonieniu na służbę pod pretekstem zamówienia dodatkowego wrzątku, lecz porzuciłam ten pomysł. Właściwie to był moment równie dobry jak każdy inny, aby stanąć z Johnem twarzą w twarz. Do takiego spotkania na pewno doszłoby jeszcze tego samego dnia. Teraz, zmęczony po podróży, był tu ze mną sam, bez Celi i Harry'ego. Zaczęło mnie ogarniać ciepłe uczucie ulgi: oto wzbierał we mnie gniew, wiedziałam więc, że gdyby mi groził, podejmę wyzwanie i pokonam go. Nie byłam kobietą siedzącą jak mysz pod miotłą ze strachu, że zabiorą jej dzieci. Ja walczyłam o siebie i swoje dziecko, o prawa spadkowe dla swego dziecka i o własny dom. Nie po to zubożyłam posiadłość, przyłączyłam pola i zamordowałam najwspanialszych chłopaków we wsi, aby teraz zamienić się w kłębek nerwów, czując na sobie spojrzenie surowych niebieskich oczu męża.

— Wiem, co zrobiłaś — oznajmił. — Celia powiedziała mi wszystko, co wiedziała, i zrozumiałem, co zrobiłaś.

— Może mi łaskawie wyjaśnisz, co takiego zrobiłam? — spytałam lodowatym tonem.

— Masz dwóch bękartów spłodzonych przez twego brata — odparł równie zimnym tonem. — Jednego oddałaś Celi, a ta przedstawiła dziecko Harry'emu jako własne. Jednego usiłowałaś wmówić mi. Potem zamknęłaś mnie w szpitalu dla obłąkanych, o tak, moja droga, wielkie dzięki, a wszystko po to, aby ograbić mnie z majątku, aby kupić dla swojego syna prawa do dziedziczenia i połączyć dzieci wspólnotą majątkową.

Zacisnęłam dłoń na ramie kominka, aż pobieleły mi kostki, ale nie powiedziałam ani słowa.

— Muszę rozplątać tę gmatwaninę grzechu i matactwa. Muszę uwolnić nas wszystkich. Niektóre kontrakty i ustalenia da się zerwać i zrobię to. Trzeba oczyścić dzieci z hańby, jaką je naznaczyłaś, i z piętna, jakie na nich wywarła ta przeklęta ziemia. Trzeba wyciągnąć Celię z bagna grzechu i podłości, w które ją wmieszałaś. A ona może uratuje Harry'ego przed tobą.

— A zatem jesteś gotów zawisnąć na szubienicy? — spytałam oschle. — Zapowiedziałam ci: przysięgnę, że zabięś mamę. Tylko jedno twoje słowo przeciwko mnie, a poczujesz pętlę na szyi. Jesteś już zmęczony życiem, John? Jesteś gotowy na śmierć?

Śmiało spojrział mi prosto w oczy, a ja poczułam ciarki na plecach. Zdałam sobie sprawę, że straciłam ten punkt przewagi.

— Przyjmę, co los przyniesie. — W jego oczach odbijała się siła większa niż moja. — Jestem gotów stanąć przed sądem, aby cię zdemaskować, Beatrice. Żaden sąd w kraju nie orzeknie mnie winnym zabójstwa, czy nawet zabójstwa z premedytacją, bez wysłuchania wyjaśnień, dlaczego serce twojej mamy zatrzymało się owej nocy. Zostaniesz zdemaskowana przed całym światem jako dziwka uprawiająca kazirodztwo, jako matka dwóch bękartów, jako złodziejka. Jesteś na to gotowa, moja piękna żono?

— Nie odzyskasz swoich pieniędzy — stwierdziłam z zawziętością. — Straciłeś je na zawsze. Znalazły się w rękach Charlesa Lacey'a i o ile go znam, wydał je już w połowie.

— Nie odzyskam — przyznał. Patrzył teraz nie na mnie, lecz przez okno, na zieloną linię horyzontu. — Nie, lecz mogę ocalić dzieci przed tobą... i Celię także.

— Dziwny sposób ratowania — odparłam szorstko. — Ratunek poprzez twoją śmierć. Może i zostanę potępiona, lecz Celia nie będzie miała gdzie mieszkać. Tylko tutaj. A Harry, chociaż pohańbiony, pozostanie



dziedzicem. Będziemy sobie dalej żyli w Wideacre. Bez ciebie. Jesteś gotowy na śmierć, która niczego nie zmieni?

— To nie ja jestem gotów na śmierć, Beatrice — powiedział i odwrócił się. Patrzył teraz, płoną nienawiścią, lecz z żywym zainteresowaniem. To były oczy dawnego doktora MacAndrew, najrzęczniejszego lekarza, jakiego kiedykolwiek wydał Edynburg. — Lecz ty — oznajmił gorzko — zagubiłaś się gdzieś na wyboistych drogach grzechu, po których podróżujesz. Uszło z ciebie życie, Beatrice.

Dopadł mnie w dwóch susach i uniósł mój podbródek. Wystawianie twarzy na światło sprawiało mi ból, lecz patrzyłam z pogardą, starając się ukryć strach.

— O tak, jesteś urocza jak zawsze — stwierdził beznamiętnie. — Nie masz już jednak w oczach tej iskry co kiedyś, a wokół twoich ust pojawiły się bruzdy, też kiedyś nieobecne. Co ci dolega, moja droga? Czy tak głęboko ugrzęzłaś w bagnie zepsucia, że nie potrafisz się wydostać? Czy ziemia obróciła się przeciwko tobie? Nie umiesz już czarować plonów, aby były większe? A może ludzie spluwają na drogę, którą przechodzisz, może przeklinają twe imię za nieszczęścia i śmierć, które sprowadziłaś na Wideacre?

Wyrwałam się i podeszłam do drzwi. Kładłam rękę na klamce, kiedy wymówił moje imię.

— Beatrice!

Odwróciłam się, jak gdyby mając nadzieję, że powie mi coś dobrego albo przynajmniej coś, co da mi znak, jak odzyskać nad nim władzę.

— Śmierć idzie do ciebie, a ty jesteś na nią gotowa — odezwał się cicho. — Kiedy jechałem z Celią do domu, rozmyślałem o tym, że powinienem cię zabić, aby nas uwolnić od całej zgrozy, której jesteś przyczyną. Nie potrzebuję jednak nurzać rąk w twojej cuchnącej krwi. Śmierć sama idzie do ciebie, a ty wiesz, że możesz umrzeć. Prawda, moja piękna Beatrice?

Odwróciłam się bez słowa i wyszłam. Szłam trzymając wysoko głowę, dużymi krokami, szeleszcząc przy tym suknią. Szłam niczym pan na włościach, do swojego gabinetu, a potem zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się o nie. Kolana ugięły się pode mną. Osunęłam się bezwładnie na podłogę. Przytuliłam twarz do deszczulek drzwi. Drewno było zimne, nieprzyjemne w zetknięciu z napiętą skórą na kościach policzkowych.

Śmierć szła do mnie, jak oświadczył John. Dostrzegł ją w wyrazie mojej twarzy. Wiedziała, jak wygląda Śmierć. Na wielkim czarnym koniu, w towarzystwie dwóch czarnych psów biegnących przed i za beznogim jeźdźcem. Zobaczę twarz Śmierci, zanim umrę. Bogacze, szlachta, bojący się o swoje posiadłości i życie nazwali tego jeźdźcę Śmierć. Biedota nazwała go Mścicielem i popierała go. A ja spojrzę mu prosto w oczy i nazwę go Ralph.

Siedziałam oparta plecami o drzwi, w bezruchu, aż zmrok zapanował w pokoju, a nisko na horyzoncie zauważyłam pierwszą gwiazdkę i sierp księżycy. Zacisnęłam wtedy dłonie na klamce i podźwignęłam się na nogi. Pomimo odrętwienia nie wolno mi było opuścić kolacji. Musiałam się zjawić.

John się zmienił. Uwolnił się ode mnie. Uwolnił się od swojej miłości i marzeń o miłości do mnie, które doprowadziły go do chorobliwego pijaństwa. Uwolnił się od przerażenia związanego z moją osobą. Mógł dotknąć mojej twarzy już nie drżącymi rękami. Mógł obrócić moją twarz do światła, tak by czujnym okiem chirurga zbadać nowe zmarszczki na skórze. Wyzbył się miłości do mnie, ale i strachu przede mną. Wydawałam mu się teraz, tak jak zapewniał mnie doktor Rose, zwykłym śmiertelnikiem.

A John nie obawiał się zwykłych śmiertelników. Nie byłam już kobietą, którą ukochał nad życie. Nie byłam kobietą, której się bał, ucieleśnieniem zła i zagłady. Byłam zwykłym śmiertelnikiem, którego ciało kiedyś umrze i którego umysł może popełniać błędy.

Od teraz aż do dnia mej śmierci John będzie bacznie patrzył, jak moje młode ciało kroczy ku śmierci i jak mój sprytny, owładnięty obsesją umysł popełnia błędy. Niewiele mogłam zrobić, aby go zmylić. Kochał mnie kiedyś; znał każdy cień, który przemykał po mej twarzy w dniach szczęścia. Znał mnie jak żaden inny mężczyzna, oprócz jednego. I znał ludzi. Wiedział, jak poznać prawdę o nich; poświęcił życie i mądrość na zrozumienie, co sprawia, że ludzie są tacy a nie inni, co powoduje ich choroby fizyczne i psychiczne, co doprowadza ich do szaleństwa. Teraz dla Johna nie byłam ani boginią miłości, ani diabłem, stałam się jednak w zamian najbardziej fascynującym przypadkiem, jaki kiedykolwiek badał z bliska.

Ta rola niezbyt mi odpowiadała.

Zadzwoiłam po Lucy. Na mój widok zakrzyknęła.

— Poproszę, żeby zanesiono kolację do pani pokoju. Powiem, że źle się pani czuje — oznajmiła i pomogła mi wejść po schodach, abym mogła się uczesać w sypialni.

— Nie — postanowiłam.

Mówienie sprawiało mi trudność, tak byłam zmęczona.

Ledwie zdołałam wydać polecenie. Jakże mogłabym zostawić Harry'ego, Celię i Johna samym sobie?

— Nie — powtórzyłam. — Zejdę na dół. Ale pośpiesz się, Lucy, bo się spóźnię.

Nie zczekali na mnie w saloniku, lecz przeszli od razu do jadalni. Pomknęłam hallem, znów lekko, z bladą opanowaną twarzą, lecz z pogodnym uśmiechem na ustach. Lokaj otworzył drzwi. Znieruchomiałam na progu. Nie wierzyłam własnym oczom.

Celia siedziała na moim miejscu.

Siedziała tam, gdzie powinna zawsze zasiadać, gdzie miała prawo zasiadać.

Na krześle żony dziedzica, naprzeciwko jego miejsca, tam, skąd świetnie widziała służących stojących w gotowości pod ścianami, skąd pilnowała ognia na kominku, doglądała talerzy i szklanek gości, aby nie stały puste, i ponad stołem wymieniała ciepłe, czułe uśmiechy z mężem.

Harry podniósł wzrok z na wół przepraszającym wyrazem twarzy.

— Mam nadzieję, że nie zgłosisz sprzeciwu, Beatrice? — spytał cicho i wstał, aby poprowadzić mnie na dawne miejsce Celi, naprzeciwko Johna. — Z tego co mówił John, zrozumiałem, że nie zejdiesz dziś wieczór na kolację, tak więc Celia zajęła twoje miejsce.

Uśmiechnęłam się zdawkowo i stanęłam przy krześle Celi, czekając, aż ustąpi mi miejsca, które należało się żonie dziedzica. Nie ruszyła się. Uśmiechnęła się po prostu, otwierając szeroko bratkowobrazowe oczy, i odezwała się:

— Jestem pewna, że wolisz siedzieć naprzeciwko Johna, prawda, Beatrice? Jak w czasach narzeczeństwa, kiedy żyła jeszcze mama.

— Ja też chciałbym mieć Beatrice przed sobą — rozstrzygnął John. — Chciałbym, żeby siedziała tam, gdzie mógłbym ją widzieć!

Roześmiali się, głupcy. Jak gdyby John nigdy nie upijał się na umór przy tym stole. Jak gdyby bezkar- nie można było zajmować moje miejsce. Jak gdybym powinna siedzieć przy kredensie i odsłonić Harry'emu widok na jego panienkę. Uśmiechnęłam się cierpko i usiadłam na wyznaczonym miejscu. Zauważyłam, od razu obiecując sobie zemstę, szybką wymianę spojrzeń między najmłodszym lokajem a nowo przyjętym chłopakiem. Po najbliższej wypłacie poszukają sobie innej pracy.

Ten wieczór należał do Celi.

Widziałam, że na to zasłużyła. Miała siniec na policzku, lecz oczy patrzyły pogodnie. Domyśliłam się, że Harry ją uderzył, z gniewu czy namiętności, raz, a potem zaczął przeproszać i dążyć do pojednania. Nie miała pojęcia o jego rzeczywistych potrzebach i sądziła, że ten policzek oznaczał najcięższy moment w jej pożyciu małżeńskim. Nie wiedziała, iż oto pojawiła się metoda karania jej. Uważała, że to pierwszy i ostatni policzek ze strony Harry'ego i że zdoła go wytrzymać. Musiała wytrzymać, skoro życie Wideacre wisiało na włosku.

Tak więc zajęła miejsce żony dziedzica.

Ukochany szwagier pił lemoniadę po jej lewej ręce, mąż zaś posyłał promienne uśmiechy ponad stołem. W świetle świec rozkwitała niczym goździk w słońcu. Troski i przerażenie znikły za sprawą cierpliwego Johna, który wysłuchał jej histerycznej pogmatwanej opowieści, a potem dzięki obietnicom poczynionym jej w łóżu przez Harry'ego. John powiedział jej, że nie znał planów dotyczących uchylenia majoratu, ale nie jest tym zaskoczony, oraz że kontrakt z pewnością może zostać zmieniony, a on, jako ojciec Richarda, zrezygnuje z jego praw do współdziedziczenia, przekazując je z całym błogosławieństwem Julii, a jednocześnie znajdzie się na pewno jakiś sposób zrekompensowania utraty majątku rodziny MacAndrew.

Spokojne przyjęcie nowin przez Johna, spakowanie się i wyjazd z kliniki doktora Rose'a — wszystkie te wydarzenia powstrzymały Celię od pogrążenia się w koszmarze. Zaczęła myśleć, że się myliła. Zapomniała o tym, co mówiły jej oczy, słuch i intuicja: woń grzechu unosząca się w domu, gęsia skórka, gdy Harry patrzył na mnie przy kolacji i pytał, czy mogłabym mu poświęcić wieczorem parę chwil na omówienie interesów. Widok pręgi w kolorze truskawkowym na plecach Harry'ego. Zdziwienie, gdy budziła się późną nocą i natrafiła ręką na zimne puste miejsce obok siebie. Zapomniała o tym wszystkim, kiedy John uśmiechnął się jak zwykle szczerze i poprosił: „Zaufaj mi, Celio, ja wszystko naprawię”.

Wróciła do domu niczym na obłoku ulgi, w wyświechtanej sukni, czując narastający niepokój, że Harry wścieka się na nią, że nie puści jej płazem wrzasków w ciszy jadalni i że będzie nalegał na wyjaśnienie przyczyn jej przerażenia. Albowiem Celia, John, Harry i ja mieliśmy każde z osobna swoje małe oszustwa i sekrety. I wszyscy zazdrośnie ich strześliśmy.

Harry zachował się jednak całkiem spokojnie. Celia i John umówili się, że będą milczeć. Uderzenie w twarz zaszokowało ją, lecz potem nastąpiła seria pocałunków. Część miłości i lojalności Celia przelała na Johna, lecz mężowi oddawała co mężowskie. Tak jak ja płaciłam podatki gruntowe. Harry wbił się w nią niczym pulchna stopa w jedwabny papuż. Wybaczył jej nieposłuszeństwo i nie pytał o nic więcej.

Uprzątnięto talerze po zupie i podano rybę. John jadł ze smakiem.

— Cudownie! — oświadczył i skinał Celi głowę. — Łosoś! Jakże mi brakowało jedzenia z Wideacre.

— U doktora miałeś złe wyżywienie? — zainteresował się Harry. — Tak się obawiałem. Cieszysz się, że jesteś w domu?

John uśmiechnął się ciepło do Celi, której podpis i pełen pasji upór doprowadził do jego powrotu. Harry'emu odpowiedział jednak chłodno:

— Naprawdę się cieszę.

— Jak tam było? — spytał jak zawsze nietaktownie Harry.

— Dobrze prowadzona klinika. Dobrze zorganizowana. Dobre miejsce na kurację. Daje poczucie osamotnienia.

Ręka Celi drgnęła. Chciała wyciągnąć dłoń w stronę Johna w instynktownym geście współczucia.

— Miałam nadzieję, że moje listy ci pomogą — odezwała się.

— Jakie listy? — zdziwił się John. — Nie otrzymywałem żadnych listów.

Moja ręka trzymająca widelec zawahała się przez chwilę, lecz potem pewnym ruchem uniosła do ust kawałek łososia. Sięgnęłam po szklankę z winem.

— Nie dostawałeś moich listów? — spytałam.

Z ironicznym, pogardliwym uśmiechem John wytrzymał moje spojrzenie.

— Nie, moja droga — odparł grzecznie. — Często do mnie pisywałaś?

— Co drugi dzień — wyjaśniłam uprzejmie.

— A ja pisywałam co tydzień — włączyła się Celia. — Cóż się stało z tymi listami?

John nie spuszczał wzroku z mej twarzy. Jego oczy zamieniły się w dwa blade kamienie.

— Nie mam pojęcia. A ty, Beatrice?

— Też nie — stwierdziłam krótko. — Może doktor Rose uważał, że nie jesteś zdrowy na tyle, by otrzymywać listy z domu. Zabronił odwiedzin, jak wiesz.

— Musi być chyba jakiś powód, dlaczego nie dostawałem wiadomości od nikogo — zastanawiał się głośno John. Rozmowa z nim zamieniła się w pojedynek na miecze. A ja byłam znużona.

Zrezygnowałam. Byłam już niemal gotowa zrezygnować z reszty planów. Z pewnością potrzebowałam chociaż jednego wieczora bez potrzeby ciągłego kontrolowania swojego zachowania.

— Przepraszam — powiedziałam do Celi. — Jestem zmęczona. Pójdę do mojego pokoju.

Wstałam, a lokaj podskoczył, aby odsunąć krzesło. Harry poprowadził mnie pod rękę do drzwi zachodniego skrzydła.

— Ale nie chodzi ci chyba o to, że Celia siedziała na twoim krześle? — spytał z właściwą sobie głupotą. Czulałam się jednak zbyt zmęczona, aby toczyć otwartą wojnę o krzesło.

Przecież przenikliwe oczy Johna dostrzegły w mojej twarzy nadciągającą Śmierć.

— Nie, nie chodzi o krzesło. Może siedzieć na tym przeklętym miejscu choćby i całą noc, jeśli chce. — Odwróciłam się i wysliznęłam przez drzwi.

Lucy rozebrała mnie, a potem ją odesłałam. Wyjęłam z komody klucz i zamknęłam drzwi. Na wszelki wypadek podstawiłam krzesło pod kłamkę. Wreszcie padłam na łóżko i spałam tak mocno, jak gdybym już nigdy nie chciała się obudzić.

Ale musiałam się obudzić. Zawsze czekała mnie jakaś praca, którą tylko ja potrafiłam wykonać. Musiałam wstać, ubrać się, zejść na śniadanie, siedzieć naprzeciwko Johna, patrzeć na Celię zajmującą moje dawne krzesło, na uśmiechniętego Harry'ego u szczytu stołu, i wysłuchiwać ich rozmowy o głupstewkach. Potem musiałam iść do kantoru, wysunąć szufladę pełną rachunków, rozłożyć je przed sobą i głowić się nad nimi aż do bólu w skroniach.

Wdepnęliśmy w trzęsawisko zobowiązań finansowych. Nagle, nie wiadomo jak. I nie miałam pomysłu, jak się z tego wydostać. Pierwsze długi zaciągnięte u pana Llewellyna były jeszcze czymś zrozumiałym. Potem jednakże przyszła paskudna pogoda i padanie owiec. Później krowy złapały jakieś zakażenie i wiele z nich wydało martwe cielęta. Zaciągnęłam więc pożyczkę u bankierów pod zastaw nowych pól pszenicy. To nie wystarczyło, zastawiłam wtedy ziemię na obrzeżach, graniczące z posiadłością Haveringów. Spłata tych pożyczek była poważnym obciążeniem. Pożyczałam więc dalej, pod zastaw zboża, jeszcze przed żniwami. Modliłam się, żeby plony były tak obfite, abym nigdy nie musiała już pożyczać pieniędzy; żeby stodoły aż po dach zapełniły się zbożem. Sprzedawałabym wtedy i sprzedawała, a nasze długi by zniknęły bez śladu. Rozłożyłam rachunki na stole niczym skomplikowany wzór pikowanki i westchnęłam z lękiem jak niewprawna szwaczka.

Sama dźwigałam ten ciężar. Nie śmiałam powiedzieć Harry'emu, jak dalece nasze starania o uchylenie majoratu wpędziły nas w spiralę długów. Wspomniałam mu kiedyś zdawkowo, że uzyskaliśmy kredyt pod zastaw jednego pola czy niewielkiej farmy, lecz nie śmiałam wyjawić, że zaciągamy długi, aby spłacać wcześniejsze pożyczki. Następnie pożyczałam pieniądze na spłatę procentów bankowych. Teraz zaś pożyczałam pieniądze na wypłaty dla pracowników, na zakup ziarna siewnego, by uciec przed falą bankructwa zbliżającą się do moich stóp. Taki właśnie przebieg wydarzeń Ralph planował kiedyś dla Harry'ego: podbieranie dochodów, uszczuplanie bogactwa. Teraz mnie to spotkało. W tej grze o wielką stawkę, o całkowitą władzę nad ziemią i uczynienie mego Syna dziedzicem, postawiłam wszystko na jedną kartę: na żniwa.

Jeśli się nie uda, przepadłam.

A wtedy Harry, Celia, John i dzieci wpadną w otchłań coraz większych długów. Znikniemy, jak wszyscy bankruci. Jeśli uda się cokolwiek ocalić, kupimy niewielką farmę w Kornwalii, a może we wstrętnej Szkocji Johna. Tam, gdzie są niskie ceny ziemi i żywności. I już nigdy nie ujrzę wzgórz Wideacre po przebudzeniu.

Nikt mnie nie nazwie „panienką Beatrice” z nutką miłości w głosie. Nikt nie zatytułuje Harry'ego dziedzicem. Będziemy przybyszami z zewnątrz. Nikt nie będzie wiedział, że nasza rodzina bierze początek z czasów normañskich i że uprawialiśmy ziemię od setek lat. Staniemy się nikim.

Zadrzałam i znów przysunęłam rachunki. Przyjęłam do zapłaty te od kupców z Chichester. Załatwiałam regularnie tylko dostawców produktów potrzebnych do prowadzenia domu. Nie chciałam, aby Celia dowiedziała się od kucharki lub pokojówki, że kupcy odmawiają nam nowych dostaw do czasu uregulowania zaległych należności. Tak więc ułożyłam stos rachunków do natychmiastowego zapłacenia. Obok mniejszy stos



listów od naszych kredytodawców, do załatwienia w tym miesiącu. Od pana Llewellyna, z banku, od londyńsko-londyńskiego lichwiarza i od naszego pełnomocnika, który wypłacił nam zaliczkowo paręset funtów na zakup ziarna siewnego. Te należności także trzeba było załatwić od ręki. Dostałam między innymi list od handlarza zbożem, któremu byliśmy winni paręset gwinei za owies (nie uprawialiśmy owsa w Wideacre) i konie, oraz list od handlarza sianem. Kiedy zmniejszyliśmy powierzchnię łąk, musiałam dokupić siana, a ceny okazały się wyższe, niż się spodziewałam. Sensownym posunięciem byłoby sprzedanie części koni, które nie miały teraz wiele do roboty. Wiedziałam jednak, że pojawienie się na rynku pierwszego konia ze stajni Wideacre będzie sygnałem, że zaczęłam wyprzedaż posiadłości, a wierzyciele natychmiast zapukają do drzwi. Będą grozili przejęciem ziemi, zanim zostanie im w ręku tylko bezużyteczny list zastawny, a w gorączce żądań finansowych Wideacre wykrwawi się na śmierć od zadanych jej setek ciosów.

Wszystkie małe należności dodane do siebie tworzyły sumę, której nie mogłam sprostać. Wierzyciele zbierali się wokół mnie jak zaczepne wilki i wiedziałam, że muszę uwolnić od nich siebie i Wideacre, nie wiedziałam jednakże, jak to zrobić.

Przysunęłam ostatnią stertę dokumentów. Dotyczyły spraw, które mogły zaczekać. Mógł czekać na przykład handlarz winem, który wiedział, że mamy w piwnicach dość wina na pokrycie rachunków, więc był ostrożny w swoich żądaniach. Kował pracował u nas od czasu wyzwolenia na czeladnika. Woźnice od lat dostawali pieniądze bardzo nieregularnie, „pod podkowę”. Szewc, ślusarz i kaletnik — to mali ludzie, którzy będą błagać o zapłatę rachunków, lecz nie mogą mi nic zrobić. Pokażna sterta rachunków, lecz na drobne sumy. Ich nieuregulowanie mogło zrujnować rzemieślnika, lecz rzemieślnik nie mógł zrujnować mnie. Mogli czekać. Musieli czekać.

Trzy schludne stosiki. Dalej już nie mogłam. Zebrałam rachunki i schowałam na powrót do szuflady. Nie musiałam na nie patrzeć, by pamiętać, że tonę w długach. Wciąż miałam ich świadomość, a w moich snach roilo się od dziwnych mężczyzn mówiących z miejskim akcentem: „Proszę tu podpisać. Proszę tu podpisać”. Ze zgrozą śniłam o utracie Wideacre. Zatrzasnęłam szufladę z nagłą irytacją. Nikt nie mógł mi pomóc. Zostałam sama z tym ciężarem. Mogłam mieć tylko nadzieję, że zaczną wiać magiczne wiatry Wideacre, a gorące słońce pomnoży plony i będę wolna.

Zadzwoiłam na służącą, poleciłam ubrać Richarda na przejażdżkę i przyprowadzić go na dziedziniec stajenny. Nie mogłam dłużej siedzieć w czterech ścianach. Na razie było jeszcze za wcześnie, by zabrać Richarda na szaleńczą przejażdżkę kłusem po podjeździe, aby tak jak kiedyś papa, pokazać mu drzewa i ziemię, którą odziedziczy. Ale mogłam wyjść na swoją ziemię, mogłam uciec od dręczących mnie rachunków, mogłam pojechać z synem na spacer pod bezchmurnym błękitnym niebem.

Rozpromienił się na mój widok, jak zawsze. Spośród wszystkich dzieci, które znałam, Richard był najpogodniejszy. Należał też, co muszę przyznać, do najnieznośniejszych. W jego wieku Julia zwykła siedzieć w kołysce, chwytając się za palce u nóg i gaworząc ku rozkoszy babci i Celi. Richard natomiast podciągał się na pulchnych ramionach i usiłował się wydostać. Julia bawiła się godzinami lalką w łóżeczku, a Richard toczył zabawkę po podłodze, a potem krzyczał, aby mu ją podano. Jeśli ktoś nie wykazał się przebiegłością, powtarzał tę sztuczkę znów i znów. Tylko jakiś dobrze opłacany służący wytrzymałby zabawy Richarda do upadłego, do

zamknięcia powiek nad gładkimi zgrabniutkimi policzkami. Najukochańsze dziecko. Najnieznośniejsze, najśłodsze dziecko. I Richard mnie uwielbiał.

Tak więc wzięłam go z rąk niani i uściśnęłam mocno. Uśmiechnęłam się, słysząc radosne gaworzenie na mój widok. Podałam chłopca niani, która już siedziała w bryczce. Upewniłam się, że trzyma go bezpiecznie. Podałam grzechotkę do wyciągniętej rączki i usiadłam obok.

Sorrel ruszył klusem po podjeździe. Richard wymachiwał grzechotką w stronę uciekających drzew, smug cienia i promyków słońca. Srebrna zabawka zakończona była srebrnymi dzwoneczkami, które dźwięczały niczym dzwonki u sań zimą. Słyszając je, Sorrel podnosił głowę i przyspieszał. Szybko pokonałam podjazd i wjechałam na drogę do Londynu. Zdążyliśmy na przejazd dyliżansu pocztowego mknącego w tumanie kurzu. Richard pomachał rączką pasażerom na dachu i jeden z nich odpowiedział przyjaznym gestem. Potem zawróciłam bryczkę i skierowaliśmy się do domu. Krótki spacer, lecz kiedy kocha się dziecko, świat kurczy się do rozmiaru wysepek rozkoszy na oceanie spokoju. Richard mnie tego nauczył. I już tylko za to powinnam była go kochać. Zbliżaliśmy się do zakrętu podjazdu, kiedy zakrztusił się. Śmieszny dźwięk, niepodobny do zwykłego kaszlu przez otwarte usta. Zwymiotował i zadyszał ciężko, jak gdyby usiłując wciągnąć powietrze. Nie słyszałam jeszcze takiego dźwięku. Ściągnęłam cugle i Sorrel gwałtownie zahamował. Napotkałam równie zdziwiony wzrok niani. Zabrała grzechotkę z rączek dziecka. Brakowało jednego z maleńkich srebrnych dzwoneczków. Richard połknął go i teraz dusił się, usiłował złapać powietrze. Bryczka przechyliła się, gdy chwyciłam chłopca i położyłam sobie na kolanach, twarzą do dołu. Nie myśląc, trzepnęłam go mocno w plecy, a potem schwyciłam za stópki i podniosłam, mglście przypominając sobie chwilę po urodzeniu Richarda i kilka chrapliwych kaszlnięć, które wtedy wydał.

Zaskrzeczał jeszcze parę razy, lecz srebrny dzwoneczek nie spadł na podłogę dwukółki. Energicznie oddałam dziecko niani, zacięłam Sorrela batem i krzyknęłam:

— Gdzie jest doktor MacAndrew?

— W wiosce, z lady Lacey — jęknęła i przycisnęła kurczowo Richarda.

Odgłosy wydawane przez niego budziły coraz większe przerażenie.

Wymiotował, krztusił się i mimo wysiłków nie udawało mu się zaczerpnąć wystarczającej ilości powietrza. Dusił się. Konał w mojej bryczce, na ziemi Wideacre, w słoneczny poranek.

Zacięłam Sorrela. Od miarowego cwału przeszedł do szaleńczego galopu. Bryczka podskakiwała i chybotwała się niczym łódź na spienionych falach, lecz utrzymywałam tempo jazdy. Wiatr smagał mnie po twarzy; niemal nic nie widziałam. Jedno spojrzenie na mego syna powiedziało mi, że pęd powietrza nie dociera do jego małych płuc. Dyszał coraz ciszej i coraz rzadziej kaszłał. Wargi miał sine.

— W którym miejscu w wiosce? — zawołałam, przekrzykując stukot kopyt Sorrela i terkot dwukółki.

— Chyba na probostwie — wrzasnęła pani Austin z twarzą równie białą jak jej kołnierzyk, przytulając mocno Richarda ze strachu o dziecko i z przerażenia wywołanego opętąnczą jazdą.

Bryczka wjechała do wsi. Nie widziałam nic, usłyszałam tylko jak gdyby trzask — to jakaś kura złamała kark pod kołami. Ściągnęłam cugle tak ostro, że koń prawie stanął dęba, i rzuciłam je pani Austin. Zabrałam Richarda z jej rąk. Było za późno. Za późno. Nie walczył już o oddech.

Pobiegłam ścieżką przez ogród do drzwi, niosąc bezwładne ciało. Powieki zsiniały tak jak wargi, drobna klatka piersiowa pozostawała w bezruchu. Kiedy biegłam, otworzyły się drzwi i wyjrzała zaskoczona twarz wielebnego Pearce'a.

— Gdzie John? — spytałam.

— W moim gabinecie — odrzekł proboszcz. — Co się stało...?

Szarpięciem otworzyłam drzwi i jak przez mgłę dostrzegłam Celię, panią Merry i starą Markery Thompson — wszystkie pochylone nad stołem. Wyraźnie widziałam tylko Johna.

— John — odezwałam się i wyciągnęłam w jego stronę bezwładne ciało mego syna.

John nigdy go nie dotykał, chociaż Richard miał już prawie rok. Teraz jednak chwycił dziecko i jednym bystrym spojrzeniem ogarnął sine powieki i sine wargi.

Położył dziecko na stole. Richard nie reagował. Głowa uderzyła bezwładnie o drewno. John przetrząsał kieszeń kamizelki w poszukiwaniu srebrnego scyzoryka, który zawsze nosił przy sobie.

— Co? — spytał lakonicznie.

— Srebrny dzwoneczek, urwał się od grzechotki.

— Haczyk do zapinania guzików! — polecił Celi.

Stała obok ze wzrokiem utkwionym w twarzy mego syna. John jedną dłonią odchylił brutalnie podbródek Richarda, aż delikatna skórka na gardle napięła się. Wtedy zrobił nacięcie.

Nogi ugięły się pode mną i opadłam na krzesło. Przez ułamek sekundy pomyślałam jak szalona, że oto mąż zabił mi syna, zobaczyłam jednak, że do otworu wprowadził ustnik jednej z fajek doktora Pearce'a.

Usłyszałam chrapliwy oddech. Przez dziurkę w tchawicy Richard mógł znów oddychać.

Ukryłam twarz w dłoniach, nie mogąc na to patrzeć. Zerkałam jedynie przez palce na Johna, który zajrzał do buzi Richarda i wyciągnął prawą rękę w stronę Celi, władczo, jak wprawny chirurg z Edynburga.

Celia szperała gorączkowo w torebce. Wyjęła niewielki haczyk do zapinania guzików, oprawiony w perłowy uchwyt, oraz szydełko. Położyła haczyk na dłoni Johna i stanęła obok. Bez chwili wahania ujęła bladą twarz Richarda i ułożyła ją prosto, tak by nic nie przeszkadzało dostępowi powietrza do fajki. Wargi nabierały różowego koloru. John pochylał się nisko i sondował gardziółko haczykiem do guzików. Za moimi plecami na progu zaskrzypiały nagle w pełnej grozy cisy buty doktora Pearce'a, osoby słusznej tuszy.

— To za duże — stwierdził John, wyprostowując się. — Co masz jeszcze?

Bez słowa Celia wyjęła jedną rękę spod głowy Richarda i podała szydełko. Uśmiechnął się, nie spuszczać wzroku z mego syna.

— Tak. Wspaniale — powiedział.

Wszyscy w pokoju wstrzymali oddech. Pani Merry, która kiedyś drwiła z młodego zręcznego doktora wykształconego w Edynburgu, Margery Thompson, wiejska plotkarka, doktor Pearce i ja. John zanurzył małe srebrne narzędzie w gardziółku Richarda i tylko on i Celia wydawali się nieświadomi napięcia panującego w słonecznym gabinecie.

Coś zadźwięczało. Zupełnie nie pasowało to do powagi chwili. Dzwoneczek brzęknął o ząbki Richarda, kiedy John go wyciągał. Oto i wisiał na srebrnym zakrzywieniu szydełka.

— Zrobione — oznajmił John.

Wyjął z kieszeni jedwabną chustkę do nosa, wyciągnął ustnik fajki z gardła dziecka, zawiązał chusteczkę jak bandaż wokół szyi Richarda i przewrócił go na brzuch. Richard zwymiotował, zakaszał jak astmatyk i zaczął ochryple płakać.

— Mogę? — spytała Celia, a gdy John skinął głową, wzięła mego syna w ramiona i przytuliła. Płakał zdezorientowany i obolały, a ona poklepywała go po plecach i szeptała czule słówka. Znad dziecinnych kędziorków patrzyły na Johna oczy pełne dumy i miłości.

— Świetnie się spisałaś — przyznał wspaniałomyślnie. — Haczyk do guzików był zbyt duży. Nie uratowalibyśmy go, gdybyś nie pomyślała o czymś innym.

— To ty się świetnie spisałaś — zrewanżowała się Celia. Patrzyła na Johna ze szczerą miłością. — Miałaś ręce nieruchome jak skała. Ocaliłaś mu życie.

— Czy znajdzie się tu gdzieś trochę laudanum? — spytał John doktora Pearce'a, nie odrywając wzroku od rozpromienionej twarzy Celi.

— Nie, tylko brandy — odrzekł proboszcz, obserwując tych dwoje z przejęciem, jak reszta obecnych. John skrzywił się.

— No cóż. Musi się napić chociaż tego. Przeżył silny szok.

Wziął Richarda z rąk Celi, delikatnie jak ojciec i przytknął szklaneczkę do jego ust. Kiedy dziecko wrywało się, unieruchomił jego twarz i jednym wprawnym gestem podał niewielką dawkę trunku. Richard uspokoił się od razu, a kiedy Celia znów wzięła go na ręce, położył główkę na jej ramieniu i zapadł w drzemkę.

Celia i John patrzyli na siebie jeszcze przez magiczną chwilkę, a potem John zwrócił się do mnie i cały czar prysnął.

— Ty też przeżyłaś szok, Beatrice — odezwał się chłodno. — Napijesz się szklaneczkę ratafii albo portwajnu?

— Nie — odparłam głucho. — Niczego nie potrzebuję.

— Myślałaś pewnie pani, że już się go nie uda uratować? — zainteresowała się pani Merry. — Był taki siny!

— Tak — stwierdziłam zatroskana. — Myślałam, że go straciłam, że straciłam następnego dziedzica. A wtedy wszystko byłoby na nic!

Tu zapadła cisza. Wszyscy obrócili na mnie zdziwione twarze. Wszyscy. Patrzyli na mnie jak na jakiś eksponat w muzeum osobliwości.

— Myślałaś o nim jako o dziedzicu? — spytał John z niedowierzaniem. — Dziecko konało w twoich ramionach, a ty myślałaś, że twoje starania obrócą się wniwecz?

— Tak — potwierdziłam. Gapiłam się na pusty kominek. Nie zważałam na to, co o mnie pomyślą. Nie zważałam więcej już na nic. — Gdyby umarł, cóż by się stało z Wideacre? Przekazałam jemu i Julii wszystko. A potem pomyślałam, że umarł.

Ukryłam twarz w dłoniach i szlochałam, dygocząc. Nikt nie pogłaskał mnie pocieszająco. Nikt nie powiedział dobrego słowa.

— Jesteś jeszcze w szoku — odezwała się wreszcie zimno Celia. — Przyjechałam powozem. Możesz nim wrócić do domu. John odwiezie mnie bryczką. Jedź do domu, Beatrice, i połóż Richarda do łóżeczka. A potem sama odpocznij. Nie wiesz, co mówisz. Przeżyłaś szok.

Dałam się zaprowadzić do powozu. Celia pomogła też wsiąść pani Austin z Richardem. Potem spostrzegłam, że odchodzi od okna. Stangret Ben zawiózł mnie do domu, z ciepłym śpiącym ciałkiem mego synka w ramionach.

Kiedy drzewa przy podjeździe migają za oknami, zieleniejąc w kwietniowym słońcu, przypominałam sobie, jak patrzyli na siebie Celia i John, chwając się wzajemnie za zaradność i zręczność. Pomyślałam też, że stwierdzenie Celi: „Miałaś ręce nieruchome jak skała” było przeznaczone nie tylko dla uszu doktora MacAndrew. Chwaliła go i przywróciła mu publicznie dobre imię znakomitego lekarza. Z tego cichego pokoju wieść roznieśli się po wsi i poza jej granice, że doktor MacAndrew to naprawdę najlepszy lekarz, jakiego widziano w naszym hrabstwie. John mógł wrócić do społeczeństwa. Nie był w stanie dokonać tego sam, a ja nie paliłam się, by mu pomóc. Celia załatwiła wszystko w mgnieniu oka, jednym zdaniem.

Wideacre mogła myśleć, że zmęczenie i pijaństwo Johna zabiło moją mamę, lecz teraz jeszcze głośniejsza stanie się opowieść o tym, że kiedy mojemu dziecku groziło niebezpieczeństwo, przyjechałam niczym diablica do męża po ratunek. O tym, że biegnąc z dzieckiem na rękach, zapytałam o doktora MacAndrew, nie o pana, zaś opanowany zręczny John ocalił życie mojemu synowi.

Powóz zatrzymał się u frontowych schodów dworu. Stride otworzył drzwiczki i zatrzymał się, widząc w środku mnie, nie Celię.

— Lady Lacey przybędzie później moją bryczką — wyjaśniłam. Mówienie sprawiało mi trudność. — Zdarzył się wypadek. Proszę przysłać mi kawę do pokoju. Nie życzę sobie, aby mi przeszkadzano.

Stride skinął głową niewzruszony jak zwykle i poprowadził mnie pod ramię do hallu. Znużona weszłam przez drzwi do zachodniego skrzydła, nie czekając nawet na nianię i Richarda. Wiedziała, że ma go natychmiast położyć do łóżeczka, a potem pilnować podczas snu. Nie potrzebował mojej opieki. Między nim a mną powstała teraz jakaś bariera. Wiedziała — i powiedziałam to głośno — że mój syn, mój ukochany syn, ma dla mnie znaczenie tylko jako dziedzic Wideacre.

Kochałam cień jego rzęs na policzkach i kręcone włoski, i słodką woń jego ciała. Jednak kiedy sądziłam, że już skonał, pomyślałam w pierwszej chwili o Wideacre.

Wideacre. Bywały momenty, kiedy wydawało mi się, że ziemia doprowadziła mnie do szaleństwa. Zatrzasnęłam drzwi sypialni i oparłam się o nie plecami. Jęknęłam. Byłam zbyt zmęczona, aby oddać się rozmyśleniom, aby rozważać, co ja takiego właściwie zrobiłam i co się ze mną stało; troszczyłam się o Wideacre bardziej niż o życie najdroższego syna.

John zostawił buteleczkę laudanum przy moim łóżku. Spojrzałam na nią tępo. Nie czułam zagrożenia czy strachu. Odmierzyłam dwie krople na szklanekę wody i wypilałam powoli, dbając o nierozlanie cennego niczym likier trunku. Potem wyciągnęłam się na łóżku i zasnęłam. Nie obawiałam się koszmarów sennych. Rzeczywistość wokół mnie wydawała się gorsza niż najokropniejszy sen. Wolałam sen niż jawę.



Wolałabym się nie obudzić. Tego ranka szara mgła spowijała wszystko. Z mojego okna nie widziałam wzgórz, lasów, ba, nawet ogrodu różanego. Cały świat pogrążył się w miękkiej ciszy. Lucy, która przyniosła filiżankę czekolady, zastała drzwi zamknięte na klucz i zawołała:

— Panienko Beatrice? Dobrze się panienka czuje?

Musiałam wyjść z łóżka na zimną drewnianą podłogę i drżąc z chłodu otworzyć jej drzwi.

Oczy Lucy płonęły ciekawością, lecz patrzyła bez współczucia, jak wskakuję z powrotem do łóżka i podciągam kołdrę pod szyję.

— Poślij po dziewczkę kuchenną, żeby rozpała ogień w kominku — odezwałam się zgryźliwie. Zapomniałam, że zamknęłam drzwi na klucz i nie mogła się dostać. — Można tu zmarznąć na kość.

— Nie ma jej — stwierdziła Lucy bez cienia usprawiedliwienia w głosie. — Poszła do Acre. Nie ma nikogo, kto mógłby napalić w kominku. Zostało tylko kilku najważniejszych służących. Reszta poszła do Acre.

Mgła zdawała się wpełzać do sypialni — było tak wilgotno i zimno. Wzięłam gorącą czekoladę i wypiałam łączywie, lecz nie rozgrzałam się ani trochę.

— Reszta poszła do Acre? A po cóż, do diaska? — spytałam.

— Dzisiaj pogrzeb — odparła Lucy.

Podeszła do wysokiej szafy i wyjęła moją jedwabną czarną suknię poranną i zwój czystego, świeżo wyprasowanego płótna.

— Czyj pogrzeb? Mówisz zagadkami, Lucy. Odłóż te rzeczy i natychmiast mi powiedz, co się dzieje. Dlaczego służba zrobiła sobie wolne? Dlaczego nikt mnie nie zapytał?

— Nieskorzy byli do pytania — powiedziała.

Położyła moją suknię w nogach łóżka i rozpostarła płótno na wieszaku przed kratą wygasłego kominka.

— Cóż masz na myśli, do diaska? Dlaczego nie?

— Bo to pogrzeb Beatrice Fosdyke — Lucy oparła wolne ręce na biodrach. Podparłszy się pod boki, spoglądała na mnie wyzywająco. Za grosz szacunku. Siedziałam w łóżku bardziej podobna do zziębniętego dziecka niż do pani wielkiej posiadłości.

— Bea Fosdyke nie umarła — zaprzeczyłam. — Wyjechała do Portsmouth.

— Neeee — utrzymywała Lucy z błyskiem w oczach. Uważała się za osobę lepiej poinformowaną. — Fakt, wyjechała do Portsmouth. Na pohańbienie. Myślała, że dostanie zajęcie u modystki albo w sklepie. Ale nie miała referencji ani żadnej praktyki i nie mogła dostać pracy. Przez pierwszy tydzień żyła za pieniądze, które oszczędzała na dożywocie. Ale płaciła dużo za mieszkanie i nie miała przyjaciół, którzy podzieliliby się z nią strawą. Potem przez tydzień czy dwa zbierała nieczystości.

— Co to znaczy? — zdumiałam się. Słuchałam tego jak jakiejś bajki. Ale po plecach zaczynały przechodzić mi ciarki. Naciągnęłam szczelniej pledy, lecz chłód dochodził aż do karku.

— Nie wiedziała pani? — Lucy spojrzała niemal drwiąco. — Zbierała nieczystości psie i ludzkie z ulic i rynsztoków. Zbieracze sprzedają je potem.

Odstawiłam filiżankę. Na samą myśl o tym poczułam wzbierające mdłości. Skrzywiłam się z niesmakiem.

— Doprawdy, Lucy! Co za pomysł, aby mówić o tym teraz, rano. A komuż to sprzedają?

— Księgarzom, do czyszczenia skórzanych opraw książek — odrzekła Lucy słodko. Pogładziła oprawny w skórę cielecący tom leżący na nocnym stoliku. — Nie wiedziała panienka, że skóra staje się gładka i miękka w dotyku przez pocieranie jej nieczystościami ludzkimi i psimi?

Spojrzałam na książkę z niesmakiem. Przeniosłam wzrok na Lucy.

— Tak więc Beatrice Fosdyke została zbieraczem nieczystości — odezwałam się. — Głupia, że nie wróciła do domu. Pracy tu niewiele, lecz zapomoga parafialna jest czymś z pewnością lepszym. Głupia, że nie wróciła do domu.

— Nie utrzymała się w tej pracy — ciągnęła Lucy. — Kiedy chodziła po ulicy z woreczkiem, spostrzegł ją pewien dżentelmen i zaofiarował szylinga w zamian za pójskie z nim.

Kiwnęłam głową, otwierając szerzej oczy. Nic jednak nie mówiłam. Wciąż było mi zimno. Czułam też wilgoć w pokoju. Za oknem tumany mgły przybierały kształty jakichś zjaw. Panował półmrok.

— Poszła z nim — stwierdziła po prostu Lucy. — Potem z następnym dżentelmenem. I z następnym. Potem ojciec pojechał do Portsmouth jej szukać. Znalazł ją czekającą przy zajeździe dla dyliżansów. Czekala na mężczyzn, aby im się sprzedać.

Ojciec uderzył ją w twarz na ulicy i z miejsca wsiadł z powrotem do dyliżansu i wrócił do domu.

Znów kiwnęłam głową. Mgła była jak wielkie szare zwierzę ocierające się o szyby. Jego lodowaty oddech obniżał temperaturę w pokoju. Nie mogłam się rozgrzać. Nie chciałam słuchać o tamtej innej Beatrice.

— Wróciła do wynajętego pokoju i pożyczyła jednego pensa od gospodyni, aby kupić kawałek sznurka. Mówiła, że chce związać swój kuferek. Twierdziła, że jej papa przybył ją ocalić i że jedzie do domu. I że nigdy już nie opuści rodzinnych stron.

Wyobrażałam sobie, że za szarą szybą widzę wyraźnie starego Gilesa; zwłoki wygięte w łuk. Nie chciał iść do przytułku.

— Powiesiła się? — spytałam, aby zakończyć wreszcie tę opowieść i zniszczyć diabelski czar melodyjnego głosu Lucy.

— Powiesiła się — powtórzyła. — Odcięli ją i przywieźli ciało do domu. Ale nie może spocząć na cmentarzu. Zostanie pochowana za murem. Obok Gilesa.

— Głupia — powtórzyłam stanowczo. — Mogła wrócić do domu. W Wideacre nikt nie zbiera nieczystości. Nikt nie sprzedaje się nieznanym za szylinga. Mogła wrócić do domu.

— Ach, niestety nie mogła — oświadczyła Lucy. Poczułam przyływ przerażenia, słysząc dźwięk jej głosu. — Nie chciała wracać do Wideacre, bo powiedziała, że nie będzie stąpać po tej samej ziemi co pani, panienko Beatrice. I że nie będzie oddychać tym samym powietrzem. Powiedziała, że wolałaby umrzeć, niż żyć na pani ziemi.

Gapiałam się na Lucy. Bea Fosdyke, ta dziewczyna, moja rówieśnica, nosząca moje imię na cześć moich rodziców, tak mnie znienawidziła?

— A dlaczegoż to? — spytałam z niedowierzaniem.

— Była dziewczyną Neda Huntera! — obwieściła Lucy triumfalnie. — Nikt o tym nie wiedział, a oni byli zaręczeni. Wymienili pierścionki i wyryli swe imiona na drzewie, które kazała pani ściąć na wspólnych

gruntach. Kiedy zmarł na tyfus, poprzysięgła, że nie prześpi ani jednej nocy więcej na ziemi Wideacre. Ale teraz zaśnie tu na zawsze.

Opadłam na poduszkę, dygocąc z przenikliwego zimna. Czekolada mnie nie rozgrzała. Nie miał kto rozpalić ognia w kominku. Nawet najbardziej zaufani służący zwrócili się przeciwko mnie i poszli oddać cześć pohańbionemu grobowi prostytutki, która mnie znienawidziła.

— Możesz odejść, Lucy — oznajmiłam z nienawiścią w głosie.

Dygnęła i poszła do drzwi. Trzymając już rękę na klamce, odwróciła się.

— Teraz na skrawku ziemi za murem cmentarnym są dwa kopczyki kamieni. Starego Gilesa... i Beatrice Fosdyke. Mamy oto cmentarz samobójców. Nazywają go „Kącik panienki Beatrice”.

Mgła wdzierала się przez komin niczym kłębiasta trująca chmura. Kłuła mnie w oczy. Drapała w gardło i sprawiała, że chciało mi się wymiotować. Oblepiała mi czoło, twarz. Ległam na białych koronkowych poduszkach i naciągnęłam puszyste pledy na głowę. W przytulnej ciemności pod przykryciem zaskowyczałam z bólu i przerażenia. Zanurzyłam twarz w pościeli i czekałam na sen, głęboki i mocny jak śmierć.

Mgła utrzymywała się przez długi szary tydzień aż do pierwszego dnia maja. Powiedziałam Harry'emu i Celi, że to właśnie mgła jest przyczyną mojego bólu głowy i bladości. John jednak popatrzył uważnie na mnie swymi przenikliwymi mądrymi oczami i tylko kiwnął głową, jak gdyby słyszał coś, co od dawna wie. Rano pierwszego maja mgła uniosła się, lecz w powietrzu nie czuło się radości. Tego dnia w Acre odbywała się zwykle wielka majówka, wznoszono tradycyjny słup przystrojony wiosennymi kwiatami, wybierano Królową Maja, była zabawa na świeżym powietrzu i mecz futbolowy. Drużyna Acre grała nadmuchanym pęcherzem z zespołem z posiadłości Haveringów, przy ogrodzeniu probostwa. Chłopcy kopniakami podawali piłkę ponad ogrodzeniem. Walczyli zażarcie, aż triumfująca drużyna zabierała piłkę jako nagrodę. Tego roku jednak w Acre nic się nie działo zgodnie z tradycją.

Zimna szara mgła wisiała nad światem. Ludzie kaszleli z chłodu i zawijali się szczelniej w wilgotne ubrania. W poprzednim roku Królową Maja została Beatrice Fosdyke. Absurdalny los chciał, aby najpiękniejsza dziewczyna we wsi tak marnie skończyła. Nikt nie chciał iść w jej ślady. Drużyna Acre nie była w stanie wystawić odpowiednich ludzi. Mężczyźni zatrudnieni w brygadzie parafialnej bali się opuszczać chaty, na wypadek gdyby John

Brien potrzebował ich do pracy. Nie chcieli przegapić możliwości zarobienia paru pensów. Wielu innych cierpiało na kaszel i przeziębienia: skutek długiej mokrej wiosny oraz złego jedzenia. Acre niemal zawsze wygrywała mecz, bo na czele drużyny stało trzech zawodników: Ned Hunter, Sam Frosterly i John Tyacke. Teraz Ned nie żył, Sam Frosterly popłynął na wygnanie do Australii, John zaś zaginął z płamą na honorze, z poczuciem zdrady i ze złamanym sercem. Tak więc Acre nie miała nastroju ani na tańce, ani na zawody sportowe, ani na zaloty, ani na śluby.

Dretniałam na myśl o zbliżających się moich urodzinach. Urodziny zawsze kojarzyły mi się z początkiem wiosny, a oto posępna pogoda sprawiała, że obudziłam się w zgoła listopadowej scenerii. Powoli zeszałam ze schodów, wiedząc, że przy moim nakryciu znajdę prezenty od Harry'ego i Celi. Jednak przy wejściu nie będzie już stosu podarków od wiejskich dzieci. Nie pojawią się bukiety i koszyki wiosennych kwiatów. Straciłam serce mieszkańców Wideacre. Stałam się oto wygnańcem na własnej ziemi.

Nie do wiary — wszystko wyglądało tak jak zawsze. Trzy przepięknie opakowane prezenty przy moim talerzu, od Harry'ego, Celi i Johna. A na stoliku z boku jak zawsze sterta małych upominków. Ogarnęłam je rozradowanym wzrokiem i westchnęłam, niemal jęknęłam. Poczułam nagle klucie pod powiekami i chciałam szczerze sobie popłakać. A więc nadeszła wiosna. A z nową porą roku wszystko się zmieni. Wieś Acre przebaczyła mi. Zrozumieli, że nie mogłam nic wyjaśnić wprost. Pług rozorywa ziemię, tnie ropuchy, aby można było zasiać zboże. Kosa kaleczy zającą podczas sianokosów. Wszystkie szkody, zgony, smutek i żal, które nawiedziły Acre tej mroźnej nędznej zimy i wiosny, były czymś nieuniknionym jak bóle porodowe, przyszłość zaś, przyszłość mojego syna i wsi Acre była bezpieczna. Zrozumieli moje postępowanie. W przyływie goryczy i nienawiści zwrócili się przeciwko mnie, lecz wreszcie zrozumieli.

Uśmiechnęłam się i spadł mi kamień z serca — po raz pierwszy od chwili, kiedy John spojrzał na mnie jak na konającego pacjenta. Najpierw rozpakowałam prezenty leżące przy moim nakryciu. Dostałam śliczną broszkę od Harry'ego: złotego konika z diamentem oprawionym w miejscu gwiazdki na czole. Od Celi — łożek jedwabiu w odcieniu pięknej delikatnej cynowej szarości. „Nosimy przecież jeszcze żałobę, najdroższa” — wyjaśniła, całując mnie. Od Johna dostałam małą paczuszkę. Otworzyłam ostrożnie i szybko ukryłam zawartość pod papierami, żeby Celia i Harry nie zobaczyli. To była buteleczka laudanum z napisem: „Cztery krople co cztery godziny”. Pochyliłam się nad talerzem, aby ukryć bladą twarz i przerażony wzrok.

Wiedział, że szukałam ucieczki w świetle snu. Wiedział też, że pograżanie się we śnie podczas tych mglistych dni oznaczało moją tęsknotę za Śmiercią. Wiedział, że uwierzyłam jego zapowiedziom i gotowałam się na Śmierć. Dawał mi oto środek na przyspieszenie spotkania ze Śmiercią. Wtedy kącik za murem cmentarnym stanie się naprawdę „Kącikiem panienci Beatrice”.

Kiedy zebrałam się na odwagę i podniosłam wzrok, jasne oczy Johna patrzyły pogardliwie. Cóż, to ja przetarłam szlak. Kiedy walczył z pijaństwem, znajdował wszędzie w zasięgu ręki świeżo zmrożoną nie napoczętą butelkę. Wiedziałam, że teraz co wieczór znajdę przy łóżku hojną dawkę laudanum. Młody lekarz, który mnie kochał i przestrzegał przed tym narkotykiem, zaopatrzy mnie w każdą ilość, jakiej będę chciała, aż zasnę i nigdy się już nie obudzę.

Zadrzałam. Mój wzrok powędrował jednak ku stolikowi, gdzie piętrzyła się sterta upominków.

— A to wszystko z Acre! — zachwyciła się Celia. — Tak się cieszę, tak się cieszę.

Skinęłam głową.

— Ja także się cieszę — odezwała się cicho. — To była ciężka zima dla nas wszystkich. Cieszę się, że mamy ją za sobą.

Podeszłam do stolika i rozwinęłam pierwszą paczuszkę z całego mnóstwa pakunczków nie większych niż korek butelki wina, owiniętych przedziwnie jednolicie w jaskrawy papier.

— Cóż to może być? — zawołała Celia. Wkrótce się dowiedziała. Z ładnego opakowania wypadł kawałek krzemienia. Biały kamyk. Szare porowate miejsca mówiły, skąd został odłupany. Kamyk pochodził ze wspólnych gruntów, z terenów, gdzie nie wolno było wstępować wieśniakom.

Rzuciłam go na kolana i sięgnęłam po następną paczuszkę. Drugi kamyk. Harry krzyknął i rzucił się do stolika. Rozpakował pół tuzina zawiniątek, drąc papier i ciskając go na podłogę. Same kamyki. Wkrótce mnóstwo ich leżało na moich kolanach. Policzyłam je odruchowo. Na każdą chatę lub lepiankę przypadał

jeden. Cała wieś, każdy biedny dzierżawca przysłał mi na urodziny kamyk. Nie ośmielili się otwarcie mnie ukamienować. Za moją bryczką rzucono tylko jeden kamień. Przystali mi jednak opakowane w ładny papier mnóstwo kamieni. Wstałam gwałtownie. Lawina zasłała podłogę pokoju śniadaniowego. Kamyki stukotały o drewnianą posadzkę niczym burza gradowa. Celia miała przerażoną twarz. John obserwował mnie, nie kryjąc zaciekawienia. Harry zaniemówił ze wściekłości; nerwowo szukał słów.

— Na Boga! — wybełkotał. — Poślę do wsi kawalerzystów za ten występki! To zniewaga, z premedytacją obmyślona zniewaga! Na Boga, nie puszczę tego płazem!

Błękitne oczy Celi nagle napełniły się łzami.

— Och, nie mów tak! — wykrzyknęła ogarnięta pasją. — To my ściągnęliśmy to na głowę Beatrice. To nasza wina. Widziałam, jak głodująca wieś wpada w coraz większą rozpacz i gniew. A ja usiłowałam tylko pomóc najuboższym rodzinom w przetrwaniu zimy. Nigdy nie spojrzałam prosto w oczy faktom, temu co robicie, Harry i Beatrice. I teraz widzę skutek. Myliliśmy się. Harry. Bardzo się myliliśmy.

Spojrzałam na nią pustym wzrokiem. Gdziekolwiek poszłam, słyszałam wciąż jak echem odbijającą się wieść, że źle się dzieje w Wideacre. Podczas gdy ja byłam przekonana i musiałam być przekonana, że wszystko idzie dobrze. Pięćdziesiąt kamyków pokrywało podłogę u moich stóp, a ja gapiłam się na Celię winiąc samą siebie za smutek i okrucieństwo, które pojawiły się na naszej ziemi, oraz na Harry'ego milczącego ze wściekłości. I na Johna, który mnie obserwował.

— Zapomnieliście o jednym podarku — oznajmił cicho. — Nie kamieniu, lecz małym koszyczku.

— O, tak — odezwała się Celia z nadzieją w głosie. — Prześliczny koszyczek, taki jakie dzieci robią z trzciny nad rzeką.

Patrzyłam na koszyczek jak otepiała. Od Ralpa, to oczywiste. Pociemniałymi oczami zauważyłam, że palce Ralpa zachowały dawną zręczność, zupełnie niezależnie od niesprawnych już na zawsze nóg. Wyborna robota. Poświęcił masę czasu i zadał sobie trud, aby groźny podarek był uwodzicielsko piękny, wręcz zapraszający do wzięcia.

— Ty otwórz, Celio. Ja nie chcę — poprosiłam.

— Naprawdę? — spytała. — To nie może być nic złego. Spójrz na misterną robotę wieczonego i zamknięcia. — Wyjęła patyczek służący za rygielek i otworzyła zameczek, a potem uniosła wieczko. Jej delikatne palce rozgarnęły słomę wyściełającą wewnątrz.

— Bardzo dziwne — zdumiała się.

Spodziewałam się porcelanowej sówki, tak jak ostatnio. Albo jakiegoś upiornego gadżetu w rodzaju modelu pułapki na kłusowników. Albo porcelanowego czarnego konia. Dostałam coś jeszcze gorszego.

Od wielu dni gnębiła mnie myśl, że zbliżają się moje urodziny. Wyczuwałam obecność Ralpa gdzieś w pobliżu. Oczekiwałam jakiegoś ostrzeżenia. Jakiejś zaszyfrowanej groźby. Wyobrażałam sobie wszelkie możliwe jej postacie. Jednak to, co mnie spotkało, było jeszcze gorsze.

— Hubka i krzesiwo? — odezwał się John. — Hubka i krzesiwo? Po cóż ktoś miałby ci to przysyłać, Beatrice?

Drżąc, nabrałam w płuca powietrza i spojrzałam na Harry'ego, tłustego napuszonego głupca, który pozostał jedynym wsparciem i pomocą w nienawistnym świecie, jaki sama stworzyłam.



— To Mściciel — stwierdziłam z rozpaczą. — Przysłała mi to jako zapowiedź, że podpali nasz dom. Zjawi się tu wkrótce. — Wyciągnęłam do Harry'ego rękę niczym tonąca w rwących nurtach rzeki Fenny podczas powodzi. Nie widziałam jednak Harry'ego. Znów mgła w głowie i przed oczami. Teraz jednak szarość nie była wilgotna i zimna, lecz gorąca.

I miała zapach dymu.

Położyłam się jak jakaś przewrażliwiona londyńska damulka popadająca w depresję. Nie wiedziałam, co mogłabym innego zrobić. Bałam się i nienawidziłam wsi; nie chciałam tam jechać. Nie słyszałam bicia serca ziemi, więc lasy i łąki nie przynosiły mi już pocieszenia. Wiedziałam, że gdzieś w jakiejś kryjówce czeka Ralph i płonącymi czarnymi oczami obserwuje mój dom. Czeka na mnie. Mój gabinet, mapy, kartoteka, rachunki — to wszystko papiery, które spłoną w mgnieniu oka od jednej wykrzesanej iskry. Nic mnie nie wzywało, leżałam więc w łóżku na wznak, patrząc na olbrzymi rzeźbiony baldachim nad głową (obfitość owoców, kwiatów i zwierząt) i tęskniłam za tym, aby moją ziemię spotkał taki urodzaj. Aby rosły smaczne rzeczy i każdy mógł się najeść do syta. Wiedziałam w skrytości serca, mego rozpaczającego serca, że Wideacre pozostała taka jak kiedyś, zanim oszalałam i zatraciłam siebie, miłość, przyrodę. Musiałam trwać z myślą o przyszłości, o Richardzie i Julii, i o tym, ile dobrego dziaają, kiedy utrzymam Wideacre w naszych rękach i im przekażę. Ale byłam zgubiona.

Traktowano mnie jak osobę ciężko chorą. Kucharka wymyślała najdelikatniejsze potrawy, aby mnie skusić do jedzenia. Nie miałam jednak apetytu. Bo i jakże tu mieć apetyt? Jadałam solidne posiłki w czasach, kiedy wędrowałam po posiadłości jak włóczęga i wracałam do domu straszliwie zmęczona, umierająca z głodu.

Przyprowadzano Richarda w odwiedziny, lecz dziecko nie umiało się zachować spokojnie, a hałas przyprawiał mnie o ból głowy. Celia siedziała przy moim łóżku godzinami, szyjąc pod oknem; ciepłe majowe słońce rozświetlało jej jasne włosy. Czasem czytała książkę, a ja milczałam dla towarzystwa. Dwa razy dziennie odwiedzał mnie Harry, niezdarnie skradając się na czubkach palców. Czasem przynosił gałązkę głogu czy bukiet dzwonek. Rano i wieczorem przychodził John, już od progu surowo mi się przypatrując. Zawsze służył buteleczką laudanum, jeśli tego pragnęłam, zaś w jego bladoniebieskich oczach tliła się niekiedy iskierka litości.

Podjął działania skierowane przeciwko mnie. Wiedziałam, nie kradnąc nawet jego listów i nie sprawdzając skrzynek pocztowej. Był w kontakcie z ojcem i z przebiegłymi szkockimi prawnikami ojca. Badał, czy istnieje szansa odzyskania resztki jego fortuny. Badał, czy można wydziedziczyć mego syna. Wiedziałam jednak, że zarzuciłam sieć mocną jak stal. Ufałam, że moi adwokaci tak ułożyli postanowienia kontraktu, iż zerwać go mogli jedynie sami sygnatariusze. A dopóki umiałam sobie okręcić Harry'ego wokół palca, Wideacre bezpiecznie czekała na mego syna. John nie mógł mi nic zrobić. W maju, kiedy całymi dniami leżałam pogrążona w drzemce, przestał mnie nienawidzić. Był zbyt dobrym lekarzem. Nawyki zawodowe i doświadczenie kazały mu bacznie mnie obserwować. Odnotował błądność moich policzków, cienie pod oczami, wzrok bezmyślnie utkwiony w drewnianym sklepieniu łóżka.

W obszernym łożu pod poduszkami ukryłam pewną rzecz. Twarde kanciaste pudełeczko, które dostałam na urodziny. Wyjęłam tylko z niego krzesiwo i hubkę, bo bałam się teraz panicznie ognia; co wieczór nalegałam, aby Harry sprawdził wszystkie kominki we dworze, czy aby nie za intensywnie pali się w nich

ogień. W pudełeczku trzymałam zawiniątko z karbowanego papieru, a w nim garść ziemi Wideacre, tej ziemi, którą niosłam w zaciśniętej pięści przez całą drogę do domu i którą przez długie lata chowałam na dnie szkatułki z biżuterią. Teraz ziemia znalazła swoje miejsce w pudełeczku, które przysłał Mściciel; ziemia Ralpa w pudełku Mściciela. Gdybym była rzeczywiście czarownicą, tak jak mnie nazywano, mogłabym czerpać z tych przedmiotów magiczną moc. Magia zamieniłaby mnie znów w niewinną dziewczynkę i nigdy nie doszłoby do bólu, głodu i śmierci.

Leżałam, śniąc na jawie o śmierci, niczym zaczarowana księżniczka. A Celia, litościwa wyrozumiała Celia kusila, bym wstała z łóżka, roztaczając przede mną interesujące perspektywy.

— Harry mówi, że pszenica świetnie się zapowiada — stwierdziła pewnego ranka pod koniec maja, kiedy siedziała w moim pokoju przy oknie, wyglądając na ogród różany, wybieg dla koni, lasy i niziny w oddali.

— Tak? — odezwałam się ospale. Nawet nie odwróciłam głowy. Płaskorzeźba na baldachimie łóżka przedstawiała bujne łąny zbóż, dorodne owce, cielne krowy oraz wielką zakręcaną muszlę pełną owoców i snopów pszenicy. Rzeźba wyrażała pochwałę gospodarza posiadłości i przypominała stale o przymiotach ziemi: jej płodności i oddaniu ludziom.

— Jest wysoka, srebrzystozielona — oznajmiła Celia.

Wyobrażenia wywołała gdzieś w czeluściach mego umysłu obraz falujących pól.

— Tak — okazałam więcej zainteresowania.

— Harry mówi, że jeszcze nie widział takiego zboża jak na Dębowej Łące i na Łące Normanów. Wielkie obfite kłosy i proste wysokie łodygi. — Celia nie spuszczała wzroku z mojej rozpromienionej nagle twarzy.

— A na wspólnych gruntach? — spytałam, unosząc się nieco i odwracając ku Celii.

— Też wygląda bardzo dobrze. Tak tam przygrzewa słońce, że według Harry'ego trzeba będzie wcześniej przystąpić do żniw.

— A nowe pola, które przyłączyliśmy od strony granicy nizin?

— Nie wiem — stwierdziła Celia szelmowskim tonem. — Harry nie mówił. Nie sądzę, żeby zapuścił się tak daleko.

— Nie zapuścił się tak daleko! — wykrzyknęłam oburzona. — Powinien tam jeździć codziennie. Tylko spuścić oko z tych leniwych pastuchów, a wpuszczą tam owce, które wyskubią zboże do korzeni i to będzie rzekomym dowodem, że całe niziny trzeba zostawić dla owiec! A do tego króliki i jelenie! Harry powinien codziennie sprawdzać ogrodzenia wokół pól obsianych zbożem!

— No to niewesoło — oświadczyła Celia niewinnie. — Gdybyś tylko mogła sama iść i zobaczyć, Beatrice...

— Pójdę — postanowiłam bez chwili namysłu. Odrzuciłam kołdrę i zsunęłam się z łóżka. Trzy długie tygodnie leżenia osłabiły mnie. Szumiało mi w głowie, kiedy wstałam. Ale miałam przy sobie Celię. Kiedy przyszła Lucy, wyjęły mój bladoszary strój do konnej jazdy.

— Powinnam chyba jeszcze nosić żałobę? — spytałam, przerywając na widok pięknej sukni z lekkiego materiału.

— To już prawie rok — Celia zrobiła unik. — Nie można być drobiazgowym, jest za gorąco na twój czarny kostium, Beatrice. A zawsze tak ci było do twarzy w tej właśnie sukni. Załóż ją dzisiaj, przecież nie wyjeżdżasz poza granice posiadłości, a w tym ubraniu poczujesz się o wiele lepiej.

Nie trzeba mi było powtarzać. Błyskawicznie wsunęłam przez głowę jedwabne spódnice i zapięłam guziki zgrabnego zakietu. Lucy przyniosła aksamitną czapeczkę świetnie pasującą do całości. Upięłam kasztanowe pukle starannie pod czapką, a Celia aż westchnęła, kiedy stanęłam przed lustrem.

— Beatrice, jakaś ty piękna! — powiedziała szczerze.

Odwróciłam się i spojrzałam na swoje odbicie.

Patrzyły na mnie moje własne oczy. Usta uśmiechały się kpiarsko. Stawałam się coraz starsza, coraz twardsza. Traciłam magiczny urok z czasów, gdy Ralph był we mnie zakochany. Wtedy moja uroda dawała się porównać z oślepiającym promieniem słońca, który wpada do mrocznej stodoły. Nowe linie wokół ust i zmarszczka na czole u nasady nosa (to od chmurzenia się) nie ograbiły mnie z urody. Dla piękna zasadnicze znaczenie ma zarys kości pod gładką błyszczącą skórą. A tego nic mi nie zabierze, nigdy, aż do śmierci. Chociaż wyraz mojej twarzy się zmienia, chociaż pod wieloma względami staje się surowszy. Ale kilka nowych bruzd na twarzy — to jeszcze nic.

Nie zwracając uwagi na Lucy i Celię, podeszłam jeszcze bliżej do lustra, tak że od mego odbicia dzieliło mnie zaledwie parę cali. Kości, włosy, skóra — idealne jak zawsze. Ale wyraz twarzy się zmienił. Kiedy Ralph mnie kochał, byłam szczerą, otwartą jak mak w letni poranek. Kiedy pożałowałam Harry'ego, sekrety nie zaciągały mych oczu cieniem. Nawet kiedy zalecał się do mnie John, kiedy chodził za mną, kiedy przyniósł mi szal po tańcach, umiałam się ciepło uśmiechać i życzliwie nastawić go do siebie. Teraz oczy patrzyły zimno. Usta mogły się uśmiechać, nawet śmiać, a oczy pozostawały zimne i ostre jak odłamki lodu. To z powodu tajemnic, które w sobie nosiłam. Nawet kiedy chciałam się odprężyć, wargi pozostawały zaciśnięte — stąd linie wokół ust. Zmarszczki na czole tworzyły się wskutek częstego unoszenia brwi. Ze zdumieniem zdałam sobie sprawę, że kiedy będę starą kobietą, moja twarz przybierze wyraz rozgoryczenia. Nie pozostanie na niej śladu po wspaniałym dzieciństwie, po namiętnościach i upojeniu władzą nad otoczeniem, właściwym wiekowi dojrzałemu. Może będę uważała, że zmuszałam życie, by dawało mi rozkosz, lecz twarz czterdziestoletniej kobiety powie mi, że nic nie przyszło bez wysiłku i że za każdą przyjemność drogo zapłaciłam.

— Co się stało? — spytała Celia delikatnie.

Wstała z kanapki pod oknem i stanęła obok mnie. Objęła mnie w talii i spojrzała na mnie.

— Spójrz na nas — poprosiłam, a Celia przeniosła wzrok na lustro.

Przypominałam sobie dzień, w którym przymierzałam suknię drużny, a Celia suknię ślubną, dawno temu, u Haveringów. W owym czasie budziłam powszechne pożądanie mężczyzn, a Celia była niewinnym bladym kwiatuszkiem. Teraz gdy tak stałyśmy ramię w ramię, stwierdziłam, że Celia lepiej zniosła minione lata. Szczęście rozkwitło rumieńcami na jej policzkach i zaokrągliło pogodnie jej usteczka. Zginął gdzieś przerażony wyraz twarzy z czasów, gdy mieszkała w Havering Hall. Teraz potrafiła śmiać się i śpiewać niczym beztroski ptak. Stoczyła zwycięską bitwę o wyciągnięcie Johna z pijaństwa. Walczyła z własnym mężem i panem, Harrym, oraz z najlepszą przyjaciółką, czyli mną, zwycięstwo zaś przydało jej nimbu godności. Nie

straciła swego dziecięcego uroku, lecz poczucie godności zdobyło przewagę nad dziewczęcą zgoła słabością i podatnością na zdanie innych. Umiała już dokonywać oceny, właściwej oceny złych postępów ludzi ją otaczających. Jako stara dama będzie podziwiana za swój czar, mądrość i niezłomność moralną.

Zawziętość nie leżała w naturze Celii, lecz nie umiała z pewnością zapomnieć samolubnego zachowania mojego i Harry'ego, kiedy przy stole John dygotał na widok butelki, a my piliśmy w jego obecności, wychwalając smak wina. Nie polegała też na moich słowach i straciła do mnie zaufanie. Między nami utrzymywał się lekki dystans i nawet wrodzona życzliwość Celii nie potrafiła go pokonać. Kiedy patrzyła w odbicie moich oczu, nie umiałam określić, o czym myśli.

— Chyba mogłabyś pojechać obejrzeć pszenicę — odezwała się kusząco. — Naprawdę mogłabyś, gdybyś tylko zechciała, Beatrice.

— Tak — odrzekłam z uśmiechem. — To już prawie rok. Z radością pojeździłabym znów po nizinach. Każ chłopcom stajennym przygotować Tobermory'ego.

Celia skinęła głową i wyszła z pokoju, zabierając po drodze swoje szycie. Lucy wręczyła mi szare rękawiczki i szpicrutę.

— Już lepiej się panienka czuje — zagadnęła zimnym głosem. — Nie znam takiej damy, która by równie szybko wracała do zdrowia, panienko Beatrice. Czasami myślę sobie, że nic panienki nie powstrzyma.

Tygodnie spędzone w łóżku stanowiły dobry odpoczynek. Wzięłam Lucy za ramię tuż powyżej łokcia, ścisnęłam mocno i przyciągnęłam ją ku sobie.

— Nie podoba mi się ton twego głosu, Lucy — odezwałam się w zaufaniu. — Wcale mi się nie podoba. Jeśli chcesz sobie poszukać nowej pracy, mając ostatnią tygodniówkę w pugilaresie, daleko stąd, to tylko powiedz.

Popatrzyły na mnie oczy wieśniaczki — nienawistne, a zarazem tchórzliwe.

— Przepraszam, panienko Beatrice — powiedziała i spuściła wzrok. — Nie chciałam pani urazić.

Pozwoliłam jej odejść, wyrażając to lekkim pchnięciem. Wyszłam za nią i hałaśliwie ruszyłam po schodach na dół, do drzwi stajni. Akurat John wyszedł na świeże powietrze; patrzył na gołębie koziołkujące na dachu stajni.

— Beatrice! — zauważył mnie i badawczo obejrzał moją twarz. — Czujesz się lepiej — ocenił. — Nareszcie.

— W rzeczy samej! — oświadczyłam, a blask triumfu rozpromienił mi twarz. Nie mógł mi się już przypatrywać jak pacjentce, którą trzeba się opiekować podczas powolnej bolesnej agonii. — Jestem wypoczęta i znów zdrowa. Idę pojeździć konno.

Jeden z chłopców stajennych wyprowadził Tobermory'ego ze stajni. W gorącym słońcu jego sierść błyszczała dokładnie tym samym odcieniem co moje kasztanowe włosy. Zarżał na mój widok. Poklepałam go po nosie. Kiwnęłam na Johna. Cóż miał robić; złożył dłonie i podsadził mnie. Ogarnęło mnie uczucie prawdziwej radości, kiedy przydepnęłam butem białe, czyste ręce lekarza. Posłałam mu uśmiech z wysokości grzbietu Tobermory'ego. Wyglądało, jak gdybym była w nim zakochana.

— Czy widzisz dzisiaj Śmierć na mojej twarzy, John? — spytałam złośliwie. — Pospieszyles się chyba z diagnozą głoszącą, iż umrę, aby ci sprawić przyjemność, czyż nie tak?

John miał poważną minę i oczy zimne jak kamienie.

— Jesteś zdrowa jak zawsze — przyznał. — Wciąż jednak widzę śmierć, która idzie ku tobie. Wiesz o tym dobrze, tak jak ja. Teraz czujesz się lepiej, bo świeci słońce i znów dosiadasz konia. Ale okoliczności się zmieniły, Beatrice. A nie jesteś aż takim głupcem, by nie zdawać sobie sprawy, że zniszczyłaś już wszystko wokół siebie i teraz kolej na ciebie.

Pochyliłam się i pogłaskałam Tobermory'ego, tak aby John nie widział mojej twarzy poblądłej na dźwięk jego profetycznego głosu.

— A ty cóż poczniesz? — spytałam twardo, panując nad sobą. — Kiedy już wpędzisz mnie do grobu lub w szaleństwo tym gadaniem do znudzenia na jeden temat? Cóż wtedy poczniesz?

— Będę się opiekował dziećmi — odparł swobodnie. — Ostatnio rzadko widywałeś Richarda, Beatrice. Albo zajmowałaś się planowaniem upadku Wideacre, Julii i Richarda, albo leżałaś chora.

— Ty zaś troszczyłaś się o Celię — stwierdziłam, znajdując punkt, w którym mogłam go zranić w rewanżu. — To dlatego nie podzieliłaś się z nią wszystkimi obłędnymi teoriami dotyczącymi mnie i mojego życia. Kiedy przyjechała do ciebie zasmucona i przerażona, nic nie powiedziałaś, żeby jej nie pograżać. Jakkolwiek sam byłeś rozżalony i przestraszony, prawda? Uspokajałeś ją, pocieszałeś i mówiłeś, że wszystko będzie dobrze. I przywiozłeś ją do domu, aby pojednała się z mężem, jak gdyby nic się nie zdarzyło.

— Jak gdyby w labiryncie nie czaił się potwór — dodał cicho John. — Tak. Istnieją rzeczy i myśli, których kobieta, dobra kobieta, Beatrice, nie powinna oglądać ani poznawać. Cieszę się, że chronię Celię przed trucizną obecną w tym domu. Jest to możliwe, ponieważ wierzę, iż ta sytuacja nie będzie trwała wiecznie. Labirynt runie. Potwór umrze. Chcę tylko, żeby Celia i dzieci były bezpieczne podczas tego kataklizmu.

— Bufon! — nie wytrzymałam. — To brzmi jak scena z romansu czytanego przez Celię. A cóż według ciebie spowoduje tę zagładę? W jaki sposób zapewnisz bezpieczeństwo Celi i dzieciom? Mówisz nonsensownie, John. Będę musiała znów kazać cię zamknąć!

Oczy Johna natychmiast zareagowały na ten żart; spojrzenie zhardziało, lecz twarz pozostała łagodna.

— Ty sama staniesz się źródłem zagłady — oznajmił z pewnością w głosie. — Przeszłaś samą siebie, Beatrice. Miałaś dobry inteligentny plan. Cena jednak okazała się zbyt wysoka. Nie sądzę, że uda ci się spłacić pożyczkę, a w takim razie pan Llewellyn zgłosi się po zastaw. A dotyczy to nie tylko pożyczek zaciąganych za zgodą Harry'ego. Pan Llewellyn zażąda zwrotu pieniędzy z tytułu pożyczek, o których wiesz tylko ty i on, a teraz jeszcze ja. Odmówi przyjęcia ziemi, będzie się upierał przy zwrocie gotówki. Będziesz musiała sprzedać ziemię. W pośpiechu, a więc tanio. Zbiegną się terminy płatności wszystkich weksli. Nie obsłużysz wierzycieli bez sprzedawania ziemi, coraz większych obszarów. Wideacre zostanie odarta z ziemi i z bogactwa. Powiedzie ci się, jeśli zachowasz dom, ale cała reszta — tu wskazał ogród, zielony wybieg, migoczący las pełen gołębiego śpiewu, wysokie blade wzgórza poprzecinane białymi ścieżkami — przejdzie w ręce kogoś innego.

— Przestań, John — nakazałam stanowczo. — Przestań. Przestań mnie tak przeklinać. Jeszcze parę gróźb i przykrości z twojej strony, a sama zniszczę ów labirynt. Powiem Celi, że ją kochasz i dlatego piłeś. I dlatego wróciłaś z nią do domu. A Harry'emu powiem, że ty i ona jesteście kochankami. To dopiero będzie zagłada. Zrujnujesz jej życie. Zostanie wygnana z posiadłości, zhańbiona, pozbawiona dostępu do dzieci. Jeśli będziesz mi groził i przeklinał mnie, jeśli będziesz się mieszał do moich finansów, jeśli będziesz się



kontaktował z panem Llewellynem i snuł przerażające wizje utraty praw własności do Wideacre, zrujnując Celię. A to ci złamie serce. Więc lepiej przestań mi wygrażać i przeklinać mnie.

Ponury wzrok Johna był pełen dystansu.

— To nie ja rzucam na ciebie klątwę, Beatrice. Sama się przeklełaś. Przy każdej z dróg, którymi podążasz, czai się wąż. Śmierć, zagłada osiągną cię, bo sama otaczasz się zagładą i ruiną, sama planujesz zniszczenie wokół siebie. Nawet kiedy sądzisz, że planujesz lepszą przyszłość dla Richarda i dla innych, sprowadzasz tylko śmierć do wsi i spustoszenie na ziemię.

W przyływie wściekłości szturchnęłam nagle Tobermory'ego w pysk i uderzyłam go szpicrutą. Przypomniał sobie wyuczoną kiedyś sztuczkę. Koń uniósł się i jedną z przednich podków pchnął mocno Johna w ramię. Nic mu się nie stało, padł tylko z impetem na drzwi. Spięłam Tobermory'ego obcasami i pomknęliśmy podjazdem, jak gdybym znów brała udział w wyścigach, tym razem ściagałam się ze słowami Johna i jego przenikliwością. Nie ściagałam się z samym Johnem, z człowiekiem, który kiedyś jechał po zwycięstwo, ponieważ bardzo mnie kochał.

Tobermory był w świetnej formie, zachwycony tym, że mógł opuścić stajnię; ja zaś cieszyłam się, że znów dosiadam konia, a nie jadę dostojnie bryczką. Słońce złote jak szampan świeciło mi w twarz. Było mi coraz cieplej, kiedy cwałowałam przez łąki obsiane teraz zbożem, w stronę nizin. Ptaki śpiewały szaloną letnią piosenkę, a gdzieś w oddali na wzgórzach nawoływała się para kukułek; dwudźwiękowa melodia brzmiała jak gra dziecka na fujarce. Skowronki śpiewem znaczyły swój podniebny szlak. Ziemia oddychała soczystą wonią trawy i kwitnących kwiatów. Wideacre była wieczna. Wideacre się nie zmieniła.

Ale ja już nie byłam tą samą osobą. Jechałam jak dziewczyna z miasta. Rozglądałam się i widziałam, co trzeba, lecz te widoki nie przemawiały do mnie. Nie poruszały czulej struny w moim wnętrzu. Nie przyzywały mnie, tak jak kukułka swego towarzysza. Nie śpiewały głosem skowronka. Odwieczna, cudowna pociągająca przyroda nie potrzebowała mnie już. Jechałam po tej ziemi niczym ktoś obcy. Dosiadałam Tobermory'ego jak ktoś, kto dopiero nauczył się jeździć konno. Nie oddychałam wspólnym rytmem z wierzchowcem. Kiedy szeptałam jego imię, nie nadstawiał bacznie uszu. Siodło wydawało się sztywne, niewygodne, a cugle — za duże dla moich drobnych dłoni. Tobermory i ja nie poruszaliśmy się jak jeden organizm, na wpół ludzki, na wpół zwierzęcy. Podkowy nie wrzynały się w glebę, jak rzeka Fenny w swoje koryto. Nie byliśmy częścią ziemi. Dotykaliśmy zaledwie jej powierzchni.

Patrzyłam na zboże z wielką troską, z nadzwyczajnym zainteresowaniem, bo wiedziałam, że instynkt nie podpowie mi teraz, czy zboże jest zdrowe. Jechałam wzdłuż linii ogrodzenia, a kiedy spostrzegłam lukę, przez którą mogły wtargnąć owce i zniszczyć zboże, przywiązałam Tobermory'ego do drzewa i zsunęłam się z siodła. Zasłoniłam przerwę w ogrodzeniu gałęzią i spojrzałam krytycznie doświadczonego wzrokiem. To powinno zatrzymać owce. Zrobione. Gałąź wydawała się bardzo ciężka, a ja poczułam się śmiertelnie zmęczona.

Ruszyłam klusem wzdłuż granicy nizin i skręciłam w dół ścieżką prowadzącą do Acre. Pograżona tak długo w odrętwieniu zapominałam, że prawie od miesiąca nie byłam we wsi. Od czasu podłych pogroźek zamiast urodzinowych prezentów. Wiedziano w Acre, że podłoga salonu pokryła się mnóstwem kamyków; to służący spędzający we wsi wolne dni przynieśli smakowitą plotkę. Wiedziano też, że panienska Beatrice poszła

podtrzymywana niczym staruszka do sypialni i przez parę tygodni nie wstawała z łóżka. Właściwie nie zamierziałam wracać do domu tą drogą, to Tobermory sam wybrał nietypową trasę, a ja bliska drzemki nie powstrzymałam go. Teraz jechałam do wioski, popuściwszy cugli, nie przejmując się, kogo tam spotkam. Zdołałam stawić czoło Lucy, kiedy zachowała się wyzywająco, to i z nimi sobie poradzę. Tu na ziemi Wideacre nie czułam się jak w domu i to wysysało ze mnie energię życiową. Opuściłam ramiona, lecz plecy trzymałam prosto, tak jak uczył mnie papa. Podniosłam głowę, lecz palce dzierżące cugle zdrętwiały. Tobermory wyczuł tę zmianę we mnie i kroczył uważnie, nastawiając niespokojnie uszu.

Dróżka do Acre prowadzi obok cmentarza, tuż koło zakątka nazwanego „Kącikiem panienci Beatrice”, mieszczącego groby dwojga, w długiej historii Wideacre, samobójców. Ktoś położył świeże kwiaty na obu kopczykach. Poza tym nie było nagrobków ani krzyży, choćby drewnianych. Wielebny Pearce nie pozwoliłby na to. Kiedy nikt nie będzie dbał o groby i ludzie przestaną przynosić kwiaty, kopczyki zapadną się i zostaną zapomniane. Może nawet kącik straci swoją nazwę.

Skręciłam w lewo obok kościoła i pojechałam gościńcem. Na wpół oczekiwałam, na wpół obawiałam się jakiegoś znaku od wieśniaków, lecz myśl o tym nie wzbudziła we mnie odwagi, a ledwie — odrętwienie. Cóż jeszcze mogli mi zrobić? Przestali mnie kochać; nauczyli się mnie nienawidzić. Nie odważyli się wystąpić otwarcie przeciwko mnie; umieli zdobyć się tylko na ukryte groźby i dziecinne okrucieństwo. Mogłam codziennie do końca życia przejeżdżać przez Acre. Jeśli naraziliby się mi czymkolwiek, użyłabym swej władzy, aby zetrzeć wieś z powierzchni ziemi. Mogłam spalić strzechy nad ich głowami. Wiedzieli o tym świetnie.

Kiedy Tobermory jechał wiejską ulicą, jakaś kobieta w jednym z ogródków podniosła na mnie wzrok znad nędznego rządka pielonych warzyw. Zmierzyła wzrokiem znakomitego wierzchowca i mój elegancki szary strój, a potem zabrała dziecko i pomknęła do domu. Drzwi chaty zamknęły się z trzaskiem przypominającym strzał. Z hukiem zasunięto rygiel. Jak gdyby w celu odwrócenia uwagi od nieuprzejmości tej jednej kobiety (pamiętałam, jak się nazywa — Betty Miles), kanonada zamykanych drzwi przeszła przez wieś. Mieszkańcy Acre widzieli mnie przez małe okna swych nie oświetlanych chat. Słyszeli stukot podków Tobermory'ego, kiedy siedzieli przy zimnych kominkach i pustych rondlach. Bez szans na zarobek, podchodzili do drzwi wejściowych i trzaskali dwa, trzy razy. Acre zamykała się — przeciwko mnie, tak jak ziemia zamknęła się przede mną.

Jechałam do domu. Przystanąłam tylko na krótko przy wielkim polu pszenicy zajmującym obszar dawnych wspólnych gruntów. Jakaś tajemna siła kazała mi spostrzegać pod jednolitym bladozielonym płaszczem zboża dawne oznakowanie poletek, niewyraźne linie dwóch dolinek, wielką wyrwę po korzeniach starego dębu, dwie ścieżki prowadzące od miejsca, gdzie siedziałam na koniu, do dziury po dębie. Mój umęczony umysł zarejestrował trzeźwo, że źle przeprowadzono wyrównanie terenu; cóż, nie dopilnowałam prac osobiście. Za rok orka zlikwiduje znaki charakterystyczne dla ziemi, którą kochałam i która niegdyś służyła całej wsi.

Siedząc na wysokim wierzchowcu, w zgrabnej czapce na głowie, miałam dziwne uczucie, że mogłabym orać i uprawiać to pole przez tysiąc lat, co roku, a wciąż będę widziała dokładnie miejsca, gdzie dzieci wiejskie pasaly gęsi, gdzie stał dąb zapraszający pary narzeczonych, aby napisem na korze ogłaszały swe zaręczyny.

Ociężale zawróciłam Tobermory'ego i nerwowym klusem skierowałam się do domu. Było ciepło pachnące letnie popołudnie. Bzyczały owady. Jedwab sukni falował marszczony powiewami powietrza, bo pozwoliłam Tobermory'emu na dłuższy krok; przeszedł od klusa do cwału. Podrygiwałam na siodle niczym kłoc drewna, a pod żebrami czułam kamień zimny jak lód.

Tylko Harry powitał mnie w świetnym humorze. Wszyscy pili herbatę w saloniku, kiedy weszłam, odpinając czapeczkę, która nagle zaczęła mnie cisnąć.

— To dobrze, że znów cię widzę na polach — wykrzyknął niewyraźnie z ustami pełnymi placka z owocami.

Celia przypatrywała się z troską mojej pobladłej twarzy. Zauważyłam, że spojrzała na Johna, a ten obrzucił mnie swym badawczym beznamytnym wzrokiem profesjonalisty.

— Napij się herbaty — Celia dała znak Johnowi, aby zadzwonił na służbę. — Wyglądasz na zmęczoną. Każę przynieść jeszcze jedną filiżankę.

— Czuję się znakomicie — oświadczyłam niecierpliwie. — Miałś jednak całkowitą słuszność, Celio. Zboże zapowiada się wspaniale. Jeśli utrzyma się tego lata ładna pogoda, zdołamy spłacić najpoważniejsze długi ciążące na posiadłości.

Mówiąc to, rzuciłam Johnowi spojrzenie spod powiek. Patrzył pogardliwie i zyskałam pewność, że fortuna rodu MacAndrew rozwiązała języki prawnikom i kupcom i że tylko John z całej trójki orientował się, że plony jednego sezonu nie wystarczą na pokrycie długów. Potrzeba czterech, pięciu urodzajnych lat. A kiedy przetrwanie gospodarza zależy od dobrej pogody, z reguły aura jest złośliwa. Razem z Wideacre zostałam przyparta do muru niczym w koszmarnym śnie, kiedy nie można uciec przed zagrażającym niebezpieczeństwem.

— Wspaniale! — ucieszył się szczerze Harry. — A już szczególnie cieszę się, że wstałaś i doszłaś do siebie, Beatrice, bo chciałbym, abyś w przyszłym tygodniu oprowadziła po polach kupca zbożowego z Londynu.

Zmarszczyłam brwi, uciszając Harry'ego, lecz cóż, stało się.

— Kupiec zbożowy z Londynu? — spytał szybko John.

— A czegoż on tutaj chce? Myślałem, że nigdy nie sprzedajecie zboża bezpośrednio kupcom?

— Bo też nie sprzedajemy — odparłam natychmiast. — Nigdy nie sprzedawaliśmy. Ale ten człowiek, niejaki pan Gilby, napisał, że będzie przejazdem w tej okolicy i chciałby rzucić okiem na nasze pole, aby wyrobić sobie zdanie o pszenicy z hrabstwa Sussex.

Słyszając to kłamstwo, Harry aż otworzył usta, lecz wyraz moich oczu nakazał mu je momentalnie zamknąć. Ten jeden gest zdradził go jednak przed Johnem, który surowo spojrzał na Celię, jak gdyby chciał jej powiedzieć, że jestem łgarzem.

— Może lepiej, żebyście się z nim nie spotykali, Harry — odezwała się Celia cicho, niepewnie. — Jeśli zaoferuje dobrą cenę, możecie nie oprzeć się pokusie, a przecież zawsze powtarzaliście, że zboże z Wideacre trzeba sprzedawać na lokalnym rynku i tu też je wysiewać.

— Wiem — zniecierpliwiał się Harry. — Trzeba iść jednak z postępem czasu, moja droga. Gospodarujemy teraz w Wideacre zgodnie z nowoczesnymi metodami. Stare przekonania o małych lokalnych rynkach i groszowej cenie zboża kłócą się z pojęciem dobrego interesu.

— Takie rozmowy nie pasują do salonu — zasugerowałam gładko. — Celio, mogę prosić jeszcze jedną filiżankę? Ta ciepła pogoda wywołuje pragnienie. Są może słodkie herbatniki?

Celia zakrzętnęła się przy dzbanku, jednak z wyrazu jej twarzy mogłam wnioskować, że nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. John stał wciąż przy kominku, przenosząc wzrok z Harry'ego na mnie i znów na Harry'ego. Patrzył na nas z bezstronnym zaciekawieniem niczym na idealne, niezbyt przyjemne przykłady niższych form życia świata zwierzęcego.

— A zatem nie sprzedacie mu zboża — podsumował energicznie. Wiedział świetnie, że musimy to zrobić. Musiałam sprzedać wszystko na pniu, aby zacząć spłacać morze długów.

— Nie — odrzekłam stanowczo. — W najgorszym razie sprzedamy tylko niewielką część plonów, pszenicę z nowych pól, która i tak w zeszłym roku nie była obecna na rynku. W tej kwestii nie będzie protestów. Swoją drogą szaleństwem byłoby zalewanie rynku w Midhurst naszym zbożem, co znacznie obniżyłoby jego cenę.

— Doprawdy? — spytał John z wielkim zainteresowaniem. — Myślałem, że po tak ciężkiej zimie, jaką przeżyła najuboższa ludność, z radością zaproponujesz im latem i jesienią tani chleb.

— O, tak! — odezwała się Celia z emfazą. — Harry, powiedz, że to będą dobre żniwa i że nadwyżkę plonów przekażecie biednym! Beatrice! To była dla nich straszna zima, jak słusznie powiedział John. Wystarczy jednak jeden dobry rok, a jestem pewna, że wieś Acre naje się do syta i odzyska dawną radość.

Sączyłam następną herbatę w milczeniu. Była żoną Harry'ego, a on obiecał, że nie będzie traktował jej jak dziecka, jeśli chodzi o kwestie ziemi i gospodarstwa. Szurał teraz nogami i oglądał się na mnie, nie wiedząc, co zrobić. Patrzyłam na niego spokojnymi kocimi oczami, wzywając do sprzeciwu wobec tych niewczesnych chrześcijańskich sentymentów Celii.

— Nie będę na ten temat dyskutował — oświadczył wreszcie Harry. — Celio, ty i John otaczacie biedotę opieką, i to bardzo dobrze. Ja sam się przecież o nich troszczę. Nikt tu nie chce, żeby ludzie głodowali. Skoro jednak są na tyle nieodpowiedzialni, aby zakładać rodziny i płodzić liczne potomstwo bez zastanowienia, skąd brać pieniądze na utrzymanie, nie powinni liczyć na tanią pszenicę. Oczywiście nikt w Acre nie będzie przymierał głodem. Nie mogę jednak utrzymywać całej wsi i jednocześnie dobrze prowadzić gospodarstwo.

— Dobrze prowadzić gospodarstwo? — zakwestionował John.

— Och, zmieńmy temat! — wtrąciłam się beztrąsko. — Pogoda się poprawia, więc na razie wioska Acre nie musi martwić się o przetrwanie. Pomówmy lepiej o gościach, o rozrywkach, wszak mamy lato! Marzę o zabraniu Richarda nad morze. Co powiedzielibyście na wspólną wycieczkę?

Celia nie wyglądała na przekonaną, lecz nie mogła dążyć do otwartego starcia z Harrym, tak więc bezpiecznie przeszliśmy do innego tematu. Czułam, że John nie spuszcza ze mnie wzroku i że nie odwiode go od tropienia moich planów, moich oszustw, Bez cichego wsparcia Celii nie mógł jednak nic zdziałać. Siedział więc w milczeniu i patrzył na mnie. Kiedy przenosił wzrok na Celię, spojrzenie łagodniało.

Postanowiłam, że w dniu zapowiedzianej wizyty pana Gilby'ego muszę wyprawić Celię i Johna gdzieś poza Wideacre. Przypomniałam Celi, że pilnie trzeba sprawić dzieciom nowe buciki, i to nie z szorstkiej skóry miejscowego szewca, dobrej dla Harry'ego i dla mnie, kiedy byliśmy mali, lecz całkiem nieodpowiedniej dla małej księżniczki. Celia postanowiła zabrać dzieci na cały dzień do Chichester po zakupy. Wszyscy mieliśmy pojechać. W ostatniej chwili udałam ból głowy i odwołam swój wyjazd. Z zadowoleniem patrzyłam na powóz toczący się podjazdem, unoszący ich trójkę i dwoje dzieci. Do spotkania z panem Gilbym miałam dobrą godzinę.

Zjawił się punktualnie, co mi się spodobało. Lecz nie spodobało mi się w nim nic więcej. Był to niewysoki mężczyzna, typowy człowiek z miasta, ubrany starannie, niemal jak dandys. Biel koszuli była nieskazitelna, a kiedy kłaniał się nisko, wyczyszczone do połysku buty odbijały jego wąską twarz, twarz łasicy. A kłaniał się często. Wiedział, a ja wiedziałam, że on wie, iż nigdy nie sprzedawaliśmy pszenicy z Wideacre przed zakończeniem żniw i że zawsze najpierw proponowano kupno zboża ludziom, których ciężka praca dała obfity złoty plon. Wiedział, że dziedzice Wideacre wielce szanowali samych siebie i z podejrzliwością, z niechęcią wręcz traktowali londyńskich kupców, sprytnych ludzi interesu zdolnych oszukać i ograbić najzaciejszego gospodarza. Wiedział również (a obawiałam się, że wie o tym połowa londyńskiego City), że posiadłość jest obciążona długami, że listy zastawne i pożyczki hipoteczne związały Wideacre z panem Llewellynem, bankierami i jeszcze dwoma kupcami z Londynu. Byliśmy zmuszeni mieć do czynienia z ludźmi, którymi gardziliśmy, gdyż wpadliśmy w pułapkę długów i spłat pożyczek. Pan Gilby zdawał sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja. Jednak na jego bladej gładkiej twarzy nie pojawiła się żadna oznaka tej wiedzy, kiedy pomagał mi wsiąść do bryczki. Ruszyłam podjazdem.

Rozglądał się, oceniając w myślach wartość naszych lasów. Spojrzał w lewo ponad żywopłotem i koronami drzew ku starym łąkom, teraz pozbawionym kwiatów i miedz, zamienionym w jedno wielkie pole zielonego dorodnego zboża.

— Cały ten teren? — spytał.

— Tak — odrzekłam krótko.

Puściłam lejce jedną ręką i palcem w rękawiczce pokazałam rozległy obszar na mapie leżącej między nami na siedzeniu.

Kiwnął głową i poprosił, żebym zatrzymała bryczkę. Czekałam na koźle, kiedy przechadzał się wśród łąków niczym pan na własnej ziemi. Zerwał garść zielonych kłosów, roztarł srebrzystozieloną łuskę i wziął surowe ziarno do ust. Żuł, wyglądając przy tym jak zamyślona szarańcza, którą sama sprowadziłam na swoją ziemię. Niesmak mogłam zatuszować tylko idealnym zimnokrwistym spokojem. Okazało się to łatwe. Pokazywałam ziemię kupcowi, a papa przysięgał, że nie wpuści tu nigdy człowieka brudnych interesów. Czułam w sercu ból zamieniający moje ciało w sople lodu. A przecież popołudniowe słońce ogrzewało mi głowę, a w długiej spódnicy i zakiecie do konnej jazdy było mi gorąco i duszno.

— Dobrze — oznajmił i wsiadł znów do dwukółki. — Wspaniałe zboże. Obiecujące. Ale kupowanie zboża przed żniwami to niepewny interes. Powinna to pani wziąć pod uwagę.

— Zaiste biorę — stwierdziłam grzecznie. — Chce pan teraz obejrzeć pola na nizinach?



Potwierdził skinieniem głowy. Powiozłam go podjazdem w stronę drogi biegnącej wzdłuż granicy nizin. Po lewej rozwijała się pięknie szkółka leśna, lecz starałam się odwracać wzrok od drzewek, czując gniotące mnie w żołądku poczucie winy. Woda i ziemia Wideacre karmiły te ciemne sprężyste rośliny, które nie należały już do naszej posiadłości. Stały się własnością pana Llewellyna, duży zaś, pięknie wybrany obszar plantacji założonej przez papę przestał być źródłem przyszłego bogactwa, źródłem niewyczerpanych zapasów drewna na opał i na budulec. Przepadł. Sprzedany na pniu. Zanim nawet drzewka osiągnęły dojrzałość. A teraz sprzedawałam zielone zboże. Wydawało się, że już nic nie należy do Wideacre, ani drzewa, ani zboże, ani ja.

Pan Gilby znów wysiadł i przechadzał się wśród łąnów pszenicy. Na zboczach wychodzących na północ zbiory dojrzewały później, ziarenka zaś, które włożył do ust, były nie większe niż ziarenka ryżu, bladezielone, w twardej łusce.

— Dobrze — powtórzył. — Ale to ryzykowny interes. Bardzo ryzykowny interes.

Jakość pszenicy Wideacre i szanse zmarnowania tych zbiorów — oto temat, który zajmował go przez całe popołudnie. Ja w tym czasie pociłam się w sztywnym stroju i jednocześnie dygotałam, czując wewnętrzne dreszcze.

Chodził po polach i patrzył w niebo, jak gdyby chciał to wszystko kupić za jednym zamachem. Bez wątplenia błękitne niebo i gorące białe chmury także stanowiły „dobry, lecz ryzykowny” interes.

Pragnął zobaczyć pola na dawnych wspólnych gruntach, musieliśmy więc przejechać przez Acre. Wolałam wybrać ścieżkę przez lasy, lecz most przy młynie był nieczynny, a nie istniał wygodny objazd dla bryczki. Tym razem na dźwięk stukotu kopyt mojego konia nie zatrząskiwano drzwi. W wiosce Acre panowała cisza, jak gdyby wszyscy mieszkańcy poszli na tułaczkę.

— Spokojne miejsce — zauważył pan Gilby.

Wielka cisza zastanowiła nawet tego zajętego wciąż liczeniem pieniędzy człowieka.

— Tak — przytaknęłam oschle. — Ale nie puste, może pan być pewien.

— Mają państwo kłopoty z biedotą? — uniósł porozumiewawczo czarne brwi. — Nie umieją się przystosować, prawda? Nie chcą po prostu nauczyć się żyć w nowych warunkach?

— Otóż to — stwierdziłam krótko.

— Kiepski interes — wyrzekł półgłosem. — Macie tu w okolicy jakieś podpalenia? Niszczenie plonów? Napady na stodoły?

— Nigdy nie mieliśmy — odparłam stanowczo. — Skarżą się, ale nie ważą się zrobić nic więcej.

— Dobrze — powiedział. — Ale ryzykownie — dodał po przerwie.

— Ryzykownie? — spytałam, cmokając na Sorrela, aby ruszył kłusem, gdy wyjechaliśmy wreszcie ze złowieszczej ulicy opustoszałej wioski.

— Ryzykownie — powtórzył. — Nie wyobraża sobie pani, ile mam kłopotów z transportem wozów ze zbożem przez prowincję do Londynu. Matki z niemowlętami na rękach kładą mi się na drodze. Ojcowie otaczają wozy i przeklinają woźniców — jak gdyby to ich należało winić! Sam raz czy dwa razy dostałem się w szpony motłochu! Kiedyś nawet musiałem sprzedać gawiedzi pół wozu po cenie rynkowej, zanim mnie puszczono!

— U nas takie rzeczy nie mają miejsca — zapewniłam zdecydowanie, a dreszcz złego przeczucia przebiegł mi po plecach.

— Tak, tak, w Sussex na razie jest spokojnie. Ludzie tu nie zostali jeszcze doprowadzeni do ostateczności.

Staliśmy na dziedzińcu stajennym i poprosiłam go do swego gabinetu.

— Przyjemny pokój — rzekł, rozejrzawszy się, jak gdyby taksując cenę umeblowania.

— Dziękuję — powiedziałam zdawkowo i zadzwoniłam po herbatę.

Kiedy Stride wniósł tacę i stawiał dzbanek, pan Gilby spacerował wzdłuż półek z książkami, z aprobatą oglądając czerwoną skórę opraw. Położył dłoń na stole kartotece i wypróbował, jak lekko się obraca. Pomacał oparcia krzeseł i szurnał butami po puszystym dywanie. Nawet kiedy wreszcie usiadł i pił herbatę, wzrok jego krążył; wyglądał przez okno, gdzie w ogrodzie różanym śpiewały ptaki i bzyczały pszczoły, patrzył na wypolerowane orzechowe drzwi, na moje biurko i wielką kasetę na pieniądze. Podziwiał komfort i elegancję, jakie dawały stare, z górą stuletnie meble.

— Oto moja propozycja — oznajmił, skrobiąc coś na arkuszu papieru. — Nie będę się z panią targował, pani MacAndrew, jest pani na to zbyt dobrym farmerem. Zna pani wartość ziarna. To dobry, lecz ryzykowny interes. Podoba mi się zboże, lecz nie podoba wygląd drogi prowadzącej z Acre do londyńskiego gościńca. Zbyt wiele tam miejsc mogących nam napytać biedy ze strony ludzi, którzy sądzą, że lepiej się znają na rolnictwie niż ich panowie. Podoba mi się zboże, lecz nie podoba wygląd wioski. Tak więc uważam to za dobry, lecz ryzykowny interes, pani MacAndrew. I znajduje to odbicie w mojej cenie.

Kiwnęłam głową i spojrzałam na papier. Mniej niż miałam nadzieję, o wiele mniej. Ale trzykrotnie więcej niż uzyskalibyśmy na rynku w Midhurst i dwa razy więcej niż dostalibyśmy w Chichester. Więcej, biorąc pod uwagę, że płacił mi teraz, nie zaś za sześć tygodni, po skoszeniu zboża. Nieprzeciętne plony mogły dać dodatkowy dochód. Kasetka na pieniądze stojąca przy biurku była prawie pusta, a w lipcu przypadnie termin spłaty kolejnych rat pożyczek. Nie uda się go przesunąć, nawet gdybym chciała. Na wspomnienie mrocznych dróg i milczącej wioski znów zaczęłam się trząść.

Nigdy przedtem nie sprzedawaliśmy zboża za plecami naszych ludzi, skoro jednak uważał, że mogą oni wystąpić przeciwko mnie i otwarcie mi zagrozić, nie zawaham się przed obroną ziemi, mojej i mego syna, wszystkimi sposobami. Nie chciałam, aby umierali z głodu i cierpieli, musieli jednak odegrać swoją rolę w przekazaniu Wideacre Richardowi. A kiedy Richard zostanie dziedzicem, każdy zgodzi się, że warto było, nawet za tak wysoką cenę.

Jednakże kiedy mówił o mrocznych drogach i gniewnych ludziach, poczułam straszny nieokreślony lęk, że zamorzę głodem wszystkich mieszkańców Acre. Gdzieś dalej czy bliżej od Wideacre grasował Mściciel. W zeszłym roku groził mi, a teraz przysłał złowieszczy podarek: hubkę i krzesiwo. Zapowiedział całkiem jasno, że czeka mnie pożar. Ode mnie miała się zacząć zagłada całej szlachty. A ja nie przejęłam się, że ktoś mógłby pomóc Mścicielowi, mówiąc: „Weź ją sobie, to już nie jest nasza kochana paniątka Beatrice”. Dopóki Mściciel przebywał w pobliżu mojej ziemi, dopóki wciąż o nim myślałam, choćby i odjechał, wolałam mieć gotówkę w sejfie niż zboże na polach albo ziarno w stodołach. Nie mógł spalić złota. Nie mógł mnie zaatakować w tym oto gabinecie.

— Zgadzam się — powiedziała obojętnym tonem.

— Dobrze — stwierdził pan Gilby. — W ciągu dwóch dni dostanie pani czek do wypłaty w moim banku. Sama chce pani zżąć zboże?

— Tak. Ale niech pan lepiej podstawí swoje wozy. My nie mamy zaprzęgów, które mogłyby się podjąć transportu do Londynu.

— Dobrze — powtórzył i na znak zawarcia umowy podał mi delikatną rękę. — Ładnie tu sobie mieszkacie, pani MacAndrew — oznajmił, biorąc kapelusz i rękawiczki.

Uśmiechnęłam się i kiwnęłam głową.

— Szukam właśnie takiego miejsca dla siebie — zdradził.

Uniosłam brwi i nic nie odpowiedziałam. Taki los spotkał już hrabstwa położone wokół Londynu, nie sądziłam jednak, że tak szybko fala miejskich kupców dotrze do Sussex i ludzie interesu zaczną się tu osiedlać jako dziedzice. Przenosili na wieś swoje miejskie gusta i zwyczaje. Nie rozumieli ani ziemi, ani jej mieszkańców. Siali zamęt w tradycyjnych sposobach gospodarowania i psuli ziemię, nie dając jej odpoczynku. Zatruli atmosferę we wsiach, zabierając służących do Londynu, a potem odsyłając ich do domu. Londyńscy kupcy żyli na ziemi, lecz nie mieli do niej serca. Kupowali ją i sprzedawali jak tkaniny, na łokcie. Nie czuli się związani z żadnym miejscem, mogli więc kupować ziemię wszędzie.

— Jeśliby rozważała pani rozstanie się z Wideacre... — zaczął zachęcająco pan Gilby.

Serce mi zabiło.

— Wideacre! — wykrzyknęłam. — Wideacre nigdy nie będzie na sprzedaż!

Skinął głową z przeproszającym uśmiechem.

— Bardzo mi przykro — powiedział. — Chyba źle panią zrozumiałem. Sądziłem, że sprzedaje pani zboże i lasy, przygotowując się do sprzedaży całej posiadłości. W takim razie zaproponowałbym uczciwą cenę, naprawdę. Zapewniam, że nie dostałaby pani lepszej. Miałem wrażenie, że posiadłość przeżywa duże trudności finansowe, i sądziłem...

— Posiadłość świetnie sobie radzi — przerwałam głosem drżącym ze wściekłości. — Musiałabym zbankrutować, żeby myśleć o rozstaniu z Wideacre. To własność dziedziczna rodu Laceyów, panie Gilby. Mam syna i bratanicę, którzy przejmą ją po mnie. Nie będę sprzedawać ich domu. Nie będę sprzedawać własnego domu.

— Ależ oczywiście, że nie, oczywiście — uspokajał. — Gdyby jednak zmieniła pani zdanie... Gdyby na przykład pan Llewellyn zgłosił się z listem zastawnym...

— Nie dojdzie do tego — stwierdziłam z przekonaniem na pokaz. Czy w klubach finansistów w Londynie rozmawiano o Wideacre? Czy utworzono jakiś złowieszczy krąg, który zaciskał się wokół naszych granic i czyhał na jeden z największych majątków w Sussex? Czyżby nie udało się roztropnie rozproszyc grona naszych wierzycieli? Czyżby ci, co udzielili nam pożyczek, należeli do jednej grupy przyjaciół i liczyli już miesiące dzielące ich od upadku Wideacre? Cóż wspólnego miał pan Gilby, kupiec zbożowy, z panem Llewellynem, pośrednikiem w handlu ziemią i drewnem, którego biuro mieściło się w zupełnie innej części City? — Nawet gdyby nam groził, dysponuję wystarczającymi funduszami. Noszę przecież nazwisko MacAndrew.

— Oczywiście — przytaknął pan Gilby, lecz jego czarne oczy zdradziły, iż wie, że nie mam dostępu do tych pieniędzy. Mógł nawet wiedzieć, że fortuna rodu MacAndrew obróciła się przeciwko mnie.

— Życzę zatem miłego dnia — powiedział i opuścił mnie bez słowa.

Siedziałam w bezruchu, w milczeniu, zimna i odrętwiała. Wiedziałam, że Mściciel i jego ludzie, wyjęci spod prawa nikczemnicy, planują atak na mnie, lecz jeśli także ci ludzie, śpiący w miękkiej pościeli i jadający na srebrnych talerzach, knuli przeciwko mnie spisek — byłam zgubiona. Finansiści o topornych twarzach wiedzieli o zalewającej mnie powodzi długów i pustym sejfie; Wideacre i mnie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie pomyślałam o tym, że przecież wszyscy ludzie interesu się znają. Zapomniałam, że zakładają swoje kluby, trzymają się w grupie, działają wspólnie jak szajki. Odizolowałam się od świata, wybrałam samotność i przestałam sobie zdawać sprawę, że czyjeś oczy mnie obserwują, czyjeś uszy nasłuchują najlżejszego wahania w mym głosie, że jacyś ludzie wymieniają uśmiechy na wieść o kolejnym zaciągniętym długu i o braku szans na wyjście Wideacre z tej sytuacji.

Pokonałabym ich bez trudu, gdyby stała za mną kochająca mnie wieś, która woli pracować za darmo dla swojej panienki niż pozwolić jej przegrać bitwę z obcymi wierzycielami. Potrafiłabym też pokonać gniewną zbuntowaną wieś, gdybym nie miała kłopotów finansowych. Nie mogłam jednak walczyć jednocześnie z wieśniakami i z ludźmi wielkiej finansjery. Nie mogłam tu liczyć na zwycięstwo. Kiedy ja osaczałam biedotę, bogacze osaczali mnie. Niebezpieczny krąg mych wrogów składał się z milczących posępnych wieśniaków oraz związanych potajemnym porozumieniem wierzycieli. A pośrodku niczym kość między psami leżała Wideacre. Wideacre, której serca już nie słyszałam.

Jęknęłam cicho, czując smutek i wyczerpanie, i położyłam głowę na dłoniach, na biurku. Gdzieś z lasu dobiegał śpiew słowika. Marzyłam o odpoczynku.

Nie doceniłam Celi. Zaczęłam podejrzewać, że właściwie nigdy jej nie doceniałam Natychmiast po powrocie przyszła do mego gabinetu. Wkroczyła, zdejmując czepeczek, i nawet nie spojrzała w lustro nad kominkiem, aby sprawdzić, czy jej jasne włosy nie są potargane.

— Minęliśmy na podjeździe karete pocztową z jakimś dżentelmenem. Kto to był, Beatrice? — spytała.

Przeglądałam papiery na biurku. Podniosłam na nią wzrok, marszcząc brwi, jak gdybym chciała dać do zrozumienia, że jej ciekawość uważam za impertynencję. Ładne usta Celi nie uśmiechały się.

— Kto to był? — powtórzyła.

— Ktoś, kto interesował się jednym z koni — odparłam uprzejmie. — Żrebakiem po Tobermorym i Belli. Konie myśliwskie z Wideacre zaczynają być sławne.

— To nieprawda — zaprzeczyła Celia spokojnie. — Był to niejaki pan Gilby, londyński kupiec zbożowy. Zatrzymałam powóz i rozmawiałam z nim.

Zarumieniłam się zirytowana, lecz panowałam nad głosem.

— Ach, on! Myślałam, że mówisz o kim innym. Po południu miałam dwóch gości, pan Gilby był tym drugim.

— Powiedział mi, że kupił nie zżęte jeszcze zboże — ciągnęła Celia, nie zwracając uwagi na moje kłamstwo. — Powiedział, że zamierzasz ominąć rynek.

Wstałam zza biurka i uśmiechnęłam się. Wiedziałam, że mój wzrok nie ma w sobie nic z ciepła, Celia zaś przybrała kamienny wyraz twarzy.

— Doprawdy, Celio, podnosisz tu niełatwą kwestię dotyczącą interesów. Zarządzanie Wideacre to skomplikowana sprawa. Dotychczas nie przejawiałś większego zainteresowania tymi rzeczami. Za późno, by teraz mieszać się do moich sposobów gospodarowania.

— Masz słuszość, wymawiając mi, że niewiele wiem — odezwała się. Oddychała szybciej, a twarz i szyja pokryły się od razu rumieńcem. — Uważam za wielki błąd, iż damy z wyższych sfer nie poznają warunków życia biedoty. Całe życie mieszkam przecież na wsi, a nic o tym nie wiem, tu masz słuszość.

Próbowałam przerwać, lecz nie dała sobie odebrać głosu.

— Żyłam w raju dla głupców. Wydawałam pieniądze, nie zastanawiając się nawet, skąd pochodzą albo kto je zarobił.

Przerwała. Podeszłam do dzwonka, chcąc niby polecić przyniesienie herbaty.

— Wychowano mnie tak, bym myślała jak dziecko — podjęła Celia, zwracając się na wpół do samej siebie. — Dziecko je, lecz nie rozumie, że ktoś ugotował mu posiłek, ktoś przetaił zakup, nałożył do miseczki i podał. Wydawałam pieniądze Wideacre, nie zdając sobie nawet sprawy, że te pieniądze pochodzą z pracy biedoty.

— Niezupełnie — zaprzeczyłam. — Możesz porozmawiać z Harrym o teoriach ekonomii politycznej, lecz pamiętaj, my jesteśmy farmerami, nie kupcami czy przedsiębiorcami. Nasze bogactwo ma źródło w ziemi, w jej żyzności, w naturze.

Celia niecierpliwym gestem odegnała ten argument i położyła dłoń na kartotece.

— Wiesz, że to nieprawda, Beatrice. Co miesiąc kładziesz tu pieniądze. Płacimy, bo jesteśmy właścicielami ziemi. Ziemia pozostawiona samej sobie zarosłaby chwastami i polnymi kwiatami, inwestujemy w nią jak w każdy interes, jak kupiec, i płacimy ludziom, aby obrabiali ziemię dla nas, tak samo jak właściciel kopalni płaci górnikom.

Stałam w milczeniu. Celia bardzo się zmieniła od czasów, gdy była nieśmiałą dziewczyną patrzącą na zniwiarzy i czerwieniącą się od jednego spojrzenia Harry'ego. Nic nie mówiłam, lecz czułam wzbierający niepokój.

— Właściciel kopalni płaci im zaledwie ułamek tego, co rzeczywiście zarabiają — Celia mówiła wolno, jak gdyby głośno myśląc. — Potem sprzedaje urobek z zyskiem. Cały zysk zatrzymuje dla siebie. Oto dlaczego on jest bogaty, a górnicy biedni.

— Nie — stwierdziłam. — Nie rozumiesz mechanizmów rządzących światem interesu. Właściciel kopalni musi kupować narzędzia oraz spłacać zaciągnięte kredyty. Musi też odzyskać to, co zainwestował, a także zarobić coś za swój wkład pracy.

Otwarty wzrok Celii spoczął na mej twarzy. Zdumiewające — uśmiechnęła się, jak gdybym z niej żartowała.

— Och, Beatrice, cóż za nonsens! — oznajmiła, niemal wybuchając śmiechem. — To właśnie mówi Harry! To mówią książki Harry'ego! Sądziłam, że spośród wszystkich ludzi wy najlepiej orientujecie się, cóż to za nonsens! Ludzie, którzy piszą o konieczności zysku, należą do bogaczy. Chcą tylko uprawomocnić swoje



postępowanie. Oto dlaczego setki autorów piszą tysiące książek usiłując wyjaśnić, dlaczego niektórzy ludzie głodują, a niektórzy stają się coraz bogatsi. Muszą pisać takie książki, bo nie mogą zaakceptować prostej, widocznej gołym okiem odpowiedzi: nie ma uprawomocnienia dla zysku.

Poruszyłam się niespokojnie. Celia również wyjrzała przez okno.

— Czemu człowiek, który inwestuje pieniądze, ma mieć zapewniony zysk, człowiek zaś, który inwestuje swoją pracę, a nawet życie, nie ma nawet zagwarantowanego zarobku? — spytała. — I dlaczego człowiek, który inwestuje pieniądze, zarabia o wiele więcej dzięki temu kapitałowi niż człowiek, który pracuje, dając z siebie wszystko, przez cały dzień? Gdyby otrzymywali równe wynagrodzenie, to po spłaceniu kredytów i zakupie nowych narzędzi górnicy żyliby w takich samych domach i jedli to samo co właściciel kopalni. A tak przecież nie jest. Żyjają jak zwierzęta w brudzie i w nędzy i przymierają głodem, podczas gdy właściciele żyją jak książęta w domach stojących z dala od ohydnych kopalń.

Skinęłam głową z emfazą.

— Opowiadano mi, że panują tam straszne warunki. I jakież zepsucie moralne!

Na tę zmianę taktyki z mojej strony brązowe oczy Celi rozbliły.

— Warunki równie złe jak tutaj — oświadczyła beznamiętnym tonem. — Robotnicy pracują przez cały dzień i zarabiają poniżej szylinga. Ja nie pracuję w ogóle, a mam kieszonkowe w wysokości dwustu funtów kwartalnie. Nie ryzykuję utraty kapitału, nie wymieniam urzędzeń. Dostaję płacę za to tylko, że należę do wyższych sfer, do środowiska bogaczy. W tym nie ma sprawiedliwości, Beatrice. Ani logiki. To nawet nie jest przyjemny sposób życia.

Opadłam na fotel, fotel dziedzica i przysunęłam do siebie dokumenty. Zapomniałam, że kiedyś uważałam zmiany w świecie za niezbędne. Zapomniałam, że to właśnie ludzie nie posiadający ziemi mówili mi: ci, co znają i kochają ziemię, powinni podejmować decyzje dotyczące ziemi.

— Świat jest niegodziwy, Celio — odezwałam się z uśmiechem. — Z tym się wszyscy zgadzamy. Niewiele byś jednak uczyniła dobrego, podnosząc zarobki robotnikom. Nie byłoby różnicy, gdybyśmy stworzyli tu republikę absolutnej równości. Otóż ta Republika Wideacre musiałaby mieć nadal kontakty finansowe ze światem zewnętrznym. — Tu stuknęłam palcem w szufladę, w której trzymałam plik rachunków do uregulowania w tym miesiącu. Szuflada nie odpowiedziała echem. Była szczelnie wypełniona. — To świat zewnętrzny puka do bram Wideacre. To świat zewnętrzny nadaje rytm przemianom.

— Sprzedaj ziemię — odezwała się nagle Celia.

Gapiałam się na nią z otwartymi ustami.

— Co? — spytałam.

— Tak. Harry mówi, że zapożyczyliście się strasznie, aby uchylić majorat i zapłacić honoraria prawnikom, tak że nie macie wyboru, tylko czerpać jak największe zyski, gospodarując w nowy sposób. Sprzedaj ziemię, spłać długi i przestań prowadzić farmę metodami, które doprowadzają Acre do śmierci głodowej i marnują życie Wideacre.

— Nic nie rozumiesz, Celio! — wybuchnęłam. — Nigdy, nigdy nie sprzedamy ziemi, dopóki ja prowadzę posiadłość! Żaden właściciel ziemski nie rozstaje się ze swoją ziemią, dopóki naprawdę nie musi. A ja na pewno nigdy nie sprzedam ani jednego poletka ziemi Wideacre.

Celia wstała od stołu i podeszła do biurka, patrząc na mnie z góry. Oparła ramiona na blacie.

— Wideacre ma dwa potężne źródła swej siły — oznajmiła żarliwie. — Żyzną ziemię oraz ludzi, którzy z całego serca chcieli służyć rodowi Laceyów. Jedno z tych źródeł trzeba osuszyć, aby zapłacić za twój obłąkańczy plan. Niech to będzie ziemia. Sprzedaj trochę ziemi, tyle ile trzeba, i powróć wreszcie do dawnych zwyczajów traktowania ludzi. Skoro nie sprawiedliwość, niech chociaż życzliwość tu zapanuje.

— Celio — powtórzyłam — ty po prostu nic nie rozumiesz. W tym roku rozpaczliwie nastawiamy się na jak największy zysk. Ale gdyby nawet tak nie było, zaczęlibyśmy gospodarować w nowy sposób. Im mniej zapłacimy pracownikom, tym większy zysk osiągniemy. Każdy właściciel ziemski chce osiągnąć maksymalny zysk. Każdy właściciel ziemski, każdy kupiec, każdy człowiek interesu stara się zapłacić jak najmniej pracownikom.

Pokiwała wolno głową, jak gdyby w końcu zrozumiała. Nie miała już rumieńców. Obróciła się i powoli podeszła do drzwi.

— A co z twoim kieszonkowym? — drwiłam. — Co z twoimi ziemiami wchodzącymi w skład dożywocia? Czy mam z kwoty twojego kieszonkowego dopłacać do niskich zarobków robotników z brygady parafialnej? A może kilka twoich pól ogłosić wspólną własnością wieśniaków?

Odwróciła się w moją stronę. Ze zdziwieniem spostrzegłam łzy.

— Całe moje kieszonkowe wydaję na żywność i ubranie dla wioski — stwierdziła ze smutkiem. — John dodaje sumę, którą przysłał mu ojciec, a wielebny Pearce wyklada podobną kwotę. Kupujemy żywność dla kobiet, odzież dla dzieci i opał dla starców. Wydaję każdego pensa z pieniędzy, które mi wypłacasz, a John i doktor Pearce się dokładają. — Opuściła ramiona. — Moglibyśmy właściwie nie przejmować się tym wszystkim — oświadczyła głucho. — Przypomina mi się grobla Harry'ego, która pękła po wiosennych roztopach. Bardzo łatwo jest prowadzić działalność charytatywną, kiedy ludzie mają pracę, a wieś nieźle sobie żyje, kiedy jednak właściciel ziemski występuje przeciwko swym dzierżawcom, tak jak ty, Beatrice, i kiedy pracodawca postanawia płacić głodowe stawki, dobroczynność niewiele pomoże. Przedłużamy tylko agonię ludzi, którzy umierają z nędzy. W najlepszym razie wychowujemy dzieci dla następnego pana Wideacre, żeby pracowały dla niego za grosze. Matki mówią mi, że nie widzą sensu, po co rodzą dzieci. I ja też nie. Ty, Beatrice, i twoi ekonomiści bronicie wstrętnego świata. Wszyscy wiemy, że trzeba go zmienić, ale nie robimy nic w tym kierunku. Ty i wszyscy zamożni ludzie. Budujecie wstrętny świat.

Poczekala, czy czasem nie odpowiem na jej smutne oskarżenie, i poszła do siebie. Skrzywiłam usta, jak gdybym czuła cierpki smak. A potem otworzyłam pełną rachunków szufladę i wyjęłam dokumenty, aby przejrzeć je jeszcze raz.

Wiadomość o sprzedanym na pniu zbożu rozeszła się szybko wokół Wideacre, a wizyta Celi była zaledwie pierwszą z trzech, które mnie czekały. Rozmowa z Celią była poniekąd najcięższa, bo przestała się już całkiem mnie bać, a jej szczerze brązowe oczy patrzyły tak, jakby nie wierzyły w to, co widzą.

Z drugim gościem poradziłam sobie lepiej. Wielebny Pearce, proboszcz Acre, wkroczył przepaszając, że mi przeszkadza. Spytał, czy nie poświęciłabym chwilki zatroskanemu człowiekowi.

Wiedział, kto mu płaci dziesięciny, i bał się, aby mnie nie urazić. Niepokoiła go jednak podobnie jak Celię, nędza, z jaką się codziennie spotykał w wiosce. Nie mógł jak Harry i ja po prostu omijać wsi Acre.

Mieszkał tam, okolony zaś wysokim murem ogród nie stanowił azylu przed dziećmi płaczącymi z głodu na gościńcu biegnącym tuż za murem.

— Mam nadzieję, iż nie pomyśli pani, że przekraczam swoje kompetencje — odezwał się nerwowo. — Nie pobłażam rozrzutności. Nikt, kto zna mnie i moje powiązania, nie może ani na chwilę wątpić w moje zdanie na temat właściwego traktowania biedoty i obowiązków najuboższych warstw. Muszę jednak porozmawiać z panią na temat tegorocznych zbiorów pszenicy, pani MacAndrew.

Uśmiechnęłam się na to świadoma swej władzy.

— A zatem proszę mówić, wielbny proboszczu. Zrobię, co będę mogła.

— Mówią we wsi, że zboże już sprzedano — zaczął, patrząc, czy przytaknę skinieniem głowy. — Mówią we wsi, że cały plon, wszystkie wozy zostaną odesłane do Londynu. — Znów kiwnęłam głową. — Mówią we wsi, że nie wiedzą, gdzie kupić zboże na mąkę do wypieku chleba.

— Przypuszczam, że na rynku w Midhurst — odparłam chłodno.

— Pani MacAndrew, wybuchnie bunt! — wykrzyknął proboszcz. — Spośród trzech głównych miejscowych dostawców zboża dwóch, to znaczy Wideacre i posiadłość Haveringów, sprzedaje ziarno poza naszym hrabstwem. Tylko mała posiadłość Titheringów sprzedaje zboże na miejscu. Setki rodzin potrzebują zboża, a tylko jedna farma będzie je sprzedawać w Midhurst. Zboża po prostu zabraknie.

Wzruszyłam ramionami i skrzywiłam się lekko.

— Będą musieli pojechać do Petworth albo do Chichester — stwierdziłam.

— Czy nie mogłaby pani wstrzymać swej decyzji? — głos doktora Pearce'a zadrżał ze strachu, a miejska uśmiechnięta twarz zatroskała się. — Wydaje się, że cała wioska zmieniła się z dnia na dzień. Postawiono ogrodzenia, a dawna atmosfera gdzieś się ulotniła. Czy nie może pani usunąć płotów i zwrócić wspólnej ziemi? Kiedy tu przybyłem, słyszałem od wszystkich, że nikt tak nie zna ziemi i jej nie kocha jak pani; że pani jest sercem Wideacre. Teraz słyszę tylko o tym, że zapomniała pani o całej swej wiedzy, i o tym, że to są pani ludzie. Czy nie można powrócić do dawnego stanu?

Spojrzałam na niego zimno przez tę niewidoczną szybę, która oddzielała mnie teraz od świata.

— Nie — oświadczyłam. — Za późno. Będą musieli w tym roku zapłacić drożej za zboże albo obejść się bez niego. Może ksiądz im powiedzieć, że następny rok będzie lepszy, lecz w tym roku Wideacre musi sprzedać plony w Londynie. Kiedy nie wiecie się naszej posiadłości, nikomu się nie wiecie. I ludzie o tym wiedzą. Zapewniam, że niebawem nastaną pomyślniejsze czasy. Tak już jest na tym świecie, że biedota przetrwa wtedy, gdy bogatym dobrze się wiecie. Jeśli biedni chcą jeść, bogaci muszą się bogacić. Taki już jest świat. A Wideacre nie należy do posiadłości bogatych na tyle, by ich właściciele czuli się bezpiecznie.

Doktor Pearce pokiwał głową. Jego świat — to były sute obiady w Oksfordzie, dobrze sytuowani przyjaciele, zasobna rodzina, wystawne przyjęcia, tańce, bale. Należał do tych, którzy naprawdę wierzą, że świat staje się lepszy, kiedy bogaci się bogacą. Przeczytał setki książek udowadniających tę tezę. Pragnął zyskać na dziesięcinach liczonych od rekordowych plonów. Należał, podobnie jak ja, do warstwy bogaczy. Oczy, zatroskane przecież, aż rozbłysły, gdy roztoczyłam przed nim obraz bogacenia się w majestacie prawa i moralności.

— Chodzi o dzieci — zaoponował słabo.

— Wiem — odrzekłam. Sięgnęłam do szuflady w biurku i znalazłam gwineę. — Proszę. Proszę kupić dzieciom zabawki albo słodczyce czy jedzenie.

— Trumny są takie maleńkie — odezwał się raczej do siebie niż do mnie. — Zazwyczaj ojciec sam niesie trumnę. Rozumie pani, jest leciutka. Nie potrzeba tragarzy. Umierające dzieci są małe i lekkie niczym niemowlęta. To z głodu. Ramionka i nóżki przypominają suche patyczki. I grób kopie się maleńki.

Gwałtownie puknęłam w stertę papierów na biurku, aby przywołać duchownego do porządku. Patrzył przez okno, lecz nie widział kwitnących herbacianych róż i dorodnych gałązek białego słodkiego bzu.

— Czy chodzi o coś jeszcze? — spytałam szorstko.

Podskoczył i wziął kapelusz.

— Nie. Przepraszam, że panią niepokoiłem. — Pocałował mnie w rękę bez śladu wymówki i wyszedł.

Oto i szermierz sprawy Wideacre! Obserwowałam, jak lśniący gniadosz wolnym klusem ruszył po podjeździe, jak pulchny zad kuca rytmicznie podryguje. Nic dziwnego, że wieśniacy marzyli o zemście, o człowieku, który zjawi się jak diabeł i poprowadzi ich przeciwko bogaczom o nalanych twarzach, zajadającym frykasy i pijącym tylko najlepsze wina. Dopóki między wsią a mną stał lubujący się w luksusie posłuszny proboszcz Acre, biedota marną miała zaiste opiekę. Mieszkańcy Acre musieli być pewni, że cały świat sprzysiągł się przeciwko nim. Że według mnie (i według ludzi z mojej sfery, to znaczy tych jadających cztery posiłki dziennie) przeznaczeniem biedoty jest praca. A skoro nie ma pracy? W takim razie nie ma potrzeby, aby żyć.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła niania Richarda.

— Czy chce pani zobaczyć panicza Richarda przed obiadem? — spytała.

— Nie — odparłam znużona. — Zabierz go na spacer do ogrodu. Popatrzę na niego przez okno.

Kiwnęła głową. Po paru minutach ujrzałam nianię schylającą się nad moim synem i pomagającą mu dreptać od krzaka do krzaka. Dawała mu do rączki płatki róży, a potem cierpliwie strofowała, kiedy brał płatki do buzi.

Gruba szyba w oknie tłumiała dźwięki. Ledwie słyszałam sepleniący głosik Richarda. Nie rozumiałam wszystkich słów, które usiłował wypowiedzieć, wyrażając radość ze swych przeżyć. Żwirowa ścieżka pod stopami, płatki w rączce, słońce na twarzy. Gruba szyba wydawała się odfiltrowywać wszystkie kolory z zaokienego pejzażu. Skazy na szkle oddalały jakby obraz dziecka i niani. Szkło szyby działało jak soczewki ustawionego odwrotnie teleskopu. Miałam wrażenie, że Richard oddala się z każdą sekundą. Coraz dalej ode mnie. Mały chłopiec w promieniach słońca, tak daleko ode mnie, że już nie rozpoznawałam w nim własnego syna. I nie słyszałam jego głosu.

## 19

Wieści, które przyniósł do wioski doktor Pearce, potwierdziły tylko obawy mieszkańców Acre i kiedy przyjechaliśmy do kościoła w letnich jedwabiach i atłasach, popatrzyły na nas oczy wcale nie mniej zgryźliwe niż zazwyczaj. Ja z Celią szłyśmy na przedzie, szeleszcząc trenami sukni, ku naszej rodzinnej ławce; za nami

Harry i John, a dalej dwie nianie z dziećmi. Julia dreptała powoli, co chwila gdzieś zbacząc, a Richarda niosła na rękach pani Austin.

Kiedy kroczyłam nawą kościoła w poszumie szarego jedwabiu, w nowym czepku z ukośnie tkanego atłasu, zawiązanym pod brodą na dużą jedwabną kokardę, czułam w powietrzu niepokój, niczym wiatr poruszający wierzchołkami sosen w cichy letni dzień. Zerknęłam na lewo, na prawo, a to co zobaczyłam, przeraziło mnie.

Ze wszystkich ławek wychylały się spracowane ręce naszych robotników. Słyszac stukot moich obcasów na kamiennej posadzce, ręce zaciskały się, pokazując figę. Gest chroniący przed czarownicami. Sekretny znak krzyża czyniony jedną dłonią. Sunęłam spokojnie, równo przez aleję pogańskich gestów. Nie rozglądałam się już wokoło. Nienawiść i strach wieśniaków ciągnęły się jednak za mną niczym ogon imponującej sukni balowej.

Kiedy już zasiadłam w naszej ławce i zamknęły się drzwiczki w obudowie, znad wysokiego drewnianego klęcznika wystawał tylko mój szary atłasowy czepk z kokardą. Ukryłam twarz w dłoniach, jak gdyby pogrążając się w modlitwie, lecz ja się nie modliłam. Chciałam tylko ochłodzić rozpalone czoło lodowatymi palcami. Usiłowałam wymazać z pamięci widok brudnych uczciwych rąk czyniących znak krzyża, aby ustrzec się od zła, którym dla nich byłam.

Doktor Pearce wygłosił dobre kazanie. Słuchałam z kamienną twarzą. Tematem było niejasne pouczenie Chrystusa, jak oddawać cześć cesarzowi. Doktor Pearce odniósł tę treść do wszelkiej władzy, do postępowania panów wobec swych poddanych. Miałam wątpliwości, czy którykolwiek z parafian słyszał choćby słowo z kazania. Cały czas rozlegał się suchy kaszel, oznaka gruźlicy, i stłumiony odgłos krztuszenia się dziecka, chorego zapewne na zapalenie opłucnej. Z tyłu kościoła płakało wciąż jakieś inne głodne dziecko; pełne zniechęcenia zawodzenie. Nawet w wyłożonej drewnem i poduszkami ławce właścicieli Wideacre panował niepokój. Nawet kiedy proboszcz zerkając niepewnie na mnie i Harry'ego, mówił, że możemy postępować, jak nam się podoba.

Po końcowym psalme przeszłam nawą do wyjścia. Przy każdym kroku czułam na sobie tępy niechętny wzrok. Z rzadka ktoś rzucił ciepłe spojrzenie Celi idącej pół kroku za mną. Nie zatrzymywaliśmy się też na dziedzińcu kościoła, aby pozdrowić dzierzawców. Ta tradycja jakoś powoli zanikła. Kiedy kroczyliśmy w stronę powozu, zauważyłam jednak kątem oka, że z przedsionka kościoła wybiegł pękaty młynarz Bill Green i z determinacją zbliżył się do powozu.

— Panienko Beatrice! — zawołał. — Dzień dobry, wielmożny dziedzicu, lady Lacey, doktorze MacAndrew — odezwał się po namyśle, przypominając sobie o dobrych manierach. I znów utkwiał niespokojny wzrok w mojej twarzy, kiedy wsadałam do powozu. — Panienko Beatrice, muszę z panią pomówić. Czy mogę dziś przyjść do dworu?

— W niedzielę? — uniosłam brwi z dystygowaną dezaprobatą.

— Wiele razy przychodziłem w dni powszednie, lecz pani była zbyt zajęta, aby przyjmować kogoś z Acre — wyjaśnił młynarz Green, wstrzymując oddech. — Ale muszę z panią pomówić, panienko Beatrice.



Inni parafianie wychodzili teraz z kościoła, patrząc z ciekawością na młynarza, którego twarz, zazwyczaj radosna, zdradzała napięcie. Trzymał jedną rękę na drzwiczkach powozu, błagając, bym poświęciła mu chwilkę.

— No cóż, dobrze — odparłam, czując niechęć do biedoty z Acre, stojącej w zbitej gromadzie i gapiącej się na mnie. — Dobrze. Przyjdź do dworu o trzeciej po południu.

— Dziękuję — odrzekł. Cofnął się z lekkim ukłonem. Spostrzegłam, że pulchne niegdyś policzki młynarza obwisły, a rumiana cera straciła kolor. Wyglądał blado, jak człowiek chory.

Nie potrzebowałam jego wizyty, aby wiedzieć, o jaką sprawę chodzi. Spodziewałam się dzisiejszego spotkania od dawna, od chwili gdy Harry i ja postanowiliśmy sprzedać zboże z Wideacre poza naszym hrabstwem.

— To mnie zrujnuje, panienko Beatrice — stwierdził młynarz Green z rozpaczą. — Jeśli ludzie z Acre nie będą mieli ziarna, nie będą mi go przynosić do zmielenia. Jeśli farmerzy dzierżawcy sprzedadzą całe zboże, nie skorzystają z mojego młyna, żeby zrobić mąkę. Jeśli pani wyśle plony poza nasze hrabstwo, gdzie kupię ziarno na mąkę, którą dostarczam piekarzom?

Skinęłam głową. Siedziałam przy biurku. Za plecami miałam otwarte okno wychodzące na ogród. Dzieci bawiły się na wybiegu, a John i Celia przechadzali się w pobliżu, patrząc, jak niania prowadzi Richarda dróżką w stronę lasu. Kremowy kolor parasolki Celi wspólnie grał z barwą stokrotek, kremowych róż i rzadkich białych maków. Posadziłam młynarza Greena przy stole kartotece i poleciłam podać mu szklanekę słabego piwa. Szklanka stała nietknięta. Kręcił się i wiercił na krześle niczym zapchlony pies. Był dumny, pnącym się po drabinie społecznej człowiekiem. Teraz jednak wpadł w panikę. Widział, że na nic jego plany, jego pomyślna karta odwraca się od niego, tak jak woda przelewająca się przez koło młyńskie.

— Panienko Beatrice, jeśli nie chce pani, aby młyn, który zbudował pani dziadek, stał bezczynnie, jeśli chce pani, aby biedni mieli co jeść, jeśli chce pani, aby w ogóle było po co tutaj żyć, musi pani, musi pani przeznaczyć część plonów do sprzedaży na miejscowym rynku — oświadczył z rozpaczą. — Panienko Beatrice, chodzi o mnie, moją żonę i trzech chłopaków. Wszyscy trzej pracują teraz za nędzne stawki parafialne. Mały pieniądz, wielki wstyd. Jeśli stracimy młyn, czeka nas przytułek, bo z dnia na dzień zostaniemy bez grosza przy duszy i bez dachu nad głową.

Znów skinęłam, nie odrywając wzroku od ogrodu. John i Celia doszli do furtki prowadzącej do lasu. Z cierpliwą troskliwością zawrócili w stronę domu, tak że dzieci cały czas miały pod stopami miękką trawę wybiegu. Spostrzegłam, że Celia kiwa głową dla podkreślenia jakichś słów; mignął jej czepeczek, a John odrzucił głowę w tył i zaśmiał się. Nie słyszałam, o czym mówią. Okno było otwarte, lecz wokół mnie wciąż wyrastała szklana ściana. Przez szkło widziałam, jak mój syn uczy się chodzić trzymając za rękę inną kobietę. Zachowywałam skrajną obojętność. Miałam powiedzieć temu poczciwemu człowiekowi, temu staremu przyjacielowi, że będzie musiał naprawdę iść do przytułku i umrzeć w ubóstwie i smutku i że moja decyzja jest nieodwołalna i nieubłagana niczym żarna. On i wszyscy głodni, zrozpaczeni ubodzy ludzie z Acre muszą zostać starci na proch, tak aby ten mały chłopiec, dopiero uczący się chodzić, mógł w chwale jeździć po swojej ziemi.

— Panienko Beatrice, pamięta pani żniwa przed trzema laty? — spytał nagle Bill Green. — Pamięta pani, jak pani odpoczywała na naszym podwórzu, kiedy przygotowywaliśmy wieczerzę? Jak przez godzinę siedziała pani na słońcu, słuchając obracającego się koła młyńskiego i gruchania naszych gołębi? A czy pamięta pani, jak rozśpiewane wozy nadszedły gościńcem i wprowadziła je pani do stodoły, a młody przystojny dziedzic wjechał na stercie snopów?

Ogarnęła mnie nostalgia i uśmiechnęłam się. Bezwiednie kiwnęłam głową.

— Tak — odezwałam się tkliwie. — Oczywiście, że pamiętam. Cóż to było za lato dla nas wszystkich! Co za żniwa mieliśmy!

— Wtedy kochała pani ziemię, a cała wioska Acre oddałaby życie za jeden pani uśmiech — oznajmił Bill Green. — W owym roku, a także rok wcześniej, była pani boginią Wideacre, panienko Beatrice. Od tamtej pory jak gdyby ktoś rzucił na panią urok. Wszystko idzie źle. Źle. Bardzo źle.

Skinęłam głowę. Moje ręce spoczywały na dokumentach dowodzących, że wszystko idzie źle. Nadciągała ruina. Powoli i nieubłaganie niczym zbliżający się Mściciel. Czułam niemal woń dymu w letnim powietrzu. W przeciągu czterech dni wierzyciele mieli przedłożyć swe weksle. Oni wiedzieli i ja wiedziałam. Wideacre była u kresu wytrzymałości. Wyczuwali nadciągającą ruinę, ta jak koń czuje w powietrzu burzę. I tak jak ja czułam dym.

— Niech pani wszystko naprawi! — wyszeptał tęsknie Bill Green rozwlekłym akcentem hrabstwa Sussex. — Niech pani tylko coś zrobi, a wszystko będzie dobrze, panienko Beatrice! Proszę wrócić do nas, do ziemi i wszystko naprawić!

Patrzyłam pustym wzrokiem, marząc o powrocie do ziemi, do dawnych dobrych czasów. Twarz jednak zachowała surowy wyraz niczym zimny, nieczuły kamień młyński.

— Za późno — stwierdziłam oschle. — Zboże zostało sprzedane. Już otrzymałam zapłatę. Zawarto umowę i nic nie mogę zrobić. Tak się dzisiaj gospodaruje, młynarzu Green. Rzeczywiście możesz stanąć w obliczu ruiny. Jeśli jednak nie będę prowadzić farmy tak jak inni właściciele ziemscy, mnie także spotka ruina. Ja nie mam wpływu na to, jak się dzisiaj gospodaruje. Muszę sama dostosować się do przyjętych metod.

Potrząsnął głową jak oszołomiony przez przeciwnika zapaśnik.

— Panienko Beatrice! — odezwał się. — To zupełnie niepodobne do pani. Nie przemawia panienka swoim głosem! Zawsze broniła pani tradycji. Tradycja znaczyła wspólną pracę pana i robotników, którym uczciwie płacono, którzy mieli trochę własnej ziemi, dzień wolny i zachowywali swoją godność!

Pokiwałam głową.

— Tak, opowiadałam się za tradycją. Ale świat się zmienia i ja też się muszę zmienić.

— Tak to jest z wyższymi sferami! — zakrzyknął gorzko. — Nigdy ci nie powiedzą: „Tak, tak, zrobiłem to i to, bo chcę więcej pieniędzy i dostanę je nawet kosztem biedoty”. Ludzie z wyższych sfer zawsze mówią: „Taki jest świat”. Ale o tym, jaki ma być świat, decydują właśnie wyższe sfery i ludzie tacy jak pani, panienko Beatrice! A wy wszyscy, właściciele ziemscy, dziedzice, panowie, robicie ze światem, co wam się podoba, i mówicie potem: „Nic na to nie poradzę, taki jest świat”. Jak gdybyście to nie wy zdecydowali, jaki powinien być świat.

Skinęłam głowę, bo przecież miał rację.

— No cóż, Billu Green, postępuj po swojemu — stwierdziłam zimno. — Wybrałam drogę, która da Wideacre bogactwo. Mój syn i panienska Julia będą spadkobiercami posiadłości. A jeśli stanie się to kosztem twego młyna czy nawet kosztem życia całej wsi Acre, niech i tak będzie.

— Niech tak będzie — wymamrotał, jak gdyby nie rozumiejąc. Sięgnął po omacku po kapelusz, odświętny kapelusz, i założył go. Piana na piwie opadła i napój wyglądał nieświeżo.

— Do widzenia, panienko Beatrice — powiedział jak przez sen, smutny sen.

— Do widzenia, młynarzu Green — zaszczyciłam go tytułem, którego już nie będzie długo nosił.

Wyszedł z mojego gabinetu jak żywy nieboszczyk. Bezgłośnie, bez słowa, z niedowierzaniem.

Czekała na niego jabłkowita klacz. Podniósł się ciężko na siodło, poruszając się wciąż jak we śnie. Patrzyłam, jak przejeżdża pod moim oknem. John zawołał coś do niego, wchodząc z Celią przez furtkę do ogrodu różanego. Młynarz Green odruchowo uchylił kapelusza, słysząc głos kogoś z wyższych sfer, wątpię jednak, czy słyszał albo widział cokolwiek. Koń wolnym klusem szedł po podjeździe; krępy jeździec obwisł na siodle. Niósł do domu tragiczną nowinę. Tego popołudnia w słonecznym saloniku koło młyna pojawią się łyzy i na nic miła atmosfera przy obiedzie.

John i Celia dostosowali swój krok do wolno dreptających dzieci. Przeszli przez ogród, a potem po schodkach wkroczyli na taras pod oknem mojego gabinetu. Celia zatrzymała się, pilnując, czy niania wzięła Julię za rękę przy przechodzeniu po ostrych kamykach żwirówki.

— Czego chciał młynarz Green? — spytał John przez otwarte okno, jak gdyby ta sprawa go dotyczyła.

— Chodziło o przygotowania do wieczery dożynkowej — odparłam obojętnym tonem.

— Przejechał taki kawał drogi, do tego w niedzielę, żeby planować wieczkę, którą jego żona urządza od lat? — John nadał swemu głosowi bardzo sceptyczny odcień.

— Tak — odrzekłam i dodałam okrutnie: — Powiedziałam, że Celia poczyni wszelkie niezbędne przygotowania.

Celia podskoczyła jak ukłuta oszczepem na dziki. Nie kryłam swego rozbawienia.

— Przyłączysz się, Celio, prawda? Wiesz teraz tyle o życiu wsi. To wypadnie za trzy tygodnie, w sobotę. Chyba odpowiednia pora. Dzień czy dwa nie sprawi różnicy, jeśli wystarczy żywności dla osiemdziesięciu, stu ludzi. Ważne, aby jedzenie się nie zepsuło. — Celia wyglądała na całkiem przerażoną, ja zaś nie mogłam się powstrzymać od złośliwego śmiechu.

— Wybaczcie, muszę wracać do pracy — odezwałam się do obojga. Wychyliłam się i z trzaskiem zamknęłam okno przed nosem Celi i Johna, który spojrzał mi prosto w oczy przez szybę. A mnie się wydawało, że stoi gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Miałam rację, przewidując dobre plony. Myliłam się jednak, sądząc, że uda się skosić zboże w trzy tygodnie. Gorące słońce, zamieniające pracę około południa w mękę, sprzyjało nam i wynajęliśmy dodatkową brygadę z przytułku w Chichester, lecz dopiero w drugim tygodniu sierpnia uporaliśmy się z robotą.

Moje serce powinno było śpiewać. Cudowne żniwa. Zaczęliśmy od nowo przyłączonych wspólnych gruntów. Żniwiarze szli wielkim łukiem, pod górę i w dół przez trzy łagodne wzniesienia wyrównanych terenów. Padała fala za falą zielonozłotego, szumiącego suchego zboża. W ciągu pierwszych dni rankiem tu i

tam rozbrzmiewały piosenki. Zapominano, że obfitość i dorodność w tym roku nie zwiastuje wcale wolnej od głodu zimy; tak wielka była przyjemność z wdychania zapachu zboża i słuchania chrzęstu koszonych łądyg.

— Uwielbiam słuchać, jak śpiewają — stwierdził Harry, zatrzymując konia obok mnie po wyprawie na niziny. Cały dzień byłam w polu. Jeśli chodziło o te żniwa, zbawienne dla Wideacre, nie ufałam nikomu.

Uśmiechnęłam się.

— Ja także — powiedziałam. — To pomaga utrzymać rytm i praca idzie szybciej.

— Może sam wezmę sierp do ręki — oznajmił Harry. — Już całe lata nie pomagałem kosić.

— Nie dzisiaj — ostrzegłam. — Nie na tym polu.

— Jak sobie życzysz — Harry jak zwykle wykazał się tępotą. — Czy mamy zaczekać na ciebie z obiadem?

— Nie. Powiedz, żeby zostawiono dla mnie coś do jedzenia w kantorku. Powinnam zostać tu aż do końca przerwy obiadowej, aby sprawdzić, czy wszyscy wrócili na czas po posiłku.

Harry skinął głową i zakręcił. Kiedy jego koń mijał żniwiarzy dochodzących do skraju pola, przystanął, aby zobaczyć, jak prostują plecy. Ci, którym dolegał reumatyzm, podnosili się z grymasem bólu na twarzy. Z ponurą miną ostrzyli sierpy i stawali w szeregu niczym stłoczeni żołnierze. Harry zawołał radośnie: „Dzień dobry! Dobrych żniw”. Wątpię, czy zauważył, że nikt mu nie odpowiedział.

Pracowali do południa, a pole zostało skoszone ledwie w połowie. Nie pracowali wcale wolno; przecież natychmiast przywołałabym ich do porządku i świetnie o tym wiedzieli. Nie przywykli jeszcze do myśli, że z tych żniw nie odniosą korzyści; nie oszukiwali. Kochali wciąż to wielkie blade morze pszenicy i ja je kochałam. Kołysali się równym rytmem wyrażającym ich radość z powodu płodności ziemi. A wciąż wiele wysokich fal pozostawało do zżęcia. Olbrzymie pole! Dopiero teraz, gdy zobaczyłam grupę żniwiarzy koszących przez pół dnia, zdałam sobie sprawę, jak wielkie obszary przeznaczyłam pod zasiew pszenicy i jakim triumfem okazały się tegoroczne zbiory.

Kobiety, dzieci i starcy szli za kosiarzami, przyciskając duże wiązki zboża do ciała i obwiązując je słomianym warkoczem. Powstawały gęste ciężkie snopy. Kobiety żywiły mniej złudzeń wobec tej urodzajności nowych pól. Obserwowałam je niczym zawistny jastrząb, kiedy chwytały luźne kłosa i chowały je do kieszeni fartucha. Biedne żebraczki! Odwracały się do mnie plecami, abym nie widziała tych tradycyjnych dla żniw zachowań. Rozglądały się niewinnie chytrymi oczami, upuszczając parę źdźbeł na rzysko, tak by któraś z nich, nawet nie ta umyślnie gubiąca kłosa, mogła potem je zebrać.

Z dawien dawna obowiązywała w Wideacre tradycja szczodrego pokłosa. Ziemia dawała tak obfite plony, że dziedzice gderali tylko żartobliwie, przymykając oko na ten rytuał potajemnej grabieży.

Teraz jednak czasy się zmieniły.

Wszystko się zmieniło.

Zaczekałam, aż małe dzieci przyjdą gościńcem z dzbanami piwa oraz pajdami chleba z serem — obiadem dla rodziców. W tym roku chleb miał ciemniejszą barwę niż należy. Wypiekano go z jak najmniejszej ilości mąki uzupełnionej przetartym grochem lub pieczoną rzepą. Nikt nie dostał sera, a w dzbanach była czysta woda. Mężczyźni i kobiety pracowali pod palącym lipcowym słońcem, mając za pożywienie jedynie pajdę szarego chleba i wodę na popicie. Nic dziwnego, że pod warstwą brudu i potu widniała blada skóra. Nic

dziwnego, że przerwa obiadowa trwała tylko tyle czasu, ile trzeba było na prześmiewki, żarty, plotki i pogawędki. Fajki nabijano liśćmi wrzosu. Kiedy mężczyźni kładli się na plecach, żeby się zdrzemnąć, młodszy podkładali sobie ręce pod głowę i milcząc gapili się w niebo, jak gdyby chcieli zobaczyć tam lepszą przyszłość, która uwolni ich od tej wiecznej nędznej harówki.

Po trzydziestu minutach przerwy, co do sekundy, zawołałam dźwięcznym, poufałym tonem:

— W porządku! Wracajcie do pracy!

Kobiety i mężczyźni podnieśli się na nogi równie ochoczo jak świnie wychodzą z chlewu do rzeźnika. Zerknęli na mnie kwaśno, spod oka, nikt jednak nie zdobył się na coś więcej niż mamrotanie. Słońce doszło właśnie do zenitu. Siedząc niewzruszenie na koniu, czułam prażące płomienie na puklach włosów, na karku. Jedwabna suknia spływała potem. Mężczyźni pochyleni, kołyszący się w zbożu w rytm ruchów sierpów, wyglądali niczym chorzy na febrę: bladzi, złani potem, kobiety natomiast jak osoby całkiem wyczerpane, śmiertelnie chore.

— Stańcie tu kołem — odezwałam się apodyktycznie i zaczekałam, aż stanęli dokoła mnie ulegle jak bydło, z pochylonymi głowami. Zauważyłam zirytowana, że nikt nie ośmielił się stanąć na moim cieniu. Kiedy Tobermory przeniósł ciężar na drugą nogę i cień się przesunął, tłum zafalował niczym łąn pszenicy, tak że znów nikt nie dotykał mojego cienia.

— Wywróćcie kieszenie — kazałam beznamiętnie.

Mój wzrok powędrował po wszystkich głowach, zmęczonych, upokorzonych.

— Wywróćcie kieszenie — powtórzyłam.

Zapadła głucha cisza. Jeden z młodych mężczyzn, chłopak Rogersów, wystąpił naprzód.

— Przecież to są prawa żniwiarzy — odezwał się.

Miał aksamitny głos niczym dźwięczny dzwon.

— Pokaż swoje kieszenie — zaatakowałam znienacka. — Wywróć je.

Zacisnął dłonie na zapięciach kieszeni skórzanych bryczesów.

— To są prawa żniwiarzy — powiedział znowu. — Nie nakłada się kagańca wołu, który podeptał zboże. A poza tym my nie jesteśmy w Acre wołami. Jesteśmy żniwiarzami, sprawnymi żniwiarzami. A garść zboża rano i wieczorem należy się żniwiarzowi.

— Już nie — stwierdziłam chłodno. — Nie w Wideacre. Wywróć kieszenie albo wywrócę twoją chatę, młody Rogersie. Wybór należy do ciebie.

Gapił się zbity z tropu.

— Pani już nie jest dla nas dobra, panienko Beatrice — oznajmił z rozpaczą. — Kiedyś była pani wierna tradycji, a teraz jest pani gorsza niż brygadzysta z przytułku.

Rozpiął kieszenie i wyciągnął z każdej po tuzinie kłosów.

— Rzuć je — poleciłam. Zrobił tak bez słowa. Nie odrywał wzroku od ziemi. Byłam przekonana, że nie patrzy na mnie, żeby nie zdradzić łez w oczach, w oczach dorosłego pracującego człowieka.

— A teraz reszta — kazałam beznamiętnie.

Jeden za drugim występowali niczym źli aktorzy i rzucali kłosy pszenicy, aż powstał niewielki stosik, nic nie znaczący na tle całego bogatego w plon pola. Znikomy łup. Wystarczyłoby na ledwie parę bochenków



chleba. Wieśniacy używaliby chyba tego ziarna do zagęszczania zup gotowanych na boczku i wodzie; do gotowania kleików dla dzieci albo papki dla niemowląt stale płaczących, gdy matki traciły pokarm. Mały zysk dla licznej wsi, a dla posiadłości — strata rzędu kilku pensów.

— To kradzież — oświadczyłam.

— Prawo żniwiarzy! — wykrzyknął ktoś za plecami tłumu.

— Słyszałam cię, Harry Suggett — rozpoznałam głos, nie podnosząc wzroku.

Na tłum padł strach; nikt nie był tu anonimowy, nikt bezkarnie nie mógł mi rzucić wyzwania.

— To kradzież — powtórzyłam spokojnie. — Wiecie, co wielebny Pearce mówi o kradzieży: pójdziecie do piekła. Wiecie, co prawo mówi o kradzieży: pójdziecie do więzienia. A teraz posłuchajcie, co ja wam powiem o kradzieży: każdy, kogo złapię choćby z jednym ziarenkiem w kieszeni, zostanie natychmiast przekazany w ręce sędziego, a jego rodzina co do jednej osoby zostanie tego samego dnia bez dachu nad głową.

Przez tłum przeszedł szum, prawie jęk, wielkie „oooooch”, z miejsca stłumione.

— Dla Acre nie ma pokłosa, dopóki brygada z przytułku w Chichester nie zbierze najpierw pokłosa dla mnie — uprzedziłam ostro. — Dopiero gdy pola zostaną oczyszczone, pozwolę wam sprawdzić, czy nic nie zostało.

Znów rozległ się jęk przerażenia. Nic jednak nie mogli powiedzieć. Z tyłu tłumu stała kobieta, młoda dziewczyna, Sally Rose, panna z dzieckiem. Podniosła szorstki fartuch do oczu i cicho płakała.

— A teraz do pracy — poleciłam cicho. — Jeśli nie będzie złodziejstwa i oszukiwania, sami ocenicie, że nie jestem nieuczciwa.

Słyszając łagodniejszy ton mego głosu, podnieśli wzrok. Na ich twarzach malowało się podejrzenie, niepokój, a ręce zacisnęły się w pradawnym geście czarnej magii, chroniącym przed czarownicami.

Zostałam na polu przez cały dzień, a i tak nie skosiliśmy całości. Nieprawdopodobne żniwa, cudowne żniwa. Nie obsiewane dotychczas wspólne grunty zdawały się przez wszystkie te niewinne wrzosowe lata tęsknić do wydania z siebie bladeżółtego pszenicznego morza. Nie spostrzegłam, aby ktoś podkradał zboże, a pilnowałam czujnie, chociaż czułam, że mój umysł pogrążył się w ospałości i rozleniwieniu.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić późnym popołudniem, a niebo przypominało ciepłą macicę perłową upstrzoną pierzastymi obłoczkami, różowymi i perłowoszarymi o zmierzchu, powiedziałam:

— W porządku. Możecie teraz przerwać.

Zaczekałam, aż oczyszczą sierpy i ułożą je porządnie na wozie. Potem założyli kaftany, a kobiety narzuciły chusty na ramiona. Zmęczonym krokiem ruszyli do domów. Patrzyłam, jak schodzą z pola w milczeniu, jak gdyby zbyt znużeni i smutni, by podejmować rozmowę. Świeżo zaślubiona para kroczyła razem, objęta ramionami, lecz głowy młodych małżonków pochyliły się ku sobie raczej w geście współczucia niż namiętności. Starsze pary kroczyły ramię w ramię. Czuło się przepaść między mężem i żoną; skutek dzielenia od wielu lat biedy, która nie ma końca. Życie pełne żalu. Sprawdziłam, czy aby zamknęli starannie ogrodzenie. Śledziłam wzrokiem postaci oddalające się ku Acre. Siedziałam na koniu w bezruchu, aż gromada zniknęła za rogami. Zostałam sama w mrocznym lesie. Potem przepawiliśmy się z Tobermorym brodem przez rzekę Fenny i ruszyliśmy kłusem ścieżką w stronę podjazdu i do domu.

Uspokoiliam się. Dzień dobrej pracy, a plony lepsze niż mogłam oczekiwać. Jeśli będę miała szczęście, jeśli raz jeszcze okażę się boginią dobrej pogody, cała hazardowa rozgrywka się opłaci.

Jeśli splecę najbardziej palące długi, a pozostałym wierzycielom przekażę znaczne raty, Wideacre odzyska dobre imię w środowisku wielkiej finansjery. Kiedy się przekonają, że radzę sobie ze spłatą długów, przestaną snuć intrygi przeciwko mnie. Oddanie części pożyczek w złocie i świetne plony — oto dobre zabezpieczenie. Ludzie interesu zachowują się jak lisy: karmią konające zwierzęta, a zabijają tylko najsłabszą zdobycz. Okrążyli Wideacre, licząc na jej klęskę. Widząc oznaki sukcesu, pospieszą znów z hojnym kredytem.

Balansowałam między ruiną a triumfem. Powodzenie zależało od tego, czy zdążę zebrać pszenicę, zanim zepsuje się sprzyjająca pogoda, zanim zniszczy zbiory. A rozporządzałam przeciw zbuntowaną, złośliwą niedożywną siłą roboczą. Jeśliby mi się udało, dostałabym szczerą zapłatę od pana Gilby'ego, Wideacre zaś zyskałaby zabezpieczenie na co najmniej rok. Wiał lekki wiatr, a niebo obiecywało ładną pogodę nazajutrz. Miałam szanse na zwycięstwo.

Nie zrobiło mi się wcale lżej na sercu. Moje serce było w tych dniach bryłą ciężkiego szkła i rozpaczałam, czy jeszcze kiedyś uwolnię się od tego ciężaru i czy starczy mi sił na radość ze szczęśliwego powrotu do życia. Ale przynajmniej odzyskałam spokój umysłu. I jak zawsze nie brakowało mi odwagi.

Tak więc cmoknęłam na Tobermory'ego, a koń wydłużył krok. Mknęliśmy przez cienie wśród leśnych duchów, dopóki zza mrocznych konarów nie wyrzały światła domu.

— Boże miłosierny, jak późno wracasz — stwierdziła Celia, gdy ze stukiem podków wjechałam na podwórze stajni. — Zapomniałaś, że mamy jechać na kolację do mamy?

— Wybacz, Celio — poprosiłam, zsuwając się z siodła i ciskając cugle chłopakowi stajennemu. — Całkiem zapomniałam.

— Mogę cię usprawiedliwić, jeśli sobie tego życzysz. Ale czy nie będzie ci smutno samej w domu? — spytała. Powóz czekał; Celia bacznie mi się przyglądała w półmroku, ubrana w wytworną suknię wieczorową, a Harry i John w eleganckich strojach stali z tyłu.

— Ani trochę — uśmiechnęłam się zdawkowo do całej trójki. — Jak to wielkodusznie z twojej strony! Chyba parę godzin musiałabym się doprowadzać do porządku. Zostawcie mnie więc w tych brudach, a jutro opowiecie o wizycie.

— Moglibyśmy odesłać po ciebie powóz — zaproponowała Celia, kiedy już weszła po schodkach i starannie rozłożyła fałdy szarej jedwabnej sukni na siedzeniu.

— Nie, nie, zapewniam cię. Jestem zmęczona. Pragnę się położyć. A jutro muszę wstąpić, aby zjawić się na polu wraz z pierwszymi żniwiarzami.

Celia skinęła głową, a Harry pochylał się i pocałował mnie w policzek, kiedy przechodził obok.

— Dziękuję ci, moja droga, mój ty dziedzicu Wideacre! — powiedział.

Uśmiechnęłam się, słysząc ten żart, lecz zachowałam czujność, gdy John ujął moją dłoń.

— Życzę ci dobrego dnia i dobrej nocy — odezwał się uprzejmie. Bystry wzrok badał moją twarz. — Wyglądasz na zmęczoną, Beatrice.

— Ledwie się trzymam na nogach! — roześmiałam się. — Ale gorąca kąpiel przywróci mi siły. I obfita kolacja. Gdybym z wami pojechała, wyjadłabym pewnie wszystkie zapasy lady Havering.

John uśmiechnął się równie sztucznie.

— Tak — odparł. — Mamy w tym roku naprawdę głodne żniwa.

Puścił moją dłoń i wszedł do powozu. Dziwaczna trójka moich bliskich odjechała. Nie widziałam ich już tego wieczoru. Kiedy w niemal wrzącej kąpieli wyparzyłam wszystkie bóle, zjadłam kolację za dwóch i zwinęłam się w kłębek pod pościelą niczym jeżozwierz zapadający w sen zimowy. Tuż przed snem z przykrością pomyślałam o płaczącym młodym Rogersie. Zakłuło mnie pod żebrami. I przeszło. Niewiele rzeczy było w stanie mnie poruszyć w te gorące smutne dni.

W następnych dniach tylko przelotnie widywałam się z Harrym, Celią i Johnem. Zaczęło się sierpniowe życie towarzyskie, czyli pikniki, przyjęcia i targi w Chichester; letnie hulanki, wieczorne bale. Dla mnie sierpień oznaczał żniwa i tylko to. Zauważyłam, jak radosne życie prowadzi Celia dopiero w chwili, gdy potrzebowała koni do powozu, a ja właśnie poleciłam je zaprząć do dodatkowego wozu drabiniastego. Odmówiłam odstąpienia koni i Celia, słodka trzpiotka, bez mrugnięcia okiem zrezygnowała z pikniku, a w zamian urządziła bal dla dzieci. Śmiała się i tańczyła w domku letnim w ogrodzie różanym, a John brzdąkał na gitarze. Celia sprawiała wrażenie, że jest jej wszystko jedno, czy jedzie na bal, czy też zostaje i bawi się z dziećmi. Słyszałam jej śmiech i taneczne kroki na drewnianej podłodze, kiedy przy biurku przeglądałam rachunki i przygotowywałam wypłaty. Przez szybę widziałam, jak przez całe popołudnie mój syn, Julia i Celia, trzymając się za ręce, tańczą w koło.

Nie żałowałam, że muszę siedzieć za szybą, podczas gdy oni cieszą się słońcem i świeżym powietrzem, a kolanka małego Richarda brązowieją, buzia zaś pokrywa się kropeczkami piegów niczym jajo czajki. Ciężka praca przez kilka letnich miesięcy znaczyła, że już nigdy nie będę się musiała martwić, otwierając szufladę z rachunkami do uregulowania. Pod ciężkim szklanym przyciskiem leżał przerażający plik cokwartalnych zobowiązań wobec wierzycieli, kredytodawców i tych, co dali pieniądze pod zastaw hipoteczny. Pod drugim przyciskiem spoczywał arkusz papieru z listą plonów uzyskanych z poszczególnych pól. Każdy słoneczny dzień to praca spoconych, zmachanych żniwiarzy; kiedy siedziałam w bezruchu na Tobermorym w cieniu żywopłotu (o ile znalazłam takowy w pobliżu), Wideacre, płodna, urodzajna ziemia, oddychała coraz spokojniej. Mogłam wyjść na czysto, a nawet liczyć na niewielki zysk, jeśli ładna pogoda utrzyma się, a nie żęte pola dadzą równie wysoki plon jak pozostałe.

Teraz prowadziłam życie pogardzanego rządcy, lecz następne lato miało należeć do mnie. Miałam być wytworna i urocza jak Celia. Przez jeden rok, tylko jeden sezon, musiałam siedzieć w czterech ścianach, liczyć zbiory albo stać na polu i pilnować, żeby nie kradli. W przyszłym roku miałam odzyskać miano najładniejszej dziewczyny w hrabstwie. Nauczę Richarda tańczyć ze mną, nie z Celią. I nie będzie mi wciąż tak zimno. Powróci radość, szczęście, spokój i szczerłość, jaka cechowała Celię.

Rozległo się stukanie do drzwi i wszedł Harry ubrany w strój do żęcia zboża. Zamiast ciemnych jedwabnych bryczesów i kamizelki założył spodnie z samodziału. Nie zrezygnował jednak z koszuli z delikatnego lnu i z wypolerowanych skórzanych butów do konnej jazdy. Wyglądał jak robotnicy rolni przedstawiani na obrazach; okrutna przemiana ze złotego bożka żniw sprzed trzech lat. Wtedy miał okrągłą promienną twarz, teraz zaś — pulchną, czerwoną z gorąca. Rysy, niegdyś proste jak u greckich posągów, przerodziły się w nalany profil, tłuste policzki, podwójny podbródek. Smukłe boskie ciało przeistoczyło się w

ciało zwykłego śmiertelnika, lekko podstarzałego, z nadwagą, ulegającego różnym przyjemnościom, unikające-unikającego ruchu.

Nic nie zostało z jego dawnej inteligencji, z Harry'ego, który jako uczeń kochał książki i sam szukał ciekawych lektur. Szkoła zabiła w nim błyskotliwość i odkryła świadomość perwersyjnych upodobań. Teraz czytał jedynie podręczniki na temat mechanizacji rolnictwa, modne romanse, względnie sekretne opowiadania o zadawaniu bólu, które trzymał w specjalnej skrzynce w pokoju na strychu.

Zupełnie jak nasza mama. Zawsze unikał konfliktów i bał się ujawnienia przykrej prawdy; skarżył się, że od tego boli go serce. Mistrz wygodnego kłamstwa i półprawdy bał się stawić czoło rzeczywistości.

Był też trochę podobny do mnie. Jako dzieci oboje mieliśmy swoje obsesje. Ja jednak uznałam, że najważniejszą rzeczą w moim życiu jest ziemia, Wideacre, natomiast dla Harry'ego najważniejsza stała się przyjemność, wygoda. Tak więc tył, jedząc smakołyki i słodkie kluski, oraz czerwieniał na twarzy od opijania się portwajnem. Robił się leniwy, rozlazły, bo myślał tylko o karach cielesnych, nie o czystej, wolnej partnerskiej miłości.

Teraz, ubrany niczym król żebraków w teatrzyku objazdowym, zamierzał stanąć do pracy ramię w ramię z podle opłacanymi głodnymi ludźmi. Pomyślałam o chłopakach ze wsi, wśród których może jeden miał porządną koszulę, i westchnęłam, widząc wesołą głupią twarz Harry'ego.

— Sądziłem, że podjadę na wozie i trochę pomacham sierpem — odezwał się jak chłopiec. — Pracują na Dębowej Łące, prawda?

— Nie. Tam skończyli dwa dni temu. Są teraz na Łące Trzech Bram. Przyjadę później. Przypilnuj, aby nie podbierali pokłosa, jeśli już tam będziesz. Mówiłam ci, że przykazałam im twardo, aby tego nie robili.

— Bardzo dobrze — stwierdził Harry. — Zostanę prawdopodobnie do obiadu. Jeśli nie wrócę do trzeciej, pošlij chłopaka stajennego z jedzeniem dla mnie.

Chciałam znów upomnieć Harry'ego, lecz rozmyśliłam się, skoro już postanowił grać rolę dobrze wychowanego farmera. I tak niewiele mógł przez to uczynić niedobrego. Trudno było o jeszcze gorsze stosunki między dworem a wsią. Poza tym to ja wzięłam na siebie całą winę za zmiany wprowadzone w posiadłości. Jeśli Harry jeszcze raz podbije serca wieśniaków i zostanie bogiem żniw, może to nieco poprawić wzajemne kontakty. Dość pulchny to bóg, mniej opalony, mniej muskularny niż ten sprzed lat. Ale jeśli spodoba im się to, że pracuje z nimi ramię w ramię, może będą kosić trochę szybciej.

Harry odszedł, śpiewając piosenkę, którą brał za ludową przyśpiewkę. Powtarzało się w niej często „Hej-noni-no”, zawołanie, którego nigdy jako żywo nie słyszałam w ustach wieśniaków, nawet gdy byli pijani. Wóz ruszył, trzeszcząc, po podjeździe, z Harrym siedzącym obok woźnicy, machającym na pożegnanie Celi i dzieciom.

Wrócił po godzinie. Skrzywił się, kiedy wóz mijał moje okno. Odsunęłam list, który właśnie pisałam, i czekałam. Drzwi prowadzące ze stajni do zachodniego skrzydła trzasnęły i niczym poryw gorącego wiatru bez pukania wpadł do mego gabinetu Harry,

— Obrazili mnie! — oznajmił. Dolna warga drżała mu z gniewu i przygnębienia. — Nie odzywali się do mnie. Nie śpiewali piosenek żniwiarzy, które zawsze nuciliśmy razem. Nie dali mi stanąć w szeregu. Wcisnęli mnie pod sam żywopłot. Dziewczęta nie uśmiechały się do mnie. A kiedy zaproponowałem: „Dalej

chłopcy, zaśpiewajmy coś!", jeden powiedział: „Nie płacą nam nawet tyle, byśmy mogli oddychać, a co dopiero śpiewać, wielmożny dziedzicu. Niech pan przekona swoją ostrooką siostrę, żeby płaciła nam uczciwie, to zaśpiewamy jak kosy, aby tylko pana zadowolić. Ale kiedy jesteśmy głodni, może pan sam śpiewać!"

— Kto to? — spytałam szybko. — Natychmiast wypędzę go z naszej ziemi.

— Nie wiem! — oznajmił Harry z rozdrażnieniem. — Nie znam nazwisk ich wszystkich tak jak ty, Beatrice. Ja ich nawet nie rozróżniam. Wszyscy wyglądają dla mnie jednakowo, jak gdyby nie mieli swoistych cech. To był jeden ze starszych mężczyzn, ale nie wiem który. Reszta na pewno będzie wiedziała.

— I z chęcią mi powie! — zareagowałam szyderczo. — No i cóż zrobiłeś?

— Wróciłem do domu! — wyjaśnił oburzony. — A co miałem robić? Skoro nie mogę kosić własnego pola, mogę równie dobrze wrócić do domu na obiad. A można by pomyśleć, że z zadowoleniem przyjmą dziedzica stojącego do pracy razem z nimi. Chcą powrotu do tradycji, a czy jest coś bardziej tradycyjnego?

— Zaiste osobliwe — zauważyłam cierpko. — Jak dalece posunęli się z pracą?

— Och, nie zwróciłem uwagi, tak się przejąłem. Doprawdy, Beatrice, źle się stało. Mówię ci, w tym roku nie wyjdę więcej na pole. Będziesz musiała wziąć na siebie cały nadzór, a jeśli to za duże obciążenie, wezwij Johna Briena. To doprawdy wysoce niestosowne, że spotkała mnie taka obraza.

— No cóż, dobrze — powiedziałałam znużonym tonem. — Teraz napij się kawy, zjedz parę herbatników, Harry. Na pewno poczujesz się lepiej.

— Ale dlaczego tak się do mnie odnieśli? — dopytywał się z wyrazem przygnębienia na twarzy. — Czyż nie zdają sobie sprawy, że świat idzie naprzód, z postępem?

— Wydają się tego nie rozumieć?

— Kiedy się zdenerwuję, zaraz czuję ból w piersiach — stwierdził Harry głosem kwilącym jak u dziecka. — Nie powinienem się narażać na podobne sceny. Czas, by wreszcie zdali sobie sprawę, że robimy co w naszej mocy. Myślę o miejscach pracy, które im zapewniamy, a także o naszej dobroczynności! Celia wydaje co tydzień poważne sumy na zupy i chleb dla biedoty. A do tego wieczera dożynkowa! Nieźle to będzie kosztowało. I widzisz, Beatrice, jak nam odpłacają?

— Wieczera dożynkowa? — spytałam ostro. — W tym roku nie będzie wieczery dożynkowej.

Harry spojrzał zdumiony.

— Celia urządza wieczerę. Mówiła, że to ty prosiłaś ją o poczynienie przygotowań. Tak jak zwykle ma się odbyć we młynie, kiedy zboże na ostatnim polu zostanie zżęte i zwiezione.

— O, nie! — przeraziłam się. — Harry, to się nie może odbyć! Bill Green stoi w obliczu ruiny i z niechęcią powita we młynie radosny korowód. Powtórzy się sytuacja z przyjęcia na Boże Narodzenie. Lepiej nie myślm, co może się wydarzyć! A poza tym ograniczamy się do zwożenia plonów do stodoły, przechowania ich i wymłócenia, zaś wozy pana Gilby'ego przyjadą i zabiorą wszystko co do ziarenka poza granice hrabstwa!

— Cóż, wszystko już przygotowane, Beatrice — oznajmił Harry z zakłopotaniem. — I powiedziałem dziś o tym ludziom, zanim nie dopuścili mnie do koszenia. Uważam, że tylko pogorszymy sprawę, odwołując teraz wieczerę.

Ze strachu zawylałam.



— Nie miałam pojęcia, że Celia potraktuje moje słowa poważnie. Trzeba będzie wszystko odwołać.

— Jak sobie życzysz — odezwał się Harry niepewnie. — Ale już wszystko przygotowane i każdy szykuje się na przyjęcie. Może łatwiej byłoby jednak jakoś przez to przebrnąć, niż całkiem odwoływać.

Szczypałam koniuszek palca, myśląc gorączkowo.

— Cóż, bardzo dobrze. Skoro wszystko zaplanowane, a pani Green nie odmówiła, to chyba wieczera może się odbyć. Dziwacznie to wypadło, w pół drogi między tradycją a nowoczesnością.

— Może kiedy już zwiozą zboże, wpadną w radosny nastrój i będą się dobrze bawili. — Harry popisywał się bezmyślnością. — Może powróci atmosfera tamtego pierwszego cudownego lata.

— Wątpię. Takie rzeczy się nigdy nie powtarzają. Wideacre także zmieniła się nie do poznania. I ty się zmieniłeś. A i ja nie poznaję samej siebie — przerwałam, tak smutno zabrzmiał mój głos. — W każdym razie — dokończyłam energicznie — jeśli wszystko już zaplanowane, musimy przez to przejść. Wyjdziemy wcześniej, jeśli spotkają nas jakieś nieprzyjemności.

Harry poszedł się przebrać przed wypiciem kawy. Uspokoił się trochę i powtórzył całą opowieść o swych przejściach współczującym uszom Celii. Kiedy jednak Celia ośmielona surowym spojrzeniem Johna zasugerowała, iż wieśniacy nie byłiby tak szorstcy, gdyby nie ich rozpaczliwa sytuacja, Harry szybko złapał wiatr w żagle.

— Widzisz, Celio — odezwał się z pulchnym palcem wymierzonym w żonę — musisz pozwolić, abyśmy, Beatrice i ja, wzięli sprawy w swoje ręce. Jeśli przez parę dni wieśniacy z Acre zacisną pasa, nie stanie im się krzywda, a tylko nabiorą apetytu na wieczrę dożynkową! Beatrice i ja świetnie o tym wiemy.

Celia otwarła usta, aby odpowiedzieć, lecz rozmyśliła się. Spod powiek zerknęła na Johna. Nie potrzebowali nic mówić. Rozumieli się znakomicie bez słów. John przejął pałeczkę, wiedząc, że Celia nie zdoła rzucić wyzwania Harry'emu.

— Celia ma rację i wiesz o tym, Harry — zaczął John. Mówił z dawną złośliwą apodyktycznością. — Razem stworzyliśmy system pomocy, zgodnie z którym rozprowadzamy żywność: najpierw do rodzin z chorymi dziećmi, potem do starców, a potem do innych rodzin w potrzebie. Widzę jednak, że nie możemy właściwie nic zdziałać, dopóki nie ma rozwiązania na dłuższą metę, rozwiązania problemu ubóstwa Wideacre.

— Nikt temu nie przeczy! — odrzekł Harry. — Wszyscy przeżywamy trudny okres, bo wszyscy jesteśmy uzależnieni od ziemi. — Wziął następne ciastko i ugryzł je energicznie.

— Wieś Acre nie przeżywa „trudnego” okresu — odparł cierpliwie John. — Niedługo ludzie zaczną tam umierać z głodu, jeśli nic się nie zmieni. Żywność, którą dostarczamy, może utrzymać przy życiu parę rodzin, lecz jest o wiele więcej potrzebujących.

— A dzieje się tak dlatego, że chcą mieć liczne rodziny — wtrąciłam chłodno. — Rodzą dzieci, nie mając pojęcia, jak im zapewnić odpowiednie warunki. A wy dwoje swoją działalnością jeszcze zachęacie ich do życia w krainie pieczonych gołąbków. Dopóki dajecie im żywność za darmo, nie rozumieją stosunków panujących w realnym świecie.

John rzucił mi surowe spojrzenie.

— Według ciebie realny świat, Beatrice — odezwał się tonem bezstronnego zainteresowania — to świat, gdzie można przez setki lat dawać zatrudnienie każdemu mieszkańcowi, a potem nagle zwolnić wszystkich oprócz dwóch najrzęczniejszych pracowników, aby zaoszczędzić na wypłatach?

Nic nie odpowiedziałam.

— W tym realnym świecie nie ma sposobu na ograniczanie liczby poczęć, gdy jednocześnie bękarty ludzi z wyższych sfer noszą jedwabne ubranka i liczą na prawa do dziedziczenia. Natomiast dzieci z zawartych formalnie związków biednych ludzi muszą głodować.

Wiedziałam, że mówi o dwóch bękartach, dwóch bękartach z kazirodczego związku żyjących w tym domu. Znowu nic nie odpowiedziałam, lecz posłałam mordercze spojrzenie Harry'emu, który oblizywał palce i patrzył na Johna.

— Nic dziwnego, że nie rozumieją zasad rządzących realnym światem. Ten twój realny świat zbija mnie z tropu — ciągnął John. — Nigdy jeszcze nie znalazłem się w miejscu podobnym do Wideacre, a zjeździłem Anglię i Szkocję. W czasie krótszym niż rok ta posiadłość straciła miano jednego z najbogatszych, najszcześliwszych majątków w hrabstwie. Teraz jest w rękach wierzycieli, a biedota umiera z głodu. I który obraz uznać za realny? Wideacre, którą zastałaś, czy też budzącą grozę posiadłość, jaką zrobiłaś z Wideacre?

— Zaraz, zaraz — wybuchnął zawadiacko Harry ośmielony moim spojrzeniem. — Nie można winić Beatrice tylko za to, że zaczęliśmy gospodarować według nowych metod. Oczywiście nastawiamy się na jak największy zysk. Beatrice stosuje po prostu rozpowszechnione sposoby.

— Wydaje mi się, że istnieje jednak jakiś wybór — stwierdził John.

Dalej rozwścieczał mnie swym opanowaniem, jak gdyby prowadził dyskusję w auli uniwersyteckiej. Podeszłam do kominka, oparłam ramię na chłodnej obudowie i obserwowałam go.

— Istnieje wybór między pogonią za pieniędzmi za wszelką cenę a życiem bez wykorzystywania innych ludzi, a nawet podejmowaniem starań, by polepszyć ich byt. Ty i Beatrice, i wybac mi tu, Harry, wydajecie się dążyć do zysku za wszelką cenę. A ja tego nie pochwalam.

John spojrzął na mnie i Harry'ego jak lekarz na ranę, w którą wdała się gangrena. Wydałam z siebie afektowane westchnienie.

— Doprawdy, John, jak na syna krezusa twoje wątpliwości moralne brzmią dość dziwacznie! Możesz sobie pozwolić na wyrzuty sumienia, albowiem ktoś inny wykonał brudną robotę gromadzenia bogactwa za ciebie. Urodziłeś się i wychowałeś w rodzinie posiadającej wielką fortunę. Łatwo ci teraz gardzić bogactwem.

— Zaiste miałem kiedyś majątek — odrzekł z błyskiem w oku. — Módl się lepiej, Beatrice, żebym naprawdę gardził bogactwem. Bo już nie mam fortuny.

Celia zerwała się na nogi, lecz szybko się opanowała. Chciała wybiec z pokoju; zawahała się i odwróciła w stronę Harry'ego.

— Mówimy tu o różnych rzeczach, a nawet kłócimy się — stwierdziła ze smutkiem. — Ale kiedy tak rozmawiamy, sprawy we wsi Acre przyjmują coraz gorszy obrót, Harry. Błagam, abyś zaprzestał pogoni za zyskiem i przynajmniej dał biedocie szansę kupienia zboża z Wideacre po niewygórowanej cenie. Wszyscy wiemy, że omijanie miejscowego rynku jest czymś złym. Wasz papa nigdy tego nie robił. Ty też obiecałeś, że nigdy tak nie postąpisz. Bardzo proszę, sprzedaj pszenicę wieśniakom.

— Poczekaj, Celio! — Harry sięgnął po niezawodny sposób, polegający na podniesieniu głosu. — Oskarżasz mnie o złamanie danego słowa? Powątpiewasz w mój honor?

— Och, nie! — odrzekła. — Ale...

— Dosyć! — przerwał brutalnie. — Beatrice gospodarzy tak, jak to uważamy za stosowne. A ja zajmę się zniwami w innym roku, kiedy wieś Acre wyjdzie już z tej posepnej zapaści. Uważam naszą rozmowę za skończoną.

Celia spuściła wzrok na dzbanek z kawą. Spostrzegłam, że na srebrną tacę spadła łza. Ale nie powiedziała ani słowa. John zerknąwszy współczująco na jej nachmurzoną twarz, również zamilkł. Poczekalam jeszcze, chcąc się upewnić, czy już się nie odezwą, i wróciłam do mego gabinetu. Musiałam pracować.

Nareszcie przyszłość rysowała się w jaśniejszych barwach. Pola koszone szybko jak nigdy przedtem, a ja codziennie pilnowałam w gorączce, aby praca postępowała naprzód.

Widziałam nie tylko szansę na duże zyski i na uwolnienie się w końcu od wierzycieli, lecz czułam także w powietrzu naciągającą burzę. Była już na horyzoncie. Czułam jej bliskość na skórze. Nade mną na niebie nie dostrzegałam chmur, a wręcz przeciwnie, trudno o bardziej nieskazitelny błękit, czułam jednak, że za linią horyzontu gromadzą się wrogie chmury.

Dni były gorące, zbyt gorące, i to nie tak jak zwykle latem po prostu upalne, lecz parne, zapierające dech, groźne. Kark Tobermory'ego pokrywał się potem, nawet kiedy koń stał w cieniu; muchy bzycały złowieszczo, krążąc nisko nad jego głową. Ludzie w polu źle znosili gorące wilgotne dni. Pewnego razu zasłabł jeden ze zniwiarzy, Joe Smith, syn starego Gilesa. Głupiec upadł na swój sierp. Szereg kosiarzy załamał się. Ludzie podbiegli do Joego. Ja też podjechałam. Paskudna rana; zacięcie niemal do kości.

— Sprowadzę chirurga z Chichester — zaproponowałam wielkodusznie. — Margery Thompson opatry teraz ranę, a ja poślę po doktora, żeby ją zeszył.

Joe podniósł na mnie wzrok. Twarz miał bladą, przerażoną, a oczy zamglone.

— O ile mógłbym prosić, to wołę doktora MacAndrew, panienko Beatrice — odezwał się uniżenie.

— A więc siadaj na wóz — wybuchnęłam zirytowana. — I jedź do dworu. Sądzę, że twój ukochany doktor MacAndrew jest w domu. O ile nie poszedł do Acre spełniać dobre uczynki. Możesz posiedzieć na dziedzińcu stajennym i poczekać na niego. Mam nadzieję, że czekając nie wykrwawisz się na śmierć.

Zawróciłam Tobermory'ego i pokłusowałam z powrotem na zacieniony skrawek ziemi przy żywopłocie. Patrzyłam, jak mężczyźni pomagają Joemu wsiąść na wóz. Miał szczęście; John był w ogrodzie i natychmiast spostrzegł wóz, który stanął na podwórzu stajennym. Zajął się nim za darmo i tak zręcznie, że po dwóch dniach Joe powrócił do pracy w polu. Jeszcze raz John potwierdził swe umiejętności. Jeszcze raz dał powód wieśniakom, aby go kochali. A mnie przybył następny wróg.

Osaczali mnie. Przez cały dzień pracowałam w polu wśród mężczyzn, którzy mnie nienawidzili, i kobiet, które się mnie bały. W nocy jedynie drzwi dzieliły mnie od człowieka, który życzył mi śmierci. A o świcie budziłam się, wiedząc, że gdzieś za nizinami czyha inny wróg planujący moją śmierć, gotujący się na przyście po mnie.

Pogoda także wydawała się mnie nienawidzić. Żar utrzymywał się, a wiatr całkiem ucichł. Pszenica szeleściła cichutko przed skoszeniem. W te gorące parne dni panowała w powietrzu całkowita cisza. Mężczyźni

nie rozmawiali podczas pracy; kobiety nie śpiewały. Nawet dzieci kręcące z łądyg powróśla do wiązania snopów bawiły się i mówiły szeptem. A kiedy przejeżdżałam obok na Tobermorym, cofały się przerażone z rozdziawionymi ustami, pokazując czarne pieńki zębów i chowały się niczym chore liski w żywopłocie.

Nawet ptaki nie śpiewały w tym żarze. Można było pomyśleć, że rozumieją rozpaczliwą sytuację Wideacre i zamilkły ze smutku. Tylko na obojętnych złowieszczych nizinach, kiedy zapadł niespokojny zmierzch, zaczynały świergotać, lecz brzmiało to jak wycie bitego psa.

Światło też nie było moim sprzymierzeńcem. Zaczynałam żywić przekonanie, że oczy, że wszystkie zmysły mamia mnie i straszą, podczas gdy ja tak bardzo potrzebowałam właśnie spokoju. Mogłam się mylić, czując pot na plecach i ciężką woń w powietrzu, lecz wzrok mnie nie oszukiwał, na pewno. Jasność aż kłuła w oczy, a nie była to niewinna żółta barwa letniego krajobrazu Wideacre; to oślepiające „coś” miało chorobliwie mroczny rdzeń. Zalewało nas sine fioletowe światło. Słońce niczym czerwona rana widniało na żółtawym niebie. Kiedy rano otwierałam oczy, trzęsłam się odruchowo niczym w gorączce. Bez radości przywdziewałam gruby wielowarstwowy kostium do konnej jazdy. Niebo zwieszało się nade mną jak piec, a ziemia pod stopami była twarda jak żelazo. Cała wilgoć wyparowała w rozżarzonej wnętrzu. Rzeka Fenny tak wyschła, że z okna sypialni nie słyszałam jej wątego szumu, a kiedy przepływała przez Acre, cuchnęła wylewanymi do niej nieczystościami. Ja też czułam się wyschnięta, sucha jak stary liść, jak pusta muszla samotna po śmierci mieszkającego w niej żyjątko.

Tak więc poganiałam żniwiarzy. Rankiem pierwsza zjawiałam się w polu, a opuszczałam je ostatnia. Popędzałam robotników niczym opieszalego konia; kopnęliby mnie chyba, gdyby śmieli. Ale nie mogli sobie na to pozwolić. Kiedykolwiek zatrzymywali się, aby otrzeć pot z czoła, słyszeli, jak wołam: „Żniwiarze, do roboty!” Sapali i mocniej chwyтали trzonek sierpu, śliski od potu, i z bólem przesuwali go równomiernie stwardniałymi dłońmi. Nie mamrotali obelg pod moim adresem. Ledwie zipali, a cóż dopiero mówić o przekleństwach. Pracowali tak, jakby pragnęli już jak najszybciej skończyć to nieszczęsne zajęcie, zwieźć zboże, w zimie przymierać głodem, umrzeć i skończyć wreszcie swą niedolę.

A ja siedziałam wysoko na spoconym koniu, z białą twarzą, oślepiona blaskiem, przed którym nie chronił czepeczek, i pragnęłam tego samego co żniwiarze. Byłam śmiertelnie zmęczona. Zmęczona wieloma dniami pilnowania, zmartwień, poganiania robotników i poganiania samej siebie. Męczyła mnie ukryta choroba, która mówiła powoli i nieubłaganie, niczym dzwon żałobny: „Wszystko to na próżno. Wszystko nadaremno”, jak gdyby słowa miały jeszcze jakiś sens.

Zbliżaliśmy się do końca. Snopy piętrzyły się pośrodku pola, czekając na wozy drabiniaste. Mężczyźni padli, dysząc, w cieniu żywopłotu. Kobiety i starcy kończyli ustawiać snopy. Mężczyźni patrzyli na pochylone plecy swoich żon i rodziców matowymi przegranymi oczami, nie mając siły, by im pomóc.

Margery Thompson obecna w probostwie, kiedy John uratował życie Richarda, też skończyła pracę. Patrzyłam na nią spod powiek z uwagą i niepokojem. Usiadła na nasypie pod żywopłotem, kręcąc powróśla na kolanach. Zgodnie z tradycją Wideacre ostatni snop na zakończenie żniw ma kształt lalki sporządzonej ze zboża. Najzacniejsza sędziwa kobieta uplata figurkę przedstawiającą najważniejszą podczas żniw osobę. Rok po roku pożyczalam swoje wstążki, aby dopełnić magii łączącej mnie z ziemią. Zbożowa lala Beatrice górowała triumfalnie nad stosem snopów. W pamiętnym roku, kiedy Harry doglądał żniw, zbożowa lala wyglądała spro-

śnie; skrawek lnu udawał koszulę, a kłos sterczał między słomianymi nogami, groteskowo wyprężony, tak że wszyscy pokładali się ze śmiechu. Harry szczerząc zęby, zabrał figurkę do domu i ukrył przed mamą. Laleczki udające moją osobę wisiały na ścianie w kantorku. Przypominały mi w chwilach zwątpienia, że świat papierów, długów i interesów udawał tylko realne życie. Prawdziwe życie to było zboże i słomiane boginie płodnej ziemi.

Mój pochłonięty liczeniem pieniędzy umysł zapomniał o tradycji zbożowej lali. Kiedy patrzyłam na zwinne palce staruszki poruszające się zręcznie i żwawo, poczułam, że nadciąga katastrofa, że nastąpią jakieś magiczne wydarzenia wymierzone przeciwko mnie.

Chmury zdecydowały się wyjść z ukrycia i gromadziły się na horyzoncie niczym potężne mury tamujące dopływ blasku słońca. Zaczął zapadać przedwczesny zmrok. Miałam jeszcze czas na ratunek. Kiedy wozy zabiorą zboże z Wideacre na najbogatszy rynek świata, będę bezpieczna. Deszcz mógł sobie padać, mógł nawet zmyć wieś i dwór do rzeki Fenny. Nie dbałam o to. Zrobiłam, co do mnie należało, i nie zważałam już, czy deszcz mnie zatopi.

Tobermory zadrżał od przenikliwego wiatru. Podmuch nie był zimny ani świeży, lecz czuło się w nim jakieś zagrożenie. Wiał gorący wiatr, jak gdyby z Indii, niosąc czarną magię tajemnych odległych miejsc. Margery Thompson trzymała słomianą lalę na kolanach i mamrotała coś, jak gdyby uspokajała niemowlę. Chichotała do siebie. Pozostali skończyli ustawiać snopy i zerkali na nią z zaciekawieniem. Pośrodku pola wyrosła chwiejna piramida. Czekano tylko na lalkę, która zwieńczy stos i ogłosi koniec żniw.

— Oto jest — oznajmiła i podniosła wysoko figurkę.

Dobrze wymierzyła odległość; lalka wylądowała dokładnie na szczycie stogu. Żniwiarze postąpili do przodu kierowani szacunkiem dla tradycji, na wpół machinalnie dzierżąc ostre sierpy w dłoniach.

Urządzili sobie zawody w rzucaniu sierpem do lalki. Zwycięski sierp, który wbił się w figurkę, należał do Billa Forrestera. Podszedł znużonym krokiem do snopów, aby wziąć nagrodę i przynieść ją mi. Kiedy wziął lalkę do ręki, oblał się szkarłatem aż po nasadę włosów i cisnął jak piłkę do najbliższego mężczyzny. Podrzucali ją tak między sobą, aż czyjaś celna ręka, nie wiem nawet czyja, posłała wirujący przedmiot w moją stronę. Tobermory przerażony podniósł głowę; ściągnęłam jedną ręką cugle, a drugą chwyciłam lalkę, zanim zdążyłam się zastanowić, że lepiej byłoby jednak pozwolić jej spaść na ziemię.

To nie była jedna lalka, lecz dwie. Dwie złączone postacie. Dwugłowa bestia, którą nasza mama zobaczyła przy kominku. Skrawek ukradzonej mi szarej wstążki na szyi jednej z lalek oznaczał moją osobę, a kawałek płótna obwiązywał figurkę oznaczającą Harry'ego. Kłos pszenicy, po prostu sprośny żart sprzed czterech lat, teraz miał obsceniczną wymowę. Falliczny kształt wetknięto między słomiane nogi „żeńskej” lalki. Sekret przestał być sekretem.

Prawda wyszła na jaw. Zamarłam ze zgrozy. Figurki sporządzone ze świetnej pszenicy z Wideacre wydawały się cuchnąć w moich rękach. Niejasne przeczucia przerodziły się w pewność. Przeczucia przenikające rzeczywistość niczym dym z tłącego się drzewa. Nieokreślone, a zarazem pewne jak huk piorunu po błyskawicy. Margery Thompson, mądra stara kobieta, miała szósty zmysł i jej żart trafił w dziesiątkę. Doszła do prawdy, chociaż buntowała się przeciw niej. Przemówiła wbrew samej sobie. Wyczuła odór żądz i kazirodztwa, który wydzielały moje suknie; odór, który wyczuła mama, którego bała się Celia. Zgroza znalazła ucieleśnienie w lalkach uplecionych z dobrej pszenicy z Wideacre. Margery chciała pokazać, że wszystko źle się układa.



Rozerwałam kruche figurki i rzuciłam je na ziemię pod kopyta Tobermory'ego.

— Budzicie mój wstręt — rzuciłam w przestrzeń nad głowami wieśniaków. Atmosfera zagęszczała się. — Męty! Zaslugujecie, by was traktować jak świnie, bo macie świński pomysłupek. Lepiej nie sposób z wami postępować. Już nic do was nie czuję. Chcecie wojny, dobrze, będziecie ją mieli. Przyłączę wszystkie wspólne grunty. Przyłączę i zrównam z ziemią samą wieś Acre. Oczyszczę moją posiadłość z was wszystkich. Dobra ziemia oczyści się nareszcie z waszych cuchnących chat, zalęknionych dzieci i waszych brudnych myśli.

Mężczyźni znów przykucnęli i tylko kobiety westchnęły niczym jodły, gdy pierwszy powiew wichury porusza rozwichrzone wierzchołki. Nie płakały, nie zawodziły. Duchota wszystkim nam odebrała siły. Niespodziewane wiry powietrzne, gorące podmuchy były bardzo uciążliwe.

— Teraz idźcie — odezwałam się głosem pełnym nienawiści, ale załamującym się ze zmęczenia i suchości w napiętym gardle. — Idźcie. I pamiętajcie. Kiedy przyjdę na wieczerzę dożynkową wieczorem, mężczyzna, który nie zdejmie przede mną czapki, i kobieta, która zapomni przede mną dygnać, znajdzie się bez grosza, bez dachu nad głową, bez pracy, i to natychmiast.

Znów rozległo się westchnienie jak poszum lasu, kiedy rozprzestrzenia się pożar, którego języki liżą nie niczym całujący kochanek, a korony drzew szeleszczą, jak gdyby wołając o pomoc.

Zawróciłam konia i zostawiłam ich na ściernisku. Wozy drabiniaste toczyły się niezgrabnie przez pole ku stogowi. Na pierwszym z nich jechał John Brien.

— Jadę się przebrać — oznajmiłam. — Później przyjdę do młyna.

— Podczas wieczerzy dożynkowej mogą być kłopoty — ostrzegł. Obca miejska twarz jak zwykle wyrażała obawę, wyostrzoną jeszcze przez wcześniejszy zmrok. Wydawała się zielonkawożółta w tym dziwnym burzowym oświetleniu. W suchym poszyciu za moimi plecami usłyszałam trzask, jak buchnięcie ognia i twarz Briena rozbłysła nagle niczym fizjonomia anioła; to błyskawica zajaśniała nad horyzontem, nad równinami, jak rysa na szkle.

— Zawsze są kłopoty — odrzekłam znużonym tonem.

— Zawsze można aresztować paru chłopaków. Zawsze można powiesić jeszcze jednego starca. Oni zaczną, a my skończymy z tymi kłopotami. Dziś w nocy i aż do wymłócenia zboża będą go pilnowali ludzie z Chichester. A pan Gilby przyśle strażników razem z wozami. Nie boję się niechęci wieśniaków z Acre. A jutro porozmawiam z tobą o wysiedleniu ich wszystkich i spaleniu wsi. Nie chcę ich więcej. Już ich tu nie potrzebuję.

Oczy przypominające oczy łasicy rozbłysły. Podnieciła go wizja odwetu na ludziach, którymi gardził.

— Spotkamy się we młynie — stwierdziłam. — Pospiesz się, aby zwieźć wszystko do stodoły. Deszczu chyba na razie nie będzie, ale kiedy już spadnie, to będzie wielka burza.

Kiwnął głową i zaciął konie batem. Nie musiał się spieszyć. Miałam rację co do deszczu. Zdażyłam wrócić do domu. Zmęczyła mnie jazda; nie miałam czym oddychać. Czułam, jak gdyby ktoś przyłożył mi do ust mokry szalik. Gdybym mogła odetchnąć, wzywałabym chyba pomocy.

Nawet we wnętrzu dworu światło przybierało osobliwe barwy. Salonik Celi pograżony był w zieleni morskiej, a jej twarz przypominała biały koral; dziewczica topielica. Oczy Celi wyglądały jak brązowe otwory w głowie. Nalała mi herbatę trzęsącymi się dłońmi.

— O co chodzi, Celio? — spytałam.

— Sama nie wiem — odparła.

Próbowała się roześmiać, lecz wyszło to jakoś ostro, nerwowo. John spojrzął bacznie.

— Źle się czujesz? — dopytywał się.

— Nie. Przypuszczam, że wszystkiemu winna ta okropna pogoda. Ta wisząca nad nami groźba burzy po prostu mnie przygniata. Czuję uderzenia gorąca, a zaraz po nich dreszcze. Byłam dziś w Acre. Tam też sprawy źle się mają. Niektóre kobiety wydawały się mnie unikać. Na pewno będą kłopoty z transportem ziarna, Beatrice. W powietrzu wisi jakaś groźba. Niemal się boję. Coś strasznego ma się wydarzyć.

— Zanosi się na deszcz, oto co ma się wydarzyć — oświadczyłam ironicznie, aby wyrwać Celię z fantazjowania. — Będzie ulewa. Na wieczrę dożynkową pojedźmy lepiej powozem, nie odkrytym landem.

Skinęła głową.

— Tak. Kazałam podstawić karete. Nie trzeba tak świetnie się znać na pogodzie jak ty, Beatrice, aby przepowiedzieć nadciągającą burzę. Czuję się jak kot głaskany pod włos. Czuję się tak już od wielu dni. Boję się jednak czegoś innego bardziej niż burzy. Boję się nastrojów panujących w Acre.

— No cóż, idę uspokoić nerwy kąpielą i przebrać się w świeżą suknię — oznajmiłam z udawaną obojętnością. Wiedziałam jednak, że John mnie obserwuje. Wiedziałam, że oczy mi pociemniały ze strachu przed przepowiedniami Celi. — Potem jak sądzę, będziemy musieli wyruszyć. O której mamy tam być według twoich planów, Celio? Wozy zostaną rozładowane w ciągu godziny.

— Kiedy tylko sobie życzysz — odrzekła zamyślona.

W tej samej chwili rozległ się grzmot na skraju nizin. I następny błysk, oślepiający, zalał pokój błękitną poświatą i zostawił nas w całkowitej ciemności. Celia zaśmiała się ze swego odruchowego podskoku, lecz w tym śmiechu pobrzmiwała histeria.

— Pospieszę się zatem — powiedziałam. Ale nie mogłam się szybko poruszać. Powietrze miało dziwną gęstą konsystencję; drżało i trzęsło się, wydzielało woń zgrozy. Bałam się. Płynęłam w stronę drzwi, usiłując uśmiechnąć się zdawkowo. Obnażyłam zęby w niezdarnym grymasie, a oczy miały martwy zimny wyraz.

John podszedł do drzwi, by je dla mnie otworzyć. Przeciągnął palcami po mojej dłoni.

— Jesteś zimna jak lód, Beatrice — zagadnął z zawodowym zainteresowaniem, lecz i ze złośliwością w głosie. — Masz febrę? A może także boisz się burzy? Czujesz to napięcie, tę nienawiść wokół nas?

— Nie — stwierdziłam znużona. — Zwoziłam zboże i wydaje mi się, że upłynęło mi na tym całe życie. Codziennie byłam w polu. Wy dwoje siedzieliście w saloniku i snuliście intrygi wymierzone we mnie. Piliście herbatę, na którą ja zarobiłam ciężką pracą, podczas gdy ja smażyłam się w upalnym słońcu, usiłując uratować Wideacre. Nie oczekuję jednak, że ktokolwiek to zrozumie.

— Słowo daję, uspokój się — odezwał się Harry. Podniósł się wreszcie od stolika z talerzem pełnym ciastek. — Wiesz, dlaczego nie mogę ci pomagać, Beatrice. Nie zwracają na mnie uwagi. Nie mogę znieść ich zniewag.

Skrzywiłam usta w pogardliwym uśmiešku.

— Nie widzę powodu, dla którego miałbyś mi pomagać, Harry. Przecież ja wychodzę w pole i znoszę wszystko za ciebie. Za was wszystkich.

Przed oczami stanął mi obsceniczny obraz lalek i pszenicznego członka. Zręcznie wykonano te figurki. Wyglądały, jak gdyby stoczyły się ze stogu w samym środku namiętnego perwersyjnego aktu.

— Jestem zmęczona — oświadczyłam zdecydowanie. — Wybaczcie mi wszyscy, proszę. Idę zmyć z siebie zły nastrój.

Powinam jednak przewidzieć, że służba udała się na przyjęcie we młynie i że nie mogę mieć nadziei na właściwą obsługę. Cały personel kuchni wziął wychodne, nie czekając na moje pozwolenie. Kucharka wzięła wolny dzień i pojechała ze Stride'em bryczką do Chichester. Została tylko Lucy do pomocy i skarżyła się głośno na każdy szaflik gorącej wody, który musiała wnosić po dwóch odcinkach schodów przez trzy korytarze.

— Już wystarczy, Lucy — powiedziałam wreszcie, gdy poczułam się wypoczęta i rześka. — Powiedz mi raz jeszcze, kto został w domu.

— Tylko lokaje, pokojówka lady Lacey i ja — odparła Lucy. — Wszyscy inni poszli do młyna. Na obiad dla państwa jest zimna przekąska.

Kiwnęłam głową. W dawnych czasach służba brała udział we wszelkich zabawach i przyjęciach, jakie tylko odbywały się we wsi. Czasami proszono nas o pozwolenie, aby jakieś gry mogły się odbyć na dworskim wybiegu. Teraz jednak skończyły się czasy rozrzutności.

— Obetnę im pensje za cały dzień — oznajmiłam, kiedy Lucy owijała mi ramiona ręcznikiem, rozpuszczała włosy i szczotkowała długie ich pasma. Skinęła głową. Napotkałam w lustrze jej zimny wzrok.

— Wiedziałam, że tak pani robi — stwierdziła. — Oni też wiedzieli. Spytali więc lady Lacey, a ona powiedziała, że mogą iść.

Spojrzałam surowo prosto w oczy Lucy, aż opuściła powieki.

— Przestrzeż ich, aby nie przekraczali niebezpiecznej granicy, Lucy — odezwałam się opanowanym głosem. — Dość już mam impertynencji w polu i w domu. Jeśli przekroczą granicę, pożałują, że w ogóle zaczęli mnie drażnić. Wielu służących szuka pracy, a ja już nie czuję sentymentu do ludzi urodzonych i wychowanych w Wideacre.

Utkwiła wzrok w jedwabistej gęstwinie moich miedzianych włosów i szczotkowała je spokojnymi ruchami. Potem zręcznie zgarnęła je jedną ręką i upięła w gładki węzeł na czubku mojej głowy.

— Pięknie — orzekła z niechęcią.

Spojrzałam na swe odbicie w lustrze. Wyglądałam cudownie. Dni spędzone w polu zbrązowiły moją cerę, nadając jej jak zwykle w lecie odcień miodu. Moja twarz straciła zmęczony, napięty wyraz. Znów wyglądałam jak prześliczna dwudziestoletnia dziewczyna. Policzki odzyskały rumieńce. Na nosie i kościach policzkowych pojawiły się zalotne piegi. Na tle miodowoherbacianej skóry orzechowe oczy pobłyskiwały niezwykle wyrazistym odcieniem zieleni. Włosy przypalone słońcem miały oprócz miedzi dodatkowo gdzieś kolor brązu. Loki wokół twarzy spłówiały tu i ówdzie, przyjmując barwę czerwonego złota.

— Tak — potwierdziłam zimno. — Założę zieloną jedwabną suknię — oznajmiłam, wstając od lustra i rzucając mokry ręcznik na podłogę, aby Lucy schyliła się i podniosła go. — Mam powyżej uszu szarych i ciemnych kolorów. A tam nie przyjdzie nikt ze szlachty.

Lucy otworzyła garderobę i wyciągnęła, strzepując, luźną suknię z ciemnozielonego jedwabiu. Do tego dopasowany zielony fartuszek związany ciasno z przodu i błyszcząca obszerna narzutka na plecy.

— Dobrze — stwierdziłam, kiedy wsunęłam strój przez głowę i zawiązałam fartuszek. — Ale nie mam czym oddychać. Otwórz okno, Lucy.

Otworzyła je energicznie, lecz żar i wilgotne powietrze buchnęły niczym para z czajnika i poparzyły mi wnętrze ust i nos. Jęknęłam cicho.

— Och, żeby wreszcie zaszła jakaś zmiana tej wstrętnej pogody — odezwałam się tęsknie. — W ogóle nie mogę oddychać. Wszystko wokół mnie wydaje się nie do zniesienia ciężkie!

Lucy spojrzała bez współczucia.

— Ta pogoda wpływa też na dzieci — powiedziała. — Niania panicza Richarda prosiła, żeby wstąpiła pani do pokoju dziecinnego, kiedy się pani przebierze. Jest marudny. Niania sądzi, że wyrzyna mu się ząbek.

Wzruszyłam ramionami. Świeży jedwab zaczynał mnie grzać i kłuć.

— Poproś pana MacAndrew, żeby poszedł — poleciłam. — Muszę się przygotować do wyjścia do młyna. Pan MacAndrew będzie wiedział, co robić, a Richard ma do niego zaufanie.

Lucy napotkała mój wzrok. Widziałam w jej oczach całkowite potępienie kobiety, która nie chce iść do własnego dziecka, kiedy je coś boli i kiedy ono ją wzywa.

— Och, przestań, Lucy! — odezwałam się znużonym głosem. — Powiedz mu, żeby natychmiast poszedł do pokoju dziecinnego, a potem wróć upudrować mi włosy.

Wyszła, nawet posłusznie, a ja podeszłam do okna, usiłując złapać oddech. Ogród różany wydawał się wyprany z koloru. Nie mogłam sobie przypomnieć, jak wyglądał przedtem, zanim ten koszmar pogrzył go w swoim niesamowitym świetle. Zielona trawa wybiegu, teraz zszarzała, wyglądała upiornie. Purpurowe róże w ogrodzie nabrały z kolei zielonej niezdrowej barwy. Burza opuszczała swój ciężki brzuch na szczyt dachu. Sklepienie fioletowych chmur obniżało się nade mną niczym klaustrofobiczny namiot. Rozciągał się on od skraju nizin do granicy wspólnych gruntów, jednolicie, bez szczelin, przez które przedostałoby się światło czy powietrze. Jedynym źródłem światła była ściana utkana z błyskawic. Pioruny huczały, jak gdyby grzbiet Wideacre pękał na pół, obracając moje plany w ruinę. Biały blask palił mnie w oczy. Byłam nadal oszołomiona, kiedy Lucy pudrowała moje włosy i podała szal.

— Nic nie biorę. Jest za gorąco — oświadczyłam.

Na sam dotyk wełny pociłam się i palce świerzbiły.

— Nie wygląda pani zdrowo — powiedziała chłodno Lucy. Właściwie już jej to nie obchodziło. Mogłabym konać, a jej byłoby wszystko jedno.

— Czuję się doskonale — odparłam z zimną stanowczością. — Możesz odejść, Lucy. Nie będziesz mi już dziś potrzebna. Czy wybierasz się do młyna razem z lokajami i pokojówką lady Lacey?

— Jeśli wolno — stwierdziła z beczelną złośliwością.

— Wolno — odrzekłam zbyt zmęczona, aby znów podejmować jej wyzwanie. Wyczerpały się uczucia, jakie inni żywili wobec mnie. Wyczerpała się miłość. Byłam niby młodą kobietą, lecz żyłam o wiele za długo. Miałam za sobą najlepsze lata, gdy cieszyłam się powszechną miłością, gdy uwielbiano panienkę Beatrice. Teraz czułam się jak stara zmęczona kobieta marząca o tym, by iść spać. Przemknęłam obok Lucy, szeleszcząc

jedwabnym ogonem sukni, i spływałam po schodach niczym struga zielonej trucizny. Nie stapałam lekko, zwinnie jak dawniej. Bardziej niż urodziwą dziewczyną czułam się ślimakiem zostawiającym za sobą oślizły szlak.

Czekali na mnie w hallu. Powóz stał przed wejściem. Harry tęgi, postawny w szarym jedwabnym ubraniu z czarną wyszywaną kamizelką i srebrzystoszarych pończochach. Celia jak gdyby osaczona z kolorów, w granatowej jedwabnej sukni, w żółtawym świetle burzy podkreślającej jej wymizerowaną twarz. John przystojny i czujny jak zawsze, promieniejący świadomością, że to wszystko już nie potrwa długo, że niczym burza w wydarzeniach zajdzie całkowity zwrot. Ich twarze zwróciły się w moją stronę, gdy wkroczyłam przez drzwi zachodniego skrzydła i w przypiływie nagłego buntu powiedziałam do siebie ze zgrozą: „Mój Boże! Cóż uczyniłam? Budowałam swe plany życiowe, brodząc przez krew. Mordowałam rozmyślnie i przypadkowo i szłam dalej z coraz twardszym, z coraz zimniejszym sercem po to tylko, by stojące tu bezczynne trio mogło żyć w spokoju, bogactwie i z czystym sumieniem. Żeby mogła oglądać tę trójkę przez resztę moich ponurych dni. Jak gdyby cała ta walka miała za cel oglądanie co dzień Harry'ego, Celi i Johna aż do mojej śmierci”.

Z wysiłkiem opanowałam mięśnie twarzy i przeciągnęłam palcami po czole, aby wygładzić zmarszczki. Wyrugowałam też wyraz rozpaczony z moich rysów.

— Przepraszam, że kazałam wam czekać — odezwałam się.

— Jedziemy?

Z woźniców został tylko Ben. Lokaje zwolnieni przez dobrotliwą Celię byli już we młynie z wieśnikami. Tak więc John wciągnął schodki do powozu i sam zamknął drzwiczki. Kołysanie pojazdu i niesamowite światło przypomniało mi chorobę morską, którą przechodziłam na statku do Francji. Zaciśnęłam usta. Celia i John rozmawiali półgłosem o niepowodzeniach ich akcji pomocy dla wsi Acre. Usłyszałam znów nutę paniki w głosie Celi, gdy powiedziała bardzo cicho do Johna: „Cokolwiek robimy, to po prostu nie wystarcza. Jakiegokolwiek sumy położymy, tylko odkładamy moment kryzysu. Niczego nie rozwiązujemy, a zbliża się zima”.

Zaniepokojony głos Celi obudził we mnie złe przeczucia. Byłam spięta. Przygryzłam wargi, aby powstrzymać wybuch gniewu.

Powóz wtoczył się na dziedziniec młyna. Zwróciły się na nas setki wygłodniałych twarzy, zielonkawych w świetle burzy. Pierwsza wysiadła Celia. Powitał ją cichy pomruk pozdrowień. Ja zeszałam po schodkach w kamiennej ciszy zimnej jak młyńskie kamienie, lecz wszystkie kobiety dygnęły, a wszyscy mężczyźni ściągnęli czapki lub zgięli się w ukłonie. Johna powitało kilka „dzień dobry”, rubaszny zaś okrzyk Harry'ego („Dzień dobry! Szczęść Boże dobrym plonom!”) padł w lodowatą studnię odpychającego milczenia.

— Lepiej szybko to załatwmy i miejmy wszystko za sobą — stwierdził dość głośno, poprawiając palcem ciasną pończochę.

— Bardzo dobrze — odparła Celia. — Zmówisz modlitwę przed jedzeniem.

Harry wyglądał na speszonego, lecz podszedł do stołu ustawionego na krzyżakach i zaczął czekać, aż wszyscy zajmą miejsca na ławach. Wymamrotał parę słów po łacinie (a kiedyś rozumiał ten język) i pomachał ręką na panią Green stojącą przy drzwiach kuchennych.

Wyszła z opanowaną twarzą, niosąc wysoko przed sobą wielką tacę pokrojonej w plasterki szynki, kurczaka i wołowiny. Postawiła tacę z łoskotem na stole. Za nią nadeszły kucharki z wielkimi talerzami serów.



Dalej lokaje z olbrzymimi bochnami naszego złotego chleba. Na widok jedzenia ludzie nie okazali radości, nie rozległy się okrzyki zadowolenia, kiedy na stole pojawiła się obfitość jadła. Serce Wideacre przestało bić. Wieśniacy byli głodni. Przymierali głodem. Zapomnieli, jak smakuje mięso. Nie wybuchły bójki. Byli zbyt wyczerpani, by walczyć. Ich dobre zachowanie należy też po części przypisać uprzejmości, z jaką traktowali Celię i Johna. Byli w takim stanie, że nie myśleli o bójkach. Z rezygnacją ustawili się na wspólną śmierć z głodu. Nikt nie miał w sobie tyle wściekłości czy tyle nadziei na przetrwanie, aby rzucać się na porcję sąsiada. Dawni wiejscy przywódcy — stary Tyacke i trójka wesołych chłopaków — odeszli. Została tylko wynędzniała biedota znosząca głód w milczeniu. Oczekiwała śmierci w zimie i nie obawiała się jej już. Ludzie byli tak głodni, że nie mogli jeść. Aż dreszcz mnie przeszedł, gdy to pojęłam.

Podczas przyjęcia bożonarodzeniowego wydzierali sobie żywność jak dzikusy, jak głodne dzikie zwierzęta. Teraz natomiast podczas wieczerzy dożynkowej mieli już za sobą etap najostrzejszego głodu. Mogli jeść mało albo nic. Zapomnieli, jak ze smakiem spożywać potrawy. Wyborny ser oraz szynka przyrządzana na słodko straciły nęcący aromat. Skurczone żołądki głodujących wieśniaków nie przyjmowały normalnych porcji jedzenia. Przywykli głodować. Mogli jeść tylko małe ilości.

Wstydliwie zawijali wielkie kawały chleba, mięsa i sera i upychali po kieszeniach, po zakamarkach ubrań. Chowali jedzenie niczym wiewiórki przygotowujące się do ciężkiej zimy. Ale robili to bardzo spokojnie, pomagając sobie wzajemnie. Najniedołężniejsi starcy dostawali swój przydział przygotowany przez młodych ludzi, których policzki były również blade i wynędzniałe. A najsmutniejsze z tego wszystkiego było to, że starcy z kolei wciskali dodatkowe kawałki mięsa matkom z małymi dziećmi. Jedna z dziewcząt z wyrazem pustej rozpaczki na twarzy, ciężarna, została przez sąsiadów z obu stron suto zaopatrzona w mięso i ser zawinięte w chusteczkę. Wieśniacy nie wrywali sobie teraz jedzenia z ust. Głód nauczył ich dyscypliny, a zimowe zgony mieszkańców Acre stanowiły szok. Teraz dzielili się wszystkim, chociaż żołądki skręcały się z niedożywienia i z bólu.

Złowieszcze ciemne niebo falowało nad głowami, lecz niżej na ziemi nie czuło się nawet najłżejszego powiewu. A we dworze wiał przecież wietrzyk. Tutaj dai o sobie znać poruszając wierzchołkami drzew. Sosny jęczały, gdy wiatr się wzmógł. Potem nastąpił trzask, jak gdyby waliło się tysiąc drzew. Cały pejzaż zamarł w blasku oślepiającym jak śnieg. Niedaleko huknął piorun. Celia zachwiała się i chwyciła mnie za ramię.

— Nie wytrzymam tego — dyszała ciężko.

John natychmiast objął Celię w pasie, aby ją podtrzymać.

— Zabierz ją stąd! — polecił gwałtownie Harry'emu i podprowadził Celię parę kroków do powozu. Woźnica Ben, jeden z największych żarłoków jadających w dworskiej kuchni, nie dołączył do swej głodnej rodziny przy stole. Wyszedł z fioletowego cienia, kiedy tylko spostrzegł, że gotujemy się do odjazdu.

— A zatem odjeżdżamy! — głos Harry'ego niczym róg mgłowy w porcie przekrzykiwał zrywający się wiatr. — Dobranoc i dziękujemy za waszą pracę.

Wsiadłam do powozu i zajęłam miejsce obok Celi. Miała dłonie zimne jak lód. Pocierała je nerwowo o kolana, jak gdyby chciała zdjąć z palców niewidzialne pierścienie. Raz po raz dygotała i dyszała. Myślałam, że natychmiast ruszymy, zapomniałam jednak o iście zadziwiającym talencie Harry'ego, aby popełniać niezręczności.

Wspiął się po schodkach na próg powozu i nagle odwrócił się, wołając od otwartych drzwiczek:

— Wideacre to nie taka zła posiadłość, co? Niewiele już zostało takich majątków, gdzie po zwiezieniu plonów urządza się darmową wieczerzę, naprawdę!

Coraz silniejszy wiatr jęczał, a wraz z nim stłumione głosy. Głodne, puste zrozpaczone oczy spojrzały od stołu na Harry'ego stojącego na stopniach powozu i na mnie wyglądającą przez okno, jak gdyby chciały nas spalić płomieniem nienawiści.

— A co ze zbożem? — wrzasnął czyjś głos.

Zawtórował mu przepojony nienawiścią chór pospólstwa.

— W Wideacre wyrosło, w Wideacre sprzedane, w Wideacre zmielone, w Wideacre zjedzone! — zadudniło. W drzwiach kuchennych pojawił się młynarz Green. Napotkałam jego wzrok pełen zimnej nienawiści.

Harry zawahał się, czy warto przekrzykiwać wrzawę, lecz ja pociągnęłam jego marynarkę i powiedziałam szybko: „Harry, chodź!” Wciągnął schodki i zatrzasnął drzwi. Powóz przechylił się, gdy opadł na siedzenie naprzeciwko mnie. Celia dyszała jak wyrzucony na brzeg łoś. Jej twarz wydawała się spopielała w mroku wnętrza.

— Nie wytrzymam tego — powtórzyła.

— O co ci chodzi? — spytałam głucho.

— Nie wytrzymam dłużej takiego życia — stwierdziła.

Wzrok jej pałał. Chwyciła mnie za rękę i ścisnęła mocno, aż poczułam ból.

— Nie będę tak dalej żyć — oznajmiła. — Ci ludzie umierają z głodu. Dzieci głodują, tak że ich rączki i nóżki zamieniły się w patyczki. Nie mogę najadać się do syta we dworze, kiedy wieś przymiera głodem.

Kareta zakreślała. Wkrótce mieliśmy się znaleźć z dala od młyna. Rozbłysła następna błyskawica i objawiła scenę uczyty w każdym szczególe, jak w oślepiającym świetle południa. Wszyscy wciąż siedzieli przy stole, a wielkie tace oczyszczono z jedzenia. Nie zostało ani okruszka. W kącie podwórza jakieś wygłodniałe dziecko wymiotowało strasznie, wykrztuszając z siebie pierwszy przyzwoity posiłek od pół roku. Jego matka trzymała ociężałe ciało, a łzy płynęły jej po twarzy. Młode dziewczyny w poplamionych łachmanach nie flirtowały z chłopakami. Oparły brudne zmęczone głowy na stole i gapiły się otepiałym wzrokiem w przestrzeń, jak gdyby straciły wszelkie zainteresowanie zalotami, miłością; jak gdyby zamiast serca miały pod żebrami dziurę wyżartą przez głód i strach przed głodem.

Wystarczył niecały rok, aby kwitnąca, wesoła, hałaśliwa, zalotna, tętniąca życiem wieś Acre stała się cmentarzem chodzących trupów o pustych oczach i smutnych twarzach. Wyglądało na to, że pogodzili się z pójściem do przytułku, do jednego z nowych przytułków, gdzie potrzebowano zręcznych pracowników, nie osilków i gdzie przetrwać można było tylko dzięki zwierzęcej determinacji; zarobić pensa na kawałek chleba i kroplę ginu, aby przeżyć jeszcze jedną nie niosącą nadziei noc.

Otóż i żywi nieboszczycy ze świetlanych wizji przyszłości snutych przez Harry'ego. Wiedziałam, że tak się skończy. I zabiłam te wizje.

Powóz toczył się naprzód. Jeszcze jedna błyskawica pojawiła się z trzaskiem nad naszymi głowami i spłoszyła konie. Wieśniacy ujrzeli moją bladą twarz wyglądającą przez okno i tłuste oblicze Harry'ego obok. Ujrzeli zgrozę, lecz nie litość w mych oczach. Spozregłam, że gdzieś z tyłu podwórza czyjeś ramię wykonało

gwałtowny ruch. Cofnęłam się instynktownie. Kamień rozbił szybkę, a odłamki szkła rozprysły się we wnętrzu powozu. Piękna jedwabna suknia Celi i moja też pokryły się kawałeczkami szkła, a buty Johna i Harry'ego zachrzęściły na szkłe, które zaściewało podłogę. Zadrapanie na grzbiecie mojej dłoni podbiegło krwią. Przyłożyłam doń wstążkę i poczułam, że szklana igielka zagłębia się w ranie. Nie bolało.

Nie odczuwałam bólu ani urazy, a stangret okładał batem przestraszone zwierzęta. Harry wybuchnął gniewem. Celia ukryła twarz w dłoniach i płakała jak niepocieszone dziecko. Powóz kołysał się. Konie rwały się do ucieczki przed piorunami. Porywisty wiatr smagał drzewa. Przez donośny stukot kół przebijano się dudnienie piorunów na skraju nizin. W dalszym ciągu nie padał deszcz. Przez wyrwę w oknie gorące powietrze buchnęło w twarz, aż zaparło mi dech.

— Żebyż wreszcie spadł deszcz — odezwałam się sama do siebie.

— Deszcz! — krzyknęła Celia. Jej delikatny głos zabrzmiał szorstko. — Chciałabym, żeby nastąpił potop i zmiotł z powierzchni ziemi całe to okrutne hrabstwo i Wideacre!

— Daj spokój! — zaproponował Harry bez przekonania. — Jesteś zdenerwowana, Celio, i nic dziwnego! Oto i masz łajdaków! Będę musiał oczyścić wioskę! Nie chcę ich trzymać na swojej ziemi!

Celia zwróciła na niego błyszczące oczy.

— To my jesteśmy łajdakami, nie oni! — stwierdziła, jękając się ze wściekłości. — Jak mogłeś dopuścić, jak mogłeś dopuścić do takiej sytuacji? Na twojej ziemi, Harry! Traktujemy biedotę gorzej niż właściciele kopalń na północy! Lepiej już karmimy konie w naszych stajniach niż żywione są te dzieci! To nas powinni tropić żołnierze w lasach i wieszać. To my powinniśmy głodować, to nas czworo ściągnęło na Wideacre plagę nieszczęścia. Johna i mnie też trzeba winić, nie tylko was, albowiem patrzyliśmy na to i nie dość skutecznie nieśliśmy pomoc. Ale największą winę ponosicie ty i Beatrice, bo nie powinniście nigdy zgodzić się na takie metody gospodarowania, które zabijają ludzi. Nawoziliście glebę ludzkim życiem, a nie wodorostami. Zasiialiście zagładę, nie nasiona. Nie pogodzę się z tym!

Powóz zatrzymał się przed dworem. Celia przecisnęła się obok mnie, otworzyła szarpnięciem drzwiczki i wyskoczyła w gradzie odłamków szkła. Chciałam zatrzymać gestem Harry'ego na parę słów, lecz John kazał mu wysiąść zaraz po Celi, tak że nie miałam czasu na szeptanie po kryjomu.

— Gospodarujemy w Wideacre tak, aby osiągnąć jak najlepsze plony — oznajmił Harry, zajmując stanowisko obronne przy kracie pustego kominka w saloniku. Na zewnątrz huknął piorun; koszmarny kontrast zagłuszający słowa Harry'ego.

— Musimy się zatem zadowolić mniejszymi plonami — oświadczyła ostro Celia. Porwała ją burza własnego gniewu. Swą siłę moralną czerpała z poczucia pewności, że ma rację. Celia nigdy nie uciekała się do podstępów i zagadek. Zabierała głos, jeśli jej surowe nieprzeblagane sumienie mówiło, że należy się odezwać.

— Plony to nie jest temat dla ciebie, moja droga — w głosie Harry'ego zabrzmiała nuta ostrzeżenia.

— Muszę się interesować plonami, kiedy pojazd, którym jadę, zostaje ukamienowany! — wybuchnęła Celia z policzkami pokrytymi rumieńcem. — Z pewnością muszę się interesować plonami, kiedy nawet modlić się w kościele nie mogę, mając za plecami tłum głodnych, konających z głodu ludzi.

— Dość! — Harry podniósł głos. — Dość, nie chcę tego słuchać, Celio.

Skinęłam głową na Johna.

— Chodź — powiedziałam i zwróciłam się w stronę drzwi.

— O, nie — odparł John, nawet się nie poruszywszy. — To nie jest prywatna sprawa między Harrym i Celią i nie powinni jej roztrząsać w cztery oczy. To kwestia, która dotyczy nas wszystkich. Podobnie jak Celia nie mogę żyć tutaj, gdy inni umierają z głodu. Nadchodzi kolejna zima, a podczas poprzedniej zimy głód zebrał obfite żniwo w wiosce. Nie ruszę się z tego pokoju, dopóki nie podejmiemy decyzji o przywróceniu działek warzywnych na wspólnych gruntach i dopóki nie zgodzicie się otworzyć wspólne grunty dla wieśniaków.

— A cóż ty wiesz o rolnictwie? — spytałam bez ogródek.

— Żadne z was się na tym nie zna! Widziałeś tylko usychające warzywa w Edynburgu. Ty zaś, Celio, znasz jedynie swój salonik. Nie będziemy gospodarować w taki sposób, aby stracić Wideacre! — przerwałam, wpadając w półśmiech. Potężna błyskawica oświetliła pokój, objawiając mi przerażoną twarz Harry'ego.

— Ja nie przesadzam — oznajmiłam. — Jesteśmy w rozpaczliwej sytuacji finansowej i musimy iść dalej tą drogą albo stracimy wszystko. Nie będzie Wideacre dla nas ani dla Julii. Biedota też to odczuje, oczywiście. Zawsze wszystko skupia się na biedocie. Ale kiedy tylko wpłyną tegoroczne zyski, będziemy mogli nieco zmniejszyć ponoszone wyrzeczenia. Z każdym rokiem będzie lepiej.

— Nie — powiedziała Celia. Stała przy oknie. Na sinym niebie za jej plecami czarne chmury miały jaskrawopomarańczowe obwódki światła zachodzącego słońca. — Nie czas na stopniową poprawę — stwierdziła. — Musimy dokonać szybkiej radykalnej zmiany. To nie w porządku, że my jemy do syta, a inni mieszkańcy naszej posiadłości przymierają głodem, abyśmy my mogli się bogacić. To nie po chrześcijańsku, to nie w porządku, że między bogatymi a biednymi istnieje taki wielki rozziw. Nie mogę się pogodzić z tym, że tak powinno być. Jesteś tyranem Wideacre, Beatrice, jesteś władcą absolutnym, który o wszystkim decyduje bez dyskusji. Nie możesz jednak zdecydować, aby biedota umierała z głodu. Ja na to nie pozwolę!

— To ja zarządzam posiadłością. Nie ma innej drogi powiększenia powierzchni uprawnej... — zaczęłam, lecz głos Celi przebił się przez mój; dźwięczny, ostry, gniewny.

— Nie zarządzasz Wideacre, Beatrice — oświadczyła pogardliwym i lekceważącym tonem. — Ty ją rujnujesz. Rujnujesz wszystko, co kochasz. Jesteś niszczycielem. Kochałam cię, ufałam ci, lecz myliłam się. Uwielbiałaś Wideacre, lecz zniszczyłaś wszystko co najlepsze w tej posiadłości. Kochałaś łąki i zlikwidowałaś je. Kochałaś lasy i sprzedawałaś je lub wykarczowałaś. Kochałaś nizinne pastwiska, lecz granicę zaoranych terenów posuwasz coraz dalej. Niszczysz swój dorobek. — Jej wzrok wędrował ode mnie do Johna. Wiedziałam, że myśli o tym, jak próbowała zniszczyć ukochanego człowieka.

Wzięłam głęboki oddech brzmiący jak chrapliwy jęk. Celia postawiła przed moim życiem surowe nieubłagane lustro. Wiedziałam, że ma słuszość.

— Nie będę tu z tobą mieszkała, dopóki nie zaprzestaniesz tej destrukcji — oznajmiła głosem chłodnym jak głos sędziego czytającego wyrok śmierci. — Nie pozwolę, abyś zatruwała nasze sumienia, czyniąc nas mimowolnymi uczestnikami tego spektaklu grozy. Nie wystąpię przeciw tym, którzy szukają u mnie obrony. Nie zamorzę głodem ludzi, którzy są bezbronni.

Przerwała. Zapadła cisza. Harry przeniósł wzrok z zapłonionej twarzy Celi na moje białe jak ściana oblicze. Nie odezwał się jednak. Przygryzłam wewnątrz policzków. Chciałam uspokoić oddech i nabrać sił, aby rozprawić się z Celią. Miałam argumenty. Miałam władzę. Mogłam ją pokonać.

John nie spuszczał ze mnie przenikliwego wzroku i to on przemówił pierwszy.

— Mylisz się, Celio — powiedział, a ja natychmiast spojrzałam na niespodziewanego sprzymierzeńca. — Mylisz się — powtórzył. Patrzył na mnie czujnie, ostro. — Oni mają obrońcę — rzekł bardzo powoli, obserwując mnie.

Ta emfaza w jego głosie zdumiała Celię, więc też na mnie spojrzała. Nawet Harry uzbroił się w czujność.

— Oni naprawdę mają obrońcę. Mściciel przybył do Wideacre.

— Nie! — zaprzeczyłam i w dwóch susach przemierzyłam pokój. Mocno chwyciłam Johna za poły marynarki i szeroko otwartymi oczami spojrzałam mu prosto w twarz. — To nieprawda! Usiłujesz zadać mi torturę, tak jak ja kiedyś męczyłam ciebie. To kłamstwo.

We wzroku Johna nie było litości.

— Nie, Beatrice. Mściciel przybył do Wideacre. Słyszałem, jak o tym dziś mówiono. Kimże on jest? I dlaczego reagujesz takim przerażeniem?

Przymknęłam oczy. Niemal zemdlałam. John chwycił mnie brutalnie pod łokcie i uważnie wpatrywał się w moją białą twarz. Otworzyłam oczy i spojrzałam w dal na znajomy bezpieczny krajobraz rodzinnej okolicy.

I nagle je spostrzegłam.

Dwa czarne psy w ogrodzie różanym. Nieruchome, jak świetnie wyćwiczone psy dozorczy, gdy każe im zostać, a sam pilnuje ich gdzieś z ukrycia. Spaniel siedział z nastroszonymi uszami, utkwivszy wzrok w domu, czarny jak aksamitny kir. Czarny chart leżał niczym bestia uwieczniana w herbach, obserwując dom i mnie.

— On tutaj jest — wyrzekłam.

Uczyniłam chwiejny krok w stronę fotela przy kominku i opadłam nań. Czyjaś twarda ręka obróciła mnie za ramię. Podniosłam oszołomiony wzrok na Celię, która pochylała się nade mną. W jej geście nie było delikatności, a oczom brakowało dawnego ciepła.

— Kim on jest? — spytała.

Te słowa odbijały się echem w mej skołowanej głowie. „Kim on jest? Kim on jest? Kim on jest?”

— Czy przybył po Julię? — Drobną ręką Celi zaciśnęła się mocniej na moim ramieniu. Niemal szarpnęła mnie ze strachu. — Czy przybył po Julię?

Gapiałam się na nią pustym wzrokiem. Ledwie przypominałam sobie, kim jest Julia. Przeważenie zawładnęło moimi myślami, podsuwając mi wciąż obraz dwóch psów wpatrujących się w okno salonu, czekających, aż pan da znak do pogoni za zwierzyną.

— Czy on jest ojcem Julii? Czy przybył po nią? — ostry histeryczny głos Celi nadal nie docierał do mnie.

— Tak — odpowiedziałam, nie zważając na to, co mówię, i nie zdając sobie sprawy z własnych słów. — Tak, tak.

Celia jęknęła, jak gdybym ją spoliczkowała. Wyciągnęła rękę w stronę Johna.



— Co? — odezwał się całkiem otumaniony Harry. Zbyt szybko rozsypywał się jego bezpieczny świat. W zbyt wielu miejscach naraz pojawiły się rysy zwiastujące upadek. — O czym wy wszyscy mówicie? To ja jestem ojcem Julii.

— Nie — stwierdziła Celia głucho. John trzymał ją za rękę. Łzy płynęły po jej policzkach. — To jeszcze jedno z łajdactw Beatrice. Twoja siostra oszukiwała ciebie, oszukiwała mnie. Nie jestem matką Julii. Ona jest dzieckiem Beatrice. A teraz przybył po nią jej prawdziwy ojciec.

Przerażone oczy Harry'ego zwróciły się na mnie.

— Beatrice? — powiedział, jak gdyby chciał wezwać mamę. — Beatrice, powiedz, że wszystko to kłamstwa.

— To nie kłamstwa — odrzekłam. Pogrzeżyłam się w piekle swego życia i nie obchodziło mnie już, kogo pochłoną moje koszmary. — Julia jest moim dzieckiem, a Mściciel to jej ojciec.

— Ale kim jest Mściciel? — spytał John, podążając za nią przez labirynt kłamstw. — Kim jest Mściciel?

Napotkałam wzrok Harry'ego.

— To pomocnik gajowego — oznajmiłam. Celia i John spojrzeli na Harry'ego.

Ta informacja nic im nie mówiła. W ułamku sekundy nie pojmująca twarz Harry'ego przybrała wyraz żalostnego zakłopotania, a następnie czystego strachu.

— Przybył po nas? — zapytał. — Przybył po ciebie? Przybył zabrać Julię? — Przerażenie w głosie Harry'ego doprowadziło Celię do granic wytrzymałości.

— Wyjeżdżam — oświadczyła. — Wyjeżdżam stąd i zabieram dzieci, natychmiast.

Opadłam bezsilnie na oparcie fotela. Wszystko stracone. Celia miała rację. Nadciągała zagłada. Psy Mściciela czekały w moim ogrodzie.

— Zaprzęgnę konie — zapowiedział John i wyszedł z pokoju, nawet na mnie nie spojrzawszy. Pytania parzyły mi umysł, lecz jedno spojrzenie na wystraszoną twarz Celię kazało mi się opanować i chronić ją przed wszystkim, o czym wiedziałam, i co Harry potwierdził.

John czekał na tę chwilę, gdy runie złowieszczy labirynt, a on będzie mógł zabrać Celię i dzieci do bezpiecznego miejsca. Wiedział, że kłamałam o ojcu Julii. Przypuszczał, że kłamałam, kiedy potwierdziłam tajemne przecucie Celi, iż pewnego dnia nieznajomy ojciec dziewczynki przyjdzie wykraść jej Julię. Słyszał przerażenie w moim głosie i wiedział, że świat Wideacre wali się w gruzy. Zależało mu tylko na jednym: na uratowaniu niewinnych istot, zanim ów świat zapadnie się pod ziemię.

Harry, oparł głowę na kamiennym obramowaniu kominka i szlochał. Był jak dziecko zostawione samo sobie wśród ruin.

Celia wyszła bez słowa. Słyszałam, jak biegnie po schodach na górę do pokoju dziecinnego Julii, a potem powoli, uważnie niesie na dół śpiące dziecko. Potem trzasnęły drzwi zachodniego skrzydła. Wróciła po Richarda. Niczym lunatyczka zjawiłam się w hallu.

Harry, dalej szlochając, powłócząc nogami, wyszedł za mną.

John przyszedł ze stajni. Wziął Richarda z rąk Celi, a ona podniosła śpiącą Julię z sofy. Mój syn nawet się nie poruszył. Spał owinięty kocem. Ciemne rzęsy dotykały różowych policzków, a kciuk tkwił głęboko w

cudownie stulonych usteczkach. Co jakiś czas ssał głośno palec i znów się uciszał. Przycisnęłam nos do przyjemnie pachnącego czółka i poczułam łaskotanie włosów dziecka. Zanurzona w lodowatej studni przerażenia nie potrafiłam się zdobyć na żadną czułą myśl.

John utkwiał zaciekawiony wzrok w mojej twarzy.

— Nie — odezwał się, jak gdyby odpowiadał na jakieś moje pytanie. — Tu już nic nie zostało dla ciebie, Beatrice. Wszystko minęło.

Wyprostowałam się i spojrzałam chłodno. Teraz już nic mnie nie wzruszało. Byłam zgubiona. I wiedziałam o tym.

Celia przeszła obok bez słowa, nawet nie patrząc, a Harry podążył za nią niczym żreback za kłaczą matką. Był w szoku: ślepy, głuchy, oniemiały i mógł tylko iść za drobnymi zdecydowanymi kroczkami Celi, dopóki nie otrząśnie się ze strachu. Potem milcząc minął mnie mój mąż. Zatrzasnęły się drzwi do zachodniego skrzydła. Słyszałam, jak wszyscy szli korytarzem do drzwi stajni. Później wiatr zatrzasnął z hukiem drzwi stajni. Zostałam sama.

W hallu panowała ciemność. Nawet tu burza wdarła się ze swym mrokiem. Ale ja się nie bałam samej ciemności. Od lat gromadziła się tu groza, lecz teraz nie mogła już nic uczynić przyszłym wydarzeniom. Wyszła z zakamarków, a ja musiałam stawić jej czoło. Na wpół ślepa, na wpół oszołomiona uwolniłam się od strachu przed duchami, ruchomymi cieniami i sennymi koszmarami. Najgorsze strachy przyszły właśnie po mnie i już nie musiałam się bać nieznanego.

Dom, cudowna Wideacre należała wreszcie do mnie. Tylko do mnie. Nigdy przedtem nie znalazłam się zupełnie sama w domu, niczym owad we wnętrzu pachnącego kwiatu róży. Nigdy przedtem nie doświadczyłam takiej ciszy — w kuchni, sypialniach, saloniku. Nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk. Nic. Byłam tu tylko ja. Jedyna osoba we dworze i w posiadłości. Nareszcie nikt nie podważał mego prawa do własności Wideacre.

Przechadzałam się po dworze jak kobieta w transie. Dotykałam rzeźbionego słupa podtrzymującego schody, przesuwałam palcami po skomplikowanym wzorze przedstawiającym zboże, kłaczki wełny, cielną krowę, słowem — symbole bogactwa Wideacre. Pogładziłam dłonią wypolerowany blat stołu na rozkraczonych nogach. Drewno było ciepłe, delikatne, przyjemne w dotyku. Pośrodku stała srebrna misa pełna kwiatów. Zwiędłe róże patrzyły na swe własne odbicie w wypolerowanej powierzchni. Trąciłam je czubkiem palca. Kruche płatki odpadły od korony kwiatów. Zostały opylone pręciki. Pomyślałam o słowach Celi: „Jesteś niszczycielem, Beatrice”. Uśmiechnęłam się bezwiednie i odeszłam. Klamka drzwi salonu wydała mi się cudownym ciepłym kształtem. Przyłożyłam czoło do gładkich chłodnych deszczulek drzwi. Przebiegłam palcami po kamiennej obudowie kominka i poczułam chropawą fakturę piaskowca z Wideacre. Dotknęłam prześlicznej delikatnej porcelany, którą Celia przywiozła z Francji, oraz ciemnoróżowego kamyka znalezionej w rzece Fenny, który uparłam się wystawić na kominku. Któraś skrupulatna pokojówka położyła na kominku porcelanową sówkę razem z inną porcelaną. Dotknęłam jej teraz bez strachu. Przybył po mnie. Wkrótce tu będzie. Nie muszę się już obawiać tajemniczych upominków.

Przeciagnałam ręką po gładkim brokacie obicia fotela, tego, w którym lubiłam siadywać wpatrzona w ogień. Brzdąknęłam na fortepianie. Upiorny dźwięk w ciszy domostwa. Potem wyszłam z saloniku. Po drodze przez hall chwyciłam garść wysuszonych płatków z wazy pełnej przeróżnych kwiatów i ziół. Szłam do mojego

gabinetu. Do mojego specjalnego pokoju, gdzie czułam się bezpieczna. W kominku spoczywały nie podpalone drwa, a pokój tonął w ciemności. Wkroczyłam jak codziennie, lekko, z sercem bijącym równo. Poruszałam się trochę wolniej niż zazwyczaj. I wszystko widziałam nieostro. Pole widzenia ograniczały kłęby mgły. Wyraźny był obraz tylko dokładnie na linii wzroku. Długi, długi tunel. Nie wiedziałam, dokąd mnie zaprowadzi.

Zanim zapaliłam świece, podeszłam do okna. Burza przetoczyła się już hen za horyzont nizin, z dala od domu. Kapryśne światło przedzierało się przez rysy błyskawic. Ogród różany był pusty. Psy Mściciela znikły. Przyszedł zobaczyć dom, może sprawdzić, kto został w środku, a kto uciekł. Wiedział, że zostałam sama, że czekam na niego, że mam świadomość jego bliskości. On też mnie czuł. Westchnęłam, jak gdyby zadowolona, że to wszystko wiem, a potem odeszłam od okna i zapaliłam świece. Fidybus do zapalania kandelabrow przytknęłam też do dREW w kominku; pokój wydawał się wilgotny. Zdjęłam poduszki z jednego z foteli i usiadłam tuż przy kominku, patrząc na płonące kłody. Nie musiałam się spieszyć. Nie potrzebowałam już nic planować w swoim życiu. Ta noc miała się rozegrać zgodnie z jego planem, a ja wreszcie nie potrzebowałam nic robić.

## 20

I chyba natychmiast zaczęłam śnić.

Wiem, wiem, że to był tylko sen. Czasem jednak jawa wydaje się mniej rzeczywista niż sen. Każdy dzień męczących żniw wydawał się mniej rzeczywisty niż ten sen. Gdy pustym okiem gapiłam się w kominek, usłyszałam jakiś dźwięk; na pewno nie huk pioruna. Usłyszałam skrzypnięcie okna. Kłębowisko chmur nie przepuszczało światła, a kiedy ktoś zasłonił swoją sylwetką okno, w pokoju zapanowała całkowita ciemność. Ociężale odwróciłam głowę, lecz nie zawołałam o pomoc. Otworzyłam usta, lecz nie mogłam wydobyć głosu. Zamarłam na wpół siedząc, na wpół leżąc i czekałam na to, co mi się przydarzy.

Podszedł milcząc i odsunął fotel z za moich pleców, tak że ległam na wznak na podłodze. Dygotałam, jak gdyby sam jego dotyk był lodowatym wichrem, ale nie poruszyłam się. Zmrużyłam tylko oczy i wpatrywałam się w poświatę księżyca.

Pocałował mnie w zagłębienie obojczyka tuż przy szyi. Rozpiął suknię i pocałował pierś, brodawkę twardą jak jeżyna, a potem drugą. Odzyskałam głos, ale wydałam z siebie tylko cichy jęk pożądania. Mogłam się już poruszyć, lecz nie sięgnęłam po broń, ale od razu go dotknęłam i poczułam znajomą cudowną twardość. Jak stal.

Strząsnął moją rękę jak natrętą muchę i przeciągnął twarzą po mym ciele, po wypukłości gładkiego zgrabnego brzucha, a potem wziął mnie w usta.

Był brutalny. Nie całował. Nie lizał. Zatopił zęby, jak gdyby umierał z głodu, jak gdyby od dawna nie jadł mięsa. Ugryzł mocno, zatopił zęby aż po dziąsła w najsekretniejszą część mego ciała.

Wtedy krzyknęłam, lecz był to bezgłośny krzyk. Nie z bólu, lecz z bólu i rozkoszy, szoku i zachwytu i pewnej przerażonej akceptacji mojego przeznaczenia. Ssał mnie z całych sił, aż wciągał policzki. Tarł twarzą o moją skórę, a zarost drapał moje uda. Próbowałam poddawać się biernie temu wstrząsającemu wyśnionemu atakowi, ale kiedy ukąszenia powtarzały się, jęknęłam niczym ktoś doprowadzony do szaleństwa i obiema

dłońmi przycisnęłam jego głowę, aby twarz mocniej przywarła do mego ciała. Poczułam wślizgujący się we mnie język i krzyknęłam z rozkoszy. A potem zagłębiłam ręce w gęstwinie jego włosów, loków pokrywających zdradliwą nikczemną głowę i ocierałam się o nie jak dłoń sunąca po poręczy schodów. Potrząsnął głową, kiedy chciał odetchnąć, a ja znów przyciągnęłam go za włosy do siebie. A potem sekunda za sekundą następowała rozkoszna agonía. Jego dolne zęby kaleczyły moją ociekającą szparę. Wstrząsnął mną dreszcz i ochryple wrzasnęłam z bólu. Powiedziałam: „Ralph”.

Otworzyłam oczy. Byłam sama.

Sama.

Zawsze sama.

Prawie świtało. Świece dopaliły się. Niebo przejaśniało się, lecz burza pozostała nienasycona. Otoczyła niziny i wracała do mnie. Czułam w powietrzu napięcie, niczym oparzoną skórę. Nie wiedziałam, czy śniłam.

Okno było otwarte. Wiedziałam, że w nocy było zamknięte na klamkę. Wiedziałam. Ale porywisty wiatr w czasie burzy mógł swym stukotem o szyby obluzować klamkę. Albo Ralph mógł wsunąć między okiennice cienkie ostrze i otworzyć. Mógł przeskoczyć przez parapet do pokoju. Mógł tu wejść...?

Krzyknęłam. Ralph, który odwiedził mnie zeszłej nocy, nie był kaleką. Na pewno? Pamiętałam dotyk jego mocnych ud, kiedy go głaskałam. Ale poniżej kolan? Nie pamiętałam. Nie myślałam o tym. Kiedy ostre, mocne lisie zęby zatopiły się we mnie, tylko jego imię kołatało się w mojej czaszce jak dzwon na trwogę. I czułam tylko bujne czarne kędziory w zaciśniętych rozpaczliwie dłoniach.

Ralph.

Podeszłam do okna, którego połowa skrzybiała, kołysząc się na zawiasach, i wyjrzałam na wysokie wzgórze na skraju nizin. Narastało we mnie jakieś przekonanie, jakaś potrzeba oślepiająca niczym błyskawica na horyzoncie od strony południa.

Ralph.

Wszystko szło źle, odkąd go straciłam.

Czułam ból. Nie ten ból, z którym się obudziłam, mający swe źródło w skaleczeniach najdelikatniejszej, najwrażliwszej części ciała. Czułam ból pod żebrami, z którym żyłam od tak dawna, że uznawałam go już za coś naturalnego. Ból płynący ze śmiertelnego pożądania, aż do wyczerpania. Ból nienasyconej namiętności. Aż do ośpienia, do zmęczenia. Wszystkie pory roku wyglądały tak samo, każdy plan tracił sens, każda droga prowadziła donikąd, a wszystko to za sprawą nieobecności Ralpha i mojej tęsknoty za nim, mojej niewygasłej nigdy namiętności.

Teraz mówiono, że przybył.

Dla niego nic się nie zmieniło. Wiedziałam. Nie była to wiedza typowa dla pięknych kobiet biegłych w sztuce zalotów, łatwo łamanych obietnic i kłamstewek. Dla Ralpha nic się nie zmieniło, ponieważ oboje wpadliśmy w zastawioną na niego pułapkę. Razem znaleźliśmy się w potrzasku. I chociaż śmiertelnie ostre zęby zgruchotały mu nogi, nie mogły zniszczyć naszego związku. Ralph był mój, chociaż próbowałam go zabić. Był mój, chociaż przeze mnie zawisł na żelaznej ramie potrzasku niczym złamana gałąź. Był mój, nawet kiedy przyszedł mnie zamordować.

A ja należałam do niego.

Okno trzasnęło nagle tuż obok. Z mych oczu zniknął wyraz namiętnego oszołomienia. Patrzyłam na podjazd. Widziałam (sądziłam, że widzę) błysk pochodni tworzących świetlisty szlak pod rzucającymi cień drzewami. Nadciągali. Zachowałam absolutny spokój. Ralph, a może jego duch, kochał się ze mną. Przestałam przed nim uciekać i walczyć o życie. Znowu byłam dzieckiem, nieustraszoną Beatrice.

Podeszłam do lustra nad kominkiem oświetlanego tylko blaskiem błyskawic i rozpięłam włosy. Strząsnęłam puder i rozpuściłam wspaniałą falę barwy miedzi i mosiądzu. Spłynęła po ramionach niemal do talii. Taką fryzurę nosiłam, gdy jako dziecko igrałam z innym dzieckiem w lasach Wideacre. Uśmiechnęłam się do własnego odbicia. Gdybym była przesadna albo gdyby została mi choć krzta rozsądku, uczyniłabym tajemny znak odstrasżający czarownice. Uchroniłabym się przed samą sobą. Moje zielone oczy miały wyraz pustki. Nie było w nich nic ludzkiego. Uśmiechałam się jak obłąkana kobieta. Nieskazitelne piękno bladej twarzy poddało się działaniu moralnego zepsucia. Byłam upadłym aniołem, który jadł wieczerzę z diabłem, nie używając łyżki. Diablica piękna jak istota niebiańska, lecz z kocimi oczami zielonymi jak nefryt, jak oczy węża. Czułam w sercu opętańczą radość. Odległy huk pioruna zabrzmiał jak salut na cześć królowej, nie jak ostrzeżenie.

Pioruny były coraz bliżej.

Wiatr, teraz zimny, pachniał deszczem. Pocziwy nocny wiatr, chłodny, przesycony wonią deszczu padającego na odległych łąkach. Oczyszczający deszcz miał zmyć ból i zamęt. Wielkie ciężkie krople zmyją ruiny mego życia.

Nadchodził deszcz.

A z nim — Ralph.

Usiadłam na kanapce pod oknem. Moja suknia błyszczała w świetle błyskawic. Idealna noc dla wszelkich demonów. Dostrzegłam kilka pochodni, zanim zniknęły za zakrętem podjazdu tuż koło domu. Wkrótce tu będą.

Światła pochodni podrygiwały w ciemności, gdy podchodzili podjazdem. A potem błyskawica rozdarła niebo nad Wideacre na pół. Potężny trzask. Najpierw ujrzałam jego psy czarne jak diabły: charta i spaniela. Jeden przed nim, drugi za nim. Cały czas węszyły, tak jak w czasach gdy szukał po lasach kłusowników. Chart szedł na przędzie, czarna sierść lśniła od deszczu spadającego z nieba niczym srebrzystoczarne strzały.

I wtedy go ujrzałam.

Nie kłamali ludzie, którzy mi o nim opowiadali. Miał wysokiego silnego konia czystej krwi. Czarnego, bez ani jednej białej plamki. Całkiem czarnego. Czarna grzywa, czarna głowa, czarne oczy, czarne nozdrza. Wysoko uniesiona głowa. Był wyższy niż Tobermory. A na jego grzbiecie siedział Mściciel. „Dziwacznie” dosiadał konia. Nogi kończyły mu się na wysokości kolan, lecz wyglądało, że przyzwyczaił się do tej pozycji. Jechał jak lord. Jedną ręką trzymała cugle, drugą zaś oparł na biodrze i coś w niej dzierżył. Coś, czego nie widziałam. Mój Ralph z czarnymi kędziorami mokrymi od deszczu.

Zygzak błyskawicy oświetlił okolicę. Zrobiło się przez chwilę jasno jak w południe. Moja biała twarz objawiła się w oknie. Psy obwachiwały taras, jak gdyby szukając czarownicy. Chart podbiegł natychmiast do okna, zatrzymał się, pogrzebał łapą i zawył. Potem stanął na tylnych łapach, przednimi podrapał o szybę i zaszczekał na mnie.

Ralph odwrócił głowę. Zobaczył mnie.



Jego wielki wierzchołek cofnął się i pokonał stromiznę tarasu niczym trawiaste zbocze. Kiedy znów zatrzeszczała błyskawica i huknął piorun, Ralph znalazł się tuż przede mną, zasłaniając mi swoją sylwetką widok.

Wspięłam się na kanapkę jak dziewczę na powitanie kochanka. Otworzyłam energicznie okno i wyszłam. Deszcz lał strugami, tworząc wodną ścianę. Odetchnęłam ciężko, gdy zimny strumień zmoczył mi głowę. W parę sekund cała byłam mokra. Jedwabna suknia przylepiła się do skóry.

Wataha przystanęła za plecami Ralpa czujna, ostrożna. Pochodnie syczały, skwierczały w deszczu, blednąc w oślepiającym świetle błyskawic. Ogluszyło mnie dudnienie piorunów. Nie spuszczałam wzroku z twarzy Ralpa i jego uśmiechu i kroczyłam ku niemu, trzymając wysoko głowę. Błyskawica rozplatała niebo i błysnęła na ostrzu noża w dłoni Ralpa. Stary nóż gajowego do podrzynania gardeł jeleni.

Uśmiechnęłam się i moje oczy rozbłysły w ostrym niebieskim świetle. Pochylił się, jak gdyby chciał mnie przyciągnąć do siebie i objąć, objąć na zawsze.

— Och, Ralph — odezwałam się z nagromadzonym przez lata pożądaniem w głosie i podniosłam do niego ramiona.

A wtedy ręka uzbrojona w nóż opadła szybko jak błyskawica. Czarna błyskawica.

# EPILOG

Fasada dworu Wideacre wychodzi na południe. Przez cały dzień słońce oświetla mury z żółtego piaskowca, bezlitośnie pokazując wielkie czarne ślady po pożarze na dwóch stojących jeszcze ścianach oraz poczerniałe, zwęglone belki dachu.

Kiedy pada deszcz, na ścianach barwy miodu pojawiają się wielkie czarne zacieki, a po ogrodzie walają się śmieci wywiewane z domu — dokumenty Beatrice, a nawet jej mapa Wideacre.

Kiedy nadchodzi zima, a noce są dłuższe i mroczniejsze, wieśniacy z Acre nie zbliżają się do dworu. Pan Gilby, kupiec z Londynu, chce kupić posiadłość od owdowiałej lady Lacey, waha się jednak z podaniem ceny, bojąc się opinii miejscowej biedoty, po prostu bojąc się motłochu. Jeśli kupi, będzie musiał poczekać aż do lata z odbudową domu i sprowadzić robotników z innego hrabstwa. Żaden robotnik z Sussex nie tknie tego dworu. Żaden z wieśniaków nie wejdzie też do lasów Wideacre, chociaż stare przejścia zostały otwarte. Ciało panienci Beatrice zostało znalezione w liściach, w jakiejś ukrytej jamce obok furtki do ogrodu, w miejscu gdzie kiedyś dzieci bawiły się w chowanego. Mówią, że teraz cały las jest nawiedzony, że słychać wciąż jej nawoływanie brata, który zmarł tej samej nocy. Jego serce — słabe jak serce matki — nie mogło znieść ucieczki do Havering Hall. Rozpaczając za swą ziemią, idzie panienka Beatrice i trzyma w jednej ręce snop zboża, a w drugiej garść ziemi.

Jeśli pan Gilby kupi posiadłość, nie będzie się przejmował ani duchami, ani pogonią za zyskiem. Jest zbyt doświadczonym człowiekiem interesu, by zważać na plotki o duchach. A co ważniejsze dla wioski, nie zależy mu na zysku za wszelką cenę. Jego pieniądze są świetnie ulokowane w londyńskim City. Nie przejmuje się rolą pogody, stanem zdrowia inwentarza czy też niewymiernym bogactwem Wideacre. Chce tylko mieszkać tu sobie w spokoju i cieszyć się urokami życia wiejskiego. Tak więc będzie pożyczzał na długie terminy i wyznaczał niewysokie dzierżawy. Dopóki jednak się waha, otwarto na nowo ścieżki, a na nowych polach wysiały się dzikie rośliny i przyłączone tereny na powrót zamieniły się w łąkę.

Jeśli pan Gilby nie wróci do Wideacre przed wiosną, spostrzeże, że wieśniacy znów uprawiają swoje skrawki ziemi na wspólnych gruntach, a wieś Acre ma się dobrze jak dawniej, jak gdyby nie było ciężkich lat i jak gdyby w ogóle nie było Beatrice.

Dzieci, Celia i John nie dojdą do siebie przed końcem wiosny. Celia z dnia na dzień z żony dziedzica stała się zubożałą wdową mieszkającą w niewielkim domku i utrzymującą się z dożywocia. Kolejny rok nosi żałobę, lecz twarz pod czarną woalką jest pogodna. Dzieci stanowią osobliwą parę noszącą czarne ubranka. Podczas długich spacerów trzymają się za ręce i modlą się główka przy główce; brązowe włosy Julii mają miedziany połysk, a kędziory Richarda lśnią niczym sierść konia czarnej maści. John MacAndrew mieszka w tym samym domku. Opiekuje się synem i pomaga wdowie przystosować się do nowego życia. Wszystko co mu zostało, to pensja wyznaczona łaskawie przez ojca. Krążą plotki, że panienka Beatrice zmarnowała jego pieniądze, by uchylić majorat i kupić kontrakt na wieczne dziedziczenie dla jego syna. Ale w tej części hrabstwa Sussex nie ma takiej złej rzeczy, której by nie powiedziano o paniencie Beatrice.

Przeszła do legendy. Wiedźma z Wideacre, która przez trzy cudowne lata zbierała złote plony, a potem w ciągu dwóch lat odarła wszystko do gołej skóry z całego bogactwa. Kiedy jako młoda dziewczyna przechadzała się po polu, zboże wyrastało tam, gdzie postawiła stopę. Kiedy szła brzegiem rzeki Fenny, ryby podpływały do niej. Kiedy była w lesie, myśliwym wiodło się wspaniale na polowaniu. Mówiono, że była boginią Wideacre, tak dobrą i zarazem okrutną, i tak nieobliczalną jak wszystkie boginie.

Tak więc kiedy zwróciła się przeciwko ziemi, ludzie zaczęli umierać. Kiedy przestała kochać innych, w Wideacre nastąpiło rozgoryczenie i głód. Nie rosły warzywa. Zamknięto ścieżki. I zwalono stary dąb, i wykarczowano jego korzenie, kiedy Beatrice wpadła w gniew któregoś niespokojnego letniego dnia.

Nikt nie mógł jej powstrzymać. Gdyby doszło do następnej ciężkiej zimy, Acre umarłaby z głodu. Dopiero inny złoty bóg, beznogi mężczyzna, pół koń, pół człowiek, przybył niczym centaur pod okno dworu i kazał jej wyjść, tak jak kochanek swojej dziewczynie. Odjechał, wioząc ją przewieszoną przez siodło. Jej ciało znaleziono, lecz o nim już nigdy więcej nie usłyszano. Zniknął. Wrócił w to sekretne miejsce, gdzie żyją bogowie. Gdzieś głęboko pod ziemią, tam gdzie bije jej serce. Tam on i panienska Beatrice znów są wspaniali i uśmiechnięci.

Fasada dworu Wideacre wychodzi na południe. Nikt nie odwiedza teraz tych ruin. Nikt oprócz małego Richarda MacAndrew i małej Julii Lacey, którzy lubią się bawić w zniszczonym letnim domku. Czasem Julia podnosi wzrok na ruiny i patrzy szeroko otwartymi dziecięcymi oczami. I uśmiecha się, jak gdyby ten widok był jej bardzo drogi.

